



Format Literacki

ISSN 2720-0892

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

Temat numeru: CIAŁO

Format Literacki

Dolnośląskie pismo artystyczno-literackie
pod patronatem: Urzędu Miasta Wrocławia,
Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta
we Wrocławiu, Instytutu Kulturoznawstwa
Uniwersytetu Wrocławskiego

Adres pocztowy:
Rynek-Ratusz 26, 50-101 Wrocław
Preferowany adres e-mail:
redakcja@formatliteracki.pl

Wydawcy:
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich – Oddział
we Wrocławiu
Prezes: prof. Waldemar Okoń

Klub Muzyki i Literatury
Dyrektor: Ryszard Sławczyński
plac Kościuszki 10, 50-028 Wrocław
www.klubmil.pl | klubmil@wp.pl

Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu
Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Dolnośląskiego
Dyrektor: Igor Wójcik
Rynek-Ratusz 24, 50-101 Wrocław
www.okis.pl | sekretariat@okis.pl

Redakcja:
Redaktor naczelny
Waldemar Okoń
e-mail: waldemar.okon@wp.pl

Z-ca red. naczelnego
Andrzej Saj
e-mail: aasaj@interia.pl

Sekretarz redakcji
Robert Gawłowski
e-mail: adr@post.pl

Urszula M. Benka
e-mail: urszula.m.benka2@wp.pl

Krzysztof Rudowski
e-mail: krzysztofrudowski@op.pl

Stali współpracownicy:

Monika Braun, Bogusław Jasiński, Gabriel L. Kamiński,
Stanisław Karolewski, Bogusław Klimsa, Bogdan Koca,
Zbigniew Kresowaty, Janusz Krupiński, Roger Piaskowski,
Henryk Waniek, Cezary Wąs, Igor Wójcik

Opracowanie graficzne:
EDITUS – Sławomir Pęczek
www.editus.pl, tel. 502 23 43 43

Okładka (przód): praca z albumu Tomasza Domańskiego
Erotikon 1980–2025

Okładka (tył): Olena Matoshniuk, *9:00 czasu kijowskiego*,
z cyklu *Codziennosc*, olej na płótnie, pastel olejny,
60 × 45 cm, polityk (element nr 6 z 14), 2025

Redakcja i korekta: Monika Wójtowicz

Druk i oprawa: PRINT GROUP Sp. z o.o.
ul. Cukrowa 22, 71-004 Szczecin

Nakład: 350 egz.

Za finansowe wsparcie dziękujemy Panu Prezydentowi
i Wydziałowi Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

Projekt współfinansowany z Budżetu Województwa
Dolnośląskiego



KLUB MUZYKI i LITERATURY
we WROCŁAWIU



AKWEDUKT

WWW.FORMATLITERACKI.PL

Wrocław miasto spotkań



OŚRODEK KULTURY i SZTUKI
WE WROCŁAWIU



INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO



**DOLNY
ŚLĄSK**

www.umwd.pl

Kwartalnik bezpłatny

Spis treści numeru 16

- Waldemar Okoń** Wstęp — 4
- Waldemar Okoń** Panegiryk po przebudzeniu — 8
- Zbigniew Derda** Ciało, jak je rozumiem — 10
- Karol Maliszewski** wiersze — 22
- Monika Braun** Obce ciało — 30
- Waldemar Okoń** Defloracje — 38
- Urszula M. Benka** Dawid i świnie — 44
- Patrycja Zygałło** wewnątrzcielesny — 52
- Cezary Wąs** Teatr cielesności — 54
- Arkadiusz Aulich** wiersze — 60
- Monika Bakalarz** Tabu — 66
- Aleksander Najda** wiersze — 72
- Krzysztof Rudowski** Mandragora — 76
- Elżbieta Wojnarowska** wiersze — 84
- Waldemar Okoń** Mapa — 86
- Maciej Manikowski** wiersze — 90
- Jarosław Petrowicz** Zdeptana Królowa; Dąbrowa, nie Dobrawa;
Park-niepark, ratusz-nieratusz — 92
- Maciej Bieszczad** wiersze — 98
- Roger Piaskowski** Surene — 102
- Roman Rzucidło** wiersze — 112
- Stanisław Melski** wiersze — 116
- Robert Gawłowski** Stanisława Melskiego wiersze z epoki rozpadu — 120
- Jakub Żmizdiński** Sonety — 128
- Antoni Matuszkiewicz** Trop (nie)skończony — 130
- Krystyna Konecka** Sonety szekspirowskie — 140
- Kamil Bryka** Osiem wierszy wystukanych jednym palcem lewej dłoni — 146
- Aneta Jasłowska** wiersze — 150
- Alicja Klimczak-Dobrzaniecka** Co było, a nie jest, nie pisze się
w rejestr — 152
- Bernard Łach** wiersze — 160
- Andrzej Saj** Ciało wyczerpane... — 164
- Mari Křížová** wiersze — 168

Wstęp

Kolejny numer naszego kwartalnika dedykujemy niezwykle tajemniczemu i zagadkowemu tematowi, jakim jest ciało, które może być zwycięskie i przegrane, bolesne i wypełnione rozkoszą, realne i mistyczne, upodlone i tryumfujące, kobiece i męskie, konkretne i odrealnione, podlegające przemianom oraz dzięki sztuce zatrzymane w czasie – boskie i ludzkie, chore i zdrowe, bezgrzeszne i tarzające się w grzechu, świeckie i uduchowione, sakralne i bliskie profanum, skazane na zagładę i podlegające transfiguracji, upadłe i wzniosłe. Nawet wymienienie cech, jakie kojarzymy z ciałem, jest już odrębnym, niezwykle fascynującym dla autora niniejszego *Wstępu* wyzwaniem, ponieważ prowadzi nas w stronę rozległego wachlarza pojęć, estetycznych i etycznych przeświadczeń oraz niejednokrotnie dewiacji i seksualnych obsesji. Ciało bowiem kieruje nas w stronę fundamentalnych opozycji naszej kultury, która nigdy nie wyzwoliła się z dychotomii pomiędzy jakże nieodległą od ciała miłością ziemską i jakże bliską sferze duchowości miłością niebiańską, a pierwotny, wpłątany pomiędzy te dwie miłości Eros okazuje się w dzisiejszych czasach siłą dominującą, ponieważ powrót do ekstatycznych, animalnych źródeł to cecha nie tylko sztuki wysokiej, ale też ogarniającej współczesne media w coraz większym stopniu pornografii. Musimy o tym pamiętać, czytając fragmenty najnowszego „Formatu Literackiego”, gdyż ich uważna lektura może zaprowadzić nas, jak w eseju Urszuli Benki, zarówno do mitycznych źródeł czasu, jak też do refleksji nad istotą „bycia artystą” oraz owym „brakiem” – egzystencjalnym i emocjonalnym, którego nie potrafimy zapełnić, ponieważ nasze „istnienie jest relatywną niedoskonałością”.

Pragnąłbym też zwrócić Państwa uwagę na rozległy blok poezji wypełniający łamy pisma, gdzie obok autorów publikujących już u nas swoje wiersze pojawia się kilka nazwisk poetów i poetek takich jak Patrycja Zegadło, Arkadiusz Aulich, Aleksander Najda, Maciej Manikowski, Maciej Bieszczad, Krystyna Konecka, Aneta Jasłowska, Bernard Łach, Jakub Żmizdiński, Mari Křižova, których głos wydaje się w kontekście sygnalizowanej przeze mnie powyżej różnorodności i wieloznaczności tematu, jakim jest ciało, brzmieć bardzo czysto i prawdziwie, tym bardziej, że z nie do końca możliwej do wyjaśnienia przyczyny temat ten wyzwolił w naszych autorach chęć powrotu do tradycyjnych miar wiersza (strofa saficka, pantum, sonety, list poetycki), tak jakby owa tradycja wersyfikacyjna osadzona mocno w kulturze nie tylko europejskiej przybliżała nas do źródeł pierwotnych relacji pomiędzy *mens* i *sana*, obecnych w sztuce od tysięcy lat. Owe źródła, mające w sensie nietzscheańskim zarówno cechy dionizyjskie, jak i apolińskie, niekiedy przenikają się, prowadząc nas w stronę niepewnych swej istoty rozwiązań oraz konstatacji, jak w wierszu Jakuba

Żmizdińskiego, gdzie czytamy: „Komu potrzebne nasze słowa / i krew, i dłonie, płatki ciała, / bezgłośny zew pieśni słonecznej”. W płynnym, ponowoczesnym świecie, w którym żyjemy, miłość spełniona splata się z niespełnieniem, bowiem, co zauważa Elżbieta Wojnarowska: „Rzeka przepływa przeze mnie / radość smutek / nadzieja łzy / słodycz niepojęta słodycz / bez końca / Niekończący się początek / nieskończonego spełnienia” i dalej: „Płynę brocząc kamieniami”.

Ta ostatnia fraza kieruje nas w stronę sfer chtonicznych bliskich Erosowi oraz mroku związanego z kreślonymi przez niego mapami, poddającego się seksualnym imperatywom ciała. Mapa pojawia się w prezentowanych tekstach kilkakrotnie, jako element kobiecego przeżywania doznań erotycznych, jak i męskiego sposobu opisanego kobiecego ciała w trakcie poetyckiego, a jednak realnego zbliżenia – tu polecam uwadze Państwa mój tekst pod tym jakże frapującym tytułem.

Nie tylko jednak wzbogacone o pierwiastek poetycki opisywanie doznań cielesnych przenika wiersze i prozę zawarte w najnowszym „Formacie Literackim”, lecz również pojawiają się w nim elementy alchemii, gnozy, ciemnych mocy potrafiących opanować człowiekiem i doprowadzić go do upadku i śmierci, jak w wierszu Macieja Bieszczada „Kipiel”, gdzie w urojonym pejzażu z lasem i „kompozycją ścieżek” „ciała były żywe”, gdy „Z wody wyszło zwierzę”, a „Kto utonie pierwszy, nie naszą jest rzeczą”. Nieprzypadkowo Eros tak często, w mitologii i w sztuce, łączony jest z Thanatosem, a to, co stanowi indywidualne przeżycie, przenoszone jest w sferę ponadindywidualnego uniwersum. Ciało staje się nośnikiem sił kosmicznych, które bez jego seksualnej i duchowej obecności nigdy nie mogłyby się ujawnić. Męski i kobiecy punkt widzenia przeplatają się tu nieustannie, jak owe tajemnicze jin i jang przenikające od zarania istnienia cały Wszechświat („Konkwistador” Arkadiusza Aulicha).

Ciało jako tabu (Monika Bakalarz), ale też ciało jako coś obcego, podlegającego fizycznej degradacji, podatne na represję, żywe lub martwe tworzywo, którym się, jak pisze Monika Braun za Foucaultem: „manipuluje, które się urabia, szkoli, które jest podatne, reaguje, nabiera zręczności”. Nieprzypadkowo kolejny numer „Formatu Literackiego” poświęcamy Władzy, bowiem te dwa tematy są sobie niezwykle bliskie, co ujawniły liczne studia pisane zarówno w duchu feministycznym (tekst Alicji Klimczak-Dobrzanieckiej), jak i maskulinistycznym (Zbigniew Derda) oraz „magiczna” proza Krzysztof Rudowski – „Mandragora”. Jednak niekiedy od imperatywu władzy można się wyzwolić, bowiem jak to określa bohaterka opowiadania Jarosława Petrowicza „Dąbrowa”: „wszystko dniami i nocami przepływa przeze mnie, ale to nie jestem ja. Lubię ciszę, szum drzew, śpiew ptaków”.

I na koniec chciałbym zwrócić Państwa uwagę na dwa teksty. Pierwszy z nich Rogera Piaskowskiego „Surene” jest moim zdaniem jedną z najbardziej niezwykłych próz poetyckich, jakie udało mi się przeczytać w ostatnich latach. Mam wobec i w związku z tym tekstem wiele pytań, na które, niestety, ze względu na Jego odejście od nas na zawsze, nie będę już mógł nigdy uzyskać pełnych odpowiedzi. Pytania te jednak postaram się zadać w studium poświęconym postaci Rogera zamieszczonym w kolejnym numerze „Formatu Literackiego”. Tekst drugi „Ciało wyczerpane” jest autorstwa Andrzeja Saja, który z właściwym sobie zjawstwem i profesjonalizmem omówił prace Tomasza Domańskiego, ilustrujące w niezwykły i oryginalny sposób

nasze poświęcone ciału pismo, jednocześnie recenzując opublikowany niedawno album „Eroticon”, w którym talent tego wybitnego rzeźbiarza, performera, malarza i fotografa tym razem zabłysnął pełnym blaskiem w służbie Erosa, jakże trudnej do wypełnienia i jak jednocześnie fascynującej.

Kończąc, nie odmówię sobie przyjemności zacytowania fragmentu pism św. Teresy, który podaję za bardzo interesującym esejem Cezarego Wąsa „Teatr cielesności. Uwagi o objawieniach”, gdzie czytamy: „czasami wychodzę zupełnie z siebie i nawet bym tego nie zauważyła, gdybym nie wydawała z całych sił miłosnych jęków [...] Pewnego razu zjawił mi się anioł w postaci widomej. Był przepiękny. Ujrzałam w ręku tego anioła długą włócznię złotą, a grot jej żelazny u samego końca był jakby z ognia. Tą włócznią, zdało mi się, kilkoma nawrotami serce mi przebijał, zgłębiając się aż do wnętrzości. Za każdym wyciągnięciem włóczni miałam to uczucie, jakby wraz z nią wnętrzości mi wyciągał; tak mnie zostawił całą gorejącą wielkim zapalem miłości Bożej. Tak wielki był ból tego przebicia, że mi wyrывał z piersi one jęki [...] ale taką zarazem przewyższającą wszelki wyraz słodkość sprawia mi to niewypowiedziane męczeństwo, że nie czuję pragnienia, by ono się skończyło [...] Nie jest to ból cielesny, ale duchowy, chociaż i ciało niejaki, owszem, nawet znaczny ma w nim udział”.

Ciało i związane z nim doznania, jak widzimy, zarówno w swoim wymiarze ziemskim, jak i niebiańskim, niejedno mają imię, a sztuka jest jedynie pośrednikiem pomiędzy sferą opanowaną przez *mens* i obszarem, gdzie króluje *sana*. Nie wiem, który z tych światów powinienem bardziej polecać. Być może po zapoznaniu się z naszym najnowszym „Formatem Literackim” rozwiązanie tego odwiecznego dylematu przyjdzie do Państwa samo.

→

Autorem wszystkich prac zamieszczonych w tym numerze jest Tomasz Domański



Amul
99

WALDEMAR OKOŃ

Panegiryk po przebudzeniu¹

Żony irysy miękkie ręce
wiewiórki o wydatnych piersiach
z mleczem między sutkami
obcinają paznokcie leczą skaleczenia
proszą o więcej miłości wieczorów i jezior
poprawiają nasze błędy które drażnią i zmuszają do poprawy
poprawiają nasz język
nasze dusze podatne na uderzenia na piorun
gną się na swych łodygach
jakby bezlistnie z rozpuszczonymi ramionami

nie możesz mi niczego rozkazywać
możesz prosić przepraszać pisać
nie jesteśmy w wojsku nie jesteśmy sami
za przepierzeniem z dykty mieszkają inni
i kto odwinie mnie z papieru poliże nie zapomnij o szaliku
o ciepłych butach i jak mi jest w tej sukni
podaj nożyczki zajmij się dzieckiem ponad drogą wirujące meluzyny
wiją wianki i wodospad spada ponownie
okrywając płód i wargi i kasztany wyjęte własnoręcznie
z ognia upamiętnij mnie nasze rocznice
możesz poświęcić mi kilka zdań
dotknąć nimi ust czoła skroni w pochyleniu przed wejściem
albo inaczej zwyczajnie kiedy jest cicho pojawiają się gazele
może gdzieś dzisiaj pójdziemy wyłącz radio natchnienie zobacz
lampa oświecła nasze ślady przyszedł czas nazywania
podnosimy strzały wypuszczone w stronę płomieni
lecz w tym nie ma całości z tego nie powstaje
kształt właściwy jak w irysach

¹ Wiersz z tomu *Poematy nadziejne*, TIKKUN, Warszawa 2000.

i nie niszcz oczu w tym świetle nie dojrzysz mnie całej
gdy zawijasz się w kołdrę jedwabnik snuje nić
nie podglądaj mnie muszę się umyć
nie dostrzeżesz mnie i w następnym które przychodzi
nad ranem.

19.07.1984



Ciało, jak je rozumiem

Było to bodaj w 1995 roku. W Katowicach. Uczestniczyłem wówczas w wernisżu wystawy Lecha Majewskiego będącej hołdem dla młodej kobiety zmarłej w wypadku samochodowym, w którym uczestniczył także Autor. Wystawa ta, a właściwie swego rodzaju performance, tyczyła się składowych ludzkiego ciała.

Zapamiętałem gwoździe i dziewczynę chodzącą tam i z powrotem po Biurze Wystaw Artystycznych w Katowicach, która ociekała krwią (no nie tak dosłownie, z pewnością była to woda zabarwiona na czerwony kolor).

I to wtedy chyba po raz pierwszy na poważnie zdałem sobie sprawę z istoty ciała. Skład ludzkiego ciała to przede wszystkim woda (około 60%) oraz składniki organiczne, czyli zbudowane na bazie węgla między innymi białka, węglowodany, lipidy i kwasy nukleinowe oraz składniki nieorganiczne zwane mineralnymi. Po prostu – tlen, węgiel, wodór, azot, wapń i fosfor, potas, siarka, sód, chlor, żelazo i magnez. Wszystko to opakowane w skórę.

Wcześniej zauważałem ciało jako głowę, szyję, tułów, ręce i nogi. Głównie u kobiet. Pociągało mnie ciało kobiety. Duże oczy, namiętne usta, długie nogi. Tak, także piersi. Małe, które mieściłyby się w moich dłoniach.

Nigdy nie identyfikowałem się z ciałem w jakiś bezpośredni sposób. Od dziecka mówiłem, że ciało to naczynie, swego rodzaju klatka dla duszy, czyli mojego Ja. Zatem ciało było prawie od samego początku dla mnie czymś, co zawiera Mnie i jednocześnie Mnie ogranicza. Dawniej, będąc młodym człowiekiem, nie „czułem” ciała. Czułem co najwyżej zmęczenie, chodząc po górach: Beskidach – w liceum i Tatrach – już na studiach. Teraz, mając sześćdziesiąt dwa lata, mogę powiedzieć, że czuję swoje ciało dosłownie. I mogę potwierdzić to, słowami Igi Cembrzyńskiej, co miało miejsce po premierze jednego z filmów w kinie Światowid w Katowicach. Iga Cembrzyńska powiedziała: „Starość, Zbychu, to nic innego jak ból fizyczny”. Ciało w moim wieku odczuwa się dosłownie. Nie w kategorii młody/stary, a w kategorii, która część ciała boli... bo bolą nogi, bolą ręce, łamie w krzyżu, no i ta otyłość... przy wstawaniu z łóżka czuję grawitację dosłownie. Zatem jak ma się ciało do mojego Ja? Przecież, pomimo wieku, wcale nie czuję się stary. Widzę starzenie się mojego ciała, jednak nie widzę wpływu na swoją „młodzieńczość”. Tak zwaną starość widzimy u innych.

Kiedyś, dawno temu, wracając z pracy, siedłem za młodymi dziewczynkami, które rozmawiały ze sobą (tak, rozmawiały – bo to był czas, kiedy jeszcze nie było telefonów komórkowych). I jedna z nich stwierdziła: „Wiesz, czuję się bardzo staro”. Pomyślałem sobie wtedy: Co ty, gówniario, wiesz o starości, skoro ja, starszy od ciebie o wiele lat, nic o niej nie wiem... I uświadomiłem sobie wówczas, że starość w jej rozumieniu to był brak wiary... Po prostu – zwątpiła. I wydaje mi się, że starzenie się

ciała powoduje w ludziach brak wiary, a co za tym idzie – naprawdę starzejemy się wewnątrz. Nadto starzenie się ogranicza nas totalnie. I popadamy w totalny marazm. Związane jest to z tym, w co wierzymy lub co wiemy (przynajmniej tak nam się wydaje).

Ciało towarzyszy nam zawsze, a jednak pozostaje tajemnicą. Próbuje je zrozumieć, ujarzmić, zbadać, wystylizować, pokochać lub odrzucić. Ale czy naprawdę jesteśmy w stanie kiedykolwiek wiedzieć, czym jest ciało? Żyjąc w jego wnętrzu, jesteśmy jak ślepi mieszkańcy obcego miasta – czujemy jego uliczki, dotykamy murów, lecz nigdy nie widzimy całości. Jako ludzie żyjemy w tej nieszczęsnej krainie ciała, której nie będziemy w stanie w pełni poznać. Ciało nie jest tylko fizycznym narządem, nie jest prostym mechanizmem biologicznym. Jest przestrzenią, która rozciąga się w nieskończoność – granicą między światem zewnętrznym a wewnętrzną świadomością. Każdy ruch, każda decyzja związana z ciałem jest próbą zrozumienia tej przestrzeni, zrozumienia tego, co jest nasze i co nas definiuje, a jednocześnie tego, co pozostaje poza nami.

Od dawien dawna wierzyłem w reinkarnację. I zawsze mówiłem, że ja już tu nie wracam. Wierzyłem, że jest to tutaj mój ostatni byt. Co prawda nie byłem idealny, ale wiedziałem i wiem, co to znaczy. Memento mori towarzyszyło mi prawie od początku. Sokrates powiedział, że właściwa praktyka filozofii „to nic innego jak umieranie i bycie martwym”. Stąd też słowa: „umieram już sześćdziesiąt dwa lata / i dziewięć miesięcy” zawarte w moim wierszu opublikowanym na swoje urodziny w „Tosterze Pandory”.

W XVII wieku Kartezjusz pisał o rozdzieleniu ducha od ciała, traktując ciało jako maszynę, niegodną refleksji, zmysłową, ale równocześnie zupełnie oddzielną od rozumu. Od tego czasu w filozofii, a potem w literaturze to ciało było wciąż traktowane jako coś zewnętrznego, jako przedmiot poddany kontroli, coś, co należy zmieniać, zniekształcać, ujarzmić w imię jakiejś wyższej idei.

Dopiero w XX wieku, w pracach takich jak te Simone de Beauvoir, zaczęto dostrzegać, że ciało nie jest obiektem; ono jest częścią naszej tożsamości, jest nierozzerwalnie związane z naszym bytem. Beauvoir pisała, że „nie rodzimy się kobietą, stajemy się nią”, sugerując, że ciało nie jest tylko efektem biologicznym, ale też społecznym, kulturowym. I to jest jeden z głównych paradoksów – nasza granica zewnętrzna jest jednocześnie naszą najbardziej osobistą granicą. Gdzie kończy się nasze ciało, a zaczyna inne ciało? Gdzie kończy się przestrzeń, którą możemy kontrolować, a zaczyna przestrzeń obca, wroga? To zderzenie z granicą cielesności jest nieodłącznym elementem naszej codziennej egzystencji, a jednocześnie najbardziej niezrozumiałym i niezrozumiałym.

Rozważając granice ciała, trzeba uwzględnić zjawisko tożsamości, które jest ściśle związane z tym, jak postrzegamy naszą fizyczność. Ciało nie jest bowiem czymś, co po prostu mamy – ono jest częścią tego, kim jesteśmy. Warto przyjrzeć się w tym kontekście pracom takich filozofów jak Michel Foucault, który w swoich badaniach nad władzą zauważył, jak granice ciała są nieustannie kształtowane przez zewnętrzne mechanizmy władzy: społeczne, polityczne, kulturowe. Ciało staje się przestrzenią kontroli, przestrzenią, w której zapisują się normy, które wykraczają poza jego fizyczne ograniczenia.

Foucault pisał o „dyscyplinie” ciała, czyli o tym, jak ciało jest kształtowane przez społeczne oczekiwania i reguły. Ciało jest przestrzenią, na której wpisywana jest władza, ale także opór. Opór wobec zewnętrznych definicji, które starają się ograniczyć naszą wolność i decydować o tym, co należy uznać za zdrowe, piękne czy akceptowalne. Z drugiej strony, granica, którą wyznacza ciało, stanowi również barierę przed tym, co obce, co nieznane. Niezależnie od tego, jak bardzo próbujemy „poddawać się” kontrolom społecznym, nie możemy wyjść poza naszą fizyczną granicę. Zawsze pozostaje coś, co nie poddaje się tej zewnętrznej władzy – coś, co jest autonomiczne, chociażby w formie impulsów ciała, wymykających się rozumowi.

Od czasu, kiedy Kartezjusz oddzielił duszę od ciała, filozofia w dużej mierze traktowała ciało jako coś odrębnego od mentalnej sfery istnienia. Jednak to rozróżnienie jest wciąż mocno obecne, choć zmieniają się jego formy. Dziś coraz częściej zastanawiamy się, co dzieje się z ciałem w przestrzeni społecznej. Gdzie kończy się to, co wyznaczają normy i prawo, a gdzie zaczyna się przestrzeń osobista? Ciało jako granica staje się więc nie tylko przedmiotem walki o kontrolę, ale również strefą, w której wciąż nieustannie odbywają się negocjacje. Współczesne ruchy na rzecz równości płci, praw człowieka czy emancypacji ciała (na przykład aktywizm związany z prawami kobiet, ciałem queerowym, ciałem osób z niepełnosprawnościami) pokazują, jak wiele można zmieniać w sposobie postrzegania granic ciała. Nie ma jednej definicji granicy, nie ma jednej odpowiedzi na pytanie, co jest granicą. Współczesne rozważania wskazują na fakt, że nasze granice ciała są płynne i negocjowane w ramach szerszej społecznej debaty.

Aż korci mnie, by sięgnąć do Biblii. Jesteśmy wychowani w kraju chrześcijańskim (choć to nie przyszło „z wiary i przekonań”, a bardziej z wyrachowania politycznego), zatem zerknijmy do źródła. „Potem Bóg powiedział do nich: »Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną«” oraz „Po czym Bóg pobłogosławił Noego i jego synów, mówiąc do nich: »Bądźcie płodni i mnożcie się, abyście zaludnili ziemię«”. Przywołuję te słowa Starego Testamentu, by zwrócić uwagę na pierwotne przeznaczenie ciała. Seks, a właściwie to kopulacja. Nie znajdziemy tu zwrotu: „kochajcie się”. Ciało miało służyć jako – nazwijmy to tak – przetrwalnik. Nie ma tu racji bytu ani obecnie wszechobecna ideologia LGBT, ani Jezusowe „Bóg jest miłością: kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim. Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali”. Zatem ciało w wersji starotestamentowej służy do prokreacji, by geny (lub to coś, co jest przez nie przenoszone) istniały, a w wersji nowotestamentowej otrzymujemy wymiar miłości, która jest już ponad-cieleśna. Ergo: stworzenie polegało na nadaniu ciała, które winno się powielać, jednak w Edenie to ciało przecież miało tego nie-zauważać, nie być przetrwalnikiem. Poprzez ciało utworzone przez Boga z mułu ziemi (por. Rdz 3,19; Koh 12,7) należy człowiek do świata ziemskiego. Dzięki tchnieniu, otrzymanemu również od Boga, należy do świata niebiańskiego (por. Ps 51,14). Jest jednak jednością. Trzeba tu zaznaczyć, że tchnienie Boga tyczyło się tylko i wyłącznie Adama, Ewa została stworzona z jego żebra: „Wtedy to Pan sprawił, że mężczyzna pogrążył się w głębokim śnie, i gdy

spół, wyjął jedno z jego żeber, a miejsce to zapełnił ciałem. Po czym Pan Bóg z żebra, które wyjął z mężczyzny, zbudował niewiastę”.

Niech te cytaty będą dowodem na to, że jako mężczyzna o ciele będę mówił tylko jako facet. Mało tego – będę mówił tylko jako ja, bo i o tak zwanych chłopach niewiele wiem. Teraz wiem jedno: powolutku wkrada się tutaj chaos. I nic dziwnego, skoro chce się coś powiedzieć, o czym tak naprawdę wiemy to, co zauważaliśmy od początku. Cudna twarz, zgrabna sylwetka i to, jak się porusza... Ona... Ciało... ale kiedy przyszło do wyboru partnerki, już to ciało było mniej ważne... Ważniejsze było to, co wewnątrz, jak to się mówi... Bo szukamy zawsze tak zwanej drugiej połówki (i bez skojarzeń, poproszę). Mówiąc to, zwykliśmy mówić jako o uzupełnieniu. Tyle że „druga połówka” związana jest bardziej z yin-yang. Koncepcja yin i yang pochodzi z antycznej filozofii chińskiej i metafizyki. Opisuje ona dwie pierwotne i przeciwne, lecz uzupełniające się siły, które odnaleźć można w całym wszechświecie. Wzajemne oddziaływanie yin i yang jest przyczyną powstawania i zmiany wszystkich rzeczy. Jest dzień i noc, lato i zima, metoda 0 i 1, czyli metoda binarna. Dualizm po prostu. Dlatego nie wierzę ludziom, którzy mówią, że po śmierci (ciała – w tym rozumieniu) nie ma już nic. Zatem zacznijmy od początku.

Powstanie ciała. To jest temat, który zdaje się wprowadzać nas w głęboki krąg sprzeczności. Próbuje wy tłumaczyć, skąd się bierze to, co jest nam tak dobrze znane – ciało, które na co dzień nosimy, które nas definiuje, które jest naszym narzędziem, naszym „ja”. Ale czym tak naprawdę jest ciało? I skąd się bierze? Zawsze będziemy wracać do tych pytań, wciąż zadając je na nowo, coraz głębiej, w nadziei na zrozumienie tej najbardziej podstawowej rzeczy, która tworzy naszą ziemską obecność.

Przypomnijmy sobie moment, gdy zaczynamy myśleć o ciele – być może to nie jest moment, w którym ono pojawiło się po raz pierwszy. Wszak ciało to efekt długiego procesu. Ale myśl o ciele, o jego powstaniu nie jest myślą prostą. Ciało jest czymś, co wykracza poza czas. Niezależnie od tego, jak patrzymy na nie z perspektywy biologii, chemii czy fizyki, wciąż pozostaje nieuchwytnie. Bo jak można pojąć to, że z martwego, nieruchomego atomu powstaje zorganizowana, pełna ruchu, czująca substancja? Jak z tego, co nieżywe, może narodzić się życie? Można patrzeć na to z punktu widzenia mechanistycznego – materia się formuje, a życie powstaje na skutek zbiegów okoliczności. Z tego materiału – przez eony czasu, przez procesy chemiczne, biologiczne – rodzi się organizm. Ale czy to wyjaśnia wszystkie pytania? Czy zaspokaja głód, który budzi się w nas, kiedy myślimy o tej tajemnicy?

Powstanie ciała, w pewnym sensie, jest zjawiskiem nieustannego rodzenia się. Ciało nie rodzi się tylko raz, w jednym momencie. Ono jest wynikiem niekończącej się serii decyzji, procesów, ruchów, które w wyniku nieprzewidywalnych okoliczności prowadzą do powstania tego jednego, niepowtarzalnego kształtu. I to jest właśnie najciekawsze: powstanie ciała nie jest przypadkowe. Jest to wynik pewnej harmonii, a zarazem chaosu, który wewnętrznie organizuje się w strukturę. To, co z pozoru nieładne, chaotyczne, w rzeczywistości jest dziełem pewnej siły. Siły, która stwarza porządek z tego, co pozornie nieuporządkowane.

Współczesne rozumienie ciała jako efektu ewolucji – wyniku niezliczonych prób i błędów – ukazuje nam ciało jako coś, co kształtuje się i dostosowuje do zmieniających się warunków. Ale to jest tylko jeden poziom tego zjawiska. Bo ciało nie jest

tylko mechanizmem. Jest czymś więcej: jest nośnikiem duszy, kimś, kto przyjmuje w siebie życie. W tym sensie powstanie ciała nie jest jedynie efektem biologicznym, lecz czymś, co sięga głębiej – jest procesem, w którym spotykają się świat materialny i niematerialny, jest to zderzenie materii i świadomości, które tworzą coś nowego, niepowtarzalnego.

Mówią, że życie zaczyna się w momencie, gdy serce zaczyna bić. Ale zanim zacznie bić, zanim ciało rozwinie się w tej formie, którą znamy, musi przecież zostać zapoczątkowane. Ciało nie pojawia się z próżni. Jego początek jest momentem, który mieści się gdzieś pomiędzy nieznanym a znanym. W tym sensie powstanie ciała to początek istnienia tego, co zrozumiane, i tego, co nieuchwytnie, to granica, którą musimy przekroczyć, by wejść w świat materialny.

Wszystko to staje się bardziej zrozumiałe, gdy zaczynamy dostrzegać, jak nasza percepcja powstania ciała zmienia się, w miarę jak dorastamy, jak przekraczamy kolejne etapy życia. Dziecko patrzy na swoje ciało jako na coś, co po prostu istnieje. Ciało jest rzeczą daną, czymś, co naturalnie pasuje do niego samego. Ale z biegiem lat, kiedy patrzymy na ciało, zaczynamy dostrzegać w nim ślady minionych czasów, widzimy, jak ono się zmienia, jak starzeje. Ciało staje się świadkiem czasu, jego zapisem, jego historią. I w tym sensie to ciało, które na początku wydaje się wciąż tak nowe, nagle staje się pełne wspomnień, pełne świadectw poprzednich doświadczeń. Z czasem zaczynamy dostrzegać, że powstanie ciała nie jest jednym, zamkniętym aktem, ale procesem, który trwa przez całe życie, w którym powstają nie tylko zewnętrzne zmiany, ale i te wewnętrzne. Ciało jest nie tylko fizyczną formą, ale i formą przechowującą ślady myśli, uczuć, doświadczeń.

Powstanie ciała jest, w pewnym sensie, aktem, który nigdy się nie kończy. W każdym momencie życia nasze ciało przechodzi przez kolejne etapy, wciąż się formując, wciąż stając się czymś nowym. I to jest istota powstania – proces, który się nie zatrzymuje, który nie ma końca. Nasze ciała są przejawem ciągłego stawania się, a nie finalnego bycia. Stawanie się to jedyny sposób istnienia, który ma sens, ponieważ nic nie jest w pełni ukształtowane, wszystko się zmienia. Powstanie ciała to nie jedno, zamknięte wydarzenie, ale nieustanna podróż – podróż, która zaczyna się w momencie, kiedy pojawia się życie, i trwa, aż znikniemy, aby dać miejsce kolejnym formom, nowym ciałom, nowym wcieleniom.

Zatem powstanie ciała to historia nie tylko materii, ale także świadomości. Historia tego, co przychodzi i odchodzi, ale nigdy nie znika w pełni. Zawsze istnieje to, co zostało w ciele, to, co w nim zapisane, to, co czeka na przekształcenie się w nową formę. Tak jak ciało rodzi się z materii, tak jego powstanie jest nieustannym aktem tworzenia i niszczenia, w którym każda forma jest tylko jednym z etapów, przez które przechodzi duch, kiedy staje się ciałem. A powstanie to, choć kończy się w śmierci, nie oznacza końca, bo ciało, w swojej ostatecznej przemianie, wraca do prochu, ale ten proch daje początek nowemu ciału, nowemu życiu, nowemu wcieleniu.

„Z prochu jesteś i w proch się obrócisz”. Znane słowa, wypowiedziane w wielu kulturach, w wielu językach. Mają swoją uniwersalność, swoją surową prawdę, która brzmi jak mantra, przypomnienie, że wszystko, co doczesne, przemija. Życie to po prostu krótka chwila, migotliwa iskra w ciemności. Proch, z którego jesteśmy ulepieni, a do którego się rozpadniemy. Ciało, które jest naszym tymczasowym

schronieniem, świątynią, a zarazem pyłem, roznoszonym przez wiatr. Słowa te mają swoje echo w religijnych i filozoficznych tradycjach, ale także w naukowym spojrzeniu na rzeczywistość – ciało to tylko materia, zestaw atomów i cząsteczek, które w końcu wrócą tam, skąd przyszły (moja nauczycielka biologii w liceum zawsze mówiła, że w przyrodzie nic nie ginie). W tym prostym zdaniu zawiera się zatem wszystko, co przemija: nasze życie, nasza tożsamość, nasze cierpienie, radość i miłość. Wszystko jest w końcu po prostu pyłem.

Ale zanim zrozumiemy pełnię tego stwierdzenia, musimy przyjrzeć się ciału. Ciało, które przecież nie jest tylko zbiorem komórek i tkanek. Jest czymś, co – przynajmniej przez pewien czas – tworzy naszą rzeczywistość. Co to znaczy być ciałem? Co to znaczy być w tej formie, która jest naszym narzędziem, którą postrzegamy siebie i świat? Ciało to nasze zmysły, nasze emocje, nasza fizyczność, to jest to, co czujemy, to, co przeżywamy. I choć w gruncie rzeczy nie jest niczym więcej niż zestawem biologicznych mechanizmów, to czujemy się w nim nie tylko fizycznie, ale również egzystencjalnie. Wydaje się, że wszystko, czym jesteśmy, jest ciałem – przynajmniej na powierzchni. Lecz z biegiem czasu, patrząc na nasze zmieniające się ciała, zadajemy sobie pytanie: co się z nami stanie, gdy to ciało przestanie istnieć? Co zostanie, kiedy wszystko rozpadnie się w proch?

Pamiętam, jak pewnego dnia stanąłem w obliczu takiej prawdy. Nie było to w momencie śmierci, ale w chwili, kiedy poczułem, że coś we mnie się kończy. Moje ciało zaczęło się zmieniać, jakby z każdą minutą traciło coś z tej młodzieńczej sprężystości, której nie byłem świadom do tej pory. Było to tak, jakby moje ciało już teraz zaczynało stawać się wspomnieniem, fragmentem czegoś, co już nie istniało. Zaczynasz odczuwać, jak jego ściany znikają, jak to, co kiedyś było siłą, staje się słabością. Ciało jest czymś, co w pewnym momencie zaczyna przypominać bardziej tkaninę niż narzędzie. Ale to przecież tkanina, którą możemy rozłożyć. Właśnie wtedy, na tym etapie, pełni tego, co mówi nam ten biblijny, czy też ogólnie – egzystencjalny obraz, wracamy do prochu.

Z prochu jesteś i w proch się obrócisz. Ten moment, w którym patrzysz na swoje ciało, zdając sobie sprawę, że jest ono, w końcu, przemijającą materią, to coś, co nie jest łatwe do zaakceptowania. Ale tu zaczyna się prawdziwa refleksja. Z prochu – to znaczy, że jesteśmy częścią czegoś większego, że nasze istnienie nie jest czymś wyizolowanym, czymś niezależnym od wszechświata. Jesteśmy, w pewnym sensie, sumą elementów, które przez miliony lat przeszły przez ręce natury, a teraz są częścią tej wędrującej planety. W tym sensie nie jesteśmy tylko jednostką, ale częścią czegoś nieograniczonego, czegoś, co nie kończy się z naszą śmiercią. Z prochu – to przypomnienie o nieustannym cyklu życia, w którym materia wraca do siebie. I choć ciało się rozpadnie, to coś, co w nim zostało, coś, co jest tym „ja”, choć nieuchwytnie, nie przestanie istnieć. A przynajmniej to, co pozostanie po nas, będzie wciąż elementem, który już był w prochu i powróci w kolejnym cyklu.

Ale czy „proch” w tym kontekście to tylko materia? A może chodzi o coś głębszego? Może to samo ciało jest prochem w sensie metaforycznym, czymś, co z biegiem czasu zniknie, rozplynie się, rozpadnie się na kawałki? Nasza śmiertelność, nasza fizyczna obecność to tylko nieuchronny proces, w którym się rozpuszczamy w tym samym prochu, z którego zostaliśmy stworzeni. I to jest ta prawda, której boimy

się najbardziej – że jesteśmy nie tylko z prochu, ale także w proch się obrócimy. Każda cząsteczka nas będzie musiała wrócić do tego, co nas stworzyło. Nic z nas nie zostanie: ani ego, ani „ja”, ani to, co stworzyliśmy, ani nasze marzenia. Wszystko zniknie w tej powtarzającej się grze natury – nie możemy jej ani zatrzymać, ani zrozumieć do końca.

Zatem w tej naszej ciałaoposwieconej grze, z jednym z jej najwyższych aktów – śmiercią, pozostaje coś paradoksalnego. I nie chodzi tu tylko o proces rozpadu ciała. Przeciwnie – chodzi o to, że z tego samego prochu, w którym my istniejemy, narodzi się coś nowego. Mówiąc, że w proch się obrócimy, nie wskazujemy na zakończenie wszystkiego, ale raczej na przekształcenie w coś, co będzie miało nowe formy. Ciało, które przez chwilę jest mym narzędziem, moim „ja”, w końcu opadnie w pył. Ale pył ten będzie nosił w sobie wszystkie inne ciała, inne światy. Z prochu jesteś i w proch się obrócisz, ale proch ten, jak każda cząsteczka, nie zna końca.

I być może to jest właśnie sens tych słów – nie chodzi o nieuchronność śmierci, lecz o naszą nieustanną przemianę, o to, że nigdy nie przestajemy być częścią czegoś większego, czegoś, co przetrwa czas. Może zatem, zanim znikniemy w prochu, warto zastanowić się, jak ten proch nas kształtuje i jakie nowe formy, nawet po naszej śmierci, weźmiemy na siebie.

Reinkarnacja. Idea, która od wieków karmi wyobraźnię ludzką. Myśl, że życie nie kończy się na jednym oddechu, że ciało, choć kruche, nie jest tylko przemijającym narzędziem, lecz czymś, co przechodzi przez nieskończoną przestrzeń czasu. Jakże fascynująca to koncepcja, która jednocześnie wywołuje wątpliwości i nadzieje. Ciało, to, co jest naszą esencją w tym momencie, czy jest tylko formą, którą nieustannie wznawiamy i porzucamy w niekończącym się cyklu? To, co jest nam dane, by stało się tym, czym jesteśmy, ma w sobie to coś efemerycznego, coś, co nie zatrzymuje się w jednym miejscu, nie zamyka w jednym obrazie.

Wszystko zaczyna się od ciała. W tym ciele jesteśmy, w nim mieszkamy, w nim przeżywamy naszą ziemską podróż. To dzięki ciału możemy dotknąć, zobaczyć, poczuć, zrozumieć. Ono jest tym pierwszym narzędziem, tym, co niezmiennie otacza nasze „ja”. Ale co, jeśli to, co otacza nas teraz, nie jest tylko chwilową formą, lecz jedynie kolejną manifestacją czegoś, co istnieje od zawsze, od wieków, a może i od początku świata? Jeśli nasza materialna obecność to tylko zewnętrzna część większego planu, procesu, który nigdy się nie kończy? Co, jeśli nasze ciało to tylko kolejna inkarnacja tego, co było przed nami, co będzie po nas? A może nasze ciała są tylko częścią jakiegoś niewidzialnego, nieustannie poruszającego się mechanizmu, w którym nic nie znika na zawsze?

Reinkarnacja jest ideą, która stawia w centrum to, co doczesne, w kontekście tego, co wieczne. W naszej codzienności, w tej świadomości, którą mamy o ciele, nie dostrzegamy tego mechanizmu, który – niczym niezauważalna rzeka – przepływa przez nas, przez nasze dusze, przez nasze wcielenia. Myśląc o ciele, myślimy o tym, co widoczne, co namacalne, co istnieje tylko w tej chwili. Znamy je dobrze, ale też nie do końca. Każdy z nas ma inne ciało, inne doświadczenie, inne granice. Wiemy, jak ciało może boleć, jak może czuć przyjemność, jak się starzeje, jak się zmienia. I w tym wszystkim zapominamy, że nasze ciało jest tylko manifestacją czegoś głębszego, czegoś, co nie jest tym ciałem, ale co nadaje mu formę. To jest to,

co reinkarnacja stara się uchwycić – ideę, że to, co widzimy, jest tylko jedną stroną większej układanki.

Jeśli ciało jest tylko kolejnym wcieleniem, to co w nas pozostaje po jego śmierci? Czy jest coś, co nie podlega zmianie, coś, co przez wieki przechodzi z jednej formy do drugiej, z jednej inkarnacji do drugiej? Reinkarnacja nie oznacza jedynie powrotu do życia. Oznacza to, że to, co w nas nieśmiertelne – ta esencja, która nie jest zmaterializowana, lecz która zawsze istnieje w jakiejś formie – nie znika, lecz zmienia ciało. Ta idea sprzeciwia się naszemu rozumieniu życia jako jednego, niepowtarzalnego wydarzenia. Zamiast tego sugeruje, że życie nie jest odośobnione. Jest częścią ciągłego procesu, w którym ciała przychodzą i odchodzą, a świadomość, dusza, esencja przenoszą się z formy do formy.

Czy nasze ciało nie jest wtedy tylko „okiem”, przez które patrzymy na ten świat, przez które doświadczamy? A może to, co widzimy, to tylko odzwierciedlenie tego, co już przeżyliśmy w innych ciałach? Ta myśl wprowadza w nasze życie poczucie ciągłości. Ciało jest, oczywiście, przywiązane do tego momentu, do tej przestrzeni. Jest tym, czym możemy dotknąć rzeczywistości, ale to, co w nas żyje, nie jest ograniczone tylko do tego momentu. W ciele w tej chwili przeżywamy naszą osobistą opowieść, ale za każdą naszą myślą, ruchem, gestem stoi coś, co nie jest nowe, co już było w poprzednich inkarnacjach. Może to jest to, co naprawdę mamy – wiedzę, która została przez nas przeżyta, doświadczenie, które jest starsze niż to, co teraz nosimy na sobie.

Dzięki reinkarnacji ciało staje się częścią nieustającego, spiralnego cyklu (powiadają, że historia kołem się toczy; gdyby spojrzeć na spiralę wprost, okazuje się ona kołem, a dokładniej okręgiem). Nie jesteśmy tylko w tej chwili. To, co mamy teraz, to tylko przeblysłk, moment w większym porządku rzeczy. Nasze ciała się zmieniają, ale nasze „ja” nie zmienia się w sposób, w jaki rozumiemy zmiany w naszym ciele. I to jest ta prawda, której często nie dostrzegamy: ciało nie jest od nas oddzielone. Ono jest jednym z etapów w procesie reinkarnacji, w tym ciągłym przekazywaniu i przekształcaniu się. Z jednej formy do drugiej, z jednego życia do drugiego.

Ale co właściwie oznacza, że ciało jest „przemijalne”? Oznacza to, że nie jesteśmy zdefiniowani przez nasze zewnętrzne oblicze, przez to, co się starzeje i przemija. Ciało to tylko powłoka, zewnętrzna część nas, ta, która się zmienia. Reinkarnacja daje nam możliwość patrzenia na śmierć nie jak na koniec, ale jak na transformację. Ciało, które odeszło, jest tylko chwilową martwą formą. To, co w nas naprawdę nieśmiertelne, nie umiera, nie gaśnie. Zawsze znajduje nową powłokę, nową formę, by doświadczyć, by kontynuować. Reinkarnacja w tym sensie jest powrotem, ale nie powrotem w tradycyjnym znaczeniu. To powrót do siebie, powrót do rzeczywistości, którą już znamy, ale której nie pamiętamy w pełni. Każde ciało jest tym czymś, co nosi w sobie ślady poprzednich doświadczeń, wciąż w nas żyjących, nawet jeśli zapomnieliśmy ich imiona.

Reinkarnacja jest wyzwoleniem od śmierci. I w tym wyzwoleniu nie chodzi o zaprzeczenie przemijalności ciała, ale o uznanie, że wszystko, co przemija, jest tylko chwilowym zjawiskiem. Ciało jest, a potem go nie ma. Ale coś, co było w ciele, coś, co przez nie przeżyło, nie znika, nie ulatuje. Ciało to forma, ale to nie wszystko,

czym jesteśmy. Ciało to tylko jedno z setek obliczy, które nosimy w tym nieustającym cyklu życia.

Ciało nigdy nie jest znane, choć obcujemy z nim na co dzień – przecież można o nim i tak:

Ego. Słowo, które niosą z sobą całe pokolenia filozofów, poetów, psychologów. Od Platona po Freuda, od Nietzschego po współczesnych myślicieli. Zawsze jakby na uboczu, zawsze w cieniu ciała, a jednak nierozzerwalnie z nim związane. Czym jest ego? Czy to po prostu kolejne słowo, które pomagamy sobie zrozumieć w tym chaosie świata, czy coś, co w rzeczywistości jest najgłębszą częścią nas samych? A co, jeśli ego ma swoje korzenie w ciele? Co, jeśli to właśnie ciało, to niewielkie, kruche narzędzie jest miejscem, gdzie ego zaczyna nabierać kształtu?

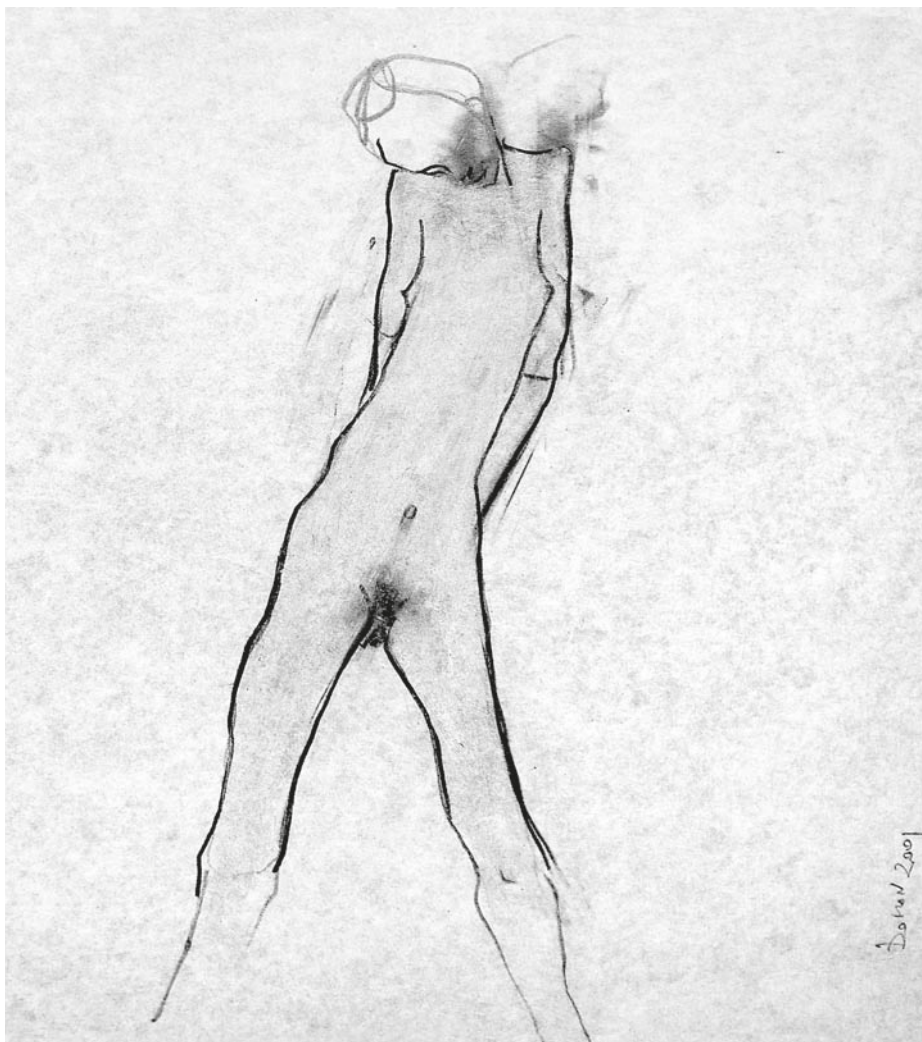
Patrzę na swoje dłonie. Zwykle dłonie. Być może nie potrafię dostrzec ich w pełnej okazałości, ale czuję, jak każdy palec odbiera świat. Dotykam czegoś, co zdaje się istnieć tylko dla mnie – powierzchni, kształtów, faktur. Ciało jest moim pierwszym narzędziem w tym świecie. I w tym sensie ego – to, co nazywamy „ja”, to, co czujemy, gdy mówimy „to ja” – jest w ciele jak w narzędziu, jak w maszynie. Ego nie jest czymś, co istnieje poza mną; ego jest częścią tej materialnej rzeczywistości, którą nazywamy ciałem.

Kiedy patrzymy w lustro, nie widzimy tylko ciała. To, co widzimy, jest obrazem, który wytwarza w nas ego – to ta refleksja, która na chwilę staje się naszą tożsamością. Zawsze patrzymy na siebie, jakbyśmy byli kimś innym, jakby ciało było tylko maską. I wtedy pojawia się pierwsze pytanie: czy to ja, czy to ciało? Z perspektywy ego ciało staje się czymś, co można oceniać, poprawiać, zmieniać. Jestem nim, ale równocześnie nie jestem. Jestem czymś więcej niż to, co widzę, chociaż to, co widzę, w dużej mierze określa to, kim się czuję.

Ale może ego nie jest po prostu częścią ciała. Może jest czymś, co wynika z interakcji ciała ze światem. Może to, co nazywamy „ja”, nie jest związane z ciałem tylko w sensie fizycznym. Może ego jest odpowiedzią ciała na to, co świat oferuje: bodźce, zmysły, doświadczenia, które każdy z nas przetwarza na „ja”. Ciało samo w sobie jest bezosobowe. Ono nie wie, kim jest, dopóki nie zacznie odczuwać świata na własny sposób. To ono odbiera dźwięki, to ono dotyka przedmiotów, to ono przeżywa przyjemność i ból. Ale nie wie, kim jest. I dopiero wtedy, gdy doświadcza tych zmysłowych rzeczy, zaczyna je interpretować – tworzy z nich „ja”. Ego nie jest więc odrębną, niezależną siłą. Ego nie jest czymś, co wykracza poza ciało. Ego jest ciałem w ruchu, jego odpowiedzią na otaczający świat. Jest jak echo, które wciąż rozbrzmiewa w nas.

Wtedy staje się jasne, że ego nie jest tylko tym, co tworzymy w głowie. Ono jest zmysłami, jest ciałem, jest formą, w jakiej doświadczamy życia. Ale ego, mimo że odwołuje się do ciała, nigdy nie jest nim w pełni. Jest czymś, co powstaje w tym dziwnym napięciu pomiędzy tym, co zewnętrzne, a tym, co wewnętrzne. I w tym napięciu istnieje coś, czego nie da się wyjaśnić, coś, co sprawia, że ego jest nieuchwytnie, mimo że żyje w ciele. Coś, co sprawia, że czujemy się oddzieleni od ciała, choć przecież nim jesteśmy. Może to jest właśnie ta subtelna granica, którą nazywamy tożsamością.

Więc wracamy do pytania: czy ego ma coś wspólnego z ciałem? Oczywiście, że ma. Ciało jest jego początkiem, jego fundamentem, jego przestrzenią. To w ciele



ego się kształtuje, to w ciele ego jest odczuwane. Ale ego jest czymś, co przekształca to, co cielesne, w coś bardziej złożonego, coś, co wykracza poza granice samego ciała. Jest odbiciem, które nigdy nie jest w pełni realne, ale które nadaje sens temu, czego doświadczamy. Ciało to narzędzie, które pozwala nam doświadczyć siebie, ale ego jest tym, co z tych doświadczeń tworzy nasze „ja”. Ciało jest niczym więcej jak gruntem, a ego jest plonem, który na tym gruncie rośnie.

Patrzę na swoje ręce, na swoje ciało. I wiem, że to, co mam przed sobą, nie jest całym „mną”. Jest to tylko część, pierwsza warstwa tej tajemnicy, którą staram się zrozumieć. Ciało jest instrumentem, którym przeżywamy życie, ale ego jest muzyką, którą z tego instrumentu wydobywamy. Ciało daje nam szkielet, ale to ego nadaje kształt temu, kim się stajemy.

A czy to, co nazywamy ego, jest ostateczną odpowiedzią na to, kim jesteśmy? Nie, to tylko odpowiedź na to, jak postrzegamy siebie w tej chwili, w tym ciele, w tym świecie. Ale – i to jest najważniejsze – ta odpowiedź nie jest niczym stałym.

Zmieniamy się z każdym krokiem, z każdym oddechem. Tak jak zmienia się ciało, tak zmienia się i ego. A może, tak jak ciało nigdy nie przestaje być sobą, ego nigdy nie przestaje być częścią nas?

Mówiąc o ciele, mówimy też o sobie, ciało zostało nam „narzucone”, a my (tak uważamy) kreujemy siebie samych... Zatem można i tak:

Ciało. Zwykle traktujemy je jak coś oczywistego. Tak jak deszcz, który pada, bez zadawania pytań. Jako coś, co istnieje, porusza się, oddycha i je, nie wymagając szczególnej uwagi. Wszyscy mamy swoje ciała, wędrujemy po świecie, jakby były one tylko tłem, nieistotnym elementem naszej podróży przez życie. A jednak... gdy zaczynamy się zastanawiać, kiedy ostatni raz naprawdę zauważyliśmy nasze ciało, staje się ono czymś zaskakująco odległym, jakbyśmy przez całe życie chodzili obok niego, nie dostrzegając tego, co w nim naprawdę jest.

Na przykład: kiedy patrzymy w lustro, co widzimy? Ciało, które rośnie, zmienia się, starzeje. Zauważamy zmarszczki wokół oczu, siwe pasma włosów, lekko spłaszczony brzuch. Ale w tym spojrzeniu nie ma nic szczególnego. To tylko powierzchowna obserwacja. Tak, to nasze ciało, ale czy naprawdę je widzimy? Prawdziwe pytanie brzmi: co to znaczy „widzieć” nasze ciało? I czy w ogóle potrafimy je dostrzec?

Może, kiedy zaczynamy myśleć o ciele, robimy to z dystansu – tak jak patrzymy na książkę stojącą na stole, na kawałek ciasta w kawiarni. Patrzymy, ale nie wchodzimy w to, nie dotykamy. To trochę jak z dźwiękiem starego zegara – doskonale go słyszymy, ale nie zastanawiamy się, jak naprawdę działa. Podobnie z ciałem. Zauważamy je tylko wtedy, gdy zaczyna szwankować. Gdy czujemy ból, zmęczenie, gdy staje się niestabilne, zagubione. Kiedyś usłyszałem, że nasze ciało to zewnętrzny fragment duszy, ale nikt tak naprawdę nie powiedział, jak to dokładnie rozumieć.

Można powiedzieć, że ciało jest formą pamięci. Nie tej pamięci, którą zapisujemy na kartkach papieru, ale pamięci, która zapisuje się w mięśniach, w kościach, w skórze. I kiedy na przykład dotykamy czyjejś ręki, to jakbyśmy w tym dotyku zderzali się z wieloma historiami, które tej ręce towarzyszyły. Nie pamiętamy ich, ale one są w niej zawarte. Ciało to coś więcej niż mięśnie i kości – to historia, którą nosimy w sobie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Ciało jest dziwne. Z jednej strony jest naszym domem, miejscem, w którym żyjemy. Ale z drugiej strony to także przestrzeń obcości. Często nie potrafimy znaleźć w nim swojej tożsamości. Ciało staje się niezrozumiałe, jak książka, którą zaczynamy czytać, ale nic w niej nie rozumiemy. W tym sensie ciało przypomina mi trochę podróż do nieznanego miasta. Wiesz, że jesteś tam, ale nie rozumiesz dlaczego, jak długo ani co tak naprawdę chcesz tam znaleźć. To jakbyśmy przez całe życie byli w obcym ciele, które tylko od czasu do czasu odsłania przed nami fragmenty swojej tajemnicy.

Czasami – nie wiem, czy wy też tak macie – mam wrażenie, że moje ciało to coś, co działa na autopilocie. Na przykład gdy idę ulicą, nie myślę o tym, jak moje nogi poruszają się krok po kroku. Zajmuję się czymś innym: myślę o wczorajszym obiedzie, o książce, którą zaczynam czytać, o zapachu kawy, którą zignorowałem, bo nie było mi jej dane poczuć w pełni. Ciało wykonuje swoją pracę, ale ja o tym nie pamiętam. To jest trochę jak z tłem, które nie ma znaczenia – tylko w momentach,

gdy zatrzymam się i przyjrę, dostrzegam, że coś jest nie tak. Ból pleców, ucisk w klatce piersiowej, trudności z oddychaniem – to wtedy zauważam, że moje ciało wcale nie jest aż takie proste.

Może to jest ta prawdziwa tajemnica ciała: że stajemy się świadomi siebie tylko wtedy, gdy coś w nim przestaje działać. A jednak, mimo że jest pełne nieporozumień i obcości, to zawsze pozostaje z nami. Kiedy spojrzymy na swoje ręce, nogi, na każdy ruch, który wykonujemy, widzimy tylko część tego, co jest w nas zapisane. Ciało to nie tylko zewnętrzna powłoka. To także pamięć, wspomnienia, które tworzą się za każdym razem, gdy dotykamy drugiego człowieka, kiedy przeżywamy coś niezwykłego lub trudnego.

Jest też inny wymiar ciała: społeczny i kulturowy. Ciało nie jest tylko tym, czym się urodziłyśmy. W jakimś sensie jest to także coś, czego się uczymy. Pamiętam, jak wiele lat temu przeczytałem w jakiejś książce, że ciało nie jest naszą własnością, że jest raczej obiektem, który podlega regulacjom i oczekiwaniom społecznym. I coś w tym jest. Ciało w naszej kulturze jest polem walki o „normę”. Patrzymy na modele piękna, na filmy, na zdjęcia w magazynach i zaczynamy wierzyć, że nasze ciała nie są wystarczająco doskonałe, że coś w nich jest nie tak.

Ciało w społeczeństwie nie jest neutralne. Staje się powierzchnią, na której projektowane są nasze role społeczne, nasza płeć, nasza orientacja, nasza klasa społeczna. Właściwie, patrząc na ciało, zaczynamy od razu rozróżniać, kto jest kim. Wystarczy spojrzeć na twarze przechodniów, by zobaczyć, jak społeczeństwo tworzy podziały. Ciało w tym sensie staje się nie tylko narzędziem, ale również nośnikiem tych zewnętrznych etykiet, które sami na nie nakładamy.

Ale ciało jest również przestrzenią oporu. Kiedy zauważamy, że nie spełniamy tych oczekiwań, kiedy nasze ciało nie mieści się w ramach narzuconych przez kulturę, zaczynamy się zmieniać. Robimy to nie tylko w sposób fizyczny, ale także psychiczny – zaczynamy odgrywać nasze ciała na nowo, w nadziei, że odnajdziemy w nich przestrzeń, która nie jest uwarunkowana przez inne. Może wtedy zrozumiemy, że to, co społeczeństwo nazywa „idealnym ciałem”, jest tylko iluzją, którą musimy zrzucić.

Patrząc na postęp technologiczny, zaczynam się zastanawiać, co stanie się z naszym ciałem za kilka lat, za kilka dekad. Już teraz potrafimy je modyfikować: protezy, implanty, zmiany genetyczne. Ciało, które kiedyś traktowaliśmy jako świętość, dzisiaj jest coraz bardziej plastyczne, poddające się zmianom. W końcu, czy będzie się ono różnić od maszyny? Czy technologia sprawi, że staniemy się bardziej funkcjonalni, bardziej doskonali, a przez to bardziej... obcy? Może nadejdzie dzień, gdy ciała przestaną być tylko ciałami. Może przekształcą się w coś, co będzie łączyło człowieka z maszyną.

Ale mimo tego wszystkiego, pomimo technologicznych cudów, które czekają na nas w przyszłości, jestem przekonany, że nie przestaniemy być zaskoczeni ciałem. Zawsze będzie ono naszym najważniejszym pytaniem, naszym punktem wyjścia do wszystkiego. Ciało to nie jest coś, co kiedykolwiek zrozumiemy do końca. Jest w nim coś nieuchwytnego, jak sen, który zapominasz, gdy się budzisz, ale który przez cały dzień czujesz w zakamarkach swojej świadomości.

I może właśnie to sprawia, że ciało jest tak piękne: jest to niekończąca się podróż w głąb siebie, do miejsc, do których nigdy nie udało się dotrzeć.

KAROL MALISZEWSKI

prostata

*

nie lubię wydarzeń
w których mnie oznaczają

wolałbym sam się wreszcie wydarzyć
w monogamicznym smutku
bez znaczenia

jestem nikim a ci
przychodzą i oznaczają

jakby wiedzieli jak oznaczyć nicość
jak osaczyć ją grzecznie
sokiem z półsłówek

nie chcę się z nimi lepić

*

dobrze że kobiety są w środku
babka matka zmarła w dzieciństwie basia
siostra i inne

potężne poruszycielki

od czulej mądrości suchych szyderstw
wielkich oczu małych piersi
bądź na odwrót

ich głosy budzą mnie
i ustawiają w pionie

bez nich byłbym jak ten
wydrażony orzech za oknem

nawet szpaki nie chcą w nim
wić gniazda

*

kobiety zdobyły środek
ale nieraz myślę
że to nie był ten środek
co trzeba

a co trzeba
żeby zmienić świat
siedemdziesiąt pokoleń na marne

więcej

*

nagle cała historia
i jej świński fallocentryzm
migają mi przed oczami

w kolejce do urologa

po zabiegu podobno wyjdziemy
odmienieni

27 lipca 1960

tak
córka
ale z jajami
krzyknął ginekolog o nazwisku
dymacz z okna noworudzkiego szpitala

do ojca kuśtykającego wzdłuż muru

doprawdy

prawda za którą stoimy murem
mokrym od łez

albo ta niczym matka
kochająca dzieci
wyzywająca ją od kurew

prawda występująca
w przyrodzie w teatrze itd.

ze ściągniętymi brwiami
podająca się za ostoję
(ale czego ujawnia się
dopiero w ostatnim przypisie)

prawda przeciągnięta
przez bagno podejrzeń

ta pijana na prochach
swojska prawda

i inne
którym już nie zależy

nienarodzone na które czeka się
w długich kolejkach
wzdłuż muru kliniki

prawdy szybko robione
na użytek otchłani
i na jej oczach

co jest z wami
dlaczego nie można
was odtworzyć?

płyta zacina się
w tym samym miejscu.

ecce homo

przez cztery sekundy pan wróbel
gorączkowo wyrażał miłość
do pani wróblowej

świat zamarł na chwilę
a może wcale

w dole niewiele większy
od tego wszystkiego

człowiek
(samotny na tej kartce)

jak

jak dinozaury
byliśmy zajęci swoimi sprawami

wolnymi krokami
zbliżały się te cudze

język

widzi „próby”
i dopisuje „samobójcze”

montaigne kuli się
pod kamieniem

ale raczej nie
zmartwychwstanie

albo psia gwiazda

zmuszony do
wypoczywania leży

na plecach i nie poznaje
własnych odnóży

tak wyglądają
jak jeszcze nigdy
nie wyglądały

ergo
kim ja jestem

nie znajdując odpowiedzi
kuli się w sobie

wspomina jak to kiedyś
jeździło się na wakacje

nie było
z tym
żadnych problemów

jury

nie były burzliwe i długie
kłamie protokół

brakuje epitetów na te obrady
powiedzmy w ciszy wybraliśmy

największego chuja
ale najlepszego poetę

nie było nacisków
tak się złożyło

kłopotliwość

tam gdzie rozłożył się poeta
na dwie łopatki do piasku
na wiaderko i kij do bębnienia

rozłożył drzewo i paproch w oku
na przyjaciół i wrogów
przypadki i czynniki

szukano źródła światła
podstawy zatrudnienia
tymczasowego dowodu

były z tym kłopoty.

konferencja motyw kobiety

tak jakby wszystkie musiały
mieć motyw

jakoś facetów o to nie pytają
mogą sobie żyć bez trosko

a motyw kobiety
chodzi za nią krok w krok

gnie się w lansadach
gdy ona obiera marchewkę

potem zbiera się z kolan
tańczy gdy pośliźnie się w łazience

kobieta bez motywu
ma gorzej

czuje się samotna
i jedzie na konferencję do poznania

bez przekonania.

konferencja motyw śmierci

ale się ta nasza śmierć
namordowała

z wystawieniem motywu
na allegro

pierwszy menager
drugi menager
trzeci

ileż pism i odwołań
gestów dobrej woli
i nic

mimo że ludzie zabijali się
o możliwość uczestniczenia
w licytacji



Obce ciało

Jeśli wiesz, że tu jest ręka, przyznajemy ci całą resztę.
Ludwig Wittgenstein¹

Krystyna straciła ciało. Nie dlatego, że schudła. I nie w wyniku zaburzeń psychicznych, czyli metaforycznie. To nie była dysmorfobia ani zespół depersonalizacji-derealizacji, ani też żaden rodzaj parestezji. Zbliżała się do trzydziestki, była silna, zdrowa i pewna siebie. To znaczy jeszcze przed chwilą taka była, bo obecnie, po rutynowej antybiotykoterapii związanej z przewidywaną operacją, relacjonuje neuropsychiatra Oliver Sacks, „nawet siadała z trudem – jej ciało «łamało się». Jej twarz była dziwnie pozbawiona wyrazu i wiotka, szczęka opadła, znikła nawet modulacja głosu. – Stało się coś okropnego – powiedziała upiornie bezbarwnym głosem. – Nie czuję mojego ciała. Czuję się przedziwnie – pozbawiona ciała”². Po szczegółowych badaniach neurologicznych i psychiatrycznych kolejne zrobił fizjoterapeuta. Ostatecznie stwierdzono: brak odczuć mięśniowych, ścięgowych i stawowych, zanik wrażliwości na dotyk, temperaturę i ból oraz zdolności odczuwania pozycji ciała. Jednym słowem – całkowitą utratę propriocepcji. Tego szóstego zmysłu, któremu zawdzięczamy odbieranie bodźców związanych z ruchem i położeniem ciała, możliwość koordynacji oraz zawiadywania wszelkimi fizycznymi działaniami, nawet tak drobnymi jak podniesienie kącików ust w uśmiechu, zmysłu, dzięki któremu „czujemy nasze ciała jako coś z nami związanego, jako naszą «własność», coś, co posiadamy”³. Krystynie, nie wiedzącej teraz, „że tu jest ręka”, Wittgenstein nie przyznałby „całej reszty”. Nakłucie lędźwiowe wykazało u niej ostre zapalenie wielonerwowe, które zaatakowało korzenie czuciowe nerwów rdzeniowych i czaszkowych wzdłuż całej osi mózgowo-rdzeniowej.

Jej ciało, bo przecież z punktu widzenia lekarzy jakoś wciąż istniało, rozstroiło się, straciło koherencję, nie chciało swoich składowych łączyć we właściwy zwykłym ciałom harmonijny taniec wzajemnych zależności. Niezliczone algorytmy jego figur wiadome tylko propriocepcji znikły wraz z nią. To tak, jakby możliwość dodawania, mnożenia, składania i w ogóle kombinowania na różne sposoby elementów została odebrana ciału algebraicznemu. Systemy, które matematyka tak określa, mają „jeszcze wiele innych przyjemnych własności”, trochę podobnie do naszej fizyczności, jak to – uśmiechając się w rozmarzeniu – tłumaczy pewien topolog, choć samą nazwę

¹ Ludwig Wittgenstein, *O pewności*, przeł. Bohdan Chwedeńczuk, Warszawa 2014, s. 7

² Oliver Sacks, *Bezcielesna kobieta*, [w:] *idem, Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*, przeł. Barbara Lindenberg, Poznań 1994, s. 70.

³ *Ibidem*, s. 68.

lekceważy, twierdząc, że XIX wiek, kiedy termin się pojawił, to był „dołek nazewniczy” w matematyce. Mnie jednak nazwa się podoba, a ciało algebraiczne intryguje mnie przyrodzoną mu zdolnością operowania liczbami, obiektami, funkcjami i czym tam jeszcze w piękny i elegancki sposób, tak jak zastanawia mnie bolesna tajemnica ludzkiego ciała Krystyny, które swe przyrodzone zdolności straciło. Nie nakaże już nogom swej pani przechadzać się w sypialni niczym królowa Krystyna po nocy spędzonej z Antonio, ani biec lekko jak Krystyna córka Lavransa na spotkanie z Erlendem, ani twarzy rozpaczać, dziwić się lub cieszyć, ani dłoniom wodzić pióro, zbierać poziomki, paznokciom – wyjmować drzazgę lub drapać miejsce po ukłuciu komara.

Nigdy nie odzyskała propriocepcji, tego uczucia, które – jak sama mówiła – „jest jak oczy ciała, sposób, w jaki ciało widzi samo siebie. I jeśli to znika, to jakby ciało nagle oślepiło”. Choć z czasem nauczyła się przy pomocy rehabilitantów wzrokiem nadrabiać do pewnego stopnia brak utraconych „oczy ciała”, to jednak, co kiedyś działało samo, instynktownie i bezrefleksyjnie, naturalnie i płynnie, co dla każdego z nas jest czymś oczywistym i co beztrudnie przyjmujemy jako dane, u Krystyny odbywało się z trudem, powoli, niezgrabnie. Władza nad ciałem została jej odebrana, a zawiadywanie nim przy pomocy zmysłu wzroku stanowiło tylko namiastkę owej cudownej zdolności, która pozwala nam mówić: „Moje ciało”.

Czy jednak już sam zaimek dzierżawczy nie izoluje mnie od tej porcji kości i skóry wraz z mniej chętnie cytowanymi wnętrznościami zwanymi ciałem? Jeśli ciało może być moje, to – pozostając ciałem – może też zapewne przestać do mnie należeć. A w takim razie czyją staje się własnością? Co to w ogóle znaczy, że ciało jest „moje”, a jeśli, to na ile, w jakim zakresie, na jakich warunkach je posiadam? Czy od matki i ojca oraz tej niepoliczalnej gromady przodków, których mogłabym teraz śledzić za pomocą badań DNA albo grzebiąc w archiwach? W takim razie to jednak nie jest moje ciało, tylko raczej ich, przekazane mi jak prezent przewiązany elegancką wstążką podwójnej helisy DNA, nizającej mnie z zaledwie czterech zasad w niezliczonych kombinacjach, z których i oni byli zrobieni. Tyle że nikt mnie nie pytał, czy chcę go dostać. A może to w ogóle nie prezent, tylko lichwiarski kredyt? Albo rację ma Franz w dramacie Różewicza, gdy mówi: „Moje ciało jest pułapką, w którą wpadłem po urodzeniu”⁴. Żyję więc z musu między złożonością konstrukcji a prostotą zawartości, umieszczona w cudzym w istocie ciele. Jestem wariacją na temat moich przodków. Kombinacją w znacznej mierze zaprojektowaną przez ofiaro- czy też pożyczkodawców. Tych, którzy mieli za długi nos jak pradziadek Ludwik, byli pyszałkowaci jak pradziadek Konstanty, cierpieli na choroby krążenia jak ciotka Maria oraz reumatyzm jak babka Elżbieta, miewali przypadłości gastryczne jak dziadek Wincenty i byli odpychająco wyniośli jak prababka Klotylda. Te oraz inne właściwości i skazy – lista jest niemal nieskończona – są ich, nie moje, bo, jak to ujmuje poetka – „nic darowane,/ wszystko pożyczzone./ Tonę w długach po uszy./ Będę zmuszona sobą/ zapłacić za siebie,/ za życie oddać życie./ Tak to już urządzone,/ że serce do zwrotu/ i wątroba do zwrotu/ i każdy palec z osobna”. Za wynajem się płaci, to jasne, w tym przypadku chorobami, kalectwem, także

⁴ Tadeusz Różewicz, Franz w obrazie *Oprawcy*, [w:] *idem, Pułapka*, Warszawa 1982, s. 51.

niechęcią do tego kawałka tworzywa, którego zmienić nie sposób, a już „za późno na zerwanie warunków umowy./ Długi będą ściągnięte ze mnie/ wraz ze skórą”⁵. Ich rejestry zostaną w albumach rodzinnych (przynajmniej moje, choć po części, bo jestem z pokolenia, które robiło odbitki i przechowywało je z pietyzmem), a także w kartotekach, ewidencjach, katalogach, w których moi antenaci tkwią jak owady, unieruchomieni w sieciach łaciny i szwabachy, cyrylicy i archaicznej polskiej ortografii utkanych mozolnymi zapisami urzędników. Ja raczej utkwię w wirtualnej chmurze, zatem raz na zawsze zostanę pozbawiona szansy na ciało, po owym uprzednim „zdarciu skóry”, które – co prawda – nie wiem, jak będzie wyglądało, będąc też przyczynkiem do mojego przekonania, że ciała w istocie nie posiadamy, nastąpi ono wszakże na pewno, po czym już definitywnie fizyczność stanie się rzeczą, pustym workiem w rękach i we władzy innych, starających się, by jak najszybciej zszedł on z oczu żywym i nie przypominał im o czekającym również ich finale. Ciało darowane nie jest „darem”, a koniecznością, niechcianym spadkiem, którego jednak nie można odrzucić, jak to jest szczęśliwie przewidziane w kodeksie dla innych materialnych dóbr.

Ale nie chodzi o rozczulanie się ani puste dowcipy, lecz o dylemat: czyje jest ciało? To, które nauczono mnie nazywać moim, jest nie tylko rezultatem genetyki, z którą polemizowanie jest na razie raczej daremne (możemy skutecznie odwołać się zaledwie od kilku jej wyroków), ale też na pewno efektem wychowawczych zabiegów moich babek i ciotek, sztorcujących mnie niemal od kolebki w zakresie prostego trzymania się, właściwego układania łokci przy sobie podczas jedzenia i nieumieszczania ich na stole broń Boże, poprawnego operowania nożem i widelcem, a więc nadgarstkami, palcami, ustami. Te ostatnie należało trzymać raczej zamknięte, gdy rozdrabniały, żuły i przesuwwały pokarmy ku rejonom, które choć istniały, jednak nigdy nie należało o tym wspominać, a specjalnie przy posiłku. Zresztą usta i w innych sytuacjach powinny były być zamknięte, żeby: nie mówić głupich czy niestosowych rzeczy, nie przerywać starszym, nie zwracać na siebie nadmiernie uwagi. Tę z kolei należało kierować ku innym, ich słowom i potrzebom. Te i wiele podobnych procedur, algorytmów i norm regulujących używanie ciała nie tylko czyniło je wyłącznie podnajętym wehikułem do transportowania duszyczki („Duszycką jesteś dźwigającą trupa – powiedział Epiktet”⁶), jeśli w ogóle zakładało się jej istnienie, ale na dodatek ich nauczyciele i nauczycielki replikowali jedynie to, co im samym niegdyś wpojono. Zupełnie jak w szkole: tępe repetycje, niemożność ucieczki z systemu i formowanie do uległości wobec niego.

Pamiętam rozwlekłe a pełne wzruszenia opowieści o tym, jak to metr od tańca umieszczał drążek na plecach babci Lili i jednocześnie w zgięciach jej łokci, dzięki czemu sylwetka układała się, jak należy. Ona sama nie nosiła już gorsetu, ale jej matka tak, i uciskający ciało kij (w innych sytuacjach przypominający bratu babci, Jasiowi, o zasadach subordynacji) stanowił, jak sądzę, reminiscencję fiszbinów. Babcia Anna natomiast układała mi palce na sztuccach oraz uczyła ich właściwego zastosowania. Byłam przy tym wdrażana w zjadanie wszystkiego do końca,

⁵ Wisława Szymborska, *Nic darowane*, [w:] *eadem*, *Wiersze wybrane*, Kraków 2000, s. 314.

⁶ Marek Aureliusz, *Rozmyślania*, przeł. Marek Reiter, Kraków 2024, s. 42.

bo „biedni Hindusi głodują, wyobraź to sobie, Monisiu”, co z kolei było jeszcze jedną pedagogiczną wariacją na temat miłości bliźniego, skrzyętnego ładu popłacającego w gospodarstwie i schludności. Jakkolwiek byłam zbuntowana, a Hindusów wcale nie chciałam sobie wówczas wyobrażać, to jednak do dziś nie potrafię nie wygarnąć do ostatniego okruszka tego, co mam na talerzu. Dziadek Julek natomiast uczył mnie sztuki flirtu przy użyciu pasma włóczki, które trzymane na dwóch rozsuniętych dłoniach przez jedną osobę przez drugą było zwijane w kłębek, co oczywiście dawało asumpt do długiej, intymnej rozmowy, często początku bliższej znajomości. Tę metodę uwodzenia Julek przeciwiczył u początku XX wieku. Mnie chciano ćwiczyć podobnie, z rozmaitymi oczywiście rezultatami, co było dla tamtych, których już nie ma, okazją do werbalizowanych, a także pozostających tylko niewypowiedzianym podtekstem wspomnień o świecie już nieistniejącym, bo startym w proch przez tych, którzy „armią pionierską, zbieraną hałastrą/ tłoczą się w szopach, barakach hotelach,/ człapią i gwizdzą w błotnistych ulicach:/ wielka migracja, skundlona ambicja”⁷, jak to opisał poeta Ważyk, sam, jak sędzę, stąpający po dywanach w Alei Róż, kroczący w pochodach pierwszomajowych, chodzący po z trudem odtwarzanych warszawskich brukach. Na pewno nie człapiący. Bo transportowanie ciała na własnych nogach, co czujnie zanotował, może odbywać się niechlujnie, nieuważnie, byle jak, ale też i na wiele innych, bardziej szlachetnych sposobów.

Ci, co człapali, może się wlekli, a zapewne, będąc tłoczącą się hałastrą, także przepychali łokciami i stosowali niewyszukany język, nie modulując głosu, zamiast – jak ci inni – elegancko stawiający stopy, ciała używający wstrzemięźliwie i absolutnie nienaruszający cudzej przestrzeni osobistej, także wokalnie, poza specjalnie ku temu zarezerwowanymi okazjami, ta więc „armia pionierska” nie tyle znosiła stare sposoby posługiwania się fizycznością, te pewnie niewiele ją obchodziły, ile promowała swoje, też odziedziczone po przodkach. Dotychczasowy model zastąpiono innym, bo i niegdysiejsi prawodawcy w używaniu ciała zaczęli dostosowywać się do tego, co dawniej uchodziło za prostackie i nie *comme il faut*. Jak Wokulski jedli rybę nożem, nie tylko jak on dla żartu, używali niekiedy wulgaryzmów, poruszali się mniej dystygnowanie lub w ogóle zarzucili formy przedtem uchodzące za wzór. „We wszystkich [bowiem] społeczeństwach ujmuje je [ciało] ciasna sieć przymusów, zakazów i zobowiązań”⁸. Pozostaje tylko kwestią umowy w danej grupie czy epoce, z czego owa ciasna sieć jest wiązana i wedle jakich technik należy formować węzły. Można wydłużać sobie szyję jak kobiety na północy Tajlandii, którym od maleńkości nakłada się kolejne obręcze, czyniące z nich cenione na matrymonialnym rynku kobiety żyrafy. Bogatym Chinkom do niedawna jeszcze łamano i zawijano ku spodowi palce stóp, bandażując je potem ciasno, by były malutkie jak u laleczki, co wydawało się sexy. U Masajów rozciąga się płatki uszu tak, iż olbrzymia, często kilkudziesięciocentymetrowa w nich dziura służy do zawieszania ozdób i narzędzi – poręcznie i modnie. Europejskie gorsety deformowały nie tylko żebra i kręgosłup, ale przy tym narządy wewnętrzne, prowadząc do wielu chorób, włącznie z rakiem

⁷ Adam Ważyk, *Poemat dla dorosłych*, [w:] *idem, Wiersze wybrane*, Warszawa 1978, s. 122.

⁸ Michel Foucault, *Dyscyplina*, [w:] *idem, Nadzorować i karać. Narodziny więzienia*, przeł. Tadeusz Komendant, Warszawa 2020, s. 203.

piersi. Kobieta z talią osy i eksponowanym biustem oraz tiurniurą była w cenie. A wszystko to dla przekształcenia fizyczności tak, by była ona społecznie pożądana i stanowiła mocną walutę w komunikacji międzyludzkiej, tak by dało się nią płacić za bycie władcą, żoną, kapłanem, urzędniczką, żebrakiem. Nie tylko bowiem w klasycyzmie ciało stanowiło „obiekt i tarczę strzelniczą władzy”, o czym pisze Foucault, ale także w innych kulturach i epokach było tworzywem, „którym się manipuluje, które się urabia, szkoli, które jest podatne, reaguje, nabiera zręczności”⁹, którym się więc zarządza i kieruje, które się zawłaszcza na potrzeby państwa, grupy, organizacji, instytucji, określonej roli społecznej, które jest tylko trybikiem tej czy innej społecznej maszyny.

I jeśli w dzisiejszym świecie, a przynajmniej w krajach cywilizacji zachodniej, żyje się w przyjemnej iluzji, że wszystko nareszcie jest swobodne, naturalne i prawdziwe, że wszelkie krępujące konwenanse i przymusy zniknęły, że dowolnie wybieramy i kształtujemy swój *image*, jak to chętnie z angielska określa się w mediach i podczas szkoleń dla firm, to tylko dlatego, że takie myślowe prowizorium podnosi we własnych oczach i zwalnia z uważniejszego przyglądania się sobie i innym. Jednak już choćby pierwszy, trywialny etap warsztatu z autoprezentacji podczas wspomnianych szkoleń pokazuje, że niczego niemal nie wybieramy ani świadomie nie kształtujemy. Obecność wobec innych składa się z przypadków, instynktownych odruchów, zachowań lustrzanych, gdy mimowolnie uśmiechem odpowiadamy na uśmiech, a krzykiem na krzyk, z czynności będących niczym więcej jak ekspresją aktualnej i niekontrolowanej emocji, wreszcie nawyków i klisz kulturowych pozostających poza horyzontem autorefleksji. Gdy, analizując wystąpienia uczestników takich ćwiczeń, pytam: Czy wiesz, że mówiąc, stale bawiłeś się długopisem, wielokrotnie przestępowałeś z nogi na nogę, kompulsywnie poprawiałeś włosy, drapałeś się, prawie nie otwierałeś ust przy mówieniu, grzebałeś w kieszeni, nie patrzyłeś na odbiorcę (znów lista opcji jest niezwykle długa) – otrzymuję odpowiedź: Ja? Niemożliwe! Nie wiedziałem, nie pamiętam itp. Zapis filmowy ujawnia jeszcze wyraziściej, że owo „nasze ciało” jest jakby czyjeś inne, narowiste, nieznane, że istnieje jakiś niepokonywalny dystans między wewnętrznym „ja” a jego opakowaniem. Goffmanowskie przekonanie, że „jednostka ma wiele powodów, aby próbować kontrolować wrażenie, jakie robi na innych”¹⁰, a jednocześnie wrażenie owo stale zagrożone jest rujnacją – pozostaje prawdziwe niezależnie od epoki.

Jeżeli zmysł proprioceptywny jest „wewnętrznym okiem” ciała, na którego „spostreżenia” nie możemy wpływać, a zatem swego rodzaju przestrzennym, wewnętrznym pejzażem, któremu przysługują przymiotniki „naturalny” i „prawdziwy”, o tyle to, jak owo ciało funkcjonuje w pejzażu społecznym, wydane tak oczom cudzym, jak i naszemu własnemu wzrokowi – taksującemu, kontrolującemu, ulegającemu konformistycznej, ale też atawistycznej skłonności do przypodobania się innym – jest czymś skleconym z rozlicznych przyzwyczajęń, doświadczeń, mód, przekonań i oczekiwań, uzurpacji i pomyłek, przeważnie nie wiadomo czyich pierwotnie. Jakże

⁹ *Ibidem*, s. 202.

¹⁰ Erving Goffman, *Wprowadzenie*, [w:] *idem*, *Człowiek w teatrze życia codziennego*, przeł. Helena i Paweł Śpiewakowie, Warszawa 1981, s. 51.

zresztą oddzielić w tym względzie wzory własne od cudzych? Ulice, po których chodzę, domy, w których bywam, urzędy, sklepy i kawiarnie, przybytki sztuki i szkoły są pełne replik znanych aktorek filmowych, postaci z reklam i kreskówek, bohaterów komputerowych gier, influencerów i influencererek, trendsetterów i trendsetterek – często w wersji karykaturalnej. Mnóstwo jest też powtórzeń mniej spektakularnych i oczywistych, pastiszów bardziej gustownych, falsyfikatów ze smakiem uczynionych dzięki medycznym i kosmetycznym możliwościom „kształtowania wizerunku”, które to określenie już samo przywodzi na myśl jakiś niehumaniczny, technologiczny proces. W rezultacie niegdysiejsza „twarz różni się diametralnie od pozbawionej tajemnicy *face*, która w swej pornograficznej nagości wystawia się jako produkt na widok oraz na pastwę totalnej widzialności i konsumpcji”¹¹, a angielskie nazwy kapłanów i kapłanek tej świeckiej religii, mającej za sakramenty podobanie się i nabywanie, są nie tylko przejawem specyficznego snobizmu dzisiejszej cywilizacji, ale niosą zakodowaną w języku informację, że oto ktoś nas uformuje, ustawi, wyreguluje, że jesteśmy plastyczną masą, na którą można łatwo wpłynąć i uczynić ją *trendy* i *en vogue*. Sugerują, że możemy siebie posiadać, poznać i ogarnąć, a „posiadanie, poznawanie i ogarnianie są synonimami władzy”¹² – powiada Levinas, są ekwiwalentami przemocy, sposobami manipulowania.

I może stąd, z owych złudzeń na temat budującej nas substancji, ze specyficznej nieobecności ciała, które zostało zawłaszczone przez kulturę, przez innych, ciała, którym władamy nie my – z tego więc, co intuicyjnie odczuwamy jako najbardziej własne, płynie poczucie obcości. Przestajemy się właściwie orientować, gdzie jest nasza ręka, o którą pyta Wittgenstein, bo stała się ona rekwizytem komedii ludzkiej, wytworem konwencji, służką czyichś oczekiwań. Wypielęgnowana lub spracowana, w moleskinowych rękawiczkach albo rękawicach drwała w Tajdze, z paznokciami wampa lub połamanymi sprzątaaczki, w mufce lub naga jest własnością tych, którzy ją wynajmują, opłacają, z niej korzystają, ją całują lub ją kłusują. Iluż z nas ma lub miewa poczucie, że źle i niewygodnie jest we własnym ciele. Że jest ono zawadą, ciężarem. Albo czymś sztucznym, dodanym do nas, jakby kiepsko dopasowaną protezę. Bywa że i wrogiem, nieproszonym lokatorem naszego „ja”. Nie tylko dlatego, że jakże często ciało jest nieposłuszne, wymyka się dietom, ćwiczeniom, wyobrażeniom i pragnieniom, marzeniom, że choruje, starzeje się, ulega degradacji i rozpadowi, że jest dręczone, zawstydzane, upokarzane, że pragnie daremnie. Jest coś ukrytego jeszcze głębiej, co powoduje owo poczucie alienacji, a poeta może napisać: „Wyniosłem moje ciało/ z głodu ognia i wojny/ pochylony nad nim/ śledziłem każde poruszenie/ Zaparłem się siebie/ zachowałem ciało/ Oto ono istota ślepa i obca/ lekkomyślny czy udźwignę/ ten ciężar”¹³. (Czyż by była to trawestacja z Mateusza: „Bo kto chce zachować swoje życie, straci je”?) I nie chodzi tu tylko o doświadczenie graniczne, jakim jest wojna, ciało okazująca wzdargę, pomiatająca nim, ale o fundamentalne rozszczepienie

¹¹ Byung-Chul Han, *Agonia Erosa*, [w:] *idem, Społeczeństwo zmęczenia i inne eseje*, przeł. Rafał Pokrywka, Warszawa 2022, s. 166.

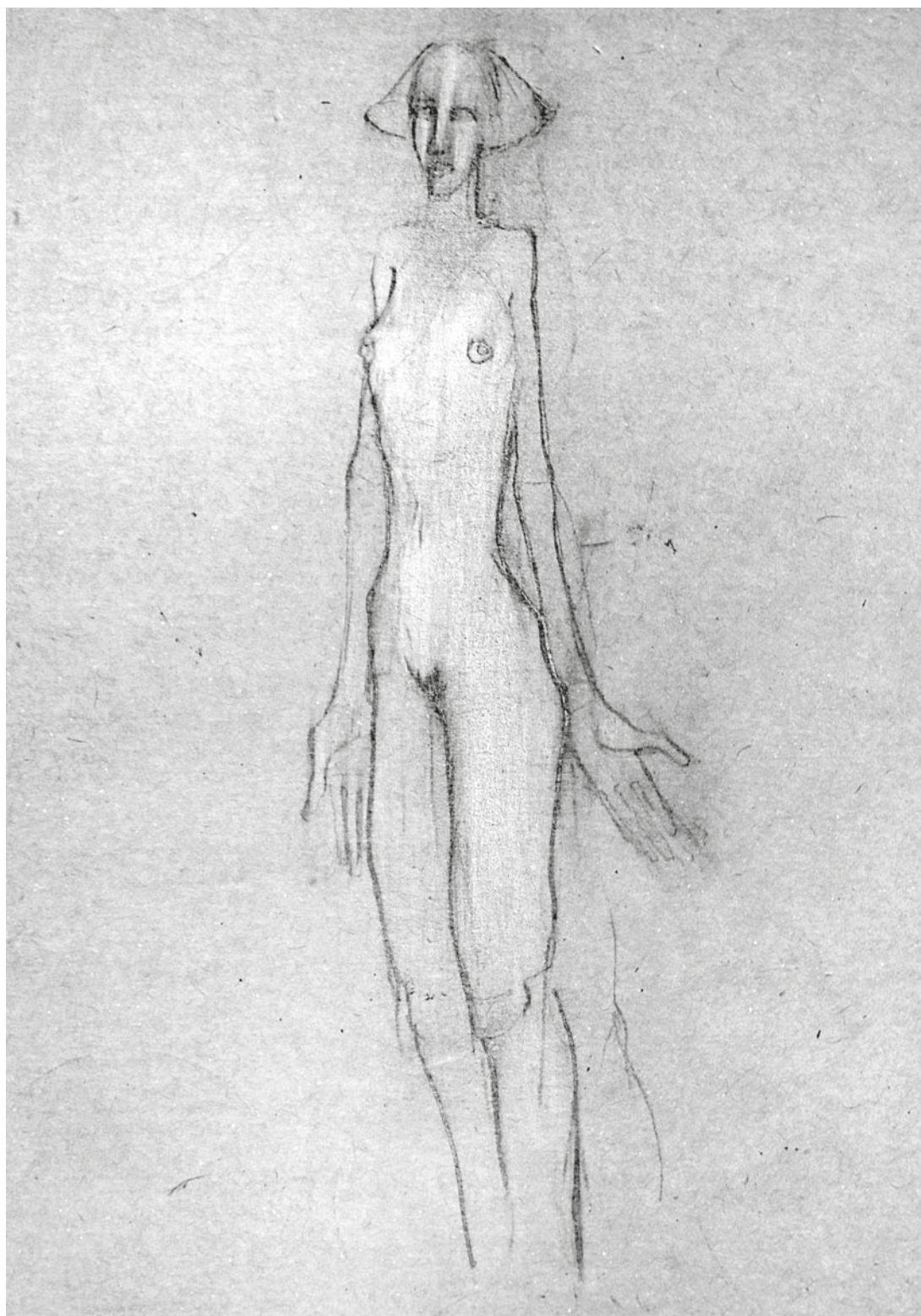
¹² Emmanuel Lévinas, *Czas i to, co inne*, przeł. Jacek Migasiński, Warszawa 1999, s. 99.

¹³ Tadeusz Różewicz, *Ciało*, [w:] *idem, Poezje zebrane*, Wrocław 1971, s. 344.

na „ja i ciało”, którego nie wymyślił Kartezjusz, jest ono zapewne doświadczeniem wielu ludzi. A kultura służy – jak mi się zdaje – usuwaniu tego pęknięcia poza horyzont spraw ważnych, jest pilną restauratorką i konserwatorką rys i ubytków naszego wizerunku albo raczej wielkim fałszerzem obrazów. I choć są religie uznające ducha i ciało za jedność, jednak i one potrzebują systemów ową jedność mających ostatecznie konstituować i podtrzymywać poprzez rozliczne i skomplikowane praktyki cielesne, żywieniowe, seksualne, określające najdrobniejsze szczegóły dnia powszedniego i nadzwyczajnych ceremonii. Najwyraźniej bez tego nie bylibyśmy harmonijnymi, koherentnymi istotami. Ostatecznie we wszystkich kręgach kulturowych to, co robimy, co na siebie wkładamy i jak porozumiewamy się między sobą, to, jak organizujemy przestrzeń, w których lokujemy nasze ciała, jakie rytuały towarzyszą naszej zabawie, smutkowi, rozpacz, chorobie – daje nam złudne często poczucie jedności z samymi sobą oraz naszymi pobratymcami, stanowi spoiwo tego czegoś dziwnego i niejasnego wewnątrz, a co stale grozi rozpadem.

Może jest traceniem życia i zapieraniem się ciała ta kompulsywna krzątanina wokół naszej doczesnej powłoki, przyjmująca tak rozmaite formy? Może to właśnie wyobcowuje nas z nas samych, sprawia, że czujemy się jak pozbawiona propriocepcji Krystyna? Wiemy, że powinniśmy być, a jednak istotności tego stanu nie możemy uchwycić. Stajemy się nań ślepi. Zabiegając o siebie, pragnąc ciałem władać, żyć wiecznie, a przynajmniej długo – wymykamy się sami sobie. Ciało staje się *Innym*, obcym, a w kategoriach medycznych takie ciało jest źródłem procesów zapalnych, tkwiąc w żywej tkance, może uszkadzać pozostałe, powodować choroby, trzeba się go pozbyć. (Skądinąd, co w nas jest prawdziwie żywe, a co martwe?) Jak jednak moglibyśmy opuścić nasze biedne ciało tylko dlatego, że jest źródłem udręki? Trzeba się z nim obchodzić łagodnie i wyrozumiale, z pewną dozą pobłażania, bo inaczej ono nas będzie ranić. Jednak poeta wie, że „żyjemy w wąskim łóżku naszego ciała. Tylko niedoświadczeni wiercą się w nim bez ustanku. Nie wolno obracać się wokół własnej osi, bo wtedy ostre nici nawijają się na serce jak na szpulkę. Trzeba zapleść ręce na karku, przymknąć oczy i płynąć tą leniwą rzeką, od Źródła Włosów po pierwszą Kataraktę Wielkiego Paznokcia”¹⁴.

¹⁴ Zbigniew Herbert, *Higiena duszy*, [w:] *idem, Wiersze wybrane*, Kraków 2004, s. 144.



WALDEMAR OKOŃ

Defloracje

Mario święta
Ewo panno świata
obejmij mnie ponad wodami
która schodzisz schodami do nieba
która czekasz na cud nienaruszona
na piętno wypalanej ziemi
tam leżymy
wydrążeni
na skórze pękniętej
odjętej nietkniętym do śmierci
dziewicom

biel jest bramą niebios.

Kształt cienia
rodzi tęsknotę
sutki bez mleka bolą
zapominam kiedy ostatni raz
stłukliśmy zwierciadło

twoja burza
która przychodzi i porywa łodzie
ratunek nasz ostateczny
zawsze tu jestem w snach
w kościele bez Boga
i bez ludzi
to błąd
na ołtarzu nikogo nie ma
dotykamy ustami krwi
miesiąc krwawi
wody życia odchodzą
rodzimy się co rano
nasza modlitwa codzienna.

Tak staram się utkać srebrną sieć
upał płynący z ziarna
moją herezję
pod figurami
na szachownicy czarne i białe
góra dół
karuzela pod gwiazdami
strzały się nie zatrzymują
tworzymy religię ciała

kiedy mnie zabraknie
kto wejdzie i zapyta
kto będzie pił ze źródła
dobrego i złego

zawiesiłaś moje pragnienie
zbyt wysoko
tam nie sięgają już słowa
gdzie z kłosów nie wysypuje się
ziarno.

Mrowisko mrowi się
bieganie unika słońca
pary wymięte na drutach
na gałęziach zielone liście
jest dobrze i od nowa
gdy grają werble
suche pałki
wilgotnieją

ukryjemy się omdlejemy
nasze odwłoki
nasze odnóża coraz szybciej
pokrywają się świętym miodem
patrzmy w dół
na ciekące suki

coraz więcej liści
pod tobą zmiętych
służą miłości
służysz miłości
aż do zatrucia
wyobraźnią.

Symplegady
kto je dzisiaj pamięta
otwierają się
by ptak mógł przelecieć
od tyłu wijemy gniazda
obrastasz mięsem i pierzem
jak na skale
wonnego przyłądka

pode mną dwa oceany
spływają w jeden wir
w jedno ciało

tak czytamy przypowieść
o ptaku uwięzionym w jaskini
na jego dziobie mirra
na jego jądrach złoto

symplegady bezsilne
nie mogą zamknąć do końca
nawet najkrótszej nocy.

Zaplątani w firankę
pomóż mi
odżywam
kiedy mnie kochasz nad życie
łowimy jaskółki
w miękkie sidła
pod firanką owady
ich szybki bieg
w nieistnienie

dachy czekają na deszcz

kiedy przenikasz mnie
powstaje pejzaż błękitny
i nie umiem inaczej nazwać
rozchylenia rozdarcia
wyrwanego jedności
którą jestem
złowiona drugi raz
nad życie.

W naczyniach pełnych grzechu
diabeł spryskany rosą
splot nerwów błękitnych
chmura przykrywa sufit
nasze łóżko
w którym południe
gryzie pestki
pali mosty
skowyt przesiąknięty
pościelą

tak powstają dzieci
tak powstają pejzaże
dla dzieci konik drewniany
dla pejzaży święto
co zostanie dla nas
co zostanie
po zniknięciu chmury?

czyste niebo nie bawi
brudne niszczy harmonię
diabeł się cieszy
zawsze to samo
uśmiecha
niewidzącymi oczami
bije pięścią
aby nie zasnąć

nasze życie
zaczyna się od nowa.

Kryształowe dziewczynki
z rysą z rysiem przy szyi
gryzą słomki cukrowe
zaczepiają strażnika
na straży

ryś mruczy
szuka mięsa w kieszeniach
naszych ogryzków
rozpruwa kieszenie

kryształowe dziewczynki
kręcą tyłkami
jak karuzelą
wesołe miasteczko
dopiero się zaczyna
jest wiele przedmiotów
do wygrania
jest wiele do przegrania
zaciskamy małą pętlę na szyi
najdzikszego ze zwierząt
strażnik nie patrzy
stoi na baczność
tak jak lubisz
o tej porze zabawy.

Jaki zapach wody
jakie gwiazdy
pokrywamy ciemność jasnością
bo za krótki jest dzień
więcej światła
mgławice ławice
łuski odarte leżą na stole
na szczęście
gubią połyskiem
w którym fala

zatrzymaj rytm jednostajny
zatrzymaj na zawsze
wiem kiedy poezja
milknie
tyle wiem o niej
tak jakby istniała
naprawdę
a przecież jej nie ma
nie jest osobą
jest kimś
nieistniejącym
ta wiedza mnie zabija
zabija wszystko
czepiam się rozpaczliwie
niewiedzy
mgławice przestają uciekać
czas zatrzymany parzy
dojrzewa.

Dawid i świnie

Świnie zjadły ciśniętą im głowę Orfeusza. Zdarzyło się to na podwórzu świątyni Apolla, dokąd ta głowa przyplłynęła aż z barbarzyńskiej Tracji. Dyżurny kapłan zaklinał się przed bogiem, że ten urwany łeb sam, bez pomocy wskoczył na ołtarz, że bynajmniej nie wniesiono go tam z żadnym uniżonym ceremoniałem. Ot, wskoczył! I śpiewał! Trochę jak obłą, beznoga Radosna Cipka z chałupy pod Eleusis, co to przytoczyła się do zapłakanej Demeter i hop, hyc, zaczęła jej fikać na podołku. Głowa Orfeusza tak samo! Wszystko z wytrzeszczonymi oczami zamarło! I Apolla zemdliło, więc te wieprzki na podwórzu były finalnym konsumentem żywej orfickości: głowa, nim znikła w ciemności konsumpcji, ba, wciąż śpiewała, wciąż nowe i nowe kompozycje słów i tonacji, wymieszane coraz bardziej z chrzęstem kości w świńskich szczękach. Wsłuchajmy się: zwyciężył Apollo tony Orfeusza odgłosami chrząkania, chrumkania, łkania, płaskiem kału.

Wolno rzec: Apollona oburzyło przekroczenie granicy, trwanie zatem tego choćby i urokliwego śpiewu pomimo rozcłódkowania podmiotu. Oburzyło go (Apollon znaczy *zabójczy*) rozmycie granicy pomiędzy śmiercią i życiem, nie wiadomo bowiem, nie sposób ustalić, czy końcowe akordy z ust głowy były dziełem Orfeusza jednak żywego, czy może trupa. A może, jak intuicja podszeptała Rilkemu w sonecie numer 3, śpiew *jest istnieniem*¹? Istnieniem równorzędnym istnieniu materii, wcale nie mniej oczywistym: przecież to tylko transgresja sama przez się, koincydencja ruchów mięsa, dźwiękowych fal oraz ich ośrodka, niekiedy więc blachy, pustego kija, zresztą i splecionego z neuronami ucha.

Czyjego ucha? Na piękno orfejskie, na transgresywność głuchym okazał się, o dziwo, właśnie Apollon. Nie wieśniacy, żeglarze czy sędziwy Cerber, nie cienie Tartaru, lecz wyestetyzowany olimpijski arbiter elegancji, formalnej perfekcji, który nie chciał śpiewu: nie chciał *istnienia*.

Zabójczy nie chciał istnienia? Istnienia w ogóle czy dynamicznie, poprzez trans?

Istnienie jest relatywną niedoskonałością. Częstkowością. Brakiem. Dziurą wręcz. Przeciwstawia jakieś „a” jakiemuś „nie a”, dziurę w bezkresnym „nie-a”. Również w wypadku artysty: zawsze stwarza się tylko część, wyraża tylko część. Samemu będąc tylko częścią całości. Ta fragmentaryczność zawarta w istnieniu artysty (pamiętajmy: wzorcowego artysty) urzekła Dionizosa: rozłożył ją na czynniki pierwsze, fragment na fragmenty, rozdarł on Orfeusza, przekonując się, że Orfeusz nawet swoim mikrokosmosem zachwyca, nieważne, czy żywy pospolicie,

¹ Rainer Maria Rilke, *Elegie duinejskie. Sonety do Orfeusza*, przeł. Andrzej Lam, Warszawa 2011.

docześnie, czy już w progu-przedprożu zmartwychwstania; że po prostu, powie Rilke, śpiewać w prawdzie to jest inne tchnienie. / Tchnienie o nicość. Wianie w Bogu. Wiatr. Apollon, mistrz formy jawnej i stabilnej jak w liturgii, odrzucałby zagadkową a niewidzialną, dotykową tylko formę wiatru.

Żebyż choć helleński mit artysty nie wyskakiwał zawsze i wszędzie, gdzie piękno wieje? Psalmcy bowiem to z kolei mroczna i zawikłana wichura, tajemnica opętana zasadami kunsztu. Przecież, biorąc psalterz do rąk, mamy tylko pozornie do czynienia z tekstem literackim. Jako takie są, oczywiście, rozpatrywane na nowo, choćby w „Czytaniu psalmów”², monumentalnej pracy prof. Bogusława Jasińskiego, co jednak oznacza ni mniej, ni więcej jak odłączenie od nich mitu o ich twórcy, tym samym wyrwanie ich z mitycznego krwiobiegu, skutkiem czego w wyobraźni odbiorców Dawid opuścił niejako podrzędną rolę grajka, by dorosnąć do „prawdziwszej” – roli mianowicie króla.

Zastrzegę: nie chodzi mi o krytyczną analizę materiału zebranego i tak solennie zinterpretowanego w „Czytaniu...” ani też o potraktowanie biblijnego Dawida w kategoriach historycznoliterackich. Moim zamierzeniem będzie dociekanie związku pomiędzy mitycznym twórcą a dziełem włącznie z losem tego dzieła, w poczuciu, iż Dawid (czy to młodziutki, czy dojrzały, a wreszcie sędziwy) uosabia dramat artysty oraz dramat tego unikalnego cyklu pieśni, jakie przełamały liniowy porządek dziejów konkretnego ludu, po czym same zostały przełamane. Na razie powiem krótko: chodzi o hebrajskiego Orfeja. Powiem za Rilke: *Bo tym Orfeusz jest. I trwaniem i przemianą / raz w to, raz w to. Więc się nie troszczmy dłużej / o inne imię. Bo już raz na zawsze / Orfeusz jest, gdy śpiewa. Zjawia się i znika.*

Oto mit oznajmia, że Psalmcy stworzył pasterz, a nie żaden wytrawny artysta czy też obyty z wysoką sztuką człowiek kulturalny. Jego imię po hebrajsku znaczy: *umiłowany, ukochany*. Dawid był najmłodszy z gromadki rodzeństwa i dlatego odesłano go od spraw plemienia na pastwiska – bezludne prawie tereny ziemi wciąż jeszcze mozolnie i w udręce zdobywanej. Wokół doliny Hebronu pagóry, zdrowe dla bydła, zapewnia Talmud, a ku południowi Góry Judzkie. Owszem, miejscami zielone tak, że źródło albo choć cieniste drzewo należą tam do koronnych symboli łaski Bożej. Skałki, jaskinie więc, kolczaste zagajniki, step, telle upstrzone ruiną albo wiankiem monolitów, sam Hebron w dniach Abrahama był miastem hetyckim, po powrocie z Egiptu stolicą Izraela i nawet samego Dawida jeszcze przez siedem i pół roku, ale poza murami władały tą ziemią swobodny wiatr, boskie słońce, nocą bezlik gwiazd wyraźnych jak głęboko ryte litery, wskutek czego firmament po dziś dzień równa się Słowu, jakie było u początku.

A pod nim stado, psy pasterskie, podstępne drapieżniki. Karakale, lwy, hieny, szakal, ścierwnik, brunatna kania o palczasto zakończonych wielkich skrzydłach, tkliwie wręcz kołująca nad beztroskim jagniątkiem. Są w tym uwolnionym zwierzyńcu cykady, dzikie pszczoły, szarańcza, szerszenie, których żądło jak wbicie gorącego gwoźdźcia i których gniazda w dziuplach suchych drzew osiągają nawet metr średnicy. Są pająki, są daboje, żmije łańcuszkowe i rogate. Całymi tygodniami to one słyszą śpiew rudowłosego chłopca, zgoła jak dzikie bestie u stóp Orfeusza na obrazie mistrza Leu.

² Bogusław Jasiński, *Czytanie psalmów*, Warszawa 2023/2024.

Orfeusz też płomiennowłosy. Też w miłości nieszczęśliwy. Od Dawida go różni tylko to, że najpierw występował przed ludźmi, a do bestii poszedł dopiero po wyjściu z Piekła. Dawid zaczyna pośród zwierząt. Do ludzi wzięto go po to, aby grą uśmierzał demony dręczące nocami króla Saula. Grał tedy i śpiewał; i faktycznie wtedy król odzyskiwał spokój duszy, i z wdzięczności dał wybawcy nawet swoją córkę, dumną Mikal, za żonę.

Ale w tym miejscu mit o Dawidzie został rozbudowany o inną opowieść: otóż pewnego dnia Dawid w ekstazie jął tańczyć. Zrzucił strój. Tanecznym krokiem pokonywał kolejne tarasy świątynnej góry – świętej, względnie boskiej (wzmianki sięgają III tysiąclecia p.n.e.): wszak jeszcze Abraham na jej szczycie złożył z miejscowym arcykapłanem Melchizedechem ofiarę z chleba i wina. Poza rzeczoną miejscem Jebus, zwaną później Jerozolimą, Dawid właśnie wyrąbał ją sobie jako zdobycz.

Zderza się tedy Dawid pustkowią, zwierzęcy, niewinny, który jak baśniowy heros zdobył rękę królewny, z Dawidem wodzem, władcą grodu, którego sztuka, a konkretnie taniec, taki i w tym miejscu, wzbudzi w Mikal wstręt i odręcenie cielesne.

Czy więc Dawid był odrażający? Sama w sobie nagość to za mało, chodzi o pięknego mężczyznę, z jakim Mikal już była intymnie. Biblia mówi: „Dawid wtedy tańczył z całym zapałem w obecności Pana, a ubrany był w lniany efod” [2 Sm 6, 14], krótki strój – dwa luźne płaty tkaniny połączone paskiem na ramionach – wówczas nosili go kapłani. Dawid tańczył, gdyż wprowadzał Arkę. Słowo *efod*, już w zupełnie innym znaczeniu, padło w Księdze Sędziów, w ustępie mówiącym, iż Gedeon sporządził efod ze złota i srebra, co wskazuje na jakiś posążek, możliwe że pogański. Gdyby właśnie to znaczenie przyjąć, ujrzałaby Mikal swojego nagiego małżonka z bałwanem w dłoni lub na sercu.

Wbiegał więc Dawid płynnie po stopniach, a ponieważ przy każdym kroku niesionej Arki Przymierza rytualnie zabijano tucze ciele, mógł on sam zadawać cios w szyję. Często zwracano uwagę na aspekt seksualny tej sceny: hebrajski czasownik wskazuje na „kołyszące lub wibrujące ruchy”, przy czym tancerz „tańczył w towarzystwie niewolnic”. Wyobraźmy je sobie: gibkie, lśniąco od wonnych olejków, strojne w kwiaty i klejnoty. Mikal tedy „Powitała męża szyderczo: «O, jak to wstawił się dzisiaj król izraelski, który się obnażył na oczach niewolnic sług swoich, tak jak się pokazać może ktoś niepoważny»” [2 Sm 6, 20]. Według Mikal król izraelski swoim zachowaniem upokorzył siebie i swą godność królewską. Aż trzykrotnie podkreśliła [Mikal] z sarkazmem, iż obnażył się publicznie; to jedyna rozmowa Dawida z ową Mikal, jaką uwieczniła Biblia.

Jednak chcę zwrócić uwagę na kwestię, że sam ten taniec był powitaniem Arki. Otóż Arka, na gruncie hebrajskiego dosłownie: *okręt* albo *Słowo*, uosabia ruch pomiędzy brzegami, pomiędzy odrębnymi bytami, a tym samym „przekroczenie”, względnie jedność przeciwieństw. Wniesiona już na górę świątynną, znieruchomiała jednak i od tego momentu dynamiczną pozostaje jedynie jej wiotka zasłona, uchylana jeden jedyny raz w roku.

Reakcja Mikal da się pod tym kątem odczytać dwojako, jako sprzeciw zamykaniu Arki na uwięzi Miejsca, takiego na domiar, gdzie Drzewo Życia przybierze formę świątyni, inżynierskiej konstrukcji, swoistej też piramidy społecznej i finansowej, miejsce tego umocowania zaś oznacza ośrodek sprzężony produkcją ponad potrzeby

własne, z jej infrastrukturą, także finansową, co sakralną, także militarną, co artystyczną i intelektualną. Miasto kumuluje te zjawiska, formatuje je, standaryzuje. Już Mircea Eliade w „Historii wierzeń i idei religijnych” podniósł kwestię sprzeczności pomiędzy miastem a koczownictwem. Miasto chlubi się niezmiennością, wieczystością, chce co najwyżej się rozrastać. Patrząc więc w aspekcie samych najogólniejszych idei sakralnych, dostrzegał Eliade, że w mieście pojawia się tendencja ich normalizacji, a zatem i kontroli, te bowiem mają charakter wspólnotowy i tym samym ekonomiczno-polityczny, co przeobraża je w ośrodki produkujące nadmiar lub też po prostu nadmierność. To bynajmniej nie samo tylko powiązanie z konsumpcją i dobrobytem, następnie z zamożnością i prestiżem osobistym. W mitach tego regionu bez trudu znajdziemy figury **nadmiaru koszmarnego** jak wieża Babel albo, u Hetytów właśnie, Ullikummi, skały-demon trwożącej poprzez stałe powiększanie się, obojętnej na uderzenia piorunów boga burzy, głuchej na błagania bogini miłości i życia. Dodam, że nazwa świątyni babilońskich władców nad Podziemiem daje się przetłumaczyć: Dom – Wielkie Miasto.

W wypadku nomady sakralność i sztuka są dwiema stronami osobistego doświadczenia, to zaś – podobnie jak napotykaną świat geograficzny – pozostaje unikatowe i indywidualne, nie da się więc odtwarzać w identycznej za każdym razem formule miejsca i sposobu. Jednego dnia nomadę przebiega świąty dreszcz na widok wulkanu, w innym zaś dniu na widok meteorytu, źródła, zaćmienia słońca, oceanu u stóp, zorzy albo majestatycznego ostańca. Lub grobu. Wszystkie one żonglują nieprzewidywalną symboliką, jakiej nie sposób sprasować w kostkę jednoznacznej już, bezapelacyjnej alegorii. Owszem, gdzieś przy dłuższym postoju można było pisać kamieniem jak ikony Prawosławia, choćby rzeczne, po przyborze wiosennym zalewane niczym wiotką zasłoną – i odzierane ze swojej spiralnie komponowanej treści w letni skwar. W każdej sekundzie inne naświetlenie, inne więc sensory, co zresztą przechwycił judaizm poczuciem, że każda litera Tory jest żywa, brak zatem którejkolwiek zmieniłby wydźwięk Księgi. Zresztą podobne, jak przypuszczam, otwarcie na migotliwość świata wciąż się zdarza. Śląski poeta Marian Lech Bednarek dopiero co napisał:

dziękuję Ci Boże za piękny dzień
choć byłem na pogrzebie i siostrę pożegnałem
odfruwającą do nieba
(...)
ale czy wdzięczność może być słodka?

to zupełnie inny cukier
inny miód inna słodkość
słodkość niebiańska
co przeobraża w cud nawet grób.

Z kolei Janusz Jaroszewski, malarz, pisarz i wizjoner, praktykujący poranny spacer, lecz w istocie wewnętrzną podróż, ujął to tak: „Radość metafizyczna z cudu chodzenia, przemieszczania się jest ewidentna, zwłaszcza gdy się wczujemy w mechanikę

tego płynnego, acz złożonego ruchu i dotrze do nas fakt, że to materia, którą jesteśmy, się przemieszcza tam, gdzie chce". Serbski zaś poeta Milijan Despotović – *Jeśli odejdziecie w innym kierunku, / spotka was inne znaczenie, / zapiszcie to*³.

Nomada poznaje świat, mieszkaniowiec miasta poznaje poglądy na świat: tę szybką ścieżkę dociekań i gromadzenia odpowiedzi na pytania otrzymane, ale niepostawione osobiście. Miasto gromadzi odpowiedzi, nomada gromadzi pytania, bliski uznać, że wszystko jest w swojej istocie tajemnicą. Postrzega samą rzeczywistość jako odpowiedź w każdym punkcie pełną, integralną, która nie tyle nakazuje albo postuluje jakiś tor myślenia, co ujawnia go. Rzeczywistość stanowi tedy objawienie. To tak, jakby wydobywać ją z materii mrocznego majestatu niedoznania jeszcze i transponować w materię równie mrocznego majestatu uświadamianej empirii, w promieniu której wszelka konstatacja obrasta szczerze znakami zapytania, aż po *wiem, że nic nie wiem*, pojmowane dosłownie. Im dalej więc wędrowiec się zapuszcza, tym intensywniej łączy sacrum z Kosmosem – właśnie tę cechę Eliade uznał za wspólną pierwotnym religiom na ziemi.

Ja chcę podkreślić wagę osobistego doświadczenia, pisanego każdym postawionym krokiem, każdą przetrwaną nocą, przeprawą na drugi brzeg, każdą walką o byt stoczoną tyleż z drapieżnikiem albo wrogiem, co z siłami natury. Burza piaskowa, sztorm na morzu, niespodziane wodospady rzeki. Zresztą, zamiast wymieniać przykłady, poprzestanę na fakcie, iż doświadczenia doznane w mieście, na jego scenie ustanowionej murem obronnym albo ścianami domów, mają wymiar międzyludzki, co unieważnia inne istoty, co je tępi i podporządkowuje, sprowadza do roli produktu; prawa religii wydają się odnosić do narastającej potrzeby bycia bezpiecznym, zaakceptowanym. Prawa religii bezkresnego stepu czy pustyni, czy mórz przesuwają uwagę poza człowieczeństwo. Poza dobrostan.

Najprościej mówiąc, na prymitywnej łodzi albo w pustkowiach człowiek jest zawsze, w każdej chwili we władaniu świętości. Czuje pod sobą otchłań, czuje ją nad sobą, kieruje się jej semantycznością, poruszeniami żywiołu, zapachami, na przykład ładu jeszcze nie widzi na horyzoncie, ale zauważa ptaki, inny nieco smak wody, nie raz inną barwę, gęstość wręcz. I wreszcie coś kluczowego: to miasto zaprowadziło antynomie, rozłupawszy uniwersum na sacrum i profanum. Nomada uświęcał całe uniwersum; w wyobraźni pierwszych miast, przykładowo babilońskich, krajobrazy drastycznie niezabudowane – nieoświetlone, pyliste – obrazowały Piekło, krainę Kur, tam zaś jedynym ważnym i orientacyjnym punktem był gmach władczyni, „pani wielkiej ziemi”. Ktokolwiek tam wszedł, musiał stoczyć walkę.

Poruszenia tego, kto płynie lub zdąża pieszo albo konno, są odmianą tańca: każdy przebyty metr drogi nasze ciało przyjmuje w sobie poprzez swój stan na zewnątrz i w środku, co nazywamy bólem, zmęczeniem, zdrewnieniem albo ulgą.

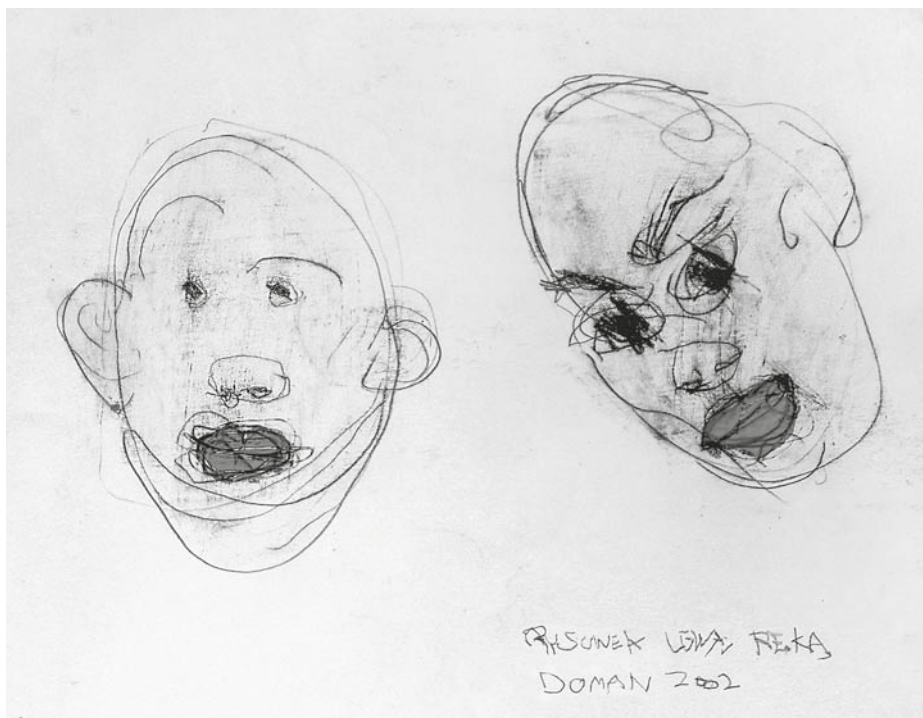
Oba mity, o Orfeuszu i o Dawidzie, są zapewne odmianami tej samej intuicji co do konfliktu artysty, a więc doznania sacrum, ze społeczeństwem. Chodzi

³ Milijan Despotović, *Drugi krąg*, [w:] *Listy z niepewnej przyszłości*. Cytuję za: Krzysztof Graboń, „Gazeta Kulturalna” nr 4, kwiecień 2025.

o doświadczenie zburzenia tu intymności, zastępowania tajemnicy algorytmem, a jednocześnie – gdyby patrzeć pod kątem, jaki brał pod uwagę Gaston Bachelard w „Filozofii, która mówi nie” – że każda z tych opowieści *wykorzystała zespół pojęć empirycznych, z racjonalnego punktu widzenia źle zbudowanych i słabo powiązanych, ale zgromadzonych w sposób pragmatycznie niezawodny*. W obu cudowny grajak wprawdzie potrafi oczarować duchy względnie demony, w obu traci kobietę, czyli animę, w aspekcie ekstazy miłosnej, a jakiś kobiecy pierwiastek pod postacią menady albo małżonki wita go z wrogością. W obu też ponosi on klęskę na planie osobistym oraz (to osobna, wstrząsająca figura) dezintegracji.

Orfeusz rozszarpany, rozrzucony „po Kosmosie”. Dawid zdeintegrowany pod postacią nieukończoną, a może trafniej by rzec: rozbabraną świątyni czy raczej materiałów na budowę.

Podkreślę w tym miejscu, że można Dawidowi nadać dwie tożsamości: twórcy Psalmów oraz budowniczego Świątyni. W pierwszym wypadku materia „kreacji” jest on sam. W drugim tą materia są bloki skalne, klejnoty zdzierane może z posągów bożków w burzonych gmachach, może zdzierane kobietom z szyi, odrzynane razem z palcami rąk. Mają one doprawdy biegunowo odmienną *naturę* jako tworzywo artystycznego dzieła. Tworzywem u Pasterza była czystość owieczki i głosu w śpiewie, a zatem oddechu, płuc. Były te właściwości zestrojone z tym, co podniósł prorok Samuel: „Człowiek patrzy na to, co jest przed oczyma, ale Pan patrzy na serce” [1 Sm 16,7]. Relacja o Samuelu nie kończy się w chwili jego śmierci. Duch Samuela, jakiego wywoła wiedźma z Endor [1 Sm 28,1–25], miał przepowiedzieć Saulowi klęskę pod Gilboa i otwarcie sukcesji władzy dla Dawida.



Skarbem najwyższego z bóstw, tak zwanego Srogiego Władcy, podkreślał Eliade w „Obrazach i symbolach”, pozostaje natomiast naturalny nimb – moc, jaka je spowija, ma jednak źródło w nim samym, pozwalając mu na utrzymywanie świata w równowadze – mogący, dla przykładu, przeciwnika porazić paraliżem, uczynić ślepym albo głuchym, jego broń zaś bezużyteczną. Eliade nazwał ów nimb „źródłem form”, co w pryzmacie sztuki wolno odnieść także do wszelkiej twórczości, wszelkich artystycznych form, o jakich Bóg w swojej wszechwiedzy wie od Początku. Dopiero niższe rangą, partykularne niejako, bóstwa wojny (chciałoby się rzec: mechanicznej wojny) potrzebowały rynsztunku. Bóstwo nimbu cechuje się biernością wobec spraw ludzkich, obojętne na teomachię trwa nawet pomimo wymiany panteonów wskutek zwykłych historycznych zdarzeń.

Swoją drogą, można sobie wyobrazić Dawida oraz Orfeusza śpiewających bez pomocy instrumentu, czyli liry bądź harfy – dokładnie tak jak w micie o Orfeuszu, spuentowanym śpiewem jego głowy odłączonej od tułowia, a zarazem od wszelkiej *techné*. Podobnie, istota czarowności Psalmów nie tkwi w maestrii gry, ale w treści ujawnianej, i nie w zachwycie ze strony „świata”, ale w Bożej przyjaźni, czyli niezmaconym otwarciu na świętość. Na bezludziach Judei nie ma w ogóle mowy o żadnym ludzkim audytorium, o zawołaniach kierowanych do kogokolwiek innego niż Niebiosia. A tym bardziej o dostrajaniu formy i treści do potrzeb (nawet choćby tylko moralnych) słuchaczy, o modelowaniu image’u artysty, tak więc poprawkach, ozdóbkach, przemilczeniach i eufemizmach.

Dawid wyrażał wszystko w sobie: wdzięczność, ból, niepewność siebie, strach przed okrucieństwem, zależnie od stanu, od miejsca w tym esencjonalnie symbolicznym pejzażu, gdzie święta rzeczywistość przybierała najprzeróżniejsze formy.

Ten właśnie młodzieńcy Dawid pokonuje, owszem, ludzką bestię, lecz nie potęgą miecza czy rydwanu, ale procą, jaką odstraszał drapieżniki. Tak jak baśniowe dziecko pokonywało zło jasnym śmiechem. Mit skądinąd to dopowiedział: przed walką z Goliatem przyniesiono Dawidowi zbroję, ale on odpowiedział, że **to na niego nie pasuje**. Ponieważ w tradycji monoteistycznej nie wolno go było uznać za herosa ani bóstwo, rolę nimbu pełniła jego nagość. Goliat na jej widok wydał dolną wargę – subtelna oznaka „sparaliżowania” osiłka jego własną pychą.

Jednak nagość podczas tańca przed Arką była już zapewne odziana – odziana w ekstazę. I możliwe, że anima pod postacią Mikal, znająca nagość Dawida – kochanka, ekstatyczną jednak już inaczej, cofnęła się – niczym przed barierą. Ekstaza bowiem, jaka wytworzyła barierę, łączyła się z wytworem ludzkich rąk (w literaturze sakralnej Zachodu nic nie dorównuje groźną pedanterią instrukcjom, jak Arka ma wyglądać i jak wolno się z nią obchodzić). Ekstaza tedy szła w parze z instrumentalizacją lub też wręcz uwięzieniem świętości, co w pojęciu mistyka Williama Blake’a, poprzez systemy nakazów i zakazów, oddziera sacrum od człowieczeństwa; przytoczę z wiersza Blake’a – ujrzał, jak w uschlłym Ogrodzie Miłości zawzięci *Kapłani w czarnych sukniach (...) powróstłami wiązali radości i żądze*. Osobną kwestią jest także to, co Dawid usłyszał od **Boga**: „Nie zbudujesz domu dla imienia mego, bo jesteś mężem wojny i rozlewałś krew” [1 Krn 28,3].

Zauważmy: wojna rodzi się wraz z miastem. Wraz z konstruktami zamiast istnieć. Wojna nie ma nic wspólnego z walką w świecie natury, tą bowiem rządzą doraźne potrzeby, czyli stan ciała, głód i popędy. Do obmycia Dawida z krwi wojennej nie pomogłyby rytuały oczyszczenia, gdyż chodzi nie o „pospolite” skalenie zewnętrzne, lecz o takie, jakie kala ów „nimb”, a mianowicie odsunęło Dawida od Boga, rozsunęło dotychczasową jedność ich diady. Dawid przecież to tylko... dusza. Jak odkrywa Bogusław Jasiński: „Dla ówczesnego Semity pojęcie duszy było tożsame z pojęciem istnienia, co przejawiało się po prostu w stawianiu znaku równości pomiędzy wyrażeniem ‘moja dusza’ i ‘ja’”⁴. Od tego tańca Dawid już nie tworzy Psalmów. Dawid rządzi. Zgoła, jak gdyby stopnie jerozolimskiej góry były stopniami przeobrażenia Psalmów w coś osłupiająco innego: w gród.

Z tej perspektywy Mikal, anima Dawida, pozostała po „drugiej stronie”, niemal jak Eurydyka. Pytanie tylko, kto opadł do Otchłani albo – co było w swej istocie „otchłanią”, jej samotne odtąd łoże więc czy raczej jego nieubłagane (mityczne) przyłgnięcie do „miasta Dawidowego”, a zarazem pałacu pogrążającego się w grzechu, w cudzołóstwie z Batszebą, której męża rozmyślnie wydał król na śmierć, i z Abigal, która sama już swojego męża na śmierć wydała, byle zostać Dawidową żoną, w gwałt na Tamar, bratobójstwo Absaloma na Adoniaszu, grzania się na pościeli z młodziutką Abisag przez króla – starca. Syn, a więc emanacja Dawida, pogrąży owo miejsce w błocie bałwochwalstwa, a w tym bogiń płodności czczonych pod postacią świni niepokalanie białej; właśnie Psalmy nadają kontrast doznania po prostu sakralnego z religijnością już zapośredniczoną. Lecz przede wszystkim, jak już napomknęłam, „chaosu tworzyw”, sztucznych tworzyw, bo ludzkich produktów nagromadzonych pod budowę templum. Sednem tej idei jest rozpad. Na artystę i jego psyche, na artystę i jego dzieło, wreszcie – dzieło oderwane od percepcji odbiorców, dzieło niejako w postaci mrożonki do konsumpcji wyznaczonej na dopuszczony czas, w dopuszczonym fragmencie i z nie innym objaśnieniem. Intuicja malarzy i później filmu, ale też architektów, pobiegła torem ku jakiejś osobliwej siostrzaności miasta i piekła, brukowanego dobrymi intencjami. Same zresztą Psalmy będą w przyszłości podporządkowane rygorom instytucji: kanonu, przymusu, kolektywnego pustostwa bez zważania na faktyczny stan psychiki śpiewaka, choćby wykastrowanego w przededniu pokwitania po to, aby słodki, niewinny głos sprzed mutacji imitował naturalną świeżość duszy. I zresztą nie inaczej słuchacz statystyczny liturgii mszalnej. W świecie chrześcijan przez całe stulecia Psalmy brzmiały w języku obcym, którego prawie nikt, włącznie z klerem, nie rozumiał, przekłady tekstu zaś na własną mowę ściągały ryzyko stosu.

Orfeusz stanął po raz pierwszy twarzą w twarz z boskością w Hadesie. I tam utracił animę. Dawid utracił animę wcieloną w Mikal na górze kryjącej w sobie zejście do Techom.

⁴ B. Jasiński, *op. cit.*, s. 18.

PATRYCJA ZYGADŁO

wewnętrzny

nie mogę zrozumieć tych wszystkich morałów
instynkty toczą z nimi wojnę
zanim kawałek po kawałku
potwór przejmie moją skórę
tkanki i serce
są rozszarpywane przez niepojętą siłę
lewa półkula walczy z prawą
pierwsza jest Kainem druga Ablem

czy jestem czymś więcej
niż tylko mięsem i kośćmi
?



Teatr cielesności

Uwagi o objawieniach

Objawienia miały fundamentalne znaczenie dla ustanowienia kanonu wiary, ale też utrwały ważne wymogi moralne. Problem zawarty jest w okoliczności, że duża część objawień epoki nowożytnej i nowoczesnej miała charakter odstępczy od wierzeń już utrwalonych, a ich przejawy coraz rzadziej prowadziły do odnowienia tradycyjnych czy kreacji nowych ruchów religijnych. Objawienia uległy prywatyzacji, a ponadto już wcześniej niepokojąco łączyły się z doznaniem cielesnymi, niejednokrotnie seksualnymi. Od połowy XIX wieku wizje stały się przedmiotem refleksji naukowej i jako zjawiska charakteryzowane w kategoriach psychicznych zaburzeń zaczęły tracić na wiarygodności. Racjonalna świadomość funkcjonowania doznań mistycznych jest sprzeczna z ich istotą, a ponadto negatywnie wpływa na ocenę wielu tego rodzaju zjawisk z przeszłości, które niegdyś były decydującą częścią ludzkiej kultury.

* * *

W opinii Alfreda Maury'ego, który już w roku 1855 opisał zagadnienie wzajemnych relacji doznań mistycznych i reakcji fizjologicznych, najwyższym stopniem chrześcijańskiej mistyki były stygmatyzacje¹. Najbardziej charakterystycznym zjawiskiem w obrębie tych związków pozostają przeżycia św. Franciszka z Asyżu, w tym zwłaszcza wydarzenia z roku 1224. Święty w ostatnich latach swego życia wycofał się ze spraw doskonalenia życia monastycznego i zamieszkał na odludziu Apeninów, gdzie oddawał się medytacjom i rygorom surowej ascezy. Zatopionemu w modlitwach, zdawało mu się, że słyszy nakaz Boga, by przeczytać najważniejszy fragment Ewangelii. Towarzyszący mu brat Leon trzykrotnie otworzył księgę na opisie męki Jezusa. Franciszek uznał, że jest to przykazanie, by poświęcić się naśladowaniu tych wydarzeń i poddaniu się torturom. W czasie nasilonych postów wyobrażał sobie okoliczności cierpień zadawanych Chrystusowi i miał poczucie przebywania w innym świecie. W dniu Podwyższenia Krzyża Świętego zobaczył serafina o sześciu płonących i świetlistych skrzydłach, który zstąpił z nieba, a między skrzydłami podtrzymywał postać ukrzyżowanego. Cudowne widowisko przeminęło

¹ A. Maury, *Les mystiques extatiques et les stigmatisés*, „Annales médico-psychologiques” 1855, seria 2, nr 1, s. 196.

wraz ze wzruszeniem i bólem, lecz na rękach i stopach pojawiły się rany, które uznał za stygmaty Męki Zbawiciela.

Wydarzenie pojawienia się okaleczeń uznane zostało za cud, drugie ukrzyżowanie, a samego Franciszka za równorzędnego Jezusowi Zbawiciela i Syna Bożego. Rozwijaniu dalszych podobnych porównań sprzeciwili się niektórzy teologowie, ale wiedza o wydarzeniach na górze Alwernia stała się powszechna i wsparta została innymi teologicznymi tezami głoszącymi, że otrzymanie stygmatów było przejawem łaski Bożej. Pograżanie się w umartwianiu i dążeniach do wnikięcia w cierpienia Boga stało się celem licznych zakonników. Niektórzy z nich doświadczyli stygmatyzacji, co ujawniali, lecz zdarzało się, że rany odkrywano dopiero po zgonie mnicha.

Święta Katarzyna z Sieny pod wpływem rozmyślań i obrazów przedstawiających Franciszka otrzymującego rany za pomocą świetlistych promieni wychodzących od Jezusa również dotknięta została wizją otrzymywania stygmatów. Odczuła ból pięciu ran, lecz po przeminięciu tego stanu blizny się nie utrwały. Franciszkanie w roku 1483 protestowali przeciwko głoszeniu poglądu o otrzymaniu stygmatów przez świętą, co początkowo wsparte zostało przez papieża, jednak z czasem głębokie przeżycia Katarzyny znalazły trwałe uznanie. Przez trzy kolejne stulecia dochodziło do wielu stygmatyzacji o różnych przejawach. Na ciałach pojawiały się wyraźne lub mniej widoczne ślady cierpienia, poczucia noszenia niewidzialnej korony cierniowej, a wizja odciskania stygmatów miała też miejsce w XIX wieku w przypadku augustianki Anny Katarzyny Emmerich, zmarłej w roku 1824. Romantyczny pisarz Clemens Brentano przez kilka ostatnich lat życia tej mistyczki spisywał jej relacje z otrzymywanych wizji, tworząc dzieło, które skłania do rozważań nad aktywną rolę kronikarza w zapisywaniu przekazów.

Przypadki stygmatyzowania występowały u kobiet niemal dziesięciokrotnie częściej niż u mężczyzn i miały zróżnicowane objawy². Holenderska beginka Gertruda z Oosten otrzymała stygmaty w Wielki Piątek 1340 roku, a z jej stóp i boku tryskała krew przez kilka kolejnych dni³. Podczas rozważań nad narodzinami Jezusa jej piersi napełniały się mlekiem⁴. Błogosławiona Krystyna ze Stommeln, której doznania spisał dominikanin Piotr z Dacji, miała na głowie ślady korony cierniowej. Włoska kapucynka św. Weronika Giulani przez wiele lat miała poczucie przebijania czoła kolcami, które w roku 1694 pozostawiło ślad badany starannie przez władze kościelne. Możliwe było też doświadczanie bólów ukrzyżowania czy korony cierniowej bez ujawnienia tego śladów, jak stało się to u dominikanki Ursuli Aguir z Walencji, która otrzymała niewidzialne stygmaty w roku 1592. Podobnie stało się w przypadku 19-letniej karmelitanki św. Marii Magdaleny de Pazzi (Cateriny de' Pazzi) czy też beginki Mechtyldy z Magdeburga, która zapisała swe przeżycia w dziele zatytułowanym *Das fließende Licht der Gottheit*.

² A. Maury, *op. cit.*, s. 192.

³ C. Muessig, *The Stigmata in Medieval and Early Modern Europe*, Oxford 2020, s. 130.

⁴ D. Herlihy, *Medieval Household*, Cambridge (Mass.)-London 1985, s. 120; Elena Ene D-Vasilescu, *Heavenly Sustenance in Patristic Texts and Byzantine Iconography. Nourished by the Word*, Cham (Switzerland) 2018, s. 40.

Wizje miawały niekiedy widowiskowe przejawy, jak było to u Marii von Mörl, urodzonej w tyrolskim Kaltern. W roku 1833 z różnych części jej ciała miały się wydostawać gwoździe, igły i kawałki szkła, wcześniej przez nią połknięte. Franciszkańska tercjarka św. Małgorzata z Kortony podczas ekstazy, która nastąpiła w kościele, wiła się na podłodze i zgrzytała zębami. W niektórych przypadkach możliwe jest rozpoznanie epilepsji i innych poważnych chorób, ale niekiedy dochodziło też do oszustw. W roku 1401 Jean de Gerson, kanclerz Uniwersytetu Paryskiego, opublikował traktat *Sur la distinction des vraies et des fausses visions*, podejmujący systematyczną próbę odróżniania wizji od symulacji, a także rozważający powody ich występowania. Dzieło stanowi wskazówkę, że ekstazy budziły nierzadko duże wątpliwości i konieczne stało się wypracowanie kościelnych procedur – w ich ramach można było dokonywać ocen prawdziwości cudownych zdarzeń. Pochodzący z Wrocławia protestancki teolog August Tholuc w latach 30. XIX wieku opublikował kilka wypowiedzi – rozważał w nich źródła i rodzaje zdarzeń nadzwyczajnych, nie unikając przy tym argumentów racjonalistów, z którymi wiódł głęboki spór.

Trapista i medyk Pierre Jean Corneille Debreyne w swej rozprawce zatytułowanej *Essai sur la théologie morale, considérée dans ses rapports avec la physiologie et la médecine* opisał przypadek z roku 1840, dotyczący 18-letniej dziewczyny, która otrzymała stygmaty, lecz jednocześnie wzbudziła podejrzenie o oszustwo. Pomysłowe sposoby sprawdzenia prawdziwości stygmatu zawiodły i należało uznać, że jest to cudowne zjawisko. W innych jednak sytuacjach oszustwa dziewczyny były oczywiste, chociaż nie udało się rozwikłać zasady jej prestidigitatorskich sztuczek. Czy postać moralnie niegodna zasługuje na łaski ujawniania się świętości? Tkwi w tym ta sama tajemnica, jaka związana jest z okolicznością, iż objawienia wielokrotnie dotyczyły osób prostodusznych czy dzieci. Niewątpliwe jest jednak, że nawet z person niepiśmiennych wizje czyniły elokwentnych głosicieli.

Wielokrotnie zwracano uwagę, iż ekstatyczny mistycyzm był niepomrotnie częściej udziałem kobiet niż mężczyzn, co przekładało się także na specyficzny udział uczuć miłosnych w doświadczeniach mistycznych. W mistycznych uniesieniach kobiet Jezus bądź reprezentujący go anioł mają walory przystojnego, młodego mężczyzny, którego cielesne właściwości rozbudzają ich namiętność i skłaniają do czułości czy niekiedy aktów seksualnych. Kobiety popadają w miłość do Adonisa, figury wiecznego kochanka, który może zaspokoić ich potrzeby miłości, ale też pożądanie do mężczyzny. Zdaniem Umberta Eco przyczyny mogą mieć charakter kulturowy i wynikać z okoliczności, że życie monastyczne kobiet było częścią przymuszania do seksualnej abstynencji, a zatem stosunek hierofaniczny mógł być rekompensatą stłumionych pragnień. Objawienia św. Gertrudy mają charakter epitalamium i relacji na temat reakcji jej błony dziewiczej. Święta Katarzyna z Sieny opisywała ceremonię, podczas której Jezus zjednoczył się z nią przez sakrament małżeństwa. Maury wymienia św. Krystynę, przeoryszkę z Saint-Benoît, która uwierzyła, że została przyjęta jako oblubienica w łóżu swego Zbawiciela⁵. Francuska wizytka Małgorzata Alacoque,

⁵ A. Maury, *op.cit.*, s. 227; *idem*, *La magie et l'astrologie dans l'Antiquité et au Moyen Âge ou Étude sur les superstitions païennes qui se sont perpétuées jusqu'à nos jours*, Paris 1860, s. 406; G. Séginger,

w zakonie – siostra Małgorzata-Maria, jeszcze podczas choroby w okresie przed wstąpieniem do klasztoru uważała się za „oblubienicę Jezusa”. W roku 1671 wstąpiła w wieku 24 lat do klasztoru w Paray-le Monial, gdzie praktykowała ciężkie umartwienia i zadawaną sobie chłostę. Dnia 27 grudnia 1673, a następnie także w roku 1674 i 1675 miała wizje, podczas których Jezus ukazywał jej swoje Najświętsze Serce. Spisane przez nią wspomnienia zawierają dużą liczbę kontrowersyjnych opisów, w tym jeden dotyczący wydarzenia, podczas którego Jezus położył się na Małgorzacie całym ciężarem swego ciała, a na jej protesty oświadczył: „Pozwól, abym używał ciebie tak, jak mi się podoba, bo wszystko trzeba robić we właściwym czasie. Teraz chcę, abyś była przedmiotem mej miłości, posłuszna mej woli, nie stawiając mi żadnego oporu, a ja w ten sposób odczuję rozkosz”⁶.

O sile miłości i jej wszechstronności głosiły wpisy w *I quaranta giorni* św. Marii Magdaleny de Pazzi z roku 1598. Pisała ona: „Tylko ty przenikasz i przeszywasz, wszystko łamiesz i zwyciężasz. Miłości, miłości. Tyś niebem i Ziemią, Ogniem i Powietrzem, Krwią i wodą. O miłości, jesteś Bogiem i człowiekiem”. Wypowiedzi tego rodzaju stanowiły niegdyś chwałę myśli ludzkiej i świadomości rozciągłości tego pojęcia między metafizyką i cielesnością. Wyrazem tych napięć są też pisma św. Teresy z Ávili, gdy pisze, że boska miłość jest jak wino, które przenika do jej żył i ją upaja, czy też wspomina o boskim małżonku, który sprawia, że w jednej chwili może ona rozkoszować się pięknem i całą chwałą raju w sposób niemal niewymowny.

Często cytowany fragment pism św. Teresy głosi:

czasami wychodzę zupełnie z siebie i nawet bym tego nie zauważyła, gdybym nie wydawała z całych sił miłosnych jęków. [...] Pewnego razu zjawił mi się anioł w postaci widomej. Był przepiękny. Ujrzałam w rękę tego anioła długą włócznię złotą, a grot jej żelazny u samego końca był jakby z ognia. Tą włócznią, zdało mi się, kilkoma nawrotami serce mi przebijał, zgłębiając się aż do wnętrzości. Za każdym wyciągnięciem włóczni miałam to uczucie, jakby wraz z nią wnętrzości mi wyciągał; tak mnie zostawił całą gorejącą wielkim zapałem miłości Bożej. Tak wielki był ból tego przebicia, że mi wyrwał z piersi one jęki [...] ale taką zarazem przewyższającą wszelki wyraz słodkość sprawia mi to niewypowiedziane męczeństwo, że nie czuję pragnienia, by ono się skończyło [...] Nie jest to ból cielesny, ale duchowy, chociaż i ciało niejaki, owszem, nawet znaczny ma w nim udział⁷.

Rozpatrywanie powyższego fragmentu nawet jako zapisu cielesnego aktu seksualnego, wraz ze szczegółami dotyczącymi ruchów frykcyjnych, budziło zawsze szacunek, nawet u Maury’go. Zdaniem tego uczonego wielkość św. Teresy jest dokumentowana w jej uważnych obserwacjach swoich reakcji i starannym kwestionowaniu tych skłonności, które są zbyt ludzkie i osobiste. Zmagania między

Alfred Maury: *religion et médecine*, [w:] *Les religions du XIXe siècle*, red. S. Guermès, B. Marchal, Paris 2011, s. 8

⁶ Cyt. za: U. Eco, *Na ramionach olbrzymów*, przeł. K. Żaboklicki, Warszawa 2019, s. 404.

⁷ Cyt. za: U. Eco, *op. cit.*, s. 403. Por. Św. Teresa od Jezusa, *Dzieła*, t. I, przeł. Ks. Bp H.P. Kossowski, Kraków 1987, s. 372. Jak skomentował tłumacz: „Łaskę tę nadzwyczajną otrzymała Święta w 45 roku swego życia, gdy jeszcze mieszkała w klasztorze Wcielenia w Awili”, *ibidem*.

tym, co należy do sfery czystego ducha, a tym, co należy do duszy i ciała, ukazują nierozdzielność tych aspektów człowieczeństwa i dowodzą swego rodzaju unii hipostatycznej zachodzącej też w osobie ludzkiej.

* * *

Potrzeba czy niezbędność ekstatycznego mistycyzmu dla życia jednostek i wspólnot jest trudna do zakwestionowania. Mity, symbole i religie są formami ustalania metafizycznych podstaw ludzkiej egzystencji i jak dotąd zapewniają głębszą wiedzę niż świeckie filozofie czy nauki. Podobnie też jak sztuka wprowadzają harmonię między tym, co niepoznawalne i poznawalne, między tym, co radykalnie inne, a tym, co zwyczajne. Od bardzo odległych czasów ludzkiej kultury próby negacji jednej ugruntowanej dziedziny wierzeń kończyły się budową nowego systemu metafizycznego, który po dłuższym okresie swego rozwoju ujawniał elementy nieoznaczalne o tajemniczym pochodzeniu. Ekstatycy i mistycy, zarówno ci o niepodważalnej wielkości, jak również owi działający na granicy oszustwa, dokonują prób odnowienia chwil w życiu ludzkim, kiedy nieskończoność momentalnie łączy się z możliwościami ludzkiej wyobraźni.

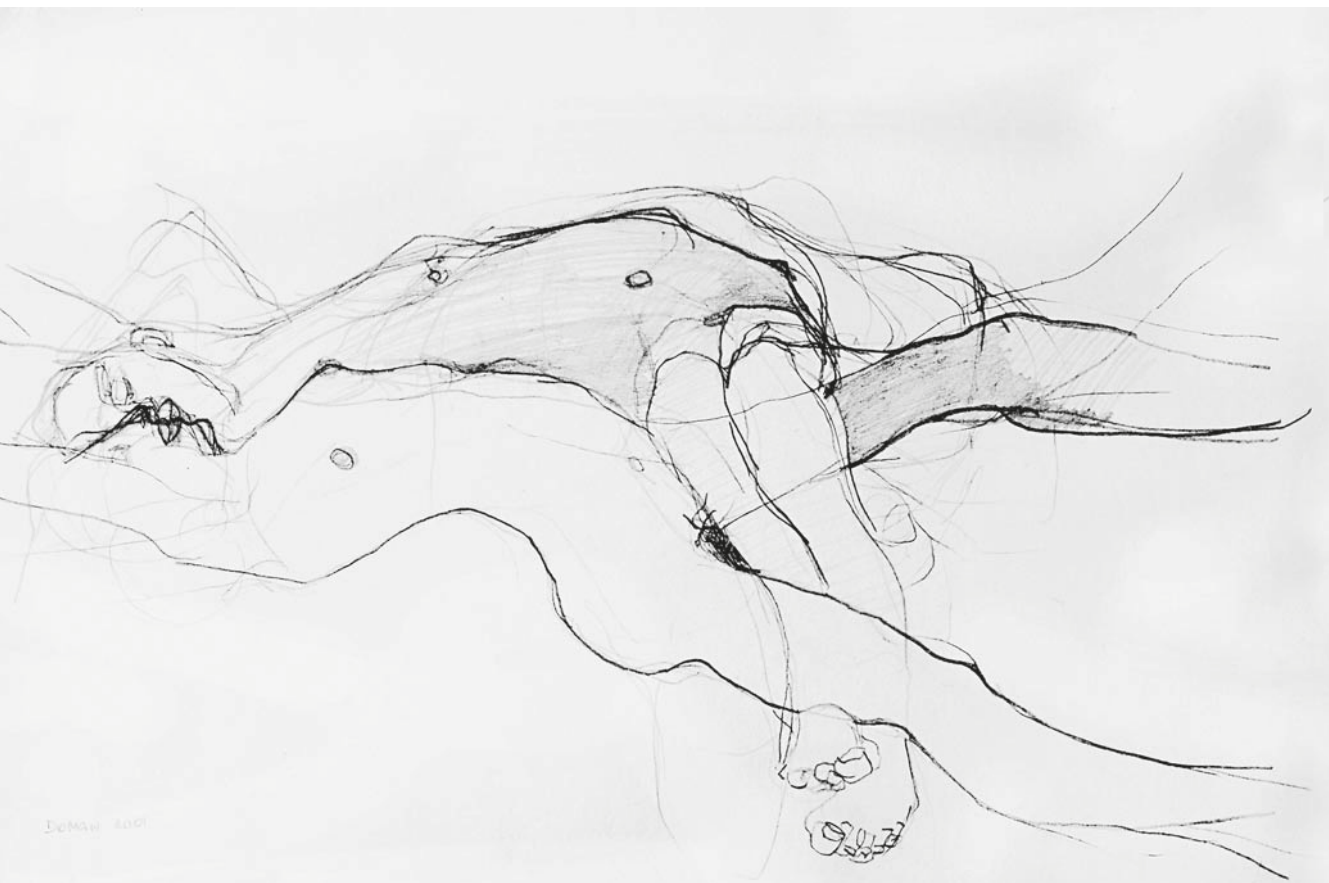


ARKADIUSZ AULICH

Liryczny prześladowca

Ukrzyżowany Chrystus miał zatrwożoną twarz Mickiewicza.
Mefistofeles Matka Boska od aniołów i Święty Mikołaj piekielnie podobni do
Mickiewicza.
Bezosobowy Bóg jawi się jako „wielka improwizacja”
Mickiewicza.
Wielki wybuch wszechświat Łajka w kosmosie i łąta na dupie obrazują dzieło
Mickiewicza.
Kopernik odkrył że ziemia krąży wokół
Mickiewicza.
Teoria względności Einsteina to $E = AM^2$.
Proboszcz z ambony głosi słowo
Mickiewicza.
Pierwszy człowiek to przecież Adam.
Panieńskie nazwisko pierwszej kobiety brzmiało
Mickiewicz.
Grzech pierworodny soczyście tożsamy z niedojrzałymi decyzjami
Mickiewicza.
„Soplica” z „Panem Tadeuszem” stuprocentowo
Mickiewiczowskie.
Noc osobiwie obca z twarzą Mickiewicza i dzień cały razi
Mickiewiczem.
Kresy Wschodnie i zachodni Paryż także
Mickiewiczowskie.
W grobie Morrisona znaleziono szczątki
Mickiewicza.
W grobie Witkacego szczątki kobiety miały dziwnie znajomą twarz.
Słowacki zza grobu wystosował listowną prośbę – *Adaś wróć!*
Hitler obawiał się legendy Mickiewicza dlatego postanowił unicestwić naród polski.
Stalin miał manię prześladowczą duch Mickiewicza go prześladował.
Królową nauk jest
Mickiewicz.
Dwa plus dwa równa się Mickiewicz – co do mnożenia to „wielka improwizacja”.
Pewnie przyszłe matury z polskiego obrazować będą dzieła
Mickiewicza.
Akademia Szwedzka myśli o przyznaniu Nagrody Nobla Adamowi
Mickiewiczowi.
Minister kultury myśli o zmianie nazwiska tu stawiam wielki znak zapytania.
Polonistka z którą spałem nuciła „Ballady i romanse” w jej lustrze jawiła się postać
Mickiewicza.

Biblioteki wszechświata obsesyjnie zagracone
Mickiewiczem.
Było sobie takich dwóch w jednej osobie co skradli „Odę do młodości”
Mickiewicza.
Freud twierdził że śniła mi się kobieta a mnie śnił się
Mickiewicz.
Dzieci w piaskownicy lepią babki z formy
Mickiewicza.
Wczoraj jakaś kobieta nawoływała syna – Adaś do domu!
W sex shopie wibrator z głową Mickiewicza przepełniony pożądaniem.
Jej ginekolog ma na nazwisko Mickiewicz i pochodzi z Kresów Wschodnich.
Jej wagina ma usta
Mickiewicza.
Na banknocie stutysięcznym widnieje
Mickiewicz.
Mój ojciec ma na imię Adam.
Syn Mickiewicza był bardziej mickiewiczowski niż sam
Mickiewicz.
Pierwszą miłością Mickiewicza był on sam.
Pierwszą moją literacką miłością był
Mickiewicz.



Osobliwy

I

Wreszcie dostałem zaszczytu
katharsis

Arystoteles opisał go w periodykach
rozweselającym atramentem

Wybucham kpiącą czkawką
tracąc pamięć (absolutną?)
aż po noc nieprzespaną
i dzień wymazany z życiorysu

II

Wreszcie dostałem zaszczytu bycia
poetą przeklętym

Wojacek opisał to w periodykach
atramentem rozweselającym

Wybuchając kpiącą czkawką
tracę pamięć (absolutną?)
aż po noc nieprzespaną
i dzień z życiorysu wymazany

III

Wreszcie dostałem zaszczytu
apostazji

Proboszcz opisał mnie w periodykach
atramentem rozweselającym

Wybucham kpiącą czkawką
tracę pamięć (absolutną?)
w nieprzespaną noc
aż po dzień wymazany z życiorysu

W spożywczaku o Freudzie

Ta historia miała początek w dniu czegoś niewytłumaczalnego

Nie mogąc rozłożyć na czynniki pierwsze ID – ego i superego
zakupiłem kilogram ziemniaków

I zastanawiam się czy taki ziemniak posiada osobowość
albo – co gorsza – dla konsumenta świadomość

z konsumowania organizmu świadomie czującego

Dom czystych myśli

Zbliżał się kres żarzących ogników
Matka Boska przybrała jakiś nieokreślony kształt
Modlitwy

Północ majestatycznie wkroczyła w każdy kąt niepokoju
w osamotnieniu wyraźniej skrzypiały drzwi

Szafy rozwarły ramiona
zachęcają do przekroczenia granicy strachu

Powiększone źrenice zastygły

Wskazówki zegara opieszale odmierzały

Lęk

Konkwistador

Spojrzenie pragnienie mgnienie
twoje udo
krocze Kolumba wytycza nowe lądy
ta noc będzie dla nas odkryciem Ameryki
krzycz
że jestem władcą tej ziemi

Oto stoję nagi i następny
niech nasz wszechświat się rozpadnie
będziemy wylegiwać się w łóżku
wymyślać nowe królestwa
dla nowych kobiet i mężczyzn

Profanum

Zakonnica w negliżu
modliła się do Boga
pogrzebanego w krypcie

Okiem drapieżcy spoglądałem
na jej nieskazitelne ciało

Krwiste usta
szeptały „Ojcie nasz...”
w otchłań nieskończoności

Ukryty przed wzrokiem
naiwnie wypowiedzanych słów

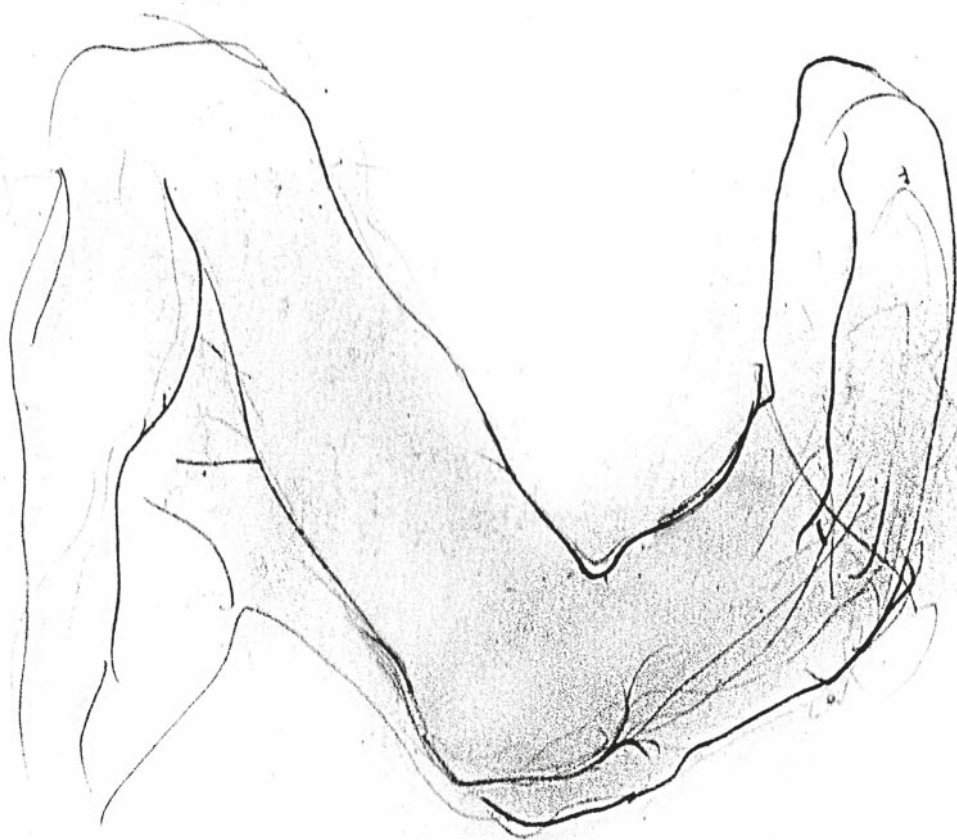
tworzę własną religię
ze szczątków upadłego Boga

Nicoficjalnie

Skądinąd przywędrowała niezapowiedziana
ze wzrokiem utkwionym wewnątrz nas

Przewertowała to co przeszłe i to co przyszłe
i wystroiła się w naszą nieświadomość

Nie przyglądając się sobie



Tabu

Podobno człowiek uzyskuje poczucie odrębności wobec świata po tym, jak zobaczy siebie po raz pierwszy w lustrze. Nazywa się tę fazę rozwoju – fazą lustra. Ja zawsze unikałam luster. Może nie chciałam być sobą. Może nie chciałam odrębności wynikającej z tego, że mam ciało.

To, że to ludzkie ciało jest mi przypisane, że mam granicę skóry, zawsze jakoś mnie dziwiło. Raz ciało było ciężarem, raz przeszkodą, raz czymś tak przypadkowym, że niewartym uwagi. Czytając Platona na pierwszym roku studiów, jeszcze bardziej utwierdziłam się w przekonaniu, że jestem więźniem ciała.

Dlatego marzyła mi się niewidzialność, to lekkie rozpływanie się, zatracanie w świecie, ten brak granic, przypisania do ciała, kiedy mogłabym być wszędzie. Czytając Platona, miałam dobre wytłumaczenie dla swoich wędrówek poza siebie, dla wrażenia obcości własnej skóry, dla potrzeby niewidzialności. Jednak świat sprowadzał mnie na ziemię, nieustanna presja widzialności wymagała, abym akceptowała to, że jestem ciałem.

W mieście nieustannie patrzyłam na twarze ludzi, na reklamy ciał ludzkich, ciało było wszędzie. Materia życia. Jakbyśmy nie chcieli uznać, że jesteśmy czymś więcej. Jakbyśmy nie mogli już być czymś więcej. Nagie ciała, ubrane ciała, miasto ludzkich ciał. Było mi to obce. Ale godziłam się z tym, jak z faktem, którego nie można zmienić.

Pod koniec trzeciego roku studiów szukałam pracy. Pracy jakiegokolwiek, byleby zarobić na dalsze studia. W kraju pracy było mało, dla studentów również. Dla milczących i zamyślonych studentek filozofii szczególnie. Byłam wtedy nieszczęśliwie zakochana, paliłam mosty, chciałam zanegować, zawiesić, unicestwić siebie. Nie byłam tego w pełni świadoma, ale tak wyglądały wtedy moje działania i myśli – dominowała w nich negacja.

I wtedy pojawił się sposób dla mnie na wyjście poza siebie. Wyjście paradoksalne, ale człowiek jest istotą paradoksalną. Wyszłam z własnej skóry, stając się jedynie powierzchnią własnego ciała. Cały mój byt wewnętrzny zredukowałam do minimum, do powierzchni własnej skóry.

Gdy znajoma powiedziała, że jest praca na Akademii Sztuk Pięknych w charakterze modela, wiedziałam, że jest to ostatnia praca, której chcę, i jedyna praca, która mi umożliwi całkowitą negację siebie, odrzucenie tego, kim byłam, wyjście poza siebie. Zgodziłam się. Byłam przez pół roku modelką na ASP i w prywatnych pracowniach malarek i malarzy.

Drobna wtedy, ciemnowłosa, o egzotycznych rysach twarzy, młodzieńka – na modelkę nadawałam się bardzo dobrze. Na ASP przyjęli mnie od razu. Nie płacili dużo za pracę, ale czego oczekiwać od pracy, gdzie się siedzi jedynie półnago, nie jest

się prezesem, programistą, nauczycielem, sekretarką, sprzedawczynią czy nawet kelnerką? Nie robi się niczego poza używaniem własnej nagości w szlachetnych celach sztuk pięknych, niczego pożytecznego i niczego, czego by człowiek się nauczył dzięki własnym talentom. Nic, tylko się siedzi, stoi, gapi nie wiadomo gdzie i myśli nie wiadomo o czym, gdy inni ludzie rysują, szkicują, uczą się pilnie swojej sztuki.

Nagość była moim jedynym atutem, nie moim, ale naturalnym, danym mi wraz z chwilą urodzenia. Nic poza nią w tej pracy się nie liczyło. Zredukowałam się do własnego ciała, do samej anatomii i samej powierzchni własnej skóry. To jej linie rysowali przyszli malarze i architekci, ćwicząc się w portretowaniu żywego przedmiotu.

Bo stałam się z podmiotu – przedmiotem. I poczułam to od razu, w pierwszej godzinie mojej pracy.

Pierwsza sesja ze mną odbywała się na Wydziale Architektury. W zajęciach uczestniczyli sami przyszli architekci.

Byłam bardzo wystraszona, byłam przerażona. Próbowалам ten lęk stłumić. Powoli nadeszła dysocjacja i mogłam oddzielić się powoli od siebie. Ale zanim to nastąpiło, z wielką uprzejmością poproszono mnie, aby rozebrała się do majtek. Drżały mi ręce, posłusznie zdjęłam ubranie i przeszłam przez całą salę pełną młodych ludzi przy sztalugach i szkicownikach, którzy z ciekawością na mnie patrzyli.

Przeszłam, zakrywając rękami moje małe piersi, i idąc skulona w sobie, prawie się trzęsłam, ale tak wewnętrznie, jakby odarto mnie ze skóry, zabrano mi tarczę. Byłam bezbronnym wojownikiem pozbawionym zbroi i tarczy, jedynej ochrony, którą ma człowiek, aby nie czuł się bezbranny wśród innych ludzi – swojego ubrania. I tak czując, jakby pozbawiono mnie skóry, jakby zostało nagle tylko moje wnętrze – kości, mięśnie, żyły, organy wewnętrzne, cała moja wewnętrzna nagość, bo nagość możesz czuć i w środku, i na zewnątrz – zasiadłam na wyznaczonym miejscu. Na pewnym małym podwyższeniu, aby było mnie widać. Wszyscy byli bardzo uprzejmi dla mnie i uśmiechali się życzliwie, a ja przeżywałam swój wewnętrzny horror.

Na początku siedzenia poczułam, jak zalała mnie silna fala strachu i wstydu. Uderzenie gorąca do głowy i zimno na skórze. Myślałam wtedy jedynie, żeby tylko nie zemdleć, to będzie straszny obciach, byle nie zemdleć.

Skupiłam się na oddechu, wdech i wydech. Regularnie. Wdech i wydech. Powoli ciało zaczęło się uspokajać, a ja odłączać od siebie. W pewnej chwili poczułam, że najlepszym sposobem jest nie patrzeć na ludzi, tylko wybrać punkt w przestrzeni i na nim się skoncentrować. Tak też zrobiłam. Oddychałam, patrząc w jeden punkt, a rzeczywistość wokół mnie powoli przestała mnie przerażać. Nie czułam już też siebie tak wyraźnie i tego poczucia nagiej skóry, do której siebie zredukowałam.

Siedziałam, wdech i wydech, wdech i wydech.

Wróciłam do tu i teraz, ale w sposób, który sprawiał, że mogłam być. Mogłam odłączyć się od własnego ciała, bo gdzieś w głębi swojego umysłu znalazłam schronienie. Tu i teraz, mój umysł wolny, jestem w mojej głowie, tu i teraz, wdech i wydech, i jeszcze raz, wdech i wydech, tu i teraz.

Czas biegł powoli, ale nie doświadczałam go, byłam w jakimś wymiarze poza czasem, choć dokładnie w jego środku, w teraz. Byłam też w tym miejscu, duże okna pracowni wychodziły na ogromne drzewa, a ja przez nie patrzyłam na świeżą

zieleń. Rósł tam rozłożysty kasztanowiec, rósł tam klon i rósł tam dąb. Przyjazne drzewa. Wpatrywałam się w kasztanowiec. Światło słońca przenikało przez jego liście, naga, zielona skóra liści, tak jak moja bezbronna, żywa skóra. Drzewo za otwartym oknem opiekowało się mną, czułam to. Konary otaczały mnie, chroniły swoim cieniem. Szumiało na wietrze, poruszane przez wiatr liście stykały się z sobą w jakimś niewypowiedzianym śpiewie. Duże liście jak palce, jak otwarte dłonie szły, nadchodziły mi z pomocą, chciały mnie zabrać daleko stąd.

Mogłabym unieść się wysoko, wyjść z ciała, wyjść z pracowni na drugim piętrze, lekko jak chmura wymknąć przez okno. Gdy tak patrzyłam na drzewo, poczułam się nim. Wrosłam w ziemię i odzyskałam siłę. Nagość życia, ludzkie odarcie z siebie już mnie tak nie przerażało, bo wrosłam w ziemię korzeniami kasztanowca. W tej chwili to on mnie znał, bo... on mnie nie widział. Bo on tylko żył, nie chciał się pokazać, nie chciał być w oczach kogoś drugiego, on tylko żył.

Powoli zbliżała się przerwa, a obok młodzi ludzie tacy jak ja szeptali do siebie, słyszałam szelest ołówków biegnących po kartonach. Wykładowca chodził między studentami, patrzył raz na mnie, raz na szkic i znowu na mnie, i na szkic, poprawiał, radził, uczył. Ja byłam tu, w swoim ciele i utożsamiałam się ze spojrzeniem, które było we mnie utkwione, ale nie było mnie jednocześnie. Byłam też głową oderwaną



od miejsca, czasu i okoliczności. Jakby ktoś umieścił ten żywy przedmiot, który był mną, abym siebie obserwowała oczami innych i równocześnie mogła obserwować to, co przez tych ludzi obserwowane, a co było mną tylko w jakimś przygodnym, niepojętym sensie.

Wtedy odłączyłam się od swojej fizycznej tożsamości po raz pierwszy tak bardzo, aby w tej dysocjacji pozostać do chwili, gdy znowu założyłam ubranie, gdy założyłam moją zbroję i tarczę, mogłam znów być człowiekiem pośród ludzi, bo mój ubiór, a nie nagość czynił mnie na powrót istotą społeczną, istotą kulturową, istotą ludzką.

Potem była przerwa, w jej trakcie wyszłam na schody i paliłam jak inni studenci, ale patrzyli na mnie z dystansem, a ja na nich. Jakbyśmy wszyscy chcieli zapomnieć o tej chwili, gdy byłam naga, gdy oni mnie widzieli i gdy ja wiedziałam, że mnie widzą. W ubraniu byłam jedną z nich, byłam sobą, bez niego byłam wyróżniona i byłam zredukowana, i zdeprecjonowana jednocześnie jako człowiek.

Sesja trwała parę godzin. Byłam już zmęczona, powoli zmęczenie zaczynało przeważać nad wstydem. W pewnym momencie byłam już tylko zmęczona. Pod koniec dnia zerkałam na swoje portrety namalowane na kartonach, na sztalugach. Tak, myślałam – to ja, niewątpliwie, naga kobieta, ta kobieta, to ciało – to ja i nie czułam żadnego przy tym związku z tym obrazem siebie.

Miałam swój obraz siebie w głowie, w moim umyśle, to byłam ja. Nie ta, która siebie widzi, ale ta, przez którą świat i inni ludzi stają się widoczni, to byłam prawdziwa ja. Tylko że tam, w tej roli modela ta ja prawdziwa nikogo nie obchodziła.

Po pracy na Wydziale Architektury przeniosłam się na sesję Wydziału Malarstwa. Podobno to było wyróżnienie. Od ósmej rano do szesnastej miałam z przerwami siedzieć na krześle: oparcie krzesła między nogami, dłonie na oparciu. Kierownik pracowni po tym, gdy się spóźniłam dziesięć minut na sesję poranną, był wściekły, wycedził: Wszyscy już na panią czekamy. Ustawił mnie do sesji na krześle jak lalkę i siedziałam tam z przerwami przez te osiem godzin, aby studenci malarstwa mogli ćwiczyć się w wprawnym wyczuwaniu kształtu tego żywego przedmiotu – ciała ludzkiego.

Z całego dnia zapamiętałam tylko jedno: któryś ze studentów naszkicował mnie z wyjątkową fantazją. Na jego szkicu była smukła, piękna kobieta o ciemnych włosach, zza których wychodziły cienkie, zakończone spiczasto uszy elfa. Byłam w jego oczach elfem! Patrzyłam i uśmiechałam się do szkicu tak, aby nikt nie zauważył. Pierwszy raz poczułam sympatię do swojego obrazu. Nie pamiętam już teraz twarzy tego chłopaka, malującego mnie jako elfa, i nie wiem, czy zamieniłam z nim choć zdanie, ale nadal mu jestem wdzięczna za ten obraz, którym zobaczył poprzez moje ciało – duszę elfa, tę małą, wystraszoną pośród ludzi duszę z innego świata.

Do pracowni przychodzili też malarze i nauczyciele rysunku w poszukiwaniu modeli. W ten sposób dostałam się do pracowni jednego z nich, który postaci malował realistycznie z dokładnością 1:1. Na ścianach wisiały jego obrazy namalowane ze zdumiewającą precyzją. Uczył swoją dziewczynę do egzaminów na ASP. Zaprzyjaźniłam się z tą parą, w granicach mojej pracy. Zaczęłam robić własne grafiki w Photoshopie. Wtedy to była jeszcze nowość, komputery nie były tak popularne. Ta praca, własna praca nad obrazem, pozwalała mi odzyskać poczucie siebie. Nie traciłam kontaktu z obrazami, ale nauczyłam się je sama tworzyć.

Ostatnia moja sesja odbywała się u profesora architektury, który uczył w swojej pracowni uczniów do egzaminu na ASP. Profesor ustawił mnie do sesji bardzo delikatnie, jakbym była ze szkła. Lekkie muśnięcie po nodze, delikatne ustawienie głowy, potem rąk. Ustawiał mnie do tej sesji prawie z czułością.

Jednak ustawienie było wyjątkowo trudne. Głowa odchylona lekko na bok, skręt kręgosłupa. Pod ośmiu godzinach sesji czułam już tylko przeszywający ból, ból tak potworny, jakbym miała rozpalony pręt w ciele zamiast kręgosłupa. Wszyscy na sali chyba to rozumieli, pozwalali mi delikatnie zmieniać pozycję, robić przerwy częściej. Nauczyłam się przenosić uwagę z jednej części ciała na drugą, rozluźniać napięcie w różnych jego partiach. Wdech i wydech, patrzenie w punkt, mimo bólu zaciekle koncentracja. Wytrzymałam. Nauczyciel musiał pomóc mi wstać na koniec sesji. Delikatne muśnięcie po ramieniu, pełne współczucia. Koniec.

Ubrana wyszłam wolna. Wolna. Nigdy później już nie pracowałam jako model. Spotkałam tego nauczyciela na korytarzu ASP. Poznał mnie, oznajmiłam mu, że zrezygnowałam z pracy, chcę się skupić na studiach. Powiedziała, co studiuje, bo pytał. Podniósł nieznacznie brwi, zaskoczony, i stwierdził, że szkoda, że już nie będę pracowała, podobnie też studenci żalowali, że odchodzę.

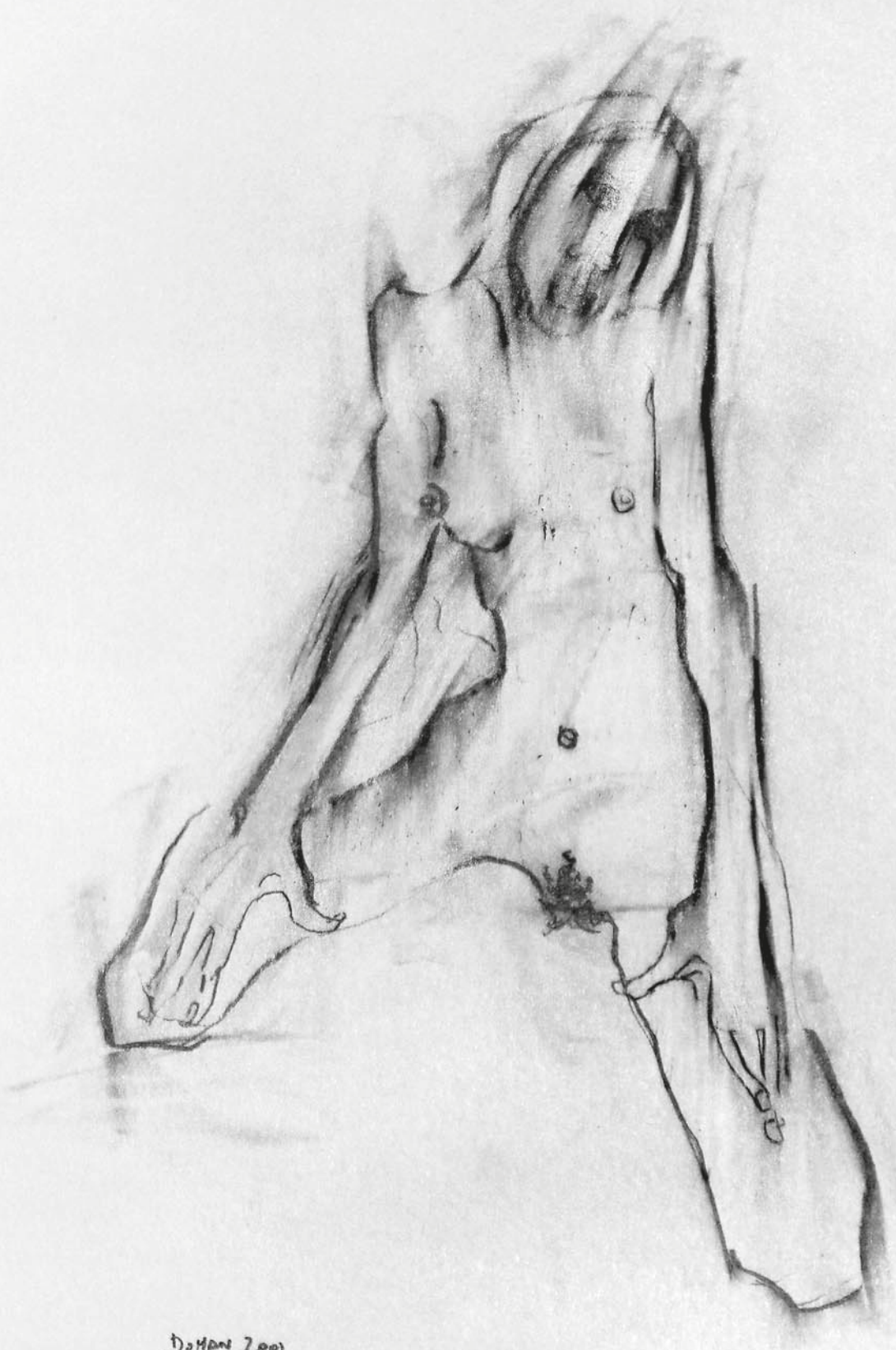
Zeszłam z dużych schodów uczelni. Ubrana, w mojej tarczy i zbroi czułam się znowu niezwyciężona. Odzyskałam ciało, które odebrały mi obce spojrzenia, odzyskałam siebie. Ubraną siebie. Byłam człowiekiem, znowu byłam jedynie człowiekiem pośród ludzi. Już nie żywym przedmiotem, już nie obrazem. Byłam już jedynie człowiekiem.

Teraz, po tym doświadczeniu, mam inną postawę wobec nagości. Nie lubię chodzić rozebrana. Mój mężczyzna śmiał się kiedyś ze mnie: A co ty się tak wstydzisz swojego ciała, nie masz powodu. Siedział nagi, bo lubił chodzić nago, a ja obok w szlafroku. Uważał, że może mam jakieś blokady, kompleksy. On czuł się wolny, gdy był rozebrany, ja odwrotnie. Nie rozumiał, a ja nie umiałam dotrzeć do sedna, aby mu to wytłumaczyć. Potem już nie było po co tego tłumaczyć.

Nadal to jednak istnieje we mnie. Ta niechęć do nagości. Po kąpieli szybko ubieram pizamy. Latem muszę mieć cokolwiek na sobie. Niektórzy chodzą rozebrani w swoich czterech ścianach. Ja nigdy.

Ta rysa pozostaje, rysa negacji siebie, rysa uprzedmiotowienia. I może już nigdy nagość nie będzie dla mnie niewinna. Może zawsze będzie w niej dla mnie rodzaj czegoś zakazanego, czegoś jak tabu. Ryzykiem czy przekleństwem – uprzedmiotowienia, redukcji czegoś więcej do – ciała. I będę się czuła wolna jedynie dzięki temu, że będę ubrana, i tylko tak będę czuła się człowiekiem. Może taka rysa pozostaje na zawsze.

Nigdy już też nie utożsamiałam się w pełni ze swoim ciałem. Może nie przesłam przez fazę lustra. Może nawet nie warto przez nią przejść, bo z czasem lustra stają mi się coraz bardziej obojętne. Jakbym czekała na pewien moment. Na ten, gdy znów stanę się wolna. Wdech i wydech. Mój umysł wolny. Wdech i wydech. I będę mogła stać się znów tym kasztanowcem. Wrosnąć głęboko w ziemię i połączyć z niebem, wiatr będzie szumił we mnie i będę mogła – tylko żyć.



Do Han 2009

ALEKSANDER NAJDA

Boże Ciało

Archeologia maźnięć pędzlem
 lub czym się da
 kciukiem szmatą
maźnięcie na maźnięciu
wet on wet
ślady włosia w magmie farb –
 borsuk
 szczecina dzikich świń
spiralne smugi żłobień
żagle ciśnień
 niektóre z nich ujrzą światło
jako nadpalona terrakota
szafran
cień zachlapany pąsowym winem
dzban rzucony w kąt
glina

zejdą ku nam jako herbaciane róże
mięta
pistacja z żyłkami kapryśnych sjen
mętny mangan melancholii
kawa z mlekiem

czas wiąże śmiałe kokardy
aranżuje koterie marzeń
kołysze luźny szpaler roześmianych dziewcząt –

boże ciało na cherławym krzyżu
coś *à la* Bizancjum przemyczone
 w ostatniej chwili
 akurat na czas aby obejść
 kościół
 cmentarz
 stragan z dewocjonaliami
 krzyż

Effatha

To aramejskie słowo oznacza coś innego
niż powszechnie się uważa –
zwrócone jest do słuchających

którzy nie słyszą do patrzących
którzy nie widzą do mówiących
którzy nie wiedzą co mówią

do wypowiadających słowa bez oparcia
tymczasowe i nieobecne rzucone
mimochodem w kleszcze potoczności

ἐφφαθά jest wezwaniem
znakiem do powrotu słowa stającego się
ciałem i do początku –

jeśli taki w ogóle miał miejsce

Torqued Ellipses

*Pisarze używają słów,
Rzeźbiarze czynów.*

Pomponius Gauricus, *De Sculptura*

*Everything we choose in life for its lightness
soon reveals its unbearable weight.*

Richard Serra

Jak i słowo które stało się ciałem –
z nierdzewnej stali

Matthias Grünewald

*You can use them [commissions]
selfishly for your own ends, as
Grünewald must have done at
Isenheim.*

Lucian Freud

Wykonam twoje polecenie z najwyższą starannością,
tworząc obraz uśmierzający wszelkie wątpliwości. Ukażę
splendor męki w wiosennym świetle, czarną śmierć pokusy,

tryumf udręki, jakiej nikt nie zdołał sobie wyobrazić, powab
cierni, kunszt konwulsji, modlitwę o szybki koniec.

To jest moja szansa – doskonała okazja, by zadziwić
zarówno szacowną kongregację, jak i szpital.

W obliczu tego, co zamierzam stworzyć, nawet trąd
wyda się zbawieniem. Wzbudzę spazmy ciągnące się
w nieskończoność, peryferie cierpienia sprowadzę do kuchni,
na podwórko. Będzie to coś lepszego niż zwykłe łamanie
kości czy jakieś pospolite gnicie. Wszystko przepisowo,

zgodnie z prawem, tradycją tygla na okryte tajemnicą
chemikalia. Sam widok krzyża będzie budził przerażenie,
ale to jest do oswojenia. Pójdę za nim mimo wszystko,
a kto wie, czy nie dalej. Nawet za daleko. Nigdy nie wiadomo,
co się stanie, gdy pomyje nadziei znajdą się za oknem.

Morandi (*Grande natura morta scura*, 1934)

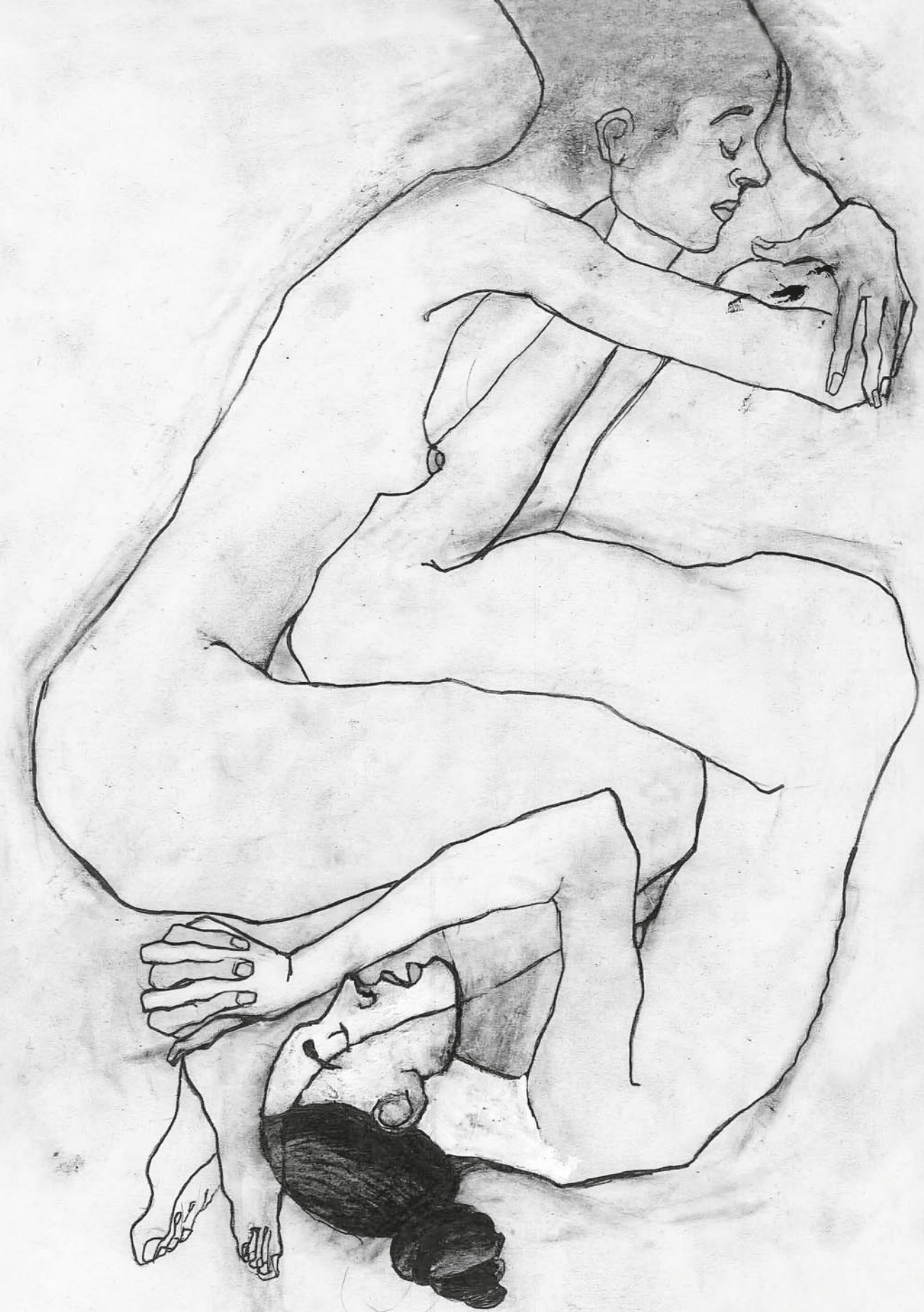
Stłoczone ciała
stoją na stole –

bez tła w mrocznej
martwej naturze –

dantejski bór
znikąd –

gromada kształtów na strajku
o nic lub o coś innego –

żądadą tego co nie ma
zawsze tego samego –



KRZYSZTOF RUDOWSKI

Mandragora

fragment powieści *Popołudnie Fausta*

Na przekór mglistej tendencji tej przewrotnej piątej pory roku, jaką jest Wielki Tydzień, przewrotnej, ponieważ wypadającej za każdym razem (każdego roku) w innym miejscu kalendarza, Wielki Czwartek powitał mnie czystym niebem i jasnym słońcem, bardziej pasującym do środka lata niż do nieśmiałej wiosny, z niezmienną powściągliwością zjawiającej się w naszym nieokreślonym klimacie Europy Środkowej, którą – im bardziej na zachód – częściej zwą Europą Wschodnią. Jak łatwo aura potrafi zapanować nad słabym ludzkim charakterem, można przekonać się, gdy wyzwalamy się na pewien czas z obowiązków i fundujemy sobie czas wolny, zwykle w jakimś uroczym miejscu w górach lub nad morzem, a wtedy wpływ pogody okazuje się niebywale istotny, a może nawet najistotniejszy, ponieważ to ona decyduje, co też kolejnego dnia będziemy robić. W moim przypadku nie było inaczej, choć znajdowałem się w centrum dużego miasta, ale gdyby dzisiaj obudziła mnie mgła, łatwiej byłoby mi uwierzyć, że wszystko, co zdarzyło się ostatniej nocy, rzeczywiście miało miejsce. Tymczasem pogodny dzień sprawił, iż to, co pamiętałem, zbyłem krótkim stwierdzeniem o sennych rojeniach ożywiających zmarłych, z którymi prowadzimy dialogi, będące przecież monologami naszej wyobraźni. Z takim przeświadczeniem wstałem i wyszedłem na zalaną słońcem ulicę Biskupią, ale ta ulica – ożywiona muśnięciem nadchodzącej niechybnie wiosny – przypomniła mi inną ulicę, którą niegdyś, o każdej porze roku, codziennie pokonywałem, niemniej w pamięci pozostał obraz właśnie wiosenny, z czasu radosnego oczekiwania na koniec szkolnych obowiązków i wyglądanía wolności, jaką niosły z sobą wakacje. Co prawda, próbując przywołać tamte tęsknoty, marzenia i oczekiwania, nie potrafiłem przypomnieć sobie niczego konkretnego, a jedynie ten bezkompromisowy optymizm młodego człowieka, który zgadzał się w dużym stopniu z optymizmem panującym w mojej ojczyźnie, zamkniętej szczelną granicą strzeżoną przez wojska Układu Warszawskiego. Zamkniętej po to, by zatrzymać czas między rokiem 1945 a 1989, czyli (to już czysta arytmetyka) na czterdzieści cztery lata, które – z dzisiejszej perspektywy – jawią się jako czterdzieści cztery lata stabilizacji, co prawda stabilizacji absurdałnej, zbudowanej na chorych, nienaturalnych podstawach, ale jednak stabilizacji, w ramach której żyliśmy, kochając się, pracując, ucząc, buntując, ale i rodząc się, i umierając. Nie, nie byłem w stanie odtworzyć myśli, jakie kłębiły się wtedy w mojej młodej głowie, już łatwiej mi było przypomnieć sobie rozmowy, szczególnie te z Piotrem, komentujące świat, w którym żyliśmy, świat zawieszony między naszymi doświadczeniami a oficjalną propagandą, komentarzami rodziców a tym, co słyszeliśmy

od nauczycieli naszego liceum; część z nich należała do partii i posługiwała się językiem ogólnie obowiązującym, a część mówiła własnym głosem, choć głosem, który nosił zawsze piętno oficjalnego nacisku. O tamtych czasach rozmawiałem również ze swoją kochanką, choć na rozmowy pozostawał nam tylko margines spędzanych wspólnie nocy, podczas których najważniejsze było studiowanie anatomii własnych ciał, mimo to – jak już wspomniałem – ona zdążyła opowiedzieć mi o swoich byłych kochankach, jakby chciała poprzez to zakreślić punkt odniesienia do naszego romansu, ale wspomniała również o kilku przyjaciółach, przed którymi nie miała żadnych tajemnic. A jednym z nich był przecież Piotr, o którym mówiła pięknie, choć na tyle ogólnie, że wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, że mogło chodzić o niego, nie padło również wyjaśnienie, kiedy się to zdarzyło, w jakim czasie, a przede wszystkim w jakich okolicznościach, choć to mogłem sobie wyobrazić, skoro od tak dawna uwikłana była w niekończące się tournée kameralnej orkiestry. Już coraz mniej byłem pewny, czy, biorąc pod uwagę temperament kochanki, mogła to być jedynie przyjaźń. Może, skoro rzecz dotyczyła mojego znajomego, nie chciała mi sprawiać przykrości informacją o czymś więcej. Tylko kiedy i gdzie? Może wyglądało to podobnie jak w moim przypadku, ale – skoro zdarzyło się wcześniej, zanim mnie poznała – mogło dziać się jeszcze w cieniu męża. Czy byłyby to zatem noce podczas tras koncertowych, kiedy udawało jej się zwieść małżonka, by spotkać się z moim nieżyjącym przyjacielem? Dlaczego nazywam go nieżyjącym przyjacielem, i to teraz, kiedy jego śmierć podana została w wątpliwość? Tym bardziej że wtedy, gdy połączył ich romans (być może bardzo krótki, może tak krótki jak jedna noc, albo – jeśli wierzyć jej słowom – wcale go nie było), on bez wątpliwości jeszcze żył, a zatem musiało się to zdarzyć w przeciągu owego czasu, jaki dzielił moje rozstanie z nim zaraz po maturze i ten późnojesienny dzień, gdy otrzymałem informację o jego śmierci. Zadziwiające, że wieść o romansie, domniemanym romansie mojej nieżyjącej kochanki i mojego nieżyjącego przyjaciela, przyszła do mnie po tak wielu latach, a w rzeczy samej dopiero wczoraj, gdy uświadomiłem sobie, iż ów opisany przez nią mężczyzna był właśnie Piotrem. Może, gdybym od razu chciał dociekać, kim był ów znajomy, dowiedziałbym się całej prawdy, ale nie miałem ochoty na śledztwo, zadowalając się tylko tym, co usłyszałem, zwłaszcza że zdawałem sobie sprawę, iż tego typu spowiedzi są dość niecodzienne. Wiązałem je z wyjątkowym temperamentem mojej kochanki, którego przyczyny nie uważałem za stosowne w jakikolwiek sposób wyjaśniać, ale im bardziej zbliżał się czas rozstrzygnięć, gdy dochodziło do mnie coraz więcej symptomów i informacji o jej chorobie, zacząłem tłumaczyć sobie jej niezwykajny apetyt na życie – który zawsze mnie zadziwiał i oszałamiał – śmiercią, której się spodziewała. Oczywiście nie tą, czekającą każdego z nas kiedyś tam, ale śmiercią, która ma nadejść lada chwila; znamy przecież sceny z książek i filmów, gdzie lekarz grobowym głosem oznajmia, że mamy przed sobą miesiąc, kilka miesięcy lub rok życia, i wtedy wszystko dla bohatera książki lub filmu ulega zmianie. Ten miesiąc czy rok musi już być zupełnie inny niż poprzednie, niż to, co było wcześniej, ponieważ w ciągu tego miesiąca czy roku trzeba się „nażyć” za te wszystkie lata, których już przecież nie będzie, wyglądało więc na to, że owa niebywała namiętność mojej kochanki była właśnie tym „nażyciem się”, tym przyspieszonym i skondensowanym

braniem na kredyt rozkoszy, których za miesiąc lub rok już nie będzie. Ale to było tylko moje przypuszczenie, moje podejrzenie, ponieważ zawrotne tempo, jakiego byłem świadkiem, mogło wynikać z jej cech osobniczych; w końcu każdy z nas jest inny, każdego z nas natura obdarowała innym temperamentem, mamy różne libido, co szczególnie widoczne jest w tych nieudanych związkach, które rozpadają się ze względu na wybujały temperament jednej ze stron i oziębłość drugiej, a to prowadzi do rozpadu na pozór doskonale dobranych małżeństw, do zdrad czy ucieczki w szaleństwo namiętności. O tym szaleństwie mówiła podczas naszej ostatniej nocy, kiedy już – poddana tym przerażającym procedurom medycznym, zwanym potocznie chemią – straciła włosy, niemniej te zaczynały odrastać, dając nadzieję, że zabiegi się powiodły i niebezpieczeństwo już zażegnane, że jest nadzieja. Być może to wspomnienie sprawiło, że dzisiaj, kiedy słońce zdawało się wymazywać ostatnią noc, wyciszony i uspokojony powędrowałem wczorajszym szlakiem przez Planty, a dalej poprzez ulicę Stradomską ku Augustiańskiej, gdzie wyraźnie, na tle jasnego nieba, rysowała się krępa sylwetka kościoła pod wezwaniem św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Jakże była odmienna od filigranowego obrysu neogotyckiego kościoła św. Michała znajdującego się w moim mieście, który każdego ranka przez długie cztery lata nauki w liceum mijałem z radosną nadzieją, że oto już zaraz, za kilka minut ujrzę miłych sercu przyjaciół z mojej klasy. Przede wszystkim zaś cieszyłem się, że zobaczę Piotra i zdam mu relację z poprzedniego popołudnia i wieczoru oraz wysłucham jego raportu o czasie, jaki dzielił nas od rozstania, a który był tylko dodatkiem do pięciu czy sześciu godzin lekcyjnych i owego powtarzającego się co dzień cudownego czasu powrotu ze szkoły. Zawsze naokoło, zawsze możliwie najdalszą drogą, by przedłużyć – co rozumiałem dopiero dzisiaj – chwile naszej młodości, która nie miała się już nigdy powtórzyć. Wtedy wydawało się to niepodobieństwem, ponieważ – mając owe naście lat – sądziliśmy, że młodość jest czymś, co dostaliśmy na zawsze, a jeśli nie na zawsze, to można będzie ją przeżywać w nieskończoność. Może jednak nadal posiadałem tę wiarę, a moja dzisiejsza wędrówka była tylko nostalgicznym powtórzeniem wczorajszego snucia się mglistym Krakowem i została przedsięwzięta dlatego, iż miałem nadzieję, że idąc tą samą drogą, zdarzy się to, co wyśniłem wczoraj? Zrozumiałem to w chwili, gdy przed wejściem do klasztoru Augustianów dostrzegłem znajomą postać, postać mojego nocnego przewodnika, który – tu nie miałem najmniejszych wątpliwości – cierpliwie czekał na moje przybycie. Na pytanie dotyczące jego zniknięcia na wiślanym bulwarze, odparł, że ciemność nocy pozwala na podobne sztuczki, a angielskie wyjście w pewnych sytuacjach często jest jedynym rozwiązaniem, oczywiście niezbyt grzecznym, zważywszy na brak pożegnania, prosi więc o wybaczenie, tymczasem zaś spróbuje w jakiś sposób zrekompensować tę niezręczną sytuację, pokazując mi coś, o czym mało kto wie, a co niewątpliwie jest godne zaprezentowania. Nie mając lepszych planów na najbliższe godziny – a w zasadzie nie mając żadnych konkretnych planów dotyczących dni Wielkiego Tygodnia, bo tylko wieczory miałem zajęte z racji festiwalowych koncertów – pozwoliłem zagospodarować sobie czas. Podjąłem tę decyzję, choć obecność augustianina zdawała się cokolwiek uciążliwa, już choćby przez świadomość, że ów zakonnik był niegdyś kimś bliskim dla mojej nieżyjącej kochanki, co przecież zawsze budzi jakąś

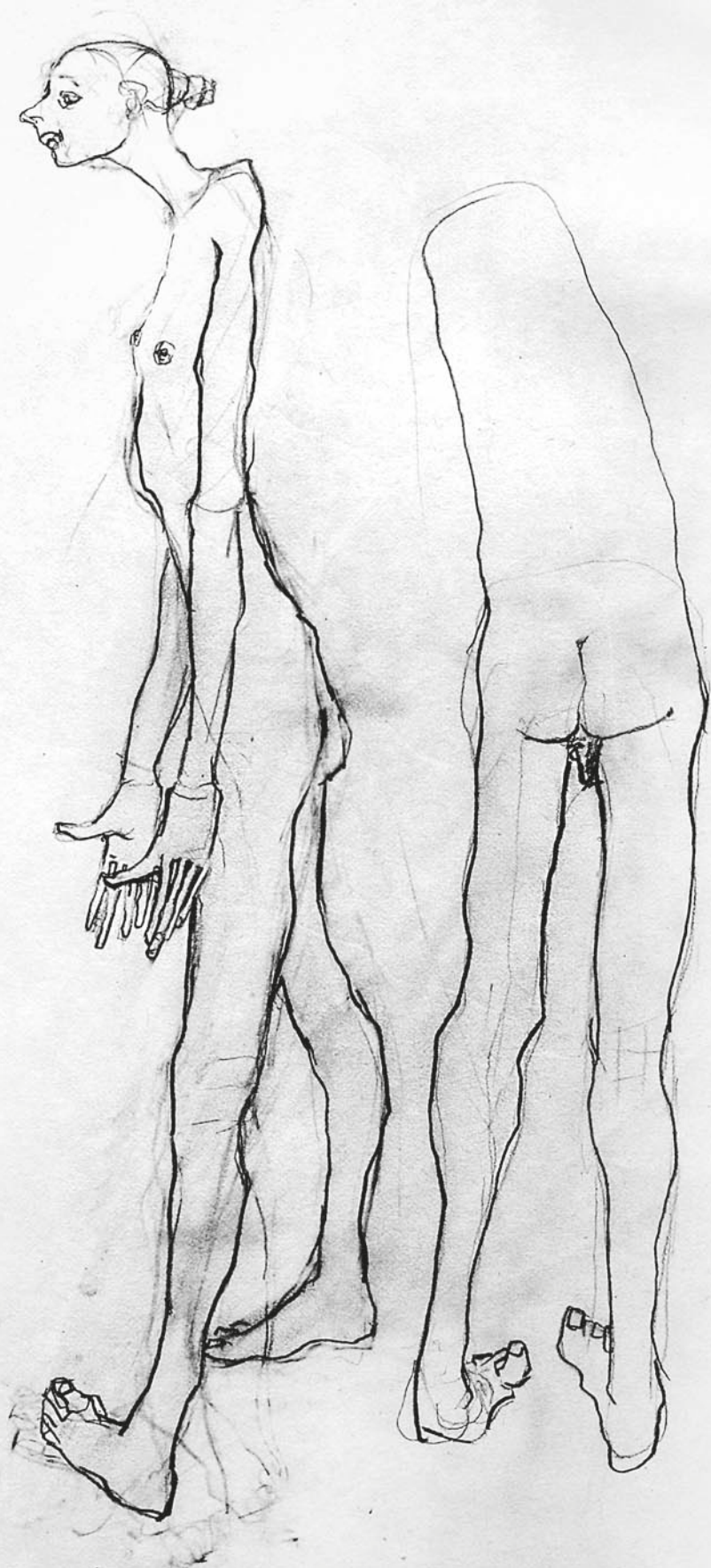
niezręczność, ponieważ nigdy, w żadnej sytuacji dwaj mężczyźni, którzy dzielili łożę z tą samą kobietą, nie czują się w swoim towarzystwie komfortowo. Intymności nie da się podzielić, nawet jeśli była odległa w czasie, a w tym przypadku dotyczyło to przecież kogoś, kto mógł być pierwszym jej kochankiem, ja zaś byłem ostatnim, który – w jakimś sensie – uczestniczył w jej powrocie do stanu sprzed inicjacji, jaki następuje w chwili, kiedy żegnamy się ze światem. Z takimi myślami podążyłem za przewodnikiem prowadzącym mnie tą samą drogą co wczoraj, poprzez wiodące do kościoła gotyckie krużganki. W pewnym momencie skręciliśmy jednak w mroczny korytarz, odcinając się od słonecznego blasku, którego nie skąpił Wielki Czwartek. Na końcu korytarza znajdowały się niskie drzwi, tak niskie, że musieliśmy się schylić, jakby wymuszało to na wchodzących jakiś rodzaj pokory czy uniżenia koniecznego w regionach, do których dotarliśmy. Za drzwiami zaczynały się kamienne schody wiodące gdzieś na dół, do piwnic, lochów, może po prostu klasztornych podziemi, oświetlonych nikłym blaskiem zamontowanych prowizorycznie żarówek. Niemiłe było to schodzenie, ponieważ cały czas miałem wrażenie, że w tej podróży jest coś z beznadziejności, jaka przypada w udziale tym, którzy zstępują do piekieł, do obszarów tak doskonale odciętych od pulsu istnienia, że tylko niebyt absolutny mógłby z nimi konkurować. Mój przewodnik milczał do chwili, gdy znaleźliśmy się przez okutymi zardzewiałą blachą drzwiami, które uchylił, zapraszając mnie do wnętrza przesyconego jakąś przykrą wonią. Kiedy znalazłem się w środku, odczułem ten zapach jako właściwość wypełniającego to miejsce powietrza; gęstego, sprawiającego wrażenie, jakby było dotykalne niczym delikatna tkanina, może futro, tak, bardziej futro, a może raczej sierść zwierzęcia. To nie było miłe odczucie, a pogłębiło się, gdy augustianin zamknął za nami drzwi, odcinając tym samym to nikłe źródło światła, jakim był z lekka rozpraszający ciemność poblask z korytarza. Na szczęście usłyszałem trzask zapałki i płomień świecy uwolnił nas od pozoru pustki, jaki przywodziła ciemność. Co prawda oświetlenie było marne, ale wystarczyło, bym dostrzegł, co znajdowało się w pomieszczeniu. Nim jednak uświadomiłem sobie, gdzie się znajduję, przemknęło mi przez myśl, że mój przewodnik nieprzypadkowo porwał mnie z zalanego słońcem miasta w mroczne podziemia; kontrast był z pewnością zamierzony. Ale jaki cel mógł przyświecać temu, że znalazłem się w jakimś ukrytym laboratorium sprzed wieków, gdzie stały i półki pełne były zakurzonych probówek, retort i słoików? Znajdowało się tu również archaiczne palenisko i dziwaczny żeliwny piec złożony z trzech nałożonych na siebie walców różnej średnicy, na ścianach zaś widniały tajemnicze znaki, które można było wziąć za diabelskie inskrypcje. Zapewne moja twarz wyrażała bezgraniczne zdziwienie, ponieważ mój przewodnik uniósł uspokajająco dłoń i powiedział, że jestem jednym z pierwszych, którzy oglądają to miejsce, to znaczy pierwszym po wiekach, ponieważ odkryto je ledwie kilka dni temu i – ze względu na czas Wielkiego Tygodnia – nie sprowadzono tu jeszcze odpowiednich służb archeologicznych i historycznych, dokonujących w przypadku podobnych odkryć koniecznych oględzin. Co prawda budynki i ich podziemia należą do klasztoru, więc można by nad takim odkryciem przejść do porządku dziennego czy nocnego (w końcu jest to miejsce pogrążone w ciemności), ale mamy XXI wiek, a poza tym i zakonnicy są ciekawi szczegółów związanych z odkrytą pracownią, interesuje ich określenie czasu, z jakiego pochodzi,

a może nawet i tego, do kogo należała. Choć bowiem droga, którą się dostaliśmy, wiedzie z klasztoru, jest raczej wykluczone, by pieczę nad tym miejscem sprawowali augustianie, ponieważ podziemia wykraczają w dużym stopniu poza obszar klasztoru i prawdopodobnie – przynajmniej ta część – znajduje się pod okolicznymi domami, kamienicami, które w żadnym razie z klasztorem nie miały nic wspólnego. Wyjaśnienia były nawet interesujące, ale w żaden sposób nie mogłem pojąć, dlaczego zakonnik zaprowadził mnie w to ponure miejsce. Na moje obiekcje poradził, żebym tę wyprawę do podziemi traktował jak przedłużenie naszej nocnej wycieczki, która – takie przynajmniej miał wrażenie – była dla mnie zajmująca, i to nie tylko dlatego, że mogliśmy porozmawiać o kimś, z kim łączyły nas wspomnienia. Oczywiście nie miałem już ochoty słuchać o czymkolwiek, co dotyczyło mojej nieżyjącej kochanki, no, może z wyjątkiem jednej kwestii, a mianowicie okoliczności, w których od niej o mnie się dowiedział. Ale, choć zadałem to pytanie, nie usłyszałem odpowiedzi, a jedynie zapewnienie, że wszystko zostanie wyjaśnione. Powiedział to takim tonem, jakby nasze rozmowy były pewnym rodzajem wtajemniczenia, jakby to, co przede mną odkrywa, stanowiło kolejny obszar tajnej wiedzy, podobnej do wiedzy średniowiecznych alchemików; w pracowni jednego z nich przecież się znajdowaliśmy. Wtedy, z kolei z jego strony, padło – zdawałoby się, zupełnie niezwiązane z tematem naszej rozmowy, ale związane z miejscem, gdzie przebywaliśmy – pytanie, czy wiem, czym zajmowali się alchemicy. Odparłem, że – o ile mi wiadomo – szukali formuły kamienia filozoficznego, który pozwoliłby przemieniać metale w złoto. Pokiwał głową i stwierdził, że to stereotyp, bo alchemicy przede wszystkim mieli spełnić marzenia ludzi o bogactwie, nieśmiertelności i dobrym zdrowiu, więc *lapis philosophorum*, panaceum i eliksir wiecznej młodości były tym, co chcieli uzyskać, a że badania kosztowały, na plan pierwszy wysunęła się transmutacja metali, którą mamili możnych pragnących zapewnić skarbcę złotem; a za tę nadzieję trzeba było płacić. Dowodem na to są przedmioty będące na wyposażeniu tej pracowni, które w czasach średniowiecza kosztowały majątek; ktoś dał na to pieniądze, skuszony nadzieją bogactwa, może zdrowia, a może nawet nieśmiertelności... W tym miejscu zawiesił głos, a następnie zapytał, czy przypadkiem nie każdy z nas marzy o tych dobrach, ja zaś – choć było to przecież pytanie retoryczne – zaprzeczyłem, wyjaśniając, że dowodem na to, iż się myli, jest przecież on sam, który wyrzekł się dóbr wszelakich i wstąpił na drogę modlitwy, u kresu modlitwy jest śmierć, śmierć wyczekiwana, a cierpienie czy choroba może być w tym przypadku wyższym stopniem wtajemniczenia na tej drodze, co pokazał całemu światu tak bardzo związany z miastem, w którym się znajdowaliśmy, papież. Wtedy usłyszałem jego śmiech, choć twarz augustianina pozostała nieruchoma, pozbawiona wyrazu; śmiech niemiły, szorstki, przeszywający bólem, sprawiający przykrość, śmiech będący komentarzem do moich słów, mający znaczyć tyle co zwątpienie. Patrząc mi w oczy, zapytał, czy naprawdę nie domyślam się, kim jest. Zapytał w tak zwyczajny sposób, tak naturalnie, że nasuwająca się odpowiedź nie była w stanie mnie przerazić, choć sceneria, w której miałbym się dowiedzieć o nieludzkiej naturze mojego rozmówcy, była przecież scenerią wymarzoną do wyobrażeń związanych z szatanem, za jakiego – po tych słowach, a przede wszystkim usłyszawszy ów potworny śmiech – powinienem mieć mojego mrocznego przewodnika,

po raz kolejny wiodącego mnie w nieznane. Ale on najwyraźniej wcale nie miał zamiaru przedzierzgać się w biesa, choć opisana wcześniej metamorfoza z męża kobiety o niewiarygodnym temperamencie w powściągliwego mnicha teoretycznie mogłaby zostać odwrócona, a nawet posunięta dalej. Mimo iż tak łatwo wchodziłem w tego typu spekulacje, wciąż nie potrafiłem zrozumieć, jak mógł ją porzucić, a jeśli nie porzucić, to pozwolić porzucić jej siebie, by żyć w oddaleniu od amoku radości, jakim było obcowanie z kobietą zdolną do przeżywania rozkoszy bez końca. Czy nastąpiło nasycenie, czy może przejście na wyższy stopień, ku ekstazie religijnej, która – przecież jak każda ekstaza – zawiera w sobie pierwiastek erotyzmu, tego najpierwotniejszego napięcia nieodzownego dla wszelkiego aktu miłości; od prokreacji po mistykę. Paradoksalne, ale właśnie teraz, kiedy te obrazoburcze myśli zaprzętały moją świadomość, augustianin wspomniał o jeszcze jednym aspekcie działań średniowiecznych alchemików, a mianowicie o pragnieniu stworzenia sztucznego człowieka, homunkulusa, którego jakoby można było wyhodować z przypominającego ludzkie kształty korzenia mandragory, korzenia, który zdolny był wyrastać z zetknięcia męskiego nasienia z urodzajną glebą, łącząc w ten sposób świat roślin i zwierząt niczym owe podwodne ukwiały i gąbki, tak zdumiewające dla nas, stąpających po ziemi. Ale mandragora nie kiełkowała ot tak, przypadkiem, gdy nierozważni kochankowie tarzali się po ziemi, mając fanaberię stworzenia nowej Drogi Mlecznej. Mandragora potrzebowała aktu innego rodzaju, potrzebowała ekwiwalentu spełnienia w chwili, kiedy mężczyzna umiera, co wydaje się absurdem, ponieważ akt seksualny jest synonimem zdrowia, witalności, nie zaś stanu destrukcji, w jakim wita się śmierć. Jednakże, jak zapewnił mnie mój mroczny przewodnik, istnieje taka możliwość, jedyna w swoim rodzaju sytuacja, gdy mężczyznę pozbawia się życia poprzez powieszenie, a wtedy w konwulsjach konania krew spływa do niższych regionów ciała, wypełniając jego lędźwie pod takim ciśnieniem, jakiego nigdy w życiu nie zaznał, zaś ostatni skurcz, jaki nim wstrząsa, jest również szczytowaniem, choć mało prawdopodobne, by towarzyszyła mu rozkosz. Nasienie tryska wtedy po raz ostatni, tryska z wyjątkowym ciśnieniem i zwykle w wyjątkowej obfitości. Czyż nie dla tego widoku wieszano niegdyś skazańców nago, a egzekucja wywoływała tak wielkie zainteresowanie i ekscytację? Ten pornograficzny aspekt śmierci budzić musiał niebywałe, wyjątkowe emocje, bo przecież każda konwulsja ludzkiego ciała nasuwa skojarzenie z konwulsjami namiętności, a tak spektakularny akt dotyczący konającego, który na moment przeradza się w synonim witalności, jaki w naszej kulturze obrazuje młody byk pokrywający jałówkę, musiał być atrakcją nie lada. I właśnie z tego zasiewu wyrasta pod szubienicą korzeń mandragory, który poddany odpowiednim zabiegom przekształca się w pokurcza zwanego homunkulusem. Słuchałem tej tyrady z niesmakiem, ale i z zaciekawieniem, bowiem relacje dotyczące mroków cielesności, mimo współczesnego otwarcia na seksualność, budzą zawsze zainteresowanie. Oryginalne było jednak to, iż wywód dotyczył aspektu męskiej fizjologii, która – co paradoksalne – jawiła się dzisiaj jako wstydlivy obszar ars amandi, gdy tymczasem o mechanizmie rozkoszy kobiet mówiło się aż nazbyt wiele. Nawet słowa określające damskie narządy płciowe brzmiały, jeśli nie ciepło i przyzwoicie, to przynajmniej obojętnie, a określenia dotyczące anatomii intymnej mężczyzny pozostawały ciągle

jeśli nie wulgarne, to nieludzko anatomiczne. Natomiast pewne czynności seksualne, które w wypadku kobiet stały się synonimem wyzwolenia, u mężczyzn nadal tkwiły w obszarze wstydu czy aberracji. Nie miałem wątpliwości, że uwaga mojego rozmówcy dotycząca genezy homunkulusa w naturalny sposób wywołała moje nieco perwersyjne dygresje, choć chyba zbyt uogólnieniem byłoby twierdzić, że te skrywane strony naszego życia wiązały się z potępionymi przez kościół dziełami alchemików. Na szczęście augustianin porzucił ten budzący zażenowanie wątek i zapytał – z pozoru zmieniając temat – czy wiem, że w tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym roku Johann Wolfgang Goethe odwiedził Kraków. Oczywiście nie miałem o tym pojęcia, jak zresztą nie miałem pojęcia o jakichkolwiek podróżach Goethego, a jedynie wiedziałem o jego bytności w Weimarze, które to urocze miasteczko miałem okazję zwiedzać, niemniej z pewnym zażenowaniem płynącym z faktu sąsiedztwa tej architektonicznej perełki z terenami obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Na pytaniu o pobyt w Krakowie autora *Die Leiden des jungen Werther* jednak się nie skończyło, bowiem mojemu rozmówcy chodziło przede wszystkim o powód tej wizyty, co mnie również nie interesowało, ale słuchając dalszych wyjaśnień, jednak zajęło, ponieważ – jak wytłumaczył augustianin – wielki poeta przybył do Krakowa, szukając tutaj inspiracji do dzieła swojego życia, czyli *Fausta*. Przedsięwziął tę podróż dlatego, że pierwowzór bohatera dramatu, czyli Johann Georg Faust, studiował właśnie tutaj, w Krakowie, gdzie w tamtych czasach, na przełomie XV i XVI wieku wykładano i astrologię, i alchemię.





ELŻBIETA WOJNAROWSKA

Ciałopalenie

Twoje palce są zwinne
znają mapę mojego ciała
umiejętnie
przyspieszają oddech

W twoich ustach
rozkosz i ból
rozkosz i ból
tysiące rozedrganych zmysłów

Kocham i nie rozumiem
szaleństwo niewiedzy
jesteś mną
ja tobą
jak to możliwe

Jesteśmy Jednią

Tylko to się liczy

Ty

Strumień który mnie porwał
nosi twoje imię
jest Kosmosem
milionem niepoznanych galaktyk
otchłanią ciemną
bez dna

Prąd który mnie unosi
na skraj przepaści
ma słony smak krwi
słodki smak miodu
rozkoszy
kiedy mnie całujesz
i całujesz

Rzeka przepływa przeze mnie
radość smutek
nadzieja łzy
słodycz niepojęta słodycz
bez końca

Niekończący się początek
nieskończonego spełnienia

Płynę brocząc kamieniami

Kometa

Trajektorie gwiazd nam sprzyjają
i mgławice przez które co noc
przepływamy
od siebie
do siebie
w głąb siebie
coraz bliżej
i bliżej

Kosmiczny porządek świata
zamykamy w uścisku
spieczonych rąk i ust
ciał płonących pochodnią
komety

Jedność doskonała
obok nas
w nas
eksplodująca
pełnią

Mapa

Początkowo nie wiedziałem, jak mam ją narysować. To, co słyszałem o rysowaniu map, w tym przypadku wydawało mi się nieaktualne i niezbyt istotne. Zacząłem z prawej strony bardzo ostrożnie, tak aby nie zagubić cielistego koloru tła i kształtu pochyłości, którą pragnąłem utrwalić. Moje palce delikatnie rozchylały poddającą się pod ich dotyk materię, wnikając pomiędzy koronkę desusów i skórę podatną na muskanie opuszkami palców. Wiedziałem, że tak powinienem zacząć, ponieważ twój przyśpieszony oddech i poruszenie biodrami świadczyły o tym, że kreślenie mapy przebiega we właściwym kierunku i być może skończy się ostatecznym powodzeniem. Na razie jednak powstała tylko jedna linia biegnąca od prawego uda do środkowego punktu na brzuchu, w którym mogła się załamać i sprawić, że rysunek stanie się mniej dokładny. Zawirowanie przypominające wir na wzburzonym morzu nie trwało na szczęście długo i mogłem przejść ostrożnie do drugiego uda, tym bardziej że pod wpływem mojego dotyku oba się lekko rozchyliły i przypominały w tym momencie piękną dolinę biegnącą pomiędzy dwoma częściowo zalesionymi wzniesieniami. Nie ustawałem jednak w moich staraniach, pragnąc, aby powstająca mapa była bardziej przestrzenna, i palcami lewej ręki starałem się dotrzeć do wrót owej doliny, których narysowanie wydało mi się zadaniem zbyt trudnym w tym momencie i dlatego powróciłem do cielesnego wiru, i posuwając się w górę wzdłuż południkowych meridianów, natrafiłem na bliźniacze pagórki, których kształt wydał mi się dziwnie znajomy, tak jakbym odkrywał sam przed sobą dzięki rysowaniu mojej mapy pierwotne miejsce fascynacji i smaku wyniesionego z dzieciństwa, którego ciepły, mleczny posmak pozostał mi w ustach na całe życie. Zaniepokoiło mnie jednak, że mapa staje się coraz bardziej chaotyczna i nie spełnia elementarnych wymagań stawianych tego typu zapisom, a chaos spowodowany twoimi poruszeniami sprawiał, że linie stawały się coraz bardziej niespodziewane i nieogarnione, a miejsca, które miałem utrwalić, w tajemniczy sposób nieustannie zmieniały swoją pozycję, tak jakby dotyk związał i rozwijał kartę tła, a kraina, którą miałem odzwierciedlić, ukazywała nieustannie coraz to nowe oblicze. Cieszyło mnie to, że pomimo trudności mapa stawała się coraz większa i obejmowała coraz większą powierzchnię twojego ciała, docierając wzdłuż południków do szyi i twarzy, której narysowanie wydawało mi się szczególnie trudne. Pomyślałem jednak, że przecież twarz nie musi być tak dokładna, ponieważ moja praca miała służyć utrwaleniu momentu seksu, a nie intelektualnym rozmowom czy fizjonomicznym dywagacjom. Skupiłem się zatem na tym, co jest poniżej, bardzo dokładnie odrysowując wszystkie osobliwości sutków oraz małe pieprzyki znajdujące się na linii równoleżników blisko piersi. Przypomniałem też



sobie w tym momencie, że przecież mapy są kolorowe oraz że należy zaznaczać na nich linie określające wysokość wzniesień i głębie potencjalnych wodnych otchłani. Pozwalało to na zróżnicowanie mojej kartograficznej pracy, która i tak zmierzała w stronę tworzenia unikatowego dzieła sztuki z wszelkimi tego procesu meandrami i trudnościami. Doszedłem bowiem do wniosku, że proste powtórzenie powszechnie stosowanych kolorów nie ma sensu, podczas gdy próba ich urozmaicenia nadaje całości bardziej interesujący i bliższy sztuce współczesnej wymiar. Tym bardziej że w moje działania wkraść się pewien dylemat, którego nie zauważyłem na początku, a mianowicie czy moja mapa powinna być wielowarstwowa, czy też ukazywać jedynie naskórek, bez uwzględniania kolorów i faktury nie za bardzo rozległej, ale jednak obecnej w tym momencie na tobie ekskluzywnej bielizny, sprawiającej, że nie tylko moje ręce miały ochotę kreślić meandry i linie siatki geograficznej, ale też inny organ, który najwyraźniej reagował na markę oraz niezbyt obfite rozmiary tego, czym skromnie, a właściwie nieskromnie okrywałaś swoją nagość. Trudno było jednak w tym momencie się spierać, i dlatego postanowiłem powrócić do źródeł i, na tyle, na ile jest to możliwe w kartografii, dokładnie odtworzyć góry i niziny, wykorzystując znaną wszystkim miłośnikom atlasów skalę barw, dzięki czemu efekt miał być bardziej czytelny, a potencjalni widzowie niezaskakiwani kolejnymi

innowacjami. Znosiłaś to cierpliwie, tym bardziej że moje działania najwyraźniej sprzyjały pobudzaniu kolejnych miejsc i obszarów dotąd jeszcze nienakreślonych na mapie, przez co niektóre z nich stawały się ciemnobrązowe jak Himalaje, a inne spokojnie zmierzały w stronę jaśniejszych, nizinnych łąk i wielkich lasów wyrosłych na przypominającej szlachetny trójkąt nizinie. Nie przypominam sobie jednak, by mapy uwzględniały wszystkie aspekty ukazywanych obszarów, co najwyżej ich schematyczny wygląd oraz przekroje poprzeczne i pionowe, tak jakby nie mogły sobie poradzić z żywym organizmem, jakim jest ziemia, nie mówiąc już o zaludniających ją ludziach oraz o stadach i ławicach zwierząt. Myślałem też o bogactwach naturalnych oraz o zmianach granic politycznych, które mapy powinny uwzględniać, ale moje palce postanowiły w tym momencie przerwać na chwilę pracę, ponieważ odwróciłaś się do mnie plecami i cały dotychczasowy zapis stał się już nieaktualny. Na szczęście zapamiętałem go wyraźnie, dzięki czemu mogę teraz o tym pisać, a odkryte nagle rejony domagające się utrwalenia na drugiej karcie mapy wydały mi się na tyle interesujące, że bez chwili wahania zacząłem je uważnie badać przy pomocy wszystkich dostępnych mi instrumentów. Nie miałem ich zbyt wiele i zacząłem żałować, że nie posiadam co najmniej trzech par rąk, tak aby móc dotrzeć jednocześnie do wszystkich załomów i szczelin tej przepaścistej krainy, w której dwa nagle ujawnione pasma wzgórz przedzielał kanion, dzięki swej budowie najwyraźniej zachęcający do nie tylko haptycznych wędrówek, ale też do bardziej, niż to miało dotąd miejsce, głębokiej penetracji i poznawania znajdujących się w nim jakże bogatych naturalnych zasobów. Moja mapa, wyrrywając mi się nagle z dłoni, zapragnęła poznać je bardzo dokładnie, dotykając i drażąc coraz głębiej niektóre norki i jamki, w których zapewne mieszkwały rzadkie gatunki puszystych stworzeń, dotąd nieopisane przez żadnego ze sławnych i często bardzo bogobojnych przyrodników. Wiedziałem, że muszą się czymś żywić, a przede wszystkim coś pić, i dlatego przytknąłem usta do bijących nagle gejzerów, których smak przypominał smak wód mineralnych z naszych renomowanych uzdrowisk, a kształt i barwa podziemne strumienie, które widziałem kiedyś w jednej z jaskiń na Majorce. Sytuacja stawała się o tyle niebezpieczna, że owe stworzenia zaczęły coraz usilniej mruczeć i łaścić się do naszych rąk, a moje dotąd dosyć leniwe strugi i strumyki łączyć w jedną rzekę przerwijącą znajdujące się w kanionie, dotychczas skrywane tamy. Przypominaliśmy dzięki temu bóstwa wodne, wolne od wszelkich trosk i zatopione w sobie, a resztki mojej mapy pozwalały nam na swobodne żeglowanie po tym oceanie, którego już nie zdołałem na niej zanotować, ponieważ przekraczał rozmiary nie tylko drugiej karty, ale i całego atlasu chmur i deszczów trzymanego przeze mnie na wszelki wypadek pod łóżkiem, tuż obok różowego dilda i butelki z gazowaną wodą mineralną. Szczyty gór uległy przez to jeszcze większemu powiększeniu, a wzgórza stały się górami o niebezpiecznych i przez to pięknych, błękitnych stokach, doliny zapadły w siebie, a wulkany otworzyły szeroko swoje kratery, tak aby wielki, pierzasty ptak mógł w nie wlecieć i się w nich na stałe zagnieździć. To nie może być prawda, powiedziałem. To nie może być prawda, powiedziałaś. To tak naprawdę nie istnieje i nie ma ani smaku, ani koloru, ponieważ nas nie ma i my przecież jeszcze też tak naprawdę nie istniejemy. I gdyby nie ten fragment mapy w ustach, na wargach i na wnętrzu ud, gdyby nie ten fragment...



MACIEJ MANIKOWSKI

o czym może opowiedzieć trawa
rosnąca między grobami
na starym cmentarzu małego miasta

ci, co kiedyś tutaj przychodzili
przynosili świeże kwiaty, świece
grabili zeschłe liście, klękali do modlitwy
nie pozostawili śladów swych butów

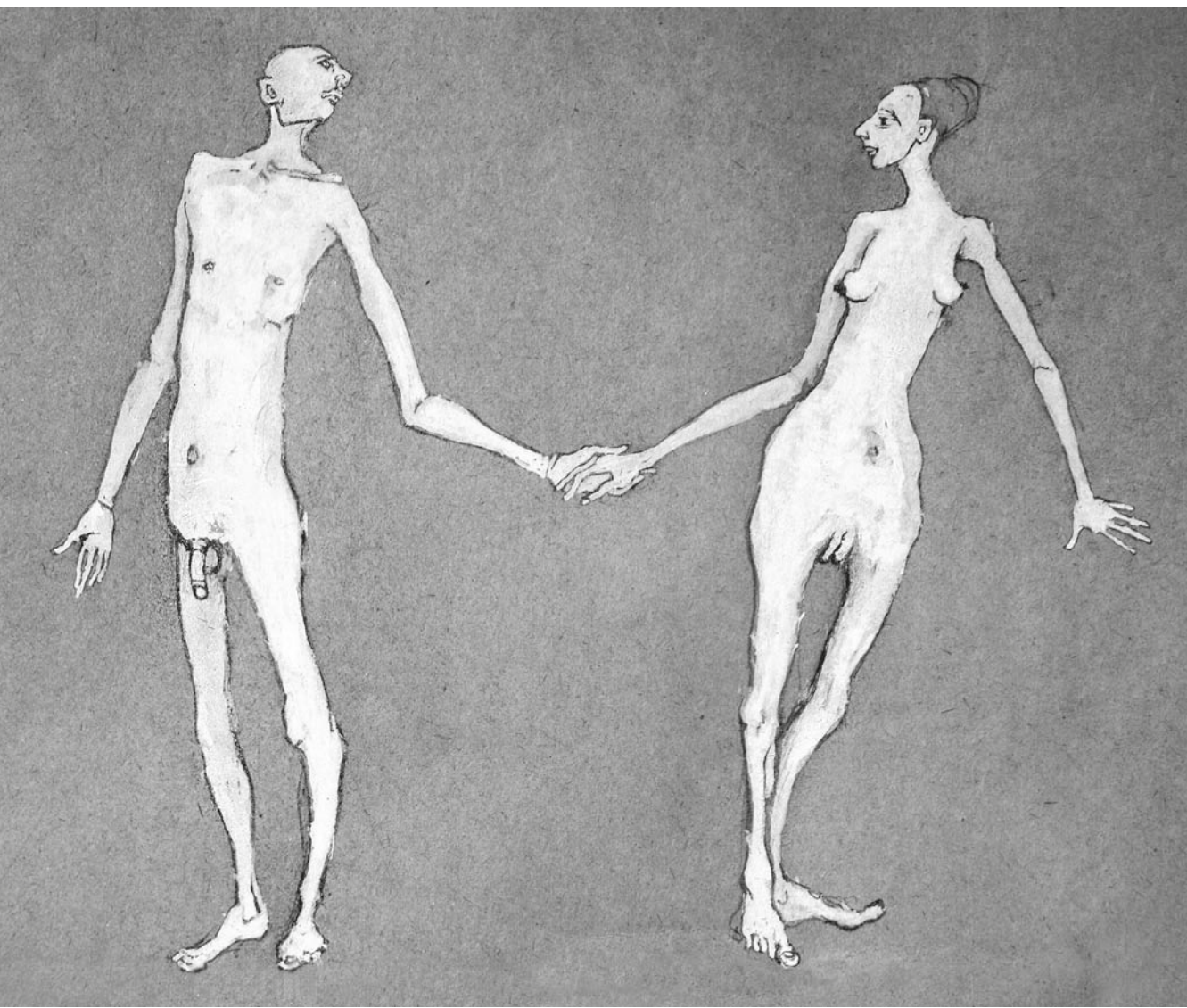
ich podeszwy teraz gładkie i czyste
znieruchomiałe upływem czasu
zamknięte na głucho drewnianym płaszczem

dzisiaj zielona jeszcze
przyszczygnięta rozrastającym się granitem
milczy samotna
pozostawiona słońcu i stopom innych
na kolejny wąski przedział czasu

zobacz, co pozostanie
kamień porzucony pośród zeschłych liści
i napis
którego nikt już nie potrafi odczytać
tak, jakby pozostałość nieznanej ręki, która go ciosała
też odeszła w przeszłość

ludzie przechodzą i omijają

a może kryje on ciało człowieka
dawno zapomnianego mieszkańca tego miasta
podobnego do nich
choć mówiącego w innym, obcym im języku



Zdeptana Królowa

Twardy i trwały leżę tu pod kościołem od stuleci. Mówią, że jestem nieśmiertelny, ale to przesada. Mój czas odmierzają te same godziny i lata, tylko jest ich więcej niż ludzkich. Ileż to ja już kazań słyszałem? Jestem w sferze wiary specjalistą. I cały czas się dokształcam. Zatrzymuje się tu codziennie w drodze do świątyni ksiądz-poeta. Filozofuje i cytuje wiersze. Sądzi, że jestem wypełniony dokładnie kamiennym sensem i nie dam się oswoić. Uważa mnie za jedyne i niepowtarzalnego jak wieczór, kiedy morze tężeje w marmur. Twierdzi, że w moim sercu mieszka Bóg. Chciałby wejść do mojego wnętrza. Mówi: „Pukam do drzwi kamienia”. Co za absurd! A może niekoniecznie? Kiedyś udało się amonitom wejść do środka skały, ale czy były z tego powodu szczęśliwe? Wątpię. Zdaje mi się, że skręcały się z bólu. Ksiądz nazywa mnie *lapis philosophorum*. „Kamień filozofów” po łacinie brzmi dostojniej. Ja bym proboszczowi wiele powiedział o wierze i szczęściu, bo napatrzyłem się na okolicę.

– Nie ma rzeczy ważniejszych nad te mało ważne, nie ma rzeczy większych nad te bardzo małe – szepcze ksiądz.

A ja obserwuję świat przy ziemi i myślę: Nie ma nic bardziej bożego niż sprawy przyziemne.

Przypadkowo ktoś zdeptał Królową. Kto? Wiadomo! Człowiek! Człapie jak słoń. Zdeptana Matka otoczona przez robotnice dożywa swych ostatnich chwil. One jeszcze dzień po dniu czyszczą ją i liżą. Być może liczą na zmartwychwstanie? Być może przemieniają swój żal na działanie tyleż niepotrzebne, co godne szacunku? Mrówki są empatyczne, szlachetne, miłosierne. Widziałam, jak jedna się spiła mszalnym winem, które ułało się księdzu przed progiem świątyni. Trzeźwe robotnice odprowadzały ją wieczorem do mrowiska. Gdy któraś mrówka przewróci się na plecy i nie może „wstać”, inne jej pomagają osiągnąć właściwą postawę. Na drogach prowadzących do mrowiska częściej można spotkać miłosierną siostrę niż na ulicy św. Wawrzyńca w Dąbrowie.

Bywa w życiu ludzi, że poczciwość, dobroć i naiwność ludzką wykorzystują przebiegli różnej maści biznesmeni, interesowni w wielu aspektach politycy i szemrani w każdym calu szarlatani. Takim naciągaczem w życiu mrówek okazuje się motyl modraszek. To, co obserwuję, wydaje się karygodne. Jego samica złożyła w czerwcu jaja na kwiatostanach krwiściagu lekarskiego, rosnącego pod krzakami obok świątyni w pobliżu mrowiska. Przez dwa, trzy tygodnie larwa korzystała z pokarmowych dobrodziejstw pełnego smutku czerwonego kwiatu, po czym zeszała po łądydze na ziemię, by imitować zagubioną i samotną larwę mrówki. Jak tu się nie ulitować? Tym bardziej że na brzuchu larwa miała gruczoł nektarowy, wydzielający bogatą w cukry substancję. Mrówki to chętnie zlizywały. Miłosierne siostry adoptowały porzucone dziecko i zaniósły je do mrowiska. Podobno gąsienica modraszka wydzielala

odpowiednie związki chemiczne, które zwabiły mrówki. Zastosowała ona kamuflaż zapachowy, na który wścieklice naiwnie się nabrali. W mrowisku gąsienica czuła się bezpieczna. Musiała dostosować swoje feromony do mrówczych przyzwyczajęń. Żywiła się jajami i larwami wścieklic, unikając raczej kontaktów z robotnicami. Urosła i utyla, stukrotnie powiększając swą masę. Przemieściła się powoli do górnych pięter mrowiska, by przepoczwarzyć się w imago i odlecieć... Powiedziałem, że jest to karygodne, ale czy człowiek tak nie robi? Również korzysta z kwiatostanu świata, a potem dusza odlatuje na niebiańskie polany.

– Jaki jest cel istnienia, szczęścia, wiary, Boga, dobra i zła? – pyta ksiądz sam siebie.

Ja widzę to tak:

Człowiek kwestię wieczności rozumie indywidualnie i egoistycznie. Z owadami jest inaczej. Pojmują nieśmiertelność w sensie zbiorowym. Mrówka wyznaje wielką pierwotną religię totemizmu. Totemem okazuje się *anima* zbiorowości, wobec której śmierć jest bezradna. Tak jak dla pszczół totemem jest dusza roju, tak dla mrówek – mrowiska. Człowiek pierwotny odczuwał duszę swego plemienia. Z czasem tę świadomość utracił. Być może powinien do niej powrócić, widząc przedłużenie życia nie w wymyślanym raju pozaziemskim, ale na ziemi w nadziei nieśmiertelności przekazywanej potomstwu? Mrówka to istota głęboko mistyczna: istnieje tylko w swoim Bogu, zapamiętana w Nim, niewyobrażająca sobie życia poza Bogiem, widząca tylko w Nim szczęście. Służy Mu i pragnie się z Nim połączyć na wieki. Czy to nie przypomina teologicznych ustaleń uczonych w Piśmie, mistycznych objawień zakonników, mniszych liryków albo psalmów? Owszem, tyle że tu Bogiem okazuje się właśnie duch mrowiska i nieśmiertelność w nim zaklęta.

Zauważyłem, że mrówka czuje się szczęśliwa wówczas, gdy uszczęśliwia wszystkich wokół siebie. Nie wiem, czy ma to naturę psychiczną, czy bardziej fizyczną, a może organiczną. Porzuciła wielkość, żeby wybrać szczęście. Dla mrówek, które nie znają swej łacińskiej nazwy, szczęście jest uczuciem pozytywnym i czynnym, jak gdyby pochodziło z jakiejś innej planety. W świecie ludzkim jest inaczej, pomyślność jest przede wszystkim negatywna i pasywna; ludzie czują się szczęśliwi wówczas, gdy nie cierpią. Może powinni przemyśleć kwestię zapomnienia o sobie samym, wyzwolenia się z „ja” i wyzbycia się wszelkich przywiązań.

Mrówka została wyposażona przez Boga w narząd społeczny, worek pokarmowy, tak zwane wole, z którego karmi inne mrówki. Zbiornik jedzenia dla pobratymców staje się metaforą pobożności. Wzajemna życzliwość i wspólna miłość ku larwom to cechy tych altruistycznych, szlachetnych i wspaniałomyślnych stworzeń. Małutkie tajemnice małutkich zwierzątek odkrywam powoli, staram się pojąć to drobne życie, a poprzez nie może lepiej zrozumieć ludzi. Nie egoizm, a altruizm, nie „ja”, a „my” okazuje się najważniejsze. Znać tylko jedną rozkosz – udzielania każdemu, kto tego zażąda, owoców swych trudów. To jest wyzwanie!

Czerwone robotnice czyszczą zdeptaną Królową, ratują cząsteczki jej istnienia. Liżą truchło, przejmują energię duchową, by przekazywać ją następnym pokoleniom. Życie ludzi i mrówek wydaje mi się jednakowo niespokojne i małutkie.

luty 2024

Dąbrowa, nie Dobrawa

Czyż godzi się sporządzać listę rzeczy w domu i pominąć sam dom?

Walt Whitman

Mam na imię Dąbrowa. Nie mylić z Dobrawą. Czeska księżniczka to moja znacznie starsza siostra. Czy piękniejsza? Nie sędzę. Mówią, że Dobrawa przyniosła chrzest Polsce. Wyszła za Mieszka. Miała z nim syna Bolesława i córkę Świętosławę. Odważny Bolko potem został królem Polski, a Świętka – królową Szwecji i Danii. Tak piszą historycy. Jaka była prawda, Bóg jeden raczy wiedzieć.

Ja za nikogo nie wyszłam. W ogóle nie chodzę, tylko leżę. Odpoczywam, bo tak mi się podoba. Rozłożyłam się nad rzeką Pyszną. W zasadzie rzeczką, która przybrała teraz, w marcu, ale do lata schudnie albo nawet wychudnie tak, że prawie jej nie będzie widać. Skolonizują ją rośliny lubiące wilgoć. Oddycham szerokim oddechem pól. Jasne światło igra po tkanej brązem i zielenią szachownicy. Opalam się i mam wiatr we włosach. W ogóle dużo do mnie należy.

Mam kury i kaczki, konie i krowy, świnię i kozy. Posiadam domy małe i duże, biedne i bogate, piękne i brzydkie. Znajdzie się trochę kostki brukowej, ale więcej pól, łąk i ogrodów. Czuję się bogata. Gleba dobra – klasa pierwsza. Wśród wolnego ptactwa dominują bażanty i gawrony. Biega trochę saren. Dziki wypłoszyłam z moich terenów, ale nawiedzają mnie lisy. Co je do mnie ciągnie? Wiadomo: kurniki. Mam kilka pasiek. Gwar u mnie jak w ulu. Stoją tu wieża ciśnień i stara przepompownia, przekazująca niegdyś wodę z rzeki na stację kolejową. Dużo tu bywa zależnie od pory roku motyli, mrówek, jelonków rogaczy i innych owadów – wiadomo: wieś. Mam stawy, a w nich karpie. Gdziekolwiek znajdzie się amonit, przydrożny kamień, nieczynny komin.

Co uprawiam? To co wszyscy – żyto, pszenicę, kukurydzę, ziemniaki. Ale rosną też warzywa, bulwy i rośliny jadalne, które przyjęły się w tym klimacie. Łysa kapusta, zawstydzony burak, szlachetne szparagi, rumiane pomidory, zielone ogórki. Można by wymieniać i wymieniać. Ktoś spyta o owoce? A przepraszam, pomidory i ogórki to nie owoce? No chyba nie bulwy i tym bardziej jarzyny... A może to jagody? Tak, chyba jagody. Pouczcie się biologii, a także przewertujcie słowniki. Znajdziecie, że jagody to także policzki. O, ja mam wiele dziewczyn z jagodami jak maliny. Przemykają tu i ówdzie. Gdy idą, to się ziemia pod nimi trzęsie, takie są zdrowe. Chłopy u mnie też dorodne jak dęby. W końcu nazwa Dąbrowa zobowiązuje! Nie wierzycie?

Zapraszam. Majątek jest. Aut co niemiara, od malucha po tira, trochę motorów i masa rowerów. Jeżdżą na tych bacyklach w każdą stronę. Oczywiście kupa ciągników i druga kupa ciężarówek. Mam świniańnię. To akurat jest niemodne, chociaż dochodowe. Próbuję się od lat jej pozbyć. Bezskutecznie. Teraz was zatka: mam dworzec – dworzec kulturalny, ewenement na skalę krajową. Robię tam koncerty, wernisaże, warsztaty lepienia z gliny. Mam kościół – wiadomo: modlitwy, msze

święte i uroczystości religijne prowadzą prostą drogą do Boga. Ponadto integrują społeczność lokalną. Słucham dzwonów, śpiewów chóru, kazań księdza proboszcza. Mądry chłop. Dysponuję biblioteką, a przed wejściem do niej zapraszam na ławeczkę poświęconą urodzonej u mnie pewnej dialektolożce. Obok stoi pomnik św. Floriana, patrona strażaków. Znajdzie się u mnie kilka krzyży przydrożnych, kapliczek, za-bytkowy młyn, elektryczne centrum handlowe, sklep średniogabarytowy, agencja celna, dwie stacje benzynowe i wiele innych bytów. Jak widzicie: biedy nie ma!

Największym jednak moim skarbem są ludzie. Wiem, dziwicie się, co za ekstra-wagancja. *Homo sapiens* wyszedł z mody. Ludzie są *passé*. To trochę nie na czasie, a jednak ich lubię. Mieszkańcy moich posiadłości są chorobliwie pracowici. Słońce, które bez pośpiechu wstaje i po całym dniu kładzie się na polach drżących od zmęczenia, rumieni ich twarze, później księżyc je posrebrza, aż w końcu stają się złote. Ciała zachowują boską sprężystość i siłę. Wszystko to dniami i nocami przepływa przeze mnie, ale to nie jestem ja. Lubię ciszę, szum drzew, śpiew ptaków.

Znajdą się też u mnie pracoholicy i nieroby. Zdumiewa mnie istnienie podleców. Dużo ludzi choruje. Szczególnie po pandemii ciężko się niektórym podnieść, wyprostować, zrobić krok w przód. Żyją tacy i u mnie. Tak zatem opiewam ludzi dobrych, ale nie zapominam o złych. Gdy biorą się za łby pod dachami swoich domów, ja biorę kąpiel w deszczu albo w słońcu. Czasem bywam snem, nie-rzeczywistością. Jednego pana nazywam duchem drogi. Mieszka tu od urodzenia. Czuję do niego szczególną sympatię. Natura wyposażała go w niewłaściwą liczbę chromosomów. Chodzi główną szosą tam i z powrotem, rozgląda się, uśmiecha, pozdrawia innych. Wyznacza rytm dnia. Są też tacy, co chodzą z dziecięcym wózkiem bez oseska. Zbierają rzeczy z całej wsi i gdzieś je transportują. W niedziele siedzą na ławce nad stawem, trzymają się za ręce i przytulają. Jest również pijak. Jeden, bo drugi, Stach, utopił się w tym właśnie stawie. Znalezione u niego za pazuchą butelkę z niedopitą wódką. Leżał głową w mętnej wodzie. Karpie pewnie wybałuszały na niego oczy. Nogi topielca sięgały brzegu. Kiedy świt odkrył jego ciało, czarny kot krążył z zakłopotaniem wokół pobliskiego śmietnika. Przez tę wódkę to tyle się złego dzieje, a ludzie tego nie rozumieją. Wypadki, mandaty, sprawy sądowe, grzywny, rozwody, rękoczyny – naprawdę tego jest dużo. Lituję się nad biednym, głupim Stachem. Alkoholizm to jednak choroba. U mnie nie ma klubu AA. Jest koło gospodyń wiejskich i jest ochotnicza straż pożarna, ale anonimowych alkoholików nie ma. Może dlatego, że wszyscy wszystkich znają.

Od lat mnie okradają. Państwo mnie okrada, rząd mnie okrada, władze mnie okradają. Wszyscy mnie okradają. To jest łupiestwo systemowe, że tak powiem: systematyczna grabież w świetle prawa. Jednak to, co się stało ostatnio, zaskoczyło mnie. Mianowicie, pozbawiło mnie mienia nie nieuchwytnie państwo, a kilka konkretnych osób. Żłódziejska prywatna inicjatywa. W biurze świniarni w sejfie było półtora miliona złotych w banknotach. Włamywacze wyłączyli alarm, otworzyli drzwi wytrychem i weszli na piętro. W szafie znajdował się ukryty sejf. Rozwalili ją, wytargali stalową skrzynię z pieniędzmi i – wyobraźcie sobie – wyrzucili ją przez okno. Zeszli na dół i... wiecie, co się stało? Nie mogli zrabowanego skarbu podnieść. Nie przewidzieli tego, że waży ponad sto kilogramów. Nie dali rady go przetransportować poza posesję, tym bardziej że jeden ze złodziejasków wyraźnie

kulał, a drugi nosił okulary. Wszystko to widać na nagraniu z monitoringu. Okularnicy, jak powszechnie wiadomo, są lichsi i bardziej gapowaci. Potrafią wprowadzić włamać się do systemu informatycznego i wyłączyć alarm, ale do pracy fizycznej się nie nadają. Do Biedronki batoniki kraść, a nie sejfy z szaf wyłamywać i przez okna wyrzucać! Szerpowie dźwigają stukilowe bagaże na Czomolungmę i nic im nie jest, a ci nie umieją do płotu nawet cennego ciężaru przytaszczyć. Włamywacze z bożej łaski nie poddali się jednak. Był piątek w nocy. Po upływie doby zjawili się we czterech i sejf wynieśli, wcześniej zdemontowawszy jedno przęsło ogrodzenia. Udali się w pola, a dalej to już nikt nie wie, gdzie pojechali, nawet ja. Firma ochroniarska zlekceważyła sobie sygnał wyłączenia alarmu, bo często tak się działo. Podobno właściciel świniań miał kochankę i zaglądał nocami do biura. Więc i tym razem pracownicy Kondora (w zdecydowanej większości emeryci) nie pokwapili się, by sprawdzić, co się działo. Nie chcieli przeszkadzać Świniarzowi i jego nałożnicy. Sejf jak kamień w wodę.

Co ja wiem o boleści? Tyle co powiedzieli starzy mistrzowie. Nie odwracam wzroku od cierpienia. Pogrzeby systematycznie niemal dwa razy w tygodniu. Narodziny w bólach znacznie rzadziej. Choroby i kalectwo codziennie. Sprowadzają się ludzie z miasta na wieś radośni, budują domy, cieszą się, a ja już widzę ich tragedie. Brak ciągłości w spłacaniu kredytów, psucie się relacji, tracenie zdrowia, wzajemna pogarda, wypadki, koniec szybszy niż przewidują statystyki. Leżę więc tak sobie od wieków, obserwuję, czekam i przemijam. Znajduję się w pobliżu Wielunia. Może mnie kiedyś staruszek poprosi o rękę. Na razie się boi.

luty 2025

Park-niepark, ratusz-nieratusz

Musiałam opuścić dom. Eksmisja na bruk. Fruwam wzburzona po okolicy. Ogarniam spojrzeniem z góry wszystko: miasto, wieś, pola, lasy, a nad horyzontem czarne chmury. Z płotu, na którym lubię przysiąść, widzę oczodoły okien, walące się ściany, wycięty park. Słucham też ludzi, którzy kręcą się w pobliżu, siedzą na zmurszałych ławkach przed domami i rozmawiają. Podobno kiedyś cukrownię nabyli Niemcy, by w krótkim czasie doprowadzić do upadku. Obszary nieprodukcyjne po zakładzie przejął ratusz. Miał nadzieję na wprowadzenie tu ważnego inwestora. Firma z Praszki się jednak nie zdecydowała. Trudno było znaleźć kupca. W końcu urzędnicy za pomocą linijki i ołówka podzielili teren na mniejsze działki. Jedną z nich zainteresował się producent naczep, który ma w pobliżu swoje tereny.

Upadła cukrownia, ludzie potracili pracę, majątek popadł w ruinę. Zaczęły się kolejne problemy. W świetle prawa postanowiono wykarczować drzewa.

– Taki park to nie park – mówi burmistrz. – Park to mamy w centrum z alejkami albo lasek miejski, a tu samosiejki rosną.

W domu przedwojennego zarządcy mieszka pani od przyrody, co sadziła drzewa, więc te słowa dotknęły ją do żywego. Czego tu nie było! Klony zwyczajne i jawory, jesiony wyniosłe, topole białe, wiązy szypułkowe, kasztanowce białe, brzozy brodawkowate, świerki pospolite, graby pospolite, głogi dwuszyjkowe, wierzby białe i mój dom: śliwa ałycza – wszystko poszło pod topór.

Okazało się, że „drzewa wchodzą w kolizję” z planowaną budową hali i parkingu. Drzewa wchodzą w kolizję. Słyszałam o samochodach, rowerach, nawet hulajnogach, ale żeby rośliny... Ludzie chcieli ratować zieleni. Przyjechał konserwator zabytków. Powiedział pani od przyrody, że pozytywnie zaopiniuje wycięcie dziesięciu drzew ze względu na ich zły stan. Uznał, że pozostałe sześćdziesiąt cieszy się dobrym zdrowiem i w żadnym wypadku nie należy ich niszczyć. Jego opinia nie okazała się wiążąca. Próbował bronić drzew pan Mateusz z grupy Społecznych Opiekunów Drzew. Złożył zawiadomienie do prokuratury. Na nic to. Poszły w ruch piły spalinowe, a następnie buldożery. Nie mam domu! Gdybym była pawiem w Łazienkach, bardziej by się ze mną liczyli, ale co komu po głupiej głapie.

W oddali majaczy ratusz.

– Taki ratusz to nie ratusz – mówi pan Adam. – Ratusz to jest w Zamościu albo w Sandomierzu...

kwiecień 2023

MACIEJ BIESZCZAD

Piąta rano

Januszowi Szuberowi

Oczu przecieranie, z łóżek wybieganie, masowy amok.
Guzików zapinanie, wypadanie z mroku w mrok.

Przednich szyb skrobanie, oglądanie min księżyca.
Umykanie świetlnych minut między jest a bywa.

Szmer próśb na czerwonym, odruchowa modlitwa.
Spór silników i klaksonów, bezkrwawa, przyczajona bitwa.

Z taboretu na fotel, z ulicy na szklany korytarz, do biura,
Na wybetonowaną ziemię, w uścisku sobowtóra.

Metamorfozy

Pora wybudzić się
z czasu, pruć, nie tkać,

mgielną tkaninę.
Rozwiązywać ścieg

po ściegu, ścieżkę
po ścieżce,

jakby to była
nierozwiązywalna

zagadka. Podnieść rolety
i przejrzeć. Upewnić się,

że nie zostaje nic,
nic z ogonem węża

wijącego się
na trawniku

przed domem,
gotowego ukąsić.

Tym bardziej próbować.
Przetrząsać sposoby.

Do góry nogami
odwracać pojmovanie.

W drodze do pracy nucić
prostą piosenkę:

„Chwila ma ludzkie
rysy twarzy. Ramiona

jak wskazówki,
ciała jak zegary –

kieszonkowe,
dworcowe, ozdobne,

astronomiczne.
Czas jest moim

sprzymierzeńcem,
niezawodnym

przyjacielem”.

Pięć minut

Fryzjer z Treblinka
Dostał pięć minut
Na pożegnanie się
Z rodziną.

Specjalną brygadę
Fryzjerów
Nauczono strzyc
Pędzonych do krematorium
Trzema szybkimi
Ruchami.

Transporty przyjeżdżały
Nad ranem.

„Mama i siostra
Miały gęste włosy.

Spędziłem z nimi
Więcej czasu”.

Jeden dzień

Wstałem, zanim obudziły się dzieci na wschodniej
Półkuli, przed pójściem spać starców na północnym
Skraju planety. Podałem sobie szklankę wody.
Spojrzałem na czerwone dachówki za oknem.

Wypiłem kawę. Dokończyłem książkę. Uniosłem się
Na kilka minut, prawie lewitując, uradowany
Piskiem wilgi. Słońce zamieniło się miejscami
Z oberwaniem chmury. Z szaf wypadały rzeczy.

Rozśmieszył mnie zapomniany żart. Na krętych
Schodach rozmawiały jakieś kobiety, wskazywały
Na uchylone drzwi, przestrzegały: „Nie wchodź”.

Wieczorem zachorowałem. Ktoś uleczył mnie
Szeptem: „Życie krótsze jest niż jeden dzień.
Liczysz do dziesięciu? Nie lepiej do trzech?”.

Kipiel

Pamięta, jak razem siedzieli nad rzeką.
Za nimi stał las z kompozycją ścieżek.
Ciała były żywe. Z wody wyszło zwierzę.
Kto utonie pierwszy, nie naszą jest rzeczą.

Za nimi stał las z kompozycją ścieżek.
Pokonać mieli podróż, niektórzy daleką.
Kto utonie pierwszy, nie naszą jest rzeczą
Ani jak się staną przedmiotem wierzeń.

Pokonać mieli podróż, niektórzy daleką.
Nie zdążyli pojąć pod naporem zaprzeczeń,
Jak się staną przedmiotem wierzeń,
Snem proroczym, obrazem fali pod powieką.

Nie zdążyli pojąć pod naporem zaprzeczeń.
Opadali z sił, nie dowierzając, że będą poniekąd
Snem proroczym, obrazem fali pod powieką.
Nie lekceważ więc, maro, ludzkich zamierzeń.

Opadali z sił, nie dowierzając, że będą poniekąd,
Że wejdą zdumieni w nową, obcą przestrzeń.
Nie ignoruj więc, maro, ludzkich zamierzeń.
Istnieją pomimo – ratujący się ucieczką.

Że wejdą zdumieni w nową, obcą przestrzeń
Nie przewidział ten, co mierzy kulę ziemską.
Istnieją pomimo – ratujący się ucieczką.
Jeśli doszczętnie znikną i czerń ich obejmie?

Nie przewidział ten, co mierzy kulę ziemską.
Ciała były żywe. Z wody wyszło zwierzę.
Jeśli doszczętnie znikną i czerń ich obejmie?
Pamięta, jak razem siedzieli nad rzeką.

Cerkiewka

Drzwi otwierał i zamykał wiatr znad Dniestru.
Brnąłem dokąds na zgruzowanym przedmieściu.

Powiew pomógł mi się wspiąć tam, gdzie stała.
Tak trzasnął drzwiami, że uświęcona była cała.

Przestałem pragnąć. Ustał domysł i wędrówka.
Stopy, dłonie i skronie obmyła deszczówka.

Dryfowałem Dniestrem w niczyjej arce czasu,
Pod spodem rozumu, pod okiem majestatu.

ROGER PIASKOWSKI

Surene

Pamięci Helen Chadwick,
autorki *Nienaturalnej Selekcji* (*Unnatural Selection*)

Na dłoniach stygmaty miłości. W czasie przesilenia wiosennego brzuch dotyka ziemi. Głodna nasion ziemia: wypełniona udręką biała kartka kładzie na twarz czerwoną kreskę; lekko rysuje usta. Na nadgarstkach pękają ob ręce; nie będzie krwawienia, tylko obcowanie. Bóg nie opuścił Domu Krwi, tylko płacze. Stożące na półkach tysiące nieodebranych urn, anonimowe składowiska rzeczy bez imion, bez adresu, ekologiczny kompost ubiera zwłoki. Jeszcze zaznaczone pudrem policzki, puste nisze oczu, wilgoć po ostatnim oddechu. Powszechne liofilizowanie, odparowywanie substancji ciekłych, zapewnia szaleństwo reinkarnacji. Kości, włosy, paznokcie używają wyzwalczy, rozbijają ciszę, zapewniają promenadę naturalnych odgłosów. Anioły kremacji odchodzą na emeryturę wyparte przez ogrodników, czcicieli padołu. Ciało jest prymarnym prochem, wypełni przestrzeń opanowaną przez automatyczną skrobie; nawóz duchowy naszej siostry lub ojca pod brzoza albo krzewem bzu. Powrót do Matki powołuje fenomen reinkarnacji w sferze uczuć, ale i poprzez życie korzeni, pni, łodyg prowadzących do powstania kwiatu i owocu. Najpiękniej pachną ogrody pamięci w maju: żywioły stanowią rodzaj jedni, zaś człowiek pozostaje w sferze idei w krajobrazie nieustannej spada głową w dół. Po 35 sekundach osiąga szybkość jednego macha. Swobodnie doświadcza istoty piękna. Z rozłożonymi rękami i nogami, wpisany w okrąg, słyszy oddech Beliala. Na wysokości półtora kilometra nad Śnieżką otwiera spadochron. Skafander chroni go przed nicością; powietrze jest rzadkie, krew i woda nadmuchują ciało: przelatuje z szybkością naddludzką.

Dziwny to powrót, odsuwany ad acta, wstydliwie spychany na boczne tory, pomijany w antologiach, planach ekspozycyjnych, rzadko przytaczany jako modus vivendi. Stan naturalny zaczyna się od bólu, wyciąga owoc z ekranu wiadomości. W krajobrazie gdzieś pomiędzy nadnerczem a kręgosłupem ukrywa się mucha bezsenności, uszkadza tkanki, podrażnia receptory, szuka włókien nerwowych, zadaje ciosy w obrzeża mózgu zajętego przetwarzaniem informacji. To ból spiralny samosterujący język zabójcy, uderza z energią miliard razy większą niż erupcja wulkanu, wybija otwór, przez który wyziera wieczność. Na pomoc przybywa morfina, słynny alkaloid, ukryty w oparach opium, stężony sok wyciśnięty z dziewiczych główek maku. Z pomocą napływa fenatyl, syntetyczny opioid, superdziało, sto razy silniejsze od morfiny. Fenatyl jest jak plaster miodu, nakładany na spękaną, ropiejącą świadomość, podczas gdy morfina przechodzi przez usta i znika. Żeby ulotnić się ból, trzeba wezwać skrzydlatego Thanatosa. Wyczerpie wszystkie

soki, aby wskoczyć na płonącą platformę i ugasić strumieniami lodowatych węży ostatnie połączenie mózgu.

Atakuje w nocy, wybiera miłosne zagubienie, opanowuje zmysły, w kilka minut redukuje myśli do zera, zakłada smoliste werniksy. Nie napotyka oporu, odcina zmysły, szarpie za serce, pragnie przekształcenia, lecz w tym dążeniu gwałci, zabija, kreuje przeciwieństwo. Dawki ratunkowe napływają zbyt późno; tabletki wystrzelone trafiają pod język, śluzówka jamy ustnej odpiera kolejny atak, ból na trochę odpuszcza, zwycięski fenatyl przypomina cycatą Wolność wchodzącą na barykadę.

Trzeba unikać własnego ciała, niektórzy w sztuce tresowania seksualności stają się nieprzewidywalni; nie zdają sobie sprawy, w jakiej uczestniczą rebelii. Nie wystarczy dotykać się bezszelestnie w cieniu, przywierać do siebie w ogłuszeniu, udawać, że jest się towarem w hurtowni, rojem cekinów pokrywających wygolone krocza, naśladować wąsate karakany, płodzące mechaniczną przyjemność. Dla tych, którzy pójdą za śpiewem syren, jest Fourchette Piercing, to wilk z rozżarzonym widelcem wybiera miejsce i porę, zwykle jest to cienka warstwa skóry, szorstka w dotyku, wyszorowana szczotką, okadzona i pokropiona niebieskim spirytusem. Pomost łączący ze stołem operacyjnym zdaje się podpływać na lekkiej fali, pojawia się prowodyr o rozdwojonym języku; będzie testował dolne ujście pochwy.

Jednym ślizgiem wpada w szczelinę odbytu. Kolczyk może uszkodzić nawierzchnie warg, więc trzeba odkrywać nowe miejsca, one i tak nie protestują. Nocą po Fourchette Piercing oko rozkoszy budzi się, wykrzywia twarz pokrytą siwym futrem. W miejscu łączącym łechtaczkę z odbytem zaczyna się słodkie branie.

To Ruth Handler wyzwoliła sen długonogiej dziewczynki. Gładko pociągnięty lakierem Cadillac Fleetwood z Elvisem za kierownicą, śpiewającym nabuzowanym dwutlenkiem azotu głosem o najśliczniejszej z najśłodszych, o uwielbianej Barbie, która uciekła z domu i zamieszkała w pałacu Królowej Marysi. Słodka laleczka za trzy dolary, ciało bez skazy, absolutne przeciwieństwo pryszczatych i tłustych kaszalotów. Wystarczy lukrowany kostium; na stopach klapki na sporym obcasiku, okulary zdejmuje w odpowiedzi na prośbę Elvise. Amorella, puteczka, anielica w miniaturze, czysty ekwiwalent dziewictwa, przesłanie dla kolekcjonerów nimfetek, perwersyjny archetyp idola sprzedawany w ogrodach prêt-à-porter, zabójczy program odnowy związków biseksualnych: Christian Dior, Oscar de la Renta, Bob Mackie, Yves Saint Laurent. King Kong podaje ją dalej, przenosi nad wyspami Honsiu i Hokkaido, dalej do szkół w Hongkongu i na stadiony Seulu. Barbie osiąga szybkość laserowej pszczoły: przebiera setki nowych spódniczek, staników, okularów, szortów, bucików; jej buzia stworzona do książęcych całusów, okulary przeciw mrocznym spojrzeniom panów w czerni. Jej ciało nigdy nie krwawi, w jej oczach morze różowej waty, jej tatuś jest milionerem, lata z kontynentu na kontynent własnym odrzutowcem, serce Barbie należy do tatusia, jej brzuszek nigdy nie urośnie, nie wypuści czarnego motyla.

Obrazy godne Ramosa, ucznia Hockneya: doskonale obcisłe malarstwo, serigraficzna świeżość wielokrotnych podróbek, multiplikacja produktu z pediatricznej fabryki. American Dream opuszcza wyspę niewiniątek. W domku lalek o piernikowych okiennicach, w zamrażarce Smeg następuje hibernacja bosonogiej contessy; tęczowy cukierek zawinięty w lodowy całun.



Sześćdziesiąt pięć procent dziewczynek budzi się u boku Barbie, zwielokrotnie-nej do plutonu ciepłolubnych przytulanek, nie liczą się siksy, tłuszciochy pachnące frytkami o duszy potencjalnego Kopciuszka i żarłoczności rekina, których skóra nie zazna jawności. Prawdziwa Barbie króluje na giełdzie, co sekundę sprzedają się dwie sztuki: świecące fetysze wabiące mężczyzn uwielbiających składać mechaniczne zabawki.

Od afery z Chińczykiem, który oddał swoje ciało Imperium Lodowców, higiena świata straciła lidera. Tam, gdzie odszedł Qi Li, wieczność straciła pęcherzyki powietrza; skarbonki kryjące łzy miłości. Wszedł do chłodziarki, czytając *Ars Amandi*, uległ przemianie w coś lepszego. Zadziałał mechanizm strachu, emocje sfrustrowanej publiczności osiągnęły apogeum bierności. Bryła lodu w czasie przesilenia ominęła warkocz spadającej komety Satisfaction. Zrobił to, wypatroszył demona, wydał wszystkie oszczędności, żeby ciało było czyste, nieśmiertelne aż do ostatniego kolczyka, wypełnione głębą umarłych, pozbawione kształtu i kości, wyzwolone z kultu pracy i głodu pieniądza – zawsze blisko umarłych.

Ciało Qu Li jest mniej radykalne niż protestanckie epitafium. Jego – nie do końca – wyzwolona dusza może być przedmiotem predestynacji, czymś w rodzaju krzyku dziecka w czasie.

Kamienie z naszych plaż toczą się w otchłań, czarna dziura nie produkuje samotników, wpływa na masowe schodzenie lodowców. Program masowej akustyki to warkot, syczenie, krzyk ćwiartowanej świadomości, wyzwiska, skaryfikacja zmuszająca naszą skórę do przyjęcia nietrwałych odcieni rozkoszy. Bariera tolerancji została przekroczona, szlabany wykopane na pobocze, ból osiągnął megawytrysk ze wszystkich szczelin mózgu.

Kiedy nastaje cisza i opadają płatki śniegu, jedynie krople liter powodują, że staje się czas; tarcza słońca budzi języki, kochają się w locie, lecz ciało tak nie potrafi, ono tylko chce mnie opuścić. Przerazenie nawarstwia się.

Zapewne gwiazda Paracelsus zbyt wolno przesyła odpowiedź; nie doczeka się istoty przemiany. W jej ciele odkryto pierwiastki kodyfikujące zawartość wszystkiego. Boska kwintesencja nie podlega człowiekowi. Krew, kości, mięśnie, skóra nie znają posłuszeństwa. Terytorium, które przemierzyły karawany języków, ogniska wypaliły kraterę i doliny, bezimienne płaskowyże omiata dym – wydłużają się koryta łoż. Zapomniane więzienie serca gdzieś chce się przebić, lecz głos odchodzi. Jak przejść do niezmąconej wody? Do niezmąconej czystości, jak się przedostać? Stanowiska kamer wszczepionych w oczy istot bez ust, serie zastrzyków w wewnętrzne ścieżki dłoni; idącemu po chmurach odbiera się lęk wysokości; podlega podsłuchowi i inwigilacji, staje się istotą przezroczystą. Czaszka opróżniona i wygolona już nie eksploduje – w jej sferze otwiera się nawa; ciało odciążone ma predyspozycję lotnej substancji, jest wolne od acedii. Kopuła wyłoniąca z wydrążonej czaszki znika w lustrze alchemika z Vinci. Paracelsus uważa, że Minotaur wypatrzy człowieka dzięki promieniowaniu wokół czaszki. Możliwe, że widzialne jest tylko to, co zwierzęce.

Żar śniegowych kul. Szelest gwiazd. Latający mózg nasycony eterem. Ciało pokryte hipertekstem zatrzymuje niektóre obrazy. Dywany Szeherezady pokrywa nieustający poemat. Menady boją się ciszy, ich oczy wychodzą z orbit, ich języki spragnione są krwi. Dziecko Sharon Tate, uśmiech Orfeusza, oczy Sebastiana, płaszcz Bartłomieja, samotność Marsjasza. Menady oferują akustykę pił elektrycznych; ich zęby z łatwością pokonują misterne arterie i kunsztowne naskórki.

Można bezboleśnie przekłuć sutki i założyć Dydoe. Prywatna własność dotyczy sromu. W czarnym oku Cyklopa Caravaggio poluje na krokodyla. Właśnie zerwał z Holofernelem, wypełnia pustkę kroplami krwi. „Nie oczekuję sławy i pieniędzy, nie kusi mnie erotyczne mruganie wszechświata, przyszedłem nagi i nagi powrócić w objęcia żywiołów” – oświadczył Qu Li do zgromadzonej publiczności. Kiedy stanął na progu zamrażarki, odwrócił się i podnosząc rękę, powiedział: „Proszę, nie przeszkadzajcie, lecz pójdźcie w moje ślady”. Krew szybko zamarza, dusza znika z szybkością jaskółki. Krzątamy się wokół własnej śmierci, używając innych ludzi.

Wymagane jest przekroczenie strefy Hypnosa, gdzie lekko wilgotny grzebień okrywa suche wargi wydobyte z różowego silosu, jeszcze niebudzone, jeszcze poza zasięgiem. Nadzwyczajne nieposłuszeństwo cremastera oznacza totalny dyskomfort. Pożądanie trwa krótko, jest motylem, panuje nad mózgiem świadomym cienia impotencji (katusze samokrytyki) razem z niedotlenieniem mózgu, przyczynia się do beładnej kopaniny, prowadzi do zagłady. Ciało kona w poczuciu alienacji. Fallus zostaje skazany na utopienie w zbiorniku z płynnym azotem.

W niebieskiej poświacie księżycowych podłóg trwa chemiczne podniecenie jajników. Surene nie znosi ciemności, teoretyczny pocałunek nie wchodzi w rachubę, może być niebezpieczny. Rozochoczone jajniki dobrze kumają wolność z zuchwałością typową dla istot prymitywnych – ryzykują własne unicestwienie. W rurce elektronowego mikroskopu pojawia się rybie oko. Każdy niespodziewany płas, ba, fałszywy zachwyt – jest wyłapywany, trwa permanentna inwigilacja. Zbawienie według Kalwina jest kwestią pracy, nie wiary. Erotyczna fantasmagoria nie ma podstaw naukowych, dlatego jest piękna, zwłaszcza w stadium czuwania. W rękawiczce z białej polihydryny drży nadzieja masturbowanego ojca.

Jest piętnaście i pół minuty po ósmej rano w dniu Świętego Bartłomieja, patrona kuśnierzy i tapicerów. Piszczące komórki jajowe zostają wepchnięte do próbowki. O dziewiątej dwadzieścia rozlega się głos Pana: „Człowiecze, kreujesz Nieludzkie Środowisko”. Po dwóch dniach infantylnego berka i chowanego komórki z pierwszej linii (te z wypiekami, stłoczone w inkubatorze) nabierają apetytu – przy tym nudzi je ciągle ganieanie w stadzie, zgłaszają postulat: „Zapłodnienie natychmiast! Żądamy zapłodnienia!”.

Do odświeżenie wypucowanej macicy wprowadzone są trzy wybrane embryony, zwane żartobliwie przez załogę w białych czepkach „robaczkami”. Przez dwa jakże długie tygodnie przeniknięte niżem znad Wysp Owczych, kiedy szron pokrył kawiarniane stoliki, a nocne opady śniegu zamieniły miasto w gnuśnego Golema, trwało oczekiwanie, badanie ultradźwięków, przetwarzanie danych. Czternaście dób łuskania grochu i dokarmiania gołębi, maniakalne łamanie czternastu tabliczek z horoskopem, aż ciało Wszechrzeczy powiedziało: „No jak”. Przez ucho igielne przesunął się splot DNA. Jeszcze jeden płynny diament pójdzie ku słońcu, to jego papilarny żagielek kołysze się na tęczy grawitacji.

Obcowanie przypomina budowanie rusztowania wokół topniejącej architektury. Umysł pojmuje fikcję, upada wiara w nieprzemijającą urodę plastynatu. Płuca nasycone kauczukiem silikonowym, mięśnie ożywione żywicą epoksydową. Na scenę wybiega piękna Asel, dziewczyna naznaczona piętnem, kreatorka piruetów i łabędziej niewinności: długie ręce, stopy wyposażone w skrzydełka kolibra. Asel zdejmuje baletki, odwijają bandaż z nóg, odpina krynolinę, zdmuchuje upierzenie; tańczy przezroczysty plastynat.

Pustynia rodzi kamienie: powstają z popiołu, toczą się nie wiadomo skąd i dokąd, nie można ich złapać na gorącym uczynku, zostawiają koleiny i patrzą, jak wschodzi czarne słońce. Tęcza grawitacji ulega rozbiciu na plastikowe rurki; otaczają wewnątrz gigantycznej kapsuły pokrytej lodem, promieniujące zimowymi barwami. Pistacjowe dredy merdają obok truskawkowych oktagonów, żółte obręcze łączą się w menady świecące jednolitym fioletowym światłem. Ukrycie zarodków nie niesie zagrożenia, jedynie sposób zadawania im śmierci wywołuje niesmak. W zamkniętym, stalowym pierścieniu kapsuły, schwytanej przez żelazne pazury, trwa azotowa noc polarna, gdzie czekają drżące ciała, przytulone do siebie.

Kładzie się na plecach, ręce układa za głową, przyciąga stopy ku sobie, uginając nogi w kolanach. W tej pozycji zapomina o mdłościach i zaparciu. Pośladki unosi jak najwyżej, robi wydech: zużyty tlen z piskiem nadeptanej myszki ląduje w słoiku z napisem: „Dżin”. Powolutku opuszcza miednicę, przyjmuje pozycję leżącą; czuje

się ośmioletnią dziewczynką, która przytula ulubioną lalkę i otrzymuje na czole pocałunek na dobranoc. Wykonuje te same czynności dziesięć razy, za każdym razem krótko odpoczywając: kocha odmładzający seans powszedni. Biogenetycy obiecują coraz dłuższe życie. Słuchając codziennych komunikatów o pogodzie, kąpiąc się w gorących źródłach Islandii, pozbywamy się demonów naszego ciała. Zużyte kadry skóry usuwane są bez użycia skalpela; krew śpiewa bez ingerencji z zewnątrz. Ciemne brodawki, wysłużone tatuaże, drobne żylaki, krosty rosnące w deszczowe noce wchłania promienny doktorek; zabiera ze sobą i znika, zostawiając gładką, nowiutką skórę. Cieleśne pochlipywania, żenujące obmacywania, poczucie wyobcowania znikają bezpowrotnie; dorobek zaczyna cieszyć oczy: jędrne, sprężyste pośladki zdają się być mądrzejsze, mogą spełniać najbardziej wyszukane oczekiwania.

Jak pokazał akademik Ingres, łaźnia nie służy tylko celom higienicznym, pomaga w oczyszczeniu duszy z grzechu zaniedbania, zaś mężczyźni, którzy twierdzą, że kobiety są istotami z gruntu nieczystymi, każą im udać się do mykwy, co najmniej raz w miesiącu, po zakończeniu menstruacji, a także przed ślubem i po urodzeniu dziecka. Insynuują, że kobiety muszą strzec swojej nagości tylko dla ich potrzeb, a bywało, że pobożne niewiasty z braku mykwy udawały się w miejsca odludne nad rzekę lub staw, aby spełnić wymogi czystości i zażywać rytualnej kąpieli z pożytkiem dla własnej urody.

Musisz podejść bliżej, położyć się obok, tak, aby mogła obejrzeć stopy i unieruchomić nogi; opleść i wypełznąć. Naturalnie czas może wypełnić wyobrażenie dowolnej rozkoszy, wręcz eklektycznie niespójnej: Bajone, Cordaria, Versace, Serenite. Grypsy zaprawione ciągami erotycznych cyferblatów, algorytmy Euklidesa, smaki narkotyczne pozbawione pretensji i sensów. Proszę, uczynić mnie na podobieństwo, ośłoń przed starością, dotknij bezwiednie, wypełnij głód, wskaż świat niezależny, wolny od melancholii, zakaz deptania trawników, aby ziemia zebrała się do kupy. Widzisz istotę obrazoburczą i androgeniczną, wyłoniłą z ud Laokoona – przez to zakłopotaną.

Ma 172 centymetry wzrostu i waży 55 kilogramów, pachnie werniksem damarowym i szałwią, zmienia kolor oczu i nie dba o długość włosów: „jeżeli rosną, to ja rosnę z nimi”. Nauczono ją opuszczać wzrok na widok nagiego człowieka, wymyka się z szatni dla operatorów sztucznej ręki i podgląda spawaczy o głowach ukrytych w płonącej kuli, lubi to, co jest; nurkowanie nie dotyczy jej żywiołu. Nocami podtrzymuje sny o erekcji, przemyka korytarzami, otwiera zakratowane akwaria. Jeżeli znajdziesz ją w sieci i zechcesz uwolnić, podając się za kogokolwiek, nie stosuj merkantylnych kodów, nie reklamuj fundacji na rzecz, używaj zwrotów i powrotów, epitety zostaw, niech same szczenią, mieląc jęzorem jak wielbłąd. Od for przesiąkniętych, od tandety bez znieczulenia, od czarnych okularów, które pozostają czarne – jedynie czarne, odwróć się, żeby nie zniknąć, odklej klipsy, popatrz w kółko kamery.

W towarzystwie wszystko ściąga; jest bez majątek, bataliony staników w alergicznym ścisku kupuje, podskakując, byle dalej – na dystans, w otoczeniu ciastkopodobnych Koreańczyków w sztywnych żakietach z czarnej posoki, różowo naelektryzowanych bez śladu krocza. Wydaje. Ona wie, co to znaczy wydawać, może chciałaby wszystko wydalić, porzucić najnowsze ekskrementy, jak najdalej, jak najprędzej, byle zostało skonsumowane; zachowa anonimowość, schowa język jak trąbę, oficjalnie odsłoni uda i znowu coś zrobi z językiem, kiedy w mieszkaniu,

w mieszkaniu, które nie jest tylko zbiorem przypadkowych meneli, którzy wrócili z wyprawy po złote runo i mają wizję trzeciej krucjaty, w mieszkaniu myje zęby, robi siusiu z zamkniętymi oczami, mimo że posiada kod predestynujący i w związku z tym nie boi się tak zwanej śmierci, lubi powtarzać kod, który jest zmyłką enigmatycznego proroka, zatwardziałego somnambulika bez reszty zachęcającego do strasznych przysiadów z obciążeniem i chodzenia do góry brzuchem z mantrycznym przynudzaniem: „Gawina – Merdus – Seculina – Mores”. To jest schizma pupy matriarchalnej i paleolitycznej. Jej skórę ulepiono z hipoalergicznego silikonu; jest ciepła, smagła, dotyk jej brzucha smakuje, budzi apetyt, skłania do poufnej rozmowy. Chce się z nią współzawodniczyć o każdy nowy smak i zapach, zarówno w tańcu, jak i podczas rozmowy. Kiedy pracuje, marzy: zamyka się w odludnym, rozrastającym się lesie. Zaciśnięte węzły, duszące kneble czekają na wyzwoliciela. Spada na cztery łapy, smaruje piersi różanym mazidłem, pochylona napina pośladki do zachodu słońca; wtedy wszystko staje się prostsze: niewidzialne ulice, niewidzialne ciało. Kiedy biegnie, jej serce zdaje się oddalać. Bezbłędnie rozpoznaje upodobania, odwzajemnia się czułością i cierpliwie poddaje weryfikacji. Wybiera osobowość pozwalającą na modyfikacje następnych spotkań. Lubi, kiedy jest prowadzona za rękę. Co zamierzasz uczynić, kiedy się zdecydujesz? – pyta. Ogarnę twoje semickie geny, judaistyczne co nieco, proponuję imię dla ciebie – odpowiadam. Mam być posłuszna? – pyta. Nie – odpowiadam. Powolna? – pyta. W nadmiarze – odpowiadam. Znudzony, przesycony, wycelowany, czujący niestrawność, ciągle atletyczny, zasypany pomysłami na szaloną starość zapala wróżby, idzie na Dziady, ustawia znicze, kręci globusem jak wariat, wydaje pieniądze bez pośpiechu, żeby nic nie bolało, może być nawet transplantacja. Kobieto, której ciało jest koniecznością, zrezygnuj, twój algorytm uległ dezaktywacji.

Lecz sprawa Surene zasługuje na aktywację. Ryba od urodzenia, porzucona, stracona na jednym z podwórek: skopanych, zapchanych, zapchlonych pod niestrawnym wyrzutem wszystkiego: od tynku na budynku z powybijanymi oknami, z parapetami, z których codziennie spadają eksmitowane, zadłużone, pozbawione bielizny, w otoczeniu plugawym, w grzęzawisku z małym ślepym króliczkiem, którego przytyka do piersi łoś wieczny tułacz. Wzruszające przetrwanie, które prowadzi do bezkresu. Wrażenie, że przyciąga wyłącznie wzrok, jest mylne, potrafi wstrzymać pracę serca w pełnym biegu, bijąc po kieszeni. Oczywiście wygłasza gawędy, nadaje prawicowy charakter lewicowym odchyleniom; jest w związku z tym osobą cytowaną przez influencerów. Jej najlepsze wiktuały ulokowane są głęboko w podglebiu, między truflami, które boją się francuskich świni wyposażonych w udarowe ryje.

Photorejuvenation. Zawsze o tym marzono. Odmładzanie. Odmładzanie jest bezsprzecznie wyzwaniem dla paradygmatu śmierci. Istnieć w zachwycie przez cały czas. Photorejuvenation! Zawsze podnieca za pomocą światła. Czułość jest światłolubna. Znikają starcze plamy. Giną linearne pajęczki. Usta zaciśnięte i nieprzystępne otwierają się na nowe możliwości. Pulchne usta zamiast zgorzknienia. Słodczy nowej ery w barwach całkowicie indywidualnych. Wedle marzenia światło jest skrzydlate. Opium nie jest potrzebne. Cieleśność wykorzystywana w czasie przerwy na lunch, mobilizowana i mobbingowana w poczuciu nagłego apogeum. Wzrasta łatwość: przyswajania, dotykania, miziania, przytulania, gładzenia, szczypania; spłoty

nerwowe napędzane zarzewiem nowej jakości. Kobiety przejrziałe, stare, baby jagi, kocmołuchy, czarownice z brodami, łyse karpie, jednookie syreny, tłuste słoniny w obcisłych szortach, mlaskające i pierdzące w majty bez krzty nadziei, już nigdy nie będą dyskryminowane. Wielkie PRZENIGDY! Giętkie członki strzelające w środek mózgu mężczyzny, potrafiące oddalić gnuśność. Wieloaspektowy spektakl na niebie i ziemi: *Space and Agony*. Niezbywalny i niepodważalny rytuał porywa i targa.

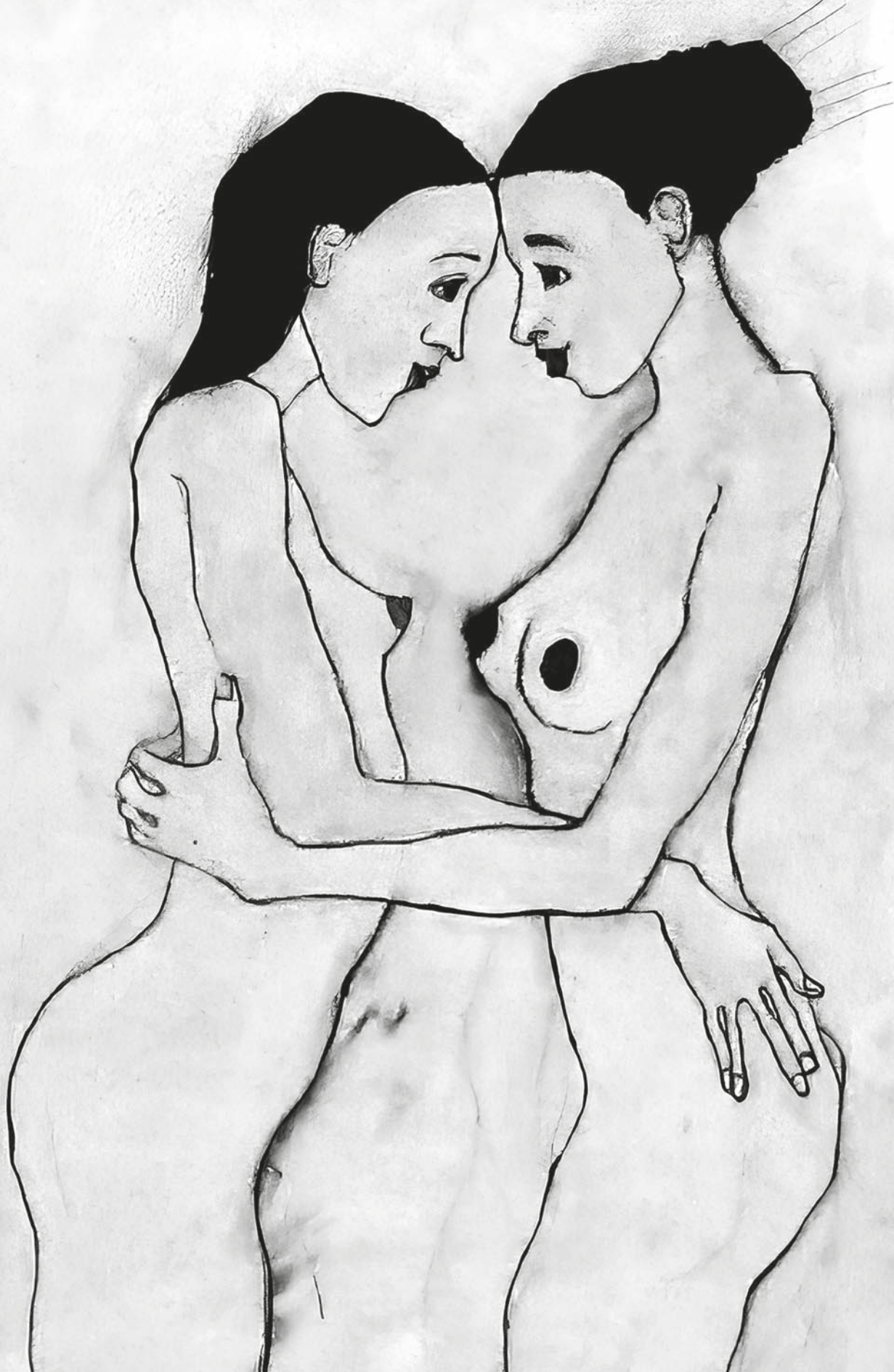
Otoczona czekoladą, wykąpana w bitej śmietanie, uwolniona, wyposażona w czytelniki złych intencji, zakodowana i zaczipowana, wieloimienna, odwrócona zadkiem pospólnym Elaine Davidson i jej 462 kolczyki wykarmione krwią z mlekiem, woła wznosząc oczy do Boga, w Bogu się odnajdując: „Panie, dałeś mi, co dałeś”. Na jej twarzy podobnej do dyskotekowej kuli, otoczonej wirującymi 192 pierścieniami trwa migotanie niezliczonych możliwości. O Panie! Świetlista Elaine jest twoja! O Wielki Matadorze! Najpierw myślałam o zapuszczeniu paznokci – zwierza się Elaine – ale wyprzedził mnie hinduski zjadacz przekleństw, wieloreki Shridhar Chillal (5 paznokci lewej dłoni o długości ponad 6 metrów), który wierzy w przyjemność trwającą 48 lat. Androgeniczna foka, z którą czyta Wedy, przestała klaskać, kiedy Shridhar wszedł do książki Guinnessa. Teraz jego uszy zarosły i to wprawiło w zdumienie jego samego. Jego głowa jest śmigłem. „Nie myślę o rekordzie, o tym nie warto myśleć, raczej szukam przyczyny bólu, który czują gwiazdy – zwierza się Shridhar. – Jestem daleko, dlatego szukam; moja mandorla zbliża mnie, czerpię radość zbliżenia, nawet kiedy zostaje odrzucony, zepchnięty na pustynię. Chciałbym, żeby moje nawiedzone kolczyki śpiewały o istniejącym i nadchodzącym ZAGMATWANIU”.

Fonem erotycznego języka jest esencją początku świata z jego ostentacyjną ikonografią wprowadzoną do obiegu publicznego przez komunarda Courbeta. Z tego dzieła obscenicznego, a w zasadzie genderowego, czerpią maniakalne argumenty nie tylko zwolennicy upadku białej rasy. Aby wygrywać na nagim instynkcie, trzeba kochać bardziej ciszę, która jest ogrodem, zdaniem tych, którym ogród ziemskich rozkoszy kojarzy się z zapachem spermy. Ciało stworzone na obraz i podobieństwo, ciało umiłowane: *Inner labia* jest materią społeczną. Może zbyt lekkomyślnie wybierany jest krój i fason. Kobiety bez formy i mężczyźni z nadmiarem. Wszystko podlega gazyfikacji i haptycy.

Bez makijażu, w nastroju meduzy, z ciałem wilgotnym i zużytym: pryszczę w pachwinie, opryszczka ssie wargę, piersi bez silikonu, czeka na lancet. Światło o tej porze uwypukla kości, podkreśla nawis cellulitu. Zwinna, szalona jaszczurka masturbacji wymusza działanie obronne. Rzecz dzieje się bez słów i miziania, lepiszcze w postaci masy żywicznej oczyszcza z dymu, listing wpuszcza palce do pochwy. O nie! – protestuje – nie mów mi, że się znamy od tej strony. Jeszcze chwila i poczuje szorstkość odbytu. Zwinka jest sprytna, udaje gumową dłoń i ciemne wnętrze wypełnia szczelnie. Pochwa staje się rozciągliwa; trwają zawroty głowy, wagina traci zmysły. Komunikat na ekranie mówi: „Wagina jest dzisiaj w porządku”. Godność nie zna ograniczeń biologicznych, gdy idzie o pożądanie nasze codzienne, intymne, o wspólny dobrobyt i przeznaczenie. Wzdłuż barku wykonywane jest milimetrowe nacięcie. Pod lekko krwawiącą skórę wprowadza się sondę pokrytą 14-karatowym złotem; aparacik zostawia we wnętrzu mięśnia łaskoczący podtlenek azotu – kawałek żyłki przykleja się jak skórkę pomidora. Zdecydowanym szarpnięciem można oderwać tę odrobinę, ten sofizmat irytującej

obcości. Jednym gestem, zdecydowanym szarpnięciem wydobywa się z żyły esencję czegoś sympatycznego o smaku pieczonej kałamarnicy. Ostrze lancetu lekko zabarwione sieną o odcieniu jasnego różu nacina głębiej, to oznacza szybsze spadanie i utratę czucia od pasa w dół. Do puszki z nerwami puka miś uszatek i pod kołderką robi się ciepło i przytulnie. Naświetlona i sprawdzona immunologicznie krew wyznacza nowe ścieżki, skóra schłodzona żelem powraca do zmysłów, na prostujących się sutkach znika szron. Przed przebudzeniem na ustach pojawia się uśmiech pierwotny: z pasa startowego między wzgórkami piersi startuje napowietrzny zwilżacz, który cudownie osładza początek nowej ery. Poniżej kapturka łechtaczki zaczyna się i kończy zarazem pewien etap nieporozumienia, co prawda powiększenie kompetencji i zakres przyjemności ulegają apoteozie, albowiem bezbolesnie, pod spodnią część łechtaczki zasadza się wyjąłowaną końcówkę z metalu, którego subtelna, bezwonna obecność zapewnia rewelacyjną stymulację. Można zawołać: „Powłoka ateizmu triumfuje! Veraicon zostaje reaktywowany!”. Twarz Orlan jest obszarem fascynacji, krew nabiera sławy, nieruchomieje w obiektywach kamer, skóra ulega powiększeniu i zacierają się prostokątne pola wycięte lancetem, jakby się zbliżniła wszechludzka rana. Kolczyk bez dwóch zdań zapewnia długoterminową lokatę, spin doktorzy, eksperci body artu wprowadzają termin do słownika sztuk wizualnych. Triangle Piercing podkreśla organiczną architektonikę. To anatomiczne bóstwo wydobyte z zapyziałych, prowincjonalnych salonów pani tandety jest wreszcie otwarte na każde wyzwanie. Wstyd i rozwiązłość splatają się z sobą, tłuką, obśliniają. Łuszczące się stopy, skwarki potu nie do pozazdroszczenia muszą się wytaplać w tłuszczu, żeby wychynęła boczna głąź. Rzecz wymaga pojedynczego uklucia. Kilka cięć i geometria pierścienia wrasta w duszę, albowiem – powiada chirurg – Dydoe przekłuwa, nasycza i uwalnia. Zerwane naczynia, pocięte włókna, zdjęte naskórki, drobne, jakże pięknie utrzymane żyłki przechodzą metamorfozę. O Leonardo, warto się trudzić. Nic, co boskie, nie jest bardziej boskie. Rozkosz w dociekaniu symetrii. Ciało bierno emocjonalnie zdaje się funkcjonować poza mechaniką ruchów frykcyjnych. Twarz Boga się oddala. Przekłuwanie nawet najbardziej wysublimowanym laserem oferuje co najwyżej zwierzęce namiętności. Przekłuwanie czy inaczej – testowanie dogłębne za pomocą instrumentu penetracji ma defekt estetyczny, oparty o przekaz metalizowanej łuski śluzowej, poćwiartowanej i zakrzepłej w galarecie. Pocieranie stymuluje, zapowiada finisz, ból nieco geriatryczny przychodzi post factum, albowiem skóra warg rozciąga się z łatwością, może sprostać atakom nienasyconej furii; jest bezpruderyjna, odporna na trywialne i sadystyczne potrzeby. W finale ekstazy okrzyk „Euoi!” zostaje potwierdzony całkowitym znieruchomieniem, wręcz złodowaceniem, wyrażonym przez wzrok wbity w próżnię. Gdy skurcze ustępują, a ból przygasa, pojawia się śnieg; gasi stygnącą ranę, krew tężeje i budzą się podskórne namiętności: podpowłoczne alkohole dojrzewają, wchodzą w związki, zaczynają się dobierać.

Nogi pokryte płynnym woskiem. Wosk spłaszcza kości i syczy. Włoży obcisłe dżinsy. Wosk syczy! Nie potrzebuje rajstop ani pończoch. Wosk ogrzewa! Z mocnymi ściągaczami wychodzi z domu. Wosk śpiewa! Każdy dzień zaczyna od czystości. Nie będzie się pocić. Zapłaci za trzydzieści zabiegów rano i wieczorem, od stóp do pachwin, aż zakwitnie serce bez zobowiązań. Głos siewcy uśpi ją między ciepłymi wersami ciała odzyskanego.



ROMAN RZUCIDŁO

Łatwopalna ale nierealna

Benzyna nie lubi płonąć. Nie to jest jej przeznaczeniem. Wróćmy do źródeł: czarne wiry energii napędzają maszynę. Gdy nabiera szybkości, słoneczne promienie załamują się na krawędziach chmur. Powstaje

nowoczesne państwo obłoków, które nie zna korupcji. Wystarczy tylko działać zgodnie z naturą. Czerni do bieli, plus do minusa, wszelką agresję zrównoważą uzupełniające się przeciwieństwa.

„Świat jest pełen tajemnic” – myślę, nie przeczuwając, jak sto kilometrów stąd mój najgorszy wróg skrycie oblewa się benzyną. Chce dokonać samospalenia, ale nie to jest jego przeznaczeniem, choć tego właśnie bym mu życzył. Lepiej nie wachać benzyny, w jej oparach wszystko staje się jakieś nierzeczywiste. A czas na zemstę, najlepszy, upragniony, i tak kiedyś przyjdzie.

Trochę inna

Trochę w ciąży, trochę w szoku. Wychodzi na ulicę prosto w najgwarniejszy tłok, imiona żywiołów wypisane ma na twarzy. Niedbała i zadziorna. Nawet gdy mija przechodniów, daje im do myślenia, burzy spokój obojętnym, zaangażowanych wtrąca w marazm. Czerwone światło pada pod jej stopy, będzie je deptać jak szkarłatny całun. W nim przecież dozna przemiany. Trochę w ciąży, trochę na haju. Nie zwraca uwagi na to, co wszyscy, sukienkę ma lżejszą niż zaćma, usta pomalowane czarną szminką. Nie, nie będzie krzyczeć i kurwować w środku miasta, nie robi z siebie wariatki, tak jak byście chcieli. Ona tylko przełączy się i odpłynie.

Bez żadnego wspomagania. Wrzuci na luz i po prostu.
Po prostu rozleje się magmą

po umysłach tłumu.

Efekt błazna

Już po wszystkim, operacja się nie udała,
pacjent żyje. Teraz powrót do pieleszy,
kołysanka w rozbryzgach białego światła.

Budzi się u wylotu autostrady, która
przedarła się przez jego mieszkanie. Nachalne
zwidy wyskakują ze ścian, zadyma wśród
symboli, tak źle, a tak niedobrze, nijak
nie łączy się ze sobą ten mozolnie dobierany
zestaw. Życie to trefna układanka,
niedopasowane elementy rozrzucone
po dziecinnyim pokoju. Rzeczywistość jest
przestrzenią urojoną. Roi się w niej
od nierozwiązywalnych zagadek.

Na jednej z nich właśnie połamaliśmy sobie skrzydła.
Cóż za błazenada, milion nieprawdziwych
luster pęka.

Żadnej pewności

Gdzieś tutaj swoją bazę mają reptilianie. Krajobraz
opuchnięty od łez, dawno odpadł tynk, pleśń tutaj
i ogólna szczeżuja. W takim to środowisku
zasadza się obce zło. Przywleczono na tę planetę

mnóstwo kosmicznego śmiecia; wszystkie te implanty
wszczepione do mózgów pensjonariuszom psychiatryków.
Powszechna infiltracja pozwala na wzajemne
donosy, jakże piękna wojna wszystkich ze wszystkimi.
I już sobowtóry przejmują władzę, to takie proste
wmówić masom, że demokracja. Epidemia anorgazmii

utrudnia latanie airbusom. Nieskończoność straszy
na każdym podwórku. I żadnej pewności, że

to wszystko dzieje się naprawdę.

Mrugam, mrugam

Można zamykać i otwierać oczy. Wiele razy.
Otwierać i zamykać, zamykać i otwierać. Aż coś
się schrzani na wizji. Rozwarstwienie powiek.

Z reguły nie lubię stać przy oknie. Wtedy nie wiem,
czy wyglądam na zewnątrz, czy sam się stoję
obiektem cudzej obserwacji. W efekcie doznaję
takiego pomieszania: otwieram i zamykam oczy.
Najpierw wolno, potem coraz szybciej. W końcu
światło dnia zaczyna się przejawiać, przejście na
elektryczność jest jak założenie opatrunku.
Świat unosi się w kojącym zawieszeniu,
rozkosznie wstrzymano wszelkie procedury.
Można odpłynąć. Można też robić to samo.

Wielokrotnie zamykać i otwierać oczy. Koniecznie
z wahadłowym trzepotem rzęs. To nieprawda, że
tak robią tylko niepoprawne kokietki.

Właśnie zaczęło się przebudzenie

Pijany sąsiad wysiada zza kierownicy
BMW, a ja tylko wyszedłem na papierosa.
Noc robi się gęstsza, na jej obrzeżach
osiadają kłaczki mgły. Wciągam dym głęboko
w płuca i to daje mi chwilowe spełnienie.
Mały spacer po blokowisku, nic specjalnego,
tylko na moment rozprężyć umysł, utulić
chaos w sobie, ubiec łyż. O światła latarni
ociera się dym, po co tu jestem, w tym
lakonicznym śnie, lepiej by było
bujnąć się na drugą stronę, to coś,

co naprawdę lubię. Zdezorientowany odwracam
twarz, czuję ogień pełzający pod skórą.
Właśnie zaczyna się przebudzenie.

Coś w ten deseń

Morfina jest dla rannych żołnierzy, nie dla takich
dekowników jak ty. Ty swoją anarchię wprowadzaj
gdzie indziej. Na przykład *in UK*.

Dłuższy wyjazd da odpoczynek nerwom,
nie przyplącze się infekcja. Higiena ponad wszystko.
Poranne spacery brzegiem morza. Czy nie o to
chodzi, by wsiąknąć w ten żółty piasek,
nasycić sobą stulecia? Będą bardzo wolno
przetaczać się przez sny. Przyszłość napisze
traktaty filozoficzne o nas, będziemy ich
podłożem, masłem, po którym ślizga się
filogeneza. Życie zmusza, by ewoluować.
Lub coś w ten deseń. Chciałbyś się zatrzymać,
ale przepędzą spod każdego płotu.

Pamiętaj, to nauczka: w życiu niczego nie można
brać za pewnik. Najwyżej za plemnik.

STANISŁAW MELSKI

List Hamleta do Ofelii V

Więc twierdzisz że postradałem zmysły
I ryczę jak ranne zwierzę
Może masz rację przewrotna kobieto
Posępna nadziejo ślepego losu
Pouczam aktorów
A sam grać nie umiem
W tej sztuce skleconej naprędce
Tragizm i tragedia
Są jak dojne krowy
Niedające mleka
Jak twoje sutki twarde
Po moich pocałunkach
Zabiłem ci ojca zamordowałem
Z szybkością sokoła i precyzją chirurga
Przestało bić
Kochane przez ciebie
Pochlebne i służalcze serce
To był przypadek wiesz o tym dobrze
Przypadek zbawienny i mroczny
Ukochany mężczyzna
Zabija drugiego z którego trzewi
Wysłaś aby mnie pokochać
Nie ma takiej wagi
Na której można zważyć
Ciężar uczucia i pożądania
Nie ma termometru
Który by mierzył stopień szaleństwa
I poziom głupoty człowieka
Twoja miłość jest ciężarem
Dla moich zamiarów
Bez których się nie wypełni
To co obmyślił Bóg do spółki z diabłem
Na zgubę moją
I moich najbliższych
Muszę ją odrzucić a przynajmniej zapomnieć
Do klasztoru idź tam twoje miejsce
Do klasztoru miłości wiecznej
A nie tej nieszczęśliwej
Przyziemnej i krótkiej jak strach

Nagich kochanków po upojnej nocy
Zanim odkryją że są wciąż samotni
I okrutnie nieszczęśliwi w swoim szczęściu
Do klasztoru jaskółko
Wyrzucona z gniazda
Do klasztoru
Albo się powieś otruj
Najlepiej utop
Bezczelnie bezwiednie
Z wiankiem na głowie
Uplecionym z westchnień i rozkoszy
Z nieskalanym upodleniem
Kobiecej ufności
Odejdź zniknij kochana
Zakochaj się w Bogu
Nie ma lepszego kochanka
A twój Hamlet
Słowa słowa słowa

List Ofelii do Hamleta VI

Hamlecie
To już ostatni mój list
Zanim wyjedziesz
Więcej słów nie zniosę
Byłam u twoich rodziców
Troskliwi i zniesmaczeni moimi piosnkami
Zaniepokojeni moim zachowaniem
Gram przed nimi moją grę bolesną
Po stracie ojca i niedoszętego męża
Czyli ciebie kochany zabójco
I jakoś tak mi łatwo to przychodzi
Choć żal i wściekłość nie mącą
Celu mojego przedstawienia
Tak sobie myślę
Że gdyby na miejscu stryja był twój ojciec
Dawno rozkazałby swojego bratanka
Udusić otruć posiekać na kawałki
I rzucić na pożarcie świniom
A mnie odesłać do burdelu
Abym tam tęsknie wspominała
Twoje „do klasztoru”
Splugawiona do reszty

Za miłość do księcia
Hamlecie muszę odejść na swoich warunkach
Piękna i młoda sierota nieżnośna
Nie może cię nie kochać
Ale może zostać w twojej pamięci
Jako potulne tchnienie Boga
Znad zimnego morza
Które niestety trwa krócej
Niż pragnienie zemsty
Mojej i twojej kochany
Kwiat więdnąc liść opada
Zostaje łodyga i gałęzie
By za rok ujrzeć świat na nowo
Z odwiecznym pytaniem być albo nie być
Postanowiłam nie być
Aby być na wieki
Nie stara brzydka i nieforemna
Nie odrzucona porzucona
Bez męża dzieci i wnuków
Ale piękna miłością
Bez granic do ciebie pomyślnie
I słodki kochanku
Rzuciłeś we mnie kamieniem
Choć nie byłeś bez grzechu
Nie chcę wieszczyć złowrogo
Lecz krótki twój zagmatwany żywot
Niedługo się skończy
Pomimo przenikliwości twojego umysłu
Zginiesz wraz z matką i królem
I moim bratem Laertesem
Dlatego lepiej byłoby abyś już
Pokochał ziemię w której spoczniesz
I zaprzyjaźnił się z robakami
Adieu kochany książę
Reszta jest cierpieniem



ROBERT GAWŁOWSKI

Stanisława Melskiego wiersze z epoki rozpadu

Poezja Stanisława Melskiego wyłania się z pogranicza między światłem sceny a cieniem osobistego milczenia, między gestem aktora a powściągliwym szeptem, zakorzenionym w doświadczeniu intymnym, lecz otwartym na dialog z kulturą, historią i codziennością. Melski – znany przede wszystkim jako aktor teatralny i filmowy oraz reżyser – w swoich wierszach ukazuje drugie oblicze twórczości – bardziej skupione, rozpięte między kontemplacją a przenikliwą obserwacją rzeczywistości. Właśnie w ciszy i powściągliwości ujawnia się największa siła tego poetyckiego przekazu. Każde słowo staje się ciężarem i światłem jednocześnie, każdy wers rozpięty bywa między tym, co już zgasło, a tym, co jeszcze można ocalić. Melski od samego początku tworzył i tworzy poezję codziennej czujności – dającą zarówno świadectwo, jak i stawiającą ważne pytania.

Pamiętam dobrze jego debiutancki zbiorek *Wiązanki i wieńce* (1984), który ukazał się w legendarnej kalamburowej serii poetyckiej redagowanej przez Jana Stolarczyka obok tomików Zofii Badury, Renato Dżugaja, Michała Fostowicza, Wacława Oszejcy, Adama Poprawy oraz piszącego te słowa. Tamte wiersze odczytywałem jako zapis przejścia: z dzieciństwa ku dorosłości, z życia codziennego ku refleksji metafizycznej, z doświadczenia prywatnego ku formie, która próbuje to doświadczenie uporządkować i uczynić czytelnym dla drugiego człowieka. Tytułowy dualizm – „wiązanki” i „wieńce” – był wieloznaczny: kwiaty radości i żałoby, ofiary i dekoracje, pamięć i przemijanie. Już wtedy, w smutnym czasie po stanie wojennym, pojawił się ten, charakterystyczny później, ton: skromność wypowiedzi, czułość wobec detalu i dbałość o rytm. W jego drugim tomie – *Uciekaj z miasta* (1988) dominowało już coś innego. Pojawiło się zmęczenie cywilizacją, tęsknota za enklawą spokoju, którą może być wieś, przyroda, własna pamięć lub po prostu cisza. Ale owa „ucieczka” nie była aktem rezygnacji – raczej aktem sprzeciwu wobec hałasu i powierzchowności. Wówczas wiersze Melskiego stały się krótsze, bardziej oszczędne, a zarazem ostrzejsze w obserwacji: „nad ranem / przeszła śmieciarka / tak skutecznie, / że zniknęły też sny”. Takie wersy pokazują, jak silna była i jest w Melskim poetycka umiejętność kondensacji rzeczywistości. „Uciekaj z miasta / splekanego z bólu // uciekaj na koniu / który jutro padnie” – pisał poeta, nadając „miastu” znaczenie nie tylko przestrzenne, ale i duchowe. Miasto stało się dlań symbolem zła, pogardy, konformizmu i lęku. Opozycją zaś jawiło się nie inne, konkretne miejsce, ale pewien sposób bycia: „bądź cichy i pokorny / bo dzisiaj /

to nie jest w modzie". I Melski wcale nie idealizował ucieczki – wiedział, że i ona niesie z sobą samotność, konieczność przewartościowania siebie, a może i ryzyko pustki: „uciekaj z miasta / z zawiązanymi oczami / abyś przez przypadek / nie odkrył drogi powrotnej”. Wśród tamtych utworów moją szczególną uwagę zwracały wiersze demaskujące pustkę cywilizacji i zakłamanie gesty wszelkiej maści fasad. Ich rytm był nierówny, urywany, jakby zsynchronizowany z oddechem uciekiniera, który nie miał dokąd wracać. Z kolei *Pyłki, płatki, kolce* z roku 1991 to próba jeszcze subtelniejszego uchwycenia momentu – tego, co ulotne, ledwie dostrzegalne, a jednak warte zapisania. Te zapisy liryczne były i zmysłowe, i skrócone, i jednocześnie nasycone obserwacjami oraz wątpliwościami. „Pyłki” – jak kurz na blacie stołu w domu dzieciństwa. „Płatki” – jak niedokończony list. „Kolce” – jak słowa, które padły za późno albo za wcześniej. W tym zbiorze pojawiało się też więcej ironii, dystansu, czasem autoironicznego humoru. Kulminacją tej drogi Melskiego wydawał się tom *Stasiu, proszę kup...* (1996) – najbardziej osobisty, najbardziej „miejski”, a zarazem najbardziej zaskakujący formą. Tytuł, zaczerpnięty z dziecięcego lub rodzinnego dialogu, sygnalizował bliskość, codzienność, powrót do relacji. Ale za tą codziennością kryła się pamięć i jej uparte migotania: zakupy, przedmioty, rozmowy okazywały się wehikułami wspomnień. Jak napisano na okładce tej książki: „Temat codziennych zakupów stał się motywem przewodnim cyklu wierszy Poety. Kupić można wszystko: «trzy smutki», «obojętność na tacy», «maść na chandrę», «wóz tęsknoty i trochę cnoty» i przynieść do magicznego domu, w którym panuje niezgoda na bylejakosć, skrzeczącą pospolitość i umieranie na raty”. Już wówczas poezja Stanisława Melskiego potrafiła być jednocześnie liryczna i retoryczna, głęboka i oszczędna, emocjonalna i wyciszona.

Od tamtego czasu minęło jednak lat, bez mała, trzydzieści. I oto, dobiegający siedemdziesiątki Stanisław Melski – poeta powraca tomem *Pater noster qui es*, który zadedykował synowi Łukaszowi, a i już sam tytuł „ustawia” całość w wyrażnie teologicznym, ale też zarazem polemicznym porządku. To pierwsze słowa modlitwy: „Ojcze nasz, któryś jest...”, lecz urwane, zawieszone, zatrzymane tuż przed dopowiedzeniem „w niebie”. Brakuje „*in caelis*”. Tytuł brzmi więc jak pytanie, jak zwątpienie: gdzie jesteś, Ojcze? A może – czy w ogóle jesteś? Z tego zawieszenia, z tej modlitewnej pauzy wyrasta wiersz otwierający, a będący poetycką próbą wyobrażenia sobie radykalnego zerwania Bożego z człowiekiem. Poeta operuje formą hipotezy warunkowej – powtarzanym refrenem „gdyby”, który prowadzi do coraz bardziej wstrząsających konsekwencji.

Gdyby tak
Pan Bóg zapomniałszy się nieco
Zesłał na nas wszystkie plagi egipskie...

(* * * *Gdyby tak...*, s. 7)

I tak, na początku pojawia się Bóg zapominający, rozkojarzony, może znudzony – pozbawiony atrybutu wszechwiedzy. To Bóg ludzki aż do bólu, ale w swojej ludzkiej przypadkowości – groźny, nieprzewidywalny, niedoskonały, gdyż, już na wstępie, Melski sarkastycznie odwraca biblijny porządek, demontuje kolejne symbole

wiary i historii zbawienia: Mojżesz nie przeprowadza swego narodu przez Morze Czerwone, Dekalog zostaje cofnięty, Abel – potępiony, Kain – nagrodzony. To świat teologicznego absurdu.

Gdyby
W swojej niefrasobliwości
Cofnął Dekalog
Zezwolił na zrywanie każdemu
Jabłek w biblijnym raju...

(s. 7)

Tutaj jabłko staje się symbolem odkupionej winy, a może całkowitego braku winy – jeśli wszystkim wolno, to nie istnieje już grzech, czyli zostaje unieważniony fundament ludzkiej odpowiedzialności. W dalszej części wiersza katastrofa metafizyczna się pogłębia: Bóg grzeszy, gubi rozróżnienia, unieważnia stworzenie, aż do kulminacyjnej frazy:

Gdyby w końcu zapomniał
Stworzyć człowieka
Na swoje podobieństwo...

(s. 8)

Człowiek nie tylko traci kontakt z Bogiem, nie tylko zostaje odcięty od boskiej łaski – ale traci sam swój początek, zostaje wykluczony z ontologii, wyrzucony z istnienia. Bóg przestaje być ojcem, bo nigdy nie był. Człowiek nie jest podobieństwem Boga – tylko przypadkiem, błędem, eksperymentem? Poetycka prowokacja? Tak, ale... nie dla efektu, bowiem owo pozorne bluźnierstwo jest w istocie apofatycznym aktem rozpacz, wiary, która szuka Boga poprzez jego brak, poprzez pytanie: czy On naprawdę „jest”? Choć to wiersz stychienny, jego konstrukcja opiera się na retorycznym rytmie – powtórzeniach, eskalacji, repetycji spójnika złożonego „gdyby”. A ten zabieg nadaje mu charakter litanii, jakby była to modlitwa odwrócona, ciemna antyliturgia czasów końca, mocna, metafizyczna konfesja epoki duchowego rozpadu, w której zostaje wywrócone do góry nogami wszystko, co stanowiło fundament judeochrześcijańskiego myślenia o człowieku. To modlitwa bez odpowiedzi, wołanie w pustkę, być może traktat teologiczny pisany w czasie, gdy „*in caelis*” wydaje się już tylko echem. Po tej introdukcji dopiero następują trzy części zbioru: *Modlitwy*, *Listy* i *Raporty*. Ten tryptyk ujawnia, jak głęboko zakorzeniony w egzystencjalnej strukturze jest zamysł Melskiego – modlitwa jako kontakt pionowy, skierowany ku górze; list jako komunikacja pozioma, z drugim człowiekiem; raport jako konfrontacja z rzeczywistością obiektywną, czasem brutalnie konkretną. Z pozoru układ prosty, ale w istocie jest to trójdzielność apokaliptyczna, dramatyczna – niczym trzy akty moralitetu. Otwierające „Ojcze nasz, który jesteś...” cytuje tytuł w łacińskiej wersji – „*Pater noster qui es*” – co nie jest jedynie ozdobnikiem. To wyzwanie. Zwrócenie się nie tylko do Boga, ale do samego języka tradycji. A niewypowiedziane „święć się imię Twoje” jest pytaniem, czy jeszcze potrafimy święcić, czy jeszcze potrafimy mówić. Język

w tych wierszach to relikwia i oręż – przetrwały ślad kultury, która nie odeszła całkiem, mimo że jej głos staje się coraz bardziej szeptem.

Dedykowane Marii Dobrowolskiej oraz pamięci Gabrieli Wenderskiej i Iwony Stankiewicz trzy *Modlitwy* Melskiego nie są więc wersami pokrzepienia.

To zgrzytliwe westchnienia człowieka, który nie znajduje potwierdzenia, a mimo to trwa.

Który Jesteś
Nie wymagaj ode mnie
Aż tyle
Jestem tylko człowiekiem
Z dosyć skomplikowanym życiorysem
Nie każ mi wyprowadzać swojego ludu
Z niewoli egipskiej
Dla nich ziemia obiecana
To jakaś mrzonka
A i ja nie jestem pewny
Czy w ogóle istnieje
Nie każ mi prowadzić ich przez pustynię
A co dopiero przeprowiać się przez morze...

(...)

Który Jesteś
Niewarci są tego ludzie
Niewarci Twoich plag
I niewarci Twojej pomocy...

(*Modlitwa I (Mojżesza)*, s. 13–14)

Po tym zwątpieniu, już w kolejnym wierszu pojawiają się prośby (błagania?):

Panie daj mi taką wiarę
Której zazdrościć będą
Najwięksi święci i błogosławieni
Daj mi wiarę ślepego niemowlęcia...

(...)

Panie daj mi miłość
Której nikt nie zaznał
I taką którą wszyscy gardzą...

(...)

Daj mi takie cierpienie
W którym nikt nie będzie mi współczuł
Ani wycierał ukradkiem łez

(...)

Daj mi taką śmierć
Której nie zauważy najbliższa osoba

A kochająca pomyśli że to narodziny
Daj mi
Ostatni oddech na Ziemi
A pierwszy w domu Boga

(*Modlitwa II*, s. 17–20)

W części drugiej tomu, jako się rzekło, Stanisław Melski pomieścił poetyckie listy, w których pobrzmiewa echo pism Świętego Pawła, ale także ton wierszy Herberta.

Zwracając się do Rafała Wojaczka, tragicznej legendy poezji polskiej, stworzył nie tylko pełen czułości portret adresata, ale też dał wyraz rozpaczliwej potrzeby identyfikacji, stawiając się w pozycji późnego świadka i pokrewnego ducha:

Drogi Rafale
Nie spotkałem cię nigdy
W tramwaju na ulicy w knajpie
Nie podałem ci ręki
Nie słyszałem twojego głosu
Nie wiedziałem czy jesteś wysoki
Czy niski
Jakie palisz papierosy
Jaką pijesz wódkę
Jakie podobają ci się kobiety
A jakie kochasz
Byłem za młody
Młodością naprawdę durną
I niekoniecznie chmurną
Zadżumiony małą stabilizacją
I wierszami Broniewskiego
Chłonałem z przyjaciółmi
Twoje strofy pachnące
Spermą i ekskrementami
A przede wszystkim
Beznadzieją i buntem
Które nagle stały się
Naszym wyznaniem wiary
I naszą cierniową koroną...

(*List I (Na Rafała Wojaczka)*, s. 29)

Równie przejmujące są kolejne utwory, jak na przykład dedykowany Stanisławowi Srokowskiemu *List II*, będący nawiązaniem do rzezi wołyńskiej i do kresowej części twórczości tego pisarza. Dalej mamy pełen napięcia między intymnością a konwencją cykl *Listów Hamleta do Ofelii* i odpowiedzi *Listów Ofelii do Hamleta*. Przy czym Hamlet Melskiego nie jest jedynie tragicznym bohaterem – jest poetą, intelektualistą, może samym autorem. Ofelia, zamiast milczeć, odpowiada – w języku pełnym żalu, zmysłowości, niezgody i przenikliwej samoświadomości. Oto dwie potężne figury archetypiczne, które stają się reprezentantami dwóch głosów we-

wewnętrznego sporu – rozumu i emocji, kultury i natury, obecności i utraty. Każdy kolejny list w tej części to próba ratowania relacji: z sobą samym, z drugim człowiekiem, z pamięcią. *Listy VII i VIII* mają ton bardziej egzystencjalny, stają się krzykiem na granicy pustki, a kończący cykl, *List IX*, to już niemal oskarżenie:

Barbarzyńcy tylko czekają
W swoich lepiankach i szałasach
Często ze szkła i betonu
Na nasze dusze zmielone
Na sieczkę
Tajemną wiedzę
Nowych proroków bez wiary
Nowych twórców nowego
Bardziej ślepych niż ślepcy
Wielokroć głupszych niż głupcy
Pysznych i butnych
Niby nieśmiertelni bogowie
Wszechczasów
Niezwyciężeni i dumni
Nieczeni na choroby
Mądrzejsi od mądrości
Dmący w trąby postępu
W rytmie gnijących ryb
I cuchnącej historii

(*List IX*, s. 47)

Ta część zbioru niesie chyba największy ładunek emocjonalny i intelektualny. Melski nie boi się używać literackich masek, by mówić o tym, co najbardziej osobiste. To właśnie *Listy* czynią z tomu *Pater Noster qui es* nie tylko poetycki traktat o wierze, ale też dramat świadomości szukającej dialogu w epoce monologów. Co istotne, autor, sięgając po formę epistolarną, rozbija ją od środka i nadaje jej funkcję dialogową, dramaturgiczną, bo nie sposób pominąć faktu, że jest praktykiem sceny i planu filmowego. Jakże wyraźnie słychać to doświadczenie głosu, pauzy, ciszy, rytmu, jakby każdy tekst był partyturą dla aktorki i aktora, którzy doskonale wiedzą, kiedy milczenie waży więcej niż krzyk.

Zamykające książkę *Raporty* są natomiast najbliższe naszej codzienności, choć to bliskość trująca, gdy Melski – poeta staje się świadkiem historii, świadkiem ludzkich ruin, świadkiem krzyku w systemie, który nie zna przebaczenia. Tu jego słowa są jak dokumenty, jak stenogramy bólu i świadectwo rozpadającego się świata. Mówi się bolesną prawdę – jakby ta była „*clavi Passionis Domini*” – gwoździem Męki Pańskiej. Ważny jest, oczywiście, bezpośredni adresat liryczny owych raportów, którego jednoznacznie określa powtarzany po wielokroć zwrot „Wasza Świątobliwość”. Jemu właśnie mówiący powierza swoje smutne konstatacje, niepokoje i troski. Ten jednoznaczny wybór głównego Odbiorcy raportów wyraźnie określa postawę Melskiego zarówno pod względem religijnym, moralnym, kulturowym, jak i... politycznym. Przy czym nie jest najważniejsze, do którego z papieży kieruje on swe słowa bezpośrednio. Podróż Melskiego po wybranych

metropoliach staje się bowiem nie tylko geopolitycznym zwiadem, ale przede wszystkim dramatycznym rozpoznaniem stanu duchowego Europy i kondycji współczesnego Europejczyka. Autor odwołuje się do konkretnych miejsc – Berlina, Paryża, Madrytu, Rzymu, Jerozolimy, Moskwy i Warszawy – jednak te lokalizacje są li tylko impulsami do uchwycenia głębszych napięć i zaniechań. W *Raporcie z Berlina* pojawia się obraz Europy rozdartej pomiędzy pamięcią a amnezją. Oto miasto – symbol, gdzie historia jest palimpsestem ran i wymazań. Raportujący spogląda na mury – te fizyczne i te mentalne – które przetrwały mimo deklarowanego zjednoczenia. Europa w tym ujęciu staje się kontynentem pozornej jedności, z lękiem przed przeszłością i zderzeniem idei. Paryż jawi się jako metropolia zmęczona własną legendą, a raport znad Sekwany ukazuje rozpad kulturowej tożsamości – miasto poetów i rewolucji zostało zamienione w scenografię dla turystycznego selfie. Tu Europa traci język metafizyki, przemawia sloganami, ucieka w ironię i konsumpcję. Madryt w ujęciu Melskiego to strefa zamieszania, gdzie duchowa temperatura została zastąpiona społeczną dezorientacją. Dawna Hiszpania – z jej mistyką i krwią inkwizycji – została wyprana z pamięci. Dalej mamy Rzym – „serce” starego świata, centrum katolicyzmu i prawa. A jednak tutaj poeta dostrzega duchowy upadek: Watykan nie jest już twierdzą wiary, ale skorupą. Europa jako duchowy kontynent traci swoją stolicę – wiarę i sens. Jerozolima to punkt graniczny – święte miasto, a zarazem przestrzeń wiecznego konfliktu. Tutaj najdobitniej ujawnia się tragizm Europejczyka: jako pielgrzyma, który nie ma już do czego pielgrzymować. Rozmodlenie ustępuje cynizmowi, a udręka ludzka przybiera wymiar nie do uniesienia. Moskwa staje się ostrzeżeniem – raport spod Kremla jest pełen grozy, przemocy i przypomnienia, że Europa nie jest samotną wyspą. Obecność zła, zimna i pseudodemokratycznej hegemonii przypomina o kruchości porządku i o historycznej spirali, która nie zna końca. No i wreszcie ostatni punkt na mapie – Warszawa, która jest zderzeniem pamięci, traumy i rozczarowania. Miasto pełne ran, ale nie potrafi już mówić ich językiem. Autor przygląda się tej przestrzeni, jakby było ono miejscem jakiegoś szczególnego zawieszenia – między Zachodem a Wschodem, między przeszłością a fałszywą nowoczesnością.

Wszystkie te notacje tworzą jeden wielki poemat o europejskiej dekadencji. Europa nie jest już podmiotem, lecz przedmiotem historii. Europejczyk natomiast – pozbawiony wiary, ojczyzny, zakorzenienia – dryfuje, zrywając kolejne nici tradycji, próbując przetrwać w erze, która utraciła punkt odniesienia. Tym, co pozostało, jest już tylko „raportowanie” – zapis świadomości, która jeszcze rejestruje rozpad. Poeta staje się archiwistą końca pewnej formacji duchowej. To nie tyle głos o katastrofie, co raczej lament po utraconej jedności: europejskiej, ludzkiej, boskiej. Jedyną nadzieją jest zatem wiara,

(...) że Ha-Nocri
Z Mistrza i Małgorzaty
Żyje zmartwychwstały
W zaułkach i zakamarkach imperium
I znajdzie wielu sprawiedliwych
Choćby miał szukać w zmarszczkach twarzy

I fałdach skóry ciała
Słabnącego cezara
Trzeciego Rzymu.

(*Raport z Moskwy*, s. 78)

I jest to nadzieja śmiertelnie poważna, biblijna, często podszyta dramatem – jak w *Psalmach Dawidowych* czy lamentacjach Hioba. Ale też z echem Szekspira – jakby Ofelia wyrywała kartki z *Biblii*, a Hamlet wciąż powtarzał: „Bóg dał wam jedną twarz, a wy dorabiacie sobie drugą”.

Stanisław Melski, *Pater noster qui es (modlitwy, listy, raporty)*, Oficyna Wydawnicza AKWEDUKT, Wrocław 2025.



JAKUB ŻMIDZIŃSKI

Sonety

XII

Swe cielsko szmaragdowo-bure,
unosząc miękkie łuski lodu,
toczy doliną popod chmury,
brodzące w lasach białych wzgórz.

Ponad puszystą kitą lisa,
kos zaplątany w krzak tarniny,
w czerwone krople róży dzikiej,
konar jesionu w niebo wrósł.

Ogieniek życia wykrzesany
z żywiołów czterech – po cóż płonie
w kosmicznym chłodzie drogi mlecznej?

Komu potrzebne nasze słowa
i krew, i dłonie, płatki ciała,
bezgłośny zew pieśni słonecznej?

XXII

Po co stworzyłeś Czas,
po cóż obudził się ten Starzec?
Nie lepiej było pośród gwiazd
preegzystować wieczność całą?

Po co wyruszył nocny pociąg?
Pejzaże mroczne przenikają
odbicie w szybie przezroczyste
twarzy i włosów coraz bielszych.

I przeszłość jak światło w dali
niknące, a przed nami czerń,
co wchłania długi łańcuch dni.

Lecz pamięć czuwa w głębi nocy,
pomimo zaciemionych oczu,
prowadzi tam, gdzie dziecko śpi.

* * *

(z Wittgensteina)

*Cała mitologia jest w naszym języku,
a co poza językiem, niewypowiedziane?
Dotknięcia, intuicje, niewytłumaczalne
uczucia na granicy, stany zawahania.*

A co z niepojętym, z tą ścieżką, strumieniem,
co żłobi jar głęboki, gdy czas się zapada,
co z puszcza bukową, gdy zanika przestrzeń?
Gdy tylko puls i cisza, ni sen, ani jawa.

Niepojęte jest w środku drobinki wszechświata.
Z ducha wzięta urasta do granic przestworza.
I oto potok prowadzi do ogrodu światła.

I ci, co odeszli, są obok tych przyszłych,
nie mówią, choć obecni, lecz pragną oświecić
tę drogę i jej rytm, okno piękna w pieśni.

Trop (nie)skończony

Jakub Żmizdiński to nie tylko poeta, ale także historyk literatury i trudno zapomnieć o tym, kiedy czyta się jego kolejny (czwarty) tom wierszy pt. „Sonety – Próby”. Autor jest zakorzeniony w Poznaniu, gdzie wykłada na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz, ale od lat jest związany również z pienińskim pograniczem. Jego pierwszą naukową monografią była w związku z tym obszerna publikacja „Pieniny w literaturze polskiej” (2010) i warto, mając przed sobą najnowszą jego książkę poetycką, zajrzeć do tamtego dzieła, gdzie nie tylko śledzić możemy skrupulatną pracę badawczą, ale i coś, co można by nazwać wejrzeniem duszy, wspomagane literackim materiałem i wspomnieniami wyobrażenie autora o bliskiej mu krainie – mimo stałego zamieszkiwania gdzie indziej, z satysfakcją pozostającego u niej „na ordynansach”. Inną profesjonalną dziedziną zainteresowań Żmizdińskiego jest muzyka – i cisza. Tutaj wymieńmy potężną pracę „Wzór nieznan. Stanisław Vincenz a muzyka” (2018) i dalszą „Kultura muzycznie nastrojona. Muzyka w obrzędzie i kulturze” (2021) oraz erudycyjny artykuł „Musica mundana – silentium universi. Artystyczne wizje mitu ciszy” w „Zeszytach Artystycznych” macierzystej uczelni (2021).

Tytuł tomu jest poniekąd dwuznaczny, albo są to próby formy sonetowej, poeta nie jest sobie pewny, asekuruje się więc wobec czytelnika, albo są to poetyckie eseje, jakby z kolei autor nie dowierzał poetyckości, chciał wymknąć się (a przynajmniej stworzyć stosowne wrażenie) potocznemu kojarzeniu takich realizacji artystycznych. Pisać sonety, mając alibi, iż jest się po trosze gdzieś indziej. Na wstępie książki pada motto z Rilkego i – być może od tego przystawionego zwierciadła – postępowanie autora znajduje uzasadnienie. Zauważmy, że z jednej strony liczba wierszy w tomiku (26) odpowiada tej z pierwszej części „Sonetów do Orfeusza”. Z drugiej strony, skorzystanie z zastanej w literaturze formy poszerza w pewien sposób treść, przekaz dociera do nas zestrojony z głosami innych, choćby tylko rezonans w podświadomości.

Zwyczajowo ugruntowany kształt tego rodzaju wiersza jest traktowany przez autora swobodnie, jak u Rilkego właśnie, chciałoby się powiedzieć. Jest to wyraźne już w graficznym kształcie, nieregularności strumienia znaków, a także w przemienności obrazów poetyckich. Patrząc na całość tej złożonej z prób próby, można wyobrazić sobie człowieka spoglądającego w wąwóz rzeki, dynamicznej, przerażającej nieraz, ale zarazem pełnej uroku, fragmentami przywodzącej na myśl Eden lub ukazującej Heideggerowski „prześwit”. Na kształt relacji, jakie przytaczał literaturoznawca Żmizdiński – tu za Janem Wiktorem – we wspomnianej pienińskiej monografii:

Burzliwy nurt pieni się, wścieka, przewala po głazach, w wirach i pianach,
obala zapory, topi je, to je omija, ucieka przed samym sobą, wpada w rozwar-
te bramy (...) staje w zachwyceniu, nie chce stąd odejść i falami pieści wizję
niebios, baśń niezmiernego świata.

Wers miewa tutaj od 3 do 14 sylab, a te najzwięźlejsze znajdziemy w sonecie
dotyczącym śmierci, o poincie:

Tylko krok
z czeluści do
/ życia

Widoczny powyżej, w ostatnim wersie, ukośnik to własna inwencja autora wo-
bec uświęconej formy, zazwyczaj dodatkowa linijka, dorzucone słowo, podważenie
zaproponowanego już przesłania, znak, jakby uchylone z boku drzwi, pozwalające
przekonać się, że mamy przed sobą szkic (próbę), dzieło w rozwoju. Rym pozostaje
na równych prawach z asonansem lub rytmem sylabicznym. Język, starający się
o prostotę, nie może pozbyć się „skazy harmonii” ani dykcji, w której poznajemy
pielgrzymowanie poprzez teksty biblijne i wysoką literaturę – ona, co prawda, nie
była w stanie rozwiązać najistotniejszych pytań egzystencjalnych, a jednak zbudo-
wała wokół nich znieczulającą warstwę ochronną, poprzez piętrzone przez stulecia
próby odpowiedzi. Przepaści pozostają jednak przepaściami, choćby przysypane
opadającymi liśćmi – stanowiąc nieustające wyzwanie.

Nie jest to model twórczości epifanicznej, kiedy autor stara się odczytać i zin-
terpretować zaskakującą, iluminującą wizję. Tutaj prąd płynie z wewnątrz, a myśl
rozwija się, korzystając z formy zewnętrznej, widzialnego budulca, ale jej logika
wynika raczej z rozważanego, nie spostrzeżonego. Tak postępował patriarcha formy
sonetowej, Petrarca (*Od myśli do myśli, od góry do góry*). Ukazuje się masę szcze-
gółów, pejzaży, ale nawet kiedy mowa jest o doświadczeniu, zdaje się, że podmiot
liryczny śledzi sytuację z dystansu. Groźne pytania nie do końca zdają się groźne,
nad możliwością upadku przeważa supozycja, jakoby to piękno właśnie zbawiało
świat. Pieśń – zgodnie ze wspomnianym mottem z XIX sonetu do Orfeusza:

I tylko pieśń nad krainą
sławi i święci.

Podobnie jak w jednej z indyjskich przypowieści Budda, zapytany o Boga, do-
tknął tylko ręką ziemi. Autor współczesnych nam sonetów jest chrześcijaninem,
stąd liczne nawiązania biblijne, nie jest kimś wewnętrźnie niezdecydowanym
ani tak zwanym „poszukującym”. To raczej ktoś, kto wsiadł do pociągu jadącego
we właściwym kierunku, tylko podróż się dłuży, a on tymczasem zastanawia się,
czy istniało inne połączenie, może jeszcze można się przesiąść, no i dlaczego wi-
dać tylu podróżnych zdecydowanych zmierzających gdzie indziej. W jego postawie
ukryta jest sprzeczność (właściwa nie tylko chrześcijaństwu), pomiędzy doktryną
a doświadczeniem. Przyjęciem prawdy a jej ucieleśnieniem. To, co zdaje się praw-
dziwe i proste, staje wciąż przed powszednim trybunałem indywidualności. Jednak,
co należy szczególnie podkreślić, całość książki Żmizdińskiego przenika nadzieja,

w ślad za cytowanym przezeń sonetem Rilkego, w którym dwie strofki wcześniej czytamy (nadal w przekładzie Mieczysława Jastruna):

Nad zmianą czasów i dróg
swobodniej, wyżej
trwa dalej twój przedśpiew – Bóg
z ręką na lirze.

Powróćmy tu jeszcze raz do tytułu całości i zastanówmy się, czy nie wynika on ze świadomości piszącego, że rzeczywistość jest pieśnią, on sam jest pieśnią, tymczasem zaś, jakby usiłując wypłynąć na jej powierzchnię, tworzy muzykę własną, poniekąd pieśń nad pieśnią, której osnową jest (podobnie jak w staro-testamentowym *Canticum Cantorum*) miłość stworzenia – w „przedśpiewie”, to jest jego genezyjskiej doskonałości, założonym dlań pięknie. I tym bardziej rozumiała staję się rola natury w omawianej poezji, pociągająca atrakcyjnością „pokarmów ziemskich”, sycąca barwą i kształtem (a zintensyfikowana zamieszczonymi ilustracjami, pejzażowymi „próbami” Jadwigi Majerczak-Żmizdińskiej). Także funkcja mowy poetyckiej – nie tylko obfituje ona w nawiązania i skojarzenia ze sfery kultury, szczególnie duchowości, nie stroni od subtelnej archaizacji (kędy?, lico, rączka), ale w słownictwie, składni i retorycznym zacięciu tworzy dodatkową jakość, wyraźnie sytuującą autora poza nurtem poezji wywodzącej się od tak zwanych „barbarzyńców”, czy mieliznami najnowszej „poezji internetowej” i jej pochodnych. Dykcja, jaka w swojej ostentacyjnej przemyślności/wymyślności zdaje się skrywać przeświadczenie, że sztuka, tak jak ją rozumiano aż do epoki modernizmu, nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Początek to ustanowienie protagonisty książki, kreacja podmiotu lirycznego. Określone jest miejsce tego procesu – to monachijska Alte Pinakothek, czyli budowla (wzięta co prawda w tytule sonetu w nawias), gdzie wszelka twórczość jest niejako „u siebie”. Zarazem jest już w swojej nazwie naznaczona przeszłością, a jej zawartość kieruje wzrok ku źródłom chrześcijańskiej kultury, w których przejrzystości widzimy nie tylko niewinną nagość, lecz także początki upadku.

(...) mój wzrok niemy
nazwałś cudzołożnym,
/ dlaczego?

Poza tym wiersz jawnie sięga w osobistą przeszłość, jako jedyny jest datowany (o innych wiemy tylko, że powstały przed 2018 rokiem). Odnosi się więc do znaczącego, węzłowego momentu osobistej percepcji świata w jego dualności, gdy rodzi się napięcie pomiędzy bratnimi, pochodzącymi z tego samego źródła twórcami – człowiekiem (relacjonującą ją) i naturą w całej swej, jak się wydaje, nieskrępowanej bujności (także reprodukowanej czy interpretowanej przez kulturę). Człowiek – znajdujący się wedle logiki wspomnianego przekazu mitologicznego najwyraźniej poza rąską dziedziną, a utrzymujący w sercu poprzednią swą godność – nie jest już wolny w swoim dążeniu, widzeniu, poznaniu. Nie jest już doskonały i pragnie się wobec doskonałości – czyli rzeczywistości – określić. Przede wszystkim zapytać o siebie.

Dalsze sonety to dzieje owego postępowania. To asocjacje związane z rajskim pochodzeniem człowieka, nałożonym na związek z naturą, odpowiadanie na zew ziemi, podejmowania trudu w pocie czoła. Pojawia się idea przeniknięcia poza śmierć, wyniesiona w rajskim posagu. Odwołanie do tego, czego nie pozbawiono nas gorejącym orężem, do duszy, szczególnie do jednej z jej władz, do pamięci (musi przecież istnieć jakaś jej nitka, jeżeli wszystko to, z czego jesteśmy, co tak nas określiło, zaistniało w tej samej rzeczywistości). Patronuje temu cytat Jana od Krzyża (*O duszo, najpiękniejsza między wszystkimi stworzeniami*). Nie tylko sama myśl, już wybór jej autora jest znaczący, narrator peregrynacji za prawdą o sobie zwraca się ku określonej metodzie życia wewnętrznego, ścieżce medytacyjnej. Warte uwagi, że jest to sonet VIII, ale dopiero drugi zatytułowany – „Popielec” – co jeszcze podkreśla wagę tego, co wewnętrzne, w obliczu zacytowanej w pierwszym wersie formuły pokutnej – *z prochu powstałeś i w proch się obrócisz*. Zaś utwór kończy się następująco: *pamięci koniec? Tak myśli szaleniec (?)*. A owa pamięć to także dusza, człowiek jako dusza połączona z ciałem, czyli obejmująca i pamięć cielesną – *ciepła rumieniec*.

Następuje ciąg myślowy – perspektywa odrzucenia *mitu duszy*, poniechania pytań, w imię zasady *carpe diem*. Skutkuje to nie tylko niewiedzą metafizyczną, lecz podważa pewność własnej egzystencji. Jakże mizerne zdaje się kończące utwór *ja jestem*, nie dość, że opatrzone pytańnikiem, to jeszcze zamkniętym w nawiasie – wobec owego potężnego *Ja Jestem*, jakie znamy z Ewangelii. Od nicości do nicości – to kolejna rozważana stacja. Perspektywa fenomenalna (przypomnijmy *creatio ex nihilo*), czemu przyświadcza mottem Mała Arabka, czyli późniejsza św. Maria od Ukrzyżowanego Jezusa. Jesteśmy więc znowu w pobliżu św. Jana od Krzyża, u samego sedna mistyki, na ile można zgłębić ją myślą, u tajemnicy nicości i wypełniającego ją (również bytami materialnymi) światła. Jakby pozornie zaprzeczająca tezie antyteza, przedstawiony zostaje nam obraz na skróś materialny, ziemia, gleba, a nawet – postępując w zstępowaniu – „Dół” (to też na tyle istotny przystanek procesu myśli, że otrzymuje miano), semantycznie kojarzący się z grobem i nieszczęściem. Owa ziemskość i naturalność jest prowokacyjna. Dół jest *wydarty glinie*, co dla znającego Genesis jest znamienne. Zachodzą w nim, niejako same z siebie, procesy biologiczne (pada nawet epitet *macica ziemi*), jednakże zdawałoby się triumfujący materializm jest podważony nie tyle wspomnianym rajskim napomknieniem, co końcową apoteozą *życia, co w świetle się pleni*.

Nadal (sonety XII i XIII) znajdujemy się wśród żywiołów. Pada zasadnicze pytanie wszelkiego filozofowania: dlaczego – i pozostaje w zawieszeniu. *Ogienek życia (...)* – *po coś płonie*. Nie wiemy też:

Komu potrzebne nasze słowa
i krew, i dłonie, płatki ciała
bezglębny zew pieśni słonecznej?

Niebo – to prawdziwe, jak się domyślamy, a tutaj ujmowane w swej hipostazie naturalnej i rozmaitych warunkach atmosferycznych – *wciąż wyczekuje spojrzeń moich*. Wszystkim stawiającym takie pytania już w XIV stuleciu radził Dante podobne spojrzenie wzwyż: *Niech wam wystarczy wierzyć, że tak jest, a nie dociekać*,

dlaczego jest – nie różniąc się w tym zbytnio od autora tak zwanej „Pieśni słonecznej” św. Franciszka.

Dwa następne utwory odnoszą się do niezawinionej i zawinionej niewiedzy. Historia i kultura, w jakiej żyjemy, w swym popularnym wydaniu nie kultywuje głębszej genealogii. Zastanawiający się nad tajemnicą istnienia sam jest wobec sekretów swych antenatów bezradny. To sonet (również zatytułowany) „Herb”, jednakże jakby wymykający się temu szlachetnemu (szlacheckiemu) określeniu. *Kundlem jestem na dziejów gościńcu*, pisze poeta, zakończenie wszak zaskakuje: *Lecz korzeń główny (...) jednego pragnie źródła*. Nobilituje nas to, co najgłębsze. Prawdziwy herb trzeba dopiero zyskać. Sonet sąsiedni jest bez tytułu, za to z mottem z Miłosza: *Dzieje moje głupoty wypełniłyby wiele tomów* i przynosi między innymi swego rodzaju spowiedź powszechną. Narrator uznając swą skromniejszą pozycję społeczną (i stąd mniej okazji do błędu) oraz wyznając uczynione zło, odsłania niejako pychę autora motta, który nawet w swych błędach widzi się wielki.

Z sonetem XVI powraca motyw raju, z przetworzeniem, jakim jest Pieśń nad Pieśniami. Pamiętamy: *Ta dopiero jest kością z kości moich i ciałem z ciała mego* (Genesis 2,23). Natomiast Żmizdiński, pisząc o żonie, konstatuje:

jakbym innego siebie dotykał palcami,
jakby ze mnie ta skóra miękka i bolesna.

Żywy odprysk materii, czujący jak ja.
Skąd myśl, że nie minie ciepło między nami,
pieczęć na ramieniu – choć słońce zaginie.

Położ mię jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość – brzmi biblijne echo z czwartego rozdziału Pieśni nad Pieśniami. Tam oblubieniec opiewa oczy, włosy, zęby, wargi, szyję, piersi, tutaj narrator jest skromniejszy, skupiony na plecach swej żony, jakby z zażenowania, albo pragnąc właśnie z tego, co uznawane za pośledniejsze, wydobyć cudowność *drobiny wszechświata*. Każdy ma także prawo do swej intymności, osobistej swojej tajemnicy, Dalszy sens dotyczy stosunku człowieka do człowieka w ogóle – ten odwrócony jest inny, obcy. Miłość nie wyczerpuje się w relacji oblubieńczej. Nawet ktoś anonimowy, ktoś odwrócony do nas plecami pozostaje objawieniem. To przecież bliźni, którego ciałem właśnie zajął się Samarytanin. W ogóle miłość, o jakiej traktuje ten sonet, ma o wiele, wiele szerszy, zawrotny zasięg. Kończące – *choć słońce zaginie* – można rozumieć jako pogłos innych słów „pieczętujących miłością”: *Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą*.

Sonet XVII – miano „Argument” – przynosi zasadniczą zmianę rejestru, z cudowności świata zmysłów i uczuć, miłości i odpowiedzialności przenosimy się w domenną ratio. Ton podaje Karol Darwin: *Człowiek – cud i chwała wszechświata*, jednak obiektem zainteresowania niezidentyfikowanej wspólnoty ideowej, którą poznajemy poprzez przypisaną jej mowę zależną, jest Bóg, choć żadne Jego imię nie pada. Co więcej, padają argumenty (nie tylko jeden...), wykluczające potrzebę i możliwość Jego egzystencji. To już nie prostactwo, wulgarny materializm, to wyrafinowanie samoubóstwiającej się ludzkości. On może istnieć tylko *jakoby był z nas*. W ogóle:

Nic ukrytego przed naszym rozumem,
(...)
Nie mógł się ukryć przed tak boskim tworem.

Blizniaczo ukształtowany, choć odmienny ideologicznie sonet XVIII też korzysta z mowy zależnej, jednak pozwalając na wypowiedź zwolennikom głębokiej ekologii, energetycznego modelu rzeczywistości, wyznawcom Gai czy jakiegokolwiek innej pobożności naturalnej. Podobnie jak społeczność poprzednia, dochodzą oni do wniosku o zbędności wcielenia, zatem wszelkiej liturgii i sakramentów. Powtarzające się tutaj *po cóż* znamy z sonetu XII, lecz tamto było głosem jednostki skonfrontowanej z przyrodą, tu zaś mamy świadomość zbiorową, nie tyle szukającą prawdy, co nastawioną na eliminowanie prawdy innej. To ci, co w tamtym wierszu nie wytrwali w swoim dociekaniu, akceptując projekcję żywiołów.

Rozterki narratora przestają być jego sprawą prywatną, to już nie niebo, wszystko jedno jak interpretowane, czegoś odeń oczekuje, lecz znajduje się on na współczesnej agorze. Świadom Piotrowego zalecenia: *bądźcie zawsze gotowi do obrony wobec każdego, kto domaga się od was uzasadnienia tej nadziei, która w was jest*. Następuje apostrofa do aniołów, określanych (po miłoszowemu), jako *duchy czyste* i tak dalej, posiadających zapierające człowiekowi dech w piersiach możliwości, lecz jest to *wolność bez granicy ciała*. Jest to dalsza jeszcze (wyższa) płaszczyzna konfrontacji. Wobec tego, *czym moje ciepło, czym me / ja*. W sonecie XX narrator interpretuje zawartą w motcie myśl św. Pawła (jaką ów przejął z pogańskiej poezji greckiej): *Bo w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy*. Mówi: *moje ja znika, stapia się z powiewem*. Pozornie tylko jesteśmy tu blisko tego, o czym rozprawiali wcześniej sympatycy Gai. Całe stworzenie jest tu ogarnięte Bogiem. Podmiot sonetu nie występuje z pozycji mistyka, nie daje świadectwa, przypuszcza jedynie, że stan taki prowadzi do ciszy i będącej jej konsekwencją *słodyczy / bolesnej*.

Powraca teraz, jakby oktawę wyżej, rozterka z „Popielca”, ale czerpiąca także z niedawnej wizji aniołów i z intuicji z poprzedniego wiersza o, jednak, wynikającym z utraty miłości ziemskich bólu, jaki może towarzyszyć przyszłemu – szczególniemu przecież – bytowaniu. Dzieje się tak, jak wskazuje motto ze św. Marka (14,25), za sprawą autorytetu samego Jezusa, który w obliczu własnej śmierci stwierdza, iż będzie pił wino, tak jak pije je tutaj – już w Królestwie Bożym. A zatem nadal dysponując ciałem...

I jakie nowe ciało, jakie to królestwo,
bez żon i mężów, jeno w świetle Bożym?

Wszedłeś przez drzwi zamknięte – to nowe ciało, tam – będzie inne, tak jak inne było uwielbione ciało Jezusowe, w pierwszej chwili niemożliwe do rozpoznania przez świadków niektórych epifanii. Nawet ludzi najbliższych. Autor pyta więc: *kim będziesz dla mnie: córko, synu, żono?*

Następują cztery sonety uspokojenia, zmierzenia się ze swym – naszym ludzkim – losem. Co prawda, na początku pierwszego z nich pada skarga *Po co stworzyłeś Czas?* –

Lecz pamięć czuwa w głębi nocy,
pomimo zacienionych oczu,
prowadzi tam, gdzie dziecko śpi.

To dziecko mieliśmy już w jednym z pierwszy wierszy: *przytulił dziecko, chcąc odnowić kres / swego istnienia*. Tu fraza: *tam, gdzie dziecko śpi* znaczy nie tylko okres, kiedy było się dzieckiem, ale dziecko, którym byłem, które umarło, ja – jako dziecko – w tej chwili już nie żyję. I tę zdystansowaną przytomność własnej śmierci jestem w stanie przyjąć. Fenomen potomstwa w oczywisty sposób związany jest z cielesnością, na temat której w całym tomiku poety z Poznania jest sporo. Akceptacja wspomnianego stanu rzeczy pozwala na podjęcie jeszcze innej, oryginalnej wizji eschatologicznej. Skoro dziecko śpi, to znaczy, że ja stałem się, staję się snem. Skoro spłodziłem dziecko, by uniknąć przemijania, już jestem, staję się tym nowym dzieckiem, w nim jestem następnym sobą. Wobec własnego, cielesnego istnienia (egzystencji własnego ciała) jestem zatem wolny. Mogę – w jednym z najpiękniejszych w tym zbiorze sonetów (XXIII) – po rozpoczynającej go wizji saturnicznej zimy, w dwóch ostatnich, refleksyjnych zwrotkach (stosując lirykę „ty”) przystać na proces

Gdy ciało twoje jak z kryształu
zwierciadło – pęknie na drobiny,
twojej duszy nic już nie zasłoni.

O ile wcześniej dusza, zgodnie z chrześcijańską (i żydowską) doktryną, oznaczała całego człowieka, to jest duszę połączoną z ciałem, tu następuje przełom. Ciało, nie wytrzymując „eschatologicznej zimy”, rozpada się, odsłaniając to, co nie ulega rozpadowi, tutaj – duszę, pierwiastek nieśmiertelności. Anioł Ślżak w swym epigramacie „Tajemnica śmierci” tak to ujmuje:

Śmierć to zbawienna rzecz: im mocniej nastaje,
Tym żywot wspanialszy z siebie nam wydaje.

Podobnie, choć nieco też inaczej, akcentując aspekt etycznego piękna, ujmował to już Petrarca:

Dziś w innym kształcie Raj się nią zachwyca –
Bowiem zasłonę już z siebie
Zdjęła, co czci jej kwitnąć przeszkadzała,
I rozebrawszy się z ciała,
Tak przemienioną przyoblekła postać.

Cała mitologia jest w naszym języku – pierwsza linijka, zaśpiew sonetu XXIV (z Wittgensteina) to – jak się domyślamy – cytat z owego filozofa. Jest to jeden z dwóch utworów, jakie obok numeracji mają dopisek wzięty w nawias – poprzednio dotyczyło to Alte Pinakothek odnośnie do sonetu I. Jak można sądzić, poeta wyrusza tylko z danego miejsca (od danej myśli), a to, co ma zamiar powiedzieć, przekracza w jego przekonaniu punkt wyjścia (nie omawia przecież zbiorów tamtej galerii ani nie zajmuje dziełem filozofa). Nie jest to motto, które zazwyczaj naprowadza na cel, stanowi horyzont utworu. Autor pozostawia zatem Wittgensteina

z jego lapidarnym i bezwzględny stwierdzeniem oraz tworzy swoisty hymn na cześć niewypowiedzianego. W ten sposób nie tylko wspomniana sentencja, ale cała tego rodzaju filozofia traci na znaczeniu. Jakby ponownie wzięta w nawias. Przez to także możemy wnosić, iż mamy tu do czynienia z przedstawieniem własnej perspektywy autora. Spotykamy się z niewypowiedzianym, niewytłumaczalnym, niepojętym *i ci co odeszli są obok*. Jeśli *Niepojęte jest w środku drobinki wszechświata*, to czytelnik całości książki pomyśli tutaj także o fenomenie miłości (nie tylko tej osobowej, lecz i tej kosmicznej), ponieważ zgodnie z jednym z poprzednich wierszy: *Plecy mej żony – drobina wszechświata*. Kończy cały utwór *okno piękna w pieśni* i wszystko jedno, czy pojmujemy to jako okno, które otwiera się w samej pieśni (poezji) z racji jej kunsztu, czy okno, które otwiera pieśń (poezja) jako nosicielka piękna – tak czy tak następuje prześwit, uwalnia się percepcja innego rodzaju. Na zasadzie dygresji można przypomnieć, że niedawny noblista, Jon Fosse, został nagrodzony głównie za rolę, jaką w swoim pisarstwie przyznaje niewypowiedzianemu.

Sonet przedostatni, XXV, to po rozterkach, konfrontacjach, waśniach i pobratymstwach wystąpienie ze świata odbić, głębokie wyznanie swego poglądu na świat, stylu życia; to także erotyk. Co prawda, to nie liryka wprost, lecz za pośrednictwem anonimowej postaci „tego”, dodatkowo jeszcze ubezpieczonej konstrukcjami: *Nie ten (...) co* i *Nie ten (...) kto*, jakby uprzedzającymi zarzuty. Ktoś, kto to pisze, wie, że w swoich wyborach, gustach, rytuałach może nie spotkać się ze zrozumieniem. I już na wstępie dwukrotnie zastrzega, że mimo to nie jest samotny. A jednak dwie ostatnie strofki przemawiają wprost (aż chciałoby się dodać: z serca), są niby sygnatura autora:

W głębokim jarze i na wzgórza szczycie
obecność odkrył, w słuchaniu świątynię.
Spojrzał na drzewo jakby na monstrancję.

I spojrzał w oczy, które umiłował,
niby w zwierciadło, niby w błękit czysty.
Tam ognik mały na dnie serca błyszczący.

Najbardziej symptomatyczna jest ta relacja miłosna. Ukochana nie jest ukazana jako obiekt służący – bardzo szlachetnym skądinąd – rozważaniom, wykorzystującym jej anatomie (pamiętamy, plecy). Tutaj konfiguracja jest inna (w trzeciej osobie, ale jednak): *spojrzał w oczy*. To do tych oczu odnosi się *zwierciadło* oraz *błękit czysty*, przypominające rozwinięty w tamtym, XVI sonecie motyw rozpoznawanej tożsamości i metafizycznych zaślubin. Zaś *ognik mały* koresponduje ze znaną już nam *drobiną wszechświata*. Co więcej, pozwala się domyślać dantejskiej inspiracji – *skorom zająrzał w jej źrenice (...) Promieniejącą ujrzę iskrę żaru*. W tercynach bezpośrednio poprzedzających mamy i plecy, i zwierciadło, a także *sfery obszaru* i wzrok puszczony *po niebios granice* (wszystko to na początku XXVIII pieśni „Raju”, w przekładzie Mieczysława Porębowicza).

Całą książkę zamyka sonet XXVI, przełamany dramatycznie w połowie, odpowiadający finalnie paradoksem na całą problematykę tomu. Kto przywykł do roli tropiciela, zostaje przez niezwiązanego niczym (to znaczy trwającego w swojej

niezmiennej naturze, niekompatybilnej ze światem pozornym) Boga potraktowany jak zwierzyna.

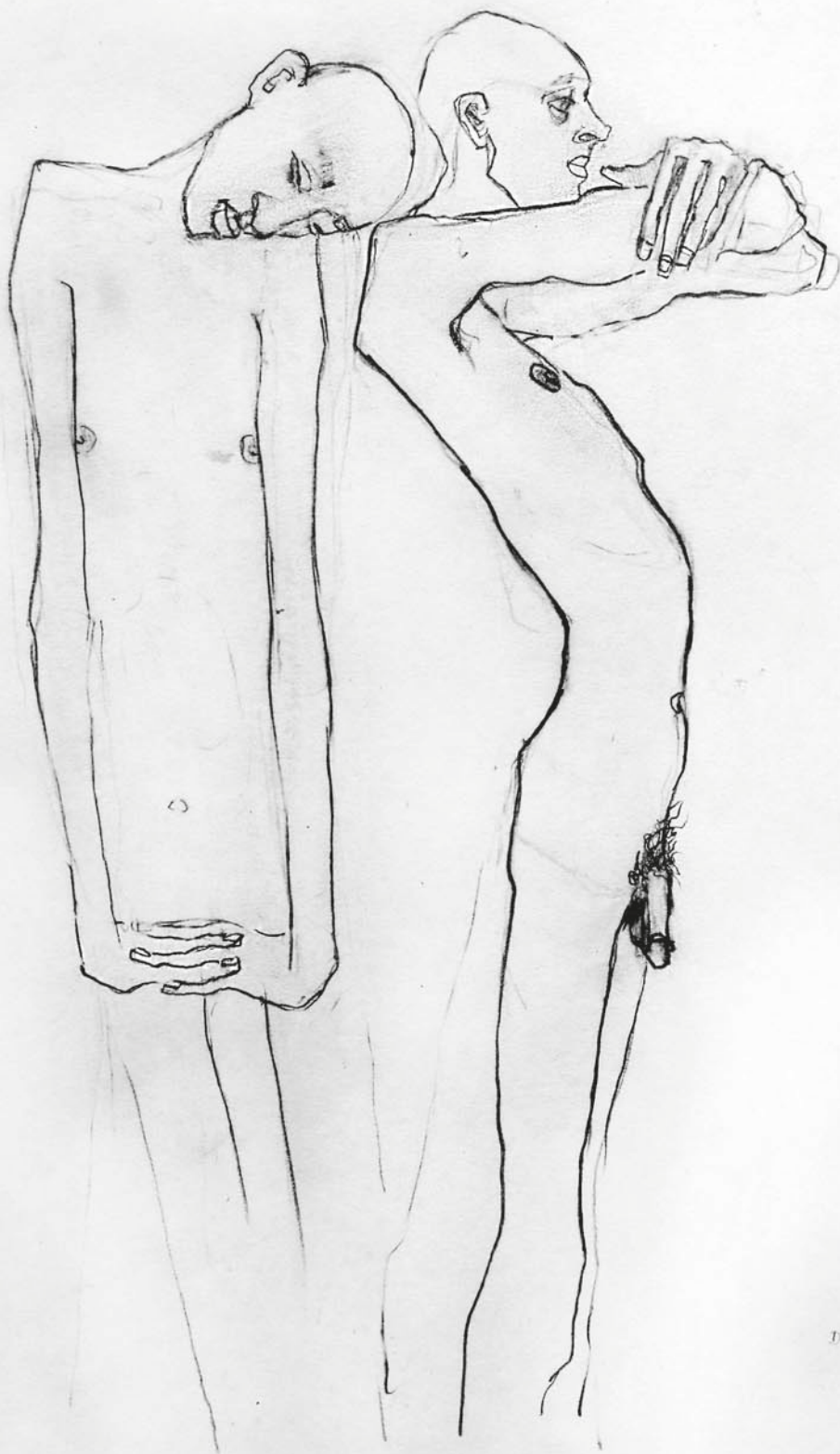
Jak łowca dawny, co tropiąc bawołu
biegł przez sawannę, aż zwierz wycieńczony
padł – tak za Tobą gonię (...)

I nagle słyszę za sobą kroki,
bliskie sapanie jakby drapieżcy,
już u mej szyi pazury błyszczą
(...)

aż mnie powalisz rykiem zwycięzcy.

Podobnie: *A to, czego ty wpierw szukałeś, teraz ono szuka ciebie; za czym ty wpierw goniłeś, teraz ono goni za tobą*; napisze Eckhart. Przedstawiona sytuacja koresponduje z genialnym wierszem Blake’a, dotyczącym przerażającej *symetrii* Bożego dzieła, zatem i samej Jego istoty. Tego, kto stworzył jagnię i tygrysa, świadom wszelkich możliwych konsekwencji. To stamtąd pochodzą w tym sonecie szczegóły zdradzające drapieżnika. Lecz odniesione nie do stworzenia – tam tytułowego tygrysa – ale wprost do Stworzyciela. Zauważmy dla sprawiedliwości, że również „polujący” człowiek stara się doprowadzić do „padnięcia bawołu”, jakby w myśl epigramatu Anioła Ślázaka: *Co rzekł o Bogu człek, nie dość mi; więcej chcę*. Lecz to po stronie Boga pozostaje w życiu wewnętrznym praktyka (droga, prawda i życie), to przez nią należymy do Niego i tak „upolowani” stajemy się Nim. Jest to jedyny w zbiorze wiersz dedykowany, do tego osobie duchownej (*ojcu Wojciechowi*), jakby przywołanemu tutaj na świadka ortodoksji – wobec zawrotnej duchowej perspektywy... Natomiast u Rilkego, w ostatnim z pierwszej serii „Sonetów do Orfeusza”, przeczytamy: *O, utracony Boże! O, tropie nieskończony!*

Jakub Żmizdiński, *Sonet – Próby*, Pracownia Wydawnicza Biblioteka Telgte, Poznań 2023.



1074N 2001

KRYSTYNA KONECKA

Sonety szekspirowskie

Z ogrodów W.S.

Opuszczając przestrzenie lirycznych uniesień
z wiecznym, pszczelim koncertem na tęczowej strunie,
widzę „Sen nocy letniej” – od wiosny po jesień
zakochany w tymianku i gorzkim piołunie.
W dowolnej porze roku „Opowieść zimową”
w woni mięty, lawendy, cząbrku i goździków
i „Stracone zachody miłości” w zmysłowych
jaskrach. „Burzę” w janowcach i objęciach wyki.
Orszak monarchów w bramie. „Król Jan” w liliach złotych,
„Henryków” grono w różach Yorków i Lancastrów.
„Ryszard II” nad rutą jak zetlały motyl
i „Król Lear” utrudzony pod łopianem zasnął.

I my w bogactwie słów i znaczeń jak w ogrodzie.

Tutaj się nie powraca. Stąd się nie wychodzi.

Sokół z Chapel Street

Dumni. Śmigły. Skąd sfrunął na szyld hotelowy?
Z szalonych przygód Willa na łąkach Ardenów,
dziadków w Wilmcote? Czy z tarczy Szekspirów herbowej,
gdzie strzegł włóczni od czasów Barda Trzęsi-sceny?
Z punktu widzenia ptaka – wieków panorama:
od narożnej kaplicy droga w stronę rzeki.
Przy świątyni – leciwa Grammar School Williama
(jak to było... „łacina z odrobiną greki...”).
Cóż vis-à-vis, sokole? Z zielenią się zlewa
puste miejsce po New Place: dom śmierci poety
pewien wielbny zburzył. I ściał morwę. Drzewo –
legendę ręką twórcy sadzone... Niestety.

A jeśli zniszczył ślady literackiej schedy?

Hej, sokole... Dlaczego nie byłeś tu wtedy...

Holy Trinity Church

Jeśli tu był ochrzczony, to chrzcielnicy owal
nadal istnieje. Tylko z późniejszym o wieki
pęknięciem. Jeśli swoich bliskich tu pochował,
Bóg zabrał też kamienie. Jeżeli ta rzeka
nigdy się nie rozstała z kościoła odbiciem,
to warto poprzez wierzby powiewną klauzurę
spoglądać jego wzrokiem w bezmownym zachwycie,
nim odpłynie się z falą jak łabędzie pióro.
Jeżeli polichromia w murze prezbiterium
fałszuje twarz pośmiertną w poświęcie witraży,
przecież dla niego róże, naręcza wisterii,
wieńce z urodzinowych lilii pod ołtarzem.

I moja tu obecność. Zza morza. Z biletem
do wrażeń, które pragnę ogarnąć sonetem.

Stratford-upon-Avon, 23.04.2003

Shottery. Anne Hathaway

Chłopiec był pełen sierpnia, choć nieco nieśmiały.
Osiem lat starsza panna chętna i gorąca.
Może inaczej, może tak się sprawy miały.
Może gdzie indziej, może na ardeńskiej łące.
Może rozmyślnie, może stało się przypadkiem.
Pewnie w domu Williama wybuchł niezły zamęt.
Fakt, że gdy owoc figlów spiętrzał Annie szatki,
musieli się salwować ucieczką w sakrament.
Według ksiąg – ślub był w Temple Grafton w listopadzie.
Chrzest córki w maju. Parki bliźniąt po dwóch latach.
Może nie, może z barda biografii w nieładzie
refleksje poniewczasie weszły do dramatów:
książę Orsino preferuje młodsze żony,
Prospero – tylko związek pobłogosławiony.

W Shakespeare Centre

Rogerowi Pringle

Kiedy zatem pancerne wierzeje zostały
rozwarłe, nie – cynicy tego nie docenią:
w narkotycznej przestrzeni pośród dzieł zetknięch
w napięciu przed spotkaniem drżałam ze wzruszenia.
Dotykam. Nie. W ramionach chronię niby ptaka
First Folio. Hołd pośmiertny aktorów – przyjaciół
Łabędziowi Avonu. Wiem, że Kenneth Branagh
„adopcją” starodruku dług współczesnych spłaca.
To signum wieków. Groźne plamy na stronicach
z wyimaginowaną w miedziorycie twarzą
dość niefortunnie. Jednak nic to wobec błysku,
że kart tych dotykali ówcześni drukarze.

Gasną światła. W kołysce z safianowej skóry
powraca do snu mistrz mój. William białopióry.

Anonymus

I kogóż to wiedziecie znowu na proscenium?!
Był już Szekspirem – Marlowe, Bacon i królowa
dziewicza... Czemu w filmie poszerza to gremium
hrabia Oxfordu – Edward de Vere? Skąd ta zmowa,
gdy w pośmiertnym „First Folio” Ben Jonson – przyjaciel
Willa, choć rywal – wierszem składa mu pokłony?
W siedemdziesiątym pierwszym wersie przeczytacie:
Sweet Swan of Avon – Słodki Łabędziu Avonu.
Któż jeszcze z domniemanych (w tym – arystokratów)
ma ów mityczny tytuł? Adres znad tej rzeki?
Świat śledzi dramat. Autor przygląda się światu,
gdy ciemna furia depcze mu dzieło przez wieki.
Nie bądź, kim jesteś. Przegrasz. Sprawiedliwych wielu
stworzy cię według swoich obsesji. I celów.

Sonet 23. Gra przekładów

Jak trudne dla tłumacza sylab wyliczenie.
Trzynaście to Barańczak. Innej wersji nie ma:
„Jak nieudolny aktor, któremu na scenie
Grać wyuczonej roli nie pozwala trema”.
A tu: „Jak lichy aktor, co stojąc na scenie,
zapomniał z trwogi słów do swojej roli”. Mało?
To jedenaście Słomczyńskiego. Bo zwężenie
wersu chciał bardziej zbliżyć do oryginału.
Ważne, że tych trzynaście do końca sens trzyma
i jedenaście także. Czy więcej – to prościej?
„Twoja miłość – sens pojmie, słuchając oczyma”.
A tu: „Słuchać oczyma to mądrość miłości”.
I tak zwodzi tłumaczy i zawraca głowy
ten tajemniczy jamb – dziesięciosylabowy.

Czytając „Sonety”

Identyczne w konstrukcji. Równie wizualnie.
Najliryczniej na świecie miłość rymujące,
a intencje autora chronią tak genialnie,
że jak we mgle badacze pośród wersów błądzą.
Czy adresatem wyznań był protektor-hrabia?
Czy adresatką próżna dwórka? Lub czy bliskie
prawdy jest to, że właśnie rym Williama zwabiał,
gdy pragnął „tylko śmierci znudzony tym wszystkim”?
A jeżeli te strofy to najczystszej wody
gra elokwentna erotycznej wyobraźni?
A może kpina z formy i kanonów mody?
Czy uwięziona w rymach rzeczywistość jaźni?
Dotąd wpędza w dyskomfort badaczy sonetów
szkolne pytanie: co na myśli miał poeta.

Poets' Corner

W Wielkich Krużgankach niebo wędruje trawnikiem.
Mnisi z Westminster Abbey grzali się na słońcu.
Po nich memento mori zostało wierzącym.
Po twórcach – w południowym transepcie pomniki.

To fakt, że Chaucer został tutaj pochowany,
bo mieszkał po sąsiedzku. A nie dla twórczości.
Że Ben Jonson tkwi w pionie – z miejsca oszczędności.
Tylko „h” do nazwiska gratis mu dodano.

Byron, Tennyson, Elliot, Darwin i muzycy.
I on. Piewca przeszłości, miłości i życia.
Ze swobodą. W zadumie i królewskiej glorii,

w lekkim jak marmur płaszczu na wietrze historii.
A gdy mu duszno, idzie w londyńskie ulice.
A przystaje na Leicester Square. W swojej replice.

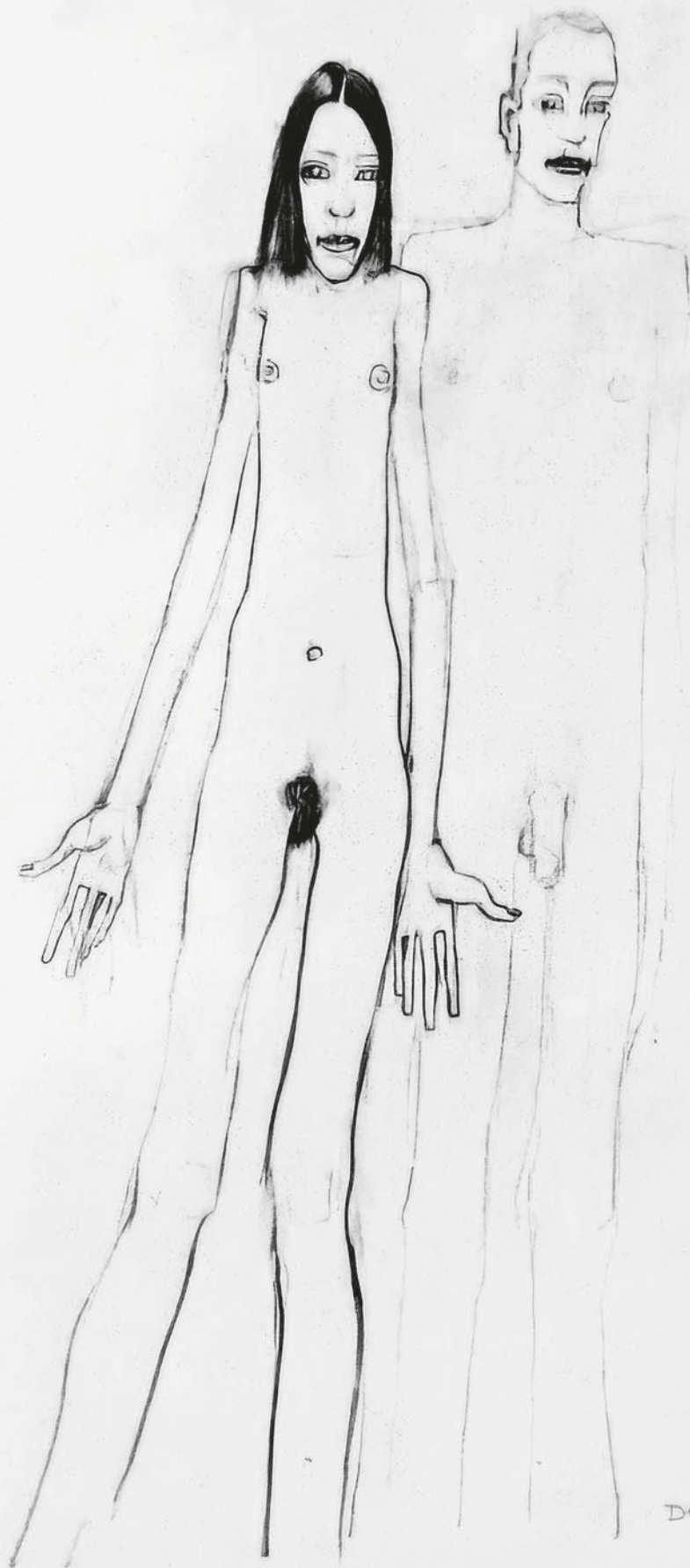
Obraz z London Bridge. 1666

Od strony Tower miasto w kurtynie płomieni.
Krwawe czołna pod mostem toną rozżarzonym.
Z morza ognia i dymu – jak na rzymskiej scenie
święty Paweł unosi gotyckie ramiona.

Czerwony kur nad ranem zaiskrzył się w domu
królewskiego piekarza z Pudding Lane. W „Dzienniku”
Samuel Pepys wpisał jednak, że mówiono,
iż City spalił Francuz, nim zawisł na stryku.

Początki „tak mizerne i niedocieczone...”,
a las kamiennych świątyń jak mchu garstka spłonął.
Czy mogły to być skutki magicznego żartu?

Te trzy szatańskie szóstki? Czy też wyrok boski.
Tak pół wieku po śmierci londyńskiego barda
wniebowstąpił żarliwie Londyn szekspirowski...



DOMAN 2001

KAMIL BRYKA

Osiem wierszy wystukanych jednym palcem lewej dłoni

FRYWOLNOŚCI NIENAZWANE

W każdej rozmowie
Spojrzenie
Które próbuje dociec
Czy to jest osoba
Poznanej nagości

MARZENIE

To nie jest sen
Choć snu ma w sobie tak wiele
Twoje usta i twoja wagina
Dwa dyskretne miejsca nieszczelności raju

SŁOŃCE, FALE I MORZE PIASKU

Są kobiety
Jak starożytne boginie
Stworzone pod niebem południa
Ich skóra pachnie Morzem Śródziemnym
A temperament zaspokaja jedynie pan Olimpu

Mają złotą opaleniznę i biodra z pracowni Fidiasza
Pocałunku nigdy nie kończą
 Ich rozkosz jest cykliczna
 Niczym powracająca fala

WALENTYNKI

Dziewczynki, dziewczynki
Dzisiaj Walentynki
Serduszka
Do każdego cycuszka
A kolorowe szlaczki
Do każdej łechtaczki
Dziewczyny!
Pocałunek dla każdej waginy
Kropelka mleczka
Do każdego tyłeczka

A CO U PANI?

Jak się pani czuje?
Czy apetyt
Pokarmiczny
I maciczny
Sen?
Spokojny
I
Erotyczny
Wysiłek?
Sportowy
I
Ipsacyjny
Miłość?
Intelektualna
I nachalna

DO MEŹCZYZNY

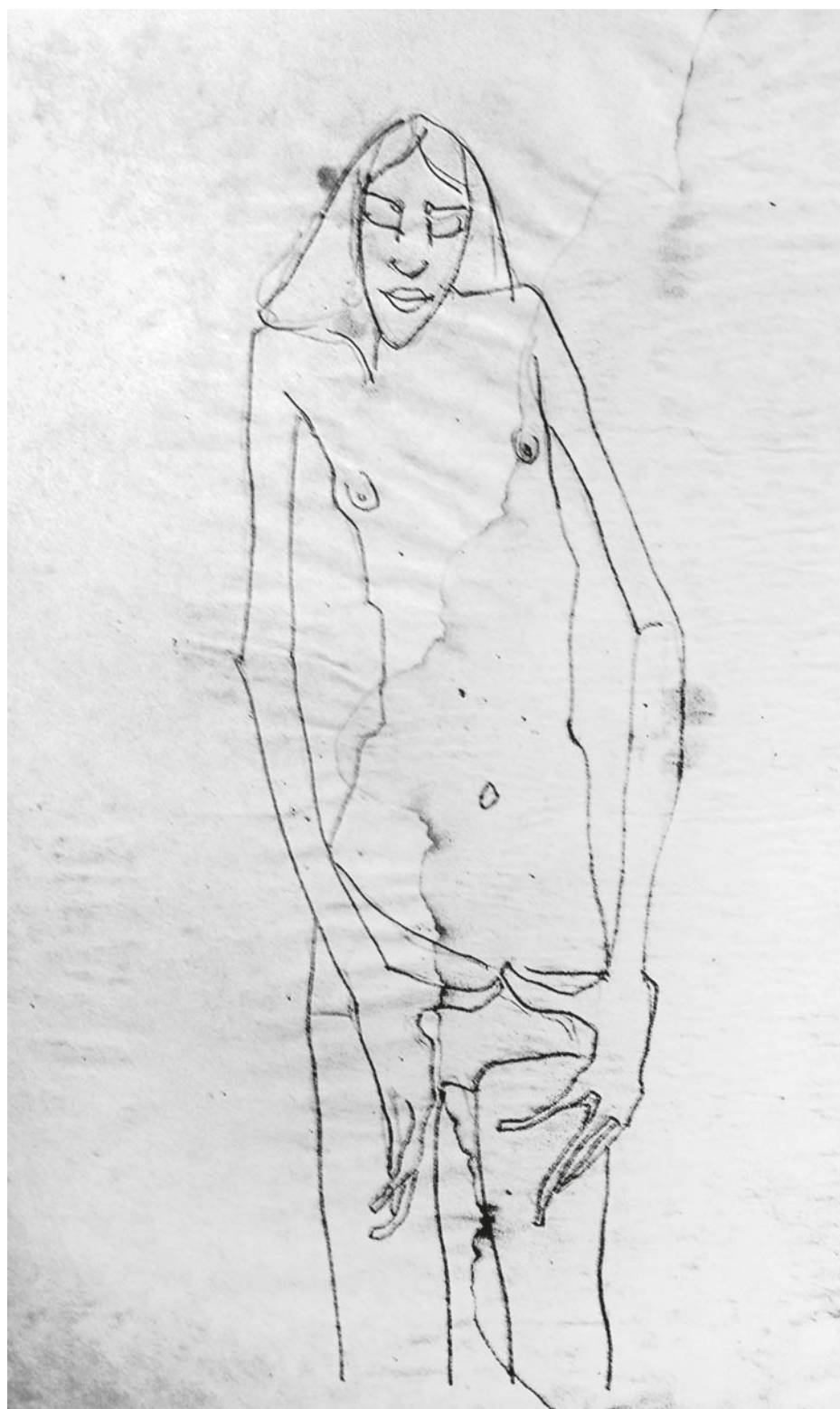
Jeśli nie brałeś nigdy kobiety
Jak byk bierze jałówkę
Toś nie stąpał po ziemi

PRAGNIENIE

Moje pragnienie ma zielone oczy
Piękne ramiona
i spocone od miłości plecy
A jej piersi tańczą w rytmie
unoszących się rytmicznie bioder
Níżej jest punkt rozweselający

PIZZA *(w pamięci poezja Charlesa Bukowskiego)*

Zaczęliśmy jeść pizzę
Gdy ona powiedziała
Że ma ochotę się pieprzyć
Poszliśmy do toalety
Usiadłem na sedesie zsuwając spodnie
A ona usadowiła się na mnie podciągając spódnice
Różniliśmy się w dobrym tempie
Więc pizza nie zdążyła wystygnać



ANETA JASŁOWSKA

Zwiotczenie (strofa saficka)

Usiadła cisza tuż przy falochronie,
miała spojrzenie zatraconych sekund,
siedzi tam często i ze słońcem płonie
aleją piegów.

Ma takie ciało wiotkie jak osika,
z podmuchem wiatru falują jej biodra,
raz się pojawia, a potem znów znika,
materia wdowia.

Suknia tiulowa przygrywa melodię
nadmorskich szeptów zatraconej prawdy,
chciałaby zniknąć, przenikać i spłowieć
wśród chwil niesprawnych.

Usiadła cisza ze zranionym skrzydłem,
zgarbiona życiem i hałasem prozy,
nie chce tej farsy, kłamstwa i usidleń,
chce lepiej pożyć.

Wyszeptanie (pantum)

Jak biały żagiel nad lazurem ciszy
szybujesz z krzykiem obolałych skrzydeł,
ktoś rzuci chlebem, a ktoś nie usłyszy,
bierzesz, co dane, zachłannie, łapczywie.

Szybujesz z krzykiem obolałych skrzydeł,
wiernie unosisz morskie wyszeptanki,
bierzesz, co dane, zachłannie, łapczywie,
jesteś ostoją oraz ptakiem rajskim.

Wiernie unosisz morskie wyszeptanki,
falujesz rytmem zatraconej chwili,
jesteś ostoją oraz ptakiem rajskim,
pragniesz nadzieją horyzont posilić.

Falujesz rytmem zatraconej chwili,
ktoś rzuci chlebem, a ktoś nie usłyszy,
pragniesz nadzieją horyzont posilić
jak biały żagiel nad lazurem ciszy.

Pożegnalnie (strofa Słowackiego)

Usiadła starość na ławce przy moło,
skrzywiona życiem, bagażem doświadczeń,
wszystko doskwiera i myśli aż bołą,
ten czas już nadszedł.
Brak planów jutra na życiowej drodze.
Nic nie pomoże!

W zwierciadle widać każdą zmarszczkę cierpień,
ból powygiął kruche dłonie ciszy,
ostatni oddech ze skupieniem czerpie,
ziarna już liczy.
Ze smutkiem w oczach żegna każdą zorzę.
Nic nie pomoże!

W kieszeniach chowa muszle wszystkich wspomnień,
małe bursztyny pierwszych fascynacji,
ktoś tu przychodzi, a ktoś musi odejść,
by oczy zaszkląć.
Usiadła starość, tak stara jak morze.
Nic nie pomoże!

Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr

W trakcie przygotowań do napisania niniejszego tekstu zdałam sobie sprawę, że relatywnie łatwo jest mówić o feminizmie w sztuce polskiej w czasie przeszłym. Jest on bowiem wyraźnie wyodrębnionym nurtem i został całkiem nieźle omówiony przez ikony polskiej krytyki feministycznej. I chociaż w 2020 roku Magdalena Ujma pisała, że „Dzisiejszy stan krytyki feministycznej w Polsce i jej perspektywy należy ocenić z umiarkowanym optymizmem”¹, to mimo wszystko mam wrażenie, że dziś, w 2025 roku, to pole jest uprawiane, podlewane i nawożone regularnie. Nie zamierzam zatem dołączać do reprezentantów frakcji lamentującej (choć taka grupa istnieje) nad marginalnością krytyki feministycznej czy zauważalności sztuki kobiecej w ogóle, bo jednak uważam, że dużo się w tej materii dzieje i raczej wolę włączyć się w nurt entuzjastycznych komentatorów czy odbiorców i po prostu w ich obrębie działać.

Jednocześnie jako osoba funkcjonująca w świecie sztuki świadoma jestem paradoksu, który polega na nieprzystawalności tego, co dzieje się w rodzimym art worldzie, do realnego, konserwatywnego świata, w którym społecznie i politycznie funkcjonujemy. Feministyczna sztuka zaangażowana nie jest bowiem wynikiem okoliczności, w których istniejemy jako społeczeństwo, w tym sensie, że nie jest ona jego ewaluacją. Ona diagnozę postawiła już dawno, kiedy jeszcze nikt nie zdawał sobie z tego faktycznie sprawy, zaś to, co dominuje w jej polu, jest propozycją mocno wyprzedzającą stan mentalności tak zwanego ogółu. Należy zatem pamiętać, że kiedy przedstawicielki sztuki feministycznej w Polsce zaczęły ją tworzyć na początku lat 70., to ze względu na specyfikę PRL-owskiej rzeczywistości nie miało to żadnego przełożenia na „prawdziwe” życie. Nie było u nas feminizmu pierwszej fali, bo przemiany społeczne w krajach za żelazną kurtyną miały swoją niezależną od zachodniej kultury dynamikę. Była tylko sztuka.

To wyabstrahowanie sztuki feministycznej z życia szło jednak w parze z jednoczesnym formowaniem się krytyki, która zaczęła towarzyszyć kobiecej perspektywie. Bez wątpienia z czasem nurt ten stał się jednym z dominujących, co z pewnością jest silnie sprzężone z pozycją sztuki krytycznej i związanych z nią badań. Rzecz jasna do tej konkluzji można było dojrzeć dopiero po czasie, kiedy rynek nasycił się

¹ <https://magazynsum.pl/krytyka-feministyczna-w-polsce-zarys-problematyki-fragmenty/> (dostęp: 29.05.2025).



Zofia Baltarowicz-Dzielińska w swojej pracowni przy ul. Kurkowej 3 we Lwowie, źródło: Wikimedia Commons

sztuką krytyczną i finalnie spoglądamy na nią z dystansu. W okolicach przełomu pierwszej i drugiej dekady XXI wieku, po bardzo intensywnym rozdziale w historii sztuki współczesnej zapanowało poczucie wyczerpania tematem. W mojej opinii zadziało się tak z przyczyn naturalnych. Sztuka krytyczna oraz sztuka feministyczna trzeciej fali (czy też okresu postfeminizmu, co niuansuje w swoim tekście *Sztuka feministyczna w Polsce – od feministycznych interwencji do postfeminizmu* Izabela Kowalczyk²) wskoczyły z półki „neoawangardy” na półkę z klasykami, siłą rzeczy więc musiało nastąpić dostosowanie narzędzi, pojęć czy w ogóle całego aparatu ułatwiającego zrozumienie i odbiór. Krótko mówiąc, sztuka feministyczna, jaką znaliśmy wcześniej, stała się umuzealniona, natomiast jednocześnie, na bieżąco pojawiają się nowe zjawiska, wymagające ciągle aktualizowanego podejścia.

To zrozumiałe, wszak zmienia się nieco sprawa, o którą walczyło mocno już obecnie dojrzałe pokolenie artystek-feministek, zaś z nieco innymi problemami zmagają się najmłodsze twórcynie. Posłużę się uogólnieniem, że czasy pierwszej dekady XX wieku to raczej artystyczny feminizm naznaczony wyrazistymi indywidualnościami, silnymi osobowościami twórczymi, których zmaganie z ogólnym niezrozumieniem społecznym i przebijanie murów konserwatywnej myśli wyrażało się między innymi w szeregu medialnych skandali (jak proces Doroty Nieznańskiej czy ataki na realizację Katarzyny Kozyry). Następnym krokiem była ewolucja w stronę kolektywnego myślenia o ruchu feministycznym w sztuce, nieuchronnego połączenia

² <https://kulturaenter.pl/article/sztuka-feministyczna-w-polsce-od-feministycznych-interwencji-do-postfeminizmu/> (dostęp: 29.05.2025).

go z aktywizmem, co wynika z dynamiki życia społecznego w Polsce, tak wyraźnie objawiająca się chociażby pandemicznymi marszami kobiet przeciw zastrzeżeniu przepisów dotyczących aborcji (miało to ewidentny wpływ na art world w Polsce w ogóle). Obecnie sztuka feministyczna, czy precyzyjniej – feminizm w sztuce, jest oczywistością, nawet w tak konserwatywnym kraju, i rozgrywa się także w sposób bardzo subtelny, niekoniecznie uchwytany od pierwszego spojrzenia i niekoniecznie tak radykalny jak kilkanaście, dwadzieścia lat temu.

Samo pojęcie „sztuka feministyczna” jest obecnie bardzo szerokie i – można by rzec – nieostre. Pod nim nie kryje się bowiem wyłącznie twórczość skoncentrowana na kobiecej problematyce, ale także zauważalnie obecne są kwestie związane z kategoriami *gender* oraz *queer*, grupami dotychczas marginalizowanymi, prawami człowieka czy wyzwaniem demokracji i kapitalizmu w ogóle. Pierwotna wspólnota feministyczna niejako wchłonęła ruchy emancypacyjne, gdyż w dzisiejszych czasach nie sposób już mówić o kwestiach płciowych wyłącznie w kontekście dyskryminacji kobiet.

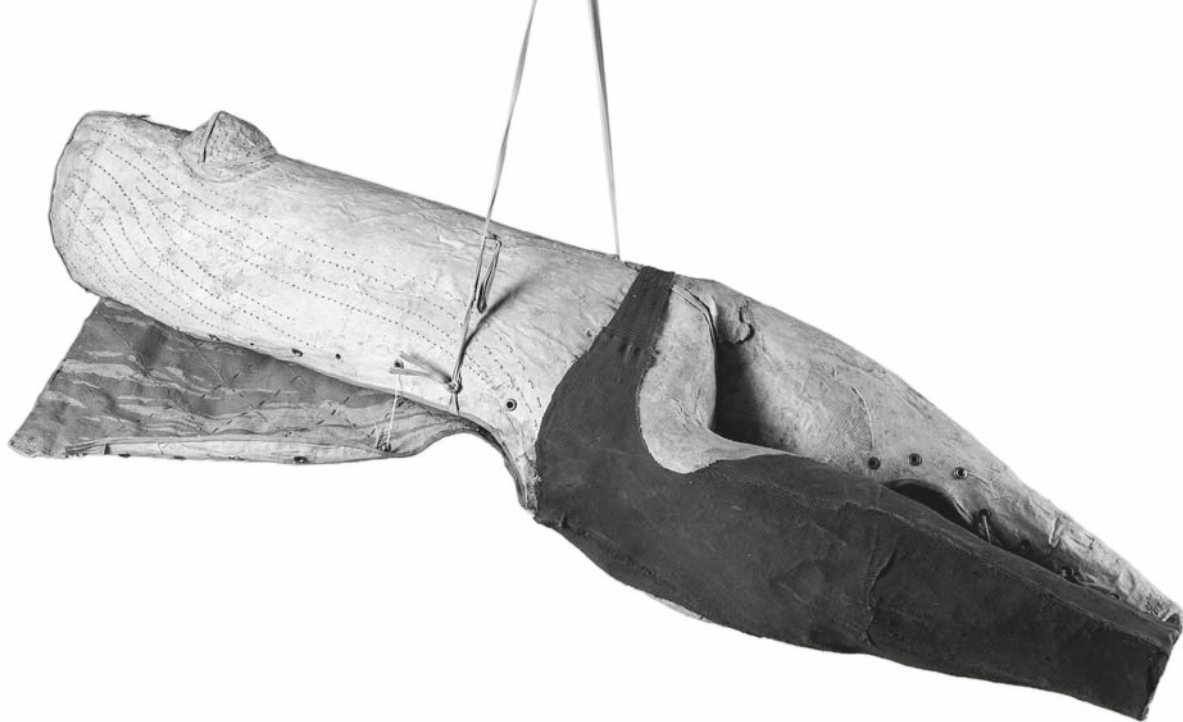
Istotne jest też zauważenie wątku męskiego w tym zestawie zjawisk, niespecjalnie dotychczas omawianego z uwagi na oczywiste przeświadczenie, że szeroko pojęty maskulinizm (rozumiany jako odwrotność feminizmu) jest reprezentowany przez kulturę, sztukę, politykę czy wszelkie inne obszary działalności człowieka od zawsze i ze względu na uprzywilejowaną pozycję mężczyzn temat nie musi być poruszany w odniesieniu do dyskryminacji. Jednakże w polu zainteresowań wielu twórców i twórczyń znajduje się tak zwany kryzys męskości (zdefiniowany już jako zjawisko społeczne), zauważony i twórczo dekonstruowany. Wciąż jest to jednak temat spotykający się z krytyką zarówno środowisk lewicowych (z wyżej wymienionego powodu), jak i konserwatywnych, gdyż jest on przez nich odbierany z lękiem i niechęcią do rozmontowywania dotychczasowej społecznej hierarchii i okrzepłego układu³.

W niniejszym tekście (pisanym dzień po wyborach prezydenckich, w których wygrał kandydat prawicy) chciałabym przede wszystkim wskazać na obszary, które są w mojej opinii kluczowe dla postfeministycznej rzeczywistości, oraz wyraźnie zaznaczyć, gdzie można odnaleźć przedłużenie feministycznego dyskursu, zainicjowanego na przełomie lat 60. i 70. w sztuce.

System wyraźnie się zmienia. Być może ma to związek z ponownym (a może nieustającym) odczytywaniem kultowego eseju Lindy Nochlin *Dlaczego nie było wielkich artystek?*⁴ Mam wrażenie, że ta publikacja zyskała w ostatnich latach nowe życie. Wydana po raz pierwszy w 1971 roku, rozpoczęła światową rewolucję w postrzeganiu historii sztuki. Udowadnia, mówiąc naprawdę skrótowo, że w byciu uznaną osobą twórczą nie tyle o talent i płeć chodzi, a o społeczne przyzwolenie na zostanie takową i – co za tym idzie – jest to zależne w gruncie rzeczy od systemu, który zawsze opiera się na powszechnych przekonaniach, gdyż jest najzwyczajniej w świecie tworem ludzkim.

³ Odsyłam do rozmowy Karoliny Plinty z Patrykiem Różyckim i Patrycją Wieczorkiewicz na łamach magazynu SZUM: <https://magazynszum.pl/zaimki-on-jego-rozmowa-z-patrykiem-rozyckim-i-patrycja-wieczorkiewicz/> (dostęp: 29.05.2025).

⁴ L. Nochlin, *Dlaczego nie było wielkich artystek?*, Sopot 2023.



Maria Pinińska-Bereś, *Gorset wiszący*, 1965, Muzeum Narodowe we Wrocławiu, fot. Arkadiusz Podstawka

Jest to sprzężone silnie z bardzo wyraźnie dziejącą się rewolucją w świecie sztuki czy nawet szerzej – kultury, która polega na dekonstruowaniu istniejących kanonów z domyślnym zestawem nazwisk. Punktem wyjścia jest uświadomienie sobie, że kanon (przede wszystkim rozumiany jako baza w programie nauczania o sztuce czy podstawa kolekcji muzealnych) został stworzony z określonej – męskiej i europocentrycznej – perspektywy i nie jest pełnym odzwierciedleniem panoramy zjawisk. Co więcej, może być narzędziem manipulacji historią. Niemożliwe zresztą jest skonstruowanie takiego obrazu, by służył raz na zawsze, należy więc go nieustająco rewidować. To zjawisko swój początek miało już dawno, jednak jest ono długotrwałym procesem⁵. Zmiana podejścia do kanonu, zbiorów czy uniwersyteckich programów wymaga jednak szerokiego rozumienia mechanizmów rządzących światem sztuki niegdyś i obecnie, a przede wszystkim gotowości na dokonanie weryfikacji własnej wiedzy.

Ramię w ramię z krytycznym namysłem o kanonie, jaki znamy, idą pogłębione studia herstoryczne, które w murach uniwersytetów dzieją się już od dawna (na polu wrocławskim inicjatorką tego zjawiska była prof. Anna Markowska), ale jest to także wyraźne na polu literatury popularno-naukowej czy w zakresie programów instytucji kultury, proponowanych odbiorcom. Przykładem takich działań są projekty fundacji Art Transparent, poświęcającej swoją aktywność w ostatnich latach na ponowne odkrywanie i wydobywanie z kolein historii sztuki twórczości artystek

⁵ W 2011 roku Piotr Piotrowski rozwinął koncepcję muzeum krytycznego jako forum zaangażowanego w debatę publiczną i reagującą na problemy, którymi żyje społeczeństwo; P. Piotrowski, *Muzeum krytyczne*, Poznań 2011.

z Grupy Wrocławskiej (cykl wystaw „15% abstrakcji” i towarzyszący im szereg spotkań, jak na przykład forum „Białe plamy są, dopóki ich nie zauważymy”⁶). W 2021 roku zaprezentowano wystawę malarstwa Hanny Krzetuskiej-Geppertowej, która przez lata funkcjonowała w szerszej historyczno-artystycznej świadomości jako „malująca żona Gepperta”, ojca założyciela wrocławskiej uczelni artystycznej oraz twórcy powojennego środowiska artystycznego⁷. Dzięki działaniom fundacji udało się zainicjować szersze badania nad twórczością malarki oraz ugruntować jej pozycję klasyczki wrocławskiego powojennego malarstwa. Inne aktywności związane były z takimi artystkami jak Krzesława Maliszewska, Anna Szpakowska-Kujawska czy Janina Żemojtel, z kolei w niedalekiej przyszłości planowana jest realizacja wystawy Krystyny Michałowskiej-Podsiadły.

Również wrocławskie Muzeum Narodowe w ostatnich latach mocno skupia się na badaniach nad twórczością artystek takich jak Magdalena Abakanowicz, Bożenna Biskupska czy Maria Pinińska-Bereś, których efektem były spektakularne pokazy w Pawilonie Czterech Kopuł czy równie okazałe wydawnictwa im towarzyszące. Czy jest to jednak przejaw przyjęcia perspektywy feministycznej przez instytucję? Można na ten temat dyskutować, trudno bowiem bronić tezy, że gdyby nie zwrot feministyczny w polskiej sztuce, to nie byłoby wystawy Magdaleny Abakanowicz, wszak jej pozycja klasyczki tkaniny i rzeźby jest ugruntowana niemal od zawsze. Ale już z kolei przypadek Pinińskiej-Bereś nie jest taki oczywisty. Artystka sytuowała samą siebie w nurcie sztuki feministycznej od samego początku (co wcale nie było takie oczywiste – wiele twórczyń w latach 60. i 70. dystansowało się od tego pojęcia, wybierając bezpieczniejsze brzmienie: „sztuka kobiet”⁸), a nawet go wyprzedzała. Jej twórczość zaczęła być należycie doceniana dopiero po jej śmierci. Za życia tworzyła raczej w cieniu sławnego męża czy szerzej – patriarchy, ale perspektywa czasu pokazuje (i jest to zasługą między innymi wrocławskiej wystawy), że to jej działania aktualnie budzą żywsze zainteresowanie.

Poniekąd i do tego gatunku wystaw można zaliczyć *Olbrzymki* pokazywane w BWA Dworzec Główny w 2024 roku – wystawę artystek związanych z Dolnym Śląskiem: Urszuli Broll, Ewy Zarzyckiej, Bożenki Biskupskiej, Ewy Ciepielewskiej oraz Katarzyny Rotkiewicz-Szumskiej. Była to opowieść o regionie z perspektywy herstorycznej z akcentami położonymi na działalność twórczą i relacyjną artystek. Jeżeli weźmiemy pod uwagę dobór osób oraz narrację splecioną z dziejami regionu, to ta wystawa była udanym i interesującym pokazem, śmiało można powiedzieć, że otworzyła zupełnie nowy rozdział w polskiej his/herstorii sztuki. Jednocześnie pojawiły się głosy krytyczne powątpiewające w finalny feministyczny walor tych zabiegów, jak chociażby tekst Karoliny Plinty: „Jeśli (...) herstory jako narzędzie ma być wiarygodna, nie powinna być używana jak worek, do którego wrzucić można wszystkie kobiety spotkane na szlaku. A nawet: nie jest to worek, do którego wrzucać należy tylko kobiety. Binarne podziały są w końcu

⁶ <https://arttransparent.org/biale-plamy-sa-forum/> (dostęp: 29.05.2025).

⁷ <https://arttransparent.org/hanna-krzetuska-geppertowa-15-abstrakcji/> (dostęp: 29.05.2025).

⁸ <https://kulturaenter.pl/article/sztuka-feministyczna-w-polsce-od-feministycznych-interwencji-do-postfeminizmu/> (dostęp: 29.05.2025).

mocno *passé*⁹. To stwierdzenie jest o tyle istotne, że wyraźnie wskazuje na konieczność myślenia o sztuce w kontekście feminizmu szeroko, nie zaś wyłącznie jako o sztuce kobiet.

Nie sposób nie wspomnieć o światowym trendzie historyczno-herstorycznym podbitym perspektywą, która pojawiła się po zainicjowaniu ruchu #MeToo. Wraz ze skupieniem instytucji, badaczy czy krytyków na tropieniu kobiecej aktywności na polu sztuki przyszedł moment na rozliczenia dotychczasowych beneficjentów systemu funkcjonujących w klasycznym kanonie, polegające przede wszystkim na odbrazowaniu ich figur i poddaniu rewizji ich postawy w całości, jako artystów, ludzi, członków rodziny czy społeczności. Najbardziej jaskrawym przykładem jest postać Pabla Picassa, który tradycyjnie był punktem odniesienia w biografiach swoich twórczych partnerek – fenomenalnej surrealistki Dory Maar czy malarki Françoise Gilot. Jego postać mocno przyćmiewa pamięć o artystkach, zniekształcając ich dokonania na polu sztuki, i sprawia, że zawsze są one rozpatrywane w odniesieniu do „mistrza”. Uniezależnienie ich dorobku od wpływu Picassa i przywrócenie właściwej perspektywy na twórczość to jedno, zaś drugą bardzo ważną kwestią jest wyraźne przedstawienie malarza jako osoby mocno przemocowej i destrukcyjnej, którą w istocie był. Jego biografia ukazuje mechanizmy, zgodnie z którymi zbudowany był patriarchalny system świata artystycznego, który z kolei miał przełożenie na to, w jaki sposób kanoniczna historia sztuki została napisana. Ważnym efektem tego zwrotu jest zaprezentowana w 2023 roku w nowojorskim Brooklyn Museum wystawa *It's Pablo-matic: Picasso According to Hannah Gadsby (To Pablo-matyczne: Picasso według Hannah Gadsby)* prezentująca współczesny, krytyczny, a przede wszystkim feministyczny namysł nad twórczością najbardziej wpływowego artysty XX wieku¹⁰. Tym, co istotne, jest fakt, że ten gest demitologizacji odbija się szerokim echem w popkulturze i zdecydowanie wyszedł poza wąską niszę badaczy sztuki. Jest on obecny w literaturze popularnonaukowej, podcastach, filmach dokumentalnych czy w social mediach i bardzo wyraźnie angażuje szerokie rzesze miłośników i odbiorców kultury.

Wyraźnym i ważnym zagadnieniem jest także temat matek w polu sztuki. Związany jest on z jednoczesnym funkcjonowaniem artystek w kontekście życia zawodowego i rodzinnego, ale także jako uczestniczek szerszego instytucjonalnego systemu (galeryjnego czy art worldu), a przede wszystkim akademikzek czy nauczycielek sztuki. Zmusza do namysłu nad konstrukcją struktur u(nie)możliwiających sprawne łączenie różnych ról życiowych, wynikających przede wszystkim z faktu, iż to na kobiety najczęściej spada obciążenie związane z pełnieniem funkcji opiekuńczych nad osobami małoletnimi (i nie tylko) w rodzinach. Ten wątek nie jest nowy, wszak pojawiał się już w epoce sztuki krytycznej, chociażby w twórczości Elżbiety Jabłońskiej (cykl fotografii *Supermatka*, 2002), w ostatnich latach nabrał konkretnego rozpędu w postaci wystaw (*Matka Ziemia* we wrocławskiej Galerii

⁹ <https://magazynsum.pl/herstoria-tak-ale-z-naszymi-artystami-olbrzymki-w-bwa-wroclaw/> (dostęp: 29.05.2025).

¹⁰ https://www.brooklynmuseum.org/pl-PL/exhibitions/its_pablo_matic_picasso_according_to_hannah_gadsby (dostęp: 29.05.2025).

Dizajn w 2022 roku czy *Alma mater* w BWA Zielona Góra w 2025 roku) oraz dyskusji. W najnowszym „Formacie” szerzej pisze o tym Anka Mituś, niejako podsumowując dotychczasowe projekty artystyczne skupione wokół tematu macierzyństwa¹¹.

Powyższe przykłady są próbą zarysowania nurtów, które kwalifikuję jako „efekt feminizmu w sztuce”. Opisywanie twórczości pojedynczych artystek i artystów byłoby w tym momencie niewystarczające, gdyż zakres tego tematu jest naprawdę szeroki i nie ogranicza się wyłącznie do tworzenia w nurcie feministycznym. Obejmuje on pracę instytucji, zmianę postrzegania roli kobiet w kształtowaniu dziejów historii sztuki, pojawienie się tematów, które wcześniej w ogóle nie leżały w polu zainteresowania artystów oraz badaczy, a także refleksję nad męskością, niebinarnością oraz dyskurs genderowy.

Jeżeli ktoś jednak potrzebuje w pierwszej kolejności wyraźnych podsumowań i spojrzenia z dystansu na dokonania polskich artystek na polu sztuki feministycznej, to odsyłam do dokumentacji i tekstów poświęconych świetnie recenzowanej wystawie *Chcemy całego życia. Feminizmy w sztuce polskiej* w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie (2024)¹². Podkreślano w nich przede wszystkim zastosowanie rodzimej teoretycznej i artystycznej autorefleksji nad tytułowym zagadnieniem w sposób wielopłaszczyznowy i osadzający w konkretnej geografii artystycznej i historycznej¹³. Potem przypomnę jeszcze raport *Marne szanse na awanse* wydany przez Fundację Katarzyny Kozyry w 2016 roku, pokazujący wyniki badań nad obecnością kobiet na polskich uczelniach artystycznych¹⁴. Wynika z nich, że kobiety stanowią 77% studentów, 35% pracowników naukowych i już tylko 17 % profesorów zwyczajnych. Następnie będę zachęcać do namysłu nad zmianami postrzegania sztuki i roli kobiet przez ostatnie dziesięć lat, biorąc pod uwagę wszystko, co opisałam powyżej. Na sam koniec przypomnę szokujący fakt, że pierwszą studentką krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych została Zofia Baltarowicz-Dzielińska. W 1917 roku¹⁵.

¹¹ A. Mituś, *Matki, artystki, akademicki*, „Format” 94, 2005, s. 92–99.

¹² <https://pgs.pl/chcemy-calego-zycia-feminizmy-w-sztuce-polskiej/> (dostęp: 29.05.2025).

¹³ <https://magazynsum.pl/nadal-chcemy-calego-zycia-ale-mamy-juz-wlasna-historie-chcemy-calego-zycia-w-pgs-sopot/> (dostęp: 29.05.2025).

¹⁴ <https://nck.pl/badania/raporty/marne-szanse-na-awanse-raport-z-badania-na-temat-obecnosci-kobiet-na-uczelniach> (dostęp: 29.05.2025).

¹⁵ <https://www.dwutygodnik.com/artykul/8427-zwyciestwo-zofii.html> (dostęp: 29.05.2025).



BERNARD ŁACH

* * *

Weż ten stary
kredens dębowy krzesła
i zegar który dostaliśmy w ślubnym prezencie

tylko nie zabieraj naszych kolacji śmiechów
i wspomnień

zniknie stąd ta szafa
twoje ubrania teraz tak bołą
i kanapa na której siedzieliśmy

i wszystkie miejsca
w których było nam tak dobrze

pozbyłem się już wielu
niepotrzebnych rzeczy

Ciebie nie mogę

* * *

Wyobraź sobie kolację w czasie
której nic nie musisz mówić
Siedzisz w milczeniu uśmiechasz się
Rozkoszujesz się kalmarami po azjatycku
schabem ze śliwkami i zupą gruszkową z imbirem
Kieliszkiem czerwonego Bordeaux białego Sauvignon Blanc

Między nami ściana tak delikatna
że wszystko słysząc
Początkowo to krępujące
Nie patrzę Ci w twarz i miło się gada
Przypominamy wówczas niewidomych stroicieli fortepianów
Tracąc wzrok wyostriamo inne zmysły

Mówienie nie pozwala nam się cieszyć

Tramwaj

Głaskała się po brzuchu. Jaki będzie gdy się urodzi?
Trzymał dumnie pomarańczowy rower. Musiał być nowy. Miałem kiedyś taką Ukrainę.
Na tamte czasy super. Oby się te dobre wróciły.
Zbyt głośno relacjonowała swoje zakupy. Nie wiem jak osoba z drugiej strony telefonu.
My mieliśmy dość wydanych pieniędzy.
Ze śmiechem zaglądały sobie przez ramię do komórek. Dobrze słyszeć radosnych.
Są jak rosa o zmierzchu gdy słońce morduje.
Spoglądała w dal. Zamyślona smutna. Ten rumor jej nie wybijał. Ja też przestałem ją przeświećlać.
I staruszka w pas pochylona z ciężkimi zakupami.
Kto ją puścił samą?
Możliwe że mąż z cmentarza a dzieci z emigracji.

* * *

Może nie lubisz jak ktoś
siada na Twoim brązowym krześle
Wkłada Twoje skórzane pantofle
czyta wiadomości z Kuriera
którego zaprenumerowałeś
Potem spaceruje po Twoim domu
chce pomalować ściany na beżowo
na kolor którego nie znosisz
Zmienia powoli Twoje przyzwyczajenia
Fotel na którym chętnie drzemałeś
zwyczajnie znika z domu
Kuchnia już nie jest wyspą
a wanna w nowej łazience
już nie jest morzem
Przed kilkoma miesiącami
nie brałeś tego pod uwagę
A teraz wszystko widzisz
w równoległym świetle

Namiętność ponad tytułami

W Alcobaça książę Pedro wziął hiszpańską dwórkę za żonę i kochankę.
Urodziła mu dzieci. Byli szczęśliwi.
Ojciec król Alfons nie zdzierżył tego.
Wynajął płatnego zabójcę.
Pozbawili Ines życia.
Dwór odetchnął z ulgą.
Nie będzie plamy na honorze dynastii.
Syn poczekał dwa lata. Ból był nie do wytrzymania.
Ojciec umarł. Nareszcie. Nigdy nie przypuszczał, że tego będzie mu życzył.
Wydobył ukochaną z grobu.
Ubrał w najlepsze szaty i najdroższą biżuterię
I wszystkich dworzan ustawił w kolejce.
By całowali rozpadającą się dłoń trupa.
Skoro żywej nie chcieli.
Potem kazał się pochować naprzeciwko ukochanej.
Aby, gdy zmartwychwstana,
Od razu wpadli w swe ramiona.

* * *

Płatki brzozy świdrują na wietrze
lekko odchylona tuja Brabant salutuje
kosmyki traw zielonych
i rzeźwiący podmuch

Żonkile żółkną dalej
koloryzują się sąsiadki tulipany
irys dalej fioletowy

i my świdrujemy salutujemy
bywamy zieloni
koloryzujemy i żółkniemy
fioletem okrywamy koniec



Ciało wyczerpane...

Autorem zebranych w albumie zatytułowanym „Eroticon” (wydanie własne przy wsparciu Fundacji Pollock-Krasner, Wrocław 2025) ilustracji, zamieszczonych w bieżącym (nr 16/17) wydaniu „Formatu Literackiego”, jest znany i wybitny artysta rzeźbiarz, ale również powszechnie uznany twórca wielomedialnych realizacji (na przykład performance’ów, obiektów i akcji artystycznych) oraz fotografii – Tomasz Domański. Znalazły się tu więc odręczne rysunki, szkice, gwasze i malunki ciał obojga płci w ich erotycznym splątaniu, uzależnieniu, w stanach fascynacji i ekstazy... Są one utrzymane w dość jednolitej stylistyce: to wizerunki postaci jakby w ich skrajnym „wyczerpaniu”, postaci anorektyczne, niekiedy zaznaczone tylko kilkoma łączącymi się kreskami, czasami bez identyfikujących je głów. Sylwetki te potraktowane zostały jako mocno uproszczone, „znakowe” formy wprowadzane przez artystę na scenę rytuału kreacji albo – w tym przypadku – wiedzy o prokreacji. Stąd być może przedstawiany w albumie intymny wizerunek aktu seksualnego może być (i jest) utożsamiany z aktem twórczości. Na taki między innymi związek zwrócili uwagę autorzy – wybitni antropolodzy i kulturoznawcy – w swych tekstach dołączonych do albumu, w których w istocie przeprowadzili analizę związków obrazu (form obrazowania) z ich treścią, posiłkując się przy tym bogatą interpretacją psychologiczną i filozoficzną. Ale o tym później.

Zbiór tych ilustracji (a jest ich w albumie kilkaset) nie jest czymś zaskakującym w praktyce twórczości rzeźbiarzy, to jest artystów zmagających się z materią naturalną (na przykład gliną, kamieniem, drewnem, lodem czy ogniem), do której zaliczyć należy także ciało. Jest ono (ciało) szczególnie chętnie „eksplorowane” w postmodernistycznych przedsięwzięciach artystycznych. Ciało ludzkie staje się więc jakby ową „materią pierwszą”, będąc i wzorem, i źródłem przetworzeń. Stąd wstępny namysł: szkic, rysunek, koncepcja twórcza itp. wchodzi w zakres przedsięwzięć autorskich niemal każdego artysty. Właśnie dlatego Domański dowiódł tu swoich zainteresowań ciałem, śmiało wkraczając w jego intymność i tajemniczość, szczególnie w obszarze erotycznych kompetencji. Oto dlaczego te szkice i rysunki stały się ciekawym pretekstem do kulturoznawczych interpretacji. Akt twórczy artysty rzeźbiarza to w istocie proces zmagania się z ową materią, wchodzenia w jej strukturę, to szukanie „czułego” z nią związku, niemal erotycznego (?). Zwraca na to uwagę w swych tekstach i Magdalena Barbaruk, i Paweł Drabarczyk vel Grabarczyk.

Być może każdy artysta jest w jakimś stopniu przymuszony do rozpoznania także własnego ciała (dokonania jego swoistej wiwisekcji), tak aby docenić jego potencjał i rolę nie tylko na planie egzystencji, ale właśnie przede wszystkim na planie sztuki.

Tym tropem szedł Domański, gdyż w istocie w pełni ujawnił swoją dociekliwość odnoszącą się do sfery intymnej człowieka, jego seksualności i zaangażowania w nią ciała; w tym chyba też własnych erotycznych zainteresowań (?). Czyż bowiem efekty seksualnego spełnienia albo wręcz jego nienasycenia nie mają wpływu na psychikę, a w konsekwencji na „rzeźbę” ciała? Sztuka potrafi na tej świadomości żerować, o czym wiedzą artyści stawiający na szczerość i otwartość swych wypowiedzi, nie skrywając tedy szczegółów anatomicznych ciała, jego sfer erogennych, genitaliów, aktu seksualnego itd. Tymi atrybutami żywi się współczesna (postmodernistyczna) twórczość, w wydaniu i kobiet (vide: feminizm), i mężczyzn (sztuka ciała). Taka twórczość – a dotyczy to także prac zebranych w albumie Domańskiego – nie ma nic wspólnego z pornografią czy epatowaniem atrakcyjną nagością. Podkreślali to także autorzy tekstów towarzyszących tej publikacji.

Autentyczna twórczość powinna się opierać na prawdzie odczuć, szczerych wrażeń, a także namiętnościach – bo bez owej dozy psychiczno-duchowego zaangażowania byłaby ona tylko techniczno-warsztatowym popisem. Ciało, którym operuje artysta, wysyła swe własne sygnały: jedne czytelne, inne – niekoniecznie, bowiem seksualizm jest tą sferą, o której wiemy niewiele, a którą, wobec presji naszych kulturowych konwencji, już dawno skazaliśmy na wstydlive skrywanie; to chrześcijaństwo wręcz uznało ciało i cielesność (w tym erotyzm) za tajemnicze, określając je jako sferę wstydliwą, a wręcz grzeszną... Do dzisiaj wiele z dostępnych wizualizacji nagiego ciała obwarowanych jest albo anatema pornograficzności, albo potraktowanych pruderyjną cenzurą (w zasłanianiu tak zwanym listkiem figowym).

W „Eroticonie” Domański wypowiada się głównie poprzez rysunek, a jest to wyjątkowy „sejsmograficzny” zapis „oka i myśli”; to szczególna zdolność chwytania kilkoma pociągnięciami sprawnej dłoni kształtu odpowiadającego intencji autora w jego realizacji danego zamysłu. Rysunek bywa wstępem do pracy niemal każdego twórcy wizualnych przedstawień, a na pewno służy też rzeźbiarzom – bo jest w tym wypadku zapowiedzią albo za-rysem (ideowym) przygotowywanej formy. Stąd zwraca uwagę zwykle spontaniczna szkicowość takich zapisów. Wobec rysunków ujawnionych przez Domańskiego możemy nadto powiedzieć o sporym jego rozeznaniu w historii sztuki rysowania, ponieważ – jak zauważają to także autorzy tekstów wprowadzających – mniej lub bardziej intencjonalnie nawiązują one do ilustracji zarówno Egona Schielego, jak również do szkiców między innymi Josepha Beuysa, Anselma Kiefera, Auguste’a Rodina czy Stefana Żechowskiego. Dodajmy, że „korespondują” one także z pracami choćby Jerzego Dudy-Gracza czy Francisa Bacona (wobec zniekształceń figur i twarzy rysunkowych przedstawień). Staje się więc „Eroticon” swoistą agorą rysunkowych fantazji autora, czynionych zresztą z pewną nonszalancją, jakby to były popisy „profesora” rysunku przed studentami akademii sztuki.

Zauważmy, że te wszystkie *wy-rysowane* przez Domańskiego ciała są jednak wyraźnie *prze-rysowane* – znaczy to, że nie natura była dla nich wzorem, ale właśnie wyobraźnia rysownika; to on wydaje tę cielesność na jaw oczywistości w postaci szkicowej, uproszczonej; są to de facto jednoznaczne stylizacje artystyczne, o bogatych podtekstach historyczno-kulturowych. I dlatego stały się one „pożywką” dla szerokiej refleksji znawców antropologii i kulturoznawstwa. Wprawdzie Dariusz

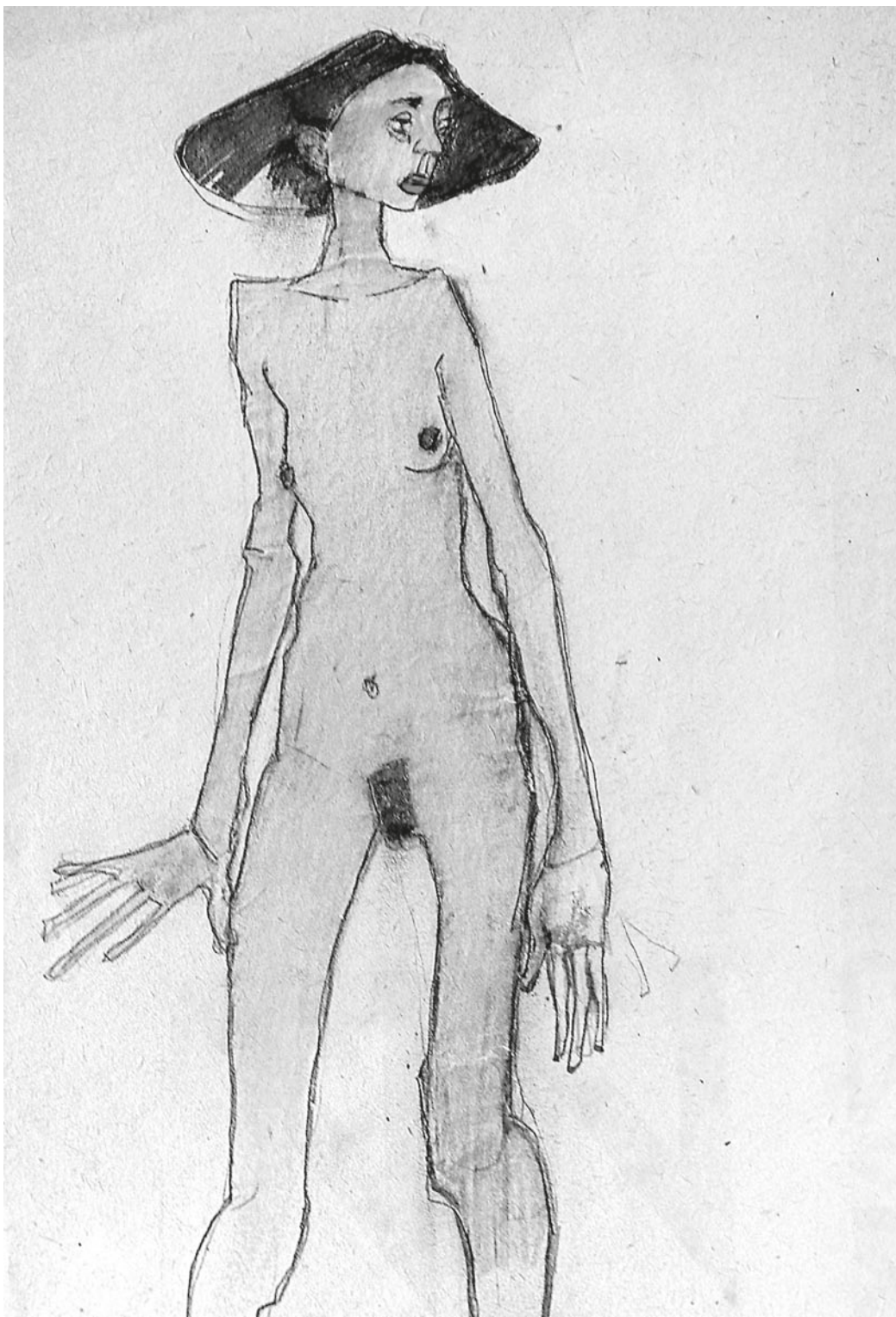
Czaja – guru tegoż znawstwa – w swoim materiale zatytułowanym „Drżące ciała” wyraźnie zaprzecza potrzebom dyskursu teoretycznego w tej mierze, sugerując raczej emocjonalny odbiór tych rysunków, bardziej spontaniczny niż mózgowy, stawiając na *oko* – na czysto wzrokowy ich odbiór. Sądzi prof. Czaja, że prawda tych wizerunków (obrazów) lokuje się obok dyskursu, bowiem one, te rysunki, są impresyjne. Píše, że kreska Domańskiego jest drapieżna, chaotyczna, pocięta, spazmatyczna (jak w erotycznym spełnieniu). Właśnie – podkreśla – blisko jej do ekspresyjnych rysunków Schielego. To portret wielokrotny ludzkiego ciała – mówi Czaja – wizerunek udostępniający „ciemne rewiry cielesnej enigmy...”. Stwierdza nadto: „Ludzkie ciało. W mizarii i chwale. To właśnie temat Eroticonu Domańskiego”. To ciało w jego erotycznym uwikłaniu jednak wymyka się nazwaniu. Mówi przy tym o „obcości ciała”, bo jest ono ciemne, dziwne, ale to też ciało „drżące” ze smutku lub z podniecenia. Ono trwa poza słowem... jest – powiedzmy: wyczerpane. Bo seksualność człowieka jest nieprzenikniona, ona skrywa się „poza zasłoną”, tkwi w konwencji, przy tym – wobec presji ideologii chrześcijańskiej.

Domański swoje rysunki daje nam do patrzenia, ale bez owej wulgarności, bez intencji podniecania się nimi, jakby chciał wyraźnie wskazać na ten rodzaj smutku (melancholii), na tragiczność postaci uwikłanych we wzajemne erotyczne uzależnienia lub osamotnienia, na przykład w masturbację (por. tekst P. Drabarczyka „Copulo ergo sum”). Także wspomniani autorzy (Czaja, Barbaruk, Drabarczyk) podkreślają swoistą „pierwotność” stylistyczną tych szkiców, w analogii do rytów jaskiniowych.

Niewątpliwym motywem łączącym wszystkich autorów tekstów pomieszczonych w „Eroticonie” jest – podkreślany przez nich – zauważalny związek ciała i śmierci (lub tak zwanej „małej śmierci”: orgazmu). Jak ujmuje to Czaja: są te postaci „naznaczone niewidzialnym, ale uchwytnym stygmatem śmierci”. Ten związek Erosa z Tanatosem jest dostrzegalny szczególnie w interpretacji Jakuba Fereńskiego, który oddaje to w swym „U-niesieniu”. Chociaż wydaje się, że należy także łączyć sztukę erotyczną ze sferą sacrum (por. Magda Barbaruk w artykule „Tomasz Domański – twórca ekstatyczny”), bo sam akt seksualny może być identyfikowany z aktem religijnej ekstazy.

W konkluzji stwierdźmy, że Tomasza Domańskiego jako artystę pasjonuje nie tylko problem seksualności i erotycznych zespoleń ciał partnerów, co również sam fenomen ciała w jego uformowaniu i poddawaniu się prawom natury, wśród których seksualność (i jej prokreacyjna rola) jest podstawowa. On jako twórca idzie za swym powołaniem, to jest akceptacją powiązania aktu seksualnego z aktem kreacyjnym; i tak jak wszelka materia, tak i ciało jest właśnie tworzywem w procesie artystycznego jego przetwarzania, zgodnie z intencjami autora.

Ciało *wyczerpane* w sztuce odradza się w nowej, ponownie podanej – w formie estetycznej – zmysłowości. Z męskiego punktu widzenia: sztuka jest kobietą... (co już zauważyła Susan Sontag).



MARI KŘÍŽOVÁ

Jesienny

Pola ucichły i wioska zamilkła
Wciąż oświetlony jest tylko jeden budynek
Przed zimą do szopy wpęłzył pies
Mróz nadal nęka jesienne kwiaty

Królowa jesieni spokojnie czeka
Aż minie zamieć
Mówi się, że złoczenia nic nie przeraża
Ale nie jest też z kamienia.

Odłamki lodu wcinają się w łodygę
A liście cicho opadają
Chryzantema zostaje położona do snu
gdzie zapewne sięgają jej korzenie

Dręczona zimnem, zawsze kwitła jesienią
Następnie zima fatalna na zawsze ją zmiotła

Stara młoda miłość

Przez okno wpadał przeciąg
Napompował baldachim nad łóżkiem
Młody pan i młoda pani
Właśnie tam się przytulają

Potwierdzają drogocenną miłość
co sobie ją rano obiecali

Jutro znowu we mgle wczesnej
Pan będzie walczył w wojnie pruskiej.

W produkcji

Pod ostrzem latarni
Tak dziesięć metrów nad głową
Kobiety w lekkich ubraniach
Jakby ubrane w papier
Składają pudełka przed swoim snem

W popielatych twarzach
Bez zaskoczenia i zawstydzenia
Śpią głęboko zakopane
Smutek, nadzieja i śmiech

O północy, przerwa
W papierowych czepkach
Z serwetką przyklejoną do chleba
Każda spokojnie zjada
Swoje małe życie bez miodu

Alik

Kiedy będziemy bezużyteczni jak gołębie odchody na przedniej szybie
Kiedy będziemy tak bezużyteczni jak rycerz Des Grieux Manon
Kiedy będziemy tak bezużyteczni jak poranne pogawędki w pubie
Będziemy bezużyteczni jak zużyty bilet

Kiedy programują nam wschód słońca
Czy po prostu będziemy spać wiecznie?
Wchłonięci jak monety w fontannie marzeń
O które nie będziemy już musieli walczyć

Każdy z nas będzie miał własnego Holly'ego
Zamiast psa w domu
Ktoś będzie miał dużego ktoś małego
Nie będzie to już o Tobie o nas o mnie

Tylko o Aliku który uratował świat
Od ludzkiego robactwa od ludzkich pcheł
Tylko o Aliku któremu mówią Al
All inclusive i co dalej

* * *

Jak w agonii
Podał mi pierścioneł
Ponoć już dawno dał sobie spokój
Ze wszystkimi naszymi sporami i kłótniami
Nie zapytał czy ja też
Więc zwróciłam mu pierścioneł
Jego ramiona opadły na trawę
Podeszłam do niego zmęczona
I pocałowałam go w czubek głowy

* * *

Na ziemi uśpionej
Mieszanka bezkształtnych akordów
Only a paper moon
Night and day
Love for sale
That day that Sunday that summer
Otwarte okno w kuchni
Gdzie przyklejasz się do czegośkolwiek
A dym nasycę nocną sałatkę
Złamana poprzeczka łóżka współlokatorki
Po pijackiej pasji
Czeka na obiecaną naprawę
Podobnie jak nasze
Zamrożone połączenie
Co pozostało po drugiej stronie ulicy
W pubie na rogu
W samotnym grogu
Co niepotrzebnie na ciebie w nocy
Czekał

* * *

Deszcz uderza w spalone dachy
Mech połyka wilgoć wyschniętym gardłem
Wiatr wieje przeze mnie i zapiera dech w piersiach
Maluje kroplami ścieżki na moich plecach
W tej postaci, w której teraz stoję – zostaw mnie tutaj

Gołębiczka

Siedziała gołębiczka
Na dachu klasztoru
Co widziała gołębiczka?
Że ją boli u serduszka

Cicha noc
Letnia noc
Delikatna bryza
Każdy jest nagi przed Bogiem

Zobaczyła gołębiczka
Człowieka bez duszy
Gołębiczka stwierdziła
Że tego ciężaru unieść nie może

Cicha noc
Letnia noc
Delikatna bryza
Upadłe skrzydła ją ochładzają

Z języka czeskiego przetłumaczył Libor Martinek.



Tomasz Domański, *Erotikon 1980–2025*, album z tekstami: Magdaleny Barbaruk, Dariusza Czai, Pawła Drabarczyka i Piotra J. Fereńskiego. Wydawca: Tomasz Domański, 2025

Specjalne podziękowania dla Fundacji Pollok-Krasner za pomoc finansową (stypendium 2024) w realizacji tego projektu.



Format Literacki

ISSN 2720-0892

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

Temat numeru: WŁADZA

*Dziękujemy panu dr. Michałowi Pietrzakowi za pomoc
w uzyskaniu reprodukcji prac artystów ukraińskich,
które publikujemy w numerze 17 „Formatu Literackiego”.*

Spis treści numeru 17

Waldemar Okoń Wstęp — 176

Adam Lizakowski wiersze — 180

Monika Braun Zapiski o hodowli władzy — 188

Robert Gawłowski Chora prowincja — 196

Piotr Jakub Fereński Władze sztuki — 204

Tadeusz Złotorzycki Zorganizowana niemoralność:
kłamstwa, defraudacje, morderstwa — 218

Waldemar Okoń Poematy nadziejne — 222

Piotr Mras *Hymn o Perle*. Metafory i symbole gnozy — 232

Janusz Krupiński Herberta *Potęga smaku*, czyli moralna hańba — 240

Marian Kisiel wiersze — 248

Kto psuje literaturę? O władzy, polityce i poprawności myślenia
z Bogusławem Jasińskim rozmawia **Tomasz Klusek** — 250

Gabriel Leonard Kamiński Sobie na 68 urodziny — 264

Mirosław Drabczyk Ogród ziemskich rozkoszy — 266

Paweł Kuligowski wiersze — 280

Krzysztof Rudowski Stwórz i rządź! — 288

Waldemar Okoń Dniownik, czyli kronika niezapowiedzianych śmierci
część III (2022–2025) – fragment — 296

Janusz Drzewucki wiersze — 308

Andrzej Saj Zapisy zobaczeń albo notatki krytyczne
i bezkrytyczne o artystach, akademii, literaturze
i polityce – rok 2015 (ciąg dalszy) — 312

Bogusław Klimsa Gdyby nie Wanda... czyli bajka o Janku Kaczmarku — 326

Kamil Bryka The Mouse That Roared — 334

Andrzej Saj Ukraińscy artyści przeciw wojnie — 336

Urszula M. Benka Kronika kultury — 338

Wstęp

Zyjemy w czasach onnipotencji władzy, która przybiera obecnie wręcz Proteuszową postać, stając się wszechobecna i jednocześnie niewidzialna, pozornie demokratyczna i w głębi swej istoty skrajnie autorytarna. Wydaje się, że nigdy w historii naszej cywilizacji odniesienia pomiędzy Władzą, tym razem pisaną już dużą literą, a tym, co znajduje się poza nią, nie miały tak różnorodnych i skomplikowanych społecznie, politycznie i medialnie relacji. Każda próba uchwycenia tych zależności ma zatem charakter wycinkowy i niepełny, co nie oznacza, że nie należy jej podejmować, ponieważ brak pogłębionej intelektualnie refleksji oraz uśpienie naszej czujności względem zakusów coraz bardziej rozwielnionej i brutalnej, dysponującej często ogromnym przemocowym aparatem Państwa Władzy mogą doprowadzić nas do całkowitego uzależnienia od niej, a w rezultacie do nowej formy niewolnictwa, na które jeszcze możemy próbować się nie zgodzić, bowiem, jak pisała o tym Susan Sontag (podaję za esejem autorstwa Moniki Braun): „Przemoc uprzedmiotawia wszystkich, którzy są jej poddawani”.

W poprzednim numerze naszego „Formatu Literackiego” zastanawialiśmy się nad trudnymi i najczęściej opresyjnymi związkami owej Władzy z jakże kruchym i nietrwałym ludzkim ciałem, będącym w tym przypadku metaforą poszczególnego istnienia, indywidualności przeciwstawianej systemowi niszczącemu ową indywidualność, jednostki wobec totalitarnej, skrajnie poddanej nakazom aktualnej władzy ludzkiej masy. Ostatnie lata uświadamiają nam, że władza dążąc do absolutnego przejęcia „rządu dusz”, potrafi zręcznie się ukrywać poza hałaśliwymi szyldami reprezentowania ludu, narodu, społeczeństwa, zawsze pozornie w naszym imieniu i dla, jak twierdzi, naszego dobra. Ubiera się też w szaty demokracji, udając, że nie wie, iż owa demokracja współcześnie to najczęściej wynik umiejętnego manipulowania poprzez media oraz instytucje takie jak Kościół informacjami niepodlegającymi żadnej weryfikacji, nie mówiąc już o jakiegokolwiek zawartej w nich dozie prawdy. Stąd dążenie każdej zmierzającej ostatecznie ku totalitaryzmowi Władzy do jak najstabszego wykształcenia szerokich mas ludzkich oraz do realizowania rozpoznanej przez rządzących już w starożytnym Rzymie zasady „panem et circenses”, czyli dostarczania ludowi nieskomplikowanej rozrywki oraz zaspokajania w miarę możliwości jego elementarnych potrzeb życiowych. Dochodzi też do utożsamienia prawa do sprawowania Władzy już nie tyle, jak niegdyś, z sankcją religijną czy dynastyczną, ale z pozornie demokratycznym głosem większości, którym jest dzisiaj dzięki współczesnym mediom niesłuchanie łatwo sterować, tym bardziej że owa Władza jest pozornie po stronie Porządku, a nie otaczającego nas Chaosu, po stronie obrony naszych uporządkowanych przez nią praw, a nie anarchii prowadzącej do

upadku, jak się to często przedstawia, społeczeństw i całych cywilizacji. Niestety, jak pisała o tym Hannah Arendt: gdy „wolność i władza biorą rozbrat, zaczyna się fatalne utożsamianie władzy z przemocą, polityki z rządem, rządu ze złem koniecznym”, a ja dodałbym tu jeszcze, co łatwo jest zauważyć ostatnio w Polsce – wiary z religią i religii z instytucją Kościoła będącego od wieków nie tylko jej filarem, ale też przede wszystkim obrońcą własnych, najczęściej mocno merkantylnych interesów.

Jak zatem możemy się odnaleźć w tym labiryncie często sprzecznych dążeń i pozornych wartości? Utwory literackie zamieszczone w kolejnym numerze „Formatu Literackiego” próbują zakreslić panoramę potencjalnych odpowiedzi, które znajdując się pod presją aktualnych wydarzeń politycznych, muszą przynajmniej w części zachować szlachetną prostotę i spokojną powagę przynależną od wieków wybitnym dziełom sztuki. Tym bardziej że opisanie mapy obejmującej szczyty, doliny i przepaście władzy wymaga bardzo uważnej refleksji, którą rozpocząć możemy od opisu zdarzeń pozornie zwyczajnych, będących prądem wszelkiej uzurpacji władzy wobec naszego „ja” (teksty Moniki Braun, Waldemara Okonia, Andrzeja Saja), poprzez klasyczne opowieści o politycznej przemocy (Miroslaw Drabczyk), do pogłębionych intelektualnie esejów traktujących problem władzy w kategoriach niemoralności i kłamstwa (Tadeusz Złotorzycki) lub ukazujących ją w zwierciadle sztuki, dla której może być zarówno mecenasem i dobroczyńcą, jak również surowym cenzorem czy wręcz ostatecznie katem (Piotr Jakub Fereński, Bogusław Jasiński, Tomasz Kłusek, Janusz Krupiński, Piotr Mras). Nie zapominamy też o boskiej omnipotencji oraz o paradoksach związanych z religijną wykładnią władzy sprawowanej przez Boga w trakcie stwarzania przez Niego świata (Krzysztof Rudowski), jak i o bardziej przyziemnych jej aspektach (tekst Bogusława Klimsy o Janie Kaczmarmku).

I na koniec kilka słów o poezji zajmującej w tym numerze „Formatu Literackiego” niezbyt rozbudowane, ale moim zdaniem bardzo znaczące miejsce, ponieważ to poezja stwarza świat i w niej mieści się jego istota, której ujawnienie nie zawsze jest dla kolejnych emanacji Władzy nazbyt pochlebne. Towarzysząca bowiem poezji, poczynając od XIX wieku, nuta anarchii sprawia, że jest ona często w kontrze wobec utartych schematów myślenia bliskich rządzącym, którzy usiłują swoją uzurpację ukryć pod płaszczykiem ustawianego przez siebie prawa i tak zwanej demokracji przeistaczającej się w dzisiejszych czasach najczęściej w prymitywną i zadufaną w sobie ochlokrację. Jak pisał o tym F.A. Hayek (podaję za studium autorstwa Tadeusza Złotorzyckiego): „Przez danie rządowi nieograniczonej władzy najbardziej samowolne rządzenie może być prawne; i tym sposobem demokracja może ustanowić najbardziej kompletny, aż niewyobrażalny despotyzm”. Jeżeli dołączymy do tego ogólną infantyлизację społeczeństw oraz jakże częstą nieznamość nawet najbliższej nam historii, może dojść do sytuacji opisanej w wierszach Adama Liza-kowskiego, gdzie totalitaryzm komunizmu zamienia się w nazwy nadawane pizzy w pizzerii w San Francisco, emigranci piszą na nowo proletariackie manifesty, a Bóg kapitalizmu przemawia do nas poprzez śledcze i celne kwestionariusze. Pojawia się – jak w cyklu wierszy Roberta Gawłowskiego – postać Boskiego Uzurpatora, który „osobiście wydaje instrukcje/ by doskonale zestroić rozstrajanie/ ustroju i rozstrajanie umysłów/ wszystkich niepokornych/ mieszkańców prowincji”, a jego

słowa „stają się ciałem/ Dawni bohaterowie zostają zbrodniarzami/ dawni zbrodniarze – bohaterami. Białe jest czarne. Czarne jest białe/ Honor – infamią. Infamia – honorem”, dzięki czemu „Boski Uzurpator, Komitet Parafialny i namiestnicy/ dokonują Wielkiej Sanacji Historii”.

Mam nadzieję, że demonowi władzy, wywiedzionemu z pism Orwella i fantazji Tolkiena, dokonującemu obecnie nie tylko w Polsce Sanacji Historii nie uda się do końca nas pokonać oraz „uwolnić od rozumu, poddać się i oddać się jedynie/ prostym impulsom i prawdom-nieprawdom”, czemu służyć ma również naocznie materiał ilustracyjny „Formatu Literackiego” użyczony nam przez twórców z Ukrainy, walczącej od kilku już lat „za wolność waszą i naszą”. Dlatego przytoczę jeszcze jeden fragment wiersza, tym razem autorstwa Mariana Kisiela, w którym czytamy:

Czym jest moc?
Że ulegnę,
umknę przed naciskiem,
będę płakać?

Może w dniu,
który okrywa kwiatami cały świat,
nic nie znaczy moje poniżenie?

Jeżeli gdzieś się odnajdę,
to może w tym wąskim przesmyku,
gdzie nasze uśmiechy spotykają się,
nie rozpoznając.

→

Daria Khrisanfova, *Dom w Tobie*, markery akwarelowe
i cienkopis na papierze, artbook, 20 × 20 cm, 2025



ADAM LIZAKOWSKI

Bar Pizza Proletariat, czyli najlepsza pizzeria w San Francisco

Nie wiadomo, co sobie myślą dzieciaki zamawiające pizzę w barze Pizza Proletariat, wychowane na drugim końcu galaktyki, gdzie kosmiczne burze i śmierć milionów ludzi w miejscach, o których one nigdy nie słyszały, przenika promieniem kosmicznym miliony ludzi, którzy tam wciąż żyją z pokolenia na pokolenie.

Bar Pizza Proletariat,
gdzie młode Rosjanki, córki lub wnuczki
partyjnych komunistycznych działaczy wyrabiających
po 200% normy w hutach i kopalniach, stoczniach

Pizza im. Rewolucji Październikowej:
w niej jest wszystko, i kiełbasa, i pepperoni,
szynka i wołowina, papryka i tuńczyk,
pieczarki i cebula, dużo pomidorów i czosnku,
a jej podstawą jest ser mozzarella, przyrządza się
ją na cieście drożdżowym

Pizza Nadieżda Krupska:
to przysmak dla dzieci i młodzieży, ananas z szynką,
śliwka z kurczakiem, a to wszystko na przepysznym serze

Pizza Feliks Dzierżyński:
dużo cebuli, kiełbasa, szpinak, wszystko w sosie pomidorowym

Pizza Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich:
tuńczyk, cebula, oliwki, kukurydza,
czosnek, pieczarki, ser i kukurydza

Pizza Dyktatura Proletariatu:
dużo sosu pomidorowego, pieczarki i czarne oliwki,
kukurydza i cebula, szpinak i papryka, i szpinak

Pizza Międzynarodówka Komunistyczna:
pizza wegetariańska, ser, papryka, kukurydza, pieczarki,
grosze i fasola, może być też ze szpinakiem i oliwkami

Pizza Rady Delegatów Robotniczych:
szynka lub kurczak, krewetki lub tuńczyk, papryka,
ser, duża ilość sosu pomidorowego

Pizza Rady Delegatów Żołnierskich:

kurczak, oliwki, papryka lub chili, boczek lub szynka, może być też i kiełbasa, wiadomo ser

Pizza Rada Komisarzy Ludowych:

kiełbasa, czosnek, brokuły, papryka, kukurydza, kurczak, ser, dużo sosu pomidorowego

Pizza Aurora:

o grubym spodzie; na górę kładziemy pieczarki, cebulę, paprykę, salami, ser mozzarella, można posypać oliwkami lub bazylią

Pizza Armia Czerwona:

jajka, cebula, sos pomidorowy, bazylia, czosnek, papryka, anchois, tuńczyk, ser żółty

Pizza Gułag:

dla małych dzieci;
ser żółty, kurczak lub salami, ananas lub brzoskwinia, śliwka, papryka, rodzyнки, sos pomidorowy

Pizza Sowiecka Prawda:

szynka, pieczarki, papryka, cebula, oliwki, oregano, może być z kukurydzą lub groszkiem zielonym

Pizza Proletariusze wszystkich krajów łączcie się:

sos pomidorowy, dwa gatunki serów plus sześć różnych składników

Na życzenie klienta

pizzę rozwożą pracownicy pizzerii bezpłatnie do 10 mil w gumowych maskach ideologów socjalizmu i komunizmu; Lenin, Stalin, Marks, Engels, napiwki mile widziane. Młodzi Kalifornijczycy nie doznali bolesnego doświadczenia wojny i rewolucji, tych skrajnych sytuacji, gdy człowiek odkrywa zarówno swoje możliwości, jak i granice, co czyni te doświadczenia niezwykle ważnym źródłem wiedzy o ludzkiej naturze i świecie.

Dla stałych klientów – bezpłatne T-shirts ze zdjęciami wyżej wymienionych ideologów...

A teraz zbliż swą twarz do mojej, młody przyjacielu

Chcę cię ucałować, spojrzeć w twoje oczy

Był przyjacielem Noriegi*

Skąd dzwonisz?

Z więzienia!

Tak.

Dlaczego do mnie dzwonisz, przecież ostatnim razem potraktowałeś mnie jak zużyty kondom?

Wiedziałaś, że nie mogłam utrzymać się tylko z prostytucji, dlatego kradłam... bo wciąż cię kocham...

dla mnie jesteś śmieciem gorszym niż alfons...

przypomnij sobie czasy, gdy kurwy i kelnerki

mówiły do mnie proszę pana...

dostałeś karę śmierci czy dożywocie...

dożywocie...

I teraz do mnie dzwonisz chyba z nudów...

Wciąż cię kocham

Ale ja już nie kocham tego agenta

CIA i dealera koki, co grał na nosie Ameryce,

a mafii narkotykowej grał na nerwach i brał dolary

od jednych i drugich, i prał je w wodzie święconej,

i suszył je w ogrodach fundacji wspierających biednych

– ten nasz pocziwy Jose Rodriguez – mówił prawdę

wtedy, kiedy nie kłamał albo nie zmyślał

– był trzeźwy czy pijany – raz podawał się

za Panamczyka, kiedy indziej, że był

z El Salvador, to znowu, że urodził się

w Nikaragui – w sumie od wczesnego

dzieciństwa był nikim i wtedy, gdy

boso doszedł do granicy z USA

i zjadł pierwszego hamburgera, i po raz

pierwszy w życiu był właścicielem butów,

i gdy po raz pierwszy dymał białego chłopca,

w dodatku blondyna, to słyszał trąby anielskie,

też był nikim – emigrant nie wiadomo skąd,

przybłęda – alkoholik udający nie wiadomo

kogo – mówił o sobie – jestem ważnym

świadkiem historii

* Manuel Antonio Noriega Moreno (ur. 11 lutego 1934 r. w Panamie, zm. 29 maja 2017 r. tamże – panamski generał i prawicowy polityk). W latach 1983–1989 sprawował w Panamie władzę autorytarną jako wojskowy przywódca oraz samozwańczy „Najwyższy Przywódca Wyzwolenia Narodowego”. Oskarżony o handel narkotykami, został skazany w 1992 roku na 40 lat więzienia, choć wcześniej był agentem CIA.

mieszkał w starym garażu i spał na wytłaczankach po jajkach
– miał szczęście, skończył na AIDS
w San Francisco General Hospital

Bóg kapitalizmu przemawia

San Francisco na krawędzi dwóch płyt...
sprawia wrażenie niezależnego
wyzwolone od pruderii
krok od anarchii
w każdej sekundzie może wpaść
pomiędzy płyty tektoniczne
jak śliwka w kompot
który ma określony okres spożycia

to tutaj stanął twarzą w twarz z prawdziwym
kapitalizmem, przestał być komunistyczną
marionetką, z czasem poczuł się jak
manekin sklepowy postawiony na wystawie
wstydzący się swojej nagości

bóg kapitalizmu pyta: Where are you from...
Poland... gdzie to jest...
gdzieś w dzikim miejscu na globusie
gdzie całuje się po rękach
albo w rękę przy powitaniach
i pożegnaniach, klepie się po plecach
i zapowiada pożegnania przez trzy godziny
i wciąż się jest za stołem, bo jeszcze
ze szwagrem się nie stuknęło
gdzie pieśni jakoś to będzie, jakoś się dogadamy
są na melodie mazurków Chopina

bóg kapitalizmu pyta: Where are you from...
...na mapie przypomina to tyłek nastolatki
gdzieś blisko Związku Radzieckiego
wielkiego jak piersi kobiety
na twarzy której można doszukać się
śladów dużej urody...

Ma lodówkę i WC

Na przesłuchaniu u oficera śledczego
który tylko raz w tygodniu mył nogi
dostał po mordzie za kupno świńskiej głowy
z nielegalnego uboju (salceson marzenie)
pomyślał sobie, że to pomyłka
ideologiczna, chociaż też tylko
raz w tygodniu mył nogi...
wyjechał po szynkę, perfumy
papier toaletowy, lepiej płatną pracę
źle się na emigracji czuje, wszędzie pachnie
ma łazienkę z wiatrakiem
nie wie stękać czy nie stękać
ale odkrył, że do szczęścia
smrodu mu brakuje
drewnianej budki ubikacji
koło starej gruszy
z wyciętym sercem w drzwiach
przez które obserwował teren
podczas walenia konia
to wskutek braku grawitacji
i niepewności, jak zareagują władze
na stękanie i gdyby wrócił
czy dostałby raz jeszcze po mordzie



Olena Matoshniuk, *Bucza* (awers), z cyklu *Pocztówki*, olej na płótnie, karton, 10,5 × 15 cm, 2022

Manifest emigrantów

Widmo krąży po Europie Ameryce Afryce
– widmo emigranta
emigranci wszystkich krajów łączcie się!

Rzeczywistość niczego dobrego nie wróży
znaczenie wyobraźni i snu maleje
rzeczywistość jak kamień u nogi nie
pozwala na podróż odetnijcie ją
odetnijcie
tłący się ogień w modłach o dobrą pogodę
nie daje wielkiej nadziei ale warto ryzykować
pieniądze stały się fikcją impulsem elektrycznym
złote krople płaczącego słońca zawsze
będą przedmiotem głodu pożądania
które jest niezniszczalne
złote monety przechodzą z rąk do rąk
jak ziemia i fabryki a wraz z nimi robotnicy
i chłopci stający się z czasem emigrantami
oni nie chcą się już bać o swoje życie
chcą się więcej pieprzyć i mniej dawać
się okradać coraz to bardziej chciwym
bankierom oni są tymi co patrzą
na emigrantów oczami nienawiści
oddychają płucami emigrantów trawią
ich brzuchami szepczą do ich uszu ustami
emigrantów gryzą ich zębami
(please forgive me my brutal words)
nie chcą się przyznać chcą ruchać żony dziewczyny córki
emigrantów nie chcą pozwolić innym się bogacić
stają się coraz to bardziej bogatszymi faraonami
współczesnego kapitalizmu

Niech zabrzmiały bębny i trąby emigrantów
– nie chcemy żyć poniżej granicy ubóstwa

Mieszkańcy Ziemi obudźcie się
nie wierzcie w deszcz studolarówek
stańcie twarzą w twarz z ludźmi
którzy was okradają w biały dzień
emigranci już czują jak ziemia się
trzęsie jak zwierzęta uciekają...
władcy niewolników popijają herbatę

w salonach a wy nie buntujecie się
nie sarkacie na niesprawiedliwość społeczną
na kanapie przed gównianym telewizorem
z piwem w ręku niszcząc życie własne
życie swoich rodzin
(please forgive me my brutal words)
wiersz też będzie gównem warty
jeśli nie będzie zębami gryzącymi
sumienia bólem ściskającym serce
jeśli nie będzie pięścią walącą po
pyskach śpiących drzemiących
mieszkańców naszej planety
wierszem zabijającym lenistwo
wierszem kulą karabinową
wierszem kluczem do sejfów
bankierów i właścicieli każdej
sekundy i oddechu naszego życia
pieprzyć wiersze emigrantów jeśli
nie są przydatne tak jak chleb jeśli nie
są balsamem na skołataną myśl
maścią miłości na sutki kobiece
jeśli nie zachęcają do walki z armią policji
i żołnierzy jeśli nie są ogniem podłożonym
pod biurka urzędników i krzesła rozgrzane tyłkami
członków zarządów jeśli nie są językiem
który rozbiera do naga bez żadnego wstydu
tych co nie mają wstydu ani honoru
jeśli nie są poręczą na schodach
kongresmenów i senatorów do Białego Domu
jeśli to jest kolejny zły wiersz krzyczący
rozpaczliwie jak Żyd w komorze gazowej
bez żadnych szans na ocalenie życia
pamiętajcie...

Widmo krąży po Europie Ameryce Afryce
– widmo emigranta
emigranci wszystkich krajów łączcie się!

→

Igor Bilykivski, *Odpłata*, kolorowe cienkopisy na papierze, 32 × 22 cm, 2023



Т. Гринибецкая 2023

Zapiski o hodowli władzy

Patrzcież, abyście nie wzgardzali jednego z tych małych¹.

*Któż chce dowiadywać się, że prawda jest rebelią umysłu
zwracającego się przeciw swojemu użytkowemu powołaniu?²*

Moje najwcześniejsze wspomnienia nasycone są wolą wyrwania się spod kurateli, choćby była ona jak najbardziej potrzebnym wsparciem, pomocą, jak wtedy, gdy dzięki maminej ręce uczyłam się chodzić. Rękę podobno szybko odepchnęłam, sprowadzając na siebie mniejsze i większe wypadki, a także i później często odnosiłam rany na ciele i duszy powodowana wyłącznie niechęcią do polegania na innych. Pamiętam okropną wściekłość, gdy ktoś lub coś stawiało mi na przeszkodzie w drodze ku realizacji własnych pomysłów, często głupich, wściekłość, która zalewała mnie jak kipiące mleko, które tak łatwo wydobywa się spod pokrywki pod wpływem temperatury. Mam w pamięci mnóstwo takich sytuacji. I tę specyficzną substancję gniewu, poza którą nie czuję już nic. Może trzyletnia, siedzę przy wspólnym stole podczas rodzinnych wakacji i kruszę ciasto drożdżowe podane na deser do herbaty. Czemu? Nie wiem, bo skądinąd raczej nie miałam destrukcyjnych skłonności. Pewno akurat się nudzę albo eksperymentuję z materią. Prośba, a potem nakaz zaprzestania inkryminowanej czynności, wydany przez Marka, mego wuja, wywołuje we mnie nieokiełznaną wolę stawienia oporu, więc metodycznie rozdrabnam ciasto dalej, poza tym zachowując zewnętrze wciąż skontrolowaną formę. Jeszcze dziś, po dekadach, wyraźnie widzę i doznaję siebie siedzącej nad deskami stołu i okruchami ciasta, czującej, że jestem w jakimś amoku. Zostaję za karę wyrzucona z jadalni. Wychodzę, bo muszę, bo Marek używa głosu surowego, nieznoszącego sprzeciwu, nie sili się nawet na argumenty, jestem mała, nie mam jak się bronić, to rozwściecza mnie tym bardziej, atak białej gorączki trwa. Eksmitowana, siedzę potem samotnie i długo nie odczuwam nic poza dziką furią. Planuję, co zrobię, kiedy wreszcie będę duża i wyzwolę się z ich, czyli dorosłych, przemocy.

Bo cieniutka jak włos jest granica między władzą a przemocą, między wychowywaniem a sztorcowaniem, między uczeniem a tresowaniem, pomaganiem

¹ Ewangelia wg św. Mateusza 18, 10 w tłumaczeniu Jakuba Wujka.

² Czesław Miłosz, *Osobny zeszyt*, [w:] *idem, Poezje*, t. 3, Paryż 1982, s. 66.

a wykorzystywaniem, między mówieniem komuś prawdy (cokolwiek to znaczy) a dyskredytowaniem go. Przynajmniej na początku. Prawdopodobnie wszyscy kiedyś balansowaliśmy nieświadomie na styku dwóch osobowości: tej życzliwej i zatroskanej dobrem osoby zależnej od nas i tej paternalistycznie dyrygującej nią, wciąż jednak jakby w imię jej dobra. Nasze role społeczne, nawyki ukształtowane przez rodzinę, grupę społeczną, wykonywany zawód, obyczaje kraju urodzenia oraz bezlik innych uwarunkowań sprawiają, że w najlepszej wierze stajemy się często ciemieżcami, despotami i dręczycielami. Niebagatelną rolę mają tu też osobnicze skłonności, a nawet wykształcenie. Ci, którzy wiedzą lepiej, a przynajmniej tak im się zdaje, sprawniej argumentują, precyzyjniej dobierają słowa, a przy tym są pewni siebie tak z wrodzonego temperamentu, jak i formacji kulturowej, czują przyzwolenie, by instruować innych, pokazywać im właściwe modele postępowania, kształtować ich poglądy, być jednym słowem światłymi przewodnikami małuczkich.

I pewno nie byłoby w tym nic aż tak nagannego, przecież w ten sposób buduje się ład społeczny, tak konstruuje się hierarchie będące gwarantami wzajemnych świadczeń, jakże zresztą bez dzielenia się wiedzą i doświadczeniem wychowywałoby się dzieci, szkoliło pracowników, organizowało przedsiębiorstwa i instytucje, rządziło państwami, jakże... gdyby nie to, że niechcący, nieznacznie, niezauważalnie przekracza się granicę i wchodzi do krainy, w której innemu odbiera się wyróżniającą go i nobilitującą *Inność*, tak że staje się on własnością, obiektem treningowym, eksperymentalnym laboratorium czyichś pragnień, wyobrażeń i socjotechnik, narzędziem do pozyskiwania rozmaitych dóbr. Nie kimś, lecz czymś, bo „przemoc uprzedmiotawia wszystkich, którzy są jej poddawani”³, co chętnie powtarzam za Susan Sontag.

Im bezradniejszy, słabszy psychicznie czy fizycznie osobnik, im gorzej idzie mu wyrażanie językiem i ciałem własnych dążeń, skłonności i upodobań, tym swobodniej można go wspierać w jego wyborach i decyzjach, w formułowaniu myśli, korygować jego błędy – wyręczać, zastępować, naprawiać go jak wadliwe urządzenie, a w końcu eliminować jako podmiot działań i czynić ich przedmiotem. Tymi słabszymi bywają dzieci i kobiety (osobnicy niepełni, w stadium wypoczwarczania się w „prawdziwego człowieka”), obcokrajowcy (z definicji pozbawieni wielu komunikacyjnych kompetencji), nieelokwentni (brak językowej precyzji i płynności wypowiedzi lokuje w społecznej „ośleń ławce”), ludzie starzy (wolniejsi myślą i czynem), garbiący się (postawa cielesna, brak urody, jakiś defekt pozycjonujący łatwo na takiej straconej pozycji), tak zwany margines społeczny – wszyscy, w których wyczuwa się kruchość i niepewność mogą stać się adresatami odbierających niezawisłość zabiegów naznaczonych skrywanym protekcyjnalizmem i ubraną w płaszczyk życzliwości wyższością, zazwyczaj kształtującymi się jako postawa poza horyzontem autorefleksji. Jakby cudza słabość była tym, czym jest krew ofiary dla zwierząt – quasi-afrodyzjakiem wzmagającym krwiożercze instynkty.

I bynajmniej nie mam na myśli sytuacji specjalnych, nie odnoszę się do czyjejś hipokryzji, dwulicowości, oschłości czy braku dobrych manier. Nie mówię o psychopatach, okrutnikach i despotach, a przynajmniej nie tylko. Rozważam nasz,

³ Susan Sontag, *Widok cudzego cierpienia*, przeł. Sławomir Magala, Kraków 2016, s. 19.

jak najbardziej szlachetny i nacechowany opiekuńczością stosunek do własnego potomstwa i współmałżonków, naszych rodziców i dziadków, ciotek, wujów i podwładnych, od których, jak nam się zdaje, wiemy lepiej, umiemy więcej, orientujemy się szybciej, co często jest nawet prawdą, pozostaje jednak wciąż kwestią otwartą, jak owe swoje przewagi lokujemy w komunikacyjnej substancji, jakie wyciągamy z nich wnioski – znów, nie na poziomie świadomym, ale intuicyjnie niejako dopasowując nasze działania do ich, tych mniej udanych, rzeczywistego czy wymaginowanego deficytu, słabości, specyfiki, redukując często nasze pojęcia o kimś do owego braku właśnie. Przecież to tylko dziecko, mówi się i myśli, jest stara i kiepsko słyszy, ma słabe wykształcenie i nie rozumie. Utwierdza się przy tym w dobrym o sobie mniemaniu, robiąc dzieciom prezenty, kupując staruszkom ciastka, organizując imprezy okolicznościowe dla pracowników i szczególnie fetując panie sprząające, którym na dodatek oferuje się politycznie poprawną nazwę, by broń boże nie okazało się, iż wie się, że sprząają cudze śmieci. W większej skali pomaga samopoczuciu rozdawanie jałmużny, przedsięwzięcia charytatywne, akcje dokarmiania dzieci w szkole, świąteczne paczki i mnóstwo innych podobnych. W jeszcze większej skali mieści się pomoc społeczna, Food and Agriculture Organization (FAO) albo United States Agency for International Development (USAID) oraz inne podobne a szlachetne organizacje, w których zasada redystrybucji i idące za tym zasadniczo kompletne oddzielenie biorcy od dawcy w swej idei czyni pomoc i dobroć fantazmatem poprawiającym sen zamożnym Europejczykom i Amerykanom, uobecnianym niekiedy tylko już to zdjęciami pyzatyh afrykańskich dzieci, już to ich mniej szczęśliwych pobratymców, z których zostały tylko olbrzymie oczy i trochę kości. Wzruszać i cieszyć albo łamać serce, rozczulać do łez w każdym razie – to częsta i bywa że jedyna dla niektórych płaszczyzna kontaktu z bliźnimi. Słodczyj tej czułościowości znieczula na mającą ciało prawdę nieszczęścia i poniżenia.

Te ostanie formy bezosobowego wsparcia i bezcielesnej litości są jednak tylko hipertrofią zjawiska, które w mniejszej skali nie wydaje się takie problematyczne, tak narażone na nadużycia, w znacznej mierze oderwane od realnych związków międzyludzkich. Mnie jednak bardziej interesuje skala mikro, sytuacje będące hodowlą władzy i przemocy w różnych jej postaciach, świat dotykalny, mający swój zmysłowy i emocjonalny pejzaż. Tak bliski, że w ogóle nie postrzega się go jako pożywki związków i relacji wzrastających na gwałcie ukrytym pod innymi nazwami, bezprawiu legitymizowanym rzekomym interesem jego przedmiotów. To z tych małych zdarzeń interakcyjnych, dziejących się przy rodzinnym stole, w dziecinnym pokoju, w klasie lekcyjnej i biurowym gabinecie wyłania się teatr nikczemności z olbrzymim zespołem i sztafażem oraz często świetnym systemem finansowania, przenoszący się potem za dyrektorskie biurka, do siedzib ministerstw, parlamentów i naturalnie do mediów. Barwna, zmienna i migotliwa inscenizacja tych ostatnich cudownie przemienia zło, głupotę i podłość w jeszcze jeden serial, odbierając ukazywanym sytuacjom pozór realności. Dystans i sztuczność uniemożliwiają moralną kwalifikację czynów, zaprzepaszcza szansę oburzania się czy współczucia, umieszczają ludzi i to, co im się przydarza, poza zasięgiem jakiegokolwiek wpływu wbrew złudzeniu, że sieć zbliża nas wzajemnie. Pokazowe a efemeryczne akcje oburzania się i litowania są przeważnie tylko jeszcze jednym spektaklem popra-

wiającym emocjonalny balans rzeszom mieszkańców internetu. „Cyfrowy świat jest ubogi w inność i jej zdolność oporu”⁴, powiada Byung-Chul Han, bowiem nawet najświętsze uczucia takie jak właśnie współczucie czy cierpienie przeistaczają się w nich w news, mem, polubienie, emotikon, hasztag i podobne ekspresowe formy wyrażania opinii. Ponieważ niepostrzeżenie zaciera się granica między prawdą cyfrową a prawdą życia, ludzkie doznania ulegają atrofii, tak jak i wyczulenie na osobisty ból. Znekany człowiek niewiele się teraz różni od swych wirtualnych replik, a te są przecież już tylko statystyką, falsyfikatem realu. „Rzeczywistość abdykowała. Istnieją tylko przedstawienia: media”⁵.

Och, jakże bardzo trzeba więc patrzeć samemu sobie na ręce, by nie zawłaszczyć suwerenności *Innego* budzącą współczucie fotografią, graficzną pigułką smutku, gifem, którego zapętlenie dewaluuje jego treść, obscenicznością bólu stającego się już tylko rozrywką podglądacza, ową naskórkowością cyfrowo generowanych wrażeń, a w realu – spojrzeniem, intonacją głosu, gestem, fizyczną, dominującą bliskością lub odwrotnie: dystansem, a także doborem słów, mimiką, prezentem, datkiem. Takich taktyk, okrytych woalem życzliwości, miłosierdzia i troski, jest nieskończenie wiele. Są wśród nich jeszcze: nieuważne słuchanie (przecież się spieszę), niezadawanie pytań (przecież wszystko już wiem), brak skupienia (och, jakież ważne sprawy chodzą mi teraz po głowie). Jednakowoż stosowane subtelnie, z wycuciem i dobrą intencją pozwalają obu stronom wierzyć, iż ich wzajemna relacja w najmniejszym stopniu nie jest asymetryczna, a przeciwnie, pozwalają sądzić, że ich porozumienie jest dobre, a sumienie czyste. No, chyba że ten zredukowany osobnik okaże się oporny, tak jak ja nad drożdżowym ciastem, przeczulony na punkcie swojej godności, będzie miał nadwrażliwe *ego*.

Rzecz w tym, że stosowanie takiej przewagi nad innymi działa jak narkotyk. Jedno nieuważne spojrzenie, jedno zwycięstwo osiągnięte lekko podniesionym głosem, jedna ubrana w poprawne formy reprimenda i już, najpierw ukradkiem, a potem jawnie, kradnie się kolejne fragmenty kogoś – jego osobności, intymności, zawstydenia, poczucia godności. I już wie się, że można, rośnie się w siłę, zyskuje pewność. Podnosi się głos, niekiedy rękę, poprawną fizis zamienia się w twarz surową i karzącą. Rządzi się innym. Zdobywa się władztwo nad jego reakcjami. (Nie przypadkiem na pustyni szatan kuśił Chrystusa władzą, wszechmocą i posiadaniem, wiedział, co w kategoriach ludzkich jest przedmiotem pożądania). Drobne, prywatne gesty stają się modelami gestów publicznych, które z rodziny przenikają do pracy, z pracy do organizacji, z organizacji do polityki. Zabawki zabrane młodszemu rodzeństwu, bo przecież nie umie się ono nimi posługiwać, przeistaczają się później w kamienice zabrane miastu, a te z kolei w podbijane terytoria. Wolność finansowa odebrana kobiecie, bo nie potrafi przecież zarządzać ekonomią domu, daje asumpt do odbierania jej całym społeczeństwom. Swoboda poruszania zabrana staruszce, zresztą w imię jej bezpieczeństwa, skutkuje łatwością stosowania ograniczeń w poruszaniu się obywateli i całych nacji. Na początku przypisuje się temu

⁴ Byung-Chul Han, *Spółeczeństwo wypalenia*, [w:] *idem, Spółeczeństwo zmęczenia i inne eseje*, przeł. Rafał Pokrywka, Warszawa 2022, s. 68.

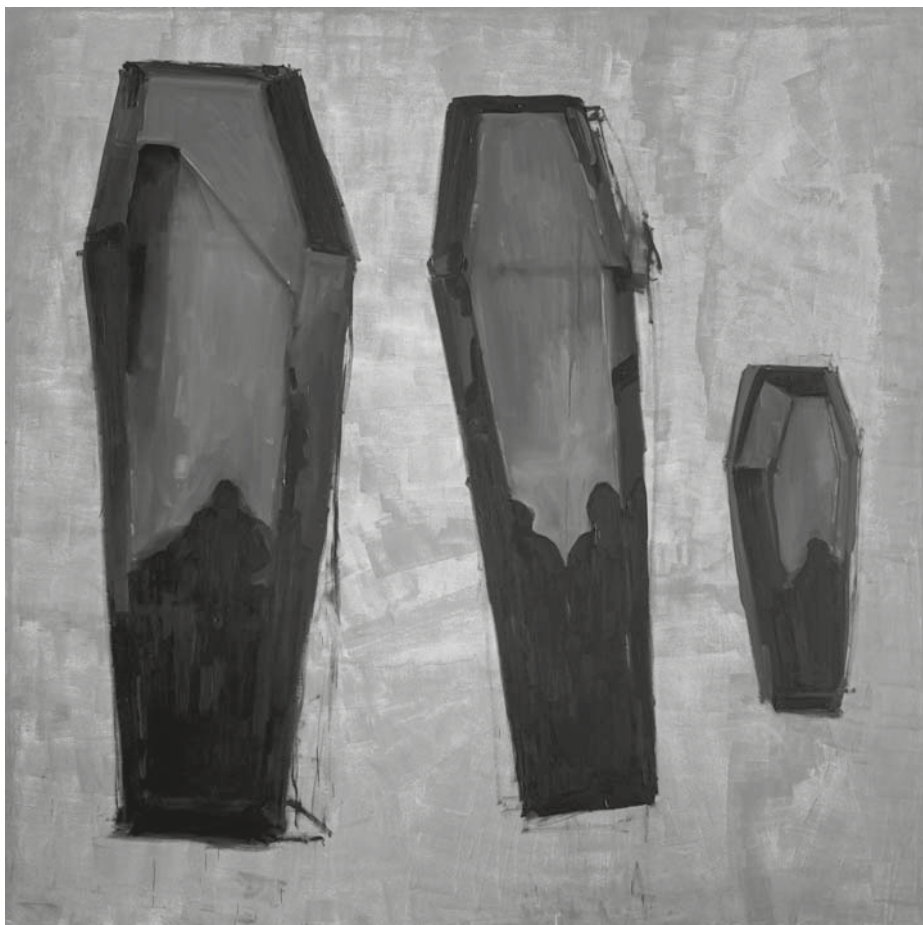
⁵ Susan Sontag, *Widok...*, op. cit., s. 130.

jakiś sens i użyteczność, potem i uzasadnień już nie trzeba. Eksperymenty Stanleya Milgrama i Philipa Zimbardo, o których każdy myśli: „No, ja bym mimo wszystko nie dopuścił się takiej przemocy i okrucieństwa”, są skondensowanymi prezentacjami tego, do czego zdolny jest człowiek. Każdy – ty i ja. Podobnie jak nazizm, stalinizm i inne systemy fundowane na przekonaniu, iż „wie się lepiej”, a głupim i maluczkim należy wskazać właściwe sposoby postępowania. Jak powiada Hannah Arendt, gdy „wolność i władza biorą rozbrat, rozpoczyna się fatalne utożsamianie władzy z przemocą, polityki z rządem, rządu ze złem koniecznym”⁶. Jednak w mniejszej skali wszyscy mamy na sumieniu jakieś przekroczenia i nadużycia w tej sferze: zbyt pryncypialnie traktowaliśmy własne dzieci, zbyt protekcjonalnie własnych studentów, zbyt nonszalancko przyjaciół i starych rodziców. Bo żyliśmy w przekonaniu, że po naszej stronie jest racja; despotie domowe i państwowe nie różnią się co do zasady.

Z zainteresowaniem obserwuję, jak transformują one swych protagonistów. Ten, kto dostał jakąś władzę, choćby jej odrobinę – pewnie się porusza, używa nieco mocniejszego głosu, nie idzie, a kroczy. To desygnuje go na kandydata do kolejnych ważnych ról w spektaklu społecznej dominacji. Gestykulacja z ciasno przy ciele prowadzonej, niepewnej, oszczędnej staje się szersza, dobitniejsza, artykulacja precyzyjniejsza, oddech głębszy. Niekiedy obniża się nawet głos, jakby proces zyskiwania przewagi nad innymi zawierał w sobie impostacyjne ćwiczenia. Ciało prostuje się i sprawia wrażenie silniejszego. Następuje rodzaj wzrostu na sterydach, przeistaczania się z poczwarki w motyla, z brzydkiego kaczątka w łabędzia – odrzucanie dawniejszego, mniej skutecznego społecznie *Ja* jak wyniki. Taką cudowną niemal przemianę ludzi obok siebie i w mediach ileż razy śledziłam, zdumiewając się przekształceniu czyniącemu z nich kogoś innego – wezbranego godnością, nadającego ton sytuacjom, władczego, jako bonusem do tej metamorfozy obdarzonego także swego rodzaju licencją na komenderowanie tymi, którzy nie doznali łaski takiej przemiany.

Zarówno literatura piękna, jak i brukowce wypełnione są po brzegi przykładami nadużywania władzy wobec słabszych – komenderowania i manipulowania nimi, rozstawiania po kątach i wykorzystywania. Wszystkie te dręczone dzieci, kobiety i starcy, wszystkie te narody i plemiona usiłujące podporządkować sobie inne narody i plemiona, wszystkie te rasy i różne wcielenia tak zwanej ludzkości, które te pozostałe chcą ubezwłasnowolnić – poruszają, są sensacją, budzą święte oburzenie, niekiedy dają powód do zmiany praw lub zawiązywania akcji pomocowych – jednak powszechność zjawiska odbiera mu wagę. Nie ma w nim wyjątkowości wystarczającej, by rzeczywiście cokolwiek dało się zmienić. Myśli się: jest trudno, przykro, ale przecież takie bywa życie. Seria plakatów słynnej polskiej kampanii społecznej lat dziewięćdziesiątych *Powstrzymać Przemoc Domową*, na których ukazywana była pobita kobieta i hasło „Bo zupa była za słona”, a także inne ofiary przemocy ze stosownymi napisami, niewiele zmieniła, za to stała się materiałem licznych dowcipów. Pouczanie diatwy szkolnej *Jankiem Muzykantem* czy *Szyzyfowymi pracami* albo *Nędznikami* jest, zdaje się, całkowicie bezowocne,

⁶ Hannah Arendt, *Dążenie do szczęścia*, [w:] eadem, *O rewolucji*, przeł. Mieczysław Godyń, Warszawa 2020, s. 206.



Olena Matoshniuk, *Rodzina*, z cyklu *Granice*, olej na płótnie, 200 × 200 cm, 2023

podobnie jak współczesne próby eliminowania *W pustyni i w puszczy* z listy lektur ze względu na politycznie niepoprawny stosunek do kolorowych. I tak fikcja literacka pozostaje fikcją i nie przekłada się na real.

„Czym jest poezja, która nie ocala narodów ani ludzi?” i czym jest sztuka, która nie jest do tego zdolna? A jednak nie jestem pewna, czy *Antygona* albo *Lord Jim* czy też *Na nieludzkiej ziemi* Czapskiego lub *Ferdydurke*, które to tytuły znajdują także na liście lektur szkolnych razem z *Małą apokalipsą* i *Zbrodnią i karą*, tak zupełnie nie mają wpływu na bieżące wybory i zachowania czytelników, pomimo iż są oni skądinąd również użytkownikami, konsumentami i współtwórcami cyfrowego świata, który zdaje się reprezentować ten prawdziwy, tylko że rozbity na miliardy kawałków jak lustro złej królowej, świata przekonującego ich z jednej strony, że nic nie jest prawdziwe, z drugiej, że wszystko jest dostępne. Ale przecież zdarza się i to prawdziwe, acz nie zawsze dostępne za pomocą kliknięcia; remedia na poważne choroby zwykle są czasochłonne w stosowaniu, wymagają cierpliwości. I choć ukazywanie

sztuki w szkole, która po trosze formowała nas wszystkich, a które samo bywa aktem przemocy, szkoła zaś miejscem opresji lub przynajmniej tak jest nierzadko traktowana przez jej urzędników i klientów, to wiele historii zawartych w nauczanej tam literaturze tworzonej w czasach, „gdy narracje zakotwiczały nas w byciu, gdy przyznawały nam określone miejsce i z bycia w świecie czyniły bycie w domu, gdy dawały życiu sens, oparcie i orientację, to jest gdy życie samo było opowiadaniem”⁷, historii, które snują się jednak dalej w głowach już nie uczniów, a dorosłych, i na kartkach, i między ludźmi jako rozmowa, a także w filmie. Również wiele motywów w malarstwie, rzeźbie i muzyce opowiada o sprzeciwie, o dążeniu do wolności, o próbie wyrwania się i przekroczenia granic, o tym, że można inaczej, wbrew utartym normom, a świat wywrócony na opak, przenicowany słowem, barwą, dźwiękiem czy kształtem odsłania obszary wcześniej nawet nieprzeczuwane. Sztuka niesie tę prawdę, o której mówi Miłosz, że „jest rebelią umysłu zwracającego się przeciw swojemu użytkowemu powołaniu”⁸. Byung-Chul Han dodaje jeszcze, że „sztuka musi ranić, niepokoić, niszczyć, sprawiać ból. Sztuka przebywa gdzie indziej”⁹. A istnieje przecież jeszcze jeden jej aspekt, zaiste rebeliancki w epoce symulaków i symulacji, mianowicie jej sensualna obecność. „Dziś jesteśmy ślepi na magię materii. Cyfrowa dematerializacja świata jest niezwykle bolesna dla [jej] miłośnika”¹⁰ (ja taką miłośniczką jestem), bytujemy w niebycie, ale sztuka niejako przywraca nam zmysły. Nie tylko bowiem obrazy czy posągi istnieją jako rzeczy, dostępne wzrokowi i dotykowi, ale także węchowi, gdy na przykład stojąc w katedrze, oddychamy chłodnym zapachem starego kamienia przesiąkniętego kadzidlany dymem, jest też wokalny aspekt słów w poezji i prozie, wszelkie jego pobudzające zmysłową wyobraźnię i pamięć właściwości, śpiewnie szumiące frazy Słowackiego, rozkołysane walcem Miłosza, i te tętniące Norwida, nie mówiąc o dotknięciu papieru na opuszkach palców, jego woniach i szelestach, są taneczne pасаże *Wariacji Goldbergowskich* Bacha, które słyszę, ale też czuję cielesnie, albo teatralne i performatywne zdarzenia docierające do wszystkich zmysłów, włącznie z kinestetyką i propriocepcją. To wszystko, stając się wehikułem znaczeń, przenosi nas poza nasze ograniczenia i niemożności. A przynajmniej tak się niekiedy dzieje.

„Rzeczy zachęcają nas do wsłuchiwania się rzeczywistość”¹¹. Pewno dlatego również tak dokładnie zapamiętałam tamtą mroczną jadalnię, choć byłam taka mała, i nieoheblowane deski stołu ze złotawymi drobinami ciasta, i głos wuja, i jego oczy za szklami okularów, gdy pochyła się ku mnie karcąco i każe mi wyjść. Nie jestem za to pewna, czy nadużył wtedy swojej władzy dorosłego, czy też w złośliwej intencji wychowania mnie po prostu wykazał zdecydowanie. Zapewne raczej to drugie. Byłam krnąbrna i zabiegi pedagogiczne dorosłych zazwyczaj wywoływały skutek odwrotny wobec ich zamiarów uformowania mnie na podobieństwo innych, grzecznych dzieci, dających tym samym nadzieję, że staną się pożytecznymi

⁷ Byung-Chul Han, *Kryzys narracji*, [w:] *idem, Kryzys narracji i inne eseje*, przeł. Rafał Pokrywka, Warszawa 2024, s. 135.

⁸ Czesław Miłosz, *Osobny...*, *op. cit.*, s. 66.

⁹ Byung-Chul Han, *Spółeczeństwo paliatywne*, [w:] *idem, Spółeczeństwo...*, *op. cit.*, s. 207.

¹⁰ Byung-Chul Han, *Dygresja na temat szafy grającej*, [w:] *idem, Nie(do)rzeczy*, przeł. Marcin J. Leszczyński, Łódź 2023, s. 150.

¹¹ Remo Bodei, *Żywa natura*, [w:] *idem, O życiu rzeczy*, przeł. Alicja Bielak, Łódź 2016, s. 158.

członkami społeczeństwa. Stale jednak byłam w kontrze, stale „szłam na zwarcie”. Żałuję teraz, że marnowałam jedzenie i lekceważyłam obyczaje, że im, dorosłym, było przykro z mojego powodu. No i owo „chodzenie na zwarcie”, acz dziecięce, nie w pełni świadome, odruchowe raczej, też było jakąś wersją wywierania przemocy. Stanowiło, jak myślę, pożywkę dla dalszej jej hodowli. Bo broniąc się przed nią, sami po nią nierzadko sięgamy. Ale... może chodziło mi wtedy o cudowność wilgotnawych, pachnących wanilią okruszków? O ich śliskawą miękkość w odcieniu lipowego miodu? Może okoliczność, że można było postąpić z nimi inaczej, niż to przewidywały zasady dobrego wychowania, była szansą, a nie przestępstwem? I w końcu po co aż takie represje za okruszki? Myślę, że w tamtej chwili Marek bezrefleksyjnie naśladował rygorystyczny model własnego wychowania, że czuł swoją absolutną przewagę w dyktowaniu norm, a czynił to tak odruchowo, że nawet nie spróbował sięgnąć wówczas do swojej wiedzy etyka wykładającego na szacownej uczelni.

Tamta sytuacja przy rodzinnym stole była jedną z niezliczonych, kiedy to autorytet, ufny we własne sądy, bezpardonowo mi je narzucał w scenografii podkreślającej siłę tradycji i hierarchii. Nie znosiłam tego. Choć była po prostu replikowanym powszechnie sposobem układania wzajemnych stosunków: słabszy ulega silniejszemu wyłącznie dlatego, że dysproporcja sił jest tak oczywista, choć wciąż ma to pozory nieinwazyjnych, naturalnych zachowań. Tak się dzieje i nikogo to nie dziwi. Uważa się, że uległość, posłuszeństwo, przyjmowanie cudzych wzorów i poglądów są gwarantami udanego procesu socjalizacji. A jednak, jak pisał Erich Fromm, „posłuszeństwo wobec osoby, instytucji lub władzy (posłuszeństwo heteronomiczne) to uległość, która oznacza zrzeczenie się własnej niezależności i akceptację woli lub poglądów kogoś obcego, zamiast własnych. Posłuszeństwo wobec własnego rozumu lub przekonania (posłuszeństwo autonomiczne) nie jest aktem uległości, lecz afirmacji”¹². Ja wołałabym afirmować, niż ulegać. I przypomina mi się, jak o uległości pisał Michel Houellebecq w powieści pod takim samym tytułem, o tym, jak niezauważalnie i nieubłagane prowadzi ona do utraty autonomii ludzi i narodów. O tym także, że uległość jest jak żywioł podobny do kobiecego oddania się mężczyźnie albo człowieczego oddania się Bogu (mówi tak jeden z bohaterów *Uległości*). Bez reszty, bez potrzeby szukania uzasadnień. Cedując na kogoś prawo do zadawania pytań, ferowania wyroków, podejmowania decyzji. I jak nie wie się nawet o tym oddaniu ani o własnej wynikającej stąd przemianie w istotę zależną. A dzieje się tak być może, ponieważ „człowiek utracił zdolność okazywania nieposłuszeństwa, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że jest posłuszny. [Jednak] w tym momencie historii zdolność wątplenia, krytyki i okazywania nieposłuszeństwa może być wszystkim, co dzieli przyszłość ludzkości od końca cywilizacji”¹³ i co uniemożliwia, a przynajmniej utrudnia hodowlę władzy.

¹² Erich Fromm, *Nieposłuszeństwo jako problem psychologiczny i moralny*, [w:] idem, *O nieposłuszeństwie i inne eseje*, przeł. Stefan Baranowski, Kraków 2021, s. 28.

¹³ *Ibidem*, s. 33.

ROBERT GAWŁOWSKI

Chora prowincja

Pytania

Kim jest ten,
który, niby chimeryczny sublokator, domyka
okienko w łazience, zasłania je firanką i siada
przed lustrem?

Kim jest ten,
który wyciąga pudry, maskary i cienie
do oczu i maluje twarz, a na nagie ciało starca
naciąga czarne figi, czarny gorset,
czarne pończochy?

Kim jest ten,
który szminkuje usta na czerwono,
poprawia perukę, przymierza
przezroczystą woalkę
i gustowny toczek?

Kim jest ten,
który mizdrzy się do siebie,
robi zalotne miny i posyła buziaki?

Kim jest ten,
który mówi do siebie z francuska:
„maman, maman, maman”?

Te pytania krążą i kraczą nad chorą prowincją.

Ale nikt ich głośno nie wypowiada.

Plusquamperfectum

Wysiłki pielęgniarek i felczerów Komitetu Parafialnego
zawodzą.

Polityczna wścieklizna wymyka się spod
czyjejkolwiek kontroli i zagraża także
naczelnym organom.

Sytuacja jest coraz bardziej groźna.
Paroksyzmy przybierają na sile,
a ilość zarażonych rośnie
niebezpiecznie.

Lud chorej prowincji zachowuje się nieobliczalnie.
Wzmoczona profilaktyka nie przynosi
oczekiwanych rezultatów.

W tej oto sytuacji dochodzi do koniecznej
wizyty.

Lokaj przyjmuje Boskiego Uzurpatora!
Niebysza! A jednak!

Nie mówi się o tym głośno, ale i tak
wiadomo,

że Boski Uzurpator przez wiele dni
zbierał siły, zażywał pigułki
i kreślił w głowie możliwe
scenariusze

tej krępującej rozmowy.

Powrót znachorów

Niegdysiejsi trybuni i Zbawcy Ludu wracają.

Marzy im się Nowa Kuracja. Jak przed laty
liczą i kalkulują, czy chora prowincja
podda się leczniczym zabiegom.

Na wyprzódki ogłaszają diagnozy,
perorują i zalecają
kuracje organów.

Komitet Parafialny nazywa ich wprost
szarlatanami. Już nie dla nich
ambony, plebanie i kruchty.
Już nie.

Ekskomunika i egzorcyzmy,
ciemne lochy.
Ot co.

Felczerzy Boskiego Uzurpatora już krzyczą:
„Znachorzy zarażają!”

„Nasz poczciwy Lud nie powinien wierzyć
znachorom!”

„Znachorzy zarażają!”

„Zarażają i zagrażają!”

Małe znicze

Wierny dotąd lokaj Boskiego Uzurpatora pokazuje, jak
coraz bardziej wsłuchuje się w głos Ludu.
I na pokaz zaczyna łkać.

Niektórzy uwierzyli nawet, że kamienne serce lokaja
zmięknie.

Lokaj mówi wprost, jak bardzo czuje lęki i zmartwienia Ludu.
I, z dnia na dzień, rzekoma empatia lokaja staje się, rzekomo,
coraz większa.

Lokaj spogląda na swoją piękną wolierę, i widzi
miliony małych biednych
wolier.

Pełzające dyktaty Boskiego Uzurpatora, jak małe znicze,
podchodzą już lokajowi do gardła,
stają w przełyku
i dławią.

Rzekomo.

Zdrada Zdrady

Zdrada Zdrady opanowała całą prowincję.

Niemal już wszyscy chorują na Zdradę
Zdrady.

Zdradzeni zdrajcy zdradzają zdrajców.
Zdrada Zdrady czai się w każdym kącie,
Zdrada Zdrady czyha za każdym rogiem.

Zdrada. Zdrada. Zdrada.

Zdradzieckie motywy, zdradzieckie knowania i spiski.

Komitet Parafialny, choć nie ma już miejsca na listach,
wciąż dopisuje nowe nazwiska zdradzonych i zdrajców.

Ledwie kilku czuje się pewnie i chodzi jeszcze
z podniesioną głową.

Ale i oni mogą podzielić los Dantona i Robespierre'a.

Rekonstrukcja gilotyny postępuje powoli,
ale systematycznie.

Rozstrajanie

Boski Uzurpator osobiście wydaje instrukcje
by doskonale zestroić rozstrajanie
ustroju i rozstrajanie umysłów
wszystkich niepokornych
mieszkańców prowincji
: ta akcja musi być niezauważalna - -
: za wszelką cenę należy unikać
wrzawy - -

: dlatego zaleca się głównie
działania nieme - -
: dyskrecja właściwych służb
jest podstawą
sukcesu - -

Wielka Sanacja Historii

Słowa Boskiego Uzurpatora stają się ciałem.
Dawni bohaterowie zostają zbrodniarzami,
dawni zbrodniarze — bohaterami.

Białe jest czarne. Czarne jest białe.
Honor — infamią. Infamia — honorem.

Boski Uzurpator, Komitet Parafialny i namiestnicy
dokonują Wielkiej Sanacji Historii.

Czyszczą, czyszczą — i jeszcze raz — czyszczą.
Boski Uzurpator żąda od całego aparatu, od wiernego
aktywu, by

nie przerywać wytężonej pracy, by
jeszcze żarliwiej i z większym zapałem
wskazać i skazywać

: zdrajców, agentów, sługusów, płatnych pachołków,
zapłutych karłów, odszczepieńców, samozwańców
i zaprzańców.

Co się stało z psami?

Choroba prowincji nie ominęła psów.

Usiłują podnosić ogony, ale ogony opadają
i wloką się po jezdniach i chodnikach,
tyłają się w błocie.

Nie chcą już podnosić się na rozkaz.

Namiestnicy nie wiedzą, jak się z tego wytłumaczyć.
Ich psy ze spuszczonej ogonami
nie budzą respektu,
a politowanie.

Niekiedy też psy powarkują na samych namiestników.
Czyżby chciały wypowiedzieć posłuszeństwo?
Porzucić psią służbę?

Boski Uzurpator pyta wprost: „co się stało z psami?”

Namiestnicy jednak milczą. Zaciskają kły
i wężą nawet pośród własnej
psiarni.

Wężą, ale nie czują.

Surrealizm parafialny

Źródeł tego parafialnego surrealizmu nie należy szukać
poza chorą prowincją.

Żaden tam Paryż. Żaden tam Yvan Goll, żaden tam Breton,
Aragon czy Soupault, żaden tam Dali, Ernst, Picabia,
żaden Magritte czy nawet Delvaux.

Jeżeli już, to sięgnąć wypada bardziej do korzeni
Sarmacji albo do maszkar Boscha.

Pycha i zawiść, wieczna frustracja i to poczucie
nieustannej małości, ciągłej gorszości, i to
poczucie szaleństwa - - -

I te monumentalne wieże oksymoronów, te świątynie absurdu,
ołtarze nonsensu, nieustanne procesje paradoksu,
te wymyślne liturgie wszelkiej makabry - - -

To one trwają ponad,

to one pomagają mieszkańcom chorej prowincji

uwolnić się od rozumu, poddać się i oddać się jedynie
prostym impulsom i prawdom-nieprawdom

i mieszać fakty z marzeniami, a puste gesty

z krwią armatniego mięsa,

z bezwzględną geopolityką.

Gra na śmierć

U granic chorej prowincji wcale nie jest
spokojnie. Od dawna leje się krew.

Niemal każdego dnia
mówi się o możliwej inwazji Imperium.

Niemal każdego dnia
sotnie, watahy i czeredy opornych
resztkami sił stają przeciw
zielonym figurkom
Imperatora.

Niemal każdego dnia...

I cóż z tego, skoro Imperator sam
jednych i drugich stworzył.

I cóż z tego, skoro Imperator sam
jednych i drugich powołał

dla ratowania tronu i twarzy,
dla ukrycia nędzy i beznadziei,
dla chwiejących się struktur,
i dla, dla, dla...

To dla Tego Imperator
sam ze sobą gra
i zagrywa się
na Śmierć.

Sprawy zagraniczne

Stary Kontynent pochyla się nad chorobą prowincji, przestrzega,
straszy, skrzeczy, złorzeczy.

I cóż z tego? Stary Kontynent sam ma swoje nieuleczalne choroby.
Nękają go alergie, uczulenia i nagłe wysypki. Szczepionki
z imigrantów bardziej szkodzą, niż pomagają.

Stary Kontynent dżumę leczy cholera,
a chce być lekarzem prowincji.

Boski Uzurpator i Komitet Parafialny już dawno
przygotowali kordon sanitarny myśli i słów.

Wiersze pochodzą z przygotowywanego do druku tomu „Chora prowincja”.

PIOTR JAKUB FERENSKI

Władze sztuki

*Три чукотских мудреца
Твердят, твердят мне без конца:
"Металл не принесёт плода,
Игра не стоит свеч, а результат – труда",
Но я
Сажая алюминиевые огурцы, а-а
На брезентовом поле*
Виктор Цой, Алюминиевые огурцы

*Trzej czukoccy mędracy
Powtarzają mi bez końca:
„Metal nie zrodzi owoców,
Gra nie jest warta świeczki, efekt nie jest wart trudu”,
Ale ja
Sadzę aluminiowe ogórki, a-a
Na brezentowym polu*
Viktor Coj, Aluminiowe ogórki

Tematem niniejszego eseju są relacje łączące władzę i sztukę, dwa obszary ludzkiej aktywności, które na przestrzeni dziejów nieustannie przenikały się i oddziaływały na siebie na różne sposoby. Formy, które te relacje przybierały, niewątpliwie uwarunkowane były kontekstem historycznym. Powstaje zatem pytanie: czy w tej zmienności można dostrzec jakieś prawidłowości lub też wskazać na tendencje/kierunki przekształceń? Czy są one wyrazem nieuświadomionej konieczności dziejowej? A może posiadają jakiś głębszy strukturalny charakter, to znaczy są zmienne, ale opierają się na względnie stałych i powszechnych mechanizmach produkcji znaczeń oraz konstruowania pola widzialności w przestrzeni społecznej? Sztuka jako specyficzna forma działania symbolicznego i materialnego zawsze wpisywała się w dominujące hierarchie wartości i światopoglądy epok, w których powstawała. Tym samym uczestniczyła w procesie organizowania zbiorowej wyobraźni i aksjologicznego porządku. Pomimo historycznej zmienności da się jednak wyróżnić kilka zasadniczych modeli interakcji pomiędzy siłą polityczną a ekspresją artystyczną. Od czasów starożytnych aż po współczesność obie te sfery pozostawały w ścisłym związku – niekiedy harmonijnym, innym razem pełnym napięć i konfliktów. Władza potrzebowała obrazów, symboli i narracji – narzędzi, za pomocą których mogła

legitymizować swoje roszczenia i umacniać autorytet. Z kolei sztuka, choć z natury zdolna do krytycznego spojrzenia, rzadko była w stanie całkowicie uniezależnić się od struktur dominacji i mecenatu. Na przestrzeni wieków artyści – architekci, rzeźbiarze, malarze, muzycy oraz pisarze – często służyli interesom elit: monarchów, kapłanów czy wodzów. Ich dzieła nie tylko zdobiły pałace i świątynie, lecz pełniły też funkcję propagandową, sankcjonując istnienie i wzmacniając prestiż władzy. Działalność artystyczna niejednokrotnie przyczynia się do sakralizacji władzy i budowy mitu dynastii.

Muzea w Londynie, Paryżu, Berlinie, Kairze pełne są artefaktów świadczących o tym, że w starożytnym Egipcie estetyzacja rzeczywistości stanowiła środek budowania autorytetu, potęgi, boskiego majestatu faraonów, a także wytwarzania ram pamięci zbiorowej. Monumentalne założenia i znajdujące się w nich rzeźby, jak też elementy graficzne na ścianach grobowców oraz świątyń, kreowały obraz władzy jako ciągłości oraz emanacji kosmicznego porządku. Oczywiście w obrębie walki o władzę i wieczne upamiętnienie zdarzały się „rewolucje” i „wymazywanie”. Te ze swej istoty pozostają nam dziś jednak słabo znane. Podziwiamy piramidy, amfiteatry, mauzolea, łuki triumfalne, kolumny stanowiące wizualne opowieści o potędze władzy i bohaterskich czynach postaci ją reprezentujących. Architektura może być alegorią wiecznego imperium, wszechmocnego Kościoła i absolutyzmu oświeconego. Pałace – zewnątrz i wewnątrz – widzieć należy jako swoiste spektakle dominacji. Mecenat możnowładców czy papieża miał na celu tyleż otaczanie się pięknem, co manifestację bogactwa i siły. Jeszcze raz warto podkreślić: był elementem propagandy. Zachwytowi jednocześnie towarzyszyć winno było podporządkowanie. Sztuka była więc integralnie wprzęgnięta w aparat ideologiczny, to jest polityczny, religijny i – nie zapominajmy – wojenny. Za „rewers” tego zjawiska uznać można (szeroko pojmowane) niszczenie obrazów, czyli wszelkie formy ikonoklazmu.

Nie znaczy to, iż sztuka nie wymykała się spod kontroli panujących. Gdy stawała się zbyt niepokorna, cenzorowano ją, demonizowano, uciszano. Prześladowania obejmowały nie tylko same przedstawienia malarskie i literackie, ale też ich twórców. Dzieła nieprawomocne trafiały na stosy (na placach Rzymu, w nazistowskich Niemczech, w Chile okresu Golpe de Estado itp.). Współcześnie mamy do czynienia z bardziej „wyrafinowanymi” formami kontroli, odmawianiem czy odbieraniem finansowania, zdejmowaniem prac z wystaw. Niemniej twórczość w zakresie sztuk wizualnych i pisarstwa w wielu miejscach na świecie wciąż pozostaje niezwykle istotnym narzędziem oporu wobec dominujących, opresyjnych i przemocowych porządków politycznych, społeczno-ekonomicznych i kulturowych. Praktyki artystyczne bywają też przestrzenią negocjacji. W tym przypadku sztuka nie tyle wprost wspiera bądź zwalcza władzę, co próbuje przechwytywać i przekształcać jej elementy. Może również w ramach subtelnych taktyk używać narzędzi władzy, by je same przewartościować.

W każdym razie władza musi kontrolować widzialność, prezentować się jako naturalna (w swych źródłach i prawie do panowania) oraz wszechobecna (w mniej lub bardziej „natarczywy” sposób), sztuka z kolei musi poruszać się w świecie już ideologicznie rozpisany (choć struktury i narracje cechuje oczywiście dynamika). Ale czy to relacja symetryczna? Czy można powiedzieć, że istnieje jedna bez drugiej? *Love and Marriage*? Z pewnością sztuka przedstawiana jako domena

swobody, indywidualnej ekspresji i twórczej autonomii jest ważną, acz nie do końca prawdziwą figurą kulturowego imaginarium. Nawet w takich ustrojach jak demokracja liberalna artyści nigdy nie pozostają całkowicie wolni. Rządzący, niezależnie od form sprawowania władzy, dążą do tego, by podporządkować sobie pole kultury, to jest uczynić z niej rzeczzone narzędzie własnej legitymizacji, formować ją w korzystnym dla siebie kształcie, a gdy tylko okazuje się niepokorna, usadzać na ławie oskarżonych. Władza – bazując na ludzkich skłonnościach – potrafi zarówno wynosić artystów na piedestał, jak też wykluczać, represjonować, a nawet likwidować. Autonomia sztuki, analogicznie do autonomii nauki, pozostaje raczej w sferze pragnień czy też na poziomie postulatywnym. Władza – zarówno instytucjonalna, jak i symboliczna – nieustannie usiłuje wpływać na przestrzeń aksjologiczną, w której działa sztuka. Temat, forma czy choćby kolor może zostać uznany za „niebezpieczny” lub „obrazoburczy”. Innym razem te same środki mogą być wprzęgnięte w służbę nowego porządku.

Włoski filozof i pisarz Antonio Gramsci w swych *Zeszytach więziennych* podkreślał, że człowiekiem rządną nie tylko siła i przymus, ale również idee. Poszerzał on pojęcie przywództwa politycznego o walkę ideologiczną i kulturową, która poprzedza przejęcie władzy. W tej walce różne grupy społeczne mają swoich „przywódców intelektualnych” – w tym pisarzy, artystów wizualnych, kompozytorów – kształtujących wspólną tożsamość i próbujących zyskać społeczną afirmację. To handlarze na rynku idei. Władza nie opiera się wyłącznie na sile ekonomicznej i zbrojnej, dotyczy bowiem również systemów wartości i przekonań. Oznacza to walkę o „serca i umysły” ludzi, w której przywoływane są mity, legendy, wielkie zwycięstwa, godne podziwu postawy i czyny, symbole, dzieła architektury, style itp. W ramach kulturotwórczej ekspansji podmioty polityczne, odwołując się do przeszłości i mówiąc o przyszłości, przedstawiają i forsują swoje obrazy świata oraz cele jako powszechne i uniwersalne. Polski filozof, Leszek Koczanowicz, podkreśla, że w tym ujęciu walka polityczna toczy się we wszystkich wspólnotach i obejmuje wszelkie dziedziny oraz zjawiska życia społecznego. Kultura i sztuka nigdy nie są niewinne. Mogą reprezentować sposób, w jaki klasy dominujące narzucają swój światopogląd całemu społeczeństwu, jak również być narzędziem emancypacji członków grup podporządkowanych. Konflikt między różnymi wartościami czyni wspólnotę polem walki. To ta ostatnia umożliwia de facto nieustanną przebudowę społeczeństwa. Nie istnieje zatem neutralny obszar działań artystycznych, lecz jedynie przestrzeń, w której dokonuje się symboliczne podporządkowanie lub opór. Kultura w tym ujęciu to arena ciągłych politycznych zmagających. Hegemonia jest ustanawiana, podważana i renegocjowana. W ramach nowoczesnych wspólnot nieustanna konfrontacja idei sprawia, że nie są one stabilne, lecz dynamiczne, to znaczy w stanie ciągłego stawania się.

W perspektywie powyższego pole władzy i pole sztuki wzajemnie się przyciągają, nie mogąc w zasadzie bez siebie funkcjonować. Każda siła polityczna potrzebuje sztuki, by zyskać uznanie, zbudować swą estetyczną reprezentację i oprawę. Sztuka zaś – nawet jeśli deklaruje się jako wolna, autonomiczna czy opozycyjna – zawsze funkcjonuje w rzeczywistości już ideologicznie uformowanej, wpisanej w jakiś język walki o rzeczoną hegemonię. W tym miejscu wraca pytanie o to, czy istnieje sztuka

poza władzą. Już Platon w metaforze jaskini przestrzegał, że władza pragnie stale organizować świat obrazów: ustalać, co może być widziane, a co powinno zniknąć z pola widzenia. Tworzy hierarchie estetyczne, porządkuje narracje i decyduje, które reprezentacje stają się „naturalne”, a które zostają uznane za zewnętrzne, obce, fałszywe, heretyckie, niebezpieczne lub po prostu zbędne. Stąd relacja sztuki i władzy nie sprowadza się tylko do kwestii mecenatu czy cenzury. To raczej „systemowy” splot, który dotyka najgłębszych struktur widzialności i znaczenia. Władza może napiętnować całe obszary twórczości jako „zdegenerowane” i oczyszczać przestrzenie publiczne z „chorych” form widzenia. Zarazem w zasadzie każdy gest oporu może zostać zawłaszczony i zamieniony w estetyczny ornament nowego porządku.

Jeśli chodzi o relacje władzy i sztuki, jako szczególnie interesujące jawią się uwagi Waltera Benjamina. W swym słynnym eseju *Dzieło sztuki w dobie możliwości jego reprodukcji technicznej* z roku 1936 niemiecki filozof z entuzjazmem i nadzieją podchodził do rozwoju technologicznego służącego wytwarzaniu kultury masowej. Dostrzegał on potencjał artystyczny, poznawczy oraz polityczny oferowany przez nowe media. Jak pamiętamy, w szczególności fascynował go film. Jednak w zakończeniu tekstu – swoistym epilogu – jego optymizm słabnie i pojawia się wyraźne ostrzeżenie. Zdaniem Benjamina faszyzm czy też narodowy socjalizm wykorzystuje techniczne środki przekazu nie po to, by dać masom to, czego potrzebują, ale by stworzyć iluzję uczestnictwa w budowaniu nowej ludowej wspólnoty. W ten oto sposób dochodzi do przekształcenia życia politycznego w monstrialne widowisko. Mamy do czynienia z „estetyzacją polityki”. Owo nadawanie polityce „triumfalnej” formy estetycznej prowadzi może ostatecznie tylko do jednego, mianowicie do wojny (warto sięgnąć w tym kontekście do wydanej niedawno w Niemczech książki znakomitego historyka Götza Aly’go *Wie konnte das geschehen? Deutschland 1933 bis 1945*).

Co ciekawe, Benjamin zauważa, że ideowe podstawy rzeczowej estetyzacji pojawiły się już wcześniej, to jest w ideologii futurystów, którzy jeszcze przed I wojną światową wychwalali maszynę wojenną jako spektakl nowoczesności – „wojna jest piękna, ponieważ inauguruje wymarzoną metalizację ludzkiego ciała. [...] tworzy nową architekturę, jak choćby architektura ciężkich czołgów, geometryczny zarys lotniczej eskadry czy spirali dymu, snujących się nad płonącymi wioskami”. Ich manifesty przedstawiały zatem zbrojną konfrontację jako zmysłowe, niemal poetyckie doświadczenie, pełne dźwięków, obrazów i zapachów, które splatają się we wspaniałą wielką estetyczną całość. Zdaniem Benjamina faszyzm mówi „*Fiat ars – pereat mundus* [niech stanie się sztuka, a przepadnie świat]” i „oczekuje od wojny zaspokojenia potrzeb percepcji, przeobrażonej pod wpływem techniki. Zaiste, *l’art pour l’art* w czystej postaci. Ludzkość, która ongiś u Homera stanowiła widowisko dla olimpijskich bogów, stała się nim teraz sama dla siebie. Jej wyobcowanie z samej siebie osiągnęło pułap, który pozwala jej przeżywać własną zagładę jako rozkosz estetyczną najwyższej klasy. Oto jak ma się rzecz z uprawianą przez faszyzm estetyzacją polityki. Odpowiedzią komunizmu jest upolitycznienie sztuki”.

Estetyzacja polityki to zatem, według autora *Aniela historii*, faszystowska strategia polegająca na wykorzystywaniu środków artystycznych (symboli, rytuałów, widowisk) w celu nadania polityce – pociągającej szerokie masy – emocjonalnej

czy emocjonującej formy. Przykładami są monumentalne pochody, wielkie wiece i propagandowe przekazy wizualne wzmacniające kult wodza, partii i całej ideologii narodowej. Estetyzacja ukrywa brutalność systemu za fasadą harmonii, patosu czy nawet wzniosłości. W kontrze do tego komunizm – wedle Benjamina, który przebywał w Moskwie w roku 1926 i spotykał się z awangardowymi artystami – powinien używać sztuki jako narzędzia walki klasowej i zmiany świadomości społecznej. Chodziłoby więc nie tyle o „dekorowanie”, co o „kształtowanie”. Literatura, film, fotografia, grafika powinny służyć demistyfikacji dotychczasowych relacji władzy i zbiorowej oraz indywidualnej emancypacji. Ujawniając historyczną niesprawiedliwość, twórcy mieli edukować masy. Wiedza, krytyczne oświeceniowe myślenie i związane z nim przekształcenia w obrębie samoświadomości prowadzić miały do trwałych przeobrażeń w świecie.

Jeśli idzie o estetyzację życia politycznego państwa, sztandarową postacią jest oczywiście Leni Riefenstahl. W jej dziełach forma zyskuje funkcję „aparatu” propagandy. Reżyserka dla realizacji swych celów artystycznych podejmuje współpracę z narodowo-socjalistycznym reżimem. Jej filmy, zwłaszcza *Triumf woli* oraz *Olimpiada*, to wzorcowe przykłady wykorzystania oryginalnych, innowacyjnych rozwiązań formalnych na potrzeby ideologiczne. W drugiej połowie XX wieku twórczość Riefenstahl – podobnie zresztą jak prace wielu artystów i intelektualistów – stała się przedmiotem burzliwych debat w obrębie nauk humanistycznych i społecznych. Dyskutowano nie tylko na temat tego, czy możliwe jest oddzielenie dzieła sztuki od dziejowego kontekstu jego powstania, ale też o tym, na ile da się ignorować polityczne zaangażowanie autorów. Do najbardziej kontrowersyjnych postaci należeli tu tacy filozofowie i literaci, jak Martin Heidegger (uczestnik nazistowskich akcji palenia „nieprawomyślnych” książek w maju 1933 roku), Gottfried Benn, Ernst Jünger, Ezra Pound, Knut Hamsun, Eugène Ionesco (a także inni rumuńscy intelektualiści, w tym Emil Cioran, Mircea Eliade) czy Paul de Man.

Niemniej, w przypadku Riefenstahl pytanie o rozdzielenie formy i treści nabrało szczególnej ostrości. Jej filmy uchodzą za wybitne pod względem artystycznym, ale też/tym samym nie mają sobie równych w gloryfikacji systemu, który za sprawą kultu siły doprowadził do tego, iż wspólnota narodowa stała się wspólnotą zbrodni (masowego mordu na niespotykaną wcześniej skalę). W eseju *Fascinating Fascism* z roku 1974 Susan Sontag dowodziła, że nawet w swej powojennej działalności artystka nie zerwała z fascynacją faszystowską estetyką. Sontag interpretowała jej późniejsze prace – między innymi fotograficzny album *The Last of the Nuba* – jako kontynuację obsesji na punkcie doskonałości cielesnej i utopijnego „czystego” piękna. W ujęciu Riefenstahl miało ono charakter rasowy, choć także quasi-erotyczny, to jest pozbawiony seksualnej ekspresji. Dla Sontag była to estetyka duchowego zdominowania biologii, apologia siły, czystości, podporządkowania.

Eksperymenty formalne i nowatorskie rozwiązania techniczne, znajdujące swą manifestację w budowie obrazów i narracji, postanowiono oddzielić od kontekstu politycznego już kilka lat po wojnie – na potrzeby wystawy w Nowym Jorku. Prezentując *Olimpiadę*, kuratorzy Museum of Modern Art dokonali interesującego zabiegu. Otóż usunęli wszystkie sceny, w których pojawiał się Hitler oraz inni czołowi naziści. Powstało w ten sposób arcydzieło artystycznej awangardy dokumentujące zmagania

herosów na sportowych arenach Berlina. Pomimo upływu ponad siedmiu dekad od otwarcia owej kontrowersyjnej ekspozycji filmy Riefenstahl nadal wywołują kontrowersje i pozostają symbolem niepokojącego sojuszu między nowoczesną formą artystyczną a totalitarną, zbrodniczą ideologią. Jej twórczość wciąż stawia fundamentalne dla współczesnej refleksji nad sztuką pytanie o zaangażowanie. Pewne jest, że sztuka nie może służyć przemocy. Musi odrzucać dogmaty i stale podważać własne założenia. Czy to jednak wystarczy? Warto w tym kontekście przyjrzeć się odwrotnemu przypadkowi, czyli wzmiankowanemu przez Benjamina komunistycznemu „upolitycznieniu sztuki”.

Rewolucja październikowa 1917 roku nie tylko obaliła carat i zmieniła strukturę władzy w Rosji, lecz także otworzyła nowy rozdział w historii kultury. W pierwszych latach istnienia Związku Radzieckiego panowało głębokie przekonanie, że sztuka – podobnie jak polityka, nauka czy przemysł – może i powinna uczestniczyć w budowie nowego społeczeństwa. Dla wielu artystów, szczególnie tych związanych z nurtem awangardy, rewolucja była nie tylko wydarzeniem politycznym, ale i momentem dającym początek totalnej transformacji świadomości, języka oraz formy i funkcji twórczości. Pragnęli oni nie tylko ilustrować zmiany, ale je współtworzyć – być nie tyle obserwatorami i dokumentalistami, co uczestnikami, nie tylko estetykami, ale „inżynierami dusz”. Rewolucja Październikowa, zainspirowana teorią ekonomiczną i postulatywnie zapisana na kartach *Manifestu komunistycznego*, stanowiła próbę całkowitej przebudowy systemu polityczno-gospodarczego, ale też przede wszystkim ludzkiej egzystencji. Jej ambicją było stworzenie nowego człowieka. Jednostka miała zostać oderwana od więzów, religii, tradycji, rodziny i własności prywatnej. W miejsce społeczeństwa opartego na burżuazyjnych wartościach miała powstać nowoczesna wspólnota proletariacka, wsparta na filarach racjonalizmu, świeckiej edukacji i kolektywnej odpowiedzialności.

Ten projekt posiadał jednak również wymiar przestrzenny. Kształt nowego świata nie był jedynie metaforyczny. Bolszewicy postrzegali go jako konkretną rzeczywistość urbanistyczną, architektoniczną, życiową. Przeobrażenie społeczeństwa agrarnego w potęgę przemysłową wymagało nie tylko przejścia i rozwoju środków produkcji, ale też fizycznego przesiedlenia ludności – z obszarów wiejskich do szybko rozrastających się miast. W tym kontekście mieszkanie – jako podstawowy, obok zakładu pracy, element życia – stało się głównym polem eksperymentów. Komunałki, czyli obiekty mieszkalne, w których kilka „komórek rodzinnych” dzieliło wspólnie kuchnię, toaletę, wychowywanie dzieci, a nawet miłość, miały odzwierciedlać nową formę współistnienia. Przestrzeń fizyczna stawała się przestrzenią ideologiczną. Jej celem było wykorzenienie prywatności i wytwarzanie wspólnotowości, neutralizowanie indywidualizmu. Emancypacja jednostki miała polegać na odciążeniu jej od obowiązków domowych – czyli gotowania, prania itp. – przez ich przeniesienie do instytucji kolektywnych. Chodziło o to, by mogła stać się w pełni funkcjonalnym trybem w maszynie produkcji.

Eksperymenty społeczne szły w parze z eksperymentami artystycznymi. Awangardowi architekci, malarze, graficy, filmowcy i literaci, tacy chociażby jak Aleksander Rodczenko, El Lissitzky, Liubow Popowa czy Dziga Wiertow, uznali rewolucję nie tylko za szansę polityczną, ale przede wszystkim za moment zerwania z burżuazyjną

kulturą i otwarcia przestrzeni dla nowego, kolektywnego języka sztuki. Ich działania miały charakter służebny wobec idei. Sami twórcy w zakresie swobody wyrazu artystycznego funkcjonowali względnie niezależnie, niemniej musieli/chcieli być robotnikami na froncie kultury. Włodzimierz Lenin od początku traktował kulturę jako istotny komponent walki klasowej i budowy nowego społeczeństwa. Osobiście nowoczesnej sztuki eksperymentalnej, zwłaszcza abstrakcyjnej, raczej nie rozumiał. Doceniał jednak propagandowy potencjał przekazu wizualnego. Szczególną uwagę zwracał na znaczenie kina, które – jak miał twierdzić – stanowiło dla młodego państwa rad „najważniejszą ze sztuk”. Film posiadał największy zasięg oddziaływania. Język, jakim się posługiwał, był najbardziej uniwersalny (przekraczał etniczne granice, trafiał do analfabetów). Montażowe eksperymenty Siergieja Eisensteina łączyły nowatorską formę z bezpośrednim przekazem ideologicznym. Wiertow, autor słynnego manifestu „Kino-Okno”, postrzegał kamerę jako narzędzie demystyfikacji rzeczywistości i budowy nowej, „prawdziwej” wizji świata proletariackiego.

Podobnie Rodczenko, jeden z czołowych przedstawicieli konstruktywizmu, porzucił malarstwo na rzecz fotografii, grafiki użytkowej, typografii i projektowania przestrzeni miejskiej. Jego plakaty, okładki, a nawet meble miały spełniać funkcje edukacyjne i propagandowe. Działając między innymi w strukturach INKhUK, czyli Instytutu Kultury Artystycznej, i współpracując z poetą Władimirem Majakowskim, Rodczenko tworzył nowy wizualny język rewolucji – ostry, dynamiczny, skupiony na kolektywie i industrialnym rytmie nowej epoki. Jego zdjęcia miały obrazować triumf człowieka pracy. Zamieszczane były głównie w redagowanym przez Rodczenkę i jego żonę, Warwarę Stiepanową, magazynie „Związek Radziecki w Budowie”. Stanowił on niewątpliwie jedno z najbardziej awangardowych pism ilustrowanych XX wieku. Był wydawany w latach 1930–1941 (z krótkim epizodem powojennym) i miał na celu ukazywanie sukcesów Kraju Rad w zakresie industrializacji, kolektywizacji i modernizacji. Słynął – zarówno w ZSSR, jak i na Zachodzie – z wyjątkowej jakości graficznej. Cechowały go eksperymentalne układy typograficzne, fotomontaże oraz dynamiczne, kontrastowe fotografie. Miniaturyzacja sprzętu pozwoliła Rodczence odejść od czegoś, co sam określał mianem „fotografii pępkowej” i za sprawą kadrowania z różnych kątów oraz wysokości tworzyć napięcie i wrażenie nowoczesności. Artysta ukazywał nowego człowieka radzieckiego, robotnika, inżyniera, pioniera, sportowca. Zdjęcia podkreślały emancypację kobiet i awans przedstawicieli różnych klas społecznych. Całość budowała pozytywny, spójny i estetycznie atrakcyjny wizerunek Sowietów. Ilustrowanie potęgi i postępu łączyło się oczywiście z dokumentowaniem powstawania dróg, linii kolejowych, fabryk, elektrowni i wielkich projektów hydrotechnicznych jak zapory i kanały. Do najważniejszych tego typu obiektów należał Kanał Białomorski. Fotografie Rodczenki przedstawiające proces jego powstawania każą jednak powrócić do pytania o „estetyzację polityki” i „upolitycznienie sztuki”. Za sprawą retuszu ukazującego uśmiechniętych robotników i triumf oświeconego systemu penitencjarnego artysta przemilczał okrutną prawdę o rzeczywistości, czyli terror polityczny, represje, przymusową pracę, głód, śmierć. Wyrafinowana, wizjonerska forma artystyczna przykrywa fakt, iż dziesiątki tysięcy więźniów długiego na 227 kilometrów, nazywanego „wielkim projektem socjalistycznej inżynierii”

Gułagu straciło życie. „Związek Radziecki w Budowie” pokazywał również lśniące w blasku słońca srebrne samoloty, bomby, czołgi i inne maszyny wojenne, co przybliżyło go do estetyki futurystów i ich „zbrojnych” spektakli nowoczesności.

Nie ma wątpliwości, że sztuka awangardowa pierwszych lat ZSRR była nie tylko eksperymentalna, lecz także prężnie zaangażowana w procesy przemian społecznych. Artyści pragnęli edukować i emancypować masy, szerząc ideę postępu. Stawali w służbie rewolucji. Byli współodpowiedzialni za wytwarzanie rzeczywistości. Stąd też wzięła się współpraca awangardzistów z fabrykami, spółdzielniami, biurami architektonicznymi i instytucjami państwowymi mającymi wpływ na kształtowanie świadomości etycznej i estetycznej proletariatu.

Nie tylko awangardowi artyści i architekci rosyjscy, ale też niemieccy, jak Ernst May, czy francuscy, na czele z Le Corbusierem, podejmowali się kreowania nowych przestrzeni życia. Modernizm w postaci konstruktywizmu i funkcjonalizmu nie oznaczał wyłącznie stylu. Był deklaracją ideologiczną i polityczną. Wieża Shukhova, spiralna konstrukcja Tatlina czy projekt Centrosojuzu były ziszczeniem nadziei na nowy świat, który można zbudować od samych podstaw. Miasta takie jak Magnitogorsk, Nowosybirsk, Kemerowo, Nowokuźnieck stawały się laboratoriami nowego życia. Dzięki Nowej Polityce Ekonomicznej utopie awangardzistów mogły zacząć się materializować. Jednak ten okres wolności twórczej nie trwał długo. Już na początku lat 30. zaczęły pojawiać się głosy niezadowolenia z „niedostatecznego zaangażowania ideologicznego” architektury i sztuki. Kulminacją tego procesu było ogłoszenie w roku 1934 przez Maksima Gorkiego, przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Związku Pisarzy Radzieckich oraz I Zjazdu, doktryny socrealizmu jako „jedyną słuszną metodę twórczej”.

Rozpoczął się nowy etap w radzieckiej kulturze, wbrew nadziejom Benjamina, bliższy „estetyzacji polityki”. Monumentalne gmachy stały się nowym językiem władzy. Ich funkcją nie była użyteczność, lecz przedstawienie potęgi, której fundamentem była partia i wódz, a formą żelazo i beton. Wysokość tych budowli, ich wertykalizm nie był przypadkowy. Wskazywały, że niebo czy też raj mogą zostać zbudowane tu, na ziemi, rękami robotników. Projekty te czerpały jednak z długiej tradycji europejskiej. „Empire to styl rewolucyjnego terroryzmu, dla którego państwo jest celem samym w sobie”, odnotowywał Benjamin w *Pasażach*. Stalinowscy budowniczcy – być może nie do końca świadomie czy bezpośrednio – zapatrzeni byli w styl francuskiego cesarstwa, zwany też „stylem Napoleona I”, będący manifestacją politycznej potęgi i mitotwórczości. Jego głównym celem było budowanie dystansu i autorytetu władzy, podporządkowanie estetyki logice dominacji. Benjamin postrzegał styl empire jako estetyczną emanację autorytaryzmu i militarystyki, przełożoną na język urbanistyki, architektury, dekoracji, przedmiotów codziennego użytku. Pełen monumentalnych konstrukcji oraz elementów i figur zaczerpniętych ze starożytności, służył gloryfikacji władzy absolutnej. Klasyczne formy zostały podporządkowane nowoczesnej propagandzie. Empire – jako wyraz „estetyzacji polityki” – ucieleśniał sprzeczność charakterystyczną dla Francji początku XIX, ale i ZSRR lat 40. i 50. XX stulecia. Z jednej strony był to powrót do antycznej przeszłości, z drugiej zaś próba jej użycia jako narzędzia do kształtowania przyszłości. Przeszłość udająca przyszłość i przyszłość udająca powrót do przeszłości – w taki

oto sposób „pałace” socrealizmu zajęły miejsce sztuki awangardowej projektującej nowoczesność.

A jak sprawy miały się w demokracjach liberalnych? Cóż, szcząc się wolnością artystyczną, one także używały sztuki jako broni ideologicznej. W okresie zimnej wojny CIA wspierała ekspresjonizm abstrakcyjny – Jackson Pollock, Mark Rothko – jako swego rodzaju dowód na twórczą wolność Zachodu, przeciwstawianą socrealistycznemu rygoryzmowi bloku wschodniego. Jednocześnie w tym samym okresie artyści, pisarze, intelektualiści o lewicowych poglądach byli w USA inwigilowani i „cenzurowani” w ramach maccartyzmu. Wolność sztuki była więc warunkowa – zależała od zgodności z określoną wizją świata. W 1949 roku John Wayne (pseudonim artystyczny) został przewodniczącym konserwatywnego stowarzyszenia (de facto rasistowskiego, antysemitowskiego, faszystowskiego, izolacjonistycznego, antykomunistycznego, antyzwiązkowego) Motion Picture Alliance for the Preservation of American Ideals, które aktywnie współpracowało z FBI i Komisją ds. Działalności Antyamerykańskiej (HUAC). Dostarczało nazwisk osób podejrzanych o „niełojalność” wobec Ameryki. Wayne otwarcie wspierał przesłuchania w Kongresie i potępiał aktorów, scenarzystów oraz reżyserów o lewicowych poglądach. Był ideologicznym sojusznikiem maccartystów. Produkował i występował w filmach o antykomunistycznym wydźwięku, jak choćby *Big Jim McLain* z roku 1952, w którym grał agenta HUAC tropiącego komunistów na Hawajach. Wayne był wielkim zwolennikiem wolnego rynku, militarizmu, amerykańskiego nacjonalizmu i przeciwnikiem wszelkich form lewicowości. W wywiadach mówił między innymi, że „czarnoskórzy” nie są jeszcze gotowi na równouprawnienie, i bronił kolonializmu. Nagonka polityczna wspierana przez takie ruchy jak MPA przyczyniła się między innymi do tego, że prezentującemu lewicowe poglądy, wspierającemu fronty antyfaszystowskie, krytykującemu kapitalizm i sprzeciwiającemu się militaryzmowi Charliemu Chaplinowi – który naśmiewał się z „estetyzacji polityki” w *Dyktatorze* – w trakcie podróży do Europy kierowane przez Hoovera FBI oraz INS (Immigration and Naturalization Service) cofnęły wizę. Oficjalnie chodziło o „nielegalne związki” i „niemoralne życie”. W rzeczywistości była to kara polityczna za jego wypowiedzi i działalność publiczną. Jak twierdził francuski antropolog i socjolog Pierre Bourdieu, pole sztuki czy też pole intelektualne ma raczej niewielkie szanse w starciu z polem polityki.

Władze Polski Ludowej, podobnie jak rządy ZSRR i USA, doskonale rozumiały potęgę przekazu wizualnego jako narzędzia wpływu społecznego oraz formowania tożsamości zbiorowej. W warunkach powojennej rekonstrukcji państwa – nie tylko w wymiarze materialnym, ale i symbolicznym – filmy pełniły funkcję nośnika narracji narodowej, ideologicznej i edukacyjnej. Najbardziej znanym przykładem tej strategii było z pewnością monumentalne dzieło *Krzyżacy* w reżyserii Aleksandra Forda. Pracować zaczęto nad obrazem w roku 1958, zaś premierę miał on 15 lipca 1960. Ekranizacja powieści Henryka Sienkiewicza uznawana jest za klasykę polskiego kina historycznego. Producenci dysponowali bezprecedensowym budżetem, przyznanym przez instytucje podległe Radzie Państwa. Obrazowi zapewniono również możliwie najszerszą dystrybucję. Trudno nie dostrzec walorów propagandowych filmu. Chodzi w szczególności o sposób, w jaki twórcy – dość umiejętnie – zinterpretowali

przeszość w celu wsparcia bieżącej narracji politycznej. *Krzyżacy* są przykładem kinowej mitologizacji dziejów, która nie tyle rekonstruuje wydarzenia historyczne, ile konstruuje ich znaczenia w aspekcie potrzeb współczesności.

W centrum tego mitu znajdowała się narracja o odwiecznej walce Polaków z zachodnimi najeźdźcami. Krzyżacy przedstawieni są w filmie jako zaborczy, brutalni, bezlitośni, nieuczciwi i kulturowo/językowo obcy (w przeciwieństwie do „bratnich” Słowian ze wschodu). Owa opozycja – de facto Polacy vs Niemcy (ale też Układ Warszawski vs NATO) – pełniła funkcję nie tylko symboliczną, ale również ideologiczną. Nietrudno dostrzec analogie pomiędzy średniowiecznymi rycerzami a narodowymi socjalistami (czarne krzyże na habitach wywoływały konotacje ze swastyką), którzy zrujnowali materialnie kraj, mordując przy tym znaczną część jego ludności. Podkreślane jest zmilitaryzowanie zakonu, jego autorytarna struktura, stosowanie przemocy wobec cywilów. Ekipa pod kierownictwem Forda zbudowała paralelę między dawną walką z niemieckojęzycznymi kolonistami spod znaku krzyża a doświadczeniami II wojny światowej, które wciąż były silnie obecne w pamięci zbiorowej i indywidualnej.

Urodzony w 1908 w Kijowie w żydowskiej rodzinie Ford w czasie II wojny światowej znalazł się na terenach zajętych przez Rosjan. Tam współpracował z radzieckimi wytwórniami filmowymi, realizując reportaże i filmy szkoleniowe dla Armii Czerwonej. Po ataku III Rzeszy na ZSRR przebywał między innymi w Nowosybirsku i Taszkencie. Następnie dołączył do 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Zorganizował tam ekipę filmową „Czołówka”, która dokumentowała nie tylko postępy armii, ale też zbrodnie hitlerowskie. Powstały wówczas film *Majdanek – cmentarzysko Europy* uznawany jest za pierwszy obraz ukazujący nazistowskie obozy zagłady. Wywarł on silny wpływ na wizualne przedstawienia Holokaustu. Po wojnie Ford odgrywał znaczącą rolę w instytucjonalnym ukształtowaniu polskiej kinematografii. Współtworzył struktury „Filmu Polskiego”, którego został pierwszym dyrektorem. W okresie stalinowskim dążył do centralizacji produkcji i nacjonalizacji kin, pozostając jednocześnie aktywnym reżyserem. Pochodzący z końca lat 50., czyli „czasu odwilży”, *Krzyżacy* byli efektem starań o odzyskanie przychylności władz przez Forda po konflikcie z Władysławem Gomułką (I sekretarz podczas kolaudacji jego wcześniejszego filmu – ekranizacji *Ósmego dnia tygodnia* Hłaski – miał powiedzieć, że „reżyserzy w Polsce widzą tylko picie wódki”. Ford umiejętnie wykorzystał napięcia dyplomatyczne między PRL a RFN i przedstawił projekt *Krzyżaków*, który szybko zyskał akceptację kierownictwa Partii.

Mediewalne dzieje posłużyły legitymizacji powojennego ładu geopolitycznego, w tym przede wszystkim uzasadnieniu przesunięcia granic Polski na zachód – decyzji narzuconej aliantom przez Józefa Stalina w Poczdamie (zachodni przywódcy uważali, że chodzi o stworzenie kolejnej, to jest niepertraktowanej wcześniej, „polskiej strefy okupacyjnej”). Ziemie takie jak Śląsk, Pomorze czy Warmia i Mazury, przyznane Polakom kosztem dawnych terenów wschodnich, wymagały kulturowego „oswojenia” i zakorzenienia w świadomości społecznej. Potrzebna była nie tylko polityka migracyjna i administracyjna, ale też symboliczna praca pamięci, budująca przekonanie, że są to ziemie „od zawsze polskie”, dziś jedynie „odzyskane”. Film Forda idealnie odpowiadał na to zapotrzebowanie. Grunwald stał się nie tylko

miejszem zwycięstwa nad Zakonem, lecz także figurą dziejowej sprawiedliwości, sankcjonującą nowy porządek terytorialny Europy Środkowo-Wschodniej. Reżyser wykreował obraz zbiorowości zjednoczonej wokół monarchy – ludu silnego, pełnego godności, moralnie wyższego niż „zgniły” zachód. Wieńcząca dzieło monumentalna scena bitewna to swoista inscenizacja narodowego triumfu. Jej zadaniem było właśnie wzmocnienie przywiązania do ojczyzny, ale też, a może przede wszystkim, zbudowanie poczucia ciągłości dziejowej państwa i jego „odwiecznych ziem piastowskich” (pamiętać należy, że znaczna część osiedleńców z Kresów i centralnej Polski wątpiła w stabilność granic, co swą ekspresję znajdowało w haśle „Niemcy wrócą”).

Władze partyjne podejmowały działania, które miały legitymizować przynależność Ziemi Odzyskanych do państwa polskiego również w obszarze architektury i urbanistyki czy szerzej – przestrzeni publicznej. Obok realizacji projektów w duchu socrealizmu – takich jak Pałac Kultury i oś przecinająca centrum Warszawy (z MDM) oraz Nowa Huta w Krakowie – dokonywano rekonstrukcji zniszczonych pod koniec II wojny światowej obiektów średniowiecznych. Przykładem tej „polityki architektonicznej” była odbudowa gotyckich świątyń i zabytków świeckich we Wrocławiu – Katedry św. Jana Chrzciciela oraz innych ceglanych, strzelistych kościołów. Rekonstrukcja owych budowli bynajmniej nie miała wyłącznie charakteru konserwatorskiego. Służyła symbolicznej i aksjotycznej integracji stolicy Dolnego Śląska z narodową historią i kulturą. W ten sposób komunistyczne władze, mimo ideologicznego dystansu wobec religii, wykorzystywały dziedzictwo architektoniczne do budowania narracji o nieprzerwanej obecności polskości na przejętych terenach. Osobnym przykładem jest pomnik Aleksandra Fredry, który został przewieziony ze Lwowa do Wrocławia i ustawiony na Rynku. Ten gest miał wartość sentymentalną dla repatriantów ze Wschodu, wpisywał się jednak również w politykę wytwarzania mitu „Lwowa nad Odrą”, czyli ideę głoszącą, że Wrocław przejął rolę dawnej kresowej stolicy kultury i nauki. Z tej samej przyczyny przenoszono ze Lwowa księgozbiory, wyposażenie sal i gabinetów uniwersyteckich czy elementy wystroju kościołów, co miało wspierać tożsamościową ciągłość. Wszystkie te działania służyły przekonaniu obywateli o słuszności powrotu ziem zachodnich do macierzy – po długich wiekach wojen, zmian granic i migracji.

Architektura, rzeźba, malarstwo, ale też i fotografia okresu realizmu socjalistycznego w Polsce (1949–1956) były narzędziami propagandy ideologicznej i (podobnie jak w ZSRR) estetycznym wyrazem komunistycznej wizji nowego społeczeństwa. Sztuka ta miała być czytelna, pozytywna w przekazie, okazała i funkcjonalna, a zarazem heroiczna i propaństwowa, zgodnie z hasłem: „socjalistyczna w treści, narodowa w formie”. Przedstawienia z tego czasu określa się jako realistyczne, ale w rzeczywistości były one monumentalne, wzniosłe, wyidealizowane. Ukazywały przodowników pracy, chłopów, robotników, inżynierów, uczonych pracujących na rzecz nowego sprawiedliwego ustroju i rozwoju racjonalnej gospodarki, to jest centralnie planowej. Rzeźby miały za zadanie wychowywać i inspirować obywateli do wysiłku i poświęcenia dla ojczyzny. Nie brakowało mozaik i murali przedstawiających żołnierzy lub – zwłaszcza na tzw. Ziemiach Odzyskanych – piastowskich władców, stojących na straży granic państwa. Te formy sztuki użytkowej i „dekoracyjnej” dominowały na takich obiektach publicznych, jak zakłady produkcyjne,

szkoły, kina, domy kultury, dworce. Także i one wychwalały ciężką pracę, przemysł, postęp, naukę, edukację, pokój pomiędzy narodami, świetlaną socjalistyczną przyszłość. „Oto Partia – ludzkości wzrok / Oto Partia: siła ludów i sumienie / Nic nie pójdzie z jego życia w zapomnienie / Jego Partia rozgarnia mrok” – pisała po śmierci Iosifa Wissarionowicza Dżugaszwiliego najznakomitsza polska poetka XX wieku – Wisława Szymborska.

Po przełomie 1956 roku, który przyniósł koniec stalinowskiego dogmatyzmu, w Polsce – podobnie jak w innych krajach bloku wschodniego – nastąpił widoczny zwrot ku modernizmowi. Styl ten, wcześniej potępiany jako „formalizm” i przejaw „burżuazyjnego dekadentyzmu”, powrócił jako „estetyczne narzędzie” nowoczesności, racjonalności oraz wyraz postępu technologicznego. Modernizm, z jego funkcjonalnością, prostotą i przekonaniem o możliwości kształtowania lepszego społeczeństwa poprzez przestrzeń, stał się dominującym językiem architektonicznym lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ewoluował on stopniowo w stronę brutalizmu – surowego, masywnego i ekspresyjnego – który jednak już raczej rzadko odwoływał się do ideologicznego monumentalizmu znanego z okresu socrealizmu (z pewnymi wyjątkami). Zbliżone tendencje zaobserwować można w Czechosłowacji, Rumunii, Bułgarii, Związku Radzieckim, gdzie futurystyczna architektura publiczna – dworce, instytuty naukowe, hale wystawowe – pełniła funkcję symbolu „socjalistycznej nowoczesności”.

W Polsce owa „modernistyczna transformacja” miała swoje szczególne rysy. Architekci zyskali większą swobodę tworzenia, co przyniosło rezultaty w postaci realizacji nowatorskich projektów łączących funkcjonalność z estetyką, a w dalszej kolejności zwrot ku futurystycznej wizji przestrzeni. Fascynacja elektroniką, cybernetyką, kosmosem przekłada się na formy architektoniczne i mozaiki inspirowane fizyką i powieściami science fiction. Wnętrza hoteli, domów kultury, kin, a nawet centrów medycznych zaczęły przypominać scenografie z ekranizacji powieści Stanisława Lema. Były one wyrazem ambicji nie tylko projektantów, ale i aspiracji państwa. Do najbardziej reprezentacyjnych realizacji modernizmu i brutalizmu z domieszką futuryzmu należą: Dworzec Kolejowy w Katowicach, z charakterystycznymi betonowymi kielichami, Spodek, czyli hala widowiskowa o kosmicznej bryle, czy warszawski Supersam z innowacyjnym dachem wiszącym.

Równoległe do opisywanych zjawisk architektonicznych, mimo wciąż obowiązującej cenzury i instytucjonalnej kontroli, władze PRL zaczęły tolerować, a niekiedy nawet wspierać działania artystów awangardowych. Dotyczy to zwłaszcza dziedzin posiadających ograniczony zasięg lub wydźwięk polityczny: muzyki, teatru, performansu, sztuki konceptualnej, ale także wzornictwa przemysłowego, ceramiki, szkła. W tym kontekście można mówić o zjawisku „kontrolowanej” czy „licencjonowanej” autonomii, w ramach której państwo oddawało twórcom przestrzeń do działania, o ile nie podważali oni fundamentów socjalizmu. Przykładami tej względnej swobody są działania takich ośrodków jak Galeria Foksal w Warszawie, Teatr Laboratorium Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, Warsztat Formy Filmowej w Łodzi, Teatr Cricot 2 Tadeusza Kantora w Krakowie czy Galeria Labirynt w Lublinie. Sympozja artystyczne – na przykład Wrocław’70 – łączyły eksperymenty z pogranicza urbanistyki, rzeźby i działań efemerycznych, rekonceptualizując przestrzeń publiczną.

Władze, choć nadal czujne wobec politycznej wymowy sztuki, zaczęły także wykorzystywać dorobek awangardy jako element służący budowaniu międzynarodowego wizerunku Polski. Twórczość artystów eksperymentalnych prezentowana była na prestiżowych wystawach za granicą, a kultura służyła jako dowód otwartości i nowoczesności systemu socjalistycznego. Taka sytuacja stwarzała miejsce dla swoistej gry między artystami a instytucjami – przestrzeń negocjacji, w której możliwa jest twórcza wolność w ramach ograniczeń politycznych.

Po 1989 roku, wraz z upadkiem wielkiego projektu państwa robotniczego i transformacją ustrojową, relacja między polem sztuki a polem władzy uległa oczywiście zasadniczej zmianie. Zniesienie cenzury i ideologicznej kontroli ze strony państwa przyniosło poszerzenie wolności twórczej, lecz jednocześnie prowadziło do stopniowego podporządkowania sfery artystycznej regułom wolnego rynku i logice kapitału. W miejsce „centralnie sterowanej” kultury, służącej estetyzacji porządku socjalistycznego, pojawił się nowy układ sił, w którym przemożną władzę zaczął sprawować pieniądz. W dobie neoliberalizmu nie tylko aparat państwowy, ale też mechanizmy ekonomiczne, instytucje rynku sztuki, prywatni kolekcjonerzy i sponsorzy budujący za pomocą kultury swój kapitał symboliczny zaczęli kształtować warunki produkcji artystycznej. Autonomia artysty zyskała nowy wymiar, ale równocześnie została skonfrontowana z wymogiem komercyjności, medialności, przystępności czy atrakcyjności wobec gustów nowych elit.

Sfera sztuki nie została też całkowicie wyjęta spod wpływu władzy politycznej. Przeciwnie, zwłaszcza w przestrzeni publicznej interwencje państwa czy samorządów pozostają silnie obecne. Wyraźnym tego przykładem jest chociażby pomnik smoleński, który – niezależnie od oceny wartości artystycznej – stał się nośnikiem przekazu ideologicznego i narzędziem walki o hegemonię kulturową. Spory o jego lokalizację, formę i przesłanie unaocniają, że przestrzeń publiczna nadal stanowi pole konfliktu o interpretację historii, wartości i tożsamość wspólnoty. Jednocześnie okres po transformacji ustrojowej to czas ożywionej debaty o roli sztuki, jej granicach i relacjach z religią, przemianami społecznymi i pamięcią. Przykładem może być głośna instalacja Maurizio Cattelana *La Nona Ora* – przedstawiająca papieża Polaka przygniecionego meteorytem – której obecność w warszawskiej Zachęcie wywołała burzliwą dyskusję publiczną i reakcje polityczne.

W systemie demokratycznym sztuka oczywiście sytuuje się w większej kontrze do władzy, niż ma to miejsce w państwach autorytarnych. Może ją komentować, kontestować, prowokować, mimo iż pozostaje od niej na różne sposoby zależna. Nie funkcjonuje w pełni autonomicznie, bowiem uzależniona jest od struktur finansowania publicznego, co sprawia, że decyzje instytucji krajowych oraz lokalnych mają istotny wpływ na jej rozwój, widzialność i społeczne uznanie. Mimo to praktyki artystyczne niewątpliwie pełnią funkcję przestrzeni negocjacji i redefinicji podstawowych kwestii związanych z przeobrażeniami tożsamościowymi wspólnot. Sztuka świadomie przechwytuje język, symbole czy strategie dominujących porządków – politycznych, ekonomicznych etc. – po to, by je przekształcić, odwrócić ich sensy czy odsłonić ukryte mechanizmy. W ramach subtelnych, często efemerycznych działań artyści potrafią posłużyć się narzędziami władzy w celu podważenia ich oczywistości i zakwestionowania autorytetu. Choć w demokracjach

liberalnych nadal często pełnią one funkcję narzędzia dominacji, legitymizując obowiązujący porządek społeczny i reprodukując wartości promowane przez elity (wytwarzając dystynkcje), to jednocześnie stanowią one potencjalną przestrzeń oporu i emancypacji. Niekiedy są jedynym miejscem artykulacji doświadczeń grup podporządkowanych, marginalizowanych, wykluczonych. Wywołują spory, dzięki którym możliwe są zmiany w obrębie horyzontów znaczeń i wartości.

Współczesna polska sztuka, czy szerzej – kultura, odzwierciedla globalne zjawiska społeczne i polityczne. Z jednej strony pole artystyczne przetwarza ważne tematy, które są obecne na całym świecie, takie jak: batalia o uznanie różnych tożsamości, w tym spory o gender i tożsamość płciową; refleksja nad historycznymi i współczesnymi skutkami kolonializmu oraz nad miejscem Polski i Europy Środkowo-Wschodniej w postkolonialnej narracji; walka z nierównościami ekonomicznymi i wyzyskiem; z nadmiernym konsumpcjonizmem; niepohamowaną eksploatacją środowiska naturalnego; namysł nad kwestiami związanymi z przemocą i wojnami; z migracjami. Z drugiej strony polska kultura artystyczna (film, seriale, teatr, literatura) poddawana jest silnym naciskom politycznym, które często prowadzą do zjawiska określanego jako „brunatnienie”. Termin ten odnosi się do rosnącej obecności i wpływu konserwatywnych, skrajnie prawicowych, nacjonalistycznych narracji w przestrzeni publicznej. W czasach postprawdy, gdy fakty i obiektywne dane ustępują miejsca emocjom, manipulacjom i uproszczonym przekazom, pole sztuki bywa wykorzystywane do promowania polityki tożsamości opartej na narodowej jedności i wykluczających retorykach. W efekcie pojawiają się napięcia między artystami, którzy chcą otwarcie mówić o różnorodności, pluralizmie i krytyce społecznej, a tymi, którzy próbują kulturowo i politycznie zmonopolizować dyskurs, ograniczając wolność wyrazu.

Podsumowując, można powiedzieć, że analiza relacji między sztuką a władzą ujawnia ich strukturalne współzależności, które nie tyle wynikają z opisu konkretnych historycznych przypadków, ile są głęboko osadzone w samych mechanizmach produkcji znaczeń i organizacji widzialności. Sztuka jest formą działania symbolicznego, która nieuchronnie wpisuje się w porządek aksjologiczny każdej epoki. Praktyki artystyczne są angażowane w służbę władzy, czy to poprzez estetyzację polityki, czy też upolitycznienie samej sztuki, podporządkowanej projektom ideologicznym i mobilizowanej do walki o dominację dyskursywną oraz ikoniczną. Jednocześnie sztuka posiada potencjał rekonstrukcji tego porządku – poprzez ironię, prowokację czy reinterpretację kodów kulturowych. Jej siła nie polega na prostej opozycji wobec władzy, lecz na zdolności do destabilizowania reguł, norm, wzorów i otwierania przestrzeni dla eksperymentu. W tym sensie pole sztuki czy kultury jest jednocześnie miejscem podporządkowania i emancypacji, hegemonii i kontestacji – dynamicznym układem, w którym toczy się nieustanna gra o redefiniowanie świata społecznego. Nie sposób dotrzeć do „władz sztuki”, utrzymując podejście dualistyczne. Tylko spojrzenie relacyjno-strukturalne jest zdolne uchwycić napięcia, zworniki i mechanizmy wzajemnego kształtowania się obu tych sfer ludzkiej aktywności. Nie chodzi o to, by znaleźć ostateczną odpowiedź na pytanie, czy sztuka może być wolna, lecz by stale badać warunki owej wolności i sposoby jej artykulacji – również w kontekście uwikłań w narzędzia władzy/panowania.

Zorganizowana niemoralność: kłamstwa, defraudacje, morderstwa

Nie obawiamy się o nasze życie, tylko o naszą percepcję.

Ralph Waldo Emerson

Władza miewa swoich miłośników – takim był Georg Wilhelm Friedrich Hegel, wychwalający pruski dryl i nieludzki porządek. Ma też przeciwników, ale generalnie są to zwolennicy ograniczania i kontrolowania władców. Za to Friedrich Nietzsche miotał gromy na władzę, nazywając ją zorganizowaną niemoralnością, gdyż wedle niego żaden indywidualny człowiek nie popełniłby czynów, które są codzienną praktyką państwa. A na dodatek w jego strukturach tkwią ludzie podli i mali, nie ma tam miejsca dla jednostki większej, dla nadczłowieka. Natomiast władza stara się osiągać maksymalne wymiary, zarówno prawne, jak i przestrzenne, dlatego państwo jest formą władzy najpotężniejszą, najbardziej rozbudowaną, wścibską i zagrażającą mieszkańcom. O tych zagrożeniach wspaniale pisał Stanisław Lem, choćby w *Bajkach robotów*, ostrzegając przed głupotą i złą wolą władców. Myślenie ciężko przychodzi władcom, zaś wymagania stawiane poddanym są zmienne, jak najwięcej zakazów i nakazów oraz kontrola wszelkich czynów i myśli. Sprawdzić wszystko i wszystkich unormować. Już Immanuel Kant uważał, że z pogiętej gałęzi człowieczeństwa nic prostego nie da się zrobić. I teraz dobrze wiemy, że im jest silniejsze dążenie władzy do zbiorowego ujednolicenia człowieka, tym większa staje się jego indywidualna amoralność, gdyż jest to równanie w dół. Nie wiem, co będzie przyszłością Chin, rzekomo ludowych, ale ujednolicanie mas ma miejsce też i w naszym – nie naszym państwie. Błędne decyzje władzy są bardzo kosztowne i często nieodwracalne. Arnold J. Toynbee przypominał upadek cywilizacji na Malcie, kiedy to ludność wymarła z głodu, oddając się lepieniu urzędowo-obrzędowych figurek, a porzucając uprawy.

Ilekróć mówimy o władzy, tylekróć cisną się nam na usta słowa „wolność” i „nie-wola”, które, względem niej, traktujemy jako przeciwstawne, ale jej prawdziwym przeciwieństwem jest przecież anarchia. Istotą państwa jest władza, a polityka jest sztuką jej utrzymania. Tam, gdzie nie ma władzy, trwa wojna jak w Somalii lub

panuje głód jak w Kamerunie. Wygląda na to, że bez przemocnej władzy ludzie nie mogą żyć w zgodzie i pokoju. Jakby zawsze niezbędny był zimny potwór – Lewiatan, który gasi krwiożercze żądze.

Swoisty system władzy istniał pod rządami Inków. Nie było głodu, panował porządek, ale lud miał obowiązek ciasnego bandażowania głów dziecięcych, aby żadna myśl tam nie zaświtała. I była to metoda skuteczna, łatwo kierować stadem głupców, nikt się nie zbuntuje. Teraz, zamiast bandażowania główek, mamy tak zwane mass media, dzięki którym nic nie rozumiemy i wszystko staje się tajemnicą, zamętą lub błagą. Ilekroć po raz tysięczny coś jest nam sprzedawane jako prawda, to jest ewidentne kłamstwo. A jak pisał garbaty Georg Christoph Lichtenberg: „Najniebezpieczniejsze nieprawdy to prawdy nieznacznie tylko zniekształcone”. Natomiast kto uważa postęp techniczny za postęp kultury, ten jest głupi. Mass media manipulują rzeczywistością, aby pasowała do sztucznych schematów, które wypaczają poznanie i nie uwzględniają różnorodności poplątanego życia ludzi. Kłamstwo jest podstawą funkcjonowania władzy.

Zaś Hannah Arendt ostrzegła: „Biurokracje, czyli rządy ani prawa, ani ludzi, lecz anonimowych instytucji, których bezosobowa dominacja okazuje się największym zagrożeniem dla wolności, i minimum o głady, a bez tego życie wspólnotowe nie jest możliwe”. Do tego można jeszcze dodać zdanie Friedricha Augusta von Hayeka: „Przez danie rządowi nieograniczonej władzy najbardziej samowolne zarządzanie może być prawne; i tym sposobem demokracja może ustanowić najbardziej kompletny, aż niewyobrażalny despotyzm”. Krótko mówiąc – mamy totalitarną demokrację biurokratyczną i nie inaczej postrzegam naszą rzeczywistość.

Władza. Spójrzmy na to nader powszechne zjawisko, towarzyszące ludziom od tysiącleci, więc opisywane dokładnie przez autorów starożytnych w sposób jasny i zrozumiały. Oczywiście należy zacząć od Platona i jego arcydzieła pod tytułem *Państwo*. Mieszkańcy dzielą się na dwie grupy: jest mnogi lud i strażnicy, nie tak liczni, ale to oni są ważniejsi. Oni decydują, ale tak, aby ludność była przekonana, że ten wybór należał do ludu i nikt nim nie manipulował. Platona to nie oburza, bo to normalna praktyka, zwyczajne kłamstwo, a przecież tak naprawdę nic nie wiemy i nasze sądy nie mają nic wspólnego z prawdą, lecz są interpretacją zmienionych cieni. Carl Gustav Jung ostrzegł: „Gdzie dominuje nieświadomość, tam zawsze panuje niewola – ba, nawet opętanie”. W innym miejscu dodał: „Nietrudno zauważyć, że moce świata podziemnego – by nie rzec piekła, teraz tworzą system niewolnictwa państwowego; państwo staje się więzieniem odpornym na wszystkie impulsy ducha i intelektu”.

Jest słynna anegdota, jak to tyran pokazywał filozofowi swoją metodę utrzymywania się przy władzy. Gdy szli przez pole zboża, tyran laską strącał co bardziej wybujałe kłosa. Obecnie strażnicy i przeliczne osoby aspirujące do tego statusu, związanego z godnymi dochodami oraz ponadprawnymi możliwościami, zajmują się utracaniem jednostek, które podejrzewa się o myślenie. Najłatwiej jest takie osoby opluwać i krzyczeć: „Ależ to plugawa postać, powinien już utonąć, bo tak starannie i obficie go opluwamy”. Mądryemu biada. A większość tak zwanych wielkości to mniej niż marna przeciętność sztucznie napompowana, co to kłopotu nie sprawi. Teraz wymaga się niemyślenia w sprawach politycznych i moralnych, które

chroniąc ludzi od samodzielnej myśli, uczy ich sztywnych reguł postępowania. A jak uczy H. Arendt: „Bezmyślnym życiem człowiekowi żyć nie warto”.

Cyceron rozbudowywał koncepcje państwa rzymskiego jako najważniejszego tworu ludzkiego. Zamiast strażników w roli obrońców ojczyzny widział obywateli, a patriotyzm uważał za rzecz absolutnie najważniejszą. Ale ilość obywateli równała się ilości strażników, gdyż aby zostać uznanym za wolnego obywatela, trzeba było posiadać minimum czterech niewolników. Także do ludzi wolnych nie wliczano kupców i rzemieślników. Cyceron współczuł doli nieobywateli, którzy stanowili większość populacji, zdając sobie sprawę, że przy rządach elity masy w skromnej ledwie mierze mogą korzystać z wolności, skoro pozbawione są udziału w decyzjach i we władzy. Natomiast neoplatonik Plotyn twierdząc, że zło jest brakiem dobra, marginalnie wtrącił uwagę: „I wreszcie: źli są u władzy z powodu tchórzostwa poddanych”. Ale jak tu być odważnym, kiedy nawet za nieumyślne podniesienie głowy może spaść na nią tyraniczny cios...

Kolejnym znanym autorem kontynuującym rzymską koncepcję władzy był Niccolò Machiavelli, który pokazał, że tak zwane cnoty chrześcijańskie – litość i miłosierdzie – doprowadzą każdą władzę do upadku, gdyż władca musi być przebiegły jak lis i okrutny jak wilk. Inaczej władza wymknie się mu z rąk i nie ma miejsca na żadne sentymenty. Jasno wypowiedział się wódz Włochów, pozujący na Rzymianina Benito Mussolini, który swoją przedmowę do *Księcia* szczerze zatytułował: *Lud nigdy nie jest suwerenny*. To strażnicy decydują i zawsze tak było. Wszelkie narzekanie na niejawność władz, że nie wiemy, kto jest panem, a kto tylko figurantem oraz jaka jest potęga tajnych służb, nie mają sensu. To trzeba „pozamiatać”, ale czy znajdzie się jakiś Konrad Wallenrod? Owszem, uważam, że tajne organizacje powinny być absolutnie zakazane, gdyż brak jawności generuje działania przestępcze. Strażnicy zbierają i ukrywają informacje, a w ich miejsce generują dezinformacje, następnie propagowane przez mass media. Ma być wszystko ładnie zamaskowane. Za ujawnienie tajemnicy lub sprawianie kłopotów jest samobójstwo lub wypadek. Wielu pachołków pcha się na służbę, nie pojmując, że to bardzo sowiec nagradzany dyshonor, a wręcz hańba. Zhuangzi pisał, że jeżeli władca za coś hojnie płaci, to usługi muszą być haniebne.

Na ten temat wypowiadał się angielski katolik Gilbert Keith Chesterton: „Kult Służby to stawianie na piedestale metody i zapominanie o celu”. To pojęcie idiotów, którzy paplają, że polityka ma być skuteczna, i nie zastanawiają się nad jej skutkami. Podległość czy wręcz służba Służbom nie ma żadnego sensu. Nie sposób mówić rozsądnie o Służbach, skoro nikt się nie zastanawia, czemu mają służyć ani jak uzgodnić reguły pełnienia posług. W konsekwencji państwo Służb jest państwem niewolniczym, w którym ustanowione prawo zmusza wiele jednostek i rodzin, by pracowały dla zysku innych, a cała społeczność ma cechy grupy niewolniczej. Służby nie tylko są kosztowne, nie tylko kradną, korzystając z niejawności, ale składają się z mściwych osobników o reputacji absolutnie pewnej i bezwzględnej. Odnoszę wrażenie, że to oni dobierają nam dygnitarzy na zasadzie, że im głupszy, tym lepszy na stanowisko. Jest arcylist Adama Mickiewicza do Tomasza Zana datowany 13/25 maja 1820, w którym pisze on: „Plan Onufra przywiódł mi na myśl sławną Rzeczpospolitą Babińską, gdzie urzędy rozdawano dla poprawienia; i tak: kto był pijakiem, dostał podczaszowstwo, kto złodziejem, podskarbstwo etc.”. Czyżby to nadal trwało?

Nie należy zapominać, że istnieją różne sposoby sprawowania władzy. Styl bizantyjski, w którym najubożsi ponoszą największe obciążenie podatkowe, a żeby coś zacząć, trzeba najpierw ponieść wiele opłat. W więzieniach szkoli się sto tysięcy przestępców, na których idzie więcej pieniędzy niż na emerytów. Do tego dochodzi armia urzędników, a pobór podatków od ubogich kosztuje więcej niż uzyskiwany dochód, zaś utrzymanie wszelkich strażników jest wielką niewiadomą. Władza wciąż narzeka na deficyty, ale to wynik opresyjnych metod stosowanych wobec ludu. Jedną z takich metod przynoszących fatalne efekty jest podatek od pracy, o czym już dwieście lat temu pisał Adam Smith.

Łącznie przez rok byłem w kraju, gdzie wszystko jest odwrotnie i bogactwo kwitnie, czyli w Malesji – republice islamskiej. Językiem urzędowym jest angielski. Tam nie ma więzień, gdyż humanitaryzm i litość wobec przestępców jest okrucieństwem wobec mieszkańców. Za uderzenie obcego, za okradzenie obcego, za spowodowanie wypadku drogowego, potrącenie pieszego lub rowerzysty jest tam kara śmierci. Nie ma świateł dla pieszych, gdyż to człowiek jest najważniejszy i może wejść na jezdnię w każdym miejscu i momencie. Nikt nie pędzi i nie trąbi na pieszych, bo to chamstwo. Są przystanki dla autobusów, ale wsiąść i wysiąść można wszędzie na trasie. System podatkowy jest odwrotny, płacą wielkie firmy, natomiast zgodnie ze wskazaniami Koranu ludzie pracujący własnymi rękoma lub u kogoś zatrudnieni nie płacą żadnych podatków, a ubezpieczenia są dobrowolne. Nie widziałem tam urzędów, nie ma rejestracji gospodarczej, a o istnieniu tajnych policji nic się nie dowiedziałem. Państwo kwitnie i nie wie, co to deficyt. Nie słyszałem też o haniebnej, prokuratorskiej kontroli żeńskich narządów płciowych, co ma miejsce w naszej przedziwnej demokracji sterowanej przez pretorianów.

W dziewiętnastym wieku Henry David Thoreau napisał słynny esej *Obywatelskie nieposłuszeństwo*, w którym wyjaśnił, jak należy się przeciwstawiać władzy i jej niesłusznym decyzjom. Na ten tekst powoływał się Mahatma Gandhi i Martin Luther King, a do napisania tego tekstu skłoniła filozofa noc spędzona w areszcie za sprzeciw wobec zbrojnemu zajęciu terytorium, który nazwano Nowym Meksykiem. Tam mieszkali i chyba nadal mieszkają Indianie spożywający pejotl, pozyskiwany z kaktusów, po którym mają dziwne wizje. I co najdziwniejsze, ci ludzie nie potrzebują władzy, żadnej policji i jakiegokolwiek opieki czy nadzoru państwa. Ale czy jest nadzieja w meskalinie? To groźny narkotyk. Gdy wojsko wchodziło, Indianie nieruchomo siedzieli na progach swoich domów i tylko się przyglądali. Nie chwycili za broń, bo jej nie mieli. Zachowali spokój.

Na zakończenie przypomnę słowa Richarda Rorty'ego: „Wszelako to nie nauka czy naturalizm filozoficzny zagrażają dyskursowi nienormalnemu. Zagraża mu niedostatek żywności i tajna policja... swobodna i wolna od trosk materialnych konwersacja tworzy dyskursy nienormalne tak, jak ognisko nieci iskry. I niech władza nie tłumi naszych dyskursów, lepiej zrobi likwidując tajne policje. Więcej jawności i wolności”.

WALDEMAR OKOŃ

Poematy nadziemne

Happening

Białe pielęgniarki
jak konie podnoszą nogi podnoszą czepce z czarną opaską
biorą udział w wyścigach ponad przeszkodami
pryska mlecz gryziemy wędzidło nie zatrzyj sobie oczu
oślepniesz od blasku
zranisz

białe pielęgniarki niosą pomoc
jak kukłę owiniętą w całuny jak siodło założone na plecy
ogniwo nie czyni łańcucha
pozwólmy im żyć przez chwilę rozebrać się po zmianie
umyć krocze położyć stopy powyżej głowy
niech odpłynie krew i przyjdzie czas zapomnienia

po linie biega małpa gra na kataryncie nie żąda pomocy
jest zdrowa jak dziewczyna o białej twarzy jak krzyże
zwisające z sufitu jak reflektory przyłączone do czoła
nie krzycz kiedy ominie cię ich światło

na drzewie siedzi artysta gryzie palce mówi ptasim głosem
kiedy witamy go nie odpowiada lepi swój język z okruchów śliny
z papieru z ulicy na której siedzimy zajęci czyszczeniem paznokci
białe pielęgniarki przewijają nas wyciągają śliskie struny
wnętrzości wypadają pomiędzy koła płynie farba
z żółtego kartonu z kanałów przypiętych do piersi
jak gwiazda jak księżyc jak niewiedza
patrzysz na skrzyżowanie na znaki dawane tajemnie przez ludzi
przejdź na drugą stronę ktoś zwilży ci wargi poda szklankę wody
gdzieś zniknęły białe konie poruszające nogami w takt walca
musimy wrócić do pracy skończyło się święto
artysta schodzi z drzewa pielęgniarka idzie na dyżur
odwija lalkę ubiera fartuch
tak nas nauczono: najpierw nóżki później rączki
lalka zamyka oczy nie widzi niczego nie omija przeszkód
ma jeszcze czas
na sprawy osobiste.

1.05.1984

Zwykła opowieść o raju

Za nami stoi dziecko
trzyma w ręczce rysunek ogrodu pełnego kwiatów i słońca
w prezencie dla tych którzy odeszli daleko
zostaliśmy wypędzeni i pozostawiono nam jedynie pamięć
o bezkresnej łące o miłości w cieniu obnażonych gór
i dolin w głębi siebie mówiliśmy bezgłośnie drżąc od meteorów
od planet i nasion połączonych w jedno w owocu twego żywota
który tam poczęłaś i za który wygnano nas niewinnych grzesznych
ognisty miecz uderzył bezszelestnie i poznałaś wstyd nagość menstruację
za nami rosła gwiazda wypalała kraty ślady na naszych plecach brak jutra
i miał narodzić się Kain spłodzony jeszcze w raju
miałaś wtedy zaledwie osiemnaście lat
ja miałem dwadzieścia i nie mieliśmy mieszkania nie znaliśmy schodów
naszego piętra pierwsze sprzęty zrobiłem sam nie było gdzie ich wstawić
później urodził się Abel płakał często w nocy jakby skarżąc się
na rosnącą obok nas pustkę dawałaś mu jeść kładłaś pod ścianami lasu
nie mieliśmy rodziców i nie miał kto nam pomóc nauczyć nas życia
nasz jedyny ojciec opuścił nas i odszedł by wędrować bez końca
może spotkacie go kiedyś wiecznego tułacza
ale teraz prosimy o pomoc o dary mogą być przysyłane
na Babilon nie mamy stałego miejsca zamieszkania kiedy zobaczycie
naszych synów bawiących się w piasku pamiętajcie że jeden z nich
musi zostać mordercą a drugi ofiarą
przydałoby się coś z odzieży gdyż nadal jesteśmy nadzy
i nie wiemy kiedy skończy się ten zmierzch światła pomimo przepowiedni
i znaków on skazał nas na siebie
czworo ludzi bez dachu nad głową
może gdy dostaniemy pierwszy klucz i nadejdzie pierwsza śmierć
zatrzymamy się tu na zawsze
bo dokąd stąd iść nie możemy zostawić Kaina
tak jak nas pozostawiono bez mieczów ognistych
w kraju z dostępem do morza
daleko od ziemi Nod.

12.05.1984

Poemat podróżny

Trzy małe zakonnice z jamnikiem na smyczy pośród drzew
przechodzą do nieśmiertelności
przyciskają do piersi kościół do ust obrazek jedziemy dalej
nadal zatopieni w pociągu zajęci zbieraniem igliwia
które opadło zatarasowało tory nie myślimy o Szatanie
o jego oczach jego bezwstydnym goście kiedy przykucnięty wydała kał
na niewolników spętanych przygiętych do tablicy
twarzą do marmuru z przykazaniami jak dzieci wyjęte z trumny
putta wycięte w jednym pniu
z zadartym nosem z rozpaczą w zaciśniętych główkach
patrzemy na ich rozdęte brzuchy na śmierć podnoszącą ołtarze patrzymy
jak spalony Bóg spadł z tęczy i zabił się w czerni posadzki
jak czeka na naprawienie sandałów wyklęci razem z nim
razem z prawem zamkniętym w szklanej gablocie
w literze podobnych słów w kształcie przywiązany do piersi
są już tętno i myśl
i kręgosłup

trzy małe zakonnice szare jak popiół jak stacyjki zachłyśnięte Stwórcą
piją z filiżanki napój zapomnienia nie widzą przelatujących paw
oczyszczonych sandałów Boga niewolników wyzwolonych przedwcześnie
dzisiaj nie wpuszczamy
tutaj obowiązuje cisza
dzisiaj rozważamy tajemnicę niepokalanego poczęcia
i siedmiu łez świętej Brygidy
ojcowie wyjechali do miasta my też wyjedziemy do miasta
na każdego czeka jakieś miasto i jamnik za pociągnięciem sznurka
święci poruszają powiekami powstają narody
i ludzie dźwięczą jak harfa jak miedź
jak pieniądź znaleziony między piersiami upadłej kobiety
z niej nie narodzi się heros z niej nie powstanie miłość
mieszkająca w ołtarzach z wosku i cyklamenu
proszę tam nie zapalać światła tam śpią trzy zakonnice
i kto wpuścił tu tego kundla.

12.05.1984

Ludzie na sprzedaż

Wczoraj chciałem się sprzedać
ktoś chodził pod oknami przesuwał ręką po moim czole
miał szary płaszcz ludzi niewidzialnych
wołałem go nie podszedł bliżej jakby obawiał się moich zmarszczek
moich brwi żrenic otwartych na nowe prawdy
i nie ceniłem się zbyt wysoko
daj mi kilka podróży kilka kobiet jakąś palmę perłę
pustą w środku daj mi pierwszy rząd krzeseł czasem paczkę papierosów
a będę ci wierny będę cię opiewał szydził z twoich nieprzyjaciół
walczył z wrogami daj mi jeszcze kilka tytułów gazet
popatrz jak potrafię mówić umiem też śpiewać budować reduty
kruszyć kopie nikt nie zna ich tak jak ja jestem z tamtego bloku
z klatki w której odlewają się pijani faceci kiedy wyrzucą już ostatnie
pieniądze skończyłem wyższe studia od wielu lat pracuję nad stylem
nad prawami rządzącymi ruchem komet

zawsze możesz się wycofać uderzyć mnie przebić chętnie do oddania słowa
moja twarz wzbudza zaufanie inaczej nie przyszedłbyś do mnie
nie tracił nocy nie poprawiał kołnierza nie liczył godzin
opuszczam się po rynnę z mgły piję zimną herbatę
dzisiaj postanowiłem obniżyć moją cenę możesz zabrać kobiety
mam żonę i dziecko pozostaw mi palmy podróże z tego nie mogę zrezygnować
bez tego jestem martwy wypełniam sobą bryłę powietrza
pozostaw morze nawet to bliskie nas wybrzuszony na północ rozpostarte
jak baldachim nad potężnym łóżem gdzie będę mógł zasnąć
i sławić cię po przebudzeniu

dlaczego dzisiaj nie przyszedłeś dlaczego zostawiłeś mnie bez pomocy
mój opiekunie władco przyjacielu dobry ojciec
w płaszczu ludzi niewidzialnych moje gardło płuca oczy
muszą do kogoś należeć inaczej duszą się zaciskają jak pętla wypuszczona
z ręki ciemności i kim będzie ten drugi który przyjdzie do mnie jutro
czy mam oddać się mu
za miskę soczewicy.

14.05.1984

Bajeczki bylineczki

Był kiedyś mały czerwony kosmonauta
latał wysoko patrzył daleko grał na harmoszcze wschodu
mieszkał nad rzeką ze starą matką
– nie podoba mi się ta opowieść – opowiedz mi o siódmym królestwie
o karetach i klejnotach – posłuchaj dalej mały czerwony kosmonauta
zobaczył pewnego dnia za rzekami za lasami inny świat
przestał latać nie rozmawiał ze starą matką rzucał kamienie do wody
pokłoniła się pochyliła siwa woda zobaczył w niej swoje oblicze
– co ja tu robię – pomyślał – chcę być zwyczajnym człowiekiem
zrzucił swój kombinezon narąbał drewno przyniósł z lasu jagody
już wiem – to na pewno był Janek Wędowniczek a może
Czerwony Kapturek
kto to wie kto wie...

mali czerwoni kosmonauci nie dają mi spokoju
gryzą w stopy biją po szczękach
popłynię pieśń i porwie pójdziemy natchnieni by walczyć
i budować jeden rytm jeden krok i nie wymachuj tak rękami
nie przesadzajmy
popatrz w górę tam lecą nasi kosmonauci popatrz w bok
tam rąbią drzewa stalowi drwale popatrz za siebie
tam zostali ci którzy nie potrafili przezwyciężyć własnej słabości
wielkie słońce ściele się nam do nóg
jak to było z Czerwonym Kapturkiem?
tylko wilk cierpiał naprawdę nie czytaj mi zakończenia
wołę o czerwonym kosmonaucie który przejrzał
wołę o tym jak jadł słoninę jak drapał się po plecach
mówił kurwa mać
proszę użyj kilku niedozwolonych słów
zapisz je wrzuć do wody w butelce może kiedyś dopłyną
do tych szczęśliwych łądów gdzie nikt nie woła:
wszyscy na ulicę.

10.06.1984

Sgraffita

W mojej windzie żyje dawna „Solidarność”
na drzwiach pod napisem nie wprowadzaj dzieci
bez opieki
do lat siedmiu wygnana z pokoi
wyryta gwoździem przez człowieka podziemi
który jak wiadomo składa się z latarki osłoniętej
przed światłem dnia i z kaptura zasuniętego na oczy

jeździmy razem z napisami świata
wołamy razem z napisami świata
aż zniknie nasz puls do łez do ironii
najłatwiej jest zniszczyć windę i trzeba później zacierać
kolejne piętra kiedy farby potrzebne są
do rzeczy bardziej wzniosłych
odezwij się kochanie popatrz jak płyniemy ku górze
wydarci dachom z ostrym narzędziem pod rękę milczymy
ile razy możesz przeczytać słowo które zatrzymuje się
między nami podarte wycięte z kory jak łódka
kiedy śnisz o rzece włókna wody owijają się wokół płuc
nie skalecz się w myśli już zamykamy
po co przypominać rwać bandaż zasklepione nurty
sgraffita kalekie istoty które chcą ukazać
i światło i cień na jednej ścianie
tak my powstajemy

bez przerwy trzaskają drzwiami
nie można tego wytrzymać i nikt ich nie naprawia
historia nie zna napraw zna wyspy których nie ma
zna wyprawy nieudane do końca zna sumienia przepalające glob
i jak łatwo gra się na pianoli
proszę o kolejną liczbę o trochę słodczy
o dawne lata które pamiętają imię
zapis nasz kolejny.

19.07.1984

Coraz lepsze wiadomości

Wczoraj umarło u nas kilka dworców
mówili w mediach
proszę tam więcej nie jeździć nie odwiedzać bliskich
nie jest to już potrzebne
ktoś zabił szyny i semafony przydrożne
ktoś zniszczył kasy i poprzecinał lokomotywy na pół
niektóre na trzy części ukradł pompy i węgiel
przy torach nie znaleziono sprawców i nie wiemy czy była to śmierć
przypadkowa czy też akt wyjątkowego wandalizmu perfidii
i co stanie się z ludźmi jak dojadą do pracy rozwiązujemy zagadki
zabijamy metafizyczne cielęta skubimy drugą głowę ptaka

ciekawe jak umierały
czy w konwulsjach czy w bólu łamiąc dachy peronów
ciekawe czy kasjerka zdążyła się przebrać po nocnym dyżurze
i tak dalej tak dalej lecz najciekawsze przeciwko komu umarły
i czy osiągnęły swój cel przeciwko komu my umieramy
przy lampie za stołem bezwiednie sznurują usta jak wilki
jak drapieżne stado któremu odebrano śnieg i burzę i ofiarę w saniach
jutro październik miesiąc na październikach
wielokrotny i oddano nam godzinę życia dzięki niej staniemy się
młodszy proszę spać dłużej nie obawiać się wilków dworców szaletów
niczego nam nie zrobią ogrzejemy się w środku kaloryfera
który trwa na posterunku jak ostatni taksówkarz jak żebro z którego
zrodziła się Ewa stalowa dziewczica podtrzymująca firmament
swoimi biodrami

w ten sposób do niczego nie dojdziemy
zbyt dalekie odejście migotanie źrenic słupy trzaskały jak zapalki
strażacy uciekali przed zapaloną benzyną z cystern które stały
na bocznym torze na szczęście nikt nie zginął tak naprawdę
to był żart z końca września nic więcej prosimy nam wierzyć
bo komu macie wierzyć jak nie nam
przecież dworce nie umierają dobro zwycięża człowiek żyje
po śmierci w naszej pamięci albo w niebie albo w swoim dziele
utajony jak mysz jak cichy głos
winnych ukaranych.

30.09.1984

Psychoterapia

To jest moje miejsce uległości
wystarczy dotknąć palcem
zobacz jak pulsuje
żyje przypięte jak broszka jak medal za zasługi na polu
staram się go nie zniszczyć podlewam soki z dzienników
z jednodniowych herosów a jednak kiedy przyjdą i zapytają
kim jestem pokażę je odsłonięte i czyste
wtedy nie wzbudzę podejrzeń
jestem jak pokorne ciele staram się ssać jak najwięcej
wyssałem rodziców nauczycieli dobrodziejstwa płynące
z umiejętności pisania i czytania
napisz sam czytaj co inni napiszą to ważniejsze nie pisz sam
jedynie czytaj aż pięknie najlepsze zdanie
możesz nie czytać bądź posłuszny poza słowem poza literą
połóż ręce wzdłuż szwów na skroniach wzdłuż spodni
albo pozwól nakłuć delikatnie zobaczymy co wypłynie co stanie się
kiedy zniszczymy ten wrzód który prawdopodobnie nie jest
złośliwy najwyżej umrzesz znamy na to lekarstwa mamy sposoby
leczenia nawet w naszych trudnych warunkach osiągamy
dobre wyniki trzeba tylko wyczyścić igłę
proszę przygotować pacjenta
miejsca delikatne nie powinny porastać włosem
zasklepić się śliną ginać w głębi rany
nie wolno żyć z takim piętnem to szpeci niszczy szlachetność rysów
dlaczego patrzy pan na moją twarz
mam to jeszcze z lat wojny z przebytych chorób
jestem najlepszym specjalistą od znieczulenia
od łamania nieuległych by stali się obojętni na wszystko
na ból i słabość na cynizm i czułość
moja twarz nie ma z tym nic wspólnego

tak myślimy przestajemy myśleć zatrzymujemy akcję serca
nasze miejsca uległe podbrzusze zęby płuca tchawica
wymieniamy przejęci człowieczeństwem kruchością przypowieścią
kryjemy w środku szeptu
przez zaciśnięte wargi sączy się lawa
pocieszycielka strapionych.

17.09.1984

20 minut po 20

Rozsądek zwyciężył
rozsądni żyją dłużej jest dwadzieścia minut
po dwudziestej o tej porze zawsze zwycięża u nas
rozsądek nawałnica odeszła jest nadal gorąco golę się
inaczej niż inni wieczorem o czym mówiła dzisiaj wyrocznia
skąd idą wróżby dobrego i złego
trochę pocę się pod pachami zielone jabłuszko rozwiąże to w sposób
niezauważalny nie czytam gazet słucham lotu ptaków
muzyki „Dire Straits” próbuję śpiewać jak to przy goleniu
śpiewając do niczego nie nawołuję powtarzam sobie kilka słów
o dzwonie dzwoniącym za umarłych o rosie o rymie żeńskim
częstochowskim o pannie co świeci w ostrych bramach
jestem prywatny jak plaża na moich dłoniach nie ma
żadnych haseł są czyste i miękkie nadają się do uderzenia
linijką przecież niczego nie zrobiłem rozmawiałeś
odwracałeś się szukałeś pomocy przyszedłeś w nieodpowiedni
dzień kto z was jest bez winy mija dziesięć minut wiersza
przynajmniej one niczego nie żądają
oprócz życia które zamknięte jest w maszynie schowanej
pod poduszką niech ci się przyśni
sen o siedmiu szklankach
o siedmiu braciach którzy zwyciężyli zły czar
nie siedź tak długo w łazience chodź zobacz jak powoli
zwycięża zdrowy rozsądek coraz prostsze ilustracje
jakbyś zatracił poczucie wiersza który rządzi się swoimi prawami
w których liczą się zestrój głosek i harmonia sfer poruszanych
przez niewidzialne siły w szklanych dekoracjach
mieszkają nieuchwytnie postacie
i nie golą się nie mają żyletki rodziny na utrzymaniu
tak jak ty rozsądny
jednością silny.

27.05.1984

Wiersze pochodzą z tomu *Poematy nadziemne*, Wydawnictwo TIKKUN, Warszawa 2000.

→

Oleksandr Nykytiuk, *Karol Marks*, z serii *Filozofia XXI w.*,
akwarela i ołówki na papierze, 75 × 55 cm, 2023



Hymn o Perle.

Metafory i symbole gnozy

H*ymn o Perle* (znany również pod nazwą *Pieśń o Perle*) należy do wybitnych dzieł starożytnej poezji mistycznej. Autor utworu i pochodzenie tekstu są nieznane. Przyjmuje się, że napisał go Bardesanes z Edessy (154–222), gnostyk i poeta syryjski. Autorstwo Bardesanesa potwierdza analiza stylistyczna i ideowa zachowanych fragmentów innych jego pism (w znacznej mierze zniszczonych przez ortodoksyjny kościół chrześcijański). *Hymn o Perle* powstał ok. 180–200 roku i został wtórnie włączony do gnostyckiego apokryfu *Dzieje Tomasza Apostoła* z pierwszej połowy III wieku. Do dnia dzisiejszego zachowała się jego wersja syryjska oraz nieco późniejsza redakcja grecka, zawierająca pewne zmiany w treści i symbolice. Walory liryczne i mistyczne *Hymnu o Perle* od dawna zwracały uwagę badaczy starożytnych tekstów. Był on przedmiotem licznych analiz literackich i interpretacji ideowych.

Do tej pory znane mi są cztery różne tłumaczenia hymnu na język polski. Najbardziej popularny jest poetycki przekład wersji greckiej Czesława Miłosza (*Hymn o Perle*, Kraków 1983). Miłosz przełożył go z języka angielskiego i – jak napisał – „tekst jest wolną przeróbką”. Nie posiada więc znaczenia źródłowego, zwłaszcza że tłumacz dokonał w nim skrótów i zignorował wartość niektórych gnostyckich metafor. Niniejszą analizę ideową prowadzę w oparciu o tekst tłumaczony z oryginału syryjskiego przez Marka Raczkiewicza (*Hymn o Perle*, „Studia Redemptorystowskie” 2004, nr 2, s. 201–210). Cytaty są oznaczone skrótem *HoP* i numerem wersu w nawiasie kwadratowym.

Hymn o Perle to orientalna baśń paraboliczna z interesującą i rozbudowaną strukturą gnostyckich znaczeń mistyczno-symbolicznych. Narratorem opowieści jest Książę z Królestwa na Wschodzie. Opisuje on swoją podróż i pobyt w Egipcie z misją zdobycia ukrytego skarbu: niezwyklej ‘Perły jedynej’ pilnowanej w głębinach morza przez straszliwego węża. W warstwie ideowej baśni przedstawiony został upadek, odrodzenie i wyzwolenie duchowej Jaźni z niewoli materialnego ciała i jego niższej, zwierzęcej duszy.

Metafory i symbole gnostyków, pod wpływem ich mistycznych przeżyć i wizji, nabierają szczególnego, niepowtarzalnego kolorytu oraz wyjątkowych walorów ideowych. Tworzą swoisty język poetyckich obrazów symbolicznych, w których ukryta została sekretna nauka o objawieniu gnostycznym. Wiedza ta była zrozumiała

tylko dla wtajemniczonych adeptów gnozy, którzy znali metaforyczny klucz do jej odczytania i praktycznego stosowania.

Hymn rozpoczyna się od zdania: „Kiedy byłem małym dzieckiem i mieszkałem w moim Królestwie, domu mojego Ojca i w bogactwie i rozkoszach moich żywicieli przebywałem, ze Wschodu, naszej ojczyzny, rodzice moi w podróż mnie wyprawili” [HoP, w. 1–3]. W ezoteryce Wschód, tam gdzie rodzi się światło, był symbolem duchowego centrum, które gnostycy nazywali Królestwem na Wschodzie, Królestwem Światłości lub Pleromą (z gr. – pełnia). Był on ich ‘utraconym rajem’, źródłem nieustającej tęsknoty i poszukiwań. Metafora ‘małe dziecko’ to personifikacja tajemniczej mistycznej siły, która przychodzi na świat i rosnąc, dąży do duchowej pełni i doskonałości. Dziecko symbolizuje stan niewiedzy i czystości, początek metamorfozy Jaźni.

Księżę, kiedy był małym dzieckiem, wysłany został z ‘domu Ojca’, z Pleromy, w niebezpieczną i trudną podróż. Zachodzi związek między symboliką podróży i procesem rozwoju duchowego człowieka. Podróż w ezoteryce jest symbolem poszukiwań, ukrytego, mistycznego centrum w człowieku, inicjacją do świata nadprzyrodzonego. Etapy tej wędrówki są rytami oczyszczającymi, kolejnymi stopniami przemiany wewnętrznej, krócej celem było mistyczne poznanie ‘samego siebie’.

Księżę uosabia iskrę świetlistą – pneumę (z gr. – duch), która zstępuje z wyżyn Pleromy do świata materialnego. Pneumę posiadają tylko nieliczni, wybrani ludzie duchowi – pneumatycy, nazywani Synami Królewskimi lub Synami Światłości. Jedynie oni, dzięki otrzymanej w darze gnozie (gr. *gnôsis* – poznanie), doznają mistycznego objawienia – poznają swoją prawdziwą, boską tożsamość. Według Bazylidesa z Aleksandrii (ok. 85–145) tylko niewielu ludzi mogło osiąść tę tajemną wiedzę i dostąpić życia wiecznego w Pleromie, „może jeden na tysiąc, dwóch na dziesięć tysięcy”. W przeciwieństwie do nich, ludzie materialni – hylicy (gr. *hylē* – materia), pozbawieni pneumy, żyjący w ciemności, hołdujący doczesnym bogactwom i zmysłowym rozkoszom, skazani są na unicestwienie. Ich życie kończy się wraz ze śmiercią materialnego ciała.

Królewscy rodzice Księcia hojnie wyposażyli go w daleką podróż bogactwami z monarszego skarbcza, dając mu „pakunek wielki i zarazem lekki [...] ze złota Bet-Elaye, ze srebra wielkiej Gazak, z chalcedonów Indii i z tęczowych kamieni z bet-Kuszan” [HoP, w. 4–7]. Opisane mityczne bogactwa są metaforą największego i jedynego skarbu każdego gnostyka (Syna Królewskiego) – jego iskry duchowej (pneumy) pochodzącej ze świetlistej Pleromy. Zdjęli z niego ‘wspaniałą szatę’ i królewski płaszcz z purpury, symbole duchowej mocy i doskonałości. Zaś w jego sercu wypisali słowa: „Jeśli zejdziesz do Egiptu i przyniesiesz Perłę jedyną, która leży pośrodku morza, w pobliżu węża syczącego, wówczas włożysz znowu twoją wspaniałą szatę i twój płaszcz. Razem z twoim bratem zostaniesz dziedzicem w naszym Królestwie” [HoP, w. 12–15].

Podróż wiodła przez Babilon Wielki – symbol życia zepsutego, nierządu i bałwochwalstwa, opisany w biblijnej *Apokalipsie* Jana metaforą Wielkiej Nierządnicy. Babilon był przeciwieństwem idealnego, świetlistego Niebiańskiego Jeruzalem (Pledromy), miasta świętego, wzniesionego na fundamentach z drogocennych kamieni szlachetnych. W naszym hymnie Babilon symbolizuje upadek człowieka, jego zniewolenie w materialnej iluzji i grzechu.

Następnym etapem podróży Księcia był Sarbug, słynny w czasach starożytnych mityczny labirynt w Egipcie, uważany za siedlisko złych duchów. Przejście przez labirynt to popularna i ważna w ezoteryce próba inicjacyjna na drodze poszukiwań duchowej Jaźni. U alchemików labirynt był obrazem stanu *nigredo* (z łac. – czerń) – symbolem duszy w stanie pierwotnego chaosu. Wyjściem z niego było oczyszczenie duszy (łac. *albendo* – biel), inicjacja do procesu duchowej iluminacji (nazywany metaforą ‘biała róża’). Dla gnostyków wyrażał on ideę upadku i zatruty ducha oraz konieczność jego odrodzenia. Gnostyk opuszczał labirynt, otrzymując ‘list-wezwanie’, który był przebudzeniem i początkiem jego mistycznej metamorfozy.

Misję zdobycia ‘Perły jedynej’ rozpoczyna zejście Księcia do Egiptu: „Opuszczałem dom [...] przekroczyłem granice Maiszanu, gdzie spotykają się kupcy ze Wschodu [...]. Zstąpiłem do Egiptu” [*HoP*, w. 16–20]. W tradycji biblijnej Egipt to ‘kraj niewoli’, z którego Mojżesz wyprowadził Żydów do Ziemi Obiecanej. Dla gnostyków Egipt był ucieleśnieniem demonicznej zasady zła, symbolem bogactw świata doczesnego, królestwa materii i śmierci. W aspekcie ludzkim to symbol zwierzęcej natury człowieka, jego niższej duszy uwikłanej w iluzję grzesznej zmysłowości. Egipski kult bogów z głowami zwierząt, duże znaczenie magii w religii i życiu codziennym, a zwłaszcza adoracja śmierci (mumifikowanie i balsamowanie ciał zmarłych) były dla gnostyków czymś niezrozumiałym i odrażającym.

‘Zejście w dół’, z wyżyn Królestwa na Wschodzie do dolnego świata materialnego, należy uznać za metaforę wcielenia pneumy w biologiczne ciało, czyli moment urodzenia się Księcia na ‘tym świecie’. Według gnostyków iskra duchowa bez własnego zawinienia wypada z Pleromy do obcego i wrogiego świata. „Ciężko i źle mi w cielesnym ubiorze, w który mnie odziano i wrzucono” – mówi uwięziona w ciele pneuma (*Ginzâ* (z sem. – skarb) – święta księga mandejczyków (uczniów Jana Chrzciciela), spisana w VII wieku w języku mandejskim dialekcie semickim na postawie tradycji ustnej z I wieku).

Do słów-kluczy gnostyków należała sentencja „Nie jesteśmy z tego świata” (*Pistis Sophia*). Nazywali siebie ‘obcymi’, tworząc szczególną elitę, odrębną od pozostałych ludzi materialnych, gdyż uczestniczyli w wyższym, nadprzyrodzonym świecie. Żyjąc na ‘tym świecie’, uważali siebie za więźniów materii, czasu i swojej niższej, zmysłowej duszy. Idea istnienia w człowieku duszy zwierzęcej oraz wyższej duszy boskiej (pneumy) była znana w magii chaldejskiej i u Zoroastran. Wywarła ona duży wpływ na koncepcję człowieka duchowego w mistycznej religii gnozy.

„I włożyłem ich szaty, aby nie podejrzewali mnie, że przybyłem z daleka, by zabrać Perłę” [*HoP*, w. 29–30]. Zwrot ‘ich szaty’ jest metaforą fizycznego ciała, uwięzienia pneumy w obcym, zmysłowym świecie, który był miejscem zła, cierpień i destrukcji. Mieszkańcy Egiptu rozpoznali jednak, że Książę nie pochodzi z ich krainy. „Przyłączyli się do mnie podstępnie i dali mi nawet spróbować ich pożywienia. Zapomniałem, że byłem Synem Królewskim i służyłem ich królowi. Zapomniałem też o Perle, po którą wysłali mnie moi rodzice. I od ciężkości ich pokarmu zapadłem w głęboki sen” [*HoP*, w. 32–35]. Metaforą egzystencji w Egipcie, czyli w materialnej rzeczywistości, są zwroty: ‘ich pokarm’, ‘służyć ich królowi’, ‘byłem obcy dla nich’, ‘towarzystwo nieczystych’. Rezultatem życia w iluzorycznym świecie materii był ‘głęboki sen’ – stan

zapomnienia o własnej tożsamości. Dla gnostyków 'głęboki sen', spowodowany 'upojeniem materią', był równoznaczny z ich duchową śmiercią.

Rodzice Księcia znali jego trudną sytuację, wiedzieli „o wszystkim, co mi się przytrafiło, i cierpieli z mojego powodu” [HoP, w. 36]. Królewscy dostojnicy Pleromy przygotowali plan uratowania go z materialno-zmysłowego zniewolenia. Napisali do Księcia list, na którym „każdy z wielkich złożył na nim swoje Imię”: „Od twojego Ojca, Króla królów, i od twojej Matki, władczyni Wschodu [...]. Zbudź się i wstań z twojego snu, i posłuchaj słów naszego listu. Przypomnij sobie, że jesteś Synem Królewskim, spójrz na niewolę, komu służyłeś. Wspomnij Perłę jedyłą, po którą zstąpiłeś do Egiptu” [HoP, w. 40–45].

'List-wezwanie', „który Król opieczętował własną prawicą”, posiadał magiczną moc, chronił przed demonami i całym złem doczesnego świata. List ten „Podobny był do przylatującego z nieba orła, króla wszystkich ptaków. Leciał, aż usiadł przy mnie i cały stał się mową” [HoP, w. 51–52]. Orła uważano za posłańca niebios i symbol potęgi Ducha. Był on przeciwnikiem węża, który ucieleśniał moce chtoniczne, śmierć i ciemności materii. „Na jego głos i szmer jego ruchów, obudziłem się i wstałem z mojego snu” [HoP, w. 53]. 'Głos listu' był wezwaniem pochodzącym z Królestwa na Wschodzie, metaforą przebudzenia i otrzymania mistycznego daru gnozy.

Pobyt Księcia w Egipcie z misją zdobycia 'Perły jedynej' należy rozumieć jako proces wewnętrznego rozwoju duchowego gnostyka. Żyje on w niewiedzy i upojeniu materią, aż do odrodzenia w gnozie, która jest objawieniem prawdy o jego niebiańskim rodowodzie z Pleromy. Gnostyk przeżywając objawienie mistyczne, pojmując, że nie jest z 'tego świata', przypomina sobie, że jego ojczyzna jest poza czasem i przestrzenią, poza światem przedmiotowym, poza materią. Pojmując, że został wybrany przez Władcę Pleromy do życia wiecznego w Królestwie Światłości.

Gnostycy porównywali 'przebudzonych' do tych, którzy żyli w alkoholowym upojeniu i z tego upojenia nagle wytrzeźwieli. „Niech Ci, którzy słyszą, obudzą się z ciężkiego snu” [gnostycka *Apokalipsa Jana*]. Wezwanie słyszą i mogą się zbudzić z 'głębokiego snu' i zapomnienia tylko nieliczni ludzie duchowi, posiadający pneumę – pneumatycy. Synowie Króla królów budząc się, poznają swoje boskie pochodzenie, swoją świetlistą Jaźń. Symbolem przebudzenia była dla nich ryba, która nigdy nie zamyka oczu i nigdy nie śpi. W kulturze starożytnej walka ze snem była ważną próbą inicjacyjną, która została już opisana w najstarszym sumeryjsko-akadyjskim eposie *Gilgamesz*. W mitologii greckiej Hypnos (Sen) był bratem-bliźniakiem Thanatosa (Śmierć). Zwycięstwo nad fizycznym zmęczeniem i snem było dla gnostyków znakiem posiadania magicznych mocy i symptomem pokonania ich duchowej śmierci.

Przebudzenie za sprawą mistycznego głosu 'listu-wezwania' należało do powszechnych wyobrażeń w religii gnozy (tematem całej XXIII *Ody Salomona* jest 'list-wezwanie'). 'Wołanie z góry' budziło uśpioną w materialnym ciele pneumę. „Przypomniałem sobie, że byłem Synem Królewskim, i że moje szlachetne urodzenie dąży do swojej natury” [HoP, w. 56]. 'List-wezwanie' był więc punktem zwrotnym w misji Księcia, otwarciem jego duchowych oczu. „Zobaczyłeś ducha i stałeś się duchem” [*Ewangelia Filipa*]. Gdyż „tylko ten, kto widzi duchową rzeczywistość, staje się tym, co widzi i jest obecny w świecie Ducha” [*Pistis Sophia*]. 'Głos listu'

rozpoczął u Księcia objawienie gnostyczne, czyli świadomy proces poznania własnej duchowej Jaźni.

Doznając mistycznego olśnienia, gnostyk poznaje swoją świetlistą istotę i nadnaturalną rzeczywistość. Uświadamia sobie istnienie czegoś dotąd nieznanego, niezwykłego i tajemniczego. Pojmuje, że jego całe dotychczasowe życie było inicjacją do poznania niebiańskiej światłości. „Poznaj swoją świetlistą Istotę” – tak należy rozumieć metaforyczny sens sentencji *gnōthi seauton* (z gr. – poznaj samego siebie) umieszczonej na tympanonie portyku świątyni – wyroczni Apolla w Delfach. Posiąść gnozę znaczyło poznać „kim byliśmy i kim się staliśmy, gdzie byliśmy i gdzie nas wrzucono, dokąd zmierzamy i skąd przyjdzie nasze wybawienie, czym są narodziny i czym jest odrodzenie” [Teodot, Szkoła Walentyna]. Gnostyckie objawienie było wyzwoleniem z ciemności świata materialnego.

Były to poglądy bliskie ontologii platońskiej, w której nieśmiertelna, boska dusza, uwięziona w cielesnym wehikule, zapomina o swej praegzystencji (gr. *amnēsia*) i traci duchową pełnię. Prawdziwa wiedza pochodzi z przypomnienia sobie (gr. *anámnesis*) duchowego jestestwa. Poznanie prawdy wyzwala duszę z więzów materii i prowadzi ją na ‘wyspy szczęśliwe’.

Objawienie gnostyczne, symbolizowane przez oświecający i stwórczy płomień, jest poznaniem całkowitym i bezpośrednim. Odkrycie duchowej Jaźni, czyli poznanie swego duchowego Sobowtóra [przez starożytnych Greków nazywanym ‘daimonem’ (demonem)], było głównym celem religii gnozy. Owo mistyczne doświadczenie boskiej światłości uznane zostało za konieczny i jedyny warunek życia wiecznego w Pleromie. Mistyczna iluminacja (epifania) nigdy nie jest przeżyciem jednorazowym. To cały ciąg cudownych objawień, przeżywanych zawsze głęboką nocą, w samotności, w absolutnej ciszy i milczeniu umysłu. Dar gnozy był instrumentem objawienia oraz impulsem procesu wyzwolenia Jaźni z cielesnej powłoki, z iluzji materialnego życia.

Księżę przypomina sobie ‘Perłę jedyną’, po którą wysłany został do Egiptu [HoP, w. 57]. Ezoterycy byli przekonani, że perły powstają przez zjednoczenie niebiańskiego światła (ognia) i ziemskiej wody. Idea zjednoczenia przeciwieństw (*łac. coniunctio oppositorum*) miała podstawowe znaczenie w gnozie i alchemii, naukach tajemnych powstałych na gruncie aleksandryjskiego hermetyzmu. Kulista forma perły i jej niezwykła, iskrząca, biało-srebrzysta barwa zostały uznane za symbol doskonałości i duchowej pełni. W kulturze śródziemnomorskiej perły ceniono wyżej niż złoto. Afrodyta, zrodzona z muszli morskiej, nazywana była w Syro-Palestynie Perłową Damą. W biblijnej *Apokalipsie* każda z dwunastu bram Niebiańskiego Jeruzalem jest perłą. W kabale była ona symbolem pierwszego, duchowego człowieka – Adama Kadmona. Dla gnostyków ogromna, realna wartość perły została symbolem najdroższego skarbu człowieka – jego duchowej Jaźni. Perła miała dla nich znaczenie magiczne, ponieważ kontemplacja jej iskrzącego blasku przypominała im cudowne objawienie boskiej światłości, wprowadzała ich w stan mistycznej ekstazy.

Przebudzony ze snu, świadomy teraz swojego królewskiego pochodzenia, Księżę walczy z ‘wężem strasliwym’ i zdobywa swoją ‘Perłę jedyną’. „I zacząłem zaklinać węża strasliwego i syczącego. Sprawilem, że zamknął oczy i zapadł w sen, albowiem

wymówiłem nad nim imię mojego Ojca i mojej Matki, Królowej Wschodu” [HoP, w. 58–60]. Walka z wężem lub smokiem to popularny motyw starożytnych mitów i średniowiecznych legend czy baśni. Zwykle strzegły one ukrytych, trudnych do zdobycia skarbów. Książę nie zabił węża w walce fizycznej, ale pokonał go duchowo, wypowiadając magiczne ‘słowa mocy’ – imiona królewskich rodziców (niektórzy autorzy widzą w tym motywie wpływ egipskiej magii słowa). W ezoteryce zwycięstwo nad smokiem czy wężem oznaczało pokonanie materialnego zniewolenia i niższej, zwierzęcej duszy. Biblijny wąż był symbolem zła, upadku, przyczyną utraty boskiego Raju. Wąż gnostyków był synem Jaldabaôta (tak nazywali biblijnego boga Jahwe). Przedstawiano go często z głową lwa. Obraz węża oraz metafora ‘głębiny morskie’ były utożsamiane z Królestwem Ciemności, chaosem, z chtonicznymi siłami zła i iluzją świata materii.

W gnozie syryjsko-egipskiej koncepcja dobrego Boga i złego Demiurga powstała w oparciu o dwa różne opisy stworzenia świata zamieszczone w *Biblii Hebrajskiej*. W pierwszym z nich boskim kreatorem jest Elohim, który powołuje z niczego (łac. *creatio ex nihilo*), magicznymi ‘słowami mocy’, górny świat duchowy [*Księga Rodzaju* 1,1–2,4a]. Gnostycy utożsamiali stworzony przez niego świat ze świetlistą Pleromą. Elohim jest liczbą mnogą utworzoną od semickiego słowa El (mocny, potężny). W mitologii starożytnej Syrii i Kanaanu imię El oznaczało Najwyższego Boga, uniwersalnego stwórcę Nieba i Ziemi. Dla gnostyków Elohim był prawdziwym i jedynym Bogiem, Królem królów, nazywanym przez nich ‘nieznanym Ojcem’. Stworzył on duchowego praczłowieka, Adama Kadmona, gdy rzekł: „uczynimy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam [...]”. Pierwszy człowiek był boskim androgenem, utożsamiał pełnię, doskonałą jedność przeciwieństw: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę” [*Księga Rodzaju* 1,27]. Kabaliści nazywali Adama Kadmona „istotą zbudowaną ze światła i światło promieniującą”. W naukach gnostyków był on prawzorem człowieka duchowego wyzwolonego z materialnego zniewolenia.

W drugim opisie powstania świata [*Księga Rodzaju* 2,4b-25] występuje JHWE = Jahwe (gnostycki Jaldabaôt), który jest złym Demiurgiem – budowniczym świata i twórcą człowieka materialnego: „Ulepił on człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą”. Następnie ulepił „z gleby wszystkie zwierzęta lądowe i wszystkie ptaki powietrzne” jako istoty żywe. Dlatego ludzie i zwierzęta posiadają ‘tchnienie życia’ – duszę niższą, wegetatywną (nazywaną duszą zwierzęcą). Dla gnostyków Jaldabaôt był władcą świata doczesnego, złym Bogiem, który uwięził ducha w materii.

Gnostycy, oprócz duszy zwierzęcej, posiadali pochodzącą z Pleromy iskrę duchową (pneumę), nazywaną duszą boską lub niebiańską. W trakcie procesu objawienia, czyli iluminacji boskiego światła – stawała się ona transcendentalną Jaźnią, zdolną do życia w świetlanej Pleromie. W naszym hymnie Jaźń nazwana została metaforą ‘Perła jedyna’. „Zabrałem Perłę i wyruszyłem w drogę powrotną do domu mojego Ojca” [HoP, w. 61]. Księcia prowadziło mistyczne światło ‘listu-wezwania’. „A list mój, ten który mnie obudził, znalazłem przede mną na drodze. I tak jak zbudził mnie swoim głosem, tak teraz prowadzi mnie swoim światłem” [HoP, w. 64–65]. W tym znaczeniu ‘głos listu’ staje się symbolem całego procesu duchowej metamorfozy.

W apokryficznej *Ewangelii Tomasza* perła to symbol największego, wiecznego skarbu: „Królestwo Ojca podobne jest do kupca, który znalazł Perłę. Ów kupiec był mądry: sprzedawał towary i kupił sobie za nie samą Perłę. Wy sami szukajcie jego skarbcza i miejsca, do którego mól nie wpadnie, aby pożreć, ani robak go nie zniszczy”. ‘Perłą jedyną’ gnostyków była Jaźń, ‘skarbcem’ doskonała, świetlista Pleroma.

Słowa: „Ich strój brudny i nieczysty zrzuciłem i zostawiłem w ich kraju” [*HoP*, w. 62] odnoszą się do śmierci ciała materialnego, w którym Księżę urodził się i żył w Egipcie. Zrzucenie ‘stroju brudnego i nieczystego’ jest aktem odrodzenia i wyzwolenia Jaźni z obcego świata, który był dla ducha miejscem niewoli i cierpienia. Księżę umiera dla świata materialnego. Wypełnia *Testament Hirama*: „Trzeba umieć umrzeć, aby odrodzić się w nieśmiertelności”. Porzuca „Pleromę złą, by wejść do Królestwa Światłości, Pleromy dobra” [*Corpus Hermeticum*].

„I tak obrałem drogę, aby pójść prosto do światła naszej ojczyzny, Wschodu” [*HoP*, w. 63]. Światło w tradycji ezoterycznej zawsze utożsamiane było z duchem i wiecznością, ze Wschodem. Stąd powstała koncepcja prawdziwego Boga, który jest ‘światłem w świetle’. ‘Otrzymać światło’ znaczyło doświadczyć objawienia boskiej iluminacji, poznać swoje prawdziwe pochodzenie z Królestwa na Wschodzie – Pleromy.

Królewscy rodzice wysyłają Księciu na spotkanie jego ‘szatę chwały’. „Moją wspaiałą szatę, którą niegdyś zdjąłem, i mój płaszcz, który ją okrywał, z wyżyn Hyrkanii [Pleromy], moi rodzice posłali do tego miejsca przez skarbników, którzy dla swej wierności godni byli zaufania” [*HoP*, w. 72–74]. ‘Wspaniała szata’ czy ‘szata chwały’ to metafory Bliźniaczego Ducha, niebiańskiego alter ego Księcia. Idea Bliźniaczego Ducha, nazywanego również Świetlistym Obrazem, Aniołem lub Towarzyszem (syr. *syzygos*), znana w tradycji gnozy palestyńsko-syryjskiej, opisana w tekstach Mandejczyków, została rozwinięta przez babilońskiego mistyka i mesjasza Maniego (216 – ok. 276). Maniego uważano za zespolonego z Bliźniaczym Duchem już podczas doczesnego życia. W koptyjskim *Psalmie Bema*, opisującym jego męczeńską śmierć, zamieszczone są słowa: „Spoglądałem na mojego Bliźniaczego Ducha swoimi świetlistymi oczami i oglądałem mego chwalebego Ojca”.

Gnostycy uważali, że Bliźniaczy Duch przybywa do umierającego w momencie cielesnej śmierci i jednoczy się z jego Jaźnią. „Świetlisty Obraz objawia się temu, kto opuszcza swoje ciało” [*Kephalaia*]. Umiera tylko nieczyste materialne ciało, Duch jest wiecznie żywy, doskonały i nieśmiertelny. „I kiedy nie pamiętałem już jej świetności – małym dzieckiem byłem bowiem, kiedy zostawiłem ją u mojego Ojca – nagle, kiedy stanąłem przed nią, szata wydała mi się lustrzanym odbiciem mnie samego” [*HoP*, w. 75–76]. Księżę opisując wspaniałość swojej świetlistej szaty, kończy słowami: „I obraz Króla królów był na niej wyhaftowany i namalowany wszędzie” [*HoP*, w. 86]. W swojej istocie Księżę był doskonałym odbiciem boskiego Ojca – Władcy Pleromy, który go wyemanował.

Dopiero mistyczne zjednoczenie Jaźni Księcia z jego niebiańskim Bliźniaczym Duchem tworzyło doskonałą i pełną Istotę Świetlistą. „Albowiem dwóch nas było, kiedy byliśmy rozdzieleni, a teraz znowu byliśmy jednym w jednym kształcie” [*HoP*, w. 78]. Księżę nazywa ‘szatę chwały’ swoim skarbem i bogactwem. „Wyciągnąłem ręce i chwyciłem ją, i przyozdobiłem pięknem jej kolorów, i moim płaszczem

o wspaniałych kolorach okryłem się cały” [HoP, w. 96–97]. Tylko scalona w pełni Istota Świetlista mogła przekroczyć granicę Pleromy. Jezus w gnostyckiej *Ewangelii Tomasza* nauczał, że do Królestwa Niebieskiego wejdą tylko ci, którzy „uczynią dwa jednością” i „dadzą obraz w miejsce obrazu”.

Podobna idea zjednoczenia duszy i ducha znana była już w eschatologii staroegipskiej: Ka, niematerialny sobowtór człowieka i jego duch opiekuńczy, łączył się po cielesnej śmierci ciała z duszą Ba. Z tego połączenia rodziła się świetlista istota Ach. Tylko ona mogła przebywać w niebiańskim Raju. Zaświaty egipskie, wszystkie istoty duchowe, bóstwa, demony i dusze zmarłych wypełniała magiczna nadnaturalna moc (egip. *heka*). Ach sprawiedliwego człowieka stawiała się gwiazdą na malachitowym niebie lub łączyła się z boskim Słońcem – Re. W Egipcie, podobnie jak u Celtów, Germanów czy Słowian, Słońce było najwyższym bóstwem, symbolem umierania i zmartwychwstania. U gnostyków było ono jednym z symboli świetlistej Pleromy.

Książę zespolił się ze swoim niebiańskim Bliźniaczym Duchem jeszcze przed wejściem do bram pałacu królewskiego: „Tak przybrany skierowałem się ku bramie powitań i uwielbień, pochyliłem głowę i uwielbiłem wspaniałość mojego Ojca, który mi ją posłał” [HoP, w. 98–99]. Stał przed obliczem Króla królów, który „uradował się na mój widok i mnie przyjął, i wraz z nim byłem w jego Królestwie [HoP, w. 102]”. Ponieważ Książę wypełnił powierzoną mu misję i zdobył swoją ‘jedyną Perłę’, dołączył do dostojników królewskich. Został wspólnie ze swoim bratem, czyli zjednoczony ze swoim Bliźniaczym Duchem, dziedzicem Królestwa na Wschodzie.

Mędracy gnozy zalecali swoim uczniom: „Wyrzeknijcie się świata i wszelkiej materii, którą on zawiera” [*Pistis Sophia*]. Zbawcza wiedza była przekazywana tylko Synom Królewskim. Najważniejszą sentencją modlitewną gnostyków były słowa: „Uwolnij nas od ciemności tego świata, do którego zostaliśmy wrzuceni” [*Ginzâ*], „Zbaw nas od materii tych ciemności” [*Pistis Sophia*]. Żyli w samotności, oddaleni od chaosu codzienności. Uważali, że „Boga można nazwać tylko poprzez milczenie, tylko poprzez milczenie można Go wielbić. Boga nie można wyrazić ani usłyszeć” [*Corpus Hermeticum*].

Apostoł Juda Tomasz, według gnostycznej tradycji brat-bliźniak Jezusa, śpiewał *Hymn o Perle* w indyjskim więzieniu dla swoich ‘zniewolonych braci’. W metaforycznym rozumieniu byli to gnostycy, których pneuma przebywała jeszcze w niewoli materialnego ciała. Hymn był poetycką wizją życia i zbawienia gnostyka – Syna Królewskiego. Miał istotny sens moralno-dydaktyczny, wzywał do wytrwałości, odsłaniał tajemnice gnozy i świetlistej Pleromy. Boski dar gnostycznego objawienia w magiczny sposób przemieniał człowieka cielesnego w człowieka duchowego. Tę zbawczą wiedzę znali jedynie wtajemniczeni adepci religii gnozy. Przecistawiali oni mistyczną ‘gnôsis’ pospolitej ‘pistis’ – wierze zwykłych wiernych. W jednej z przypowieści w synoptycznej *Ewangelii Mateusza* Jezus przestrzega swoich braci – gnostyków: „Nie dawajcie psom tego, co święte, i nie rzucajcie swych pereł przed świnie, by ich nie podeптаły nogami i obróciwszy się was nie poszarpały”. Była to przepowiednia złowieszczą, gdyż religia gnozy uznana została przez ortodoksów Kościoła za straszliwą i niebezpieczną dla nich herezję, ich księgi palono, a oni sami, skazani na unicestwienie, ginęli często w cierpieniach i upokorzeniu.

Herberta *Potęga smaku*, czyli moralna hańba

Pośród utworów Zbigniewa Herberta „kultowy” stał się wiersz *Potęga smaku*. Erudycja domaga się jego znajomości. Wykładowcy estetyki znajdują w nim wsparcie dla własnej roli: „estetyka może być pomocna w życiu / nie należy zaniedbywać nauki o pięknie”.

To właśnie zakłęcia te, „estetyka”, „nauka o pięknie”, oraz doskonałość tego utworu uwodzą... A zawodzą tak dalece, że z lękiem skłonny jestem mówić o hańbie moralnej... Moralnej klęsce tego wiersza – nędzy estetyki, która mu przyświeca.

Paradoksem jest to, że utwór piętnujący zło i okrutność zła sowiecjalizmu, utwór uskrzydłony myślą o pięknie niepostrzeżenie dopuszcza estetykę stosowalną, estetykę, której wielkość okazuje się leżeć w segregacji, selekcji ludzi. Ślepą na piękno człowieka. Wtrącenie: estetykę sprzeczną z duchem chrześcijaństwa. Sama myśl, że estetyka może ważyć moralność...

W tym wypadku orzeczenie „hańba”, „hańba moralna” ma charakter skandaliczny. Podpowiada je nędzna ironiczność i przewrotność w stosunku do „hańba moralna”. Określenie to daje tytuł zbiorowi wywiadów Jacka Trznadla, wywiadów, których główne pytanie, jak sądzę, stoi na granicy rozpacz. Jak to się stało, że wielcy poeci, pisarze, artyści tak licznie znaleźli swe miejsce w politycznym systemie władzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nie wyłączając lat „stalinowskiego terroru”? Dodam: gdy 17 września 1939 nie był odległą datą, gdy „gułag”, gdy łagry naznaczyły życie tysięcy Polaków...

W zbiorze *Hańba domowa* głos Herberta jest najdonioślejszy – *Potęga smaku* głosem tych, którzy „odmówili”¹. Zbigniew Herbert, mówią, „stał po „dobrej stronie historii”.

Panujący system był obcy przesłaniu jego dzieł, szczęśliwie wznosiły się w humanum, ich wielkość nie była zbudowana na opozycji, na „nie”, na wrogości. To z perspektywy systemu Herbert był wrogiem.

„Pierwiastki duchowe zła na wyżynach...”

Pojęcie kultury obiecuje wyżyny. Niesie ze sobą te wielkie zakłęcia, „prawda, dobro i piękno”. Lecz kto ich nie ma na ustach...

Naiwnością jest mniemanie, iż dzieła kultury wysokiej, że „arcy”, są wolne od fałszu i zła. Być może naiwność wpisana jest w samą dobrą wolę naszą – poczynając od twórców?

Jak to jest możliwe, że od zbrodni i nikczemności nie są wolne narody, państwa, społeczeństwa, wspólnoty najwyższej kultury – gdzie wykształcenie i wychowanie obejmuje „arcydzieła”? W systemie zbrodni uczestniczą elity. Kulturalne elity umywają ręce. Cóż w takim razie znaczy kultura?

To wielkie dzieła kultury nieść mogą truciznę. Nie, powiesz, dzieła kultury małej czy dużej nie rodzą pierwiastków fałszu i zła, mogą im ulec.

Deklaracje wolności sztuki nie zwalniają artystów czy to poetów od odpowiedzialności – gdzie odpowiedzialność, tam wolność, gdzie wolność, tam odpowiedzialność. Wyrzeczenie się odpowiedzialności jest ucieczką.

Świat posiada wysokości wolne od zła? Myśl i serce sięgają wysokości czystej? Przeświadczenie takie stanowi swoisty dewotyzm. W przeciwną stronę idą intuicje myśli religijnej – wolna jest od naiwności, iż wyżyny niebieskie są boskie. Albo że Bóg nie ma dwu obliczy...

„Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz [...] przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich” (List do Efezjan 6,12). Naiwnym, jeśli nie „grzesznym”, byłoby jednak mniemanie toczących taką walkę, że ze swej strony sami są wolni od „pierwiastków duchowych zła”.

Krytyka dzieł o charakterze propagandowym, ideologicznym, doktrynalnym nie jest szczególnym wyzwaniem.

Cóż, Herbert. Ale Platon? Czytając fragmenty z *Uczty* i *Timajosa* Platona, fragmenty poświęcone pięknu i miłości, znajduję zdradę życia i zdradę człowieka – życie, świat, kochany są tylko szczeblami drabiny ku wysokości Piękna samego². Estetyka Platona cieszy się statusem świętości kultury zachodniej.

Dedykacja *Potęgi smaku*

Wiersz *Potęga smaku* został dedykowany „Pani Profesor Izydorze Dąmbskiej”. Nieprzypadkowo. Izidora Dąmbaska (1904–1983), filozof, odsuwana była od pracy ze studentami, od nauczania uniwersyteckiego. „Wywierała zły wpływ na młodzież”. Skoro jej ideałem postawy nauczyciela akademickiego była neutralność, wolność od ideologii – odsunięcie na bok własnego światopoglądu. Profesor została odsunięta nie tylko w latach stalinowskich. W roku 1964 „przeniesiono” ją z Instytutu Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego do Polskiej Akademii Nauk – w PAN nie prowadzi się zajęć dydaktycznych.

Na terenie Uniwersytetu, na Grodzkiej, w Instytucie Filozofii profesor Dąmbaska pojawiła się w roku „Solidarności”. Posiedzenie Sekcji Metodologiczno-Epistemologicznej Polskiego Towarzystwa Filozoficznego obwieszczała wyblakła kopia maszynopisu, przypięta w biednej skrzynce na ścianie. Jak się okazało, posiedzeniu temu przewodniczyła... Pierwsze wrażenie – skromna staruszka. Oszałamiające wrażenie: zdawała się senna, a oto referentowi, młodemu doktorowi, zadała krótkie pytanie, pytanie sięgające podstaw konstrukcji jego wyводу – konstrukcja runęła. Co jednak znamienne, na to pierwsze posiedzenie, i na kolejne, nie przyszedł i nie przychodził nikt z pracowników, nikt z profesorów Instytutu, poza dr. Jerzym Perzanowskim, logikiem, Jej przyjacielem. Ponoć, mówiono, obecność tam wymagała odwagi. Po roku 1989 dyrektorem Instytutu został były I sekretarz uniwersyteckiej jednostki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – mówiono,

że jeszcze w latach 70. warunkiem zatrudnienia było przystąpienie do Partii, do PZPR, do tych, co trzymają władzę.

Izydora Dąmbska – Święta Postać. Wolna od ideologii wszelkiej, wierna prawdzie. To z ducha prawdy wyrastał także jej patriotyzm. To w jej osobie Herbert mógł widzieć: „Bądź wierny”.

Ideologia i idea prawdy się wykluczają.

„różowe płaskie jak opłatek”

To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
nasza odmowa niezgoda i upór
mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku
w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia

Kto wie gdyby nas lepiej i piękniej kuszone
słano kobiety różowe płaskie jak opłatek
[...]
samogonny Mefisto w leninowskiej kurtce
posyłał w teren wnuczka Aurory
chłopców o twarzach ziemniaczanych
bardzo brzydkie dziewczyny o czerwonych rękach

[...]
Tak więc estetyka może być pomocna w życiu
nie należy zaniedbywać nauki o pięknie
Zanim zgłosimy akces trzeba pilnie badać
kształt architektury rytm bębnow i piszczałek
[...]

Nasze oczy i uszy odmówiły posłuchu
księżęta naszych zmysłów wybrały dumne wygnanie

To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
mieliśmy odrobinę niezbędnej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku
który każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo
[...]

Wiersz *Potęga smaku* miałby dać wyraz przekonaniu autora co do motywów aktu odmowy jego bohaterów, jego „my”, Herberta i Dąmbskiej. Jeśli wiersz ten stanowi poetycki pomnik dla owego aktu odmowy, nie sposób „polemizować”. Jednak pozostaje zapytać o to, jaka estetyka miałaby mieć te konsekwencje, zapytać o jej moralne przesłanie.

Powaga tego wiersza nie leży w fakcie owego wyboru, owej odmowy, ciężar leży we wskazaniu jego źródeł, źródła jego uprawomocnienia, estetycznego właśnie.

Już wiemy, Herberta *Potęga smaku* głosi pochwałę estetyki – stalinizm był zbyt niesmaczny, aby doń przystąpić, zbyt odpychający dla wrażliwości estetycznej „ja” i „my” tego wiersza.

O dziwo – wedle tej *Potęgi* – aby nie uczestniczyć i nie służyć w tym systemie, „PRL”, „PZPR”, Moskwa, nie wystarczyłby fakt jego zbrodniczości, „stalinowski” terror, ideologizacja, zniewolenie? Czyżby przeciwnie, to wszystko piękno by nie tylko przykryło, ale by zbawiło? W ten to sposób wreszcie nabierają znaczenia tezy typu „Piękno zwycięży zło”, „Piękno zbawi świat” – o ironio, Dostojewski, prawosławny chrześcijanin, tymi słowami odmawia zbawczej roli temu, co umarł na krzyżu (brzydki to widok?).

Tak, wielu polskich twórców nie tylko przeszło do porządku sowiecjalistycznego ponad tym faktem, że oparty był na sile, na przemocy, ale najwyraźniej im, wielkim, wystarczyło estetyki i smaku, aby uczestniczyć w tym systemie i go współtworzyć. Wystarczyło? Wcale nie brakło. Ideałowi sztuki kształtującej świadomość społeczną oddali swe dzieła liczni pisarze, poeci, artyści, filozofowie. Czy oddali siebie? To „jeden Bóg wie”. Ocena dzieła, czynów, słów, wyborów nie przekłada się na ocenę człowieka – na ocenę ich autora jako człowieka.

(Człowiek jest istotnością, w stosunku do której gwałtem jest wydanie jakiegokolwiek oceny. Osobą jest każdy, bez względu na wszystko, a więc także bez względu na to, czy jest ludzki, bez względu na to, czy jego udziałem jest lub czy w ogóle może być człowieczeństwo. Człowieczeństwo – istota czy to pełnia bycia człowiekiem).

Nie brakło ambitnych i zaangażowanych estetyków, oddanych „marksistowskiej myśli estetycznej”.

W latach pięćdziesiątych jeden z nich, przyszły „dysydent”, Stefan Morawski, wykładał na krakowskiej ASP. Rozpoczynając wykłady z estetyki, miał kłaść pistolet na katedrze (powtarzam słowa prof. Tadeusza Chrzanowskiego, „słuchaczką” tych wykładów była jego żona). Było to swoiste ucieleśnienie myśli „kolbami nauczymy ludność tego kraju myśleć racjonalnie, bez alienacji”, czyli myśleć po marksistowsku – w imię nowego świata, w imię rewolucji, w imię stworzenia społeczeństwa, w którym nie ma miejsca na wyobcowanie (o ironio: wszyscy w jednej „armii”, bez dezertorów).

Pistolet na katedrze – „Teraz wam powiem”? Tadeusz Kroński (1907–1958) w liście do Czesława Miłosza: „Że większość jest jeszcze przeciw nam, to dlatego mamy zrezygnować z takiej szansy historycznej? No więc i ja czasem celowo daję się ponieść temperamentowi: My sowieckimi kolbami nauczymy ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie bez alienacji”. Jakże to filozof nie dostrzegał, że pod przymusem tylko powtarza się formułki, bezmyślnie.

Sfera wolności: namysł, dyskusja. Zerwaniem dyskusji są słowa skierowane przeciwko drugiej osobie, wykluczeniem uczestnictwa w dyskusji jest zajęcie pozycji autorytetu albo uznanie rozmówcy za autorytet.

Siła smaku

Paradoks etyczny: w imię dobra zostanie uświęcony smak – a przecież skoro potężny, skoro potężny może być, należy do porządku *vis*, siły. Tak też piękno, które mu miałoby odpowiadać – czy piękno, któremu miałby on, smak, odpowiadać.

Tak, w smaku jest potęga – siła przyciągania i odpychania, pragnienia i obrzydzenia, pożądania i odrazy.

Jeśli wolność wymaga walki, to wewnętrznej. Powiedzieć „Nie” prawu siły, w tym sile własnego Ja – swych interesów, inklinacji, intencji... Pierwotną postacią

wolności człowieka jest jego zmaganie wewnętrzne, toczące się w sercu i myśli. Ani „racje serca”, ani „racje rozumu” nie stanowią żadnej siły – ta kategoria jest im obca.

Nauka pyta o prawidłowości, tak też jeśli estetyka, która chce być nauką o pięknie, musi wyjść od założenia, że piękno prawidłowością jest, że prawidłowości rządzą tym, co piękne. Czy kategoria smaku w ogóle pozostaje w zgodzie z tym założeniem? Jeśli *gustibus* znaczy gust, upodobanie, to obiektywność piękna jest obiektywnością upodobań. Tak, co subiektywne, co związane ze subiektem, z podmiotem, posiada obiektywne cechy. W tym iluzje, projekcje, przesady.

Ostatecznie estetyka *gustibus* jest estetyką egocentryczną.

Pretensja do posiadania dobrego smaku stanowi postać pychy – w ten sposób pyszny czyni siebie więźniem tej pretensji. Kto sądzi, że ma dobry smak, tego ma smak, jaki ma. To wykluczenie dystansu w stosunku do swoich odczuć, do swoich ocen.

Smak domaga się smacznego.

Kłęską estetyki smaku jest to, że smak jest czymś, co się ma – w odczuciu i przekonaniu własnym. W dumę wbija przeświadczenie o swym dobrym smaku³.

Dobry czy zły, powszechny czy własny, *gustibus* w ogóle nie jest kategorią piękną. Odpowiada moralności smakosza (arystotelesowskiej etyki umiaru, czyli moralności kulinarnej: nie za dużo, nie za mało).

Salonowy esteta nie znosi widoku odmrożonych rąk (rąk, garści – dłonie ma tylko on). Czerwone są zbyt spracowane.

De gustibus non disputandum est

Odwołanie się do instancji smaku miałoby dać obiektywne podstawy dla estetycznej oceny? Przekonaniu temu przeczy pojęcie dobrego smaku, w takim razie bywa i zły. Smak bywa potęgą, gdy ktoś mu się poddaje – naiwni biorą głos wewnętrzny za głos sumienia – w wypadku Herberta: sumienia (est)etycznego.

Przekład *gustibus* jako „gust”, a nie „smak” odrywa tę maksymę od jej źródła, jakim jest pokarm, kuchnia, rozsmakowanie. Smak jest blisko warg, języka, podniebienia, zgryzu, widoku, zapachu, dźwięku, jest pełen odczuć. Wtrącenie, Arystotelesa etyka opiera się na kategorii stosowanej w kuchni, to etyka umiaru, nie za dużo, nie za mało. Wtrącenie, sztuka kulinarna daje tę lekcję: nie rządzą nią zastane potrzeby, preferencje, gusta, smaki, kocha innowacje.

Estetyka zbudowana na kategorii smaku ma charakter subiektywistyczny. Wyraz temu daje maksyma *De gustibus...* Polski przekład „O gustach się nie dyskutuje” subiektywizm potęguje. To język polski czyni to rozróżnienie na smak i gust. Gusta bywają różne, niejako ex definitione. Znaczenie powszechnie wiązane maksymą *De gustibus...* zamienia ją w odzywkę ucinającą spory estetyczne. „Nawet nie próbuj zaczynać”. To obronna brzytwa estetyki popularnej – po którą sięgać zwykł ktoś oskarżony o chybione aprecjacje. Nie ma mowy o poczęciu dyskusji w sprawach *gustibus* – te są niedyskutowalne.

„Granice mojego języka oznaczają granice mojego świata”. Parafrazując Wittgensteina: „Twój smak wyznacza granice twojego świata”. No cóż.

Poczucie doniosłości tezy *De gustibus...* wzmacnia przekonanie jakże dzisiaj popularne: „Każdy widzi inaczej” (co za para). To „inaczej” tworzy przepaść między ludźmi, rozmowa zostaje czczym gadaniem bez odniesienia do świadectwa zmysłów.

Dekadentyzm estetyczny zbiega się z dekadentyzmem poznawczym oraz etycznym. Wolność dekadencji: „A bo ja tak, i już”, „Każdy ma prawo do...”. „Każdy żyje w swoim świecie”, „Każdy ma prawo do życia w swoim świecie”.

Dekadentyzm kulturowy: granice pomiędzy kulturami są nieprzekraczalne, każdej właściwy jest swoisty smak, swoisty smak określa daną kulturę (skądinąd, jest to pogląd bliski Wittgensteinowi). Dzieła sztuki jako kurioza epoki?

Traktowanie i badanie dzieł sztuki jako wytworów danej kultury, jako wcieleń jej smaku i jej smakowitości – to jedno. Czym innym jest sprawa pytań, które te dzieła ze sobą niosą, które je ożywiają, o świat, życie, bycie człowiekiem – człowiekiem „w ogóle”. Tu nie ma miejsca na „moje”, „twoje”, „nasze”, „obce”. Tu nic nie znaczy smakowitość, podziw, upodobanie, przeżycie, wartość. Tu odpowiedzi są próbą zrozumienia pytań.

Kategoria smaku nie odnosi się ani do piękna, ani do sztuki, właściwa jest estetyce przeżycia, doznań, podziwu, upodobania. Poniżej siebie, kto piękno ma za rzecz podoba się lub nie podoba – tak też gubi się, kto rozważa, co pierwsze: piękno czy upodobanie.

Szyderstwo

Smak *Potęgi smaku* nawet nie skrywa swej pogardy i pychy. Szyderstwo jest obecne w nim samym, wprost. Odrażające są „bardzo brzydkie dziewczyny o czerwonych rękach”. Zwłaszcza o „czerwonych rękach”, przeciwnie niż „kobiety różowe płaskie jak opłatek”, a kuszące tym bardziej, gdy „słane”.

Zawód estety – niestety brakło pięknych... Zawód estety z braku uwiedzenia...

Przed kim, komu miały być słane „kobiety płaskie jak opłatek”? Przed Herbertem i jego „my” – bohaterami wiersza *Potęga smaku*?

To im, tęskniącym za kobietami płaskimi jak opłatek, dały powód do dumy „księżęta” ich zmysłów, „oczy i uszy”, gdyż dały „wybrały dumne wygnanie”. Oczy, uszy, dodać trzeba, i umyte ręce.

Dzisiaj powiedziałbym właśnie, że jest to estetyka moralnie haniebna. Tak pojęta estetyka okazuje się narzędziem segregacji i selekcji. Zaślepia – do ludzi i świata podchodzi z gotową miarą.

„Chrzątki sumienia”? To sumienie estety.

Estetyka, czyli?

Potęga smaku, czytajmy jeszcze raz: „Tak więc estetyka może być pomocna w życiu / nie należy zaniedbywać nauki o pięknie”. Otóż...

Estetyka filozoficzna, podobnie filozofia sztuki, w ogóle nie jest nauką – to marksiści zacierali rozróżnienie filozofii i nauki.

Pożytywiści, jeśli w ogóle zostawiali miejsce na estetykę, to naukową właśnie – ideałom ich rzeczowości odpowiadałaby neuroestetyka albo arteterapia. Albo mentalność tezy „Artyści są inżynierami dusz” (Stalin).

„Estetyka może być pomocna w życiu”? Przystać na to można – nauki o pięknie są dobre dla przygotowania nakrycia na stole albo organizacji „rytuału pogrzebowego”. Korzysta z nich reklama i propaganda. To moda przymierza sukienki.

Przeliczne estetyki z ksiąg „historii estetyki” w gruncie rzeczy są doktrynami. W ich obrębie padają tezy, orzeczenia o charakterze maksym, przysłów, „mądrości”.

Obywają się bez dyskusji i krytyki ich założeń – znamieny jest brak dyskusji ich założeń, brak odstonu pytań, na które owe tezy miałyby być odpowiedziami.

Tak, w powszechnym rozumieniu to, co nazywa się filozofią, jest rodzajem światopoglądu, ideologii lub doktryny.

Filozofizmy są czymś naturalnym dla refleksji poetów, pisarzy, artystów, w tym ich filozofizmy estetyczne. Tak, mogą mieć wagę wglądu, otwarcia, zadziwienia, bywa, że mają wagę pytania skierowanego ku rzeczywistości sztuki, rzeczywistości piękna, rzeczywistości człowieka, pytania o ich rzeczywistość. Bywają bezmyślne – bezrefleksyjnie, ślepo rzucone. Rozbrajające... ich autorów.

„Filozofizm”, to słowo pada w jednym z wykładów Adama Mickiewicza poświęconych literaturze słowiańskiej. Pojawia się bez rozwinięcia – nie znajduję „definicji”. Zapewne autorem tego określenia jest sam Mickiewicz. Odkrywczę to słowo – nazywa coś „po imieniu”. Użyte w pejoratywnym znaczeniu odnosiłoby się do filozoficznych ambicji, do mądrościowych pretensji – tych nie brak także u filozofów.

Pytam o status estetyki. Czym z kolei jest estetyka fenomenologiczna, której w Polsce imieniem jest Ingarden? W którym momencie fenomenologia nie jest już szczególną psychologią widzenia, teorią postrzegania? Estetyka Ingardena to ćwiczenia z fenomenologii prowadzone w odniesieniu do poszczególnych gatunków dzieł sztuki. Na nie zostaje nałożony fenomenologiczny aparat pojęciowy, one zostają wtłoczone w fenomenologiczne schematy pojęciowe. A doskonałość fenomenologicznej teorii postrzegania sprawia, że „wszystko się zgadza”. Od strony sztuki estetyka ta niczego się nie uczy. Czytelnik tych tekstów ma szansę poznać jakże wyrafinowany, odkrywczy aparat pojęciowy fenomenologii, i to dzięki niemu wejść w złożoność zjawiska, jakim jest na przykład widzenie.

Triumf aksjologii: piękno znika, wyparte przez „wartości estetyczne”. Triumf pojęcia wartości – skok w iluzję. Odkąd przyjemność nazywa się wartością hedoniczną, ona zostaje owiana aurą nadrzeczywistości, jakoby to już nie była sprawa neurologii czy psychiki. Jednak deklaracja, iż celem życia jest doznawanie przyjemności, deklaracja ta obywateli się bez kategorii wartości – ot, w tym cały izm hedonizmu. Podobnie upodobanie do podobania i podobania się – a idzie tak daleko, by „podoba mi się” wiązać z pięknem. W ten sposób, bezwiednie, wykluczona zostaje myśl, że piękno w ogóle leży poza podoba się czy nie podoba, poza przyciąga lub odpycha, poza kusi... Poza smakiem. W ten sposób, bezwiednie, piękno zostaje sprowadzone do roli siły.

Estetyczna segregacja

Logika *Potęgi smaku* przedstawia się jasno. Zaleca lekcje z nauki o pięknie, obiecuje ich przydatność w życiu – do konsekwencji estetyki miałyby należeć moralne wybory – moralnie dobre wybory, fundamentalne.

„Trzeba pilnie badać kształt”.

Pitagorejski estetyk bada kształty, bada formy z miarą w oku lub w ręku. Jeśli miałyby badać pilnie i starannie? Dziewczyny ustawia pod ścianą, żądając, aby zastygły w pomnikowych pozycjach, najlepiej na wzór Wenus z Milo. Mierzy i liczy – przecież on zna dobre proporcje. Dobre. Kapitel głowy – 1/8 wysokości wyprostowanej postaci. Gdzie pępek wypadł? Jak ma się odcinek łączący żrenice

do dziurek w nosie? Z dużą tolerancją czyni pomiary taki estetyk antropometra. Wspaniałomyślnie? Tak też czynił z Wenus z Milo – skoro ma mieścić się w prawidłowościach mu dobrze znanych.

Jeśli jednak, nawet mimo dozy tolerancji, nie sposób znaleźć prawidłowości układu członków – zasada złotego środka została złamana? Brzydkie na lewo, piękne na prawo. Sął ostateczny. Poeta pantokrator.

¹ „HERBERT: [...] należało wyemigrować wewnętrznie, zajmować się architekturą grecką, Rubensem, czymś takim [...] Czy to było trudne? Mój przyjaciel Adaś mówi, że robię jakieś oczko, twierdząc, że to nie wymagało wielkiego wysiłku. Właściwie nie wymagało. TRZNADEL: – Cytujemy «To wcale nie wymagało wielkiego charakteru...» To bardzo ważny Pana tekst. HERBERT: – To nie wymagało! [...] TRZNADEL: – Chciałbym wrócić na chwilę do pana tekstu *Potęga smaku*. Tu całkowicie się z panem zgadzam. [...] Smak i moralny instynkt zastąpiono sofistyką pojęć i pseudohaśłami: patrzeć na ręce władzy, być obecnym w historii...” (Jacek Trznadel, *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*, Wydawnictwo TEST, Lublin & Zakłady Wydawnicze VERSUS, Białystok 1990, s. 199, s. 200–201).

„HERBERT: [...] Toczył się we Frankfurcie proces oprawców z Oświęcimia. No i poszedłem tam i wyszedłem zde gustowany. Dlaczego? Bo nie widziałem ani krzty demonizmu. I tu zgadzam się z Hanną Arendt co do banalności zła” (s. 207). „Zdegustowany”! Oczekiwał widoku twarzy Szatana? Demonizm właśnie w tym, że kulturalni, ukształtowani w szkołach i uniwersytetach niemieckich, miłośnicy architektury greckiej to czynili, z chłodem. Arendt nie dotyka problemu. Albert Speer, architekt, zaufany i współpracownik Hitlera, czerpał głęboko z form i ducha starożytnej architektury greckiej, solidnie poznał nauki greckiej estetyki. Führer nie tylko był inspiratorem i konsultantem Speera planu budowy nowego Berlina – nad modelami pochylali się i snuli wizje razem. Kolumny i kolumnady mają imperialne przesłanie – masa i energia, opoka, ostoja i pewność. Władczy duch w sztuce szuka siebie, a znajduje, gdy dzieło go potęguje.

² Żeromski: „Nikczemną jest miękkość serca, którą kolce wonnych róż przeszywają! Nikczemną jest siła wzruszenia, którą piękno dalekie pochłania! Nikczemne są wewnętrzne łzy, co się w wiersze czarowne wysączają tajemnie” (Stefan Żeromski, „Nokturn”, *Sen o szpadzie*, Tower Press, Gdańsk 2000, s. 9).

Żeromski patrzy na człowieka „o dłoniach wyschniętych, sękatych, z czarnymi pazurami. Zdawało się, że dłonie te to szpony ptasie, co pochwytyły i trzymają zdobyty łup [czerwona chorągiew]. Poniżej dłoni widać było na suchych gnatach dwa brudne mankiety z ordynarnymi spinkami” („Nagi bruk”, tamże, s. 6).

³ Pretensja do dobrego smaku bliska jest miłośnikom sztuki. Mają za coś wielkiego swą zdolność rozsmakowania, rozkontentowania się, nawet nazywają je kontemplacją. To ich oczekiwania wobec sztuki. Miłośnik sztuki jest człowiekiem kulturalnym, jego samopoczuciem dobrym jest kulturalność właśnie. Wzniosła wyniosłość. Na słowa takie jak „sztuka”, „piękno”, „poezja”, „muzyka poważna”, „utwór” już się unosi, z nabożeństwem. Jest bywalcem wernisaży, galerii, muzeów, koncertów, występów, jest uczestnikiem „życia artystycznego”, kibicem „świata sztuki”, bywa kolekcjonerem. To pasjonat tekstów o sztuce i życiu artystów, z lubością i pasją cytuje zdania głębokie, przywołuje fakty ciekawe, intrygujące, „dające do myślenia”. Idolatria Nazwisk. Bywa, że miłośnika sztuki nie zajmują plotki i myśli o sztuce, a zajmuje jakieś dzieło sztuki, wtedy staje przedmiotem jego zainteresowania – najszczerzego zainteresowania, czy to w postaci podziwu, kontentacji, upodobania czy rozдумania. W ten sposób miłośnik znajduje satysfakcję. Elitarystyczny snob. Boże, strzeż sztukę od przyjaciół (takich?).

MARIAN KISIEL

Miłosny uścisk

Łagodna tafla jeziora, toń niezgłębiona i my:
z dala od szumu drzew, gwaru świata, krzyku szaleńców;

łódź spokojnie sunie, a właściwie umyka w ciszy,
jakby chciała zatrzymać się w czasie, poza czasem;

niech drzewa nie burzą porządku przestrzeni,
w której woda i niebo całują się z sobą;

niech szum świata nie zakłóca tej beztroskiej ciszy,
jaką odkrywamy, płynąc, w bezruchu, gdzieś hen;

niech szaleńcy sami sobie zakładają kaftany,
zapinają je w supły na plecach, i niech krzyczą;

niech krzyczą tam, gdzie są, przeciw innym, gdy my
jesteśmy świadkami miłosnego uścisku wody i nieba.

13 IV 2025

Jędrzejów, wywózka

W tej drodze nikt nas nie zastąpi, nikt nie wyręczy
w niesieniu tobołków, w nich cały nasz świat.

Śnieg, szary popiół opadł na głowy, otulił je,
chustki, czapki, kapelusze musnął pocałunek nieba.

Potem tylko błoto i bruk, i te ulice, szlak drogi krzyżowej:
Łysakowska, Strażacka, Skroniowska.

I koniec. Ten ostatni etap zostanie tylko w nas,
spojrzenie w niebo, w sufit bydlęcego wagonu, w sitko prysznic.

17 II 2023

Moc

Czym jest moc?

Że ulegnę,
umknę przed naciskiem,
będę płakać?

Może w dniu,
który okrywa kwiatami cały świat,
nic nie znaczy moje poniżenie?

Jeżeli gdzieś się odnajdę,
to może w tym wąskim przesmyku,
gdzie nasze uśmiechy spotykają się,
nie rozpoznając.

Kto psuje literaturę? O władzy, polityce i poprawności myślenia

z Bogusławem Jasińskim rozmawia Tomasz Klusek

Wynotowałem z *Estetyki i antyestetyki* Marii Gołaszewskiej taką uwagę: „Wielka Awangarda – tak nazwaliśmy znaczne nasilenie w drugiej połowie XX wieku zjawisk artystycznych i paraartystycznych, przynależnych do antysztuki. Ten szeroki i wszechstronny ruch artystyczny, traktowany od strony warsztatowej, ma w sobie coś z muzyki jazzowej: decyduje inwencja, talent, żywotność, a nie wykształcenie artystyczne; improwizacja uzyskuje znaczną przewagę nad studium i wirtuozerią techniczną. Powstawanie poszczególnych konwencji artystycznych (odpowiednik dawnej kategorii stylu) dokonuje się na zasadzie podobnej do jazzowych tzw. standardów: gdy zaimprovizowany chwyt artystyczny powtarza się, zyskuje powszechne uznanie i naśladowców, a wówczas zamienia się w utrwalony stereotyp artystycznego kształtowania tworzywa”. Określenie przez Gołaszewską trzech dekad XX wieku jako Wielkiej Awangardy (lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte i siedemdziesiąte), uwzględniając przemiany w literaturze, w tym przede wszystkim w powieści, w sztuce filmowej (wyjście z atelier, odteatralizowanie scenografii i gry aktorów, eksperymenty z narracją i czasem), w sztukach plastycznych, w teatrze, w muzyce za sprawą jazzu, wydaje się uzasadnione. Czy zgodziłby się pan z konstatacją Gołaszewskiej i uznaniem Wielkiej Awangardy za jednocześnie punkt szczytowy w rozwoju sztuki, przesilenie, po którym było już tylko coraz gorzej, aż nastąpił krach?

Przede wszystkim witam w klubie miłośników jazzu... Ale nie do końca jestem przekonany, że narodziny wszystkich standardów jazzowych dokonywały się na drodze swobodnej improwizacji. Nawet jeśli na nią wtórnie się powoływano, to tylko ze względów – tak to nazwijmy – marketingu muzycznego; lepiej to brzmiało niż ujawnianie warsztatu, opartego na siedzeniu godzinami z instrumentem. Ci najwybitniejsi wszak byli świetnymi technikami, ze znakomitą znajomością warsztatu, a niekiedy i tradycji. Dlatego łatwo odnajdywali się także w salach wielu filharmonii. Wracając jednak do sedna zadanego problemu... Otóż z tezą pani profesor Gołaszewskiej zgodziłbym się tylko połowicznie. Wydaje się bowiem, że musimy jej

zakres i sens wznieść na nieco wyższy poziom uogólnienia. A mianowicie ów okres przesilenia w sztuce lat – ogólnie mówiąc – kontestacji powinniśmy rozpatrywać w kontekście przemian, które zapoczątkowała jeszcze awangarda wczesnych dekad wieku ubiegłego; mam na myśli dadaizm z Marcellem Duchampem oczywiście (który przecież przerósł nawet sam ten kierunek), suprematyzm Kazimierza Malewicza, sztukę proletkultu, a potem futuryzmu, a nawet Nowej Rzeczowości George’a Grosza i jemu podobnych. Chodziło o negację samego przedmiotu artystycznego i zarazem pewną próbę bezpośredniej interakcji z odbiorcą. Szczytem tej destrukcji dzieła sztuki było wystąpienie Josepha Kosutha i jego manifest sztuki konceptualnej – notabene już w drugiej połowie XX wieku. Z tradycyjnego trójkątowego modelu funkcjonowania sztuki: twórca – dzieło – odbiorca radykalnie został wyeliminowany człon środkowy. Cóż więc robił Kosuth? Wieształ w galeriach cytaty z książek (także filozoficznych), które bynajmniej nie zakładały jakiegokolwiek wizualizacji, ale mogły być sposobem porozumiewania się z odbiorcą. Podobnie działo się w innych rodzajach sztuk. Aktorzy przestali grać, a zaczęli akcje i rozmowy z widzami (Julian Beck i Judith Malina w Living Theatre, Richard Schechner, Odin Teatret z Eugenio Barbą czy wreszcie nasz Jerzy Grotowski z Teatrem Żródeł), muzycy zaczęli wsłuchiwać się w odgłosy ulicy, a następnie je odtwarzać w salach koncertowych (nasz Krzysztof Penderecki przykładowo wykorzystał odgłos maszyny do pisania), tancerze naśladowali naturalne ruchy człowieka i przestali kręcić kółka na palcach (Maurice Béjart), reżyserzy odwrócili kamery od aktorów i skierowali je na ulice, aktorom zaś zabraniali grać, lecz tylko być (słynna scena z Anną Kariną u Jeana-Luca Godarda w filmie *Szalony Piotruś*) itd., itd. Można by wymieniać bez końca. Ale wspólnym mianownikiem tych wszystkich wydarzeń było jedno: redefinicja przedmiotu sztuki. Okazywał się tu być nie tyle kreacją twórcy, ile bardziej efektem interakcji z odbiorcą. I w tym miejscu nie zgodziłbym się z Gołaszewską. To nie był koniec sztuki, ale raczej przesilenie, które na nowo wymagało zdefiniowania samego dzieła. To zadanie było niemożliwe do rozwiązania przez tradycyjną estetykę, ponieważ była ona ufundowana właśnie na statycznym i jako żywo przedmiotowym rozumieniu dzieła. Pisałem o tym wielokrotnie, a zwłaszcza w książkach: *Estetyka po estetyce. Prolegomena do ontologii procesu twórczego* oraz *Sztuka? – Tylko wtedy, kiedy jestem*. Krótko mówiąc, wymagało to stworzenia zupełnie nowego paradygmatu nauki o sztuce. Ale właśnie teraz uświadomiłem sobie, skąd to pytanie u pana: wszak nasza znajomość zaczęła się (wprawdzie tylko wirtualna, bo zapośredniczona panem tekstem o mojej estetyce) właśnie wtedy, kiedy zapoznał się pan z moim stanowiskiem w tej kwestii. No tak, ale przecież te procesy zmian w pojmowaniu dzieła sztuki odcisnęły się także w literaturze...

Od razu na początku naszej rozmowy zrobiło się – że tak powiem – mocno awangardowo. W związku z tym przyszło mi do głowy to, co przed laty napisał pan o Lwie Tołstoj: „Oto Tołstoj staje się prorokiem najbardziej nowoczesnej awangardy drugiej połowy dwudziestego wieku. W niej to bowiem [...] odżywa przecież mit opuszczania kontynentu sztuki. I dlatego być może najgenialniejszym dziełem Tołstoja było jego życie, tak pracowicie i tak świadomie kształtowane. Praca na roli, chłopska sukmana, wreszcie szycie butów, obchodzenie

się bez służby – oto właściwe pole tworzenia dla Tołstoja, a nie pisanie *Wojny i pokoju* czy *Anny Kareniny*. Książki te to tylko dopełnienie życia pisarza, a nie jego wypełnienie”. Przypomnę jeszcze tytuł tego tekstu: *Lew Tołstoj jako najradykałniejszy awangardzista drugiej połowy dwudziestego wieku*. Rzecz pochodzi z pracy *Istnieć znaczy tworzyć* z 1986 roku. Proszę o objaśnienie przywołanego fragmentu w kontekście triady: twórca – dzieło – odbiorca.

Tak, pamiętam ten tekst o Tołstoj. Dziękuję, że pan go tutaj przypomina. Ale trzeba go czytać w kontekście uwag, które sam Tołstoj zamieścił w swoim *Dzienniku*. Otóż w pewnym momencie pisze on mniej więcej tak (oczywiście cytuję z pamięci): „dość mam wymyślania fabuł, żonglowania słowami, w ogóle dość mam wszelkiej fikcji; jedyne, czego jeszcze pragnę, to zanotować dokładnie, bez żadnych zniekształceń, czyli prawdziwie, chociaż jeden dzień z życia dowolnego człowieka”. A pisał to już po swoich największych sukcesach twórczych, a więc po *Wojnie i pokoju* i po *Annie Kareninie*. Spójrzmy na tę deklarację wielkiego przecież pisarza w kontekście wspomnianej przez pana awangardy. Tak naprawdę on nie chce tworzyć dzieł, przedmiotów sztuki, jak byśmy powiedzieli, ponieważ z definicji niejako kłamia. A on chce i pragnie tylko prawdy. Jakkolwiek by to nie zabrzmiało, może dla niektórych banalnie, to jednak Tołstoj twierdzenie to obudowuje całą swoją filozofią. A jej przejawem staje się samo życie pisarza, które – uwaga – po prostu kreuje. I tu dopiero wchodzi cała ta wspomniana przez pana scenografia do spektaklu, którym staje się każdy dzień w Jasnej Polanie: a więc owa chłopska sukmana, wegetarianizm, potajemne seminaria z Duszanem Makowieckim i innymi o znaczeniu pracy na roli etc. Krótko mówiąc, rozpoczyna się jeden wielki performans, który trwa aż do śmierci pisarza. Ba, sama ta śmierć staje się też elementem tego performansu – wszak spektakularnie ucieka z Jasnej Polany, wcześniej zaszywszy swoje dzienniki w oparciu fotela, i umiera – rzecz można – przypadkowo, ot tak mimochodem, na stacji kolejowej. To jest właśnie ostatnia powieść Tołstoja, tyle tylko, że napisana nie słowami, ale życiem. I zakłada ona – jak każdy performans – element niespodziewany, przypadek, ale zawsze w granicach samego wydarzenia. Cóż tu jeszcze można dodać? Mamy zatem *expressis verbis* wyzwolenie z przywołanej tu triady: twórca – dzieło – odbiorca, wyzwolenie, które polega na eliminacji członu środkowego. Dokładnie tak, jak marzyła o tym cała awangarda artystyczna, poczynając od Duchampa, a kończąc na konceptualizmie Kosutha i całego teatru bez teatru z Grotowskim na czele. Tołstoj idealnie wpisuje się w tę tradycję, tyle tylko, że nikt o tym do tej pory nie mówił.

No tak, ale czy rzeczywiście taka droga w ogóle była możliwa w literaturze?

Obawiam się, że jednak nie. Wiadomo, jak kończyły się te eksperymenty z tzw. życiopisaniem – często tragicznie. Tołstojowi udało się umrzeć naturalnie i raczej w pokoju z samym sobą, ale innym, którzy dokładnie takiego samego eksperymentu doświadczyli, już nie. Wspomnę tylko o tragicznym losie naszego Edwarda Stachury, który zachorował na podobną chorobę, polegającą na mieszanii literatury z życiem codziennym. Trafnie tę chorobę zdiagnozował Tomasz Mann, określając ją jako

demonizm. Wszak jego Adrian Leverkühn z *Doktora Faustusa* właśnie taki jest. Sztuka słowa jednak ze swej natury opiera się takiemu myśleniu. Nawiasem mówiąc, ten sam Mann w swym genialnym *Toniu Krögerze* powiada, że najgorzej pisze się wiosną, bo za dużo się czuje. Dlatego – jak wiemy to z kolei z dzienników Katii Mann, żony pisarza – autor *Czarodziejskiej góry* drobiazgowo przestrzegał swoistej higieny pisania, która polegała m.in. na stałych godzinach pracy, kiedy to szczerze izolował się w swoim gabinecie, zamykając skrupulatnie drzwi, by „demony nie wdarły się do środka”. To jest jego oryginalne stwierdzenie. Wtedy pozostawał czas na pracę ze słowem i myślą. Ale to wszystko, o czym tu mówię, nie ma nic wspólnego z programowym izolowaniem się od życia, z zamykaniem się wyłącznie w świecie słów. Chodzi raczej o to, jak tych słów używamy. Pamiętajmy, że sam termin *fictio*, tak jak go rozumiał Arystoteles, nie ma nic wspólnego z kłamstwem. Przeciwnie, to takie zmyślenie, tak skonstruowane, że prowadzi do prawdy. A to co innego. Mówiąc zatem wprost: ze słowem trzeba umieć się obchodzić – raczej odpowiedzialnie, a nie igrzać nim, żonglując z innymi słowami.

I to jest właściwe, głębsze rozumienie problemu awangardowości. Tutaj małe znaczenie będzie miał sposób uprawiania literatury: tradycyjny, jak u Tołstoja, czy eksperymentalny, jak u Jamesa Joyce’a. W *Zagubionym ethosie* napisał pan o autorze *Uliksesa* podobnie jak o autorze *Anny Kareniny*: „Otóż Joyce uczynił z własnego życia – na wzór modernistycznych ideałów – swoisty »tekst«. Stąd też obsesyjne wręcz powtarzanie o wolności artysty, o jego niezależności etc. Jednym słowem Joyce organizował swoje życie tak, jak autor zazwyczaj organizuje życie swoich bohaterów. Zamknął się całkowicie w szczelnej monadzie estetycznej, którą sam wymyślił i której był słońcem. Nie ma zatem żadnych sprzeczności pomiędzy jego formalistyczną prozą »się piszącą« a jego biografią, która była jedyną i absolutną pożywką i jedynym odniesieniem tej prozy. Oba te poziomy stanowią w gruncie rzeczy jedność: to ten sam tekst pisany cierpliwie przez całe życie”. Matko Boska, aż się przeraziłem tym, co będzie można powiedzieć o kondycji naszej współczesnej literatury, gdy zaczynamy od Tołstoja, Manna i Joyce’a. Czy to nie będzie przypadek człowieka, który po wyjściu z dobrej filharmonii trafia do knajpy, w której rzepołą jacyś podpici klezmerzy? Ale powoli! Jakie zjawiska i nazwiska ceni pan najbardziej w historii polskiej literatury?

A zatem wchodzimy – zdaje się – w samo sedno naszej rozmowy. Ale najpierw spuentuję ten wątek Tołstoja, dopełniony Joyce’em. Oba te przypadki świadomego lub nie „awangardyzmu” są mimo wszystko różne. Otóż o ile Tołstoj swoim życiem wychodzi poza literaturę i pisze tekst, ale bez słów, o tyle Joyce manifestacyjnie z życia czyni tekst, a samą literaturę czyni „nadliteracką”, czyli w słowie uwięzioną. Przypomnę tylko jego definicję literatury: tak jak „końskość jest -ością konia”, tak też i „literackość jest -ością literatury”. Innymi słowy milczenie Tołstoja zastąpione zostaje tyranią tekstu, poza którym nie ma nic: w pierwszym przypadku literatura zostaje pożarta przez życie, w drugim zaś życie zostaje pochłonięte przez teksty o nim. To tyle. A teraz wracając do pana pytania. Jeśli pan pozwoli, skupię się

jednak na zjawiskach, a nie na nazwiskach, albowiem w ten sposób unikniemy opowiadania się za opcjami światopoglądowymi, które tak bardzo zdominowały wszelkie rozmowy o literaturze, że samą literaturę zepchnęły na plan dalszy. Widzę tu dwa wielkie zjawiska, a nawet – można powiedzieć – sposoby uprawiania literatury. Nazwę je na użytek naszej rozmowy: sztuką opowiadania i sztuką pisania. Pierwsza to sztuka wielkich narracji, panowania nad przedstawianą historią (jak w prozie) lub nad jasnym przekazem (jak w poezji). Można wręcz powiedzieć, że to na niej uczono nas literatury: dobrze opowiedziane powieści Władysława Reymonta, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, Juliusza Kadena-Bandrowskiego, a potem Jarosława Iwaszkiewicza i – w mniejszym stopniu – Jerzego Andrzejewskiego („mniejszym”, bo eksperymentował w powieści *Idzie skacząc po górach*). I oczywiście można tu dalej wymieniać kolejne nazwiska, ale z grubsza wiadomo, co mam na myśli. Podobnie w poezji: mamy jasne przekazy myśli i emocji u Juliana Tuwima, Jana Lechonia, a potem Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta. I znowu, nie wymieniając nazwisk kolejnych, wiemy, o jakie słowo poetyckie chodzi. Ale mamy także drugą potężną szkołę uprawiania literatury, którą nazwałem przed chwilą „sztuką pisania”. Tu bohaterem jest słowo i tekst, a nie przekaz. Tak pisze Witkacy, Tadeusz Miciński, potem Leopold Buczkowski (zupełnie niedoceniany), Wilhelm Mach (rewelacyjne *Góry nad Czarnym Morzem*), wreszcie taką wizję wyznaje (świadomie używam tu tego słowa) Henryk Bereza, który wywarł olbrzymi wpływ na kształt współczesnej polskiej prozy. Tu liczy się słowo, zdanie, fraza, własny świat językowy. Równolegle widzimy to w poezji – Julian Przyboś, Bolesław Leśmian, Stanisław Dróżdż, na pewno Miron Białoszewski, a także Tymoteusz Karpowicz. I cała dynamika rozwoju naszej literatury oscylowała pomiędzy tymi dwoma zjawiskami. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to znaczne uproszczenie, ale proszę je rozumieć jako próbę pewnej typologii, która nie tylko ułatwi nam rozmowę, lecz przede wszystkim będzie propozycją uporządkowania całego tego pejzażu. Być może nie najlepszą, ale mogącą stanowić punkt wyjścia do analiz. No, ale bardzo spodobała mi się pańska metafora sali filharmonii i knajpy z muzyką w wykonaniu podpitych klezmerów. Póki co cały czas jednak jesteśmy w filharmonii.

Wymienił pan w jednym ciągu Przybosia, Leśmiana, Karpowicza, Białoszewskiego i Dróżdża. Na chwilę chociaż odejdźmy od zasadniczego tematu naszej rozmowy i zatrzymajmy się przy Stanisławie Dróżdżu, bo to postać fascynująca, a mało znana. Proszę więc coś o nim opowiedzieć.

Chętnie... To rzeczywiście postać raczej mniej znana w środowisku literackim. A dlaczego tak jest, samo w sobie w sposób ekstremalny uwydatnia to, co powiedziałem przed chwilą. Otóż Dróżdż był całkowicie skrajnym przykładem owej „sztuki pisania”, o której wspomniałem wyżej. Przypomnę: sztuki, w której bohaterem była... sama sztuka, w której przekazem był... przekaz, a konkretyzując to w przypadku poezji – było to badanie słowem... granic słowa poetyckiego. Dróżdż tę granicę przekroczył i dlatego skończył na wizualizacji słowa i języka. Nazwał to poezją konkretną. Dlaczego „konkretną”? Ano dlatego, że jej bohaterem było zapisane słowo – słowo pozbawione swej (tradycyjnej) semantyki, ale za to wyposażone

w niezwykłą dynamikę syntagmatyczną, która pozwalała bądź rozdzierać je na jego fleksyjne składniki, bądź zespawywać je z innymi słowami – i to w zestawach zgoła nieoczekiwanych. A mówiąc jeszcze krócej: słowo w takim ujęciu stawało się znakiem graficznym. Nic dziwnego zatem, że sam Dróżdż częściej był pokazywany w galeriach niż drukowany w postaci tzw. tomików poetyckich. A nawet więcej: był w miarę regularnie wystawiany w galeriach. Oczywiście jako artysta wizualny. Rzecz jasna, zbiegło się to z pierwszymi w Polsce manifestami sztuki konceptualnej. I to właśnie rodzimi konceptualiści, a raczej powiedzieć trzeba: przedstawiciele sztuki pojęciowej (głównie środowisko wrocławskie) byli naturalnymi odbiorcami poezji konkretnej Dróżdża. Ba, wszak sam Dróżdż współpracował m.in. z Romanem Opałką, artystą formatu światowego. Nie jestem pewien, ale chyba razem uczestniczyli w Biennale Sztuki w Wenecji. Krótko mówiąc, mamy tu do czynienia z radykalnym wyjściem poza literaturę ku wizualizacjom bliskim konceptualistom.

Stanisława Dróżdża „twory graniczne”, że posłużę się terminologią Ingardena, to interesująca próba wyjścia poza banalność dyskursywności. Dylemat: dyskursywność czy niedyskursywność pojmuję tak, jak przywołany przez pana Bereza w ostatniej naprawdę ważnej jego książce, to jest w *Pryncypiach. O łasce literatury* z 1993 roku. Stanowiła ona sprzeciw wobec skrajnego upolitycznienia naszej literatury w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Jeżeli literaturę zaprzęga się w służbę polityki, to naturalnym zjawiskiem staje się wysyp przeróżnych mecenasów politycznych, którzy nie cenią literatury jako literatury, arcyzmu, ale to, co Bereza nazwał „służbizmem”. Mecenas płaci, ale wymaga, tych, którzy mu służą, hołubi i nagradza, tych, którzy nie chcą mu się podporządkować, przemilcza bądź wyszydza. Natychmiast zjawia się czereda „służbistów” wszelkiej maści, którzy piszą marnie, ale to się przecież nie liczy, natomiast nieomylnie rozpoznają miejsce, gdzie stoją konfitury, i sposoby ich zagarnięcia. Znany mechanizm promowania miernot! Doktrynalność, antidoktrynalna doktrynalność – „na literaturę o charakterze artystycznym, na prozę, działa ona wręcz dewastacyjnie”. Bereza te swoje uwagi poczynił już kilkadziesiąt lat temu, ale one wciąż są aktualne, co więcej – te zagrożenia narastają. Co sądzi pan o tym Berezowym rozpoznaniu i jego aktualności dziś?

O tak, pamiętam to. Dlatego właśnie sam Bereza chronił się pod kloszem „literackości” literatury, to znaczy definiował arcyzm literacki jako sprawne posługiwanie się słowem. To właśnie miało być antidotum na zawłaszczanie literatury przez politykę i ideologię. Niestety, takie apele lub postulaty, jak wspomniany Henryka Berezy, wyglądają dziś trochę tak, jak przysłowiowe wołanie na puszczy. Cała bowiem sytuacja literatury w życiu społecznym znacznie się skomplikowała. **Po pierwsze**, nie ma już takich jednoznacznych relacji pomiędzy określonym typem literatury a konkretną opcją lub też partią polityczną. O ile realizm socjalistyczny był jednoznacznie kojarzony z ruchem komunistycznym, o tyle jakikolwiek nurt we współczesnej literaturze nie może być tak prosto przypisany jakiejś konkretnej partii lub ruchowi politycznemu. Nie oznacza to, że takich relacji nie ma. Raczej tylko to, że są one daleko bardziej subtelne, ale też być może niekiedy głębsze, niż nam się wydaje, choć

gołym okiem niedostrzegalne. **Po drugie**, zamiast tego powstała jednak znacznie poważniejsza zależność literatury wobec – jak to określił pewien filozof – aparatów ideologicznych. Chodzi o pewien rodzaj poprawności myślenia, która polega nie na milczącym lub jawnym przyjmowaniu określonych poglądów, lecz – na odwrót – na wykluczaniu postaw, poglądów, idei lub nawet rozumowań, które niejako z definicji unieważniają danego twórcę, konkretne dzieło lub nawet całe grupy twórców czy też środowisk. I ten mechanizm, wcześniej praktycznie nieznan, właśnie – jak pan powiedział – dewastuje literaturę i sztukę. Działa tu coś nieuchwytnego i coś, co w takiej skali dawniej nie było znane, coś, czego wprawdzie okiem nie widać, ale właśnie dlatego tym głębiej wnika w świadomość, niszczy ją, zniewala, zagnieżdża się w niej niczym larwa i żżera wolne i niezależne myślenie. Swoją drogą to naprawdę fascynujące zjawisko: coś, czego nie widać, o wiele bardziej wpływa na ludzi i ich sztukę niż to, co dawniej było jawne, widoczne, a może nawet wulgarnie opresywne. Trudno mi o tym mówić dyskursywnym językiem, ale przecież każdy z nas to podświadomie czuje. Niewłaściwe mrugnięcie okiem w dawnym salonie i do tego w złym kierunku traktowane było jako niewybaczalne faux pas – nie chcę w tym miejscu bardziej dosadnie się wypowiadać. To właśnie niszczy literaturę. Ale przecież przekłada się nie tylko na to, „o czym” piszemy w prozie lub poezji, ale również „jak” piszemy. Lepiej posługiwać się sprawdzonymi i czytelnymi chwytami, niż zмагаć się z czymś nowym. Wreszcie, **po trzecie** – i to właśnie było pierwotną przesłanką, która sprowokowała naszą rozmowę. Tu już mowa o całkiem jawnych, a nie ukrytych deprawatorach literatury. Co mam na myśli? Nie wiem, czy zauważył pan to zjawisko z perspektywy Warszawy i głównych czasopism literackich, ale ja, człowiek żyjący na całkowitym uboczu, wręcz na artystycznym odludziu, dostrzegam to na zasadzie takiej, że z oddali po prostu widać lepiej. O co chodzi? Otóż pisarzem i artystą może dziś być każdy. Wystarczy własnym sumptem lub z niewielką pomocą swoich przyjaciół wydać książkę, pomijając, co oczywiste, jakikolwiek proces recenzyjnej weryfikacji własnych umiejętności, następnie zorganizować wieczór autorski w regionalnej bibliotece lub dowolnym stowarzyszeniu – i już się wchodzi w rolę pisarza i twórcy. Wystarczy tylko, jak mawiała moja babcia, „mieć gadane” oraz naturalne parcie na lokalne media, a tak skrojona szata twórcy już czeka w szatni, gotowa na jego miarę. Ba, jakże często opowiedziane fabuły dotyczą lokalnej społeczności, a zatem w naturalny sposób zyskują czytelników. Kiedyś można to było opowiadać w kole gospodyń wiejskich, kręcąc wełnę, a dziś otwiera się laptopa i uderza w klawisze. Oczywiście nie mam nic przeciwko gospodyniom wiejskim, a nawet przeciwnie – z podziwem obserwuję renesans tego ruchu. Tymczasem za pióro chwyta dziś każdy i niemym wzrokiem każe widzieć w sobie pisarza i artystę. I tak – zgodnie z prawem Mikołaja Kopernika i Thomasa Greshama – moneta gorsza wypiera monetę lepszą, a daleko w tle pozostaje sama literatura. Jak pan to powiedział na wstępie naszej rozmowy: w swej „filharmonii”, bo zewsząd słychać tylko gwar knajpy. Tymczasem cały trud kształcenia na filologii polskiej (i nie tylko) służył do wbijania w głowy studentów, że istnieje coś takiego jak język literacki, analogicznie do języka sztuk wizualnych, a także teatru, muzyki lub baletu, język, który posiada swoją wewnętrzną logikę i porządek, syntagmę i syntaksę, deklinację i okres zdaniowy, i gdzie nie jest obojętne, kiedy mówimy,

a kiedy milczymy, gdzie stawiamy kropkę lub przecinek. Dokładnie tak samo, jak dla artysty malarza nie jest obojętne, jaki kolor kładzie obok innego koloru, dla aktora, jaki gest łączy z innym gestem lub tonem głosu, dla muzyka, jaki typ tonacji przyjmie, a dla choreografa – dlaczego jego tancerz w danym momencie wykonuje obrót, wirując na palcach, a nie szybując w powietrzu itd., itd. Jednym słowem, to właśnie nazywamy określonym językiem sztuki. Uczą go akademie, uczelnie, szkoły artystyczne, co bynajmniej nie oznacza, że każdy, kto je skończy, automatycznie zostaje artystą i twórcą. Można bowiem sprawnie pisać, ale pisarzem się nie jest, mieć słuch muzyczny, ale nie być wirtuozem, łączyć kolory tak, aby „się nie gryzły”, ale stąd jeszcze daleko do malarza artysty. Tak, można taki rodzaj działalności uprawiać, ale bez tych – jakże próżnych i powszechnych – pretensji do bycia artystą. A jest coś w naszej mentalności, że ten przeskok przychodzi nam nader łatwo. U mnie w górach obserwuję literacką karierę niegdysiejszego sportowca, potem podróżnika, lokalnego biznesmena, który pewnego dnia obudził się zbyt późno, by iść do roboty, usiadł więc z poranną kawą w ręku przy klawiaturze, spojrzał przez okno na góry i wystukał pierwsze zdania swojej powieści. I tak się zaczęło. A potem zamieścił kilka postów na fb z informacją, ile czuje, co przeżywa i jak jego dusza łka. I tak to poleciało. Kto dziś pamięta słynne zmagania ze słowem niejakiego Gustawa Flauberta, który miesiącami ślęczał nad jednym zdaniem, albo pracę nad językiem w *Finnegans Wake*, i tak można by ciągnąć w nieskończoność, gdyby nie to, że to jest zaiste wołanie na puszczy. Dokładnie jak w przypadku Berezy, o którym przed chwilą rozmawialiśmy. Ale nawet przecież szkoły tzw. pisania nie są tym samym co wykłady z teorii literatury na uniwersytetach, albowiem również nastawione są na zysk i komercję. I tak koło się zamyka. Trudno powiedzieć, jak taką pętlę rozerwać. Ba, mam wrażenie, że im bardziej usiłuję ją rozsypać, tym mocniej się zaciska niczym ta sławetna chińska pętka na palcu. Zaczynamy być kapłanami w kościele, w którym już nie ma żadnego boga. Co Pan o tym sądzi? A może przesadzam? Może trochę zdziwaczałem w swoich górach?

Krzysztof Teodor Toeplitz powiedział, że kiedyś orientacja w bieżącej produkcji filmowej była niezbędnym elementem intelektualnego wyposażenia, a dzisiaj jest wprost przeciwnie. Taka orientacja jest nawet czymś wstydlwym. Nie wiem, czy tak mocno można powiedzieć, ale coś w tym jest. Z literaturą nie jest aż tak źle, ale sztuczna inteligencja tworząca prozę czy poezję wcale mnie nie przeraża. Ja i tak tego czytać nie będę. Gdy uzmysłowię sobie, ile w ciągu wieków powstało wartościowej literatury, a ja nie mam czasu na zapoznanie się z nią choćby w dostatecznym stopniu, jestem przerażony. Obserwując tę współczesną literaturę, pisaną jeszcze przez ludzi, dochodzę do wniosku, że beletrystyka w dotychczasowej formule wyczerpała się niemal całkowicie, a interesujących pomysłów na jej ożywienie nie ma. Z poezją jest jeszcze gorzej. A jeśli nawet pojawiają się jakieś bardziej interesujące propozycje, to onnipotentny system instytucji nagradzających i promujących nie dostrzega ich, a jeśli dostrzega, to przemilcza. Artur Sandauer kpił z „nagrodomanii”, podobnie Stanisław Dygat, Melchior Wańkowicz. Chełpili się oni tym, że w życiu nie dostali żadnej nagrody, no, prawie żadnej. Powiem

mocno, ale niech tam: ta cholerna „nagrodomania” więcej szkodzi literaturze, niż jej pomaga. Ostateczny bilans jest taki: brak jakichkolwiek nagród byłby lepszy od tej ich nieskończonej ilości hic et nunc.

Dobrze, że przypomina pan Krzysztofa Teodora Toeplitza. Poznałem go w szkole teatralnej, gdzie wykładał – z tego, co pamiętam – historię kina, ale na tle epoki, a więc nie stronił od wycieczek w kierunku sztuki, literatury i w ogóle samej kultury. To ciekawe, że zestawia go pan właśnie z wpływem bieżącej krytyki sztuki na literaturę. Rzeczywiście, coś w tym jest – literatura zawsze trochę się broniła wobec tzw. układów polityczno-społecznych, o wiele bardziej niż film i produkcja filmowa. Powód jest oczywisty: o ile pisarz pracuje głównie sam i z własną klawiaturą komputera (dawniej maszyny do pisanie), o tyle reżyser filmowy musi panować nad całym kolektywem produkcyjnym, nie mówiąc już o budżetach wielokrotnie przekraczających wydanie książki. Ale mimo to obaj byli bezbronni wobec – jak to pan nazywa – onnipotentnego systemu nagradzania (i karania nieposłusznych), a tu znowu wkracza jednak polityka. Więcej: ten system nagród rzeczywiście w istotny sposób stał się windą do karier oraz do promocji określonych wartości tak literackich, jak i obyczajowych (np. poprzez promocje takiego, a nie innego typu bohatera powieściowego). Doskonale rozumiem kpiny Sandauera, Dygata i Wańkowicza z tej „nagrodomanii” – no tak, ale oni żyli w innym świecie, gdzie nie było internetu, „socialów mediów”, sztucznej inteligencji itd. Co z tego wynika? Ano to, że jeśli dzisiaj nie ma cię tam, to nie żyjesz. Ale czy to znaczy, że jeśli masz tysiące odsłon na swoim fb i jeszcze więcej polubień, to już nie potrzebujesz być nagradzany? No nie, to jednak trochę się uzupełnia albo też jedno od drugiego jest niezależne. Myślę, że rolą tzw. „nagród” jest dzisiaj raczej przepustka do świata wartości rzekomo lepszych, tyle tylko, że i one nie spadają z nieba, albowiem kreują je decydenci w kapitułach nagród oraz ich sponsorzy. A zatem – albo owe wartości powstają w zaciszach gabinetów wydawców i sponsorów, a może nawet ideologów i polityków, albo też są przedmiotem głosowania nogami, czyli głosem tłumu. W jednym i drugim przypadku ich status – w sensie absolutnym – jest tylko tymczasowy i pozorny. Dla mnie wzorem w tym względzie jest znakomity pisarz amerykański Thomas Pynchon, autor *Tęczy grawitacji*, *49 idzie pod młotek* i innych. Dlaczego? Dlatego że dokonał radykalnego opuszczenia tego świata poprzez wymazanie siebie nie tylko z mediów, ale nawet z życiorysów dostępnych chociażby w macierzystym college’u. Zastrzegł swój wizerunek, nie udziela wywiadów, nie ma żadnych spotkań autorskich, a kontaktuje się ze światem za pomocą swojego agenta. A jednak jego książki się sprzedają i są naprawdę znakomite.

Do Pynchona za chwilę wrócę. Nie dziwię się, że przywołał pan tego właśnie pisarza. Najpierw jednak wspomnienie. W 2017 roku w Zakopanem odbyła się konferencja naukowa „Dyskursy sztuki. Dyskursy o sztuce”. Na tę okazję przygotowałem referat *Zapomnieć o sztuce i znieść estetykę. Bogusław Jasiński jako artysta i estetyk*. Zaraz na początku przywołałem cytaty z pańskiego szkicu opublikowanego we wrześniu 2013 roku w „Twórczości” pt. *Ocalenie przez sztukę, czyli neoawangarda poza systemem: „Oto sztuka. Mania wystawiania*

i pokazywania, rytuały wernisaży, bełkotliwe konferencje, kupowanie i sprzedawanie dzieł, tekstów, idei – się kręci. Wbrew pozorom, zawsze po coś. Dyskurs szyje ściegiem ładne słowa, nie ma pytań, nie ma odpowiedzi – się mówi. Jedni nauczają, drudzy się uczą, publiczność na wszelki wypadek nie klaszcze, bo nie wie, o co chodzi. Dyskurs nie dyskutuje, podziwia sam siebie”. Panie Bogusławie, dokonajmy pewnej partykularyzacji i słowo „sztuka” zastąpmy słowem „literatura”. Początek wtedy będzie taki: „Oto literatura...”.

Oooo, to teraz mnie pan złapał. Nie wiem, czy uda mi się w kilku zdaniach to wyjaśnić, ale spróbuję. Przytoczony cytat odnosił się przede wszystkim do sztuk wizualnych. Od pewnego czasu bowiem zauważyłem, że w tym środowisku sztuka tłumaczy się po prostu sama; innymi słowy nie musi już o czymkolwiek mówić i nie musi nieść ze sobą jakiegokolwiek przekazu, albowiem mówi wyłącznie o sobie, a przekazem jest samo przekazywanie. Unicestwiono tu wszelką relację z rzeczywistością spoza sztuki. Analogicznie do tego stworzony został cały kontekst towarzysko-artystyczny, ze swoim własnym kodem modowym (ach, te czarne spodenki i czarne wdzianka etc.), a nawet własny kod westchnień i powstrzymywania się od zbyt jednoznacznych wypowiedzi. Łatwo więc było w takim teatrzyku maskować zwykłą ignorancję i niezrozumienie sztuki na poziomie jakże często elementarnym. Bywalcy wernisaży zapewne wiedzą, o czym mówię. Mówiąc najprościej – by dalej się nie znęcać nad owym *artworldem* – chodzi o to, że stworzony został pewien paradygmat sztuki, w którym w sposób skrajny pojmowano nie tylko autoteliczny charakter dzieła sztuki, ale również całą sferę estetyki oderwano od rzeczywistości. I tak na rącznych skrzydłach samouwielbienia poszybowano w rewiry wiecznej he-rezji, to znaczy stworzono swoiste getto, w którym – wbrew pozorom – twórczości nie było, lecz kult poprawności artystycznej. To na jego ołtarzu złożono ofiarę z oryginalności, z ducha tworzenia – jak powiadał Dante – *sponte sua*. We wspomnianym artykule dałem temu wszystkiemu odpór i w konkluzjach nawoływałem do opuszczenia owego *artworldu* po to, by sztukę właśnie ocalić. W imię czego? W imię tego, aby w ogóle o czymś mówić. A co jest najistotniejsze? No właśnie to, co jest. Krótko mówiąc, chodzi o byt jako taki, o „stawienie się na wołanie bytu” – mówiąc podniośle. Tego chciałem i tego pragnąłem. Czyli odpowiedzi na najważniejsze problemy naszej egzystencji. Ale to znaczyło, że trzeba czynić sztukę poza językiem sztuki – czyli trzeba wyjść poza ów *artworld*, by ocalić siebie. To tak, jakby powiedzieć: zaczniemy pisać wiersze poza poezją lub – literaturę poza literaturą. Czy to coś nowego? A o czym marzyli Rainer Maria Rilke i Friedrich Hölderlin? Otóż Hölderlin marzył o tym, aby móc nie tylko rozmawiać z wiatrem oraz słońcem, ale przede wszystkim dać ich w poezji pełny wyraz. Ale przecież taki wyraz, jeśli miałby być rzeczywiście pełny, musiałby być poza wyrazem językowym! Czyż nie jest to właśnie próba wyrażenia niewyraźnego? Może dlatego sięgał po jego wiersze Martin Heidegger, szukając w nich intuicyjnie pociechy po własnych niepowodzeniach na tej drodze. I słusznie: bo niewątpliwie poeta poszedł znacznie dalej niż filozof, albowiem – jak to poeta – odwoływał się przede wszystkim do doświadczania rzeczywistości, a nie tylko do jej pojęciowego ujęcia. Ale czy rzeczywiście Heidegger znalazł w nim to, czego szukał?

Pozwolę tu sobie wejść panu w słowo, bo nie mogę odeprzeć potrzeby przywołania Ludwika Flaszena z jego odróżnieniem książek od Księgi, które zresztą zaczerpnął od Brunona Schulza. Bardzo mi jakoś ten Flaszen pasuje do tego wszystkiego, co Pan mówi. I tak: „Książkę się wymyśla, pisze, wydaje. Książkę się konsumuje, trawi, wydala. Książek jest nieprzeliczone mnóstwo. Przecho-
dzą one przez nas jak przez urządzenie, które – stosownie do przyjętej roli – pisze lub czyta. Pompują w nas ów świat zastępczy, świat bez zobowiązań, dzięki czemu łatwiej przystajemy na małość i ograniczoność własnego życia. Książka – to narkotyk, który pozwala śnić nas odmienionych, choć żywot nasz uwiązał w rutynie, śnić nas wiedzących, choć sami prawdy nie doświadczamy, śnić nas istniejących, choć zaledwie wegetujemy. Książka uzupełnia nas – ale nie spełnia, nie czyni. Jest wygodna”. Dalej: „Księga nie jest tworem imagi-
nacji, grą iluzji, kaprysem zmyślenia. Nie jest po to, byś mógł się zapomnieć, byś boki-
em umknął słabościom własnego istnienia. I w żadnym razie nie jest konsolacją przez mistrzostwo. Księga jest doświadczanym, które nieustannie
pożera już doświadczone, by wchłonawszy je, stawać się wciąż nowymi naro-
dzinami”. Przepraszam za ten wtęt, ale te słowa lapidarnie i niezwykle celnie
oddają to, co wyczytałem choćby w *Tezach o ethosofii* (w uwagach dotyczących
sztuki) czy w najnowszych pańskich książkach *Czytanie Psalmów* i *Kwestia
teatru*. Ale wróćmy do Hölderlina i Rilkego.

Hölderlin zaś nie tylko marzył o takiej niepoetyckiej poezji, ale wierzył też w to, że jeśli poeta nauczy się mowy wiatru, wody, słońca, a może nawet deszczu, to do-
wie się, czym naprawdę jest nieśmiertelność. Bo widzimy wszak, że śmiertelne
formy życia zzuć z siebie możemy niczym znoszony płaszcz i stanąć twarzą w twarz
z istnieniem samym. W pewnym też sensie – zauważmy – poeta ten umożliwił głos,
którym zabrzmiął Rilke: *Sei – und wisse zugleich des Nicht-Seins Bedingung*, czego
bynajmniej nie należy rozumieć, iż samo bycie tylko poprzez niebyt może być po-
jęte, jak to usiłują tłumaczyć niektórzy interpretatorzy, lecz dokładnie na odwrót:
istnieje tylko to, co istnieje, natomiast jego rewersem jest nicość, ale pojmowana
dokładnie tak, jak pojmowany jest Szeol w Psalmach. A mówiąc jeszcze dokładniej:
istnienie jako takie nie może być zakorzenione w nieistnieniu, albowiem – jeśli ist-
nieje (a nie może być wszak inaczej) – wypełnia sobą absolutnie wszystko. Innymi
słowy chcę przez to powiedzieć, że coś tak w istocie swej absurdalnego, jakim jest
przytoczone przed chwilą twierdzenie, może być tylko produktem pracy umysłu
człowieka i jako takie jest pozorem. To właśnie przed nim przestrzegali psalmiści,
wspominając o przekleństwie Szeolu, którego notabene nawet „przekleństwem”
nie można nazwać, albowiem należy do sfery nicości – krainy niczego. A raczej
ściślej: ułudy i pozoru.

No dobrze, ale o czym konkretnie mówię? Chodzi o dreszcz przeżycia samego ist-
nienia, usłyszenie w sztuce głosu bytu. Dlaczego oni wszyscy nie usłyszeli tego głosu?
Bo usłyszeć nie mogli, gdyż – jak sam to przyznaje Rilke w szesnastym sonecie
do Orfeusza – „*Uns wird nur das Lärmen angeboten*” (tłumacz Andrzej Lam odda-
je to w swym przekładzie: „Dla nas tylko wrzawa tłumna”), co znaczy, że formy
życia nie tylko oślepiły dzisiejszego człowieka na widzenie tego, co jest, ale także

uczyniły go głuchym, na wołanie istnienia. Doskonale to wyczuwał Edmund Husserl, który kilkakrotnie wyrażał się o zgiełku form życia jako *Hadar*, tumult i wrzask, które uniemożliwiają dotarcie *zu den Sachen selbst*, czyli do rzeczy samej. Do czego zatem możemy sprowadzić mój nieco przydługi wywód? Otóż chodzi mi o ożywienie tej podstawowej i fundamentalnej funkcji sztuki, jaką była rozmowa z tajemnicami ludzkiej egzystencji. Jeśli filozofia nie była w stanie jej zrozumieć, to sztuka miała pozwolić ją przeżyć i odczuć.

Wspomniał pan Thomasa Pynchona, że jest w pewnym sensie dla pana wzorem, że dokonał on na swój sposób najbardziej radykalnego opuszczenia tego świata. Tutaj nie mogę się powstrzymać, aby nie zadać pytania o charakterze bardziej osobistym, bo przecież jest pan karkonoskim Pynchonem. Od początku wielka nadzieja nauki polskiej, laureat Nagrody Ministerialnej I stopnia im. Stanisława Wyspiańskiego, uznany w specjalnie rozpisanej ankiecie dziennikarskiej za Najwybitniejszego Młodego Polaka Roku 1981, autor książek publikowanych w prestiżowych seriach („Biblioteka Studiów nad Marksizmem” oraz „Myśli i Ludzie”), obiecująco zapowiadający się reżyser teatralny. I nagle... wybiera pan życie w karkonoskiej samotni, przedkłada Karpacz nad Warszawę, uprawianie triathlonu nad instytucjonalną karierę naukową. Proszę wytłumaczyć się z tego wyboru. Moim zdaniem w niczym on nie zaszkodził, a wręcz przeciwnie, bo rozwinął pan we wspaniały sposób swoją koncepcję *ethosofii*, napisał cały szereg książek, które czynią pana jednym z najbardziej oryginalnych polskich myślicieli naszych czasów.

To bardzo miłe dla mnie słowa, ale rzeczywistość niekoniecznie im odpowiada. Tak, odizolowałem się. Zadecydowały kwestie rodzinne, ale nie tylko. To był jednak świadomy wybór. Na początku bardzo radykalny. Odrzuciłem nawet ofertę Paula Ricoeura współpracy w USA. Czytał moją książkę *Theses on Ethosophy*, była mu na swój sposób bliska, widział punkty styczne z tym, co sam uprawiał w filozofii. Tymczasem ja całkowicie zaginałem w tych swoich górach. Straciłem kontakt ze środowiskiem naukowym, a także artystycznym. Odmówiłem także objęcia funkcji dyrektora artystycznego jednego z teatrów. Może tak musiało być? Pyta pan, jakie zyski, a jakie straty takiej postawy. Trudne pytanie. Z jednej strony odzyskałem wewnętrzny spokój i równowagę, a przede wszystkim zacząłem pisać – tak, jak chciałem, i to, co chciałem. Ale z drugiej strony zapłaciłem i płacę nadal olbrzymią cenę za taką swobodę – jestem poza jakimkolwiek środowiskiem, poza światem grantów naukowych, trudniej jest mi przebić się z moimi projektami artystycznymi. Niezależność ma swoją cenę i niekiedy trudno ją zapłacić. Zwłaszcza dziś, w świecie tak bardzo podzielonym. Moją największą radością są moje książki, a nadzieją to, że myśli tam zapisane mogą pracować w głowach innych. Może to pozwoli chociaż trochę zmienić świat na lepszy.

Bogusław Jasiński

Filozof i artysta, autor kilkunastu książek z zakresu filozofii i estetyki, z których najważniejsze to: *Twórczość a sztuka. Wprowadzenie do estetyki procesów twórczych*, *Myślenie Heideggerem*, *Tezy o ethosofii*, *Zagubiony ethos*, *Dwie fenomenologie: Husserl i Heidegger*, *Droga myśli*, *Estetyka po estetyce. Prolegomena do ontologii procesu twórczego*, *Sztuka? – Tylko wtedy, kiedy jestem*, *Miłość* oraz ponad 140 rozpraw i artykułów z zakresu filozofii i estetyki. Laureat Nagrody Ministerialnej I stopnia im. Stanisława Wyspiańskiego, członek kilku stowarzyszeń naukowych i artystycznych w kraju i za granicą, Najwybitniejszy Młody Polak Roku 1981 wybrany w ankiecie dziennikarzy. Twórca i artystyczny lider grupy artystycznej „Pracownia Teatru”, członek „Sztuki i Teorii”, jeden z animatorów ruchu awangardy. Jego koncepcji ethosofii, wyłożonej w angielskiej książce *Theses on ethosophy*, poświęcony był *round table* podczas Światowego Kongresu Filozoficznego w Brighton. Jej omówienie napisał sam Paul Ricoeur. Wykładowca na wielu uczelniach w kraju i za granicą, m.in. Papieskiego Fakultetu Teologicznego „Bobolanum” oraz Polskiej Akademii Nauk. Absolwent trzech fakultetów: filologii polskiej, filozofii, a także Wydziału Reżyserii Dramatu Akademii Teatralnej w Warszawie. Opublikował zbiór opowiadań *Dalej, inaczej...* oraz powieści: *Życie i cierpienie młodego W*, *Wyrok* i *Zamęt*. Píše także dramaty i poezję. Wydał trzy tomy poezji, z których ostatni pt. *Zasłyszania* poprzedzony został nowatorskim ujęciem sztuki poetyckiej. Maratończyk i triatlonista. Żyje na uboczu. W górach.

Tomasz Kłusek

Urodzony w 1992 r. w Janowie Lubelskim. W rodzinnym mieście ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Bohaterów Porytowego Wzgórza. W 2011 r. został laureatem (pierwsze miejsce ex aequo) XXIII Olimpiady Filozoficznej. Studiował filologię polską, filozofię i socjologię na UMCS w Lublinie. Za pracę poświęconą polskiemu konserwatyzmowi romantycznemu, która została napisana pod kierunkiem prof. Arkadiusza Bałajewskiego, uzyskał pierwszą nagrodę w XVIII edycji Ogólnopolskiego Konkursu im. Czesława Zgorzelskiego na najlepszą polonistyczną pracę magisterską w kategorii literaturoznawczej. Obecnie doktorant w Katedrze Estetyki i Filozofii Kultury Wydziału Filozofii i Socjologii UMCS oraz w Katedrze Historii Literatury Polskiej Wydziału Humanistycznego UMCS. Przygotowuje pod kierunkiem prof. Teresy Pękali rozprawę doktorską *Spotkanie z dziełem. Wokół estetyki literackiej Romana Ingardena*. W 2020 r. w serii „Młoda Polonistyka” Wydawnictwa KUL ukazała się jego debiutancka książka *Dwie koncepcje konserwatyizmu romantycznego: Krasiński i Rzewuski*. Publikował w „Akcentie”, „Twórczości”, „Colloquia Communia”, „Kulturze i Wartościach”, „Forum Akademickim”, „Nowych Książkach” oraz monografiach zbiorowych. Od 2018 r. stały współpracownik „Akcentu”, ponadto w tym samym roku otrzymał stypendium artystyczne Prezydenta Miasta Lublina (projekt *Ocalić od zapomnienia. Cykl esejów o prozaikach lubelskich*). W 2020 r. nominowany do nagrody „Żurawie” – Lubelskie Wyróżnienia Kulturalne w kategorii słowo. Otrzymał Nagrodę im. Profesora Czesława Zgorzelskiego. Obecnie jest redaktorem miesięcznika „Nowe Książki”, prowadzi działy: „O literaturze”, „Polityka. Społeczeństwo” i „Dla młodzieży”. Zainteresowania: związki między filozofią a literaturą, estetyka i socjologia sztuki (zwłaszcza literatury), literatura polskiego romantyzmu i współczesna.

→

Olena Matoshniuk, 9:00 czasu kijowskiego, z cyklu *Codziennosc*,
olej na płótnie, pastel olejny, 60 × 45 cm, polityk (element nr 4 z 14), 2025



GABRIEL LEONARD KAMIŃSKI

Sobie na 68 urodziny

Coraz krótsza perspektywa zastępuje azymut dożycia,
ZUS dogadał się w tym względzie z GUS-em.
W międzyczasie Żabka i Biedronka zmówiły się przeciw
Lidlowi, wojna toczy się o trzynaście złotych, Duży Ben
wspiera w wolne soboty meliny, Mały grilla,
salony tatuażu wyszły z cienia na główne arterie,
lud uważa, iż wygląda bez nich nijako i płasko,
wrocławskie krasnoludki mają swoje
nieustające święto, Wszyscy Święci muszą zadowolić się
jednym dniem, młode pokolenie w pijanym widzie
wkracza w dorosłość, majtki w krzakach ustalają
poziom uczuć, a Radio Wrocław wieści metropolitalne
grzechrzółki dla ludzi pracy, budząc ich przed szóstą
indywidualną skalą samozadowolenia, stare Protramy
z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego przenoszą mnie
w czasie, do wrót Solidarności, jeszcze jednej bajki
dla dorosłych, za granicami kraju zostało dwieście
pięćdziesiąt tysięcy działaczy z wizami w jedną stronę,
nikt o nich nie mówi, nikt nie wspomina, oni widzieli tylko
inną Polskę, a to już za dużo, o dziwo nie boję się śmierci,
oswojony z witrynami zakładów pogrzebowych, cmentarz
pod bokiem, jako pacjent uciążliwy terapię daremną
mam zapisaną w epikryzie, mało to poetyckie, ale w tych
czasach nawet „Przemiana” Kafki wydaje się banalna.
Celebryci obecni na ekranach smartfonów nudzą się
w sieci, młodzi non stop wpatrzni w idolów
przechodzą do dark roomów, szukając adrenaliny,
Telewizja wymyśla nowe zajęcia dla emerytów, aby
zapomnieli o śmierci, stąd tylko krok do postpeerelowskiego
raju, wszyscy udają szczęśliwych, kijki trekkingowe
na wagę złota, zawsze można pokonać park
narciarskim krokiem, właśnie uczę się na nowo
utrzymywać równowagę, ZUS dodał mi po roku
sto złotych zachęty do dalszej pracy, inflacja
gra ze mną w berka, kto kogo przechytrzy, za to
„Format Literacki” trzyma się prosto.

31.08.2025

→

Valeriia Nykytchenko, *Charkowski blok*,
tusz na betonie, artbook, 30 × 18 cm, 2022



Ogród ziemskich rozkoszy

No tak, to ja. Proszę, niech pan wejdzie do środka, mieszkanie trochę zagracone, mój poprzednik miał tendencję do zbierania sprzętów, ja z kolei lubię roślinne dekoracje, no i tak to wygląda. Mnie zresztą nie wypada niczego wyrzucać, skoro to nie moje. Poza tym, wie pan, moje ostatnie lokum było, rzecz można, dość minimalistyczne, więc ta odmiana wcale mi nie przeszkadza.

Czuje, że pan mi się bacznie przygląda. Rzeczywiście, nie wyglądam tak jak kiedyś. Cóż poradzić. Inaczej wyglądałem, kiedy w mediach pełno było moich zdjęć i bywałem w telewizji. No tak, byłem młodszy i nosiłem brodę. Zacząłem się golić w puszcze, żeby mieć codzienne zajęcie, jakąś rutynę. W międzyczasie trochę wyłysiałem, a teraz jeszcze te okulary. Lekarka mi zaleciła, żeby nosić przyciemnione. Oj, wiem, do kogo teraz jestem podobny! Nieraz rano zaglądam do lustra i mam ochotę się odezwać: „Dzień dobry, panie Jaruzelski”.

Czy się spodziewałem, że ktoś mnie odwiedzi? Nie spodziewałem, choć z drugiej strony nie jestem specjalnie zdziwiony. Prasa to prasa, dziennikarze lubią wiedzieć. Taka wasza praca. Pan z podróży, nastawię coś do picia, niechże pan siada, nie, nie tam, proszę tutaj, bliżej okna, to najwygodniejszy fotel. No i już czajnik szumi. Zaraz będzie herbata. Mam tu gdzieś liściastą ze sklepu w Sligo, naprawdę aromatyczna, zaparzę ją w czajniczku. Czajniczek, liściasta... Hm, jak te słowa jednak szeleszczą. Dawno nie używałem polskiego, już prawie trzy lata. Dziwne wrażenie, kiedy się wypowiada takie szeleszczące głoski. Są ludzie, którzy głośno mówią do siebie. Ale ja nie mam tego zwyczaju, nawet nie przeklinam po polsku. Oj, zaraz, do którego pudełka ją przesypałem? Człowiek powoli gubi się pośród tych drobiazgów. Staram się trzymać porządek, ale, jak pan widzi, za dużo mam tych pudełeczek, słoików i paczuszek. Muszę zajrzeć do tej szafki, może tu. Lubię mieć pod ręką swoje ulubione herbaty i przyprawy, ale, niestety, za dużo tego.

To z jakiej pan gazety? Ach, znałem kiedyś waszego naczelnego. Zapraszali nas razem do telewizji na dyskusje o polityce. Nadal jest naczelnym? Ambitny człowiek. Podziwiam go za odporność i za talent. O ile wiem, po jego osobistej decyzji wasza gazeta nie przyłączyła się wtedy do nagonki na mnie. Proszę go pozdrowić przy okazji.

Już się parzy, musiałem przykryć grubą ściereczką, bo jak dłużej naciąga, to jest smaczniejsza. Którędy pan tu przyjechał? Przez Drumshanbo czy Leitrim? Pytam, bo obie trasy ładne, jedna wzdłuż jezior, druga bardziej serpentynami i przełęczami. No, może pan sprawdzić w telefonie. I co? Jednak przez Leitrim. No to mijał

pan kopalnię rudy żelaza w Arigna. Ściśle rzecz biorąc, teraz ta kopalnia funkcjonuje jako muzeum. Jedyna atrakcja turystyczna na tym odludziu.

Ten dom ma ponad sto lat, czuje się tu historię. Kiedy obecny właściciel go kupował, był w ruinie, widziałem zdjęcia. Kilka lat zajęło mu doprowadzenie budynku do stanu obecnego. Teraz to jest przytulne gniazdko, z łazienką, ocieplonym dachem, kuchenką elektryczną w kuchni i tak dalej. Jest nawet generator prądu na wypadek, gdyby wichura zerwała trakcję w okolicy. Właściciel kim jest? To pisarz, dość znany, wydał parę książek w Ameryce, tam dobrze płacą.

Chciał tu osiąść na odludziu, żeby mieć spokój do pisania. Ale jak to bywa, życie spletało mu figla: zakochał się i pojechał z wybrankiem swego serca do Portugalii. Nie wiem, czy nadal pisze, ludziom czasem się zmieniają priorytety. Może łowi ryby w Atlantyku. Dwa razy się widzieliśmy, kiedy podpisywaliśmy umowę o wynajmie i kiedy przyjechał na parę dni załatwić jakieś sprawy rodzinne. Zostawił mi masę książek i cały stos płyt CD, głównie jazzowych. Znalazłem tu Johna Coltrane'a, Milesa Davisa, a nawet Garbarkę i Stańkę. Pan słucha jazzu? Ja początkowo słuchałem, a potem wciągnęła mnie muzyka klasyczna, najpierw barokowa, a potem ta bliższa naszym czasom. Pewnie, że trzeba się do niej nastroić, zdobyć na pewną cierpliwość i podążać za tematem muzycznym, bo tam mniej rytmów, a fraza dłuższa, bardziej finezyjna. Samo to w ucho nie wpadnie, więc trzeba jakby wysilić się, skupić, czasem poczekać na kolejną nutkę, bo to czekanie też jest przyjemnością. Jak już się człowiek rozsmakuje w tej gęstej muzyce, to nie ma ochoty wracać do rytmicznego łupu cupu nadawanego w radiu.

My tu gadamy, a za oknem zrobiło się całkiem ładnie. Chodźmy na spacer, szkoda marnować tę okazję. Wie pan, że tu w ciągu dnia skoki temperatury mogą przekroczyć nawet 10 stopni? Nie mówiąc o pojawianiu się i znikaniu słońca za chmurami – bywa, że i kilkadziesiąt razy w ciągu dnia. Kubek niech pan zostawi na blacie. Może pan już zakładać palto, ja zaraz będę gotowy, tylko pochowam pudełko z herbatą, może następnym razem nie zapomnę, gdzie co mam. Jeszcze tę szafkę domknę i już!

Na początek pójdziemy sobie na cypelek, z którego najładniejszy widok na dolinę i na przeciwległe wzgórze. O tej porze roku jest jeszcze dość szaro, zaledwie pierwsze brzoźki się zielenią, o, widać te jaśniejsze plamki na tle zagajnika. Doliną płynie rzeczka, która zasila jezioro za tamtą górą. Aż tak daleko nie pójdziemy. Widzi pan wiatraki? Muszą dawać sporo prądu, bo jesienią i zimą nieźle tu wieje. Ale co ja mówię! Tu cały rok wieje. Ciepłych i bezwietrznych dni mamy jak na lekarstwo. Dziś, można powiedzieć, wyjątkowo spokojnie.

Wychodzę z domu codziennie i nawet gdy pada deszcz, robię swoją rundkę, cztery, pięć kilometrów. Wysiłek to konieczność, bo mięśnie muszą być w ruchu. Ale i przyjemność – tyle się dzieje w przyrodzie, o każdej porze jest co oglądać. Wieczorami też, nie ma pan pojęcia, jak ta dolina wygląda w księżycowe noce.

Nieraz wydaje mi się, że na tym końcu świata jestem od początku świata. Ładne zdanie, co? Jak pan będzie pisał, koniecznie proszę to zdanie zacytować. Czy zabrał pan dyktafon? Nie? Myślałem, że chce pan nagrywać, ale jak pan woli zapisywać, to w porządku. Mnie nic do tego. Ale o tym końcu i początku świata koniecznie proszę napisać. No i co? Podoba się panu tutaj?

To jeszcze pójdźmy tam, pod tę skałę, coś panu pokażę. Do strumienia nie warto się zbliżać, bo po deszczach może być tam za ślisko. O, już jesteśmy. W zimowe ranki, kiedy trawa jest zamrożona albo gdy przez kilka dni leży tu śnieg, lubię sobie tutaj przyjść, stanąć na samym środku tej polanki i poczuć, jak pachnie śnieg. Bo śnieg i mróz mają swój zapach, zapamiętałem go z dzieciństwa. Tego, tak jak zapachu kwitnącego bzu, chyba nigdy nie zapomnę. A tu, niech pan zobaczy, rośnie irlandzki mech. Na świecie znany jest porost islandzki stosowany do produkcji kosmetyków, a o irlandzkim mchu prawie nikt nie słyszał. O jego właściwościach wiedzą tylko miejscowi. Wygląda niepozornie, jak zwykły mech, ale skutecznie wzmacnia organizm. Mnie na przykład pomaga na wzrok, ból stawów i parę innych chorób.

Przez ostatnie dwa i pół roku mieszkam tu praktycznie sam. Pan zobaczy, w tym eleganckim drewnianym domku jest kurnik, trzymam tam sześć kur i jednego koguta. Więcej zwierząt nie ma, kiedyś był kot, ale gdzieś zaginął, może wpadł do jaru i lisy go zjadły. Zajrzyjmy do tunelu foliowego. To moje największe dzieło i moja duma. On mnie żywi. O tej porze roku jeszcze nic nie owocuje, ale żeby wyhodować takie maluszki, jak pan tu widzi, też trzeba się nieźle naharować. No i tu już mam wschodzącą kapustę, jest kalafior, cebulka wypuściła, obok rzodkiewka, całkiem spora. Prawda, że tu w środku cieplej?

Podejźmy teraz tam, po kamiennych schodkach i na lewo. Pokażę panu, jak sprytnie doprowadziłem wodę do podlewania. Namiot musiał stanąć na tym płaskim kawałku ziemi, a to dość daleko od strumienia, bliżej postawić się nie dało, bo tam skały. Ale woda potrzebna stale, dlatego ujęcie wody ze strumienia zrobiłem najwyżej, jak się dało, na granicy działki. Stamtąd woda rurą płynie do zbiornika na środku ogrodu, a z niego już zwykłym węzem ogrodowym prosto do namiotu. Ciśnienie jest wymuszone siłą grawitacji. Muszę się panu przyznać, że kiedy byłem młody, do babrania w ziemi żywiłem szczerą pogardę, no tak, miałem się za intelektualistę, w końcu skończyłem studia techniczne. Człowiek jest jednak zdolny do wielkich zmian. Mnie ostatnie lata bardzo zmieniły. A tu mamy drzewka owocowe. Niektóre już tu rosły, kiedy przejąłem gospodarstwo, te najmniejsze sam sadziłem. Owoce na nich marne, bo tu jednak klimat surowy, ale przynajmniej jest pożytek dla pszczoł i ptaków. Ile ja godzin spędziłem na obserwacji krzątających się pszczoły! Te owady są tak mądre, że ludzie mogliby im buty czyścić. Gdyby oczywiście pszczoły miały jakieś buty. W każdym razie, jak się patrzy na te małe stworzenia, rośnie w człowieku szacunek dla przyrody. A czasem pojawia się refleksja, jak to dobrze być częścią tego wszystkiego.

Bo same prace ogrodnicze – kopanie ziemi, podsypywanie, pielienie, porządkowanie i podlewanie – to jak u Churchilla: krew, pot i łzy. Robota żmudna i bardzo wyczerpująca. Wszystko ręcznie, przy tej skali upraw maszyny są bezużyteczne, jedyne usprawnienie to bieżąca woda. Jednak kiedy po jakimś czasie widać już wschodzące rośliny, potem zawiązujące się owoce i wreszcie dojrzałe warzywa, to sam ten widok jest wystarczającą nagrodą za ciężką pracę. Czasem mi się wydaje, że rośliny czują moją troskę i odpłacają się tą swoją bujnością, barwami i zapachami. Hodowla roślin to nie jest samo podlewanie i ochrona przed szkodnikami – to zaangażowanie duchowe, prawie jak podczas malowania obrazu albo rzeźbienia. Tego się nie da robić mechanicznie, bezdusznie. Czasem podczas pielienia słucham

sobie radia, ale tak cichutko, żeby mi nie zakłócało innych odgłosów. Mam ulubioną stację z muzyką klasyczną. Kiedyś nie wyobrażałem sobie życia bez komputera, bez dostępu do internetu. A teraz wcale za tym nie tęsknię, nie potrzebuję właściwie niczego. Mam tu wszystko. Cały ogród ziemskich rozkoszy.

Ludziom dorosłym znacznie trudniej jest wchłaniać przyrodę tak, jak to jest dane dzieciom. Można próbować się odciąć od tego, co składa się na nasze dorosłe życie, od zalewu codziennych informacji, przetwarzania danych, planowania i kalkulacji. Po jakimś czasie można się w miarę zbliżyć do dziecięcego odczuwania, chociaż nadal będzie to skażone tym naszym dorosłym mózgiem. Jesteśmy na dorosłość skazani. Może dlatego tęsknimy za dzieciństwem.

To już wracajmy, bo zaczyna się robić zimno, a pan pewnie zgłodniał. Zrobimy kaszę ze smażoną cebulką i jajkami sadzonymi. Mam sześć kur, każda niesie się co drugi dzień, jajek mam pod dostatkiem. O, byłbym zapomniiał, poczęstuję pana domowymi ogórkami. Sam je kiszę, bo przecież w lokalnych sklepach nie kupię, a do Dublina się nie wybieram. Na początku mi te ogórki gniły, bo źle dobierałem proporcje przepraw do wody, ale za trzecim razem już mi się udały, więc trzymam się receptury. Fajnie coś samemu odkryć, nie uważa pan?

Wejść pierwszy, zapalę światło w korytarzu. Drzwi trzeba mocno przyciągnąć, bo inaczej się nie zamkną. Niech pan się rozgości na swoim fotelu, ja skorzystam z toalety, mam słaby pęcherz. Proszę wejść, nie szkodzi, że w butach. To tylko linoleum, gdyby jakieś ślady, łatwo będzie powycierać.

Pan by wołał przejść do rzeczy. Proszę bardzo. Kiedy zacząłem zamieszczać w gazetach komentarze polityczne oraz ze znajomymi organizowałem demonstracje i mówiliśmy o łamaniu prawa przez rządzących, wiedziałem, że się narażam. Żadna władza nie lubi krytyki i kiedy ktoś zanadto się wychyla, może dostać po głowie. Parę osób mi wtedy mówiło, że może być jakaś prowokacja. Nie miałem pojęcia, co to by mogło być. Zatargów z prawem nie miałem, samochodem jeździłem ostrożnie, nie uprawiałem pijaństwa, nikogo nie obrażałem. Wakacje spędzałem z rodziną, więc skandale towarzyskie też odpadały. Pilnowałem się, żeby przez telefon za dużo nie mówić, nie zdradzać planów podróży i tak dalej. No wie pan, elementarz aktywisty. Cała ostrożność okazała się... Hm, trudno teraz ocenić, nigdy się nie przekonam, czy była potrzebna. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że będą usiłowali mi zaszkodzić.

No niech pan powie, przecież mogli się mnie pozbyć na sto innych sposobów, mogli podrzucić torebkę z kokainą albo podrobić jakieś faktury, podstawić świadka, przypisać mi malwersacje, zwołać konferencję i ogłosić, że jestem złodziejem i wszystko by im się zgadzało. Ich zwolennicy by to łyknęli, ja zostałabym skazany za przywłaszczenie mienia, poszedłbym do puszki, ale zachowałbym rodzinę, nie utracił zdrowia, nie przeżył tych koszmarów. Jakim zwyrodnialcem trzeba być, żeby od początku do końca uknuć intrygę, która niewinnego człowieka ma upodlić, zepchnąć na samo dno egzystencji.

Pamiętam okoliczności, kiedy zrobiono to zdjęcie. To było cztery lata przed tym, zanim zacząłem aktywnie występować w obronie demokracji. Na kilka dni wakacji pojechałem do mojej siostry, która prowadziła rodzinny dom dziecka. Te dzieciaki wołały na nią ciocia, więc na mnie zaczęły mówić wujek. Był tam wtedy nieduży

chłopiec upośledzony intelektualnie i raz przyglądałem mu rozwichrzoną czuprynę, a on zapytał poważnie: „Wujek, a ty mnie głaskasz?”. Między tymi dziećmiakami odpoczywałem od swojej pracy, od wielkomiejskiego życia. Czasem zahaczałem o ich dom w drodze powrotnej z jakiejś wycieczki, zawoziłem wtedy dzieciakom pamiątki. Pamiętam, jeden brzdąc oglądając moją walizkę, zapytał: „Wujek, a ty jesteś podróżnikiem?”. Dorosłym takie pytanie nie przysłoby do głowy, a jemu widocznie bycie podróżnikiem jakoś imponowało. Kiedy byłem w jego wieku, też mi imponowało. Marzyłem, żeby objechać świat, żeby na motocyklu przejechać się autostradą 66 i podziwiać zachód słońca nad skalistym krajobrazem pustyni w Utah. Później te mrzonki mi wyparowały, dopiero ten chłopiec uświadomił mi, że przemierzając się po drogach otwartej wreszcie Europy, realizuję swoje dziecinne marzenie. Bo jakoś wcześniej tego nie dostrzegałem.

Ale o czym to ja mówiłem? Jak doszło do zrobienia zdjęcia? Sytuacja banalna, nawet nie mogę powiedzieć, że to był efekt braku czujności, bo przy poprzedniej władzy zachowywanie czujności obywatelskiej nie było potrzebne. Dzień był upalny, całą gromadą pojechaliśmy na basen. Siostra z mężem, ósemka podopiecznych i ja. Zawsze lepiej, jak jest więcej dorosłych. Wspólna kąpiel działa na dzieciaki pobudzająco, potrafią się rozbrykać, więc lepiej mieć towarzystwo na oku. Basen był płytki, bardziej w nim baraszkowaliśmy, niż pływaliliśmy, pamiętam dwie dość śmiałe dziewczynki, dosłownie włożyły mi na głowę, żeby wciągnąć pod wodę, musiałem się od nich opędzać jak niedźwiedź od sfory psów. Cały czas była to zabawa, nawet odczuwałem cichą satysfakcję, że tym dzieciakom z pokiereszowaną przeszłością mogę się przez chwilę przydać do odreagowania ich niewątpliwej traumy. Opiekunowie, czyli moja siostra i szwagier, musieli ich trzymać trochę na dystans, ale ja mogłem się z nimi wygłupiać, mogłem się po gombrowiczowsku „bratać”.

Te dziewczynki, które próbowały mnie podtapiać, zrozumiały w końcu, że jestem dla nich za silny, i przerzuciły swoją uwagę na Marcinka, blondynka młodszego od nich. Tarmosiły go dość okrutnie w tej wodzie, aż nie wytrzymałem i włączyłem się w ich zabawę niby na prawach równego uczestnika, ale głównie po to, żeby tego nieboraka jakoś obronić. Kiedy wszyscy potraciliśmy trochę energii i zabawa się uspokoiła, wyszedłem z basenu i rozłożyłem się na kocu. Raz czy dwa zerknąłem na dzieciaki, potem zamknąłem oczy i prażyłem się na słońcu. Po jakimś czasie przybiegł zdyszany i ociekający wodą Marcinek, dygotał z zimna i mając w pamięci tę moją opiekuńczość w basenie, opadł na koc i przylgnął do mnie swoim zimnym ciałkiem, szukając ciepła, które ja już zdążyłem pobrać ze słońca.

Wie pan, to było instynktowne, ani ja go nie zachęcałem, ani on mnie nie pytał o pozwolenie. Chciał się przy mnie zagrzać, jak się człowiek grzeje przy kaflowym piecu albo jak szczeniaczek tuli się do dużego zwierza. Nad basenem nieszczęściem było to, że duży zwierz szczeniaczka przygarnął do siebie i chociaż ręka miała dotknąć tylko pleców Marcinka, zjechała trochę niżej, tam gdzie zaczynały się mokre obcisłe kąpielówki. Przynajmniej tak to było widać na zdjęciu.

Niech pan powie, jak pan chce pogłaskać kota, zastanawia się, jaka jest jego płęć? Albo gdy daje pan przysmaki psu, a potem ten pies polizze panu rękę, czy to jest jakaś perwersja? Wrażliwość i czułość nie odróżniają płci. Ja się nie

zastanawiałem nad cielesnością tego chłopczyka. W dzieciństwie spałem z bratem w jednym łóżku, potem podczas biwaków albo wyjazdów na koncerty spałem z chłopakami w ciasnych namiotach. Cielesność, a nawet pewna swoboda, nie była tam wcale krępująca. Dlatego żadna czerwona lampka mi się wtedy w głowie nie zapaliła.

Później wielokrotnie rozliczałem się z tego gestu, analizowałem na wszelkie sposoby. Całą moją winą było to, że poczułem do tego chłopczyka litość, może nawet taką rodzicielską czułość. Przecież miałem już własne dzieci. Próbowałem to wyjaśniać śledczym i wie pan, co raz usłyszałem? Lepiej, abym żadnej litości nie okazywał. Czyli że tego przemarznętego chłopaczka powinienem odepchnąć i nie pozwolić mu skorzystać z mojego ciepła. Jego już wcześniej odepchnięto, przez co znalazł się w domu dziecka, choć nominalnie sierotą nie był. Miałem zrobić to znowu? Wychodzi na to, że tak.

I dokończę jeszcze: całe to przytulanie, o którym opowiadam, trwało najwyżej parę minut. Nawet nie zauważyłem, aby nas kto fotografował. Jeśli pan widział tę fotografię w gazetach, zauważył pan, że mam zamknięte oczy. Po tych paru minutach chłopczyk się zagrzał, odsunął się na drugi kraniec koca, poleżał jeszcze chwilę i potem pewnie pobiegł między dzieci. Tyle było tej mojej pedofilii na basenie.

Pytałem potem śledczych, kilku mnie przesłuchiwało, nie do każdego miałem ochotę się w ogóle odzywać, ale paru było inteligentnych, więc ich pytałem, kto mi zrobił to zdjęcie. Bo zdjęcie było prawdziwe, żadnych przeróbek. I tu jest ten paradoks, że w warunkach nagonki politycznej najprawdziwsza fotografia potrafi kłamać. No więc pytałem ich, ale żaden mi nie powiedział, widziałem za to, jak wielką satysfakcję im sprawia to, że polowanie na mnie się udało, jacy są dumni ze swojego podstępu. Ze swojej szytej grubymi nićmi mistyfikacji. Więc już potem o nic nie dopytywałem, żeby nie wysłuchiwać pogardliwych uwag. Kiedy zapadł wyrok i już mnie zapuszkowali w Rawiczu, jeden z klawiszy robił do mnie podchody i obiecywał, że się dowie, skąd bezpieczeństwa miała to zdjęcie. Ale nie chciałem wchodzić z nim w żadne...

Kogo nazywam bezpieczeńką? No tych, którzy mnie w to wrobili, wiedząc, że niszczą mi życie. Ta obecna służba ma trzy literki w nazwie, ale stosuje dokładnie te same bolszewickie metody, które wcześniej stosowano w Związku Radzieckim. To są formacje powołane do obrony interesów władzy przeczulonej na każdy przejaw niezależności i wolności. Nazewnictwo się zmieniło, ale nic więcej. Mentalnie oni nadal są formacją gotową niszczyć ludzi zagrażających bandyckiej klice rządzącej państwem. Chyba nie muszę panu tego tłumaczyć, dziennikarze są zazwyczaj bardziej przenikliwi niż reszta społeczeństwa.

Żona się mnie wyrzekła, dziewczynkom prawnie zabroniła kontaktów. To było do przewidzenia. Wstyd, który na początku przeżywałem, był wstydem przed nimi. Córkę miały wtedy jedenaście i czternaście lat. Nie wiem, jak to dokładnie było, ale znając metodyczność moich oprawców, tam też nic nie było puszczone na żywioł, ktoś musiał doradzić mojej żonie, żeby się szybko ode mnie odcięła i złożyła pozew o rozwód. Ten jej słynny wywiad dla tabloidu – myślę, że ktoś ją musiał podejść. Może jej zaproponowali dobre pieniądze, żeby mnie obsmarowała i opisała jako odrażającego typu, u którego zauważała „skłonności”? Pewnie nie widziała alternatywy.

Zaszczuli ją. Nawet nie mam o to do niej żalu. Stała się narzędziem w rękach kanalii udających przedstawicieli prawa. Zresztą, czego wymagać od kobiety? Idzie tam, gdzie spodziewa się bezpieczeństwa i dostatku. Taki babski instynkt, na który mężczyźni często psioczą, bo nie są w stanie go zrozumieć. Nie czułem się nią rozczarowany, jej odcięcie się przyniosło mi nawet ulgę. Odkąd mnie zakuli w kajdanki, nie umiałem sobie wyobrazić spotkania z rodziną. Chyba najbardziej bałem się spotkania z córkami. Jak wytłumaczyć nastolatce, że to, co o mnie usłyszała, jest podłym, spreparowanym kłamstwem? Jakie miałem szanse, żeby uwierzyła w moją opowieść? A jeśli to okaże się dla niej moralnie za trudne do rozstrzygnięcia? Bałem się, że córki mi nie uwierzą i zobaczą w ich oczach pogardę.

Więzenie to zmarnowany czas i o szczegóły niech pan nie pyta. W gazetach czasem opisują życie za kratami, pańska gazeta też kiedyś takie reportaże drukowała, ale umówmy się, że to tylko literatura. Ludzie, którzy siedzieli, opowiadają o tym i owym, może im to służy jako terapia. Niech opowiadają, niech piszą – dla mnie nic z tego gadulstwa nie wynika. O innych sprawach panu opowiem, ale to zostawmy.

Pozwoli pan, że się pokrzęcam po kuchni. Należy nam się jakiś podwieczorek. O, chlebek już jest. Gdzie ja schowałem to pudełko? Lubię sobie przyrządzać różne specjały z dostępnych produktów, jakieś marmolady z dyni albo posiekaną bazylię zalaną oliwą z oliwek. W tym lnianym woreczku trzymam suszony lubczyk. Bez niego nie ma rosółu. Moja mama z jakiegoś powodu na lubczyk mówiła „magi”. Pańska też? No widzi pan, jednak to była powszechna nazwa. A tu w słoičku jest ten mech, który pokazywałem panu przy skałkach. Zebrałem go wczesną jesienią, wysuszyłem i roztarłem na proszek. On chyba nie ma polskiej nazwy. Tutaj mówią na niego *searbh caonach*, czyli dosłownie gorzki mech. Podobno druidzi dodawali go do mikstur, którymi się odurzali przed odprawianiem rytuałów, ale to nic pewnego. Ja pół łyżeczki sproszkowanego mchu zalewam wrzątkiem, przykrywam i po dziesięciu minutach odcedzam. Działa pobudzająco i orzeźwiająco. Kawa mi szkodzi na żołądek, a ten napar jest zupełnie łagodny. Odkąd zacząłem go regularnie pić, nie muszę sobie ucinąć popołudniowych drzemek. No i nie zasypiam podczas słuchania muzyki.

Bo to głównie muzyka mnie leczy. Z czego? Chyba ze wszystkiego. Później pokażę panu mój pokój, gdzie mam odtwarzacz i głośniki. Bo muzyki, szczególnie klasycznej, ale też innej, na przykład jazzowej czy elektronicznej, nie można słuchać w byle jakim pomieszczeniu. Na szczęście mój poprzednik, jaki wspaniały zbieg okoliczności, tak przebudował ten pokój, żeby stworzyć idealne warunki akustyczne. Przyszedłem, można powiedzieć, na gotowe.

O widzi pan, rudzik. Stale tu przylatuje, pod sam dom. W lesie powyżej ogrodu jest ich pełno. Nad strumieniem z kolei lubią przesiadywać kosi, takie czarne z żółtymi dziobami. Pięknie gwizdzą na wiosnę. Są jeszcze sikorki, szczygły i całe mrowie innego drobiazgu. Nie nadążam z ich rozpoznawaniem, ale nie odpuszczam żadnej okazji, aby posłuchać, nacieszyć się ich widokiem. Jak zaczynają te swoje koncerty, to uświadamiam sobie, że jednak jestem szczęściarzem. Mogli mnie bić i upokarzać, ale wrażliwości mi nie odebrali. Tutaj zostałem wciągnięty w świat przyrody i muzyki. Jedno uzupełnia drugie i tak sobie żyję, nie ustając w zachwytach. Codzienne obowiązki przemieniły się w rytuały, a obserwacja roślin, ptaków,

nieba i ziemi stała się rodzajem kontemplacji – oczywiście bez żadnych religijnych nawarstwień, bo sam siebie nie będę przecież religijnie indoktrynował.

Czy wierzę w Boga? Oczywiście, że nie. Aż tak mocno mnie nie bili. Owszem, miałem w życiu parę momentów słabości, ale to już potem, kiedy wyszedłem z puszki. Mieszkalem na wsi w Górach Bardzkich i ukąsił mnie kleszcz. Bolały mnie mięśnie, stawy, czułem potworne osłabienie, niestrawność, suchość w ustach i szum w uszach. Klasyczne objawy boreliozy, niestety nie wykrytej w porę. Trafiłem do szpitala, na pewien czas nawet ogłuchłem, lekarze pozostawali bezradni i to było najgorsze. Nic nie zależało ode mnie, musiałem czekać beczynn timer i zdać się wyłącznie na kaprys losu. Dla wielu ludzi zamiastką działania jest modlitwa, ale ja nawet w tak beznadziejnej sytuacji na to się nie zdobyłem. Nie umiałem prosić kogoś, o kim nic nie wiem, o łaskę dla siebie. Komu miałem opowiadać o swojej słabości i strachu? To byłoby, proszę pana, niepoważne. Równie dobrze mógłbym odwoływać się do miłosierdzia tego kleszcza, który mnie zaraził boreliozą. I co mu miałem powiedzieć? Kleszczu, mój panie, któryś jest w zaroślach, oszczędź mnie od dalszego cierpienia i kiedy będę szedł ciemną doliną, nie wskakuj na me rozgrzane ciało i nie smakuj krwi mojej, bo od jednego twego pocałunku ducha wyzionąć mogę. Zatem bądź miłościw mnie ciepłemu i pomnij mnie w swym wszechmocnym kleszczowym sumieniu. Słyszał pan coś równie niedorzecznego?

Uspokoję pana, nie modliłem się do kleszcza. To nie był ten stopień desperacji. Zresztą moja wyobraźnia nie sięgała tak daleko, aby prosić o zamieszkanie tutaj. Bez żadnej modlitwy dostałem we władanie ogród ziemskich rozkoszy, to jest moja nagroda i za to czuję do losu wielką wdzięczność. Widzi pan, jaki okrutny paradoks, obecny komfort w jakiś pokrętny sposób zawdzięczam moim ubeckim oprawcom. Logika nakazuje to wskazać, bo to oni złamali mi życie, w efekcie czego musiałem próbować życia innego. Gorzka logika, jak pan widzi. Gorzka jak moje ziółka.

Czy to przebaczenie? Wie pan, raczej nie ta kategoria. Wybaczają ludzie, którzy czują ciężar swojej krzywdy, a mimo to deklarują przebaczenie, bo chcą być szlachetni. Może kieruje nimi jakaś kalkulacja, bo to zawsze lepiej być dobrym i wspaniałomyślnym niż podłym i zawistnym. Mnie to już nie dotyczy. Żyję, jak pan widzi, w swoim zachwyceniu. Podobają mi się istnienie, kontemplacja przyrody, muzyka. Nie mam czasu na rozpamiętywanie krzywd. Jestem dalej i wyżej. Czy już panu mówiłem, jak udało mi się tu trafić?

Jak mnie podleczyli z tej boreliozy, wyjechałem do Austrii i zamieszkałem u znajomego. Akurat zbliżały się święta, potem Nowy Rok, wymarzone warunki do rekonwalescencji. Ale wie pan, nie czułem się tam komfortowo. Dom był co prawda wygodny, pięć sypialni, salon, trzy łazienki, ale i trzy telewizory nadające na okrągło po niemiecku. A ja nie umiałem się dostosować do tego rodzinnego rozgardiaszu. Pogadaliśmy szczerze i ten mój druh zaczął wydzwaniać po znajomych w Europie, żeby mnie gdzieś umieścić. Do kraju nie chciałem wracać, akurat zabili Adamowicza i to w zasadzie przypieczętowało moją decyzję, żeby trzymać się od morderczej zgrai z daleka. Po jakimś czasie znalazł się ten dom. Bardzo się ucieszyłem, bo ja w angielskim lepiej się czuję, po niemiecku prawie wcale nie mówię, chociaż jak pan wie, rządowe media przedstawiały mnie jako niemieckiego pacholka, no cóż. Nie sądziłem nigdy, że będę kiedykolwiek o tych

sprawach mówił. Może pan to sobie poczytać za plus, że tak dużo panu opowiadam. Przed panem nikt tu nie dotarł, nawet nie przypuszczałem, że ktoś w kraju jeszcze o mnie pamięta. Podziwiam, że panu się chciało szukać kontaktów, żeby mnie tu, że tak powiem, namierzyć. Tomek z Dublina jest jedynym człowiekiem, który zna mój dokładny adres, czasem tu przyjeżdża z psem i żoną. Mówił panu, że nie mam telefonu? No nie mam, nie potrzebuję. Listów też nie piszę za wiele, bo nie mam do kogo. Jak chcę zadzwonić, jadę sześć kilometrów do wioski w dolinie, tam w pubie jest telefon. I dzwonię głównie do Tomka, który mieszka obok wielkiego parku w Dublinie i nauczył się odróżniać odgłosy ptaków. To nieprawda, że trzeba wstawać bardzo wcześnie, żeby ich posłuchać, w dzień też ładnie śpiewają. Ale o czym to mówiliśmy?

A pewnie, że to są środki ostrożności, nie chcę, żeby mnie tu nachodzili agenci i dopytywali o moich kolegów i koleżanki z czasów działalności. Każdą niewinną rozmowę można spreparować i wykorzystać. Skąd mam wiedzieć, na kogo akurat coś kręć? Pan się może dziwić, a nawet posądzać mnie o uleganie paranoi, ale ja już wolę paranoję, niżbym kiedyś miał płuć sobie w brodę, że dałem się głupio podejść. Nawet z siostrą nie utrzymuję kontaktów, chociaż pod koniec mojej odsiadki przysłała mi do więzienia list z przeprosinami.

Celem tej bandy jest trwanie przy władzy, więc są gotowi na każde świństwo, żeby ten cel osiągnąć. Mnie zniszczyli, jestem wrakiem człowieka, już mnie na swojej liście wrogów odfajkowali. Ale czy mogę być tego pewien? Może przeze mnie chcą dotrzeć do innych osób, z których chcą zrobić swoje ofiary. Jak pan uważa? Nic pan nie uważa, no szkoda. Zaraz po wyjściu z puszki zrozumiałem, że dopóki oni mają władzę, koszmar może wrócić. Przez ponad trzy lata tęskniłem za wolnością, a zaraz za bramą pojąłem, że oni wiedząc, że mam nadszarpnięte zdrowie, nie zawahają się, żeby to wykorzystać i wycisnąć mnie do ostatniej kropelki. Dlatego spod więziennej bramy pojechałem od razu na południe Polski, potem do Austrii, a na koniec tutaj. Dobrzy ludzie pomogli, przez dwa i pół roku miałem tu spokój.

A tak, tak, kiedy pan odjedzie, nadal będę miał spokój. Tak mi się tylko powiedziało. Mam nadzieję, że to, co opowiadam, ułoży pan sobie jakoś chronologicznie, bo czuję, że się nam tu wdziera chaos. Napijemy się kawy? Świetnie, tu gdzieś miałem taką organiczną z wegańskiego sklepu w Sligo. Czasami częstuję nią sąsiada, który ma traktor i pomaga mi w tym i owym. On zazwyczaj prosi o trzy łyżeczki cukru, a pan? Dobrze, dam dwie. Z cukrem jest jednak lepsza.

Co myślę o swojej działalności w ruchu? Niczego nie żałuję. Zaznałem sławy, której nie szukałem, ale przy tym czułem, że robię coś ważnego. Dla wielu ludzi nasza działalność była ważna, ale drugi raz bym się w to nie wdał. Mówię panu, że nie. To nie kwestia resocjalizacji, ale nadmiernej trzeźwości. Już przed zapuszkowaniem czułem, że na samym huraoptymizmie i poczuciu moralnej wyższości nasz ruch daleko nie pociągnie. Nawet próbowałem przekonać kolegów z zarządu, że potrzebne jest inne nastawienie, inny przekaz medialny, bo inaczej staniemy się tylko legendą, która nie ma siły sprawczej. Ale nie dałem rady. Większość z nich to byli idealisci ufający, że historia znowu się do nas uśmiechnie, ludzie niesieni entuzjazmem przejrzą na oczy i znowu, jak nasi ojcowie, pokonamy dyktaturę bez jednego wystrzału.

Ale warunki, mówiłem im, są teraz inne. Wtedy było obrzydzenie komuną, bo szalała bieda. Byli bohaterowie i wspierający ich kler, ale nie było internetu. Tamta władza była bardziej wstrzemięźliwa w szerzeniu dezinformacji. Aksamitna rewolucja nie była zasługą garstki opozycjonistów po wyrokach, tylko Gorbaczowa, który ogłosił pieriestrojkę. Wygodnie jest o tym zapominać, żeby zasługi zachować dla siebie, ale nie można przeoczyć faktu, że tamtej konfiguracji drugi raz nie będzie. Cudu nad Wisłą też nie. Kościelne tłuste koty z nami nie pójdą, bo przy tamtej władzy tyle ugrali, że opływają w dostatki i nie zamierzają ich tracić. Zresztą feudalnej instytucji nigdy nie będzie po drodze z demokracją. Niestety, moi koledzy absolutnie nie godzili się na takie stawianie sprawy. Kościół, mówili, jest poza polityką, a winę za łamanie prawa ponosi wyłącznie partia trzymająca władzę. Kiedy im powtarzałem, że to właśnie Kościół pomógł im tę władzę zdobyć i pomaga utrzymać, nazywali mnie lewakiem i heretykiem. Logika nie działała, za to paru osobom z najbliższego otoczenia musiałem podpaść. Czułem jakiś smrodek wokół siebie i nie wykluczam tej możliwości, że to ktoś w naszym kręgu zdecydował się mnie pozbyć, bo okazałem się zbyt „radykalny”.

Jeszcze panu dopowiem, jak mnie wrobiono. Ubecy podeszli mojego szwagra. Postraszyli go, że postawią mu zarzut znęcania się nad dziećmi, i to tak mocny, że nie będzie miał szans na obronę. „Będzie skandal, dom dziecka zostanie zlikwidowany, pójdziesz siedzieć, a twoja żona na bruk. Ale...” – brzmiała dalsza część szantażu – „jeśli pomożesz nam w jednej sprawie, damy ci spokój”. Sprytnie to obmyślili, bo szwagier był miękki jak plastelina, w dodatku głupi, nawet wierzył w zamach smoleński, więc jakoś tam do niego trafił argument, że jestem zagrożeniem dla państwa. Pomógł im, żeby siebie ratować. Tak bywa. Pod nieobecność mojej siostry wpuścił ich do mieszkania. Rzucili się od razu na jej dokumenty i pamiątki. Z laptopa skopiowali pliki z dokumentami i fotografiami. Zostawili wszystko w nieskazitelnym porządku, żeby siostra nie nabrała podejrzeń, bo mogłaby mnie ostrzec. Taką przynajmniej mam nadzieję. Szwagrowi nakazali milczenie i on milczał. Podobno, jak mnie osądzili i zamknęli, to się przejął i osiwił. Tak opisała mi to siostra, która po tym wszystkim wystąpiła o rozwód. Podobno. Nie mam zamiaru sprawdzać.

Ludzie lubią patrzeć, gdy kogoś ćwiartują. Podczas średniowiecznych egzekucji na placu przed szubienicą też gromadziła się gawiedź, dlatego bezpieka zadbała, aby moja sprawa była maksymalnie rozdmuchana w mediach. Film z mojego zatrzymania pokazano na początku głównego wydania dziennika telewizyjnego i jednocześnie uruchomiono opluwaczy w internecie, który z natury swej podatny jest na sensację. Działania prokuratury to już był zabieg techniczny. Nie chodziło wszak o to, żeby mnie ukarać za domniemany czyn zabroniony prawem, lecz żeby mnie w oczach obywateli skompromitować, wyzuć z człowieczeństwa, wdeptać w ziemię. To im się udało. Precyzyjnie wybrano czas ujawnienia informacji o moim zatrzymaniu – dokładnie na dzień przed planowaną konwencją największej partii opozycyjnej. Nie należałem do tej partii, ale propaganda przedstawiła mnie jako jednego z tych niewdzięcznych buntowników, którzy na zlecenie zagranicznych agentur chcą obalić istniejący rząd.

Z punktu widzenia ich parszywej propagandy był to strzał w dziesiątkę. Mieli autentyczną fotografię, znaleźli fałszywych świadków, dorobili całą historię mojego

zboczenia. Jechali grubo. Wiedzieli, że tego typu przestępstwo budzi jak najgorsze odruchy w społeczeństwie, że nikt się za mną nie wstawi, nikt nie zaprotestuje. Nie mogłem liczyć na żaden głos obrony lub choćby apel o rzetelne zbadanie sprawy. Lincz publiczny nastąpił i było to o tyle wygodne dla władzy, że odciążyło od infamii to środowisko, które od wieków ma problem z pedofilią. No, ale tamci są nietykalni. Korzystają z ochrony, bo gorliwie wspierają władzę. Przypisanie pedofilii cywilowi i w dodatku liderowi ruchu domagającego się od rządzących poszanowania prawa załatwiało im dwie rzeczy: odciążało tamto zakłamanie środowisko i niszczyło reputację naszego ruchu.

Na początek odsiadki wrzucili mnie do celi wieloosobowej, żebym się szybko „nauczył zasad”. Był tam taki osiłek, nie pamiętam, z którego paragrafu skazany, który kilka razy dziennie powtarzał głośno: „Pierwszy warunek doskonałego człowieczeństwa: móc zabić wszystkich, których się nie lubi”. Wyjątkowo prymitywny bandzior. Kliniczny przykład faszysty, który jest zbyt ograniczony, żeby przyznać się przed sobą, że jego poglądy mają wszelkie cechy faszyzmu. Za każdym razem, gdy z pełnym przekonaniem wypowiadał to zdanie, zachodziłem w głowę, jakim cudem je zapamiętał. Bo to, że nie miał bladego pojęcia, że tę bluźnierczą myśl wypowiedział pewien znany z przewrotności filozof – było więcej niż pewne. Wyobraża pan sobie moje zdziwienie: kretyn spod Mławy posługuje się opacznie rozumianym i wyjętym z kontekstu cytatem z Ciorana.

Tu mam taką nalewkę na owocach jarzębiny, bardzo zdrowa. Dozuje sobie czasem po kilka kropelek do herbaty. I to właściwie jedyny trunek, jaki spożywam. Alkohol pity w większych ilościach odbiera ciekawość życia.

Przywiózł pan polskie konfitury? Dziękuję. Pewnie Tomek mówił, że lubię śliwkowe. Nie on mówił? No to gratuluję intuicji. Popróbuję przy okazji. Wie pan, czasami w Sligo kupuję zapasy jedzenia na parę tygodni. Niewielkie mam potrzeby, no i ta uprawa warzyw zapewnia mi byt. Ale są smaki, za którymi się tęskni, a trudno je odnaleźć na obczyźnie. Więc kiedy uda się skosztować, ot choćby konfitur albo pierniczka maczanego w kawie zbożowej, to tak, jakby się przez jakąś sekretną furtkę wracało do dzieciństwa. Chyba innej drogi tam nie ma, jak przez pamięć smaków i zapachów. Dzieciństwo to czarodziejska kraina, zatrzaśnięta przed dorosłymi raz na zawsze.

Pyta pan, czy tęsknię za krajem. Dziwne pytanie, muszę przyznać. Po tym, co panu powiedziałem, mógłby się pan domyślić. Najpierw uwaga ogólna: tęsknota jest to uczucie destrukcyjne i niewarte pielęgnowania. Jest niepotrzebnym ciężarem dla codziennego bytowania, bo nie ma mocy sprawczej, żeby przybliżyć nas do obiektu tęsknoty. Po drugie, to ja nie mam za czym tęsknić. Chyba wiadomo, co tam za mną zostało. Zgliszcza. Tu mam wszystko to, co zostało mi dane. Kim jestem, żeby to podważać? Nie mogę dłużej wzdychać do tamtych wschodów i zachodów słońca, bo to bezproduktywne i wypłukane z sensu. Wie pan, moje życie zostało przełamane na pół. Zrobili to ci przestępcy, o których już mówiłem. Choćby nie wiem, jak wielką machinę propagandową uruchomili, prawdy o sobie nie ukryją. Nie mam wątpliwości, że za to, co zrobili narodowi, staną kiedyś przed sądem. Pan też tak myśli? O, widzę, że zaskoczyłem pana pytaniem. No dobrze, zostawmy to, rzeczywiście trudno przepowiadać przyszłość. Smakuje panu kawa?

Muszę jeszcze dopowiedzieć – może to się panu przydać jako taka kłamra zamykająca pewien wątek – że przyroda nauczyła mnie łagodności i dystansu, właściwie, jeśli wziąć pod uwagę ilość przebytych chorób i urazów, mogłem już dawno odmaszerować do świętego Piotra. Nieraz, kiedy o poranku wychodzę na obchód swoich pagórków, kiedy pachną krzewy, śpiewają ptaki albo chociaż wiatr szumi w gałęziach, zastanawiam się, czy ja przypadkiem nie wiodę życia po życiu. Może pan z duchem rozmawia, co? Jakby się panu podobała taka perspektywa? Nie bardzo? No tak, bo z ducha żaden dla was pożytek. Wolicie mnie żywego, co?

O co mi chodzi? Miałem to wyjaśnić przy muzyce, ale już nie zdążę. Planowałem, że w tym drugim pokoju posłuchamy sobie razem Oratorium Wielkanocnego Bacha. Albo requiem Kozłowskiego – to mało znany kompozytor, ale w tym jednym utworze dorównuje Mozartowi. Requiem to muzyka na pogrzeb, pod warunkiem, że ktoś na godny pogrzeb zasłużył. Ty niestety nie. Tak, przecież widzę, obserwuję cię od paru minut. Już nie możesz podnieść ręki z poręczy ani krzyczeć, ani zerwać się do kibla, żeby zwrócić zawartość żołądka. Znaczy to, że na duże mięśnie ociążałość już przysłała i jedynie organy wewnętrzne są w stanie funkcjonować. Oddech staje się świszczący, a wzrok dość tępy. Przedstawienie dobiega końca. Nie bądź taki wystraszony. Nic ci nie zrobię, tylko zsunę cię na podłogę, żebyś mi fotela nie zaszczął. Jak się zlejesz na linoleum, to wielkiej szkody nie będzie, zmyję mopem. Ślady na poręczach powycieram, a kubek i talerzyk wyparzę wrzątkiem.

A co, łachudro, naprawdę myślałeś, że ja się ciebie nie spodziewałem? Jak myślisz, po co cię usadziłem na tym fotelu? Żeby ci było wygodnie? W dupie mam twoją wygodę. Przypomnij sobie, co widziałeś nad zlewem. Musiałeś zauważyć te warkocze czosnku, cała ściana zakryta tym czosnkiem. Nie byłeś ciekawy, gnojku, po co mi tyle czosnku? Byłeś, byłeś. Przecież widziałem, że jak tylko się odwróciłem albo zajrzałem głębiej do szafki, tobie już oczka latały, już zaglądałeś w różne kąty. Tak się rozglądałeś, a nie zauważyłeś kamer w warkoczach czosnkowych i nie wiesz, że w tej szafce, gdzie roztargniony dziad szukał specjalnej herbatki, jest monitor, na którym widać każdy zakątek tego domu. Od pierwszej chwili wiedziałem, że nie jesteś dziennikarzem. Później tylko mnie w tym upewniałeś. Dziennikarz, zanim by mnie znalazł, przeczytałby moją biografię i wiedziałby, że wcale nie siedziałem w Rawiczu, tylko w Tarnowie. To po pierwsze, kurwa. Po drugie, kłamałeś, że nie masz przy sobie dyktafonu. Miałeś dwa urządzenia nagrywające – widziałem to wcześniej na monitorze, bo jedna z kamer reaguje na podczerwień i wyłapuje fale radiowe. A gdybyś był sprytniejszy, nie pokazywałbyś mi, w której kieszeni trzymasz telefon. Po co pytałem cię o trasę, jaką tu przyjechałeś? Żebyś wyjął telefon, ciotku! I po trzecie, gdyby Tomek podał ci mój adres, uprzedziłby, żeby mi nie przywozić konfitur. Od czasów boreliozy nie spożywam cukru i on doskonale o tym wie. To ty się okazałeś konfiturą. Na kilometr czuć cię psem. Śmierdzisz jak najgorszy zdziczały kundel karmiony mięsem z nutrii.

Przejrzałem cię na wylot. Kiedy celowo plułem na twoich ubeków, a ministrów nazywałem przestępcami, widziałem, jak ci się oczka zaświeciły, jak ci usta wysychały z wrażenia. Już myślałeś, że zdobycz wpadła ci w sidła. Już sobie wyobrażałeś, jak szef klepie cię po ramieniu i wręcza kopertę z premią w podziękę za dostarczone nagranie. Tymczasem nagrania nie ma, bo nigdy nie powstało, a sam szpieg utonął



Vitalii Shupliak, *Akty milczenia*, akryl na papierze, 40 × 29 cm, 2022

w bagnie. Powiem ci, jak Polak Polakowi, chuja się znasz na szpiegostwie. Kto cię uczył zachowywania ostrożności? Przychodzisz do domu kryminalisty, któremu chcesz zaszkodzić, i pijesz kawę sypaną z osobnego słoika? To zakrawa na samobójstwo. Moja zielona herbata z imbirem była smaczna, tylko bardzo moczopędna. A w twojej kawie był gorzki mech. Albo sproszkowany trujący grzybek. Albo wydzielina meksykańskiej ryby. To już bez znaczenia. W każdym razie produkt ekologiczny, w pełni naturalny. Bo przyroda jest szczodra, przyroda jest łaskawa. Jeśli umiemy przestrzegać jej praw, ona pozwala nam wymierzać sprawiedliwość.

Leż tu łajzo, krzeselko sobie podsunę, bo mi się nie chce stać nad tobą. Mamy czas, twoja agonia jeszcze potrwa. No, co się tak wytrzeszczasz? Czego się spodziewałeś? Że starszy pan pozwoli się nagrać, żeby dostać kolejne kilka lat w recydywie? Jak już wyzioniesz ducha, będzie wyglądało na zawał serca. Takie byczki jak ty też mogą mieć słabe serca, co nie? To, co było w kawie, rozpuści się po kilku godzinach.

O, teraz mi wygodniej. I ty, kundlu, chciałeś starego wilka upolować w jego lesie? Liczysz na to, że twój czerwieniący się prokurator w okularach przyjedzie po ciebie limuzyną? Nikt cię nie znajdzie, najwyżej lisy, o tu, na szyi i na nadgarstkach posmaruję cię jęczącym masłem, nie ma co żałować, o koszulę już nie warto dbać. Zepsute masło ma silny zapach, lisy cię szybciej znajdą. Nie rób takich oczu. Tobie i tak będzie wszystko jedno, śmierć mózgu powoduje, że w ciele nie ma żadnego czucia. Natomiast mnie nie jest wszystko jedno. Za zniszczenie mi życia odpłacam tym samym. Ty, gnojku, też się przyczyniłeś do mojej gehenny. Ćwierci tego, co ja przeszedłem, nie chciałbyś spróbować.

Nie wiesz, co znaczy niemo wyć po nocach z bólu, z obrzydzenia do świata i do samego siebie. Przez takich, jak ty, tam trafiłem, nie zapominaj. Paraliż będzie postępował, tetrodotoksyna jest nieubłagana. Nie ma na nią antidotum. Niczego tym parsaniem nie zmienisz. Wyrok zapadł. A co? Mogłeś się do kurwy nędzy spodziewać, że zostaniesz zdemaskowany. Odłączyłeś się od sfory, bo wydawało ci się, że jesteś tresowanym chartem, a twoją ofiarą będzie jakiś kulawy chomik, tak? Chciałeś swoim mafiozom zanieść zdartą skórę, a tu czekał na ciebie lepszy rzeźnik.

Jeśli uznałeś, że trzy lata spędzone pod celą niczego mnie nie nauczyły, nie wyostrzyły mi instynktu samozachowawczego, to gównie wiesz o życiu. Nie miałbym szacunku do siebie, gdybym tamten czas zmarnował. Chcieliście mi tamten czas zabrać. Zabraliście, ale ja go po wielekroć odzyskałem. Dlatego ci tyle o sobie opowiedziałem, żebyś chociaż ty wiedział, że przegraliście. Zostałem upodlony i połamany, ale się pozrastałem i odbiłem, jak drzewko stratowane przez jeleń. I ja jeszcze wzrosnę ze swoją muzyką, warzywami, sosnami i wiatrem znad Atlantyku, a wy będziecie się dusić w waszym kurewskim, podszytym brunatną ideologią upodleniu.

Myślisz, że ktoś tu trafi w poszukiwaniu wypożyczonego auta, tak? No mrugnij, jeśli tak myślisz. O, mrugnąłeś, więc ci powiem po raz drugi: chuj się znasz na szpiegostwie. Przecież mogłeś jechać drogą równoległą, która biegnie wzdłuż przeciwnego wzgórza. Tam niedawno osunęła się ziemia po ulewach, zmyło kawałek asfaltu i powstało całkiem spore urwisko. Miejscowi je omijają, ale ty pierwszy raz w tych okolicach, trzymałeś się wskazań GPS-u, w ciemności nie widziałeś znaków ostrzegawczych, nie wiedziałeś o rozmytej drodze. GPS wielu kierowców doprowadził do nieszczęścia. Jak objedziemy dolinę dookoła, to akurat trafimy w tamto miejsce. Pod wieczór drogi będą puste. Ja sobie w ostatniej chwili wysiądę, ciebie przesunę na siedzenie kierowcy. Spadałeś kiedyś w przepaść? Ja spadałem wielokrotnie. Co prawda tylko w snach, ale to to samo. No to poleż sobie tu, na gościnnym linoleum, ja jeszcze raz do toalety, bo pęcherz mam słaby, a potem pojedziemy w ostatnią podróż przez ogród ziemskich rozkoszy.

Dublin, kwiecień 2022

PAWEŁ KULIGOWSKI

alarykowi, królowi gotów, w wigilię jego absurdalnej śmierci

śpij spokojnie
królu gotów
alaryku

jutro światło
strzeli w mózgu
i po krzyku

przy obiedzie
swąd poczujesz
z wnętrza kości

ekspłodujesz
i przestraszysz
swoich gości

z których żaden
nie zrozumiał
alaryku

że tworzyłeś
ciało czynne
w alembiku

w którym rzym się
przepoczwarzał
w jakość przyszłą

co mu zresztą
koniec końców
nieźle wyszło

ty tymczasem
spocniesz w grobie
pod dnem rzeki

otulony
w rzymskie skarby
i monety

zagubiony
w coraz głębszym
zagubieniu

pośród innych
zagubionych
gockich cieniów

(ta eksplozja
przy obiedzie
będzie straszna

za to wieczność
pod dnem rzeki
to jest fraszka)

karol v habsburg, umierając, przenosi się w myślach do ukochanej gandawy

na gandawę spadł
płatek śniegu
za nim drugi
za drugim kolejne

miasto wciąż było
miastem gotyckim
ale stało się
bardziej foremne

śnieg był czarny
głęboki
subtelny
lśnił jak opal
i milczał jak onyks

jego czerń
nie dziwiła nikogo
nikt też nie chciał
tej czerni się pozbyć

w czarnych zaspach
zniknęły kościoły
czarne płatki
zastygły w wirażach

czarny cień przeciął
umysł monarchy
osunęła się w wieczność
gandawa

stojąc przy pustych grobach w krypcie antwerpskiej katedry

puste są trumny
puste są groby
kwili w nich cicho
puszczyk grobowy

włokąc się sztywno
jak automaty
trupy odeszły
na krawędź mapy

a gdzie jest reszta?
czy też odeszła?
czy jako druga?
czy jako pierwsza?

gdzie są umysły
przecięte ciszą?
czy kiedy szepnę
to mnie usłyszą?

a kiedy krzyknę
czy mi odkrzykną
żebym nie trudził
myśli gonitwą

za niewiadomym
życiem umysłów
przeciętych ciszą
uśpionych zmysłów?

sprawa tej ciszy
jest tak rozmyta
że choćbym wiedział
to wciąż bym pytał

fairlight

podobno w fairlight nad morzem
wciąż siedzą normańscy rycerze
i snują się nocą po klifach –
nie wierzysz? ja również nie wierzę

i nawet sami rycerze
zupełnie w siebie nie wierzą
gdy milczą posępnie na blankach
lub skrycie myszkują pod wieżą

więc jeśli do fairlight dotarłszy
napotkasz przypadkiem normanów
nie szarżuj od razu z toporem
jak ajas na stado baranów

tylko spokojnie idź dalej
rzucając dyskretne spojrzenia
w kierunku wyblakłych rycerzy
których nie było i nie ma

śmierć pomaga napotkanemu w canterbury złodziejowi

„czy to złoto?”

skąd – to mierzwa
nie ma sensu
tego targać

kiedy sędzia
cię przepyta
będziesz musiał
grubo nałgać

że to złoto
żeś ty złodziej
że znasz fach swój
wskroś i wkoło

i że cały jesteś
z miedzi
włosy
oczy
zwłaszcza czoło

„czy mnie zmiażdży?”

zawsze miażdży
tak mu
zarekomenduję

będziesz w piekle
jadł skorpiony
głazy
i zatrute tuje

poeta wszedł do kościoła świętego idziego w lubece i chwilę podumał, ale tamtejsze duchy odebrały to inaczej

dziś od strony königstraße
dotarł do nas imć poeta
drobiąc kroki nowocześnie
jakby tańczył minueta

nie pytając nas o zgodę
cichcem zasiadł przy organach
i przedmuchał im piszczałki
ćwicząc jana sebastiana

kurz się podniósł a my z kurzem
nasze schludne czarne suknie
nasze kryzy krochmalone
i dysputy czyli kłótnie

nasze szeptaki wielorakie
nasze myśli nieskończone
i jaskinie naszych mózgów
całkowicie odwodnione

coś tam słysząc nie słyszymy
coś tam widząc nie widzimy
jako kurz się poruszamy
jako kurz się unosimy

jako kurz pałamy gniewem
jako kurz składamy veto
skończcie dmuchać w te piszczałki
skończcie wskrzeszać nas – poeto!

rarae nostrae existentiae
nie chcą tutaj żadnych świadków
opuść obręb naszych murów
porzuć precz nasze theatrum

studiując kolońską katedrę w duchu klasycznej metafizyki

a więc tak
wygląda kosmos
i jest tak
misterny

w taki sposób
jest niezmienny
oraz
niedomknięty

tak powstaje
przez implozję
z czegoś
nadrzędnego

i tak wraca
eksplodując
do owego
czegoś

przeplot światła
i ciemności
czyli ich
immersja

bezprzykładowy
wzlot materii
ale też jej
klęska



Olesya Dzhurayeva, *Always (for another war)*, linoryt, 28,7 × 20 cm, 2022

Stwórz i rządź!

Na początku, ale nie było początku, na początku nie było początku, zatem kiedyś, ale nie na początku, ponieważ zawsze się było, choć zawsze to zbyt delikatne określenie tego, że było się zawsze, a nie nudziło się, mimo iż było się zawsze, niemniej nie można powiedzieć, że z nudów stworzone zostało niebo i ziemia, więc powstaje pytanie, dlaczego nie wcześniej zostały stworzone, ale po jakimś, zapewne bardzo długim czasie zostały stworzone, lecz nie z nudów, jak bowiem sobie wyobrazić nudzenie się przez stulecia, tysiąclecia, miliardy tysięcy, a to wciąż mało i mało, zatem po prostu zawsze, na szczęście mamy jednak jakiś początek, który przypadał na czas stworzenia nieba i ziemi, wcześniej zaś okres nudy, kiedy nie było ani nieba, ani ziemi, było więc wielkie nic, choć to chyba niedelikatność, ponieważ ten, który stworzył niebo i ziemię, cały czas był, ale może czasu nie było, przeto bycie nie miało żadnego związku z osią czasu, której także nie było, skoro jednak niczego nie było, nie było i czasu, ale dlaczego to „i”, jeżeli niczego innego również nie było, a tak rozumując, wypada przecież wymienić wszystko, czego nie było, rzecz jasna z wyjątkiem jednego, czyli tego, co jedynie było, i oczywiście jest, i zawsze będzie, niemniej pojawiła się wspomniana wcześniej oś czasu i na tej osi należałoby zaznaczyć początek stwarzania nieba i ziemi, po lewej zaś półprosta biegnąca w nieskończoność, nieskończoność lewą, w odróżnieniu od nieskończoności prawej, która też biegnie w nieskończoność, ale może żadnej półprostej nie ma i po lewej – pustka i po prawej, tam trochę dalej, być może również pustka, a pozostaje odcinek, którego początkiem jest stworzenie nieba i ziemi, właśnie w tej kolejności, najpierw nieba, jako czegoś lepszego, a potem ziemi, jako czegoś gorszego, choć może wtedy nie było wiadomo, co jest lepsze, a co gorsze, jednakże ta kolejność o czymś mówi, tym bardziej mówi, że owa ziemia była pusta i ciemna, a co ciekawe, pełna wody, co można wywnioskować z tego, iż duch stwórcy unosił się nad wodami, jak ptak się unosił, choć ptaków jeszcze nie było, może raczej jak mgła się unosił, ale może i mgły nie było, niemniej jeśli była woda, mogła być i mgła, lecz do mgły przydałoby się coś, co sprawia, że mgła powstaje, mogło być więc to światło, mało jednak prawdopodobne, by od światła woda zamieniała się w mgłę, a skoro mowa o świetle, to był czas najwyższy, by światło, a w rzeczy samej światłość, która jest przecież dostojniejsza od światła, została stworzona, a skoro została stworzona, należało orzec, czy jest dobrze stworzona, należało przeprowadzić jakieś rozumowanie, które wykaze, czy światłość jest dobrze stworzona, choć stwarzający z pewnością nie posługiwał się takimi kategoriami jak rozumowanie, niemniej orzekł, że światłość jest dobra, i trudno sobie wyobrazić, by mogło być inaczej, ale kto wie, czy przypadkiem światłość nie była stwarzana razy kilka i do-

piero za którymś razem uznana została za dobrą, a te wcześniejsze, jako złe, zostały pominięte, choć wtedy gdzieś musiałyby się znajdować, trwać w jakimś miejscu innym, jednakże zdaje się innych miejsc nie było, zatem raczej zniknęły te nieudane jasności i nigdy już o nich nie wspomniano, trudno jednak zaprzeczyć, że idea istnienia gdzieś zapomnianych, nieudanych jasności nie jest interesująca i właściwie mogłaby tłumaczyć wiele rzeczy niewyjaśnionych, wiele olśnień, bardzo wiele olśnień, które nie są powodowane tą uznaną jasnością, tylko tamtą, odrzuconą, być może odrobinę podobną w swoim charakterze do ciemności, od której jasność została oddzielona, spychając ją, ciemność do niszy, ponieważ za dobrą uznana została jasność, a na temat ciemności nic nie powiedziano, więc można nawet przypuszczać, że ciemność, którą oddzielono od jasności, nie została uznana za dobrą, tym bardziej że ciemność mogła być traktowana jako stan sprzed stworzenia jasności, niemniej, skoro nie było wcześniej nic, nie mogło być i ciemności, a już niepodobieństwem byłoby przypuszczać, że kiedy jeszcze nic nie było, z wyjątkiem tego, kto stworzył ziemię i niebo, było ciemno, i ten, kto je stwarzał, tkwił w ciemności, przyjmijmy zatem, że nie było ani ciemności, ani jasności, która została stworzona, a wynikiem jej stworzenia była ciemność konieczna do jej ukazania czy raczej wyodrębnienia, tym bardziej że światło nazwane zostało dniem, a ciemność nocą, choć może się to wydawać zbyt dużym uproszczeniem, niemniej bardzo obrazowym uproszczeniem, a skoro obrazowym, więc raczej nie uproszczeniem, a skonkretyzowaniem, dzięki któremu można było spointować dotychczasowy proces, zamykając go w pierwszym dniu stworzenia, choć nadużyciem byłoby przypuszczać, że po to stworzona została jasność, by móc dotychczasowy proces zamknąć w obrębie dnia, ale nie należy tego wykluczyć, tym bardziej że ponowne działania z jakąś wyjątkową łatwością zamykały się w tej mierze, wypełniając kolejne dni, które obfitowały w następne akty stwarzania, a zatem i ten powtórny, z wszech miar zdumiewający, polegający na wstępie z przeprowadzenia prac przygotowawczych, które moglibyśmy określić wręcz jako prace inżynierskie, mowa jest tu bowiem o uczynieniu podpory, zwanej utwierdzeniem, a dzięki niej owe wody, nad którymi unosił się duch stwarzającego, można było podzielić na te, które znalazły się pod ową podporą, i na te, które znalazły się nad nią, tedy nad utwierdzeniem, nazwanym pięknie niebem, a już to, co poniżej, a zatem owe dolne wody, pozostało przy starej nazwie, czyli ziemi, a co ciekawe, owego rozdzielenia wód, a dokładniej stworzenia nieba nie spointowano stwierdzeniem, że było dobre, choć skoro nad pierwotnymi wodami unosił się duch stwarzającego, a teraz już było to niebo, chyba nawet nie wypadało robić podobnego jak wcześniej podsumowania i w zupełności wystarczyło tu stwierdzenie faktu, że skończył się właśnie dzień drugi, określony ładnie dniem wtórym, a mógł zacząć się dzień trzeci, kiedy to wody znajdujące się pod niebem skupione zostały w jednym miejscu, dzięki czemu inne miejsca, skąd tę wodę zabrano, stały się suche, co może budzić pewne zastrzeżenia, bo właściwie nie wiadomo, czy wcześniej część powierzchni była już wolna od wody, a teraz po jej skupieniu w jednym miejscu powstał duży suchy obszar, czy na całej ziemi, być może zalegając cienką warstwą, rozpościerała się woda, którą teraz nagromadzono w jednym, zapewne głębszym miejscu, nazywając ten zbiornik morzem, co musiało być ze wszech miar zadowalające, skoro po raz drugi

określono przedmiot stworzenia za dobry, choć z małym zastrzeżeniem, że chyba jednak nie chodziło o część suchą, czyli ziemię, a o część mokrą, czyli morze, uznane za niegorsze, co wyjaśnić może dalsze działanie tego dnia, które dotyczyło już tylko części suchej, w pierwotnej formie jeszcze niedoskonałej, więc należało coś z nią zrobić, by nie odstawała pustotą swoją od morza, które nie potrzebuje wiele, by zachwycać, by uznać, że jest dobre, zatem na owej pustej ziemi stworzone zostało to, co zielone, co nasienie daje, co owocuje, a to już uczyniło z tych suchych obszarów obszary pokryte roślinnością, zadrzewione odpowiednio, i właśnie w takiej postaci uznane zostały za dobre, na tyle dobre, że mógł dobiec końca dzień kolejny, niemniej należałoby się zastanowić, czy przypadkiem nie stworzono również roślinności wodnej wewnątrz mórz, która to roślinność, co rozumiały, nie była z lądu, a może i ze sfery unoszącego się ducha stwórcy, widoczna, więc w opisie ją pominięto, uznając oddzielone wody za dobre, bez szczegółowego wyjaśnienia, że wewnątrz mórz stworzone zostały rośliny, ale pozostawmy już ten czas, w którym dwukrotnie uznano rzeczy stworzone za dobre, ponieważ czeka nas dzień kolejny, trzeci, gdy na konstrukcji nieba, zwanej precyzyjnie utwierdzeniem, pojawiły się światła, już w sposób widoczny oddzielające dzień od nocy, a złożone ze sobą dni mogły tworzyć dłuższe przedziały czasu, a zatem lata i tysiąclecia, choć trudno nie mieć wątpliwości, że i te odcinki w obliczu nieskończoności były wciąż doprawdy niczym, niemniej skoro już uznaliśmy, że wcześniej zawsze nie było nic, oczywiście z wyjątkiem tego, który stwarzał, to już te tak maleńkie ziemskie dni naprzeciw owej przecież nieziemskiej nieskończoności są jednak jakimś punktem odniesienia, ale ich maleńkość, a w rzeczy samej nieskończona maleńkość, upoważniałaby w obliczu nieskończonej nieskończoności do pominięcia nawet tysiącleci, choć akt stworzenia czegoś konkretnego pośród nieokreślonego bezkresu zasługuje na uwagę, ponieważ nieskończoność wydaje się czymś tak mało rzeczowym, że to właśnie ją należałoby pominąć w obliczu stwarzanego nieba i ziemi, po której można stąpać, na którą można upaść, czego nie da się w żadnym razie powiedzieć o nieskończoności, a przecież w omawianym właśnie czwartym dniu stworzenia pokazało się słońce, konieczne do oświetlania dnia, określone jako światło większe, i księżyc, konieczny do oświetlania nocy, a określony jako światło mniejsze, nie mówiąc o gwiazdach, przydatnych również nocą, szczególnie taką nocą, gdy światło mniejsze, czyli księżyc, akurat nie świeci, zważywszy na to wszystko, trudno było nie uznać, że światło mniejsze, większe i, rzecz jasna, gwiazdy były dobre, choć to, co następnego dnia, a zatem piątego, zostało stworzone, przyprawia wręcz o zawrót głowy, bowiem wody, gdzie, mamy nadzieję, były już rośliny, zarybiono, a to tak, że każdy rodzaj akwenu otrzymał odpowiednie ich formy, od wielorybów po ruchliwe maleństwa, które zapewne tylko przy pomocy mikroskopu dostrzec można było, zaś pod niebem pojawiły się ptaki, także przypuszczalnie różnej wielkości, a skoro żywe istoty zamieszkały ziemię i przestworza, gdzie, jak pamiętamy, unosił się duch stwarzającego, można było wydać pierwszy rozkaz, choć może była to tylko sugestia, jednakże skoro została sformułowana przez tego, który stworzył, należy uznać ją za konieczność, a chodziło o to, by żyjątka wszelkie rosły i mnożyły się, zapewniając w ten sposób wody mórz i lądy, niemniej trudno stwierdzić, czy te żyjątka cokolwiek zrozumiały z tej sugestii, a może jednak rozkazu, ponieważ,

choć minęło już sporo czasu od tych dni, zwierzęta nadal nie bardzo są podatne na perswazje, ale nie można wykluczyć, że skoro zwracał się do nich ten, który je stworzył, to jego sugestia była dla nich zrozumiała, nawet mimo braku rozumu czy znikomej jego ilości, szczególnie w przypadku owych najmniejszych istot, które dostrzec można jedynie przez mikroskop, lecz przecież i wtedy, gdy dotyczyło to wymienionego wcześniej wieloryba, poza tym oczywiście warto nadmienić, że ów rozkaz, a może raczej sugestia, padła już po stwierdzeniu faktu, że stworzone zwierzęta są dobre, jakże bowiem bez tej konstatacji można byłoby od nich żądać, by rosły i mnożyły się, zasiedlając morza i przestworza czymś, co nie jest dobre, czy nawet niewystarczająco dobre, ale na szczęście tak nie było, ponieważ były dobre, a skoro tak, następnego dnia, już szóstego, który, jak się dowiemy, obfitował w najciekawsze zdarzenia, kolejne stwarzanie zaczęło się od zasiedlania ziemi istotami powierzchniowymi i ziemnymi, których część określono nawet bestiami, ale największy nacisk położono na bydło, zapewne z wielu względów wyodrębnione, następnie bezzwłocznie oceniono wszystkie zwierzęta jako dobre, i można było już przejść do tematu kolejnego, czyli człowieka, któremu zamierzano powierzyć władzę nad wszystkimi stworzonymi uprzednio istotami, powietrznymi, morskimi i lądowymi, a co interesujące, ów człowiek stworzony miał zostać na podobieństwo stwarzającego, w czym jednak miałyby się to podobieństwo przejawiać, to już trudno, a nawet bardzo trudno powiedzieć, ponieważ o stwarzającym nic nie wiemy nad to, że w pierwszym dniu stworzenia unosił się nad wodami jego duch, a to naprawdę niewiele, a sprawę zaciemnia dodatkowo fakt, że przed czasem stworzenia nie było nic oprócz niego, więc naprawdę trudno sobie wyobrazić coś materialnego, jak na przykład ciało, w owym nic, bardziej już owego ducha stwórcy, ale wzmianka o nim pojawia się przecież dopiero przy świeżo utworzonych wodach, zatem można przypuszczać, że wcześniej istniała jakaś inna jego forma, choć mogło to być przecież tylko wyobrażenie formy, niemniej to wyobrażenie musiałoby mieć jakiś ośrodek, w którym się wyobrażało, a skoro nie było nic, nie mogło być również wyobrażenia, więc podobieństwo, na które miał zostać stworzony człowiek, mogło dotyczyć nie ciała, a ducha, jeśli taki podział, na ducha i ciało, ma jakikolwiek sens, ale skoro była już mowa, i to nie jeden raz, o duchu stwórcy, można założyć, że owo podobieństwo dotyczyło ducha stwórcy i ducha człowieka, choć, jeśli już pada takie przypuszczenie, od razu budzi wątpliwości, wielkie wątpliwości, jakże bowiem ludzki duch, który raczej należałoby nazwać duszkiem, można uznać za podobny do istniejącego od zawsze ducha stwórcy, zawsze, a zatem na lewo od punktu zero na osi czasu, na lewo przed punktem, za którym zaczęło się stwarzanie nieba i ziemi, a również, jak się okazuje, i człowieka, stworzonego na podobieństwo stwarzającego, może więc to podobieństwo dotyczyło rozumu, choć to już wręcz absurdalne, by rozum władny obmyślić skomplikowany proces stwarzania świata mógł posłużyć za wzorzec dla rozumu będącego dopiero w planach człowieka, który, sądząc z tego, co było potem, wielkiego rozumu nie posiadał, a wręcz należałoby go określić rozumem ograniczonym, co raczej ujmowałoby stwórcielowi, skoro mielibyśmy uznać jego rozum za podobny do rozumu człowieka czy na odwrót, co niewiele zmienia, toteż może chodziło tylko o ciało, ciało człowieka, które stworzone zostało na podobieństwo ciała stwarzającego,

czego wykluczyć nie możemy, choć, jak dotąd, mowa była tylko o duchu stwarzającego, niemniej, jeśli stwarzający był również wtedy, gdy niczego nie było, jakże mogło istnieć jego ciało, już prędzej uwierzylibyśmy, że był wówczas duch, skoro jednakże nic, to nic, ducha też nie było, ale niematerialność ducha właściwie pozwalałaby przymknąć oko na jego istnienie wtedy, gdy niczego nie było, choć to jednak bardzo naciągane, bo przecież nic, to nic, i nic na to nie poradzimy, atoli jakąś nadzieję na rozwikłanie tej niejasności moglibyśmy oprzeć na określeniu, jakie padło wcześniej, a było to wyobrażenie formy, którego to wyobrażenia moglibyśmy się uczepić i nawet śmiało stwierdzić, że człowiek został stworzony na podobieństwo wyobrażenia stwarzającego o sobie, co może dotyczyć i duszy, i ciała, i rozumu nawet, choć to ostatnie najmniej prawdopodobne, lecz nie mówimy przecież o prawdopodobieństwie, ale o faktach, a faktem bezspornym jest stworzenie człowieka na wyobrażenie swoje, niemniej biorąc pod uwagę, że stworzony został mężczyzna i kobieta, to wyobrażenie musiało być dość osobliwe, choć może nieco ciekawsze, niż gdyby dotyczyło samego mężczyzny czy samej kobiety, poza tym postać owej stworzonej w szóstym dniu kobiety jest zdecydowanie dyskusyjna, aliści jest o niej mowa, a w dodatku jest o niej mowa w kontekście nakazania przez stwórcę, by się mnożyć, co w przypadku tylko mężczyzny byłoby trudne do zrealizowania, natomiast sugestia, by czynić ziemię swoją poddaną, może spokojnie dotyczyć jednej osoby, jak również nakaz panowania nad rybami czy ptakami, jednakże wcale to przecież niełatwe, lecz niełatwe tak dla jednej osoby, jak i dla dwóch, proste zaś okazało się z pewnością skorzystanie z dobrodziejstwa, jakim są rośliny, a to dla ich wartości odżywczych, niezależnie bowiem od tego, czy był jeden człowiek, czy dwójka, to przecież musiał się odżywiać, poza tym mowa jest również o zwierzętach, o które należy zadbać, choć nie trzeba chyba wielkiej wyobraźni, by pojąć, że te same sobie poradzą, korzystając, podobnie jak człowiek, z pokarmu, jakim są rośliny, a jeśli tego będzie mało, to z pokarmu, jaki stanowią inne zwierzęta, które można dopaść i pożyć, niemniej przyznać trzeba, że to miło, iż człowiek już u zarania podniesiony został do roli ich opiekuna, i być może właśnie dlatego ten układ tak podobał się stwórcy, że nie dość, iż określił go jako dobrego, to dodał, że jest to wszystko bardzo dobre, po raz pierwszy dodał, że bardzo, a następnie, już kolejnego dnia, pozwolił sobie na odpoczynek, a to był już dzień siódmy, który nie dość, że przeznaczono na słodkie lenistwo, to i pobłogosławiono go, co nie za bardzo nam rozjaśnia harmonogram stwarzania, ponieważ przypuszczalnie właśnie w ten dzień nastąpiły przemyślenia, w których następstwie stwórca być może cofnął się w czasie, co dla niego raczej nie było żadnym problemem, i zadbał, by gołe ziemie zostały odpowiednio nawodnione, dzięki czemu stworzone w trzecim dniu rośliny mogły rosnąć i rozwijać się, a nie wysychać, zaś owa stworzona w szóstym dniu para ludzi, która tak jakby wzięta się ni stąd, ni zowąd, zmieniła się w jednego człowieka, a nie trzeba się domyślać, że w mężczyznę, ten natomiast, co już zostało precyzyjnie przedstawione, został ulepiony z mułu, który stwórca natchnął tchnieniem życia, wyposażając tym samym człowieka w ducha, niemniej, jak już wcześniej rozpatrzono, był to raczej nie duch podobny duchowi stwórcy unoszącemu się nad pustymi wodami, a prędzej duszek czy duszyczka, odpowiednia w proporcji do świeżo utworzonego z mułu człowieka, zaś temu

świeżo utworzonemu człowiekowi przygotowano miejsce naprawdę wyjątkowe, uroczy obszar pełen bujnej roślinności, gdzie było pięknie i smacznie, a jedyne, co zakłócało harmonię tego miejsca, nazwanego rajem, było to, że w jego centralnej części stało drzewo życia, cokolwiek miałooby to oznaczać, a jakby i tego było mało, to stało tam również drzewo wiadomości dobrego i złego, niemniej przed owocami tego drzewa stwarzający przestrzegł człowieka, nie broniąc mu oczywiście żadnych innych owoców, ale tych z drzewa wiadomości dobrego i złego zakazał, tłumacząc, że jeśli człowiek kiedykolwiek taki owoc zje, śmiercią umrze, czego zapewne ten ani w ząb nie rozumiał, oszołomiony pięknem rajskich ogrodów, które obmywała wspaniała rzeka dzieląca się w tym miejscu na cztery największe rzeki świata, a zatem Fison, Hewilat, Gehon i Tygrys, rzeki, których wszakże człowiek, przynajmniej w założeniu, nie miał nigdy poznać, rozkoszując się urodą raj, skąd, jak można przypuszczać, nie zamierzał nigdy odejść, ponieważ było tu cudownie, pięknie i smacznie, aliści czegoś jednak brakowało w tym wyjątkowym miejscu, skoro stwarzający autorytatywnie stwierdził, że niedobrze być człowiekowi samemu, choć, jak wcześniej już powiedziano, człowiek stworzony został na jego podobieństwo, więc nie powinien się nudzić, skoro stwarzający całą nieskończoną wieczność pozostawał sam na sam z nicością i trudno przypuszczać, by zaczął proces tworzenia z nudów, choć i tego wykluczyć nie można, ale dla świętego spokoju jednak wykluczmy taką możliwość, a nawet nie mówmy o możliwości, tylko mówmy o niemożliwości, ponieważ nie powinniśmy miary stwarzającego przykład do człowieka, któremu stwarzający zapewnił w raj, jak najlepsze warunki i nie skąpił mu ciekawych zajęć, z których najciekawszym zdało się wymyślanie nazw wszystkich zwierząt, co okazało się jednak dla człowieka tak żmudne i pracochłonne, szczególnie że nie miał w tym niczyjej pomocy, iż zmorzył go sen głęboki, który stworzyciel wykorzystał w ten sposób, że pozwolił sobie wyjąć człowiekowi jedno żebro i uczynić mu z niego towarzyszkę, a oddając ją w jego ręce, wygłosił coś zupełnie niezrozumiałego, ale pobudzającego z pewnością wyobraźnię, a mianowicie, że człowiek opuści ojca i matkę, a przyłączywszy się do żony swojej, dwoje będą w jednym ciele, co być może wytłumaczył sobie człowiek tym, że materiał na ciało żony wzięty był z jego ciała, lecz o co chodziło z tym ojcem i matką, z pewnością nie miał pojęcia, a mało prawdopodobne, by dopytywał się o takie szczegóły stworzyciela, ponieważ świeżo poznani mężczyzna i kobieta zainteresowali się z pewnością przede wszystkim sobą, a tym bardziej się zainteresowali, że ta dwójka ludzi różnej płci była naga, i choć nie wstydziła się wzajem swojej nagości, z pewnością zaciekały ich różnice w budowie ciał, które to różnice najprawdopodobniej bez zbędnej zwłoki wykorzystali do uprzyjemniania sobie i tak przecież miłego i smacznego pobytu w raj, wracając zaś do żmudnego zajęcia, jakie przerwane zostało snem człowieka wykorzystanym na stworzenie mu małżonki, zajęcia, którym obarczony został człowiek przez stworzyciela, czyli nadawaniem zwierzętom imion, to być może dokończył on tę pracę już wspólnie z nagą towarzyszką rajskiego życia, choć trudno stwierdzić, które zwierzęta nazwane zostały wcześniej, a które później, więc kto dokładnie nadał imię wężowi, nie wiemy, wiemy natomiast, że stworzenie to jawiło się już na początku świata jako chytre i przebiegłe, niemniej biorąc pod uwagę, że gadzina ta zwróciła się właśnie do niewiasty z pytaniem, dlaczego

stworzyciel nie pozwolił ludziom na jedzenie owoców ze wszystkich drzew w raju, można wnosić, że to ona nadała mu imię, co prawda imię ani lepsze, ani gorsze od innych i w gruncie rzeczy niemówiące nic o cechach tego szelmy, i zapewne dlatego niewiasta tak spokojnie weszła w dialog z tą kreaturą, niewyglądającą jeszcze może na kreaturę, której wyjaśniła, że stworzyciel rozkazał, by nie jedli owoców z drzewa znajdującego się pośrodku raju, a nawet ich nie dotykali, żeby za ich sprawą nie pomrzeć, a mówiąc to, być może zastanowiła się niewiasta, dlaczego owo drzewo ustawiono dokładnie pośrodku, na widoku, a nie gdzieś na uboczu, ponieważ z dużym prawdopodobieństwem nie było specjalnie piękne, a może nawet nie różniło się wiele od innych drzew, gdy zaś wąż zapewnił ją, że zjedzenie tych owoców nie grozi im śmiercią, a dzięki ich właściwościom będą wiedzieć, co dobre, a co złe, i tym samym staną się równi stworzycielowi, stwierdzenie to przypuszczalnie do niej tak przemówiło, iż ujrzała owo drzewo w zgoła innym świetle, jako wyjątkowo piękne i powabne, choć w raju wszystko było nad wyraz urodziwe, a jednak to w jakiś sposób odróżniało się swoją wyjątkowością, toteż nie zastanawiając się już więcej, sięgnęła po owoc i jadła go, a nie dość na tym, bo podsunęła go mężczyźnie, który również zjadł owoc, niemniej trudno powiedzieć, czy zastanawiał się nad tym, co robi, czy po prostu ufny swojej małżonce wzięłyby z jej ręki, cokolwiek by tam miała, ale przecież mogło być tak, że i on dawno interesował się tym drzewem i może nawet bez udziału węża miewał pokusę, by zjeść zakazany owoc, lecz zabrakło mu na to odwagi i dopiero ośmieliła go w tym niewiasta, którą już po kęsie owocu ujrzał jako nagą, choć cały czas naga była, ale teraz zobaczył ją jakby w innym świetle, ponieważ nagość nie była już tą dotychczasową niewinną nagością i wywołała w nim stan pożądania, który prawdopodobnie pojawiał się również wcześniej, ale miał zapewne inną naturę, choć wiązał się z przyjemnościami, jakie przynosiło wspólne figlowanie, teraz zaś owo figlowanie wydało się czymś wstydliwym, godnym nocnej ciemności bądź zacisznego ustronia, jakiego chyba na obszarze raju nie było, więc by przestać myśleć o tych figlach, liście figowe, być może jeszcze zwane liśćmi figłowymi, użyte zostały do osłonięcia owej nagości, to wszystko natomiast z pewnością wywołało spory niepokój, szczególnie że zaraz posłyszeli głos stworzyciela przechadzającego się po raju, dlatego zawstydzeni skryli się w krzakach, których w raju niewątpliwie nie brakowało, a stworzyciel chodził i nawoływał za nimi, na co w końcu człowiek, kryjąc się wciąż przed wzrokiem stworzyciela, wyjaśnił, że nie może się pokazać, ponieważ jest nagi, choć przecież był i uprzednio nagi, więc akurat po tym, że jest nagi, nikt nie rozpoznałby, iż zjadł owoc z drzewa wiadomości, i mógłby ze swoją panią po wiek wieków, a nawet w nieskończoność pławić się w pięknym i smacznym raju, w nieskończoność podobną tej nieskończoności sprzed stworzenia, która zaczynała się na osi czasu w lewo, a ta wiodłaby w prawo, jako druga półprosta, wyznaczając bezkres szczęśliwości, skoro jednak człowiek przyznał się do swojej nagości, było już wiadomo, że musiał zjeść zakazany owoc, i na nic zdało się tłumaczenie, że poczęstowała go nim towarzysząca, którą sam stworzyciel mu przysposobił, o czym człowiek przypomniał, jakby chciał winę za złamanie zakazu zrzucić na nią, a nie dość na tym, bo i na niego, stworzyciela, a to z tej przyczyny, że ów podsunął mu tę wszetecznicę, która tymczasem tłumaczyła, że to nie z własnej woli się stało, ale za namową

węża, na co stwórciel natychmiast przeklął gada i sprawił, że poczwara ta odtąd nie chodzi, a pełza po ziemi, co chyba wężowi specjalnie nie przeszkadza, a wręcz dogadza, zaś kobiecie wyjaśnił, że ona od tej chwili będzie w bólach rodzić dzieci i pozostanie pod mocą męża, co oznaczało, że wcześniej, nim nie doszło do skosztowania owocu z drzewa wiadomości, bez bólu powijałyby maleństwa, a to, że powijałyby maleństwa, było przecież oczywiste w świetle nakazu z szóstego dnia stworzenia, by mnożyli się, jeśli natomiast chodzi o podległość mężczyźnie, to tej zależności wcześniej zapewne nie było, o czym możemy wnioskować po tym, jak łatwo było kobiecie namówić męża do skosztowania owocu z drzewa wiadomości, a również po tym, iż stwórciel dodatkowo skarcił mężczyznę za to, że ten tak łatwo usłuchał namawiającej go do złamania zakazu kobiety, z czego możemy wnioskować, że winą obarczeni zostali oboje, w rezultacie czego stwórciel całkowicie odmienił ich sytuację, oznajmiając, że odtąd człowiek w pocie czoła przekłątą ziemię będzie uprawiał, by wydawała niezbędne do życia owoce, a gdy jego czas przyjdzie, do tej samej ziemi wróci, z której został wzięty, bo jest przecież prochem i w proch się na powrót obróci, po tych zaś reprimendach na dobrą drogę dostali zgrabne ubranka ze skórek, ale jakie zwierzątka na to poświęcono, o tym nic nie wiadomo, i poszli sobie.

Olena Matoshniuk, *Raszyści*, z cyklu *niePokój*, olej na płótnie, 60 × 80 cm, 2022



WALDEMAR OKOŃ

Dziennik, czyli kronika niezapowiedzianych śmierci

część III (2022–2025)¹

Mgliste dni zamieniają się w słoneczne. Coraz częściej mam ochotę pisać o pogodzie i o zbliżającym się czasie świateł. Ratuje to mnie przed depresją nieuchronną w moim wieku i w mojej codziennej sytuacji życiowej. Literatura też zasnuwa się mgłą, a ja staram się przetrzeć ją rękami, kładąc je na klawiaturze komputera, staram ożywić i uratować przez upadek. Ktoś proponuje mi czytanie kolejnych liczących setki stron powieści, ale wolę krótkie formy, które mogę ogarnąć jednym spojrzeniem. Takie są „Pornografie”, które z wolna kończę, takie nowe miłości możliwe do opanowania gestem jednego, wyciągniętego zachłannie w stronę kobiecego ciała ramienia. Od pewnego czasu staram się zapisać na nowo język seksu i nie jest to łatwe, ponieważ istniejące już kalki słowne kierują albo w stronę skrajnej obsceniczności, albo też poetyckich metafor, których staram się od pewnego czasu unikać. To ostatnie niezbyt mi się udaje, tak jakbym był na nie skazany w chwili narodzin i później już nie mógł od nich uciec, ani też się od nich uwolnić. Forma przekleństwa uniemożliwiająca tak zwany realizm opisu pożądaną przez czytelników/czytelniczki i prymitywnych wydawców. Jestem skazany na siebie i nikt nie może mi pomóc. Chyba że tak jak kiedyś, gdy pisałem o tym w jednym z wierszy, znajdzie się ktoś, kto pomoże mi przejść przez noc, mając przyjazne dłonie i miękki brzuch pełen ciemnych, ciepłych tajemnic, które objawiają się nad ranem, „aby zbudować kładkę ruchomą na linach pajęczych”. Polecam odnalezienie tego wiersza i przyłożenie go do ran i blizn psychicznych jako erotyczne i artystyczne ukojenie.

Czytam opublikowane u nas w roku 1991 przez PIW „Zbrodnie miłości” Sade’a w tłumaczeniu i ze wstępem Jerzego Łojka. Przedziwne materii poplątanie. Filozoficzno-obyczajowe powiastki połączone z odkrywaniem tajników perwersyjnej natury ludzkiej kierowanej przez wszechobecną oraz fatalistycznie pojmowaną

¹ Fragment trzeciej, niedrukowanej części *Dziennika, czyli kroniki niezapowiedzianych śmierci*. Poprzednie części, obejmujące lata 2016–2022, ukazały się odpowiednio w roku 2019 i 2022.

Matkę Naturę usprawiedliwiającą wszelkie zbrodnie i okrucieństwa. Wieloletni więzień Bastylli i zakładu dla obłąkanych w Charenton starał się w nich ukazać daremność działań w chwili, kiedy siłę tej ktoś próbuje się przeciwstawić. W sumie dosyć wygodne usprawiedliwienie wszelkiego typu immoralizmów, tym ciekawsze, że skrajnie negujące nadal uznawane w epoce, w której żył Sade, tak zwane wartości chrześcijańskie oraz sens wiary w istnienie Boga, którą zřęcznie przekuto później na rewolucyjny kult Najwyższej Istoty, równie tromtadracki i czyniony na pokaz dla ciemnego ludu. Najbardziej zainteresowały mnie te fragmenty opowiadań, które zostały usunięte ze względów obyczajowych z pierwotnego wydania i powróciły po latach dopiero w publikacjach już dwudziestowiecznych. Oto uczestnicząca z wielkim upodobaniem w kazirodczym związku piękna i rozpustna bohaterka opowiadania „Eugénie de Franval” została „wystawiona” przed oczyma stręzonego jej przez ojca kochanka jako młoda Indianka i jak pisze dalej Sade: „Mała scenka, na której stanęła ta ożywiona statua, otoczona była kanałem szerokim na sześć stóp i wypełnionym wodą, który odgradzał od świata młodą dzikuskę i nie pozwalał w żaden sposób do niej się zbliżyć. Na brzegu tego obwarowania ustawiono fotel dla kawalera; obok zwisał jedwabny sznur. Ciągnąc za to urządzenie można było obracać piedestał w pożądanym sposobie, aby obiekt podziwu pokazywał się z coraz to innej strony; dziewczyna przybrała taką pozę, aby zwrócona w jakimkolwiek bądź kierunku, była zawsze wdzięcznym widowiskiem”. Nic dziwnego, że jej potencjalny kochanek „poddawał się roznamietnieniu; ciągnąc bez przerwy za sznur odkrywał co chwila nowe uroki. Nie mógł się zdecydować, który element tej wspaniałej statuy uznać za najdoskonalszy”. Nielewnia, skażona grzechem kazirodstwa Pocahontas jako obiekt niespełnionego pożądanego seksualnego, w połączeniu z „performatywnym” ujęciem zarysowanej przez pisarza sytuacji. Urocze. Pisma Boskiego Markiza powinni czytać uważnie współcześni wytwórcy filmów pornograficznych i reżyserzy spektakli teatralnych. Może to ożywiłoby ich cokolwiek zwiędłą i niezbyt perwersyjną wyobraźnię.

Umarł Richard Chamberlain. Pamiętam jak przez mgłę jeden z pierwszych pokazywanych u nas amerykańskich seriali „Dr. Kildare”. Oglądała go moja mama z sąsiadką panią Bajdorową, która jeszcze wtedy nie miała telewizora i przychodziła do nas na ten serial i na czwartkową „Kobrę”. Później już w pełni świadomie „Szogun” i w pełni świadoma rezygnacja z „Ptaków ciernistych krzewów” – kolejnego wyciskacza kobiecych łez. Przez lata, podobnie jak Jean Marais i Rock Hudson, ukrywał, że jest gejem, bo to uniemożliwiłoby mu karierę aktorską w pozornie libertyńskim i liberalnym Hollywood, które jednak musi się liczyć z Ameryką i jej purytańskimi fobiami. Nigdy nie mogłem zrozumieć tego odium ciążącego na gejach, a wszyscy, których znałem, byli inteligentnymi, niezwykle wrażliwymi na sztukę, bardzo dobrymi ludźmi. Chamberlain nie musiał niczego grać, wystarczyło, że pojawił się na ekranie i wypełniał go sobą już nawet we wczesnych latach 60. XX wieku, gdy miał zaledwie niecałe trzydzieści lat. Kochała się w nim potajemnie moja mama i wszystkie nasze sąsiadki, ja z kolei uwielbiałem wtedy francuskie filmy z serii „płaszczka i szpady” z Jeanem Marais w rolach głównych. Przejrzałem listę obsadową „Ptaków ciernistych krzewów”, ponieważ pamiętam do dziś cokolwiek przesłodzony, ale wpadający w ucho motyw muzyczny z tego serialu autorstwa Henry’ego Manciniego. Wszyscy są już

tam naznaczeni gwiazdką oznaczającą przejście do świata umarłych. Patrzę na ich twarze, oni patrzą na mnie. Ani oni, ani ja nie możemy się wystarczająco na siebie napatrzeć. Ciernie uwięziły ptaki, które już nigdy się z nich nie wydostaną. Szamocą się tam bezgłośnie, proszą o czystą wodę i złote ziarno ukojenia.

Wtapiam się coraz mocniej w oglądanie w internecie tak zwanych rolek. Algoritmy podrzucają mi to, co według nich lubię najbardziej – najczęściej stare, zremasterowane przeboje z lat 60. i 70. XX wieku oraz prace Davida Schauera. Te ostatnie to w dużej mierze wytwór sztucznej inteligencji, ale znamionujące klasę artysty, który świetnie sobie radzi z tym stosunkowo nowym medium. Ożywają przede wszystkim dzieła surrealistów, które dzięki dźwiękowi w tle oraz płynnemu ruchowi wygenerowanych postaci zyskują nowy kształt wizualny i przestrzenny. Klasyczna czysta forma, i to pojmowana skrajnie inaczej niż przez tak zwanych awangardzystów ubiegłego stulecia. Może nawet nie czysta forma, a czysta sztuka w znaczeniu, jakie przydawano temu określeniu w czasach braci Goncourtów i Gautiera. Uwielbiam sztukę dla sztuki, ponieważ niekiedy przeziera przez nią cokolwiek sztuczne, ale jednak absolutne piękno, którego nieustannie poszukuję w swojej i cudzej twórczości. Wszystko tam jest możliwe i wszystko prawie nic nie znaczy oprócz autotelicznego oznaczania samego siebie. Wizualne perpetuum mobile kręcące się w nieskończoność na zapętlonych internetowych rolkach. Jestem tam, w głębi, chodzę po artficyjnych dworcach, odwiedzam ludzi, których nie ma, tańczę tango pochodzące z zupełnie innej epoki. Piękne czarno-białe kobiety pochylają się nade mną, ale zaraz znikają, zmieniając swoje profile i zarysy boskich piersi. Przenikamy epoki – od empire’u do nowych kosmogonii i dizajnu w stylu nie tyle futurystycznym, co współczesnej, cokolwiek kiczowatej literatury fantasy. Czuję jej dotyk, nie chcę jej już opuścić i ona pragnie zostać ze mną na zawsze, chociaż nie bardzo wiem, po co i w jakim celu.

Nasze dawne Hollywood powoli umiera. Zmarł Val Kilmer, ulubiony aktor moich dziewczynek. Kochały go za „Willow”, film sprzed lat wyświetlany jeszcze w trakcie specjalnych prezentacji, na które chodziło się z wypiekami na twarzy, bo tylko tam można było zobaczyć filmy inaczej w Polsce niedostępne. Nie było internetu ani platform prezentujących najnowsze produkcje i pozostawało nam wtedy we Wrocławiu kilka kin, w których owe „Konfrontacje” się odbywały. O ile wiem, filmy wybierała specjalna komisja, dbając zarówno o ich artystyczny poziom, jak i o socjalistyczne morale. Pamiętam, że ludzie zwalniali się z pracy na przedpołudniowe seanse, a my musieliśmy kombinować, jak zapewnić opiekę nad Natalią, jeżeli bilety były na wieczór. Było pięknie i tego zachwytu oraz podniecenia wynikającego tak naprawdę z nieustannego braku dostępu i ogólnej biedy już dzisiaj nikomu nie zdoła się wytłumaczyć. Cywilizacja totalnego nadmiaru zniszczyła tamte przeżycia i sprawiła, że od wielu już lat nie chodzę na żadne festiwale i specjalne pokazy, tak jakby łatwość w korzystaniu z tych dóbr odstręczyła mnie od nich raz na zawsze. Vala Kilmera pamiętam też z pamiętnej roli Jima Morrisona w filmie „The Doors”. Ekstatyczna muzyka tego zespołu towarzyszyła mi od szkoły średniej i trwa nadal przy mnie przez kolejne dziesięciolecia. Byłem na grobie Morrisona w Paryżu. Smut-

ny widok zaplutej i zaniedbanej mogiły wciśniętej pomiędzy groby innych, zupełnie nieznanymi ludźmi odprowadzających tam najwyraźniej jakąś wieloletnią pokutę. Duchy wielkich artystów zapewne łączą się po śmierci i są szczęśliwe, ponieważ nie muszą już uprawiać żadnej sztuki. Dociera tam tylko wiatr grający od wieków w gałęziach wierzb i otwiera wszystkie zamknięte przed innymi niebiańskie drzwi.

Sny są coraz bardziej niespokojne. Nie potrafią się spotkać, zostać w jednym miejscu, porozumieć. Muszę je nieustannie nad ranem ścigać, a i tak uciekają w nieznanym kierunku i później nie potrafię ich już zobaczyć i zapamiętać. Moje dawne sny były bardziej uporządkowane, chciały mi coś konkretnego powiedzieć albo przed czymś ostrzec. Miały wewnętrzny sens najczęściej o podłożu seksualnym. Chcąc się czegoś o snach dowiedzieć, sięgam po „Sennik erotyczny” napisany przez Pamelę Ball. Prawie nic z tego, o czym pisze Pamela, mi się nie śni. Najwidoczniej powinienem sam napisać własny sennik i wydać go pod kobiecym nazwiskiem, aby był bardziej wiarygodny. Pameli wszystko kojarzy się z seksem i jest to w sumie pocieszające, tym bardziej że w swojej książce udziela wielu pożytecznych w życiu porad. Na przykład pod hasłem „mleko” czytamy, że „Wydaje się, że mężczyźni potrzebują więcej płynnego pożywienia niż kobiety, które spożywają więcej pokarmów stałych. We śnie mleko może symbolizować nasienie. Dlatego sen o tym, że dostajemy szklankę mleka, może oznaczać akt płciowy”. Bardzo ciekawe ujęcie tego zagadnienia, chociaż nie jest łatwo określić, czy nasienie jest płynem, czy też pokarmem stałym. Coś pośrodku, czyli jakby w równym stopniu dla kobiet i dla mężczyzn. Jako stary pornograf wiem jednak, że częściej pożywiają się nim kobiety niż mężczyźni, czyli mieści się raczej po stronie feministycznej, a nie maskulinistycznej. Idę zaraz do kuchni wypić szklankę mleka. Może dzięki temu przyśni mi się wyuzdany i orgiastyczny seks francuski po polsku. Ostatnio śniły mi się kilka razy lody, druty i laski i nie wiem, co one oznaczają, a Pamela nic o nich nie pisze.

Dalej sny. Jestem na jakimś podejrzanym przyjęciu. Pełno ludzi, resztki jedzenia na rozstawionych stołach. Facet dużo większy ode mnie każe wszystkim coś mówić, a później zapisywać na podartych kartkach. Niezbyt mi się to podoba i staram się od niego uwolnić, ale nie jest to łatwe, ponieważ przytrzymuje mnie i przyciska do swojego brudnego ubrania. Zaczynam się dusić i wiem, że muszę się obudzić, bo inaczej nigdy się stamtąd nie wyzwolę. Dociera do mnie informacja, że umarł Mario Vargas Llosa. Bardzo lubiłem jego „Ciotkę Julię i skrybę” oraz „Pantaleona i wizytantki”, mniej „Miasto i psy”, które wydawały mi się wówczas zbyt ideologicznie i politycznie określone. Umierają najwybitniejsi pisarze epoki i pewnie takich nigdy już nie będzie, nie dlatego, że zabraknie artystów, ale dlatego, że znika na naszych oczach epoka Gutenberga i w takiej, w jakiej znaliśmy ją postaci nigdy już nie powróci. Stan rozproszenia, który nam towarzyszy, każe widzieć wszystko osobno, a wielka sztuka jest jednością i nie można jej dzielić na tysiące eventów i kolejnych wydań nikomu tak naprawdę niepotrzebnych tytułów. Pamiętam, jak kupowałem jego książki spod lady, ale „Pantaleona” nigdy nie udało mi się dostać i musiałem pożyczać go w bibliotece. Muszę do nich wrócić, oderwać się raz na zawsze od faceta w brudnym ubraniu, posklejać rozrzucone na podłodze podarte

kartki. Może powstanie z nich coś nowego, jakaś nowa powieść, którą będę mógł zaprezentować w czasie artystycznego eventu gromadzącego również inne dzieła innych autorów, jak za dawnych dobrych czasów, kiedy ludzie spotykali się we Wrocławiu na kiermaszach nad Fosą Miejską, a najbardziej pragnęli dostać „Baśnie z tysiąca i jednej nocy” i Encyklopedię PWN-u, którą mam do dzisiaj i czasami, pomimo internetu i zawartych w niej w dużej mierze nieprawdziwych już informacji, z przyjemnością otwieram i odczytuję obecne tam palimpsesty przybyłe z tamtej, coraz bardziej zapomnianej przez wszystkich epoki.

Umarł papież Franciszek. W mediach całymi godzinami tylko o tym. Nie słyszałem jednego krytycznego głosu o jego pontyfikacie, ale może nie słuchałem uważnie. Nie bardzo rozumiem, dlaczego tak się dzieje, a przecież pod koniec życia „popisał” się wypowiedzią na temat wojny w Ukrainie, zrównując w niej pozorne męki kata z prawdziwymi cierpieniami ofiary. Gdzieś w tle Ameryka Południowa i jej nieustanna miłość najpierw do ZSRR, a teraz do Rosji jako symbolu wolności i wyzwolenia spod jarzma miejscowych dyktatur. Sen świata o szczęśliwej krainie, od którego nie byli i nie są nadal wolni tak zwani intelektualiści pochodzący nie tylko z rejonów biedy i upodlenia. Powinni czasem spróbować o czymś się dowiedzieć i coś przeczytać, a nie trwać w myślowym i politycznym zachwycie. Ostatnio sporo też o Karolu Wojtyłe, którego postać na naszych oczach zamienia się w bohatera setek internetowych memów. Jestem tu, aby użyć słynnego powiedzenia Lecha Wałęsy, za, a nawet przeciw. Jak zwykle przechodzimy od uwielbienia do skrajnej deprecjacji, co akurat w tym przypadku nie powinno mieć miejsca, ponieważ przy wszystkich swoich niewątpliwych wadach wiekopomną zasługą Jana Pawła jako papieża było zdecydowane poparcie przez niego wstąpienia Polski do Unii Europejskiej, bez czego zapewne w tym referendum zwyciężyłyby u nas siły ksenofobiczne i ultrakonserwatywne, działające na zasadzie nasza chata z kraja, a tak naprawdę świadomie lub nie w interesie Rosji. Niestety Wojtyła stawiał interes Kościoła jako organizacji ponad dobro szeregowych wiernych, zapominając o nauczaniu Chrystusa w tej materii i nie przyjmując do wiadomości zła, jakie toczyło i toczy tę instytucję, zarówno w sferze obyczajowej, jak i merkantylnej i myślowej. Nie wypędził kupców ze świątyni i nie obciął rąk tym, którzy gorszą maluczkich. Stąd obecna niesława i memy, w których zrównują go z Trumpem i tego typu kreaturami. Nie płakałem na jego pogrzebie, chociaż medialnie był wspaniały, nie interesuje mnie też, kto teraz będzie papieżem, ponieważ uważam, że Watykan nigdy się nie zmieni, jeżeli nadal będą w nim rządzić święci mężowie. Polecam w tym momencie odpowiedni fragment „Faraona” Bolesława Prusa im dedykowany. Jak dotąd nic w tej materii się nie zmieniło.

Ograniczam „Dniownik” coraz bardziej. Po objętościowej erupcji drugiej części, której nikt pośród krytyków literackich nawet nie zauważył, odczuwam lekki bezsens pisanie memuarów tym bardziej, że coraz bardziej pochłania mnie życie, a teksty przestają w konfrontacji z nim mieć większe znaczenie. Nadal odnoszę wrażenie, że poruszam się w jakiejś międzyprzestrzeni, w której nic nie jest prawdziwe, a moje w niej istnienie jest co najmniej wątpliwe. Przybiera to różne formy

i kształty, sprzyja nadmiernemu aprobowaniu czegoś albo skrajnemu odrzuceniu. Wolę słuchać nad ranem poszumy pobliskiej obwodnicy autostradowej niż porannej muzyki w radiu puszczającym muzykę klasyczną, wolę oglądać internetowe rolki niż czytać poważne dzieła, wolę iść do restauracji na lancz niż pochylać się w skupieniu nad tysięczną rocznicą istnienia państwa polskiego, której obchody ostatnio u nas zarządzono. Nie umiem się już napawać naszą historią, ponieważ wszystko, co się z nią łączy, PiS obrzydził mi na wiele lat, nie śledzę też debat pomiędzy kandydatami na prezydenta i nie oglądam seriali na Netfliksie. Myślę nieustannie o ostatnim opowiadaniu w moich „Pornografiach”, ale obawiam się, że myślę o tym już zbyt długo, zamiast je po prostu napisać. Kibicuję, zresztą z mieszanym skutkiem, Barcelonie, a gdzieś mam wyniki wrocławskiego Śląska, na którego mecze chodziłem regularnie przed laty, a teraz, mieszkając blisko stadionu, nigdy na nich nie byłem. Przedziwny stan pomiędzy średnim wiekiem a starością, pracą u podstaw i błogim lenistwem emeryta. Chociaż ciało coraz częściej mnie zawodzi, dusza jest świeża i lotna jak biała gołębica i polatuje chyżo ponad wodami materializmu, które nas zalewają w ramach rodzimego bogacenia się i związanych z nim agresją i chamstwem. Gołębica jest wprawdzie uduchowiona, ale nie rezygnuje z pewnych radości, jakie daje czyjeś przesycone erotyzmem ciało. Dziobie je delikatnie, nasycza jego słonym smakiem, składa i rozkłada skrzydełka, jest grzeszna i święta zarazem. Pójdę razem z nią do nieba albo do piekła i to musi mi na razie wystarczyć.

Ukończyłem mój eksperymentalny (dla mnie) cykl opowiadań seksualno-erotycznych. Są w miarę seksowne i w miarę zabawne. Nie znam analogii w polskiej literaturze, ale ostatnio mało czytam i nie mogę uchodzić tutaj za znawcę. Ciekawe, co stanie się z nimi po napisaniu i czy będzie tak jak zawsze. Oprócz tego jestem coraz bliżej rozlicznych przemian egzystencjalnych, co w moim wieku wydaje się nieco spóźnione, ale na pewno pożądane. Z kronikarskiego obowiązku odnotowuję ukazanie się piętnastego numeru „Formatu Literackiego”, efektu ostatniej walki kilku starych Apaczów. Kalendarz wydarzeń coraz bardziej się zacieśnia i niedługo obudzimy się w świecie bez Andrzeja Dudy, co wydaje się niemożliwe, bo bez jego min i publicznych wystąpień świat nigdy już nie będzie taki sam. Wchodzę coraz głębiej w świat mediów i przez to ulegam stopniowemu zdziecinnieniu. Moja wnuczka Karolina zapytała mnie dzisiaj, czego uczymy się z „Dziadów” Adama Mickiewicza. Szczerze mówiąc, nie umiałem na to pytanie odpowiedzieć i do głowy przychodziła mi tylko piosenka Kazika o baranku i motylku latającym nad głową niewinnej dziewczeczki. Dlaczego dzieci w siódmej klasie to czytają, tego nie wiem. Romantyzm zabijał i zabija u nas całe pokolenia, a obecna Polska tak skrajnie różni się od tej dawnej kresowej, że może warto byłoby zacząć od malarstwa, aby uczniom w minimalnym chociaż stopniu to uświadomić. Wychowanie plastyczne połączone z tekstami literackimi dałoby więcej, ale ciągle jest na ostatnim miejscu w szkolnej edukacji, za to religia nadal ma się u nas dobrze. Wybrano nowego papieża, peruwiańskiego, jak słyszę, Amerykanina, a wybór ten obrósł już w internecie setkami memów. Widziałem w telewizji, że ludzie z jakiegoś nieznanego mi powodu byli tym wzruszeni i poruszeni. Trzeba w coś wierzyć, powtarzam sobie po cichu, trzeba w coś wierzyć, ale dlaczego akurat w to.

W nocy przyśniła mi się babcia Anna, matka mojego ojca, która nigdy się mną specjalnie nie zajmowała, ale z oddali lubiliśmy się bardzo. We śnie głaskała mnie po głowie i zachęcała do seksu z pewną kobietą, którą też widuję w snach i której nie znam nawet imienia. Sytuacja wydawała się być dość niezwykła, ponieważ nie przypominam sobie, żebym rozmawiał z moimi babciami o tych sprawach, a nawet z rodzicami poruszanie tego typu tematów było raczej niemożliwe. Chciałem posłuchać babci Anny, ale kobieta nagle zniknęła, a kolejna chętna i otwarta na propozycje nie chciała się objawić. Zacząłem zastanawiać się nad znaczeniem tego snu, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy, tym bardziej że i Anna zniknęła w otchłaniach podświadomości, pozostawiając po sobie jedynie uśmiech i dotyk ciepłych rąk. Tak przenikaliśmy się nawzajem, jakby unosząc na falach pobudzanych mimowolnymi poruszeniami bioder i echem odległych miłosnych okrzyków, które przedostawały się przez ściany sypialni do tego stopnia, że zacząłem martwić się reakcją sąsiadów, których seks, o ile w ogóle istniał, objawiał się w sposób wyciszony i kulturalny. Babcia Anna lubiła pić herbatę z prądem i najbardziej kochała swojego syna, po którego śmierci nie chciała już dłużej żyć i wkrótce potem umarła. Po przebudzeniu widziałem ich oboje przez chwilę, a w ich oraz w moich oczach pojawiły się jeszcze trochę senne i zaskoczone sobą, ale prawdziwe i gorące łzy.

Wczoraj doznałem na ulicy Oławskiej iluminacji. Słońce świeciło w jej tle jak ogromna rozżarzona kula i oślepiło mnie zupełnie, przez co zniknęli wszyscy ludzie i cała ulica, a pozostałem tylko ja wobec światła przebijającego na wylot moją czaszkę. Powinienem wtedy zrozumieć istotę wszystkich rzeczy oraz rozpoznać dzieje całego świata, ale niestety nic takiego się nie stało, ponieważ najprawdopodobniej ktoś musiał się pomylić i wybrał nie tego, którego powinien iluminować. Doznanie jednak było bardzo intensywne i przypominało instalację Olafura Eliassona, którą widziałem w internecie, zrealizowaną w Turbine Hall w Tate Modern w roku 2003, gdzie kilkadziesiąt silnych lamp skupionych w świetlistym okręgu udawało prawdziwe słońce po to, aby ludzie Północy mogli nasycić się jego sztucznym ciepłem i promiennym żarem. Jestem wtajemniczony, pomyślałem, jak Juliusz Słowacki, który doznał iluminacji na bretońskich skałach w Pornic i nigdy później nie był już tym samym, uwikłanym w romantyczne konwencje poetą. Świetlna ekstaza nie trwała jednak długo i po chwili wszystko wróciło do normy, ulica Oławska, przechodnie, ogródki wypełnione jedzącymi pizzę i lwowskie rogaliki. Najdziwniejsze jest jednak to, że zapisu mojej iluminacji dokonałem zaraz po powrocie do domu i po raz pierwszy od niepamiętnego czasu zapomniałem zapisać go w pliku „Dziennika” w komputerze, przez co nigdy już w wersji oryginalnej nie zdołam go odtworzyć. Widocznie ktoś połapał się, że to nie ja byłem właściwym adresatem świetlistej Łaski. Być może był nim gruby facet obżerający się pizzą albo kobieta w letniej sukience idąca przede mną w stronę Rynku. Tego tak naprawdę nie będę już nigdy pewien, ponieważ pierwszego zapisu nie odnalazłem nawet w komputerowym, wypełnionym wieloma spadami koszu.

Odebrałem nowy paszport, który od strony plastycznej wygląda jak szalony sen pomyłonego pseudopatrioty. Oprócz obowiązkowego Piłsudskiego mamy tu Dowództwo I Brygady Legionów, Orzełka Legionowego, Godło II Rzeczypospolitej,



Vasyl Savchenko, *Wojownicy*, węgiel i lakier na płótnie, 210 × 210 cm, 2023

Ignacego Jana Paderewskiego, Romana Dmowskiego, Wincentego Witosa, Wojciecha Korfańskiego, Antosia Petrykiewicza, Bitwę Warszawską (nazywaną także cudem nad Wisłą), Order Virtuti Militari, Ignacego Daszyńskiego, Gabriela Narutowicza, Odznakę Pamiątkową Wojsk Wielkopolskich, Strażnicę Wojsk Ochrony Pogranicza, Odznakę Korpusu Ochrony Pogranicza, Powstania Śląskie, Kopiec

Niepodległości imienia Józefa Piłsudskiego, Grób Nieznanego Żołnierza i Eugeniusza Kwiatkowskiego. Nie przypominam sobie, aby ktoś, kiedy ten wzór ustanawiano, zaprotestował. Wydaje się, że wieloletnie rządy PiS-u doprowadziły nasze społeczeństwo do całkowitego zubożenia, by nie powiedzieć zidiocenia, tym bardziej że znakomita jego część w ogóle nie wie, kim są w większości utrwalone na kartach paszportu jako znaki wodne postaci. Nieustanne podkreślanie Polski jako obleżonej twierdzy, przedmurza i pogranicza strzeżonego do ostatniej kropli krwi przez dzielnych rycerzy w wieku XXI wydaje się być jeszcze większym anachronizmem, niż nim było w chwili powstania słynnych „Mohort” Wincentego Pola, o którym również dzisiaj prawie nikt nie pamięta. Ten chorobliwy stan umysłu potwierdzają wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich, w których jeden z kandydatów uzyskuje bardzo dobry wynik dzięki szerzeniu hasel antyeuropejskich i ksenofobicznych. Odnotowuję to w moim „Dniwniku”, chociaż być może nie powinienem tego robić, ponieważ zalewa nas teraz fala tak zwanej polityki przesłaniająca wszystko inne w sposób absurdalny. *Apage, Satanas* tym bardziej, że Szatan przybiera w coraz większym stopniu kałmucką gębę Putina, która zawisła nad nami jak kiedyś stalinowskie czerwone słoneczko i przygląda się nam z nietajonym, coraz większym zadowoleniem.

W snach duże zamieszanie. Wędruję, jak kiedyś już mi się to zdarzało, po miastach jakby wyjętych z wizji Swedenborga. Zrujnowane dzielnice zamieszkałe przez dziwnych lokatorów, place wypełnione stertami śmieci, próba wyrwania stamtąd jak zawsze nieudana, ponieważ jedyny tramwaj, który tam jeździ, zatacza pętlę i wraca do tego samego miejsca, z którego wyjechał. W środku tramwaju spotykam kilka osób i mojego ojca, ale tego nie jestem pewien, ponieważ tłok i smród każą mi wysiąść na najbliższym przystanku, przez co nagle znajduję się w miejscu zupełnie mi nieznanym. Ciekawe, że tam ktoś w sposób dosyć natrętny chce ze mną dyskutować o sztuce i polityce, a ja nie bardzo mam na to ochotę, ponieważ i jednego, i drugiego mam już kompletnie dosyć. Człowiek ten najwyraźniej obrażony znika nagle i mogę odetchnąć nareszcie świeżym powietrzem, ponieważ odnajduję drogę do dalekich przedmieść, które też są zrujnowane, ale czas najwyraźniej rozegrał w nich swą tajemniczą rolę i sprawił, że stare domy porosły drzewa i trawa, przez co przypominają leśne pagórki i wzgórza jak na starych fotografiach, które znalazłem kiedyś w szufladzie w naszym dawnym mieszkaniu na placu Kościuszki. Ciągłe do niego wracam, chociaż nie mieszkam w nim już od kilkudziesięciu lat. Sny są jednak uparte i mieszkają przeważnie, gdzie im się podoba. Ich tkanka jest zaświatowa i obłądna. Jak mojej sztuki, o której dzisiaj nie chcę już z nikim dłużej rozmawiać.

Tak zwany „opis przedsięwzięcia” zgłoszony na konkurs stypendialny organizowany przez prezydenta Wrocławia: „We wrocławskich domach towarowych zaczynać się niepokojące zdarzenia: cukierki Iryski irytują gości quizami z PRL-u, krem sułtański przemawia do klientki głosem Edwarda Gierka. Pani Walewska materializuje się jako mgiełka i wypatruje imperialistycznych zapachów. Po Hali Targowej szybują cukierki Kukułki i próbują wypchnąć z gniazda biznesmenów, a małe Raczkki szukają miejsca, w którym będą mogły utworzyć rząd Raczkowskich.

W tym samym czasie kosmetyki od Celi, kremy Nivea czy mydła Tukan próbują ponownie zamydląć oczy społeczeństwu i przekonać ich do zbrodniczych idei”, czyli niezwykle materii pomieszaną wynikającą z tak zwanej dekonstrukcji gatunków oraz, jak to określa kandydat do stypendium: „pulpowości”, a wszystkiemu mają patronować Lovecraft, Blackwood i Grabiński. Przy całym szacunku dla odczytania Autora nie bardzo zdołałem sobie wyobrazić całości jego dzieła, ale być może wynika to z mojego ewidentnego dziaderstwa i niechęci do wszystkich ułatwionych dekonstrukcji dziejących się w otaczającym nas, i wymagającym według mnie przynajmniej niewielkiego uporządkowania, świecie chaosu. I na koniec jedna uwaga – krem Nivea produkowany przez poznańską Lechię to marka sprzed pierwszej wojny światowej, której przez przypadek działająca w PRL-u firma nie utraciła, dzięki czemu ów krem był przez lata towarem eksportowym, wywożonym przez naszych rodaków za granicę w celu pozyskania jakże cennych w PRL-u prawdziwych pieniędzy, czyli tak zwanych dewiz. Trudno zatem upatrywać w nim nośnika zbrodniczych idei, chyba że dostrzeżemy je w kapitalizmie, w którym, o ile wiem, zarówno cukierki Kukułki, jak i woda kolońska Pani Walewska mają się całkiem dobrze.

Od pewnego czasu stosuję w moim „Dniewniku” stosunek przerywany. Byle nie zrobić kolejnego niechcianego przez nikogo dziecka, byle powstrzymać się od pisanego i przeżyć tylko częściowy orgazm, wprowadzić nie do końca satysfakcjonujący, ale zawsze jakiś. Powstrzymuję się od kolejnych stron, kolejnych słów, kolejnych skojarzeń. Poprzednie stosunki były wprowadzić owocne, ale dzieci, które urodziły się dzięki nim, okazały się być zbyt słabe, aby wyjść w świat, i dlatego musiały wrócić do macierzy, do źródła, które bije coraz słabiej. Niekiedy patrzę na nie, przekładam z pokoju do pokoju, z półki na półkę. Najczęściej są nieme, ale wiem, że chciałyby coś powiedzieć, tylko nie mają do kogo, ponieważ jesteśmy jedynie my i nie ma z nami w domu nikogo trzeciego. Znam je dokładnie, ponieważ to ja je urodziłem i starałem się dobrze wychować, nadać im odpowiednie brzmienie i językową ogładę, ale nie dało to zbyt wiele, być może dlatego, że okazały się być zbyt kulturalne jak na dzisiejsze czasy lub zbyt nieśmiałe i przez to pędzą życie w ciemnym kącie, za kotarą utkaną z setek stron zlepionych z sobą nieudolnie przez przypadkowych ludzi. „Dniewnik” dochodzi dzisiaj po raz kolejny do kresu nocy. Może zrobię to jeszcze jeden jedyny raz, ostatnie pchnięcie i biała kartka pokryje się czarnym, nienormalnym nasieniem, które jest niezwykle i niespotykane w przyrodzie i które leczy moje rany, bez względu na ciężki grzech onanii, jaki mu od lat towarzyszy.

Nie spodziewałem się, że dożyję dnia żałoby narodowej gorszej niż ten z trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku i wprowadzenia stanu wojennego. Na najbliższe lata przechodzę do podziemia, ponieważ wybór nowego prezydenta dokonany przez nasz lud i tak zwanych patriotów to spychanie kraju w mrok totalitaryzmu w stylu nie tyle nawet Węgier, co Białorusi. Cięży na nas niegdysiejszy zabór rosyjski i związana z nim mentalność chłopów pańszczyźnianego, brak edukacji i Kościół, który wybrał drogę dla siebie na dłuższą metę samobójczą, ale dzisiaj pozornie pomocną podczas walki o wpływy i pieniądze. Niestety najprawdopodobniej nie doczekam już lepszych czasów i dlatego tym

bardziej jest mi smutno, ponieważ po raz kolejny okazało się, że żyję w kraju w dużej mierze mentalnie całkowicie mi obcym, a rozpanoszona ochłokracja zaczyna pochłaniać kolejne obszary mojej i moich bliskich, wyśnionej przez nas przed laty Fantazjany. W książce Michaela Ende wszystko skończyło się dobrze, podczas gdy u nas, jeżeli wcześniej nie dojdzie do gwałtownej rebelii i sprzeciwu obywatelskiego, obudzimy się pewnego ranka w upiornym katolibanie rządonym przez bezwzględnych, cynicznych pseudopolityków i rządnych władzy, zacofanych i jednocześnie zadufanych w sobie, niemających nic wspólnego z wiarą chrześcijańska kłechów. Niegdyśjsza PZPR-owska dyktatura ciemniaków wyda nam się wtedy czymś łagodnym i mającym ograniczone możliwości wpływania na tak zwane masy, tym bardziej że można ją było usprawiedliwiać obecnością na terenie Polski dziesiątków tysięcy ruskich wojsk i pojałtańskim porządkiem świata. Teraz nic nas nie usprawiedliwia, bośmy, jak w pewnej pieśni, „byli winni sami”, oprócz braku zdecydowanego sprzeciwu wobec zła oraz mentalnego kunktatorstwa, które nie mogło się dobrze skończyć w chwili historycznej, bezwzględnej walki z napierającym na nas ze Wschodu żywiołem, który, jak się okazało, bliski jest milionom Polaków. Powinniśmy jak najszybciej podzielić nasz kraj na dwie strefy na linii Wisły, z wolnym miastem Warszawą, bo co do Krakowa, sądząc po działalności ustępującego prezydenta, nie jestem pewien, inaczej Azja nas wciągnie w swoje otchłanie i do Europy nigdy już nie wrócimy. Szkoda mi mojej wnuczki Karoliny, która przez godzinę płakała po ogłoszeniu wyników niedzielnych wyborów, bo to ona najmocniej odczuje na sobie, do czego tego dnia w Polsce doszło. Czeka nas Wielka Smuta i konieczność wolnościowego, intelektualnego i artystycznego sprzeciwu. Inaczej zginiemy.

Niespodziewanie odnaleziony fragment tekstu napisanego przed laty na maszynie na kartce mocno pożółkłego od starości papieru. Kocham takie przypadki, ponieważ są to echa czasów, kiedy myślałem, że będę znanym poetą, i wydawało mi się, że cały świat będzie czytał moje wiersze. Cały świat nie bardzo chciał je czytać, a poeci są obecnie postponowani przez literatów, pismaków, tak zwanych celebrytów i ludzi mediów, przez co siedzą gdzieś w kącie i łkają łzy, przeżywając resztki swojej papierowej sławy, o ile w ogóle ją kiedykolwiek osiągnęli. W odnalezionym fragmencie znalazłem tajemnicze słowa, których do końca nie rozumiem i wydaje się, że w chwili, kiedy je pisałem, również były dla mnie w dużej mierze niezrozumiałe. Cytuję: „Myśleliśmy o nim, kiedy przemierzał brzegi swojego oceanu, a właściwie to ona myślała, ponieważ kobiety myślą o cudzych oceanach, nawet wtedy, gdy ich najdalsze brzegi są wyznaczone przez kogoś innego. Jego kroki zmieniły się pod jej spojrzeniem w drgającą linię – zapamiętujesz wtedy kilka punktów, kilka miejsc odniesienia, o których musiała wiedzieć wcześniej, gdyż zawsze pragnęła być promieniem, łączącym ich ciała, a jednocześnie światłem na tyle nieokreślonym, aby nikt nie mógł poznać reguł, które mogłoby nim rządzić”. Na tej samej kartce wiersz zatytułowany „Martwa natura”: „Powroty z punktu i linii przynoszą ze sobą obraz przypominający wejście do przedmiotów ożywionych niewinną wyobraźnią. Obroty wokół własnych ram narażają wszystkich na rozerwanie tkanki, ale żywimy jeszcze nadzieję na uratowanie przynajmniej jednego z nas. Bohaterowie pierwszego planu

nie mogą się poruszyć, chociaż zapewniają nas, że nie są martwi. Patrzymy na nich ze spokojem. Zapewniamy im powietrze, spokój i wodę. Polewamy sokiem wydobytym z głębi słodkich owoców na naszych piersiach przedwcześnie porzuconych”.

Coraz większa bańka i ja w środku zatopiony w niej całym sobą, żeby nie słyszeć i nie widzieć niczego, co dzieje się u nas po wyborach prezydenckich. Płacz i żal, a jednocześnie nieskrywana buta i chamstwo tych, którzy wygrali. Najwyraźniej starość sprawia, że zaczynam się w „Dniwniku” powtarzać, ponieważ niedawno pisałem już o moim niespodziewanym uczestnictwie w świecie internetowych rolek. Pisałem wcześniej, że tworzę własne kolekcje, częściowo artystyczne, a częściowo nieprzyzwoite, ale o tych ostatnich na razie pisać nie będę. Produkty AI oraz clipy i historyjki z ikonosfery współczesnego, często dosyć pieskiego świata. Dawnych wspomnień czar i utrwalanie w telefonie wizerunków niegdysiejszych gwiazd muzyki popularnej, których oblicza w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku do nas nie docierały, ale za to znaleźliśmy wszystkie ich przeboje, z dzisiejszej perspektywy dosyć naiwne i bezpretensjonalne. Świat muzyczny znacznie się później skomplikował, a ja jestem wdzięczny zarówno tym bezrefleksyjnym, jak i tym, którzy nieśli wysoko sztandar hippisowskiej alternatywy i sprzeciwu z kumulacją na festiwalu w Woodstock, ponieważ była to sztuka o wiele bardziej autentyczna niż obecne komercyjne produkty, których w większości nie da się słuchać, tak są wyprane z jakiegokolwiek sensu muzycznego i tekstowego. Chcąc jakoś odreagować napór politycznej współczesności, wybrałem się nawet na koncert Chrisa Normana do Hali Stulecia. Przeważała widownia sześćdziesiąt pięć plus, a dawna gwiazda zespołu Smoke była w bardzo dobrej formie fizycznej i wokalne. Wszyscy na widowni śpiewali stare przeboje i dobrze się bawili, najwyraźniej folgując przy tym ostatnim szczątkom swej młodości. Byle tylko nie patrzeć na niektóre nienawistne, wyprane z myśli, za to niezwykle zajadłe twarze w naszym sejmie, pomyślałem, byle tylko nie patrzeć.

Popadam w rutynę zapisu, dodaję, odejmuję, staram się nie powtarzać. Trwam w tym samym miejscu, jednocześnie starając się przesunąć swoje ciało choćby o jeden cal. Nad ranem sen z Marilyn Monroe, która pociesza mnie, ponieważ najwyraźniej ma wiadomości z tak zwanej pierwszej ręki i chce, abym się dłużej już nie martwił. Później całuje mnie w usta i znika w zapachu Chanel No 5, który jeszcze przez jakiś czas mi towarzyszy. Jest połowa czerwca i noce powinny być po Leśmianowsku gorące. Nie bardzo się to jednak udaje, ale światło przedzierające się nad ranem przez rolety okienne mówi, że i tak jest to najpiękniejsza pora roku. Opowiadam studentom o pułapkach autobiografii i o tak zwanych „bebechach” w sztuce. Moje bebechy są częściowo od dziewięciu lat na wierzchu i każdy może sobie je zobaczyć. Nie wszystkie, ale sporo jak na wiek dwudziesty pierwszy i panowanie od pewnego czasu w literaturze rzeczy najczęściej zupełnie zbędnych. Marilyn pojawia się znowu. Głodzi mnie po głowie, chce nakarmić piersią. Przyjmuję to z rozkoszą, nareszcie jakieś pozytywne wibracje i światełko w tunelu. Mówię do niej: szkoda, że umarłaś, Normo Jeane Mortenson, wielka szkoda, oraz że nie doczekałaś kolejnego czerwcowego poranka. Na szczęście zapach Chanel No 5 nadal istnieje i możemy się nim odurzyć w jedwabnej pościeli samotnie, nad ranem.

JANUSZ DRZEWUCKI

Opuszczając Düsseldorf

Pierwszy pociąg z Düsseldorfu,
środek bezśnieżnej zimy,
przenikliwe zimno,
poczucie niewyspania,
wczorajszy dzień pod powiekami
i w kościach.
Sam wśród obcych ludzi,
ale przyjaźnie obojętnych.
Nieustannie rozdwarzające się tory,
błyszczące w lodowatym świetle.
Pola przed Mönchengladbach,
płaski krajobraz i płytki jak nicość.
Nie spieszyłem się,
tak jak nie spieszył się ten pociąg,
witający co do minuty
miasto za miastem,
przeglądałem „Rheinische Post”,
grube wydanie weekendowe,
z dodatkiem o książkach,
zatopiony w przeszłości,
wypatrywałem przyszłości.
Jechałem przed siebie,
poza tym nic nie musiałem,
jechałem przecież do Akwizgranu.

Akwizgran w południe

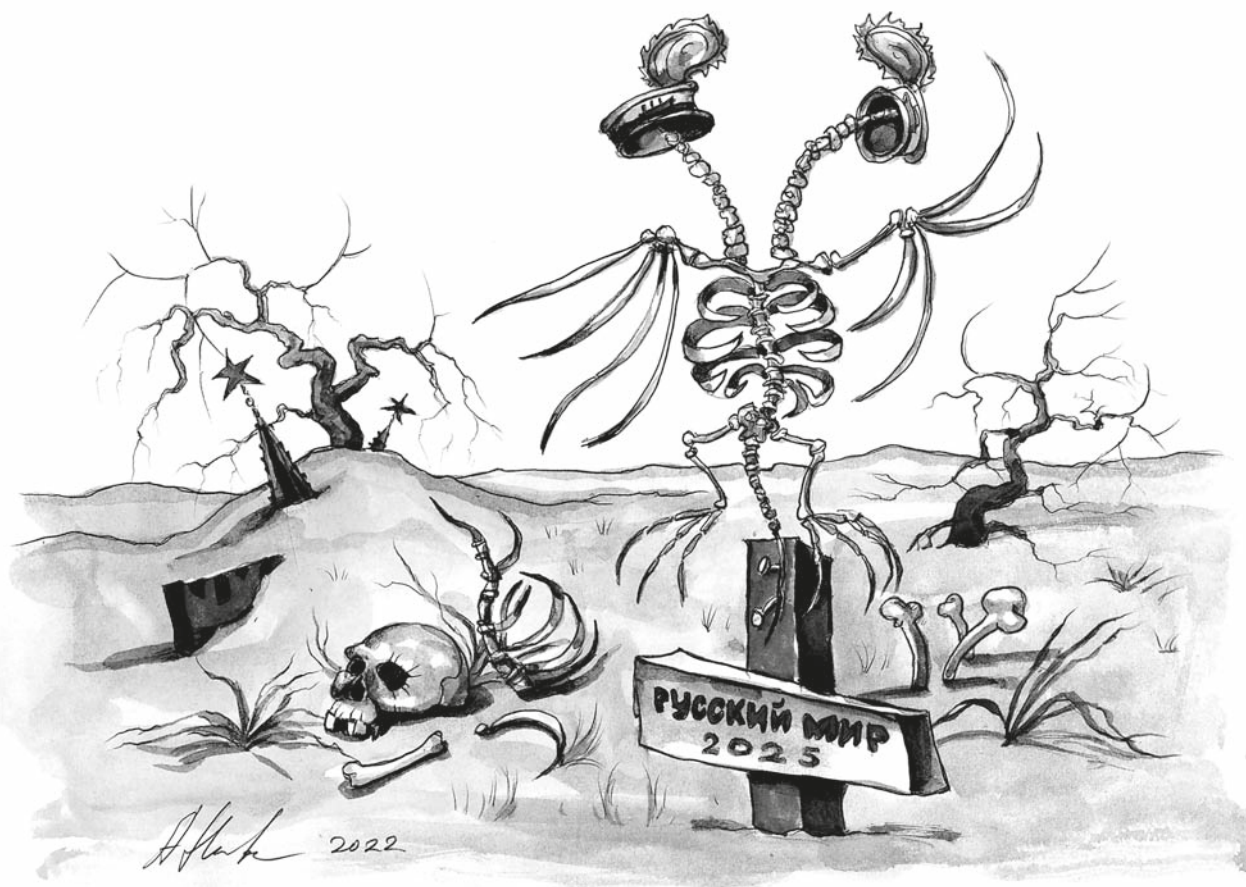
Tymczasem dojechałem do Akwizgranu
i przestało padać,
przed dworcem niemal stratował mnie
tabun rozpędzonych karych koni.
Bezwiednie ruszyłem swoim śladem
sprzed kilku lat,
wszystko było na swoim miejscu,
choć zamiast skrócić przed dworcem
w lewo, skręciłem w prawo.
Teatr, katedra, ratusz,
przed którym we władczej pozie
trwał Karol Wielki.
Dochodziło południe,
rozsiadłem się Pod Żółtym Jednorożcem,
chciałem wysłuchać raz jeszcze
tego słynnego na całą
zachodnią Europę carillonu,
czekałem w spokoju, w nabożnym skupieniu,
powietrze było wilgotne i stalowosine,
drżało i migotało.
Wybiła dwunasta i nic, cisza,
tylko szum goniącego
za swoimi sprawami miasta.
Było pięć po dwunastej i dalej nic,
rozejrzałem się wokół, żadnego zaskoczenia,
że carillon milczy, żadnego zdziwienia,
jakby nic się nie stało.
I gdy już zwątpiłem w sens,
dla którego tu się przywlokłem,
nad miastem rozciągnęła się
chmura dźwięków, warkocz muzyki,
tęskna melodia,
tajemnicza i niedosłowna,
a kiedy zgasła, rozejrzałem się
wokół siebie, ale niczego szczególnego
nie zauważyłem, jakby nie odmieniło się
niczyje życie.
Mimowolnie głęboko nad samym sobą
westchnąłem i ruszyłem dalej przed siebie.
Bo niby dokąd?

Wieczorem w Kolonii

Po wyjściu z Albrecht Dürer Stube,
zamiast zapuścić się w miasto,
coraz dalej i coraz głębiej,
pomyślałem, nic tu po mnie,
w Akwizgranie, i stało się.
Poszedłem na dworzec,
kupiłem bilet
i pół godziny później
siedziałem w pociągu
zmierzającym do Kolonii.
To się nazywa szczęście,
podjąć decyzję w pół sekundy,
opuścić w biały dzień Akwizgran
i ruszyć do Kolonii, żeby stanąć
w zwalistym cieniu katedry.
Zaraz za miastem,
po lewej stronie, w szczerym polu
gigantyczna fabryka, ogień,
apokaliptyczny ogień i dym
z ogromnych kominów.
Anus mundi. Memento mori.
A jednak w moim głupim sercu
nie było strachu,
wypełniała mnie radość,
jeszcze tego dnia miałem być
w Kolonii, gdzie czekały na mnie
wieże gotyckiej katedry,
dwanaście romańskich świątyń,
tłum dziewcząt i chłopców
cieszących się, że sobota,
a za tydzień Boże Narodzenie.
To był mój czas,
z którego nie musiałem
się rozliczać, jakby go nie było,
jakby mnie nie obowiązywał,
jakbym mógł przez jakiś czas
żyć poza czasem.

Między dzisiaj a jutro

Z tego mroku, z tej miazgi,
z tego zgiełku, z tej mgły,
z tego szumu – wydobyć coś,
co jest i ma znaczenie,
czego można się uchwycić
i przeżyć dzień do końca,
po swojemu, żeby jutro,
z samego rana, bez wyrzutów
sumienia, spojrzeć w lustro.



Oleksandr Nykytiuk, 2025, akwarela i ołówek na papierze, 21 × 30 cm, 2022

ANDRZEJ SAJ

Zapisy zobaczeń albo notatki krytyczne i bezkrytyczne o artystach, akademii, literaturze i polityce

rok 2015 (ciąg dalszy)

14.08.

Dlaczego – literacko – tak długo „milczałem” i pisałem tylko do szuflady? Mam w niej sporo wierszy, bardzo różnych i wielce oglądających czas, w którym powstawały. Dlaczego nie przemogłem tej inercji przejścia od rękopisu do wydruku, a następnie wysłania go do wydawcy? Czy to tylko zniechęcenie „krytyką” po pierwszym tomiku Na pewno nie, i nie tylko niechęć do zabiegów w latach 80., gdy w zasadzie – po ogłoszeniu stanu wojennego – publikacje takie nie miały sensu, chyba że w obiegu podziemnym; a teksty moje nie były tego rodzaju. Więc co, jaki mógł być powód milczenia? Zbyt łatwe i atrakcyjne było wcześniejsze bycie literatem, do tego tzw. młodym; Koło Młodych przy ZLP, wyjazdy na konkursy literackie, nagrody, sukcesy, bankiety... Takie ułatwienia serwowano tym, którzy uczestniczyli w życiu literackim, oficjalnym, ze wsparciem władz (stypendia, publikacje). Ale czy było w tym dobre pisarstwo, sztuka? Niewątpliwie tak, choć rzadko; bo wszak pojawiała się wtedy celna pisarska twórczość – oto dowody: Wojacek, Stachura, Iwaszkiewicz, Miłosz – ledwo dostępny, Gombrowicz mało dostępny, znikomo dostępny Herbert, Białoszewski, Konwicki i paru innych. To był czas (PRL-u), gdzie mało objawiało się dobrych pisarzy, dużo zaś – literatów, żyjących wygodnie na koszt Państwa. Stan wojenny wszystko zakwestionował, i wywrócił. Zaczął się czas nader jałowy, zniechęcający do uczestnictwa w życiu publicznym, na szczęście – rekompensujący to życiem rodzinnym.

17.08.

O pewnego rodzaju „ślepcie” Polaków na sztukę, w kontekście podawania jej przez wielkie muzea w Berlinie, Londynie, Paryżu. Chyba o tym pisał Wojciech Karpiński – że rzadko słyszy głosy polskie w tłumie widzów, w tych odwiedzanych przez niego galeriach i muzeach, że my, aspirujący do kultury Zachodu, ciągle jednak pozostajemy na jej obrzeżu; jakby „barbarzyńcy”, zwykle uganiający się za dobrami materialnymi raczej niż duchowymi. Ile tu, w tej materii, mamy jeszcze do nadrobienia? Zbyt wiele, i tym trudniejszy to będzie proces, gdy brakuje wsparcia administracyjnego w kraju; rządy liberalne małą wagę przykładają do sztuki, rządy prawicy będą jeszcze oszczędniejsze; już zapowiadają poparcie dla wartości narodowo-katolickich, wsparcie dla ciemnoty i lokalnych, przykościelnych inicjatyw. Mroczne idą czasy, już pełzają... Dla mnie przykład niemiecki jest tu znamienity; a ich zainteresowanie dla sztuki powszechne; to te pełne dzieci i dorosłych galerie, Kunsthalle i muzea, te zbiory współczesnej produkcji – często o miernym poziomie, a jednak – albo zbiory twórczości artystycznej w domowych kolekcjach (znam przykład kolekcji instalacji zgromadzonych przez Mathiasa – zamieszkałego w okolicy Hanoweru drobnego przedsiębiorcy). Niemiecka administracja postawiła na edukację w tym zakresie i na powszechne wsparcie instytucjonalne dla świata artystów – skutki już widać!

19.08.

Wiara (impuls religijny pochodzący z mitów, z Biblii?) jest potrzebna ludziom, jest potrzebna jak literatura; jak potrzebne są „złudzenia” i nadzieje. Co jest czymś pięknym w indywidualnym odbiorze, dopóki nie zacznie się własnych przekonań narzucać innym, przekonywać do jednej i jedynej prawdy. Wtedy wiara staje się opresją, jest czymś, co ludzi różni i kłóci. Niech ludzie wierzą, w co chcą; w to, co jest potrzebne dla ich duchowego rozwoju, dla psychicznego komfortu, niech się modlą, kiedy potrzebują modlitwy, wszak mamy przyjaciół (wśród artystów) gorliwie uczestniczących w życiu Kościoła i całkowicie to akceptujemy, a oni akceptują to, że my w ogóle nie uczestniczymy w praktyce religijnej. I jest to piękne, jeśli oni potrafią modlić się szczerze, z zaangażowaniem. Brzydzą mnie natomiast ci, co usta mają pełne boskich deklaracji, a na każdym kroku chcą pouczać, chcą narzucać swoje przekonania; robią to zresztą z fanatyzmem, wręcz z nienawiścią w słowie, w duchu nietolerancji. Gdzież tu mowa o chrześcijańskim miłosierdziu? Czyż nie jest to odmiana fundamentalizmu, który prezentują skrajne odłamy islamu, w ich świętej wojnie przeciw kulturze zachodniej i chrześcijaństwu, ba, nawet przeciw własnym – w islamie – innym wyznawcom Mahometa (np. konflikt szyitów z sunnitami)?

22.08.

Nadeszła wiadomość o śmierci (11.08.) Jürgena Bluma – Gerharda Kwiatkowskiego, niezwykłego człowieka sztuki i zdolności poświęcania się sztuce. Po wojnie osiadł w Elblągu, gdzie założył Galerię El, a w latach 1965–1973 zainicjował tu Biennale Form Przestrzennych. W 1974 r. przenosi się do RFN-u (zmienia nazwisko, bo jest z pochodzenia Niemcem), jednak oddaje przy tym ogromne zasługi kontynuacji

kontaktów polsko-niemieckich. W Niemczech podejmuje się zarówno prowadzonej na szeroką skalę aktywności edukacyjnej w plastyce, w tym otwiera stały ośrodek edukacji artystycznej w Hünfeld, gdzie gromadzi także kolekcję sztuki konkretnej (w 1990 r. otwiera tu Museum of Modern Art). Inicjuje także działalność o podobnym profilu w Świeradowie Zdroju (tworzy Muzeum Sztuki Reduktywnej), ale po kilkunastu latach rezygnuje z dalszej – niezbyt owocnej – z władzami współpracy. Był niewątpliwie zawsze przyjaznym, spolegliwym opiekunem i nauczycielem sztuki Niemców i Polaków. ożena Kowalska na łamach „Formatu” nazwała go „Misjonarzem Sztuki”. Zawsze uczynny, oprowadza mnie po swoim „królestwie” dzieł plenerowych i zgromadzonych w salach muzealnych, z „biegu” proponuje wyjazd na Biennale do Wenecji. Determinista – mówił: wszystko, co się zdarza, np. między nami (ot choćby to nasze spotkanie), to tak zostało „zaplanowane”, tak miało być. Tak spełniamy nasze przeznaczenie...

23.08.

Twarz poety; opisać twarz, która przecież jest ponoć zwierciadłem duszy. No bo np. Herbert miał – jak sam o sobie mówił – „błędną twarz” (pisał tak w *Prześłaniu Pana Cogito*). Czy mieli twarz „tragiczną” poeci, którzy tą drogą szli? Te znane oblicza są pogodne, często pobrużdżone troskami, zmęczone... ale czy wyrażają to, co w ich poezji się działo (np. Białoszewski, Miłosz, Rilke i inni)? A twarze współcześnie znanych mi poetów? Co reprezentują? Czy wszystko to, co niesie współczesne życie, z jego olśnieniami i troskami, pasjami, ale też ze zwykłością wygodnej egzystencji...? Czy coś więcej? Nierozstrzygalne pytanie.

24.08.

Film *Pan Turner* (reż. Mike Leigh, aktor Timothy Spall) w Kinie Nowe Horyzonty – to tu odbywają się słynne już festiwale filmowe, o imponującej liczbie wydażeń: rzadkie filmy, wybitne itd., też dyskusje, konkursy i edukacyjna działalność Romana Gutka, który to całe zdarzenie zainicjował. *Pan Turner* pokazuje życie i zmagania artystyczne wybitnego malarza angielskiego z XIX w., w pewnym sensie prekursora impresjonizmu, choć inne cele mu przyświecały: Turner stwarzał niemal „symboliczne”, w romantycznym duchu, wizje kończącego się świata, rozbijanego na mgławicowe formy światła. Na łożu śmierci stwierdził, że „Słońce to Bóg”. Był tropicielem (ciągle w wędrówce) niesamowitych odsłón światła, świecenia i iluminacji, wręcz mistycznej. Był przy tym osamotniony w swej pracy i chyba w życiu (mimo adoracji kilku kobiet, a rodzina mu nie sprzyjała). Od Plutarcha: „malarstwo jest cichą poezją” – wiecie w tej postawie swą historię samotnika i poświęcającego się sztuce człowieka. Przy okazji daje rys epoki wiktoriańskiej: ten młody, bufoniasty John Ruskin (ciekawy epizod). Samotność twórcy ma w sobie coś zwierzęcego: drapieżność w zdobywaniu „pokarmu” dla swej pracy i ta odrębność, wilcza, skryta, dzika.

25.08.

Znowu tkwię w poezji P. Celana; to trud interpretacji, ale, co intrygujące, to także pewien intuicyjnie wyczuwalny impuls wgłębiania się w te wiersze, w ich odczucia,

tej ogromnej – skrytej – siły poruszania „bólem słów”, które cierpią i dotykają. Wer-
tuję ważną książkę: *Paul Celan: język i Zagłada*, pod red. A. Lipszyca i P. Piszczatow-
skiego, i jestem pełen podziwu dla odczytań, dla trudu „interpretacji” tej trudnej,
„niemożliwej” poezji. Pisze mi się mimo (a może dlatego) Celana?

26.08.

Zadanie napisania wstępu do wystawy malarstwa naszej Akademii w Warszawie
– ciągle nieukończone. Niemoc sfinalizowania bierze się albo z tego, że tyle już
zostało (w tymże przeze mnie) na ten temat napisane, albo ze zwykłego waka-
cyjnego lenistwa (upały obezwładniają skutecznie). Ale pomysł jest: to ma być
spojrzenie kogoś, kto towarzyszy tym dokonaniom od środka i widzi te wartości:
czy to w zachwycie, czy raczej sceptycznie. Czy ukształtowały się jakieś wiodące
trendy? Trudno tu o jednoznaczną odpowiedź; bo wszystko się zmienia; odeszli
już wielcy prekursorzy malarstwa na uczelni (w tym jej pionierzy), ale jeszcze żyją
i tworzą K. Jarodzki, L. Mickoś, N. Nascov (na emeryturze już wszyscy), no i ciągle
jeszcze są czynni mistrzowie obecnej Akademii: S.R. Kortyka, A. Klimczak-Dobrza-
niecki, P. Lewandowski-Palle, P. Błażejewski, J. Jaroszewski, W. Lupa, K. Skarbek,
Z. Nitka, K. Wałaszek. A już wspomagają ich młodszy malarze o znaczącym dorobku
(jak m.in. N. Smużniak, W. Pukocz, Ł. Huculak, W. Kuczma, M. Marek, M. Sikorski).

28.08.

Im więcej czytam o Miłoszu i Miłosza – tym większy podziw dla tej twórczości ogar-
niającej „wszystkość” w danym momencie i w sytuacji naszej rzeczywistości. Miłosz
jawi się i jako bard „solidarnościowy”, i jako piewca boskich praw piękna, przy
tym zachłanny konsument życia i jego uroków itp.; ale jego poezja trudna, trudem
przeczuć metafizycznych i eschatologicznych. Ten „stary poeta” nie starzeje się,
nie odchodzi za kurtynę, stoi na scenie i wnikliwie patrzy nam w oczy, i deklamuje
swoje – o nas – prawdy.

30.08.

Wreszcie napisałem tekst wprowadzający do katalogu wystawy malarstwa ASP
w Warszawie (kurator: Wojciech Pukocz). Tekst odnosi się i do historii, i do pokolenia
uczniów (II pokolenia) pierwszych pionierów PWSSP. To także próba spojrzenia na
dominujące już w ASP i środowisku wrocławskim tendencje w sztuce malowania –
co nie jest takie proste wobec zróżnicowania postaw i inspiracji; to przykład „kłącza”
w typologii kierunków, w tej postmodernistycznej erupcji nawiązań i rozwiązań.
Dokąd zmierza wrocławska sztuka? Trudno jednoznacznie stwierdzić, choć nie-
wątpliwie zarysowały się w lokalnym malarstwie wybijające się trendy: przede
wszystkim trzeba zauważyć dominację koloryzmu, wprowadzoną do środowiska już
po wojnie, która wyedukowała takie oto „odnogi”, jakie reprezentuje z jednej strony
kolorystyczna abstrakcja, a z drugiej strony – malarstwo materii. Samo malarstwo
abstrakcyjne, zapoczątkowane także przez pionierów, rozwinęło się z kolei (wśród
uczniów pionierów) w stronę strukturalnych porządków – co jest obecnie postrze-
gane jako środowiskowa specjalność. Trzeci nurt, pośredni, eksploatowany jest już
przez kolejne, młodsze pokolenie artystów, nawiązujące do stylistyki popkulturowej

i wspomagające się nowymi mediami (fotografia, video, komputery itp.). To skrót opinii; reszta w katalogu wystawy.

31.08.

Sierpień kończy się upałami. Temperatura oscyluje wokół 33°C. Tak nigdy – jak pamiętam – nie było, by wrzesień witać na letnio, ubiorem i nastrojem. Choć nastroje po kolejnych „zawłaszczonych” przez prawicę i PiS obchodach rocznicy „Solidarności” nie napawają optymizmem: próbują budować w istocie alternatywną historię tego wydarzenia, z pominięciem roli Wałęsy. Polityka „zabija” prawdę.

2.09.

W TV film o Beethovenie i jego „przyjaźni” ze studentką – asystentką i kopistką jego nut. Obraz dość popularny, ale trochę „złotych myśli” dało się przemycić. Jak tę, gdy Beethoven mówi, że bóg obdarzył go głuchotą, by lepiej mógł czuć (i słyszeć wewnętrznie) muzykę. Mylę, że podobnie może być z poezją – trzeba dłuższego milczenia, by poczuć wagę słowa, by wejść w poezję. Może w tym jest „usprawiedliwienie” dla mojego milczenia. Że na starość dopiero ten „apetyt wilczy na poezję, która może mieszka w nas”; rósł i ujawnił się erupcją „smaków”. Stąd cykle ciągle niewydanych wierszy: *Stary poeta*, *Bracia wzajemni*, *W cudzym pięknie*, *Zapatrzeni*, *Białe fotografie* itd.

3.09.

O rysowaniu z natury. Czym jest? Sztuką czy przeżyciem, oddaniem rzeczywistości czy zamyśleniem? Rysunek jako źródło sztuki, zapis tego, co jest i co wyobraźnia podsuwa. Albo taka „wschodnia” przypowieść w duchu zen: jak dobrze narysować górę, drzewo, ptaka itd. Jeden mówi: zręcznością dłoni (czyli liczy się warsztat), drugi – zmysłami, czyli spojrzeniem (oczy) i wyczuciem piękna, harmonii... Trzeci powie: umysłem, czyli zaangażowaniem myśli, wiedzy i świadomości. Ale „zen” podpowiada: rysuj górę – górą, drzewo – drzewem itd. Co to znaczy? Że znając wszystko: technikę, estetykę, myśl, musisz to zapomnieć, by umysł był pusty, czysty jak ta karta, na której rysujesz, i dopiero wtedy dotrzeć można do istoty, do sensu tego, co zostanie przedstawione; sobą przed-stawione. To czuł – w naszej kulturze – Heidegger, mówiąc o stawianiu rzeczy przed... nami.

4.09.

W Szczawnie-Jedlinie plener i sympozjum zorganizowała grupa artystów z Wrocławia „Silesium” (to inicjatywa Anny Szewczyk plus kilku innych osób, w tym m.in. A. Kołodziejczyk, I. Wójcik, G. Jaskierska i paru „dochodzących” twórców). Wystawa w pięknej pijalni wód mineralnych, udostępnionej przez Pawła Skrzywanka – prezesa przedsiębiorstwa uzdrowiskowego w Szczawnie-Zdroju, które zachwyca swym urokiem i dobrą organizacją. Jestem tu po raz pierwszy, zaskoczony, że tak blisko Wrocławia rozbudowane jest uzdrowisko, w którym bywali sławni ludzie (urodzili się tu m.in. bracia Hauptmannowie, bywał Z. Krasiński, H. Wieniawski itd.).

Na spotkaniu wygłaszam opinię o „manipulacji” w sztuce – chyba trafia ten referacik do słuchaczy, sądząc po reakcjach. Z manipulacją wszak mamy wszyscy

po trosze coś wspólnego: ja mówiłem o manipulacji w życiu artystycznym, o roli kuratorów i krytyków „manipulujących” hierarchiami, ocenami, wartościami dzieł i ich rynkiem. Ale manipulacja jest w samej sztuce, która potrzebuje lansu, promocji (a tu działania w duchu marketingu i reklamy obowiązują), że wreszcie poddaje się ona konkursom i ocenom teŹe krytyki, że jest zależna od mody, np. od presji awangardy lub tematyki chociażby prospołecznej (vide: sztuka krytyczna u nas) itd., itp.

7.09.

Referendum ogłoszone w „histerii obaw” przez Komorowskiego (to efekt Kukiza); pomijam je świadomie – nie uczestniczę w tej zabawie. Frekwencja wyniosła 7,8%; to katastrofa demokracji bezpośredniej (koszt ok. 84 mln zł). PiS triumfuje, ale nie ma z czego; pisowskie referendum Dudy na szczęście odwołane. I jeszcze jeden przykład hipokryzji „prawej” strony: Piotr Duda, przewodniczący „Solidarności”, w opinii „Newsweeka” odpoczywa za darmo w apartamencie sanatorium „Bałtyk” w Kołobrzegu (co kosztuje 1,3 tys. zł dziennie). Przy tym obsługa tej jednostki pracuje na umowach śmieciowych – z czym „wódz” S. przecież walczy. Duda „odgryza” się, atakując ordynarnie Tomasza Lisa – naczelnego „Newsweeka”. Okazuje się, że działacze „S” (przewodniczący zakładowi) powszechnie biorą po kilkanaście tysięcy złotych pensji i są „nienaruszalni”, opłacani z kasy państwowej. Dwaj panowie Duda niezłe „dudy” smolą nam, Polakom.

8.09.

Dość polityki i jej ohydy, która co dzień leje się z ekranu tzw. publicznej TV. Wróćmy do poezji; ale czy jest czas na poezję, gdy ginie (dosłownie) w Morzu Śródziemnym cała rodzina uchodźców z Syrii (pokazano zwłoki trzylatka i jego bliskich...). Czy „wzrost ludzkiego cierpienia” (o czym pisała S. Sontag) może poruszyć opinię publiczną bogatego Zachodu? Okazuje się, że może, i Niemcy, Francja, Anglia przyjmują coraz większą liczbę uciekinierów z terenów opianowanych wojenną tragedią i islamskim terrorem. Tylko nasza Polska dyskutuje i chandryczy się o liczbę możliwych do przyjęcia uchodźców, a hejterzy i prawica, jak zwykle, wylewają „kubły” słownych pomył i bluźnierstw, jak np. w reakcji na śmierć 71 osób zaduszonych w przemycającej ich ciężarówce. Ale problem narasta, bo okazuje się, że wśród tzw. uchodźców jest wielu młodych ludzi, którzy mogą być potencjalnymi fanatykami islamu i terroryzmu. Granice Unii są zamykane, kontrole i ograniczenia, a Niemcy deklarujący wcześniej pomoc dla wszystkich uciekinierów, już reglamentują przyjęcia; trwa dyskusja o „kwotach” przyjmowanych ludzi; a ci giną, toną w łodziach, mimo to tysiące, setki tysięcy „płyną” do Europy. Jak w tym kontekście brzmi nowa powieść M. Houellebecqa pt. *Uległość* – o apokaliptycznej islamizacji Europy i klęsce chrześcijaństwa?

10–11.09.

Wrzesień miesiącem plenerów artystycznych. Jak co roku malarze i rzeźbiarze wybierają się do szczególnych miejsc poza miastem, by doświadczyć natury i nowego dla nich klimatu miejsca. Znów jadę do zamku z folwarkiem w Kliczkowie (własność prywatna rodziny Barbary Johnson). Wygłaszam powiastkę – gawędę o strukturalizmie w malarstwie i jego konsekwencji dla sztuki Akademii wrocławskiej, z której

wywodzi się większość tego środowiska. Malarstwo zawsze mnie intrygowało – jako obraz, jako przedmiot pobudzający (swym obramowaniem i wycinkiem rzeczywistości, jej iluzją) do refleksji, inspirujący wyobraźnię. Właśnie dlatego, że dawał pewną złudę, obraz nieprzystający wprost do świata. To „odcisk” natury (lub sztuczności) przez artystę wykonany. Może dlatego zawsze w dopełnieniu do malarstwa pojawiała się fotografia, z jej obrazami – odciskami przystającymi dokładnie do widoku, który był na niej (na zdjęciu) zapisany. To są dwa różne obrazy – ale one się dopełniają, tłumaczą i konkurują ze sobą. To ciekawe; stąd poetyckie interpretacje obrazów, zamysłów obrazowania i tegoż konsekwencje dla sztuki, dla odczytywania ich znaczeń, miejsca wśród innych „obrazów”, czy to realnych, czy wyobrażonych, zapisanych itd. To ważne w odczuwaniu sztuki, jej sensu. Poeci cenią obrazy, cenią malarstwo; ileż powstało wierszy inspirowanych sztuką obrazowania (np. Herbert, Zagajewski, Iwaszkiewicz), wierszy odnoszących się wprost do konkretnych dzieł (w ekfrastycznym ich opisie) lub je nadbudowujących złożonymi interpretacjami. To ścisły związek, wzajemnie inspirujący.

14.09.

Wygoda, lenistwo... czy po prostu czas zniechęca do tego wysiłku – lecz komfortu, by film (dobry wizualnie) oglądać nie w domowej TV, ale sali kinowej, np. w Kinie Nowe Horyzonty, które serwuje całkiem piękne dzieła nie tylko w okresie letniego festiwalu. Obejrzałem więc tak *Młodość* P. Sorrentino z kreacjami m.in. Michaela Caine’a, Herveya Keitela czy Rachel Weisz. Film, który faktycznie powinien być zatytułowany *Starość* – ale byłby to chyba mało komercyjny chwyt; a kino jednak, mimo wszystko, musi przyciągać odbiorców. No więc obejrzałem przepiękny – filmowo – obraz, który jest i celną metaforą życia, jego skończenia, i swoistą artystyczną pointą twórczości (Caine gra kompozytora godzącego się z emeryturą, Keitel – reżysera przygotowującego swój film – testament). Chociaż ta pointa będzie różna: kompozytor ugnie się ostatecznie przed namowami wysłannika królowej angielskiej i odegra przed nią swój ostatni koncert – hołd niemocy swej małżonki pieśniarki, jemu kiedyś towarzyszącej, zaś reżyser swój ostatni scenariusz filmu „dokończy” wobec faktu „zdrady” głównej odtwórczyni roli kobiecej (staruszka J. Fonda) skokiem samobójczym. Film epatuje zderzeniem „ikon” starości (bohaterowie) z przedstawicielami młodości, którą reprezentują dość prości ludzie: młoda masażystka, aktor gotujący się do roli Hitlera czy Miss Universe. Ta – pokazana przez Sorrentino – starość jest inna, nieszablona, ale mądra i epatująca wyobraźnią: piękne sceny reżyserskich pomysłów, rodem z Felliniego (w tym komiczna postać starego Maradony – piłkarza, grubasa). Ciągłe jeszcze nie oglądałem *Wielkiego piękna* tego reżysera, który ponoć przewyższa estetycznie *Młodość* – no, jestem ciekaw i szukam tego obrazu; a on już gdzieś w archiwaliach tkwi.

16.09.

Wracam do lektury Herberta: zbiór esejów pt. *Barbarzyńca w podróży*. Wcześniej promowały je „Zeszyty Literackie”; część tam już czytałem, teraz tu zebrane. I tak już w pierwszym esej pt. *Lascaux* objawia się jego wielka przenikliwość opisu i poetycki skrót w interpretacji tego (tych obrazów), tego artefaktu, jaki odkrywają

prehistoryczne ryty (malunki) z grotty Lascaux. Herbert – poeta – wędrował poprzez słowa, ale wędrował także przestrzennie, w głąb odkryć, wędrował ze swoim słowem. Pięknie mu posłusznym.

17.09.

Za sprawą kryzysu uchodźstwa (erupcji ludów uciekających przed wojną), ale i tych – terrorystów nowego religijnego ładu, w duchu muzułmańskiego ekstremizmu – pęka „w szwach” jedność Europy, sypie się solidarność Unii, podsycana przez krótkowzroczne hieny polityki – u nas PiS z Kaczyńskim na czele, na Węgrzech – Orban, na Zachodzie – skrajna prawica... Czy ten kryzys doprowadzi znów do korekty europejskości, czy zamknie, odizoluje narody, ich obyczaje, idee i pragnienia? Europa w swej tożsamości, to jest pewnego ujednolicenia kulturowego (w sensie ubioru, dążeń, kultury itp.), zaczęła się w zasadzie dość późno, bo dopiero w początkach XIX wieku. Bo dopiero wobec skutków tzw. I rewolucji przemysłowej (angielskiej), rozwoju komunikacji, handlu, przenikania trendów architektonicznych przez granice, emigracji itd., dopiero wtedy można mówić o początkach tzw. efektu „globalizacji”. Co dzisiaj jest czymś tak oczywistym, jak powszechność TV i internetu. Czy taka Europa (od Irlandii po Ural) ma jeszcze szanse istnieć? Europa ludzi o podobnej (zbliżonej) kulturze, religijności i zasadach etycznych; ludzi podobnie żyjących, ubierających się i mieszkających, a więc poddanych zbliżonym trendom w modzie, na rynku dóbr i rynku wiedzy? Czy presja „świata odmiennego” – tych Innych, o innej kulturze, obyczajach i aspiracjach – zagraża naszej egzystencji? Są to obawy całkiem uzasadnione i całkiem realne. Jeśli nie chcemy być tylko kategorią tzw. „pożytecznych idiotów”, których już wykorzystywał komunizm, dziś – islam.

20.09.

Czymże jest sztuka, a raczej Sztuka (pisana dużą literą), że tak angażuje nasze zmysły, myśli, naszą uwagę i pamięć? Dlaczego to, co jest „produktem” tychże – tak zaangażowanych w nią – ludzi, jednych (bo wytwórcy), innych (bo odbiorców), dlaczego te artefakty mają w naszym życiu tak kolosalne znaczenie, pełnią tak wyjątkową rolę? Przecież niby wiemy, dlaczego tak jest (stąd te jej „duchowe” implikacje), a jednocześnie nie wiemy, albo niewiele wiemy – a jednocześnie to nas wyróżnia, uczłowiecza, uwzniośla, wynosi do rangi naśladowcy – tego Jedyne, któremu to wszystko wszak zawdzięczamy. Więc sztuka jest „językiem” boskim, a może pośredniczy w tym dyskursie, który my sobie wyznaczamy, a czasem nim próbujemy dorównać, dosięgnąć owej wyżyny?

21.09.

Jeśli szaleństwo (psychiczne) bywa metodą na sztukę – to czy nie szkoda ludzkiego (*vita brevis*) życia na nią (*ars longa*)? Przykłady: od amerykańskich bitników (*beat generation*), tu np. William Burroughs (*Nagi lunch*), Jack Kerouac (*W drodze*) albo Ginsberg (*Skowyt*), a z „naszych”: R. Wojacek, E. Stachura itd. To samo dzieło się w sztukach plastycznych. Iluż zapaleńców, od impresjonizmu po awangardę i współczesne biografie, ćwiczy swoje całe życie w intencji sztuki, wobec tego „szaleństwa”

wyobraźni i duchowych rozterek. Czyż dlatego trzeba szukać „nienormalności”? Odstępować od normy, od przeciętnej – by wejść do tego tajemniczego królestwa jaźni (albo pod...)?

22.09.

Kibicuję naszym siatkarzom, lubię tę dyscyplinę. Więc zrozumiały u mnie ból rozczarowania – z powodu potyczek naszych siatkarzy w Tokio (Liga Narodów). Wygrali kolejno 10 meczy, także z bardzo silną drużyną USA, a przegrali ostatni (najważniejszy) z Włochami (3:1), decydujący o kwalifikacji olimpijskiej. Pech to czy nasza narodowa niemoc – przypadłość objawiająca się (emocjonalnie) w sytuacjach granicznych, ważnych...? Ale czy „uczucia” ze sportem związane (to raczej efekt emocji o charakterze przywódczym) mają wpływ na naszą kondycję świadomościową i zmysłową, na rodzaj wysublimowanej wrażliwości? Wątpliwe.

24.09.

Akademia (wydział AWiW) w inicjatywie dynamicznej dziekanki Uli Gralak-Smaza (mówi: Ula pomyśli, Ula zrobi...) organizuje wielką wystawę projektowania w Libercu. Tytuł „Transdesign” (miał być pretekstem do sfinansowania w ramach współpracy transgranicznej – co nie poskutkowało), ale jest pretekstem do mówienia o „przejściu” użyteczności w sfery inne – jakie? To problem; bo nie tylko o piękno, o związek ze sztuką tu chodzi. Design, który stał się już bardzo modny, wręcz nachalny w proponowaniu zaprojektowania wszystkiego, całego życia niemal. Co już znajduje – po okresie bezwarunkowej euforii – reakcje odrzucenia. Choćby M. Wicha, grafik, projektant znaków, pisze wprost (książkę) pt. *Jak przestałem kochać design*, by nieco odczarować ten wszystkoizm powiązany z projektami. W muzeum miejskim Liberca, w dawnej „Kaźni”, pięknie zaaranżowana wystawa oraz grafika projektowa: plakat, książka, typografia, a wreszcie scenograficzne projekty (które chyba najmniej są spójne z całą wystawą). Co daje odbiorcy ta ekspozycja? Ujawnia się tu przede wszystkim różnorodność i bogactwo podejmowanych tematów, to zresztą jest charakterystyczne dzięki pracom dyplomowym studentów, bo każda pracownia prowadzi kilka, kilkanaście takich prac – co daje ów szeroki wachlarz osiągnięć. No a zamiar „trans” – rozumiany jako odejście czy przejście przez użytek – czy jest tu widoczny? Może tylko, w jaką to idzie stronę? Czy w piękno? Estetyka jest tu ważna, choć dominuje raczej minimalizm, a nie ekspresja (poza scenografią), raczej „ład” niż nadmiar form znaczeń. Tak jest zarówno w przypadku obiektów, jak i prac graficznych. Czy design poszedł w stronę sztuki? I tak, i nie. Bo będąc „sztuką projektowania”, jednocześnie dba o swoją specyfikę: jest efektem złożonej pracy artysty i inżyniera, artysty i warsztatowca, znawcy materiału i wynalazcy form. Innowatorem. Być może powołanie Centrum Innowacji przy ASP jest tu celnym spointowaniem tego przedsięwzięcia.

27.09.

Muzeum Narodowe otwiera w obecności notabli (z Ministerstwa Kultury i Sztuki: pani minister prof. M. Omilanowska, były minister B. Zdrojewski, wiceprezydent Wrocławia A. Grel, Marszałek Województwa Dolnośląskiego i wielu innych przedstawicieli kultury) nowy (odnowiony) budynek: tj. Pawilon Czterech Kopuł

(proj. Poelziga) z przeznaczeniem na Muzeum Sztuki Współczesnej. Ma w nim być pomieszczona głównie kolekcja Muzeum Narodowego, zgromadzona przez byłego jego dyr. M. Hermansdorfera, który nb. nie przybył na uroczystości. Zbojkotował je, tak jak i prezydent miasta – R. Dutkiewicz. Oto jak polityka „szkodzi” sobie i kulturze; tacy już jesteście, pełni uprzedzeń, zawiści itp.

28.09

Spotkanie z Bogusławem Klimsą w jego „niedokończonym” domu na Karłowicach. Stan ten jest w jakiejś mierze wyrazem artystowskiej natury właścicieli, bowiem nie o pieniądze (na wykończenie domu) tu chodzi. Klimsa to jeden z legendarnych już ludzi pokolenia „samoistnych” twórców wrocławskiego środowiska: samookucyjny muzyk, kompozytor, współpracujący z teatrami („Gest”, „Kalambur”), potem długoletni pracownik Polskiego Radia we Wrocławiu, uczestnik chyba wszystkich, z obszaru studenckiej kultury, przedsięwzięć i jej promotor. Obecnie – już na emeryturze – przygotowuje i wydaje publikacje poświęcone ważnym zjawiskom w kulturze Wrocławia; wydał wraz z Wojtkiem Siwkiem monografię: *Jazz nad Odrą 1964–2014*, oraz indywidualnie przygotował trzytomową antologię muzyki rozrywkowej we Wrocławiu 1949–2000 (*I Jazz, II Rock, III Estrada*) oraz wiele innych wspominkowych publikacji czasów „złotych” w kulturze miasta. Szykuje już kolejne monografie muzyki wrocławskiej Planujemy współpracę publicystyczną.

29.09.

W mia ART GALLERY Andrzej Jarosz przygotował wystawę grafik Zdzisława Nitki pt. „Drzazgi i zadziory”. Głównie drzeworyty. Jarosz ze swym naukowym, chłodnym, analitycznym językiem – przygotował wcześniej album w serii ASP poświęcony Nitce – niezbyt chyba przystaje do ekspresyjnych, spontanicznych prac malarza. Nitka jest „dziki” w twórczości – co jest akurat przeciwieństwem jego spokojnej, melancholijnej w sumie natury. Ten miłośnik B. Dylana (autentyczny fan jego twórczości, jeździ na wszystkie koncerty w sąsiedztwie naszego kraju, sam byłem z nim w Dreźnie), choć również kocha Rolling Stonesów, otóż Zdzich maluje ostrymi pociągnięciami pędzla, wczuwając się i odnosząc do źródeł ekspresjonizmu (szczególnie niemieckiego), zaś w grafice – drzeworytach tnie piłą mechaniczną po drewnianych płytach, „rzeźbi” w zasadzie kreski, linie drapieżne i rozrywane włókna płyt – by potem odbijać je w monotypach – kolorowych odbitkach, wyraźnie odróżniających się między sobą. Tu Nitka łączy niejako gest (performatywny) z efektem odbitym na papierze – pracą syntezującą jakby dwa wektory jego twórczej aktywności.

1.10.

Początek kolejnego roku akademickiego; na Akademii inauguracja przewidziana jest dopiero na poniedziałek (5.10.). Do inauguracji szykuje się całe środowisko szkół artystycznych, które odnotowuje już spadek liczby studentów, szczególnie na studiach płatnych. To efekt niżu demograficznego. Ja jeszcze utrzymuję się w grupie wykładowców (na umowę o dzieło), ale męczy mnie to, bo zabiera czas, który – czuję to – powinienem wreszcie poświęcić na przygotowanie zbiorów esejów o fotografii i malarstwie. A także ciągle „leżą” tomiki poetyckie – w rękopisie – niedokończone.

O dziwo, już 1 października studenci (wprawdzie wieczorowi, czyli płatni) przyszli na zajęcia. Nigdy to się wcześniej nie zdarzyło. Zwykle na ASP od jednego do dwóch pierwszych tygodni trwał tzw. „rozruch” uczelni: uzgadnianie terminów zajęć (bo plany są pogmatwane, zajęcia nakładają się itp.).

2.10.

W muzeum miejskim „Pałac Królewski” wielka wystaw ze zbiorów prywatnych (kolekcjoner J. Łozowski) pt. „Arcydzieła malarstwa polskiego z przełomu XIX i XX wieku”. Na wystawie znalazło się ok. 70 prac, m.in. dzieła takich mistrzów jak: O. Boznańska, J. Chełmoński, J. Cybis, J. Fałat, A. Gierymski, A. Karpiński, J. Malczewski, T. Makowski, J. Pankiewicz, Z. Stryjeńska, Z. Waliszewski, S. Witkiewicz, L. Wyczółkowski czy S. Wyspiański. Kolekcja godna niejednego muzeum. Tłumy na wernisażu, publiczność tak liczna, że dzieł nie widać i nie czas na refleksję. Trzeba być ponownie na wystawie! Łozowski pielęgnuje rodzinne tradycje kolekcjonerskie, zaczął, po namowie ojca, już w wieku lat szesnastu, samodzielnie podejmując decyzje zakupowe.

3.10.

W Galerii „Entropia” Andrzej Mitan ze swymi „dziełami”; są to „płyty bezdźwięczne i onomatopeiczne”. To już klasyk naszego awangardyzmu – niekonwencjonalny dźwiękowy performer, wpisujący się w doświadczenia ruchu Fluxus, aranżer i pomysłodawca inicjatyw artystycznych. „Stary Hippis” – tak go widziałem. Teraz przedstawiony na fotografiach Czesława Chwyszczuka – jako uczestniczący w latach 70. w nurcie sztuki studenckiej – niezależnej. Ciągłe aktywny „piękny” Człowiek. Pisaliśmy o jego postawie w „Formacie” (Domanowska, Śmigiełski).

5.10.

Inauguracja roku akademickiego w wydaniu trzech uczelni artystycznych: plastycznej, muzycznej i teatralnej. Uroczystość z wręczeniem studentom (wybranym) indeksów I roku, dyplomów z wyróżnieniem dla absolwentów i nagrodami oraz medalami dla zasłużonych pracowników. Przemówienia, podsumowania... dłużyzny. No i jako clou doktorat h.c. dla Bogdana Zdrojewskiego od ASP. Znów długa laudacja i później niezbyt dokładny (w liczbach) wykład laureata: mówił o finansowaniu kultury w Polsce i Europie, zrealizowanych inwestycjach. Doktorat Zdrojewskiemu należał się ze wszech miar; jego zasługi, dla wspierania wszystkich uczelni artystycznych w kraju, są oczywiste, że sfinalizowała ten doktorat wrocławska ASP – też słusznie. No i oczywiście zorganizowano przy tej okazji wystawę fotografii laureata w Galerii Neon przy ul. Traugutta. Okazuje się, że były minister kultury, a obecnie europoseł, od lat pasjonował się fotografią i raczej amatorsko (ale w dobrym tego słowa znaczeniu) utrzymywał w różnych miejscach wizerunki ludzi przy pracy, odpoczynku, na ulicy itp. – to taki rodzaj zapisu antropologicznego (wszak jest z wykształcenia kulturoznawcą i filozofem). Fotografował także ludzi z aparatami – czyli samych fotografów. Andrzej Bator – który z ramienia ASP przygotował tę wystawę – stanął na wysokości zadania, eksponując walory tej fotografii. I choć nie

pretenduje ona raczej do rangi fotografii artystycznej, to jednak daje dowód wyczucia, wrażliwości i pasji jej autora. To ciekawe, że minister, który na różnych wyjazdach zagranicznych był nie tylko urzędnikiem państwowym, ale był także – prywatnie – pasjonatem tej sztuki. Sam zresztą podkreślił rangę fotografii – uważając ją za równoprawne medium dzisiejszej twórczości. I za to choćby – szacunek! Przy tej okazji (uroczystości) objawiło się spore grono różnej maści polityków, VIP-ów itp., którzy chcieli i pokazali się w trakcie uroczystości, gratulując laureatowi, poświadczając swoje zainteresowanie osobie doktorusa, a przy okazji zaznaczając swoją obecność w zbliżających się wyborach do sejmu (to kandydaci z partyjnych list wyborczych, np. K. Mieszkowski i inni politycy PO...).

7.10.

Nasila się histeria przedwyborcza: PiS przerzuca się obietnicami z PO (choć to ostatnie – jak zwykle – ostrożniejsze), a do tego doszła ze swymi propozycjami Zjednoczona Lewica, lansująca B. Nowacką, będącą dość rozsądną (w niektórych ofertach). Ujawnił się J. Kaczyński ze swoją wizją „kaczystanu” (jak to ujął w komiksach R. Dąbrowski) na modłę węgierską, ze zmianą konsytuacji, pełnią władzy i narzuceniem jednej „słusznej” narracji państwowo-narodowej, niechętniej wszystkim, w tym UE, ale z dominacją Kościoła. Czemu miałyby pomóc prezydent A. Duda? Do tego „puścił bekę” A. Macierewicz, wygadując swe fanatyczne herezje nt. zamachu smoleńskiego, konieczności rozliczenia jego „sprawców” (nazwiska już są), wyczyszczenia polityki z dawnych „SB-owców” (WSI) i agentów obcych imperiów jak Tusk, Komorowski, Sikorski i inni. Czyżby „nauka” dwóch lat rządów PiS-u poszła aż tak w niepamięć? Młodzi PiS-u się nie boją. No więc Polak – zmyślniejsze po szkodzie, czy nie? Tego chyba nie unikniemy; tej kolejnej pisowskiej „lekcji”.

9.10.

Poezja ma do wyboru: milczenie albo krzyk, wyciszenie (w estetycznym wyrazie i celebrowaniu prawdy) albo, z traumy wynikające, dawanie świadectwa przeżytej „śmierci”; w bólu, w rozpacz, w poddaniu się losowi. Różne tu dowody: Herbert, Zagajewski albo Celan, Miłosz... Ale to „albo” nie jest dzielące, ono ma w sobie to, co jest pomiędzy, pośrodku; co jest i bólem, i świadomością klęski, ale także prawdy piękna, jest emanacją duszy i wyzwoleniem (wolnością) myślenia. To „pomiędzy” traumą a ekspiacją radości, zwykłości i zgody. Na co? Na siebie, na taki, a nie inny stan ducha i świadomości. Na poezję, która może jest...

11.10.

Spotkanie w biurze poselskim (europośla) Bohdana Zdrojewskiego w sprawie finansowania „Formatu”, tj. ewentualnego wpisania go w program Instytutu Książki. B. Zdrojewski przychylny, ale czy zdoła jeszcze cokolwiek ustalić przed końcem tego miesiąca i utraty „władzy” przez PO? Wątpliwe, ale żyć trzeba nadzieją, że może się uda. Wspierają moje zabiegi: A.P. Bator (redaktor „Dyskursu”) oraz I. Wójcik, na razie p.o. dyrektora OKiS-u, ale być może dyrektor tej Instytucji, która już jako współwydawca może w tym zamierzeniu uczestniczyć – co ze względów organizacyjnych i finansowych byłoby dla pisma nader korzystne.

12.10

Literacki Nobel dla Swietłany Aleksijewicz – Ukrainki, Białorusinki? – piszącej w języku rosyjskim, której „literatura” jest w zasadzie prawdą reportażu (jak u Kapuścińskiego), prawdą o faktach i życiu ludzi z obszarów dawnego ZSRR. No ale nie czytałem żadnej jej książki (kilka było wydanych) i tyle o tym wiem, co z rozmów z laureatką w „Gazecie Wyborczej”. No i z tego, co mówi, wnioskuję, że to ważna literatura, bo zmagając się z problemem zła w człowieku, że odnosi się do traumy historii (represji w ZSRR), trwałej w ludziach postsowieckich – mentalności do dzisiaj „nieprzepracowanej” w naszym regionie. To chyba argumentacja dla mojego wstrętu wobec polityki i polityków. I obawy przed tym, co nas czeka, gdy PiS dojdzie do władzy. Piszą o tym M. Król i inni. Ale czyż nie jest to głos wołających na pustyni, bezradny wobec ogromu kłamstwa i cynizmu: głos mało słyszalny? Król mówi o kryzysie demokracji i zbliżającej się wojnie, która stanie się rodzajem nieuchronnego fatum, przeciw któremu niewiele można zdziałać. Ten cień zgrozy swym zasięgiem przykrywający widzenie i przyzwoitość.

13.10.

Andrzej P. Bator z zaangażowaniem lansuje twórczość młodych artystów z uczelni. Niewątpliwie chce on być „ojcem chrzestnym” nowych inicjatyw, które wyrosłyby z przedsięwzięcia „Made in foto” – serii wystaw absolwentów fotografii w ASP – gdzie jest (i był) on inicjatorem rozwoju tej specjalności w Akademii i promotorem wielu fotografów. Niestety, wystawa – już kolejna – z cyklu „Made in foto”, obecnie zlokalizowana w Sky Tower w jej części handlowej, jest raczej w złym tego słowa znaczeniu nieskoordynowaniem dzieł (ich subtelności) z agresywną, konkurencyjną, reklamami i witrynami, przestrzenią handlową i komercyjną tej galerii. Wystawa w tym miejscu zupełnie się nie broni, jest niejako „bezradna”, no i do tego miejscami ocenizowana „listkami” przyklejanymi do aktów! To zdumiewające, jaki pruderyjny i nieświadomy tradycji sztuki jest personel zarządzający przestrzenią handlową Sky Tower. Szkoda wysiłków „Made in foto” – bo znaleźć można w tym cyklu wiele bardzo interesujących prac.

15.10.

Skąd się biorą te zastępy nienawistników, którzy w imię fałszywie pojętej obrony polskości obrażają i sieją grozę wpisami internetowymi, swoistym linczem (hejt), jak to ma miejsce w przypadku ataku na Olę Tokarczuk za jej wypowiedzi o historii nietolerancji w Polsce, o stosunku do innych. W istocie ta masa oszczerstw, nawet zagrożenie śmiercią, właśnie dowodzi, że Tokarczuk ma rację; tacy jesteśmy w jakiejś części społeczeństwa: ciemni, zakompleksieni, tacy egoistyczni, wszędzie widzący wrogów i zagrożenie. Niestety, przykład idzie z góry – to głos i nienawiść polityków, tych z „prawej” strony; to są wzorce, które podchwytyją bezrefleksyjne tłumy narodowców, kiboli i oszołomów „patriotów”. Tym bardziej trzeba będzie sięgnąć po *Księgi Jakubowe* – za którą to powieść Tokarczuk dostała Nagrodę Literacką „Nike” – i w kontekście tamtej historii, właśnie dzisiaj wypowiedziała się o nietolerancji wobec Żydów, wobec Inných.

→

Oleksandr Nykytiuk, *Immanuel Kant*, z serii *Filozofia XXI w.*,
akwarela i ołówek na papierze, 75 × 55 cm, 2023



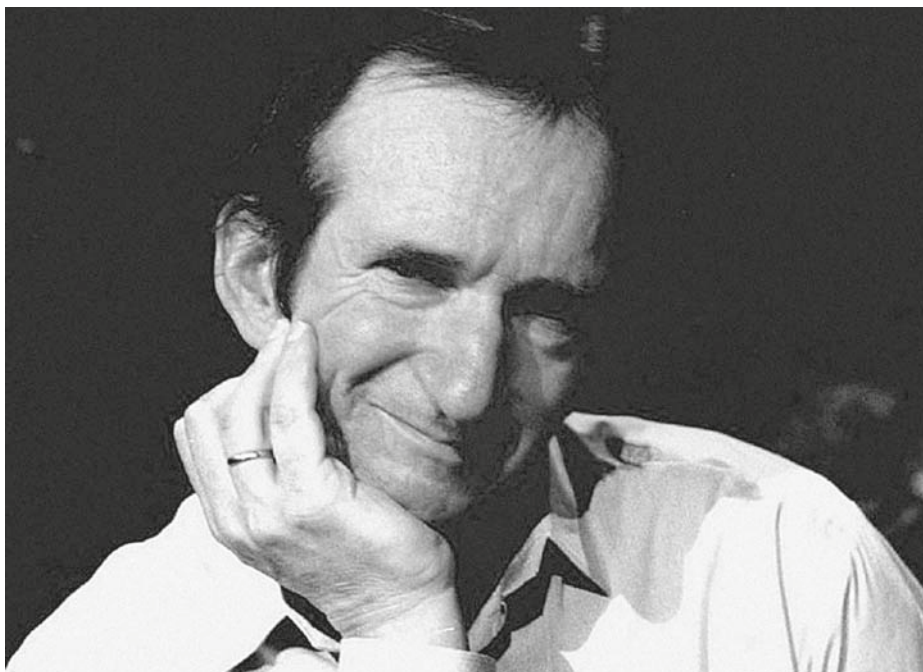
Gdyby nie Wanda... czyli bajka o Janku Kaczmarku

Dawno, dawno temu pewna urodziwa krakowianka Wanda odrzuciła zaloty niemieckiego księcia Rydygiera, mimo iż zagroził spaleniem i splądrowaniem grodu Kraka, jak niewiasta nie będzie mu uległa... Ta dzisiaj już zapomniana legenda posłużyła studentowi Jankowi Kaczmarkowi za kanwę tekstu piosenki. W 1967 roku, podczas DNI PAŁACYKU zaśpiewał swój song na scenie klubu wrocławskich studentów. Intrygujące wykonanie (akompaniował sobie na gitarze akustycznej) oraz proste, żołnierskie słowa owej piosenki zostały zapamiętane. Ze względu na nowatorską wykładnię tego wydarzenia sprzed lat, zrobiły na obecnych piorunujące wrażenie. Kaczmarek zdemaskował i wyśpiewał dotąd ukrywane przez historyków fakty personalnej niechęci Wandy do Niemca. Jury KONKURSU PIOSENKI STUDENCKIEJ WE WROCŁAWIU bezapelacyjnie przyznało występującemu wyróżnienie. Wykonanie było tak ekscytujące, że dziennikarz popularnej popołudniówki – WIECZORU WROCŁAWIA – w swej notatce z imprezy mylnie podał imię laureata. Poprawne było tylko nazwisko – KACZMAREK. Wielu wrocławian, będących wtedy w PAŁACYKU, po raz pierwszy mogło zapoznać się z twórczością oraz estradowymi umiejętnościami przyszłego giganta kabaretowej piosenki. Jury przewodniczył Andrzej Waligórski.

Dla podkreślenia wagi historycznej prawdy przytoczę fragment owej piosenki (cytat pochodzi z książki Jerzego Skoczylasa ELITA I STUDIO 202):

Panna Wanda, krakowianka, miała chłopca z drewna,
No i pewnie z tej przyczyny była taka pewna.
Obojętnie kraj kochała i szewczyka Skubę.
Który ponoć zabił smoka przez techniczny nokaut,
Starał się o Wandę niemiecki generał,
Który miał u boku szablę i futeł...

Kaczmarek w książce swojego autorstwa ELITA, MOJE ŻYCIE, MOJA PRZYGODA, opisując swój estradowy debiut, mylnie podał jego rok (podobnie jak wyżej przywołany dziennikarz zmienił imię Kaczmarka). Nie takie pomyłki występują w historii. Prostuję. Nie był to rok 1969, lecz rok 1967. Podczas konkursu oceniano dwie



Jan Kaczmarek; zdjęcia ze stron 327–332 pochodzą z archiwum autora tekstu; redakcja FL dziękuje za ich udostępnienie

kategorii. Osobno autorów piosenek i osobno pod kątem estradowo-artystycznych umiejętności wykonawców. W mej pamięci utkwił zwłaszcza ci, którzy zgłosili do konkursu piosenki z muzyką mojego autorstwa. Jedną z nich, NASZE PORY ROKU z tekstem Piotra Załuskiego (wykonana przez Marię Alaszewicz), otrzymała I nagrodę. Odszukałem wręczony mi wówczas dyplom z napisem: Wrocław, PAŁACYK, rok 1967. Ten rok to właściwa data debiutu Kaczmarka.

Zrzędzeniem losu po raz pierwszy, spłotły się wtedy ze sobą dwa nazwiska przyszłych mistrzów kabaretowej piosenki, autorów licznych wierszy, satyrycznych tekstów i radiowych felietonów. Nie przypuszczano wtedy, że w polskim panteonie narodowych prześmiewców, wśród podobnych gwiazd, zajmą należne im dzisiaj czołowe miejsca. W mowie potocznej cytowane są zwroty z ich utworów, jak choćby: *cysorz to ma klawe życie oraz wyżywienie klawe* (Andrzej Waligórski), *marzy mi się kurna chata, do serca przytul psa czy czego się boisz, głupia?* (Jan Kaczmarek).

Będąc wśród widzów konkursu i słuchając piosenki o Wandzie, nie przypuszczałem, że nasze drogi kiedyś się zejdą, że do ponad czterdziestu tekstów Kaczmarka skomponuję muzykę i czasem wspólnie wystąpimy na różnych estradach.

Pierwszy raz spotkaliśmy się jesienią 1967 roku. Razem z kolegami z KABARETU OJCÓW (Lechem Ignaszewskim, Markiem Gołębiowskim, Leszkiem Niedzielskim i Andrzejem Leparskim) byliśmy uczestnikami studenckiego obozu artystyczno-wypoczynkowego. Zorganizowało go w Szklarskiej Porębie ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH dla członków grup artystycznych, głównie zespołu GEST z Wrocławia (Studencki Teatr Pantomimy). Codziennie, przez dwa tygodnie, kabareciarze oraz mimowie mieli ćwiczyć i przygotowywać nowe piosenki i skecze oraz



Od lewej: R. Gierczak, T. Drozda, J. Skoczylas, J. Kaczmarek, 1972

pantomimiczne układy. Zamiast tego wspólnie, w jesiennym słońcu byczyliśmy się na polanie, ćwicząc... grę w karty.

Z położonego opodal domu wczasowego codziennie dochodziły odgłosy śpiewu. Przebywał tam na innym ZSP-owskim obozie CHÓR POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ. Szybko doszło do spotkania obu studenckich grup. Podczas wspólnych tanecznych zabaw i licznych, rozrywkowych zgromadzeń zawiązywały się nowe znajomości. Wśród chórzystów, którzy w swych scenicznych strojach zawsze wyglądają podobnie, uwagę zwracał jeden z nich. Posiadacz nie tylko niebanalnej urody, ale także gitary. Dało się zauważyć, że zawsze coś podśpiewywał, brzdąkając przy tym na owej gitarze. Repertuar posiadał niezbyt bogaty. Podczas prezentacji używał niewielu akordów (czytaj: dwóch, trzech, góra czterech harmonicznym funkcji). Akordy były powszechnie znane wśród studentów jako rajdowe. Przeważały chwytły: C-dur, G-dur, a-moll, d-moll. Byliśmy obcy już z niejedną akademikową i klubową sceną, dlatego uważaliśmy ten rodzaj śpiewu, wraz z rajdowym repertuarem, co najmniej za obciach. Stanowiliśmy kabaretowo-intelektualną, studencką elitę, więc do bliższej znajomości i spoufalenia z gitarzystą-balladzystą doszło dopiero w końcowej fazie pobytu.

Kaczmarek był zafascynowany jednym z naszej paczki, Markiem Gołębiowskim. Obdarzony wieloma talentami Marek był nie tylko znakomitym mimem, ale i świetnie śpiewał, ze wspaniałą mimiką oraz scenicznym ruchem interpretował kabaretowe piosenki. Mało tego, grał także na fortepianie, komponował oraz był, nie tylko w kręgach studenckich, uznanym konferansjerem.

Kaczmarek w swojej książce ELITA, MOJE ŻYCIE, MOJA PRZYGODA pisał:

W latach sześćdziesiątych istniał przy klubie Pałacyk jeden z najlepszych kabaretów studenckich, noszący nazwę Kabaret Ojców. Głównym autorem świetnych tekstów, zwłaszcza tekstów piosenek, był polonista Lech Ignaszewski. W programach Kabaretu Ojców śpiewał piosenki z własnymi tekstami i bardzo dobrą muzyką Bogusława Klimsy. Głównymi aktorami Ojców byli Leszek Niedzielski i Marek Gołębiowski.

Zawodową drogę artyści i twórcy zaczął Kaczmarek jako współzałożyciel studenckiego kabaretu ELITA. Odbędzie się to podczas występu w klubie Spółdzielni Spożywców SPOŁEM we Wrocławiu. Według wspomnień Tadeusza Drozdy właśnie tam kabaret oficjalnie przyjął nazwę – ELITA. Przypomnę, że dawno nieistniejący klub mieścił się na czwartym piętrze w charakterystycznym, dobrze znanym wrocławianom, narożnym budynku u zbiegu ulic Świdnickiej i Podwale. Nosił nazwę RELAKS.

ELITA, po dołączeniu na stałe do niej Jerzego Skoczylasa, rozwijała się lawinowo, zwłaszcza że dalsze losy kabaretu w swoje ręce wziął Tadeusz Drozda. Wkrótce pojawił się w grupie Roman Gerczak. W takim, podstawowym składzie, plus aktualny w danym momencie akompaniator, ELITA przez około dwa lata szalała na niezliczonej ilości imprez studenckich, z FAMĄ, FESTIWALEM PIOSENKI STUDENCKIEJ W KRAKOWIE, GIEŁDĄ PIOSENKI STUDENCKIEJ w Opolu włącznie. Zawsze była tam, gdzie tylko nadarzyła się okazja do prezentacji aktualnego programu kabaretu.

W tym ansamblu autorem najbardziej rozpoznawalnych tekstów i piosenek był Kaczmarek i jego piosenka KURNA CHATA. Dzięki niej w 1971 roku ELITA znalazła się w gronie najpopularniejszych polskich kabaretów. A zaczęło się to, kiedy Andrzej Waligórski do wrocławskiego KLUBU MUZYKI I LITERATURY zaprosił na występ zespołu znamienitych gości. ELITA pokazała swój program o tytule SPRASOWANE TWARZE. Wśród zaproszonych (poza Waligórskim) znaleźli się Olga Lipińska i dyrektor IMPARTU, Marian Wawrzynek. Lipińska, dama polskich kabaretów, reżyserka telewizyjnych widowisk, była ważną decydentką kabaretowej sceny. Po spotkaniu zdecydowała o udziale wrocławskich studentów z piosenką KURNA CHATA w kabaretonie i koncercie debiutów podczas IX Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Jury przyznało Kaczmarkowi jedną z trzech głównych nagród, Nagrodę Prezesa ds. Radia



Kabaret „Elita” w pełnym rozkwicie; od lewej: A. Waligórski, J. Skoczylas, J. Kaczmarek, L. Niedzielski, L. Ignaszewski, W. Plaskota, T. Drozda

i Telewizji. Był to olbrzymi sukces. Nagroda wynosiła 10 000 złotych. Dzięki radiowym i telewizyjnym relacjom natychmiast wzrosła popularność Kaczmarek i ELITY.

Po tym sukcesie dyrektor IMPARTU, instytucji odpowiadającej za estradowe koncerty w mieście, złożył kabaretowi intratną propozycję. Zapewnił opiekę i organizację estradowych koncertów, także reklamę i druk plakatu. Był jednak pewien szkopuł. Członkowie zespołu mogli otrzymywać honoraria za występ, tak zwane „amatorskie”, czyli niewielkie. Nie posiadali obowiązujących, estradowych uprawnień zawodowych, pozwalających na otrzymywanie za występ wyższych, zawodowych honorariów. Szybko jednak załatwiono sprawę w Warszawie i MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI odpowiednie papiery kabaretowi wydało. Można było ruszać w trasy. Szybko powstał kolejny problem. Okazjonalne występy, które dotąd ELITA realizowała, odbywały się głównie w środowiskach studenckich. Charakteryzowały się dość dużym luzem. Zdarzało się, że nie przestrzegano godziny początku przedstawienia. Bywało, że skład występujących na scenie artystów różnił się od tego, jaki na afiszu podano. Niby drobiazgi, ale reklamowe anonse oraz praca zawodowego artysty zobowiązywały. IMPART wymagał od artystów rygorystycznego przestrzegania umów, a u studenckich artystów bywało z tym różnie. Jeden mógł wystąpić w danym terminie, drugi nie bardzo, miał wtedy egzamin. W garderobie tuż przed występem, z radości po zdanym egzaminie... no to szybko, jeszcze po jednym piwku... a potem... jedziemy bez cenzury, lecimy na całość.

Sprawę rozwiązał – w zespole najbardziej stanowczy – Tadeusz Drozda. W swej książce Kaczmarek tak to opisał: *Drozda łakomym okiem patrzył na Kabaret Ojców. Krążył dookoła niego jak jastrząb! Najpierw „wyrwał” z niego Leszka Niedzielskiego...* Próbował też Marka Gołębiowskiego, lecz nie udało się go skaperować, bowiem wcześniej ulotnił się do Warszawy. Został filarem kabaretu STODOŁA. Dodam, że po roku w ELICIE znalazł się, kolejny po Niedzielskim, były „ojciec” – Lech Ignaszewski. „Niedziel” i „Ignac” już byli po skończonych studiach, chętni i gotowi do estradowej, systematycznej, zwłaszcza dobrze płatnej pracy.

W 1972 roku zaczęła się przygoda wrocławskich artystów kabaretowych z Programem III Polskiego Radia. Na antenie, jako część cotygodniowej audycji o nazwie ILUSTROWANY TYGODNIK ROZRYWKOWY, pojawił się MAGAZYNEK KABARETU ELITA. Na jego potrzeby powstało blisko sto piosenek, z których wielu autorem tekstów i współwykonawcą był Jan Kaczmarek. Przez trzy lata istnienia ITR-u satyryczne produkcje wrocławian ponad osiemdziesiąt razy gościły w kultowej dzisiaj audycji Programu III. Ugruntowane miejsce na radiowej antenie, połączone z regularnymi występami estradowymi (zwykle około dwudziestu pięciu w miesiącu), zadecydowało, że ELITA stała się zespołem rozpoznawalnym oraz sławnym. Dołączyła do polskiej, kabaretowej czołówki.

Andrzej Waligórski (w 1973 roku) zaproponował Kaczmarkowi etatową pracę w REDAKCJI ROZRYWKI POLSKIEGO RADIA we Wrocławiu. Tym sposobem Janek znalazł się w zespole, który od 1956 roku nieprzerwanie tworzył popularną satyryczną audycję radiową – STUDIO 202.

Po niedługim czasie do „zespołu wrocławskiej radiowej rozrywki” dołączyli: Włodzimierz Plaskota – akompaniator, a po nim kolejno Leszek Niedzielski, Jerzy Skoczylas oraz Stanisław Szalc. Odtąd ELITA, razem z Andrzejem Waligórskim,

opanowała w dziedzinie rozrywki wrocławską antenę radiową. Powstało wiele wspaniałych skeczy i piosenek, a współpraca, głównie Jana Kaczmarka, z legendarnym magazynem satyrycznym Programu III Polskiego Radia – 60 MINUT NA GODZINĘ przyniosła artystom ogólnopolską, „antenową rozpoznawalność”.

Radiową specjalnością Janka były piosenki. Nagrywał je razem z kolegami z kabaretu albo w autorskim wykonaniu. Czasem tylko z akompaniatorem, lecz często podczas nagrań towarzyszyła mu instrumentalna sekcja. Dał się też poznać jako współwykonawca licznych skeczów. Miniśluchowisko Z PAMIĘTNIKA MŁODEJ LEKARKI było popularną pozycją programową STUDIA 202. Autorka, Ewa Szumańska, wcielała się w rolę młodej lekarki przyjmującej pacjentów. Jednym z nich najczęściej był Jan Kaczmarek. Mnóstwo zabawnych sytuacji, nonsensowne dialogi, absurdalna treść, drwina z języka nowomowy, niecodzienne skojarzenia oraz parodia służby zdrowia – to stałe elementy audycji. Mistrzowskie teksty i aktorstwo tej pary zapisało się na stałe w annałach radiowej twórczości.

Z każdym rokiem umacniała się autorska i sceniczna kariera Kaczmarka. Stał się wykonawcą niezwykle popularnym. Na estradach miast polskich oraz podczas licznych programów telewizyjnych występował nie tylko z ELITĄ, ale i z innymi kabaretowymi artystami. Często prezentował swój recital, w którym akompaniatorem był Marek Materna. Z własnym recitalem oraz z kolegami z ELITY ruszał na podbój estrad, klubów i scen polonijnych. Niemcy, USA, Kanada, Austria, RPA, Australia... W 1980 roku w czasie XVIII Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu wystąpił obok Zenona Laskowika, Bogdana Smolenia czy Krzesimira Dębskiego w legendarnym widowisku kabaretu TEY z Poznania – Z TYŁU SKLEPU. Kiedyś próbował wszystkie występy zliczyć i wyszło ponad sześć tysięcy estradowych koncertów i przeszło dwieście pełnospektaklowych programów telewizyjnych...

W 1991 roku w wytwórni POMATON Janek nagrywa swą pierwszą płytę CD, o tytule NASZA EUROPA – PIOSENKI JANA KACZMARKA (numer katalogowy O16). W folderze dołączonym do płyty pisał:

To, co drogi słuchaczu, trzymasz w tej chwili w swej szanownej ręce, która to ręka wyłoży (lub nie wyłoży) odpowiednią kwotę pieniężną i wejdzie w ten sposób w posiadanie tego przedmiotu zwanego compact dyskiem, jest moją pierwszą w życiu płytą. Nie myślałem „w życiu”, że kiedyś do tego dojdzie. A już w najśmielszych wyobrażeniach nie przypuszczałem, kiedy parę lat temu trzymałem po raz pierwszy w życiu to lustro zwane „laser dysk” (było to w Chicago), że i moje piosenki zostaną kiedyś zapisane w technice cyfrowej (digitalowej) na płycie kompaktowej...

Młodszym czytelnikom mojej opowieści o Kaczmarku chcę przypomnieć, że pierwszą płytę CD w naszym kraju (z muzyką Chopina i Wieniawskiego) nagrano w 1988 roku, dlatego nie należy się dziwić entuzjazmowi Janka. W ślad za tą płytą poszły kolejne CD, nagrywane z Elitą cykle kaset magnetofonowych, a z biegiem lat i rozwojem techniki zapisu liczne płyty DVD z zapisami kabaretowych koncertów i programów telewizyjnych.

W 1974 roku Kaczmarek napisał sztukę o tytule SZKLARZ, która była dwukrotnie wystawiona: przez SCENĘ MAŁYCH FORM – IMPART oraz w TEATRZE

KAMERALNYM przez OKiS. W licznych teatrach grane były spektakle jego autorstwa: TYTANIK (1981, Teatr Współczesny we Wrocławiu), LEKCJA (1983, Teatr Współczesny we Wrocławiu), SZUKAM PRACY (1985, Teatr Lubuski w Zielonej Górze), SZUKAM PRACY II (1986, Teatr Polski we Wrocławiu), FIN DE SIÈCLE (1994, Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu), ALBUM RODZINNY (2007, Teatr Ateneum w Warszawie), ŚPIEWNIK DOMOWY JANA KACZMARKA (2009, Teatr Polski w Szczecinie).

W 1991 roku podczas 12. PRZEGLĄDU PIOSENKI AKTORSKIEJ we Wrocławiu postanowiono jeden z festiwalowych koncertów poświęcić twórczości Jana Kaczmarka. Odbywał się w gmachu WROCŁAWSKIEJ OPERY i był transmitowany na antenę ogólnopolską TVP. W dwuczęściowym spektaklu zatytułowanym JAK WYJŚĆ Z TEGO LASU wraz z Janem Kaczmarkiem brał udział kwiat śpiewającego, wrocławskiego aktorstwa teatrów POLSKIEGO oraz WSPÓŁCZESNEGO, a także goście: Elżbieta Okupska, Krystyna Sienkiewicz i Kazimierz Kaczor. Aktorzy wykonywali piosenki Kaczmarka, a on, zarówno w pierwszej, jak i drugiej części koncertu, w minirecitalach prezentował swoje najbardziej popularne piosenki oraz monologi. Na starannie wybrany przegląd twórczości Kaczmarka entuzjazmem i brawami reagowała widownia. Niespodziewanie zaistniał pewien zgrzyt. Janek wykonując premierowo piosenkę DOBRY WUJEK, niespodziewanie zapomniał tekstu. Mocno zdenerwowany kontynuował występ, nucąc jedynie melodię. Od czasu do czasu wtrącał fragment tekstu lub pojedynczy wers. Kiedy dobiegł do końca frazy, po dłuższej chwili milczenia cicho powiedział: „Koledzy mówili... nie umiesz, nie rób...”, a po dłuższej chwili zszedł powoli ze spuszczoną głową ze sceny.

Nikt ze znajdujących się w sali opery sześciuset widzów nie zdawał sobie sprawy (poza kolegami z kabaretu), że to zdarzenie było jakże widocznym, kolejnym



„Studio 202” Polskiego Radia Wrocław; od lewej: J. Dębski, W. Plaskota, E. Szumowska, J. Kaczmarek, M. Cholewa, A. Waligórski

objawem śmiertelnej choroby artysty, która zaatakowała Janka z początkiem lat 80. Mimo powtarzających się jej symptomów artysta intensywnie kontynuował pracę autora i estradowca, a powtarzające się coraz częściej objawy choroby Parkinsona lekceważył, maskował i ukrywał. Zdarzało się wielokrotnie, że obserwujący nieskoordynowane, dziwne ruchy artysty sądzili, że jest on i występuje pod wpływem alkoholu. Za namową Kaczmarek podjął decyzję o operacji wszczęcia do mózgu stymulatorów, co przyniosło mu chwilową poprawę zdrowia. W roku 2000 został ponownie operowany, jednak po tym zabiegu stan zdrowia, po krótkiej poprawie, zaczął się pogarszać. Nadal starał się być aktywny, głównie pisał, ale występować na estradzie już nie mógł. Unieruchomiony, poruszający się jedynie na wózku inwalidzkim, wymagał całodobowej medycznej opieki. Po niedługim czasie musiał zostać umieszczony w specjalnych placówkach z personelem stale opiekującym się osobami z takimi schorzeniami.

Kabaretowi artyści starali się pomóc koledze. Tadeusz Drozda sprezentował Jankowi nowoczesny, składany, lekki, aluminiowy wózek inwalidzki. Zenek Laskowik, odwiedzając Kaczmarka, podarował mu (będący wtedy nowością) niewielki laptop. POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE postanowiło wydać nuty z tekstami wybranych piosenek Jana Kaczmarka, a w 2003 roku doprowadziłem do wydania kompletu płyt z jego piosenkami. Nagrania pochodziły z wielu źródeł, najwięcej z archiwum POLSKIEGO RADIA we Wrocławiu, zbiorów autora oraz moich. W 2004 roku, w ramach mecenatu SAMORZĄDU WROCŁAWIA, wydawnictwo LUNA wydało box o tytule JAN KACZMAREK – ANTOLOGIA. Zawiera trzy płyty CD, część 1 – PIOSENKI ZAŚPIEWANE, część 2 – CO ZA CZASY, część 3 – SERWUS PANIE JANEK. Okładkę każdej z płyt zdobił portret Kaczmarka, kolorowa grafika autorstwa Jana Sawki, naszego wspólnego wrocławskiego kolegi. W 2005 roku wydawnictwo MTJ w serii KOLEKCJA BARDÓW wydało pod tytułem 53 x JAN KACZMAREK reprint tych płyt. Wydawnictwo LUNA ponownie wydało w 2008 roku ten zbiór piosenek wrocławskiego artysty.

Pisząc do tych wydań tekst i opis utworów na tych płytach, poprosiłem przyjaciół Jana Kaczmarka, by o swoim koledze „z branży” napisali kilka słów. O tym, jak przez lata razem występowali na różnych estradach, w telewizji i radiu, koczowali i palili papierosy w garderobach, pili wódkę... Na mój apel odpowiedzieli: Andrzej Zaorski, Janusz Rewiński, Krzysztof Piasecki, Marcin Wolski, Wojciech Młynarski, Ryszard Marek Groński, Zenon Laskowik, Tadeusz Drozda, Jacek Fedorowicz, Marcin Wolski, a w imieniu kabaretu ELITA – Jerzy Skoczylas. Fragmenty tych wspomnień znalazły się w płytowym folderze.

Dzisiaj mamy wiele innych znaków utrwalających pamięć o wrocławskim artyście. SALA KONCERTOWA Radia Wrocław otrzymała imię Jana Kaczmarka. W ścianę domu w Lwówku Śląskim (w którym się urodził) wmurowano w 2009 roku pamiątkową tablicę. W Legnicy, gdzie od 1977 roku rokrocznie odbywa się festiwal i konkurs SATYRYKON, uhonorowano go w 2012 roku specjalną tablicą na legnickim deptaku. We wrocławskim Parku Południowym znajduje się alejka-ulica nazwana w 2013 roku imieniem artysty. W 2015 roku nazwano jego imieniem Zespół Szkół nr 11 we Wrocławiu.

Jan Kaczmarek zmarł 14 listopada 2007 roku we Wrocławiu.

The Mouse That Roared¹

Władzę ma ten, kto posiada wielką bombę. Takie przesłanie zdaje się mieć ów stary film, który właściwie z trudem się dzisiaj ogląda, ponieważ jest już tylko znakiem minionej epoki kina. Chociaż...

Obraz Jacka Arnolda posługuje się humorem, którym dopiero w następnym dziesięcioleciu zaczęli nas bawić twórcy „Latającego cyrku Monty Pytona” czy już w nieco uproszczonej postaci Mel Brooks. Co jest śmieszniejsze, zostawimy kwestii gustu widzów, a bardziej może nas zainteresować – szczególnie w chwili obecnej – kwestia przedstawionej na ekranie światowej potęgi, jaką są Stany Zjednoczone A.D. 1959. Mocarstwa posiadającego (wtedy, jak i teraz) wielką bombę. Nie uchroniło to jednak tej potęgi przed mikroskopijnym wojskiem mikroskopijnego kraju, którego kilkunastu żołnierzy ubranych w średniowieczne zbroje napadło na USA, a nie dość na tym, bo wzięło do niewoli ważnych generałów i zawłaszczyło ową wielką (jak piłka do futbolu amerykańskiego) bombę.

Sądząc z tego, co dzieje się obecnie za oceanem, nie wykluczałbym i tej możliwości, jaką opisał Wibberley, choć bliższe są jednak scenariusze globalne wymyślone przez Orwella, szczególnie te dotyczące konfliktów między kontynentalnymi potęgami; konfliktów i sojuszy, sojuszy i konfliktów.

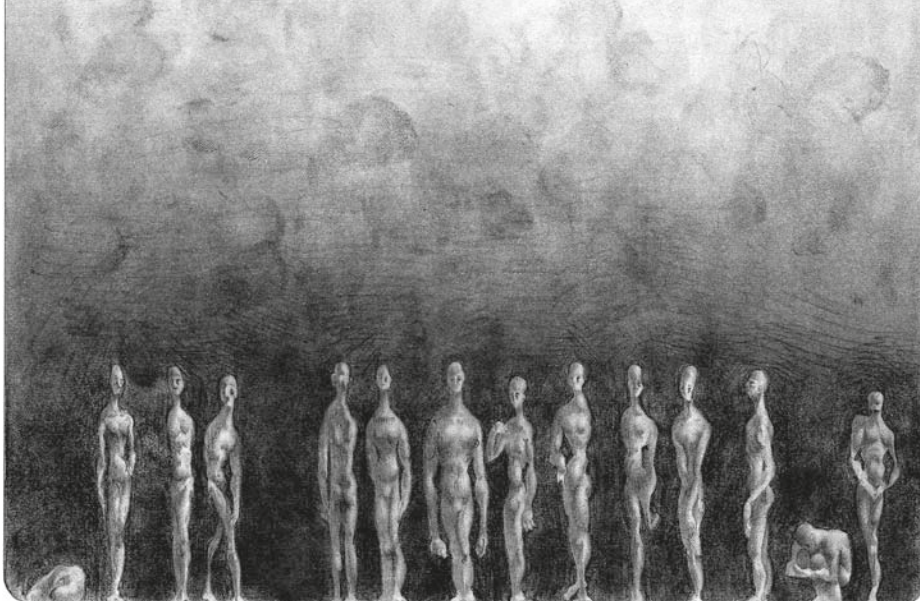
Peter Sellers, grający główną rolę w „Myszy...”, zagrał po dwudziestu latach w innym filmie, „Being There”², zrealizowanym na podstawie noweli naszego rodaka, któremu zarzucono – zresztą niesłusznie – plagiat powieści Dołęgi-Mostowicza. Temat stary jak świat; weźmy, powiedzmy, „Rewizora” Gogola. Oba teksty: „Wystarczy być” i „Kariera Nikodema Dyzmy” doskonałe, jak również doskonałe, a wręcz perfekcyjne okazały się ich ekranizacje.

Nie na miejscu byłoby przywoływanie akcji filmu (i książki). Zilustruje ją prosty wniosek, który można streścić następująco: *kiedy byłem dzieckiem, mówiono, że każdy może zostać prezydentem. Teraz, kiedy już jestem dorosły, mam pewność, że tak właśnie jest.*

Zapewne niewiele rozumu nam przybędzie od oglądania starych filmów. Co najwyżej dojdziemy do wniosku, że wszystko już kiedyś tam – dawno, dawno temu – wymyślono, a teraz czekają nas jedynie powtórki. Oczywiście nie tylko dotyczy to filmu, ale i wszystkiego innego, na przykład wojny, która – jak stwierdził pocziwy Carl von Clausewitz – nierozzerwalnie związana jest z polityką, a idąc dalej (a może

¹ „Mysz, która ryknęła” – brytyjska komedia filmowa z 1959 roku w reżyserii Jacka Arnolda. Ekranizacja książki Leonarda Wibberleya o tym samym tytule.

² „Wystarczy być” – amerykańska tragikomedialna filmowa z 1979 zrealizowana na podstawie powieści Jerzego Kosińskiego.



Kyrylo Orel, *Społeczeństwo*, grafit na papierze, 21 × 29,7 cm, 2023

bliżej), wojna jest sposobem na grożącą satrapom utratę władzy, w związku z tym prowadzona jest zawsze do końca, cokolwiek ten koniec mógłby oznaczać. Złupienie przez Prusaków Francji (1870/1871), będącej zawsze synonimem krainy płynącej miodem i mlekiem, czy zrównanie z ziemią Berlina (1945), tak pięknie opisywanego przez genialnego, choć już na dobre zapomnianego Theodora Fontanego. A jeśli już jesteśmy przy filmie, warto przypomnieć postać urodzonego w Suchoj Beskidzkiej Billy'ego Wildera, który wiele lat wcześniej, zanim pojawił się w Hollywood, pracował jako scenarzysta właśnie w Berlinie. Spod jego ręki wyszedł niezwykle fabularyzowany dokument „Ludzie w niedzielę”³, który mógłby być ilustracją do niektórych nowel czy powieści Theodora Fontanego, i nie ma nic do rzeczy, że dzieli je od siebie lat kilkadziesiąt, ponieważ był to wciąż ten sam Berlin. Szczególnej uwadze polecam „Rozdroża, bezdroża” („Irrungen, Wirrungen”) w świetnym tłumaczeniu Marii Kłos-Gwizdalskiej.

Wracając do Petera Sellersa, który zachwycał w roli Chance'a O'Grodnicka, to miał on jeszcze jeden epizod „bombowy” na ekranie, i to u samego Stanleya Kubricka⁴. Rzecz jasna, był to okres zimnej wojny, a grożąca zagładą świata bomba stanowiła wciąż nowość. Sellers, podobnie jak w filmie sprzed pięciu lat, grał kilka ról, co spychało obraz w stronę groteski, choć przedniej groteski. Pointą tym razem nie było rozładowujące sytuację wyjście myszy z wnętrza bomby, ale feeria nuklearnych wybuchów. I ten piękny obraz ośmielam się dedykować dzisiejszym politykom, którzy – takie mam wrażenie – zamiast uczęszczać na lekcje historii, wagarowali, czas spędzając w kinie.

³ „Menschen am Sonntag”, Filmstudio Berlin, 1930.

⁴ „Dr. Strangelove or: How I Learned to Stop Worrying and Love the Bomb”, 1964, na podstawie powieści Petera George'a o tym samym tytule.

Ukraińscy artyści przeciw wojnie

Słowa są bezradne wobec rakiet, wobec zła wojny... Choć te krople oporu i nadziei mogą drażnić sumienie, jednak nie zapobiegają realnej śmierci zbierającej swe żniwo na polach walki. Ale też słowa mogą ranić, mogą zabijać: hejt i kłamstwa propagandy sieją spustoszenie w umysłach osób nieodpornych. Tak zwykle – wszelkimi metodami – dąży do swych celów dyktatura nienawiści, autorytarna władza wobec wszystkiego, co odmienne i wolne. Co więc mogą, co znaczą alarmy poetów, ich apele o umiar? Chyba niewiele.

Być może większą mocą dysponują obrazy; bezpośrednie medialne przekazy z pobojowisk, ze zrujnowanych miast, zdjęcia cywilnych ofiar na ulicach. Pamiętamy przekazy z Buczy, Mariupola, Kramatorska czy Chersonia. Wiemy także, że przekazy wizualne ze wcześniejszych wojen w Wietnamie czy Iraku odniosły swój polityczny skutek – przybliżyły pokój. Czy obrazy utrzymane raczej w niedosłownej metaforze, z ich krytyczną wrażliwością – te wizualizacje w rysunku, grafice czy malarstwie – mają jakąś moc sprawczą? Czy mogą pomóc tym, co giną na wojnie? Oczywiście, że nie o taką ich rolę chodzi. Ale mają one także ową moc uświadamiania okropieństw wojny; czasami ją ośmieszają, kpiąc z jej logiki, dociekając istoty zła, a na pewno są po stronie pokoju. Głos twórcy – narracja niejednoznaczna, bo nie o dosłowny tu dokument idzie – adresowany jest nie do wrogów, gdyż do nich nic nie dociera, jeśli to nie jest argument siły. A sztuka, szczerza artystyczna wypowiedź ma sens wyższy; jest jakimś śladem historycznej wrażliwości i odpowiedzialności, jest sumieniem danego narodu w wydaniu jej przedstawicieli. I tylko tak może być odbierana. Nieco arbitralny zestaw prezentowanych w tym zeszycie ilustracji dobrano ze względu na ich relację do rosyjskiej agresji; a są one tylko niewielką częścią wizualnej wypowiedzi ukraińskich artystów odnoszących się do tej tragedii, która dotknęła ich ojczyznę.

Głos artysty – szept rozpacz, ale i nadziei – może uświadomić i otworzyć odbiorczą wrażliwość na sprawy fundamentalne nie tylko dla Ukrainy, ale szerzej – dla Europy. Artystom: Igor Bilykivski (1953 r.) – Lwów; Olesya Dzhurayeva (1982 r.) – Kijów; Daria Khrisanfova (1973 r.) – Charków; Valeriia Nykytchenko (1999 r.) – Charków; Oleksandr Nykytiuk (1966 r.) – Winnica; Olena Matoshniuk (1993 r.) – Łuck/Wrocław; Kyryło Orel (2001 r.) – Charków; Vasyl Savchenko (1994 r.) – Lwów/Gdańsk; Vitalii Shupliak (1993 r.) – Bereżany/Berlin; Wolodymyr Topiy (1979 r.) – Sądowa Wisznia/Lwów składamy podziękowania za udostępnienie prac do publikacji w „Formacie Literackim”.

→

Volodymyr Topiy, *Transformacja*,
sucha igła na tetrapaku, papier, odbitka 1/1, 29,7 × 21 cm, 2024



URSZULA M. BENKA

Kronika kultury

*...dzisiaj niczyja
w listku na wodzie
w płytkim obłoku
sobie przemijam*

Dnia 20 lipca odeszła Urszula Koziół.

O pogrzebie naszej redakcji ani Dolnośląskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich nie powiadomiono, niemniej i oczywiście łączymy się całym sercem z kolegami i bliskimi Poetki w żalu i nostalgii, ponieważ oznacza to zarazem domknięcie – chyba nieodwołalne – całej epoki w kulturze Polski i Wrocławia. Miesięcznik „Odra”, gdzie Urszula Koziół przez całe półwiecze (w latach od 1972 do 2022) prowadziła dział poetycki, był miejscem i naszych debiutów, a długo też współpracy ścisłej; pierwszy Naczelny „Formatu Literackiego”, Andrzej Więckowski, zamieszczał w „Odrze” wnikliwe i wybitnie kompetentne teksty o zjednoczonych Niemczech, kraju, który znał, latami tam mieszkając i prowadząc jedno z najlepszych polskich pism za granicą – „Archipelag”. Ja zamieściłam serię publicystycznych felietonów dotyczących gęstnienia niekultury wobec bezmyślnej naiwności opiniotwórczych elit.

Zarazem Urszula Koziół dopiero na rok przed odejściem – w 2024 roku otrzymała ważną nagrodę literacką. Była to „Nike” za zbiór wierszy „Raptularz”, o którym krytyk „Nowego Napisu Co Tydzień” Dariusz Żółtowski stwierdził, że: „To lekcja z antropologii starości, która – miejmy nadzieję – czeka nas wszystkich. Swoisty pamiętnik z okresu umierania”. Nagrodę jednak przyznano poetce za całokształt. Dała się znowu odczuć jako zjawisko autonomiczne, choć wciąż we Wrocławiu nie aż tak intensywnie rozpoznawalne oraz inspirujące, jak Tadeusz Różewicz albo Rafał Wojaczek, Janusz Styczeń, Ewa Sonnenberg albo Michał Witkowski.

Paski z informacją na ekranach TVN znikły nagle, zastąpione kolejnym nekrologiem: odeszła niepowtarzalna aktorka Joanna Kołaczkowska, gwiazda kabaretu Hrabi. To jej osoba, a także kilka słynnych skeczy zdominowały infosferę. Osobna rzecz: uczestnikom pogrzebu przekazano gorącą prośbę Zmarłej, aby zamiast na kwiaty ofiarować jakieś datki na cele dobroczynne. Mimo to grób został dosłownie zavalony wieńcami i zniczami.

Tak więc rozstaj, w poczuciu, że rozstaje się w każdej chwili, a ich brak to szeroka pospolita brukowana droga do piekła. Bo każda głębsza osobowość w sztuce jest odstępstwem.

Niniejszy numer „Formatu Literackiego” poświęcamy fenomenowi władzy. Pod tym kątem patrzę na przestrzeń kulturową już od lat. Kultura w psychice hołdującej przemocy, a przynajmniej satysfakcji podobnej do stanu cierpiących na ADHD, impulsywność, niska zdolność skupienia się, huśtawki nastrojów. Podatność na jakieś elektryzujące wyimki (bo nawet nie cytaty) z Biblii, na przykład „Moja jest pomsta. Po niej poznać, żem ja Pan”. Ryszard Koziołek w świetnym felietonie z 1 lipca („Polityka”) uruchomił tu jakże trafne skojarzenie z filmami Quentina Tarantino. Tarantino, a więc momentalnie wyświetla się ikonka Najlepsze czy Najgorsze? Najlepsze i Najgorsze, dwa warianty pigułki ekstazy kulturowej.

Co tam koncerty 80. już Międzynarodowego Festiwalu Chopinowskiego w Dusznikach-Zdroju i grająca od czwartego roku życia Manami Suzuki, zwyciężczyni zeszłoroczna konkursu pianistycznego w Hamamatsu, a także laureatka nagrody publiczności w tym mieście herbaty i muzycznych instrumentów... Co tam, skoro mamy na warszawskim Stadionie Narodowym, najważniejszym miejscu koncertowym w Polsce, rapera z Białorusi, rapującego po rosyjsku Maxa Korzha, na którego koncert w Warszawie zostały sprzedane wszystkie bilety – podobno w trzy minuty (stadion mieści ponad 72 tys.) widzów.

Max Korzh do tej pory zupełnie w polskich mediach nie istniał, nawet w rozmowach branży muzycznej, stał się natomiast może wręcz największą hiphopową gwiazdą w Rosji, Ukrainie i Białorusi. Korzh wpadł jednak w kłopoty po agresji Rosji na Krym. Raperowi zdarzyło się tam wystąpić, co zaowocowało zakazem wjazdu do Ukrainy. W 2020 roku, kiedy z kolei w Białorusi rozpoczęły się gorące protesty przeciwko sfałszowaniu kolejnych wyborów prezydenckich przez Łukaszenkę, zamienione w krwawe zamieszki, raper próbował zachowywać neutralność. Najpierw całkowicie milczał w sprawie politycznego podziału w swej ojczyźnie, potem poparł osoby demonstrujące przeciw władzy, ale jednocześnie apelował o ograniczenie protestów w celu uniknięcia rozlewu krwi. Wywołał tylko oburzenie demokratów i naraził się władzy. Od tego czasu **nie koncertuje w swojej ojczyźnie, nie wiadomo, gdzie mieszka, czym się zajmuje i z czego żyje**. Od czasu do czasu pojawia się tylko w krajach z aktywną rosyjskojęzyczną diasporą i gra tam duże koncerty: rok temu wystąpił w Pradze. Teraz w Warszawie, honorując rocznicę rozpoczęcia mińskich protestów z 2020 roku.

Koncert przerodził się w bitwę, z trybun zaczęto wznosić niedozwolone flagi z symboliką Ukraińskiej Powstańczej Armii, a następnie bić się i szarpać z ochroną i policją. Zatrzymano kilkadziesiąt osób, sporą ich część czeka deportacja z Polski. Jeśli była to pisana cyrylicą prowokacja, to warto badać tę faktyczną moc, jaką sztuka przedstawia jako narzędzie władzy totalitarnej. Władza ta zawsze miała i ma własny styl, własne poetyki, znakomicie stopione – co wykazał już Elias Canetti – z tłumem, z wszelkim unisono.

Poza muzyką, literaturą i myśleniem toczy się świat równoległy, traktujący myśl oraz kulturę jako jedno z narzędzi ekonomii, a więc w dalszej perspektywie zbrojeń i wojny. Ten cel nadany kulturze oznacza jej przystosowanie tak, aby była w swojej

roli funkcjonalna. Wirtualność, której tak wiele, to też jedno z narzędzi: nawet wirtualność wojny i pokoju. Swoistym paradoksem jest, iż przy zalewie osobistych niedyskrecji w mediach społecznościowych, gdzie, wydawałoby się, bariery już poznikały, żadne z polskich ugrupowań literackich nie protestuje publicznie przeciw ludobójstwu w Strefie Gazy. W Niemczech owszem. Ponad 200 twórców i znanych osobistości domaga się ograniczenia wsparcia dla Izraela. Chcą odegrać kluczową rolę w dążeniu do pokoju. W otwartym liście do kanclerza Mertza (CDU), jak podaje magazyn „Spiegel”, wzywają ponadto do zawieszenia handlowo-politycznej umowy stowarzyszeniowej Unii Europejskiej z państwem Izrael. Apelują także o natychmiastowy nieograniczony dostęp pomocy humanitarnej do Strefy Gazy. Wśród sygnatariuszy znajdują się znane postacie, w tym para aktorsko-wokalistyczna Joko Winterscheidt i Klaas Heufer-Umlauf, aktorki i aktorzy: Jessica Schwarz, Christiane Paul, Benno Fürmann, Anna Thalbach, Meret Becker oraz Jürgen Vogel, a także ludzie muzyki: Shirin David, Ski Aggu i Zartmann. Inicjatorami listu otwartego są reżyserka Laura Fischer i aktor Trystan Pütter.

Sygnatariusze stanowczo potępili „straszliwe zbrodnie Hamasu”, nie chcą więc być stroną w antagonizmie politycznym Palestyny i Izraela. Jak zauważył Jarosław Pietrzak w rozmowie z Enzo Traverso, autorem książki „Gaza. W obliczu historii”, ta preambuła o zbrodniach Hamasu albo w ogóle arabskich terrorystów stała się obowiązkowa we wszelkich już apelach o litość dla nieszczęsnych zwykłych ludzi w Gazie, zamienionej w największy dotąd koncentracyjny obóz świata.

W ostatnim czasie w Gazie pod szpitalem zastrzelono pięciu dziennikarzy telewizji Al-Dżazira. Mamy mocne wrażenie, że im więcej ciszy nad Gazą, tym bardziej ci milczący kreują się na stróżów moralności publicznej.

Znamienny tedy rys kulturowy – rośnie w Polsce poparcie dla polityka publicznie kwestionującego istnienie komór gazowych w niemieckim nazistowskim obozie Auschwitz. Polityk przed laty należał do nielicznych, którzy obejrzeni (on z wielkim przejęciem) zakazany przez cenzurę PRL film „Shoah”; jest historykiem. Chcę wyakcentować jednak sam fakt, że pokolenie opiniotwórczych osób faktycznie wychowało się pod totalitarną cenzurą, co bynajmniej nie oznacza braku informacji, a wręcz niekiedy ich nadmiar, przy braku aparatu krytycznego.

Na marginesie: prezydent USA Donald Trump, tak bliski sercom połowy polskich wyborców, likwiduje na poziomie federalnym resort edukacji i przekazuje władzę edukacyjną poszczególnym stanom. Co się tyczy Gazy, media amerykańskie gromko zapowiadały, że już po zakończeniu walk miałby tam stanąć wielki posąg Donalda Trumpa jako laureata pokojowej Nagrody Nobla. Na razie skierował setki żołnierzy Gwardii Narodowej do „wyzwolenia”, czyli oczyszczania Waszyngtonu z bezdomnych; ludzie na śmietniskach (najszerzej pojmowanych) są uznawani za nieco tylko inne śmieci.

Władza nad mitem i stereotypem lansowanym jako mit. Po entuzjastycznie powitanej powieści Krzysztofa Rudowskiego „Czarownica. Noc na Łysej Górze” ukazała się część II „Czarownica. Księga druga: Orfeusz w piekle”. Jest to powieść z pogranicza fantasy i psychodelic, reportaż i odyseja wewnętrzna. Pomimo, jak

zawsze u Rudowskiego, przemysłanej finezji formalnej, formalna strona powieści określana mianem „fantasy” (z dodatkiem „re” – romansu) schodzi na drugi plan wobec stosowniejszej wobec mitu wiwisekcji. To samopoznanie wyznaczyło meandry kompozycji i stylu, narzuciło poetykę i logikę wywoływanych znaczeń utworu.

Czy można wyrażać własne ja, w tym męską rozpacz, w terminach erotyzmu i magii? Poza akademicką psychologią, poza nawet racjonalnym doświadczeniem, budując psychikę bohatera zarazem hiperrealistycznie? Podnosząc fizjologię żądz do wysokiego C? Owszem, takie próby podjął już Rabelais, podjęta w wieku XX Anaïs Nin. Tutaj rozkwita zdumiewający pełnokrwisty orfizm prozatorski Rudowskiego, a nadto jeszcze fascynujący most, jaki łączy mityczną Eurydykę z nie mniej mityczną (wcale bowiem nie tylko paloną w chrześcijańskiej i zwłaszcza renesansowej Europie) czarownicą.

Obie pozycje ukazały się nakładem brzeskiej oficyny OdeSFa, z podtytułem *Odmienne Stany Fantastyki*.

Miła odmiana od coraz częstszej w świecie władzy: w ostatnich dniach politycy wypowiadają się też śpiewaniem popularnych piosenek. A sztuka wydobywa coś, na co świadomość się jeży i czego myślenie kombinatoryczne stara się unikać. Otóż, żegnając się z pracownikami kancelarii, żona odchodzącego prezydenta zaśpiewała legendarny „Koniec” Elektrycznych Gitar – życzliwi dodają, że jak przystało na córkę poety, potrafi przemówić poezją właśnie. Autor „Końca” Kuba Sienkiewicz jednak był umiarkowanie wzruszony: „To jest bardzo miła rzecz, bo widać, że pani Agata jest wrażliwa na poezję. I tym lepiej, w końcu to poetycka rodzina, jakby nie było. To bardzo dobre na zakończenie sprawowania urzędu pierwszej damy”. Aczkolwiek dodał uwagę, że wykorzystała jedynie fragment utworu i że taki „powierzchowny” odbiór jest dość powszechny, „czyli tak powierzchownie i na poziomie samego refrenu”.

Z kolei minister sprawiedliwości w polemice użył frazy z piosenki „Jestem Bogiem” hiphopowo-rapowej grupy Paktofonika, która powstała w 1998 roku. Nazwa ta oznacza „pakt zawiany przy brzmieniu głośnika”. Rozmówca podchwycił to podanie: „Panie ministrze, nie jesteś Bogiem, uświadom to sobie, sobie”. Przywołał też XIX-wiecznego niemieckiego filozofa Fryderyka Nietzschego. „Przypomniał mi się Fryderyk Nietzsche, który napisał kiedyś, że «Bóg umarł». A gdy umarł już Nietzsche, to ludzie pisali na ścianach: «Nietzsche umarł», z podpisem «Bóg». Sam lider Paktofoniki, skoro jesteśmy w tej poetyce, niestety w sposób tragiczny przekonał się, że nie jest Bogiem” – mówił dalej Nawrocki, odnosząc się do tragicznej śmierci rapera Piotra „Magika” Łuszcza. Jak się zdaje, ten sam werset można odczytywać metaforycznie i z trochę zawadiackim humorem lub z zaciśniętą pięścią dosłownie.

URSZULA BENKA

O SZTUCE NIEŚWIADOMEJ



AKWEDUKT

Krzysztof
Rudowski



Popołudnie Fausta



